



**BRYTYJSKIE  
BESTSELLERY**

**SOPHIE HANNAH**  
**ZABÓJCZE MARZENIA**

„Odważny thriller psychologiczny  
o morderczych kłamstwach w rodzinie”.

**Financial Times**



Tytuł oryginału: Lasting Damage

Copyright © 2011 by Sophie Hannah All rights reserved.

First published in English language by Hodder and Stoughton Limited.

Copyright for the Polish Edition © 2012 G + J Gruner + Jahr Polska

Sp. z o.o. & Co. Spółka Komandytowa 02-674 Warszawa, ul.

Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 41-42

faks 22 360 38 49

Sprzedaż wysyłkowa:

Dział Obsługi Klienta, tel. 22 360 37 77

Redakcja: Klara Szarkowska

Korekta: Bronisława Dziejcz-Wesołowska, Małgorzata Grudnik-Zwolińska Projekt okładki: Maciej Szymanowicz Zdjęcie na okładce:

Shutterstock Redakcja techniczna: Mariusz Teler Redaktor

prowadząca: Agnieszka Koszałka ISBN: 978-83-7778-335-1

Skład i łamanie: Katka, Warszawa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej: [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Plan](#)

[Tydzień wcześniej](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[Dowód](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[Dowód](#)

[9](#)

[10](#)

[Dowód](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[Dowód](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[Dowód](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

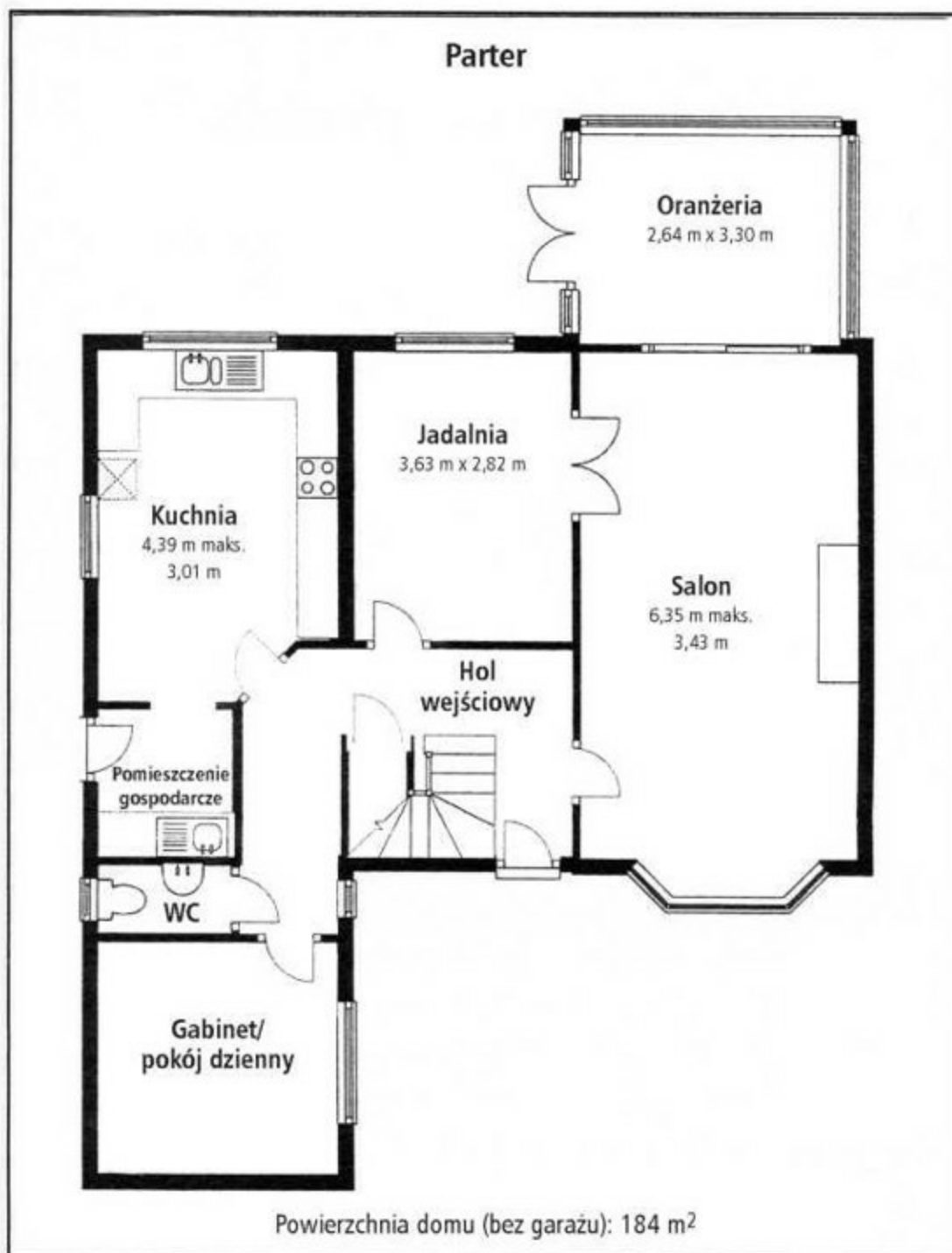
[27](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Dla 7GR

## Bentley Grove 11, Cambridge

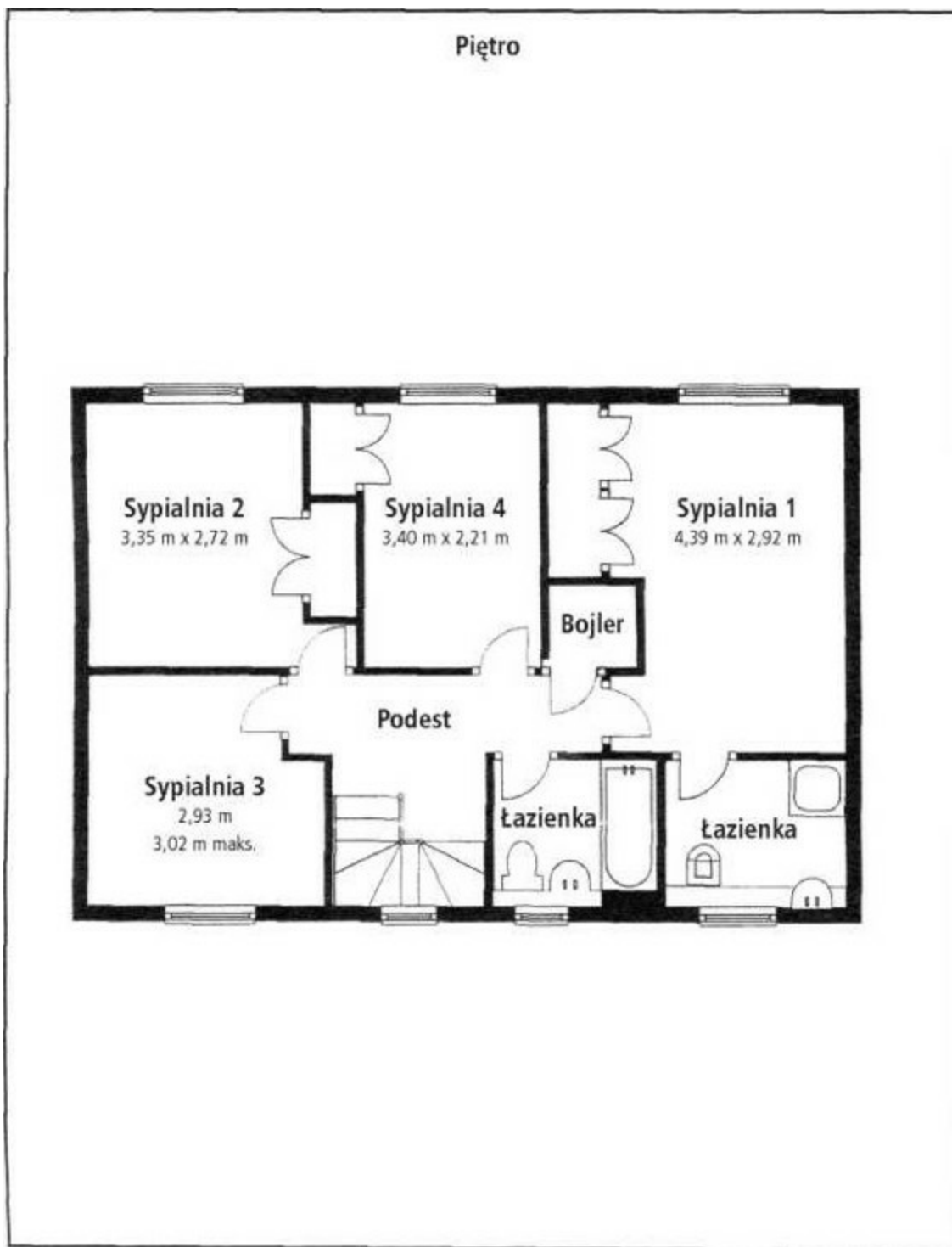




## **BEZ SKALI: układ orientacyjny**

Wprawdzie dołożyliśmy wszelkich starań, by zamieszczone tu plany pięter były dokładne, wymiary drzwi, okien i pokoi są przybliżone. Nie bierzemy odpowiedzialności za błędy, przeoczenia i mylne informacje. Niniejsze plany służą wyłącznie celom orientacyjnym zdefiniowanym w Kodeksie Praktyk Pomiarowych i tylko jako takie winny być użyteczne dla potencjalnego kupca. Nie przetestowaliśmy żadnych usług, systemów ani sprzętów i nie możemy zagwarantować ich funkcjonalności ani wydajności.

## **Bentley Grove 11, Cambridge**



**BEZ SKALI: układ orientacyjny**

Wprawdzie dołożyliśmy wszelkich starań, by zamieszczone tu plany pięter były dokładne, wymiary drzwi, okien i pokoi są przybliżone. Nie

bierzemy odpowiedzialności za błędy, przeoczenia i mylne informacje. Niniejsze plany służą wyłącznie celom orientacyjnym zdefiniowanym w Kodeksie Praktyk Pomiarowych i tylko jako takie winny być użyteczne dla potencjalnego kupca. Nie przetestowaliśmy żadnych usług, systemów ani sprzętów i nie możemy zagwarantować ich funkcjonalności ani wydajności.

## **Sobota, 24 lipca 2010**

Zostanę zabita, a wszystko przez rodzinę Gilpatricków.

Jest ich czworo: matka, ojciec, syn i córka. Elise, Donal, Riordan i Tilly. Kitt wymienia te imiona, jakby sądził, że pragnę mieć już z głowy formalności i lepiej ich poznać, a tymczasem ja myślę tylko o tym, by wybiec z krzykiem z pokoju. Riordan ma siedem lat, mówi. A Tilly pięć.

Zamknij się, mam ochotę wrzasnąć mu w twarz, ale jestem zbyt przerażona, by otworzyć usta. Jakby ktoś mi je zacisnął i zamknął na klucz. Już nigdy nie wypowiem ani słowa.

To jest to. Właśnie tutaj, dzisiaj, w ten sposób i z tego powodu umrę. Przynajmniej znam już wreszcie ten powód.

Kitt jest równie wystraszony jak ja. Nawet bardziej. Nie przestaje mówić, bo wie, jak wszyscy, którzy czekają na coś w przerażeniu, że gdy cisza i strach łączą siły, tworzą całość tysiąc razy gorszą niż suma wszystkich części.

Gilpatrickowie, mówi, a po twarzy spływają mu łzy.

Patrzę na drzwi odbite w lustrze nad kominkiem. Wydają się mniejsze i odleglejsze, niż byłyby, gdybym odwróciła głowę i spojrzała na nie bezpośrednio. Lustro ma kształt grubego nagrobka: trzy proste boki, a u góry łuk.

Nie chciałem uwierzyć, że istnieją. To nazwisko brzmiało jak zmyślane. Kitt wybucha śmiechem i dławi się łzami. Wszystko się w

nim trzęsie, nawet głos. Gilpatrick to nazwisko, które bym wymyślił, gdybym tworzył fikcyjną postać. Pan Gilpatrick. Gdybym tylko w niego uwierzył, to wszystko by się nie stało. Bylibyśmy bezpieczni. Gdybym tylko...

Kitt milknie i odchodzi od zamkniętych drzwi. Słyszy te same kroki, co ja. Pośpieszne, liczne. Już tu są.

Tydzień wcześniej

# 1

## **Sobota, 17 lipca 2010**

Leżę na plecach, z zamkniętymi oczami, czekając, aż oddech Kitta zmieni rytm. Sama naśladowuję głęboki, powolny oddech śpiącego człowieka, który muszę usłyszeć obok siebie, nim będę mogła wyjść z łóżka. Wdech, zatrzymanie, wydech, zatrzymanie. Próbuję sobie wmówić, że to nieszkodliwe oszustwo. Czy to możliwe, że jestem jedyną kobietą, która to robi, czy też każdej nocy na całym świecie ludzie zachowują się tak samo? Jeśli tak, to chyba z innych, bardziej zwyczajnych powodów niż ja. Pewnie są to niewierne żony czy dziewczyny piszące SMS-y do swoich kochanków albo potajemnie pijące ostatni kieliszek wina, dopełniający pięć wcześniejszych. Zwyczajne życie, normalne pokusy.

Żadna kobieta nigdy nie była w moim położeniu.

Gadasz głupoty. Nie jesteś w żadnym położeniu, nie licząc tego, które wytworzyła twoja wyobraźnia. Składniki: ślepy przypadek i paranoja.

Próbuję to sobie jakoś wyjaśnić, ale bez skutku. I dlatego muszę sprawdzić, żeby móc się uspokoić. Sprawdzanie nie jest przejawem choroby umysłowej. Szalone byłoby pominięcie okazji do upewnienia się. Gdy spojrzę i niczego nie znajdę, będę mogła zapomnieć o tym



wszystkim i uznać, że to sobie wyobraziłam.

Na pewno?

Za chwilę powinnam móc się ruszyć. Kitt na ogół śpi jak zabity już kilka sekund po zgaszeniu światła. Jeśli policzę do stu... Ale nie dam rady. Nie jestem w stanie skupić się na czymś, co mnie nie interesuje. W przeciwnym razie mogłabym postąpić na odwrót i wyrzucić Bentley Grove 11 z głowy. Czy kiedykolwiek mi się to uda?

Czekając, przygotowuję się do stojącego przede mną zadania. Co nasza sypialnia powiedziała by obcej osobie o mnie i o Kitcie?

Ogromne łóżko, żeliwny kominek, identyczne wnęki po obu stronach podmurówki, a w nich nasze dwie identyczne szafy. Kitt lubi symetrię. Gdy zaproponowałam kupienie największego łóżka na rynku na miejsce naszej zwykłej dwójki, jego jedyną obiekcją było to, że nie będzie dość miejsca na dwie identyczne szafki po każdej ze stron. Zapewniłam go, że chętnie pozbędę się swojej, a wtedy spojrzał na mnie jak na anarchistkę, która chce zburzyć jego uporządkowany świat.

– Nie można mieć szafki tylko po jednej stronie – oznajmił.

W końcu pozbyliśmy się obydwu. Zmuszając mnie najpierw, bym obiecała, że nikomu tego nie zdradzę, Kitt przyznał, że chociaż odkładanie książki, zegarka, okularów i telefonu pod łóżko jest niewygodne, on i tak woli takie rozwiązanie od sypialni, która „nie wyglądałaby jak trzeba”.

– Na pewno jesteś heteroseksualny? – zapytałam go wtedy

żartobliwie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Albo tak, albo udaję, żeby nie przestały do mnie przychodzić kartki świąteczne. Nigdy nie dowiesz się prawdy.

Kremowe, jedwabne zasłony do podłogi. Kitt chciał rzymskie rolety, ale ja na to nie pozwoliłam. Od dziecka pragnęłam mieć jedwabne zasłony. Była to jedna z tych obietnic, które składa się przed samym sobą, myśląc o czasie, „gdy się już będzie miało własny dom”. Poza tym zasłony w sypialni muszą zalegać na podłodze – to z kolei moja zasada dotycząca „wyglądania jak trzeba”. Pewnie każdy ma co najmniej jedną i tylko własne uważamy za sensowne, a wszystkie inne wydają się nam niedorzeczne.

Nad kominkiem wisi oprawiona tkanina przedstawiająca czerwony dom otoczony zielonym prostokątem, który ma być ogrodem. Zamiast kwiatów głęboką zieleń trawy łamie pomarańczowy napis „Melrose Cottage, Little Holling, Silsford”, a pod spodem mniejszymi żółtymi literami napisane jest „Connie i Kitt, 13 lipca 2004”.

– Przecież Melrose Cottage nie jest czerwona – protestowałam dawniej, zanim dałam za wygraną. – Jest zbudowana z białego kamienia. Myślisz, że mama wyobrażała sobie nasz dom tonący we krwi?

Nazwaliśmy nasz dom „Melrose Cottage”, gdy go kupiliśmy. Teraz, gdy znamy go już jak własne twarze, przezywamy go czasem „Mellers”.

Co pomyślałby o tej tkaninie neutralny obserwator? Czy wzięłby nas za debili, którzy boją się, że pewnego dnia zapomną swoje imiona i datę kupna domu i dlatego właśnie powiesili na ścianie małe przypomnienie? Czy domyśliłby się, że obrazek był ręcznie zrobionym prezentem od mojej matki, że według mnie jest cukierkowaty i banalny i że walczyłam o wyniesienie go na strych?

Kitt upierał się przy powieszeniu prezentu w dowód naszej lojalności wobec domu i mojej matki. Uważał, że sypialnia nadaje się do tego idealnie, bo w ten sposób ukryjemy tkaninę przed gośćmi. Wydaje mi się, że on sam przestał ją zauważać. Ale ja ją widzę, każdego wieczoru przed snem i co rano, gdy się budzę. Wywołuje we mnie depresję z wielu różnych powodów.

Osoba zaglądająca do naszej sypialni nie dostrzegłaby tych wszystkich sporów i kompromisów. Nie zobaczyłaby brakującej szafki nocnej Kitta ani obrazu, który chciałabym mieć nad kominkiem, gdyby tylko nie wisiał tam ten ohydny, czerwony domek.

To tylko dowód, że patrząc na cudzy pokój, nie sposób się niczego dowiedzieć, więc nie ma żadnego sensu w tym, co zamierzam zrobić, gdy tylko Kitt zaśnie. Też powinnam iść spać.

Najciszej, jak tylko się da, wysuwam się spod kołdry, wstaję z łóżka i idę na palcach do drugiej sypialni, w której urządziliśmy domowe biuro. Tutaj prowadzimy swoją firmę, co jest trochę absurdalne, bo pomieszczenie ma zaledwie dziesięć metrów kwadratowych. W nim też jest żeliwny kominek. Udało nam się tu zmieścić dwa biurka, dwa krzesła i trzy szafki na papiery. Gdy

dostaliśmy z sądu akt ustanowienia spółki, Kitt go oprawił i powiesił na ścianie naprzeciwko wejścia, tak by była to pierwsza rzecz rzucająca się wchodzącym w oczy.

– Taki jest wymóg prawny – wyjaśnił, gdy powiedziałam, że niezbyt to inspirujące i nadto biurokratyczne. – Akt musi wisieć w widocznym miejscu w siedzibie firmy. Chcesz, żeby Nulli zaczęło działalność poza prawem?

Nulli Secundus z o.o., czyli „drudzy po nikim”. Pomysł Kitta.

– Jak na moje ucho, to kusimy los i ściągamy na siebie niepowodzenie – powiedziałam, gdy dyskutowaliśmy o tym, jak się nazwać. Myślałam o tym, o ile bolesniejsze będzie bankructwo przy tak zarozumiałej nazwie firmy, i zaproponowałam „C & K Bowskill”.

– Przecież to nasze nazwisko – odparł zjadliwie Kitt, jakby uznał, że sama na to nie wpadłam. – Wykaż odrobinę wyobraźni, na litość boską. Trochę pewności siebie też się przyda. Nie zakładamy firmy z myślą o bankructwie. Nie wiem jak ty, ale ja zamierzam odnieść sukces.

A czy kiedykolwiek dotąd go osiągnąłeś? W jakiejś dziedzinie, o której nie wiem?

Nie bądź śmieszna, Connie. Twoja głupota jest druga po nikim.

Stukam w panel dotykowy laptopa, który budzi się do życia. Na ekranie pojawia się wyszukiwarka Google. Wpisuję słowa „domy na sprzedaż” i naciskam enter. Pierwszym wynikiem jest strona Wszystkiedomycom, ogłaszająca się jako najlepsza tego typu witryna

internetowa w Wielkiej Brytanii. Klikam na link, myśląc o tym, że właściciele tej firmy najwyraźniej wyznają taką filozofię jak Kitt, nie martwiąc się o kompromitację wywołaną bankructwem.

Po chwili patrzę na załadowaną stronę domową. Są na niej zdjęcia domów pod ciemnoczerwoną ramką pełną malutkich ikon szkieł powiększających, a w każdym z nich para oczu, które wyglądają upiornie, obco i przywodzą mi na myśl ludzi kryjących się w ciemności i szpiegujących się nawzajem.

Czy sama właśnie tego teraz nie robisz?

W okienku z lokalizacją wpisuję „Cambridge” i klikam przycisk „na sprzedaż”. Wyskakuje kolejne okno, a w nim kolejne kryteria poszukiwania. Zaznaczam je wszystkie, mocno zniecierpliwiona. Promień poszukiwań: tylko lokalne; typ budynku: dom; liczba sypialni: dowolna; przedział cenowy: dowolny; data zamieszczenia ogłoszenia: ...; Kiedy mogło się tu pojawić Bentley Grove 11? Zaznaczam „ostatnie 7 dni”. Tablicy z napisem „Na sprzedaż”, którą widziałam dzisiaj przed domem – a raczej wczoraj, bo jest już kwadrans po pierwszej – tydzień temu tam nie było.

Klikam na „Znajdź oferty”, stukając nagą stopą o podłogę, i zamykam na chwilę oczy. Gdy znów je otwieram, widzę zdjęcia domów. Chaucer Road za cztery miliony funtów, Newton Road za dwa miliony trzysta tysięcy. Znam obydwie ulice, są niedaleko Bentley Grove, tuż przy Trumpington Road. Widziałam je podczas swoich licznych podróży do Cambridge, o których nikt nie wie.

Bentley Grove 11 to trzeci dom na liście. Oferowany za milion

dwieście tysięcy funtów. Dziwię się, że tak drogo. Jest dosyć duży, ale nie spektakularny. Ta część Cambridge uważana jest za ekskluzywną, choć mnie zawsze wydawała się zwyczajna, a samochody na Trumpington Road częściej stoją, niż jadą. W okolicy są sklep spożywczy, restauracja indyjska, sklep z winami i kilka agencji nieruchomości. No i mnóstwo niesamowitych, nieprzystojnie drogich domów. Jeżeli ceny wywoławcze dla wszystkich tutejszych ofert osiągają kilka milionów, to znaczy, że jest sporo osób gotowych zapłacić takie pieniądze. Kim oni są? Przychodzi mi na myśl Cliff Richard. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat on. Kto jeszcze? Właściciele klubów piłkarskich albo szybów naftowych na tyłach domów? Na pewno nie ja i Kitt, chociaż zawodowo wiecie się nam jak najlepiej...

Staram się pozbyć tych myśli. Mogłabyś teraz spać, wariatko. A zamiast tego siedzisz po ciemku, pochylona nad komputerem, czując się gorsza od Cliffa Richarda. Weź się w garść.

By zobaczyć wszystkie detale, klikam na zdjęcie domu, który znam tak dobrze, a zarazem w ogóle. Chyba nikt inny nie spędził tyle czasu co ja, patrząc na niego z ulicy. Znam każdą cegłę jego fasady. Dziwne, wręcz szokujące jest oglądanie zdjęć tego budynku na komputerze. W moim domu, gdzie jest tak bardzo nie na miejscu.

Zapraszasz wroga do własnego domu...

Nie ma żadnego wroga, mówię sobie stanowczo. Bądź praktyczna, załatw to i idź spać. Kitt zaczął chrapać. To dobrze. Nie mam pojęcia, co bym powiedziała, gdyby mnie przyłapał. Nie wiem, jak bym broniła

swojej poczytalności.

Strona się załadowała. Nie interesuje mnie duża fotografia po lewej, przedstawiająca dom od ulicy. Muszę zajrzeć do środka. Po kolei klikam na wszystkie małe zdjęcia po prawej, powiększając je. Najpierw kuchnia z drewnianym blatem, podwójny zlew, pomalowane na niebiesko fronty szafek, wyspa z błękitnymi bokami...

Kitt nienawidzi wysp kuchennych. Uważa, że są brzydkie i pretensjonalne – poza zaimportowana z Ameryki, która tylko czeka na odwołanie, jak dawniej zielone sedesy i umywalki. Wyspy, która stała w naszej kuchni, pozbył się w ciągu dwóch tygodni od kupna domu, a na jej miejsce zamówił u miejscowego stolarza duży, okrągły, dębowy stół.

Kuchnia, na którą teraz patrzę, nie mogłaby należeć do Kitta, nie z tą wyspą pośrodku.

Oczywiście, że to nie kuchnia Kitta. Jego kuchnia jest na parterze pod tobą. Tak się składa, że jest też twoja.

Klikam na zdjęcie salonu. Widziałam go już wcześniej, choć tylko przez chwilę. Podczas jednej z wizyt byłam dostatecznie odważna – lub głupia, zależnie od punktu widzenia – by otworzyć furtkę, pokonać długą ścieżkę otoczoną krzewami lawendy i dzielącą kwadratowy ogródek na dwa trójkąty i zajrzeć przez okno do środka. Bałam się, że zostanę przyłapana, więc nie bardzo mogłam się skupić. Kilka sekund później z sąsiedniego domu wyszedł starszy pan w okularach o niesamowicie grubych szklach i spojrzał w moją stronę przesadnie powiększonymi oczami. Pobiegłam do samochodu, nim zdążył zapytać

mnie, co tam robię, i niewiele zapamiętałam z wyglądu pokoju. Tylko tyle że miał białe ściany i że stała w nim szara kanapa w kształcie litery L z wyhaftowanym na czerwono misternym wzorem.

Patrzę właśnie na tę samą kanapę, tym razem na ekranie mojego komputera. Jest nie tyle szara, ile matowosrebrna. Wygląda na drogą i unikatową. Nie wyobrażam sobie, że gdziekolwiek może stać podobna sofa.

Kitt uwielbia rzadkie przedmioty. O ile to tylko możliwe, unika wytworów masowej produkcji. Wszystkie kubki w naszej kuchni były wykonane i ozdobione ręcznie przez garncarza ze Spilling.

Każdy mebel w salonie domu przy Bentley Grove 11 wygląda na unikat: krzesło o ogromnych poręczach z drewna, przypominających dna łodzi wiosłowych, i nietypowy stolik ze szklanym blatem. Pod szkłem coś w rodzaju leżącej gąbki z szesnastoma przegródkami. W każdej przegródce leży kwiatek z czerwonym środkiem i niebieskimi płatkami skierowanymi w stronę szklanego blatu.

Kittowi wszystko to bardzo by się spodobało. Przełykam ślinę i tłumaczę sobie, że to niczego nie dowodzi.

Widzę kafelkowy kominek, a nad nim dużą, oprawioną mapę. Po obu stronach podmurówki komina są dwie identyczne wnęki. Symetryczny pokój, w stylu Kitta. Czuję lekkie mdłości.

Chryste, to jakiś obłąd. Ile w całym kraju jest takich salonów, które powielają podstawowy wzór: kominek z podmurówką, dwie wnęki? To klasyczny wystrój, obecny na każdej szerokości geograficznej. Podoba się Kittowi i miliardom innych ludzi.



Przecież nie zobaczyłaś jego kurtki przewieszanej przez poręcz ani pasiastego szalika na oparciu krzesła...

Szybko, chcąc już mieć z głowy to zadanie, które sobie wyznaczyłam – świadoma, że wykonanie go tylko pogorszy mój stan – przeglądam pozostałe pokoje, klikając na ich zdjęcia. Hol i schody wyłożone beżowym dywanem, gruba poręcz z ciemnego drewna. Pomieszczenie gospodarcze z niebieskimi frontami szafek, jak w kuchni. Łazienka z marmuru w kolorze miodu, czysta i ostentacyjnie ekskluzywna.

Klikam na zdjęcie tylnego ogrodu. Jest znacznie większy, niż sobie wyobrażałam, patrząc na dom od ulicy. Z opisu pod fotografią dowiaduję się, że ma nieco ponad cztery tysiące metrów kwadratowych. To ten typ ogrodu, który bardzo chciałabym mieć: stół i krzesła z desek, dwuosobowa huśtawka z baldachimem, obszerny trawnik, na końcu rząd drzew, a za nimi żółte pola. Idylliczny, wiejski widok ledwie dziesięć minut spacerem od centrum Cambridge. Zaczynam rozumieć cenę wywoławczą. Staram się nie porównywać tego, co widzę, z ogrodem przy Melrose Cottage, który ma rozmiar niewielkiego garażu. Miejsca starcza w nim na żeliwny stół, cztery krzesła, kilka roślin w glinianych donicach i niewiele poza tym.

To wszystko. Obejrzałam wszystkie zdjęcia, widziałam każdy zakątek domu.

I niczego nie znalazłaś. Zadowolona?

Ziewam, przecierając oczy. Prawie zamykam stronę Wszystkiedomy, by iść do łóżka, gdy zauważam rząd przycisków pod

zdjęciem tylnego ogrodu: „Widok z ulicy”, „Plan pięter”, „Wirtualne zwiedzanie”. Nie muszę patrzeć na Bentley Grove z ulicy – już się naoglądałam przez ostatnich sześć miesięcy – ale chętnie rzucę okiem na plany pięter, skoro zabrnęłam już tak daleko. Klikam na link, lecz niemal od razu zamykam otwierające się okno. Na nic mi się nie zda wiedza o rozkładzie pokoi. Lepiej uruchomić wirtualne zwiedzanie. Czyżby funkcja ta oferowała substytut chodzenia po domu i zaglądania do każdego pokoju? To mi się podoba.

Dopiero to zaspokoi moją ciekawość.

Klikam na link i czekam, aż program się uruchomi. Pojawia się kolejny guzik: „Zacznij zwiedzać”. Gdy go naciskam, najpierw pojawia się kuchnia. Patrzę na to, co już widziałam na zdjęciu, ale po chwili dochodzą następne szczegóły, bo kamera obraca się o trzysta sześćdziesiąt stopni, ukazując resztę pomieszczenia. Obraz wciąż się kręci, przyprawiając mnie o lekki zawrót głowy, jakbym była na karuzeli, która nie chce się zatrzymać. Potrzebuję przerwy, więc zamykam oczy. Jestem wyczerpana. Nie służą mi całodniowe podróże do Cambridge i z powrotem w każdy piątek, ale to nie fizyczny wysiłek tyle mnie kosztuje, lecz utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy. Muszę się pogodzić, dać sobie z tym spokój.

Otwieram oczy i widzę czerwoną masę. Z początku nie wiem, na co patrzę, ale po chwili... O Boże. To niemożliwe. Chryste, nie... Krew.

Kobieta leżąca twarzą do dołu na środku pokoju. I krew, morze krwi na beżowym dywanie. Przez sekundę, w kompletnej panice biorę ją za własną krew. Patrzę na siebie. Nie krwawię. Oczywiście, że nie –

to nie mój dywan, nie mój dom. To dom przy Bentley Grove 11. Salon, obracający się jak karuzela. Kominek, oprawiona mapa na ścianie, drzwi otwarte na przedpokój.

Martwa kobieta leżąca twarzą do dołu w morzu czerwieni. Jakby ktoś wycisnął z niej całą jej krew, do ostatniej kropli.

Wydaję z siebie dźwięk przypominający krzyk. Próbuję zawołać Kitta, ale nie udaje mi się. Gdzie jest telefon? Gdzie moja komórka? Powinnam zadzwonić po pogotowie? Ciężko dysząc, sięgam po coś dłonią. Nie jestem pewna po co. Nie mogę oderwać wzroku od ekranu komputera. Krew i martwa kobieta wciąż się obracają. Na pewno jest martwa, to jej krew. Czerwona na brzegach, niemal czarna pośrodku. Poczerniała czerwień, gęsta jak smoła. Na litość boską, niech się przestanie kręcić.

Wstaję, przewracając krzesło, które opada na podłogę z tępym hukiem. Odsuwam się od biurka, pragnąc już tylko wybiec. Uciekaj, uciekaj!, krzyczy mój głos wewnętrzny. Zataczam się nieprzytomnie w złym kierunku, nie widzę drzwi. Nie patrz. Przestań patrzeć. Nie mogę przestać. Uderzam plecami o ścianę, w skórę wbija mi się coś twardego. Słyszę trzask i kruszę coś pod stopami. Czuję ostry ból w podszwach. Patrzę w dół i widzę rozbite szkło. Krew. Tym razem moja.

Jakimś cudem udaje mi się wyjść z pokoju i zamknąć za sobą drzwi. Od razu lepiej, teraz jest między mną a nim bariera. Kitt. Potrzebuję swojego męża. Wchodzę do sypialni, zapalam światło i wybucham płaczem. Jak on śmie spać?

– Kitt!

Kitt stęka i mruga z niezadowoleniem.

– Wyłącz to – mamrocze zaspany – Co się dzieje? Która jest?

Stoję bez ruchu, płacząc. Krew z moich stóp wsiąka w biały dywan.

– Con? – Kitt siada na łóżku i przeciera oczy – Co się stało?

– Ona nie żyje – mówię.

\*

– Kto nie żyje?

Teraz już mam jego pełną uwagę. Sięga pod łóżko po okulary i wkłada je.

– Nie wiem! Jakaś kobieta – mówię przez łyżę – W komputerze.

– Jaka kobieta? O czym ty mówisz? – Odrzuca kołdrę i wstaje z łóżka. – Co... co ci się stało w stopy? Krwawisz.

– Nie wiem. – Na lepsze wytłumaczenie mnie nie stać. – U uruchomiłam wirtualne...

Nie jestem w stanie jednocześnie mówić i oddychać.

– Powiedz mi, czy wszyscy są cali i zdrowi. Twoja siostra, Benji...

– Co? Moja siostra? Nie, nie chodzi o nich. To jakaś kobieta. Nie widać jej twarzy.

– Jesteś biała jak kreda. Przyśnił ci się koszmar?

– W laptopie. Jest tam teraz – łkam. – Martwa. Na pewno nie żyje. Powinniśmy zadzwonić na policję.

– Kochanie, w twoim laptopie nie ma żadnej martwej kobiety – mówi Kitt. W tle jego zapewnień słyszę zniecierpliwienie. – Miałaś koszmar.

– Idź i sprawdź! – wrzeszczę na niego. – To żaden koszmar. Idź i sam zobacz!

Znów patrzy na moje stopy i ślad krwi na dywanie i parkiecie – przerywaną, czerwoną linię prowadzącą do drzwi sypialni.

– Co ci się stało? – pyta. Zastanawiam się, czy widzi moje poczucie winy. – Connie, co się dzieje?

W jego głosie przestała już brzmieć nuta troski, została tylko podejrzliwość. Nie czekając na moją odpowiedź, kieruje się do pokoju gościnnego.

– Nie! – wyrywa mi się.

Kitt zatrzymuje się przed schodami i odwraca w moją stronę.

– Nie? Myślałem, że chcesz, bym spojrział na twój komputer.

Rozzłościłam go. Wszystko, co przerywa mu sen, wywołuje w nim gniew.

Nie mogę pozwolić, by tam wszedł, jeśli wcześniej się nie wytłumaczę. Muszę przynajmniej spróbować.

– Włączyłam sobie wirtualne zwiedzanie i oglądałam dom przy Bentley Grove jedenaście – mówię.

– Co? Connie, na litość boską.

– Posłuchaj mnie, proszę. Dom jest na sprzedaż. Bentley Grove jedenaście jest na sprzedaż.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem, okej?

Wycieram twarz dłonią. Jeśli mam być atakowana, to nie mogę płakać. Muszę się skupić na obronie.

– To już... Connie, to jakiś obłąd. Nawet nie wiem, od czego...

Kitt odpycha mnie na bok i próbuje wrócić do łóżka. Chwytam go za ramię i zatrzymuję.

– Później się gniewaj, ale teraz mnie posłuchaj, dobrze? Tylko o to proszę.

Wyrywa mi się i patrzy na mnie w okropny sposób.

A czego się spodziewałaś?

– Słucham – mówi cicho. – Od pół roku słucham, jak mówisz o Bentley Grove jedenaście. Widzę, że nie zamierzasz skończyć.

– Dom jest na sprzedaż – odpowiadam tak cicho, jak tylko się da.

– Znalazłam ogłoszenie na stronie Wszystkiedomy.

– Kiedy?

– Teraz, przed chwilą.

– Czekałaś, aż zasnę? – Kitt kręci głową z niesmakiem.

– Była tam funkcja wirtualnego zwiedzania i pomyślałam, że... – Lepiej mu nie mówić, co myślałam. Zresztą sam pewnie zgadnie. – W

salonie leżała kobieta, na podłodze, twarzą w dół, w kałuży krwi...

Czuję, że zaraz zwymiotuję.

Kitt robi krok w tył i patrzy na mnie, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu.

– Zaraz, powoli. Weszłaś na stronę Wszystkiedomy, uruchomiłaś wirtualne zwiedzanie domu przy Bentley Grove jedenaście, jakimś cudem wiedząc, że jest na sprzedaż, po czym zobaczyłaś w jednym z pokoi martwą kobietę, tak?

– W salonie.

Kitt wybucha śmiechem.

– Niezła fabuła, nawet jak na ciebie.

– Nadal jest na ekranie – upieram się. – Sam zobacz, jeśli mi nie wierzysz.

Cała się trzęsę, nagle zrobiło mi się potwornie zimno.

Odmówi. Zignoruje moje słowa i wróci do łóżka, żeby mnie ukarać i ponieważ moja opowieść nie może być prawdziwa. To niemożliwe, by na stronie internetowej agencji nieruchomości było zdjęcie martwej kobiety leżącej w kałuży krwi.

Kitt wzdycha.

– Dobrze – mówi. – Zobaczą. Najwyraźniej jest ze mnie dokładnie taki kretyn, za jakiego mnie masz.

– Nie zmyśliłam tego! – krzyczę za nim.

Chcę iść, ale moje ciało się nie rusza. Za chwilę Kitt zobaczy to, co ja widziałam. Nie mogę znieść oczekiwania, wiedząc, że się to stanie.

– Świetnie – mruczy do siebie Kitt. A może do mnie? – Zawsze chciałem oglądać cudze zmywarki do naczyń w środku nocy.

Zmywarka do naczyń. Widocznie zwiedzanie jest zapętlone. Pod moją nieobecność ponownie się uruchomiło.

– Obowiązkowa wyspa kuchenna – mamrocze pod nosem Kitt. – Dlaczego ludzie to robią?

– Salon jest po kuchni – mówię.

Zmuszam się do podejścia do drzwi, na więcej mnie nie stać. Nie mogę oddychać. Trudno mi znieść myśl, że Kitt za chwilę zobaczy tę okropną scenę. Nikt nie powinien jej widzieć. Jest straszna. Ale z drugiej strony potrzebuję...

Czego? Potwierdzenia, że to było naprawdę? Że ci się nie przywidziało?

Na ogół nie wyobrażam sobie rzeczy, które nie istnieją. Czasem martwię się o coś, czym nie trzeba się przejmować, lecz to nie to samo. Wiem, co jest prawdziwe, a co nie. Nazywam się Catriona Louise Bowskill. Prawda. Mam trzydzieści cztery lata. Prawda. Mieszkam w Little Holling w Silsford, z mężem Christianem, znanym od zawsze jako Kitt, tak jak ja znana jestem jako Connie. Mamy własną firmę, która nazywa się Nulli Secundus. Zajmujemy się zarządzaniem bazami danych, a raczej Kitt się tym zajmuje. Mój oficjalny tytuł to dyrektor biznesowy i finansowy. Kitt pracuje w Nulli



na pełen etat, ja dorywczo – trzy dni w tygodniu. We wtorki i czwartki pracuję w firmie swoich rodziców, Monk & Sons Wyposażenia Mieszkań, w której mam bardziej tradycyjną funkcję księgowej. Moi rodzice to Val i Geoff Monkowie. Mieszkają niedaleko nas. Mam siostrę, Fran, która ma trzydzieści dwa lata. Też pracuje u rodziców, kierując działem zasłon i rolet. Ma chłopaka, Antona. Ich syn, Benji, ma pięć lat. Wszystko to jest prawda tak samo jak to, że niecałe dziesięć minut temu uruchomiłam wirtualne zwiedzanie domu przy Bentley Grove 11 i zobaczyłam martwą kobietę na przesiąkniętym krwią dywanie.

– Bingo: jestem w salonie – woła Kitt tonem, który przyprawia mnie o dreszcz.

Jak może być tak nonszalancki. Chyba że...

– Ciekawy stolik, choć jak dla mnie trochę przesadzony. Nie ma tu żadnej martwej kobiety, żadnej krwi.

Co? O czym on mówi? Musi się mylić. Przecież wiem, co widziałam.

Otwieram drzwi i zmuszam się do wejścia. Nie, to niemożliwe. Na ekranie obraca się powoli salon w domu przy Bentley Grove 11, ale nie ma w nim zwłok, nie ma kobiety leżącej w kałuży krwi. Dywan jest beżowy. Podchodząc bliżej, widzę, że w rogu pokoju jest na nim słabo widoczny ślad, lecz...

– Nie ma jej – mówię.

Kitt wstaje.

– Idę do łóżka – oświadcza z wściekłością.

– Ale... Jak mogła zniknąć?

– Daj spokój. – Kitt podnosi w górę pięść i uderza w ścianę. – Nie będziemy teraz o tym rozmawiać. Nie, mam lepszy pomysł: nigdy o tym nie rozmawiajmy. Udawajmy, że to się nie wydarzyło.

– Kitt...

– Nie mogę tak dłużej żyć, Connie. My nie możemy tak dłużej żyć.

Odpycha mnie i wychodzi. Po chwili słyszę, jak zatrzaskuje drzwi sypialni. Jestem zbyt wstrząśnięta, by płakać, więc siadam na jeszcze ciepłym krześle i gapię się w ekran. Gdy salon znika, czekam, aż pojawi się na nowo, na wypadek gdyby wraz ze zdjęciem wróciły zakrwawione zwłoki kobiety. Wydaje się to niemożliwe, ale tamto też było mało prawdopodobne, a jednak się wydarzyło.

Oglądam cały film jeszcze czterokrotnie. Za każdym razem, gdy znika ostatecznie zdjęcie kuchni, wstrzymuję oddech. Za każdym razem salon pojawia się w nieskazitelnym stanie, bez martwej kobiety i bez krwi. Nie wiem, co robić, więc w końcu zamykam okno, klikając na „x” w prawym górnym rogu.

Niemożliwe.

Ostatni raz, od samego początku. Klikam na ikonkę Internet Explorera, uruchamiam stronę Wszystkiedomy i powtarzam poszczególne czynności: odszukuję dom przy Bentley Grove 11, uruchamiam wirtualne zwiedzanie i patrzę. Kobiety nie ma. Krwi też. Kitt wciąż ma rację, a ja nadal jestem w błędzie.

Zamykam laptopa. Powinnam sprzątnąć rozbite szkło i zmyć plamy

prawdziwej krwi widniejące na moim dywanie. Patrząc na leżący na podłodze akt ustanowienia spółki w pękniętej ramce. Przerażona widokiem martwej kobiety, musiałam strącić go ze ściany. Kitt będzie miał o to pretensje. Jakby bez tego nie miał dostatecznie dużo powodów, by się na mnie gniewać.

Kupienie nowej ramki będzie łatwe. Podjęcie decyzji związanej ze znikającymi zwłokami, które niekoniecznie były rzeczywiste, to już bardziej skomplikowane.

Wydaje się, że stoję przed prostym wyborem. Albo spróbuję o wszystkim zapomnieć i wmówić sobie, że cała ta potworna scena była wytworem mojej wyobraźni, albo zadzwonię do Simona Waterhousea.

DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/19IG

**SZKOŁA PODSTAWOWA CAVENDISH LODGE**

BIULETYN NR 581

Data: poniedziałek, 19 października 2009

Jesienne wiersze uczniów pani Kennedy

**Kasztany są...**

Gładkie jak jedwab,

Aksamitne i czekoladowe I na zewnątrz rdzawoczerwone.

Ich lśniące skorupki są chrupiące, Kremowe i fajne w dotyku.

Kocham jesień, bo

Kasztany spadają wtedy z drzew.

A ja uwielbiam kasztany!

**Riordan Gilpatrick**

**Kasztany**

Spadają z drzew

Na nasze głowy.

Można je nawlec na nitkę I się nimi bić.

Można je zbierać

I kłaść w domu na półce.

Zielonobrzązowo-pomarańczowoczerwone, taki kolor mają...

Kasztany!

**Emily Sabine**

**Brawo dla obojga – naprawdę udało wam się przywołać  
atmosferę jesieni!**

**Dziękuję!**

## 2

**17/07/10**

Będąc człowiekiem niestroniącym od hazardu, detektyw konstabl Chris Gibbs obstawiał kilka tysięcy do jednego, że Olivia nie przekona barmana, by zaserwował im jeszcze jedną rundę drinków długo po oficjalnym zamknięciu hotelowego baru. Jednocześnie chętnie by ten zakład przegrał.

– Jeden tygi kieliszeczek przed snem – szepnęła, jakby zdradzała sekret.

Skąd wytrzasnęła ten głos? Na pewno nie był naturalny. Nic w niej nie było naturalne.

– No, może nie taki znowu tygi – dodała szybko, widząc, że barman dał się złamać. – Podwójna whisky dla Chrissyego i podwójny baileys dla mnie.

Gibbs stężał. Nigdy wcześniej nikt nie nazwał go Chrissym. Modlił się w duchu, by się to nie powtórzyło, ale nie chciał też robić wielkiej afery. Kurwa. Czy teraz barman będzie myślał, że on sam mówi o sobie „Chrissy”? Miał nadzieję, że w ogóle na takiego nie wygląda.

Olivia uwiesiła się na barze w oczekiwaniu na drinki, odsłaniając jeszcze większy fragment swojego rewelacyjnego dekoltu. Gibbs

zauważył, że barman łypie nań, udając, że nie patrzy. Wszyscy mężczyźni to robią, ale żaden z taką wprawą jak Gibbs, w jego nie tak znowu skromnym mniemaniu.

– Obydwa bez lodu – powiedziała Olivia. – A, no i oczywiście jeden drink dla ciebie. Nie zapominajmy o barmanie! Podwójna porcja czegoś pysznego i bardzo alkoholowego.

Gibbs cieszył się, że jest pijana. Wcześniej, na trzeźwo, była nieco trudniejsza do zniesienia, lecz z pijakami umiał się obchodzić.

Dostatecznie wielu ich aresztował, choć trzeba przyznać, że żaden z nich nie miał na sobie dziwacznej, złotej kiecki za dwa tysiące funtów. Gdy Olivia przekazała mu tę informację o swojej sukience, Gibbs zlustrował ją wzrokiem, po czym dał wyraz niedowierzaniu, na co Olivia tylko się roześmiała.

– To miłe z pani strony, ale dziękuję – odparł barman.

– Powiedziałam już, że bez lodu? Bo nie pamiętam, czy powiedziałam, czy tylko to pomyślałam. Zawsze mi się to przytrafia. Żadne z nas nie lubi lodu, mam rację? – zwróciła się do Gibbsa i nie dając mu szansy na odpowiedź, mówiła znów do barmana: – Nie wiedzieliśmy, że mamy ze sobą cokolwiek wspólnego. Wystarczy na nas spojrzeć – dwa światy. Jednak potem okazało się, że obydwójce nie cierpimy lodu.

– Wiele osób nie lubi lodu – zauważył barman z uśmiechem. Być może jego ulubioną czynnością było stanie za barem w środku nocy, w stroju kamerdynera z lat dwudziestych, i obsługiwanie wyszczekanej, odpicowanej kobiety i jej opryskliwego kumpla

gliniarza, który już i tak za dużo wypił. – Ale wiele innych lubi.

Daj nam drinki i daruj sobie te nudne obserwacje życiowe. Gibbs chwycił swoją whisky i szedł już w stronę stolika, gdy usłyszał Olivię:

– Nie zapyta pan, co świętujemy?

Nie wiedział, czy powinien ją tak zostawiać, czy może należałoby wrócić i dotrzymać jej towarzystwa. W niecałą sekundę zdecydował, że ma to gdzieś. Jeśli ona i ten niby Jeeves chcą się nawzajem zanudzać na śmierć, to ich sprawa. Gibbs dostał drinka, na którego już wcale nie liczył, więc niczego więcej nie było mu trzeba.

– Byliśmy dziś na ślubie i wie pan co? – Słyszał za plecami głos Olivii. – Oprócz nas nie było żywej duszy! Nie licząc państwa młodych. Moja siostra, Charlie, była panną młodą. Chris i ja byliśmy świadkami i jedynymi gośćmi.

Czyli już koniec z „Chrissym”. Dzięki Bogu.

– Każde wybrało po jednej osobie – ciągnęła Olivia. – Charlie wybrała mnie, a Simon... Zaraz, czy wspomniałam już o Simonie? To mąż mojej siostry, od dzisiaj! Simon Waterhouse. Pan młody.

Powiedziała to tak, jakby barman powinien go kojarzyć.

Gibbsa wkurzyło trochę – prawdopodobnie dlatego, że był mocno wstawiony – że nie dokończyła zdania słowami „a Simon wybrał Chrisa”. Było to dość oczywiste, chociaż nie powiedziała tego na głos. Skoro każde wybrało po jednej osobie, a Charlie zdecydowała się na Olivię, to jasne, że Waterhouse wziął Chrisa. Nie żeby pracownik hotelu musiał to wiedzieć. Tak było bez względu na to, czy zdawał



sobie z tego sprawę czy nie.

Wczoraj, przed wyjazdem do Torquay, Gibbs zapytał swoją żonę, Debbie, czemu według niej Simon wybrał jego.

– A czemu nie ciebie? – zapytała, nie odrywając oczu od prasowanej koszuli, ewidentnie niezainteresowana rozmową.

Nic jej nie obchodziło oprócz zapłodnienia in vitro. We wtorek była na wszczepieniu embrionu, a dokładnie dwóch embrionów. Dwóch najzdrowszych okazów. Gibbs modlił się do Boga, by nie urodziły mu się bliźnięta. Jedno byłoby i tak...

Dostateczną tragedią? Nie, nie do końca. Ale kłopotem, owszem. A gdyby Debbie znów nie zaszła w ciążę po tych wszystkich zabiegach i pieniądzach, które wydali, to byłoby jeszcze większym problemem. Najgorsze były niekończące się rozmowy o braku dziecka. Gibbsa one śmiertelnie nudziły, lecz nie wolno mu było się do tego przyznać. Przestał się przejmować całą sprawą. Owszem, dziecko wydawało mu się czymś przyjemnym, gdy sądził, że po prostu się urodzi, ale jeśli urodzenie miało być koszmarem, a zaczynało nim być, to po co się męczyć? Cóż takiego wyjątkowego było w ich genach, że koniecznie musieli je komuś przekazać?

Olivia opadła na fotel obok niego.

– Zostawił butelki na barze, gdybyśmy chcieli dolewkę. Powiedział, że rachunek możemy uregulować rano. Uroczy człowiek!

Wcześniej Gibbs miał nadzieję, że Olivia przestanie się wreszcie wszystkim zachwycać i ściszy głos, jednak teraz, gdy zostali sami,

przestało mu to przeszkadzać. Muzyka ucichła ponad godzinę temu. W tym samym czasie wyłączono kinkiety i zapalono górne światło. W barze panowała atmosfera wczesnego poranka, choć z punktu widzenia Gibbsa wciąż trwała wczorajsza noc.

– To jak? Powiesz mi czy nie? – zapytał.

– Co mam ci powiedzieć?

– Dokąd pojechali. Charlie z Waterhouse’em.

Skoro Olivia wiedziała, myślał sobie Gibbs, to i on miał prawo wiedzieć. Jako świadkowie powinni mieć równy dostęp do kluczowych informacji.

– Jeśli nie powiedziałam ci o dziesiątej, o jedenastej i o północy, to czemu miałabym się teraz złamać?

– Bo więcej wypitaś. Opuściłaś gardę.

Olivia uniosła brwi i wybuchła śmiechem.

– Ja nigdy nie opuszczam gardy. Im jest niżej, tym bardziej skutecznie działa. O ile to ma sens. – Nachyliła się do przodu. Uwaga: dekol! – Dlaczego mówisz o nim „Waterhouse”?

– Takie ma nazwisko.

– Czemu nie „Simon”?

– Nie wiem. Mówimy sobie po nazwisku: Gibbs, Waterhouse, Sellers. Taki zwyczaj.

– A Sam Kombothekra? Na ciebie mówi „Chris”. Sama słyszałam. Do Simona zwraca się per „Simon”, a Simon do niego per „Sam”. Ale

ty nie, ty mówisz o nim „Robot”. Taką mu dałeś ksywkę i trzymasz się jej. – Olivia przymrużyła oczy – Boisz się zmian.

Gibbs zastanawiał się, gdzie się podziała podchmielona wariatka, z którą pił drinka zaledwie parę minut temu. Najwyraźniej nie była tak wstawiona, jak sądził.

– To dobra ksywka – odparł. – Dla mnie zawsze był Robotem.

Po tym drinku pójdzie spać, choćby na barze stało sto butelek.

Kobieta pokroju Olivii Zailer nie mogła być zainteresowana tym, co miał do powiedzenia, i ta świadomość dodatkowo utrudniała mu teraz rozmowę.

– Nie dziwi cię, że wiem dokładnie, kto jak się do kogo zwraca, mimo że z wami nie pracuję?

– Niespecjalnie.

– Hm... – Olivia była wyraźnie rozczarowana. – Jak myślisz, czemu Simon wybrał ciebie, a nie Sama. Na świadka.

Gibbs nie dał po sobie poznać, że go to obchodzi.

– Nie mam zielonego pojęcia – powiedział.

– Bo oczywiste jest, dlaczego nie wybrał Sellersa, zawodowego cudzołożnika – ciągnęła temat Olivia. – Dla Simona obecność pospolitego casanowy byłaby złym znakiem.

– Bzdura – odparł Gibbs. – To, co robi Sellers, jest wyłącznie sprawą Sellersa.

Cudzołożnik – już na ekranach! W roli głównej detektyw konstabl

Colin Sellers. Colin Sellers powraca w Cudzołożniku 2. Gibbs się uśmiechnął. Właśnie otworzył się przed nim nowy świat kpín i docinków. Żałował tylko, że sam na to nie wpadł.

– Skoro Colin odpadł, zostałeś tylko ty i Sam – powiedziała Olivia.  
– Na początku sądziłam, że nie chciał Sama ze względu na jego gadatliwość. Wiedział, że po ślubie wylecą gdzieś z Charlie, zostawiając nas samych, i nie mógł znieść myśli o Samie plotkującym ze mną na jego temat.

– Robot nie jest plotkarzem – rzucił Gibbs.

– Może nie na co dzień, ale ze mną byłoby inaczej. Zwłaszcza po paru drinkach. Poza tym tłumaczyłby sobie, że nie plotkuje, tylko dyskutuje. Przecież wiesz, jak to jest, znasz się trochę na ludziach.

– I uważasz, że padło na mnie, bo ja nie plotkuję?

– Nie plotkujesz? – zachichotała. – Ty ledwo otwierasz usta. Z pełną ostentacją mówisz najmniej, jak tylko się da. W każdym razie nie, to była moja pierwsza teoria. – Olivia pociągnęła łyk drinka. – Druga mówiła, że Simon wykluczył Sama ze względu na jego wyższy stopień. Poproszenie dowódcy o bycie świadkiem na ślubie mogło zostać odebrane jako podlizywanie się, chociaż by nim nie było. Nie znam człowieka mniej skłonnego do podlizywania się niż Simon. Na pewno nie chciałby popsuć sobie tej reputacji.

Czyli Sellers i Robot odpadli już na samym wstępie. Pozostał tylko Gibbs.

– W końcu stwierdziłam – moja trzecia teoria – że Simon wybrał

ciebie, bo szanuje cię bardziej niż Sama, nawet jeśli Sam wydaje mu się sympatyczniejszy. Uważa cię za inteligentniejszego.

A może bardziej podobnego do siebie. Jesteś chodzącą zagadką, podczas gdy Sam to otwarta księga.

Gibbs nie mógł zrozumieć, czemu tak ją to interesowało. Najwyraźniej poświęciła tej zagadce tyle samo czasu co on sam. W dodatku miała lepszy wynik: trzy odpowiedzi wobec jego żadnej.

– Nie mogłam znieść niepewności, więc zmusiłam Charlie, by go zapytała.

Gibbs zacisnął dłoń wokół szklanki.

– I co?

– Simon powiedział, że z tobą czuje większą bliskość niż z Samem czy Colinem – zaśmiała się Olivia. – Co mnie potwornie rozbawiło, bo założę się, że nigdy w życiu nie rozmawialiście o niczym innym poza pracą.

– To prawda – potwierdził Gibbs. Dopił resztę swojej whisky i poszedł nalać sobie kolejną, nie zwracając uwagi na gwałtowną poprawę nastroju. – Skoro tak przyjemnie ci się gada, może wyjawisz mi, gdzie się podziewają państwo młodzi? – zaproponował. – Nie wygadam się przed mamą Waterhousea.

Gibbs widział Kathleen Waterhouse tylko raz, na przyjęciu zaręczynowym. Wydała mu się nieśmiała i skromna – typ osoby doskonale wtapiającej się w tło. Nie rozumiał, dlaczego nie pozwolono jej uczestniczyć w ślubie syna i dlaczego pod żadnym pozorem nie

mogła się dowiedzieć, gdzie spędza on miesiąc miodowy.

– Odpowiem na każde pytanie z wyjątkiem tego – odparła Olivia przeproszającym tonem. – Wybacz, ale Charlie kazała mi przysiąc.

– Nie zadam ci żadnego innego pytania. Mam tylko jedno i będę cię nim męczył. Choć domyślam się, dokąd pojechali. Nie trzeba tu geniusza.

– Nie masz szans się domyślić. Chyba że jesteś jasnowidzem.

Olivia przybrała zatroskaną minę.

– Przed chwilą powiedziałaś, że wylecieli, bo chciałaś mnie zmylić. Nigdzie nie polecili. Są tutaj.

Gibbs uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony ze swojej teorii.

– Tutaj? Masz na myśli Torquay?

– Tutaj, czyli w hotelu Blue Horizon, ostatnim miejscu, w którym spodziewałbym się ich zastać, po tym, jak dali całe to przedstawienie z wyjeżdżaniem.

Olivia udała irytację, przewracając oczami. A może naprawdę ją coś tknęło?

– Nie ma ich tutaj, a poza tym to nie jest hotel Blue Horizon – oznajmiła. – Po prostu Blue Horizon.

Czyżby się z niego nabijała?

– Tak powiedziałem.

– Nie. Powiedziałaś „hotel Blue Horizon”.

– Taką ma nazwę. I jest hotelem – odparł niecierpliwie Gibbs. – Co razem daje hotel Blue Horizon.

– Niczego nie daje. – Olivia przyglądała się mu jak przybyszowi z obcej planety – Blue Horizon to nazwa ekskluzywnej sieci. Nazywając to miejsce hotelem Blue Horizon, degradujesz je do poziomu prostackiego, przydrożnego motelu.

– No tak. Widać zbyt ni ze mnie prostak, żebym dostrzegał tę różnicę.

– Nie. Nie to chciałam... Boże, ale ze mnie idiotka. Obraziłam cię i teraz znowu zamkniesz się w sobie. A już mi się udało trochę cię rozruszać.

– Idę do łóżka – powiedział Gibbs. – Nie mogę cię już słuchać. Jesteś jak weekendowy dodatek do gazety: mnóstwo bzdur o niczym.

Olivia otworzyła szeroko oczy i w milczeniu wpatrywała się w Gibbsa.

Kurwą, no to ładnie zakończyłem dzień.

– Słuchaj, nie chciałem...

– Nic nie szkodzi. Zaslżyłam sobie – odparła oschle Olivia. – To typowe. Małomówny facet, jak już się odezwie, to mówi jedno okropne zdanie na mój temat i teraz będę się podle czuła, nosząc je w głowie co najmniej przez rok.

– Nie miałem na myśli nic złego – powiedział Gibbs. – To tylko

neutralne spostrzeżenie.

– Chcesz wiedzieć, gdzie są Charlie i Simon? Dobra. Nie tylko ci powiem, ale również pokażę zdjęcie ich domku.

Olivia wyjęła z torebki telefon komórkowy i zaczęła naciskać guziki. Czyżby oczekiwała, że Gibbs ją powstrzyma? Jeśli tak, to czekało ją spore rozczarowanie. Skoro wcześniej chciał wiedzieć, to niby czemu miałby teraz zmienić zdanie tylko dlatego, że była na niego wściekła?

Po kilku sekundach dźgnięcia palcem w klawiaturę telefonu Olivia podsunęła aparat Gibbsowi pod twarz.

– Proszę bardzo: Los Delfines, willa państwa młodych.

Gibbs patrzył na małe zdjęcie długiego, białego, jednopiętrowego budynku, w którym zmieściłoby się spokojnie dwadzieścia osób. Prawie każde okno miało balkon. Starannie zaprojektowane ogródki, bar z grillem pod gołym niebem, basen o niemalże olimpijskich rozmiarach i wszystko to skąpane w promieniach słońca.

– Hiszpania? – zapytał.

– Puerto Banus, niedaleko Marbelli.

– To wszystko tylko dla nich dwojga? Nieźle.

– Ubezpieczenie od braku szczęścia – odparła Olivia. Wciąż zdawała się rozgniewana. – Za piętnaście tysięcy. W takim miejscu nikt nie byłby nieszczęśliwy.

– Dlaczego mieliby być nieszczęśliwi? To ich miesiąc miodowy.



Gibbs nie spodziewał się odpowiedzi, ale Olivia odparła:

– Przez całe lata Charlie miała jeden „zał napędowy”: fakt, że nie ma Simona. W każdym możliwym sensie. Teraz za niego wyszła, więc wreszcie go ma. Czasem, gdy człowiek coś zdobędzie, przestaje tego pragnąć.

– Czasem przestaje, zanim jeszcze zdobędzie.

– Ty tak masz? Ja nie.

– Głównym... Jak to powiedziałaś? Żalem napędowym? Głównym żalem napędowym mojej żony, Debbie, jest niemożność zajścia w ciążę. Ja już dziecka nie chcę.

– A ona? – spytała Olivia.

– Ona chce.

Niestety.

– No widzisz. A ty pewnie od początku wcale go nie pragnęłaś.

– Chodź ze mną na górę – powiedział Gibbs.

– Na górę?

– Do mojego pokoju. Albo twojego.

– Po co?

– A jak myślisz?

Co ty kombinujesz, palancie? Nie umiesz rozpoznać kiepskiego pomysłu?

– Po co? – spytała znowu.

– Mógłbym powiedzieć: „Bo choć raz, dla odmiany, chciałbym pójść do łóżka z kimś, kto nie ma obsesji na punkcie zajścia w ciążę”. Albo: „Bo jestem pijany i napalony”. Albo: „Bo dzisiaj jest specjalna okazja, a od jutra obydwójce wracamy do normalnego życia”. Ale co byś powiedziała na: „Bo jesteś najpiękniejszą, najbardziej seksowną kobietą, jaką kiedykolwiek znałem”? To ryzykowne, bo mogłabyś mi nie uwierzyć.

Olivia zmarszczyła czoło.

– Byłoby doskonale, gdybyś rozważał wszystkie te możliwości w zaciszu własnej czaszki, nie na głos i w mojej obecności.

W zaciszu własnej czaszki. To przez sposób, w jaki się wyrażała. Choć nigdy by jej tego nie powiedział.

Zabrał jej szklanekę i postawił na stoliku.

– Powiedz „tak”. To nie takie trudne.

# 3

## **Sobota, 17 lipca 2010**

Dlaczego chciałaś rozmawiać z Simonem Waterhouse'em? – pyta detektyw o imieniu Sam.

Ma nietypowe, długie nazwisko na literę K. Przeliterował mi je, gdy się przedstawiał, lecz go nie zarejestrowałam, a teraz krępiję się znowu zapytać. Jest wysoki, przystojny, ma czarne włosy i ciemną cerę. Ubrany jest w czarny garnitur i białą koszulę w cienkie, perforowane paski w kolorze liliowym. Bez krawata. Nie mogę oderwać oczu od jego grdyki. Jest tak ostra, że wygląda, jakby miała mu przebić skórę. Wyobrażam to sobie, wytryskującą z szyi krew. Potrząsam gwałtownie głową, by pozbyć się mrocznego obrazu.

Mam mu wszystko powtórzyć?

– Zobaczyłam kobietę leżącą twarzą w...

– Źle mnie zrozumiałaś – przerywa mi, uśmiechając się pojednawczo. – Dlaczego właśnie z Simonem Waterhouse'em?

Kitt jest w kuchni i parzy dla nas herbatę. To dobrze. W jego obecności trudniej byłoby mi odpowiedzieć. Gdybym nie czuła się tak podle, może bawiłaby mnie ta sytuacja, która przypomina jakąś dziwną pantomimę: O policjancie, który wpadł na herbatę. Jest

dopiero w pół do dziewiątej, powinniśmy poczęstować go śniadaniem. To miłe z jego strony, że przyszedł tak wcześnie. Może Kitt przyniesie rogaliki. Ja go w tym nie wyręcę. Nie jestem w stanie myśleć o niczym poza tą martwą kobietą. Kim ona jest? Czy oprócz mnie kogoś obchodzi fakt, że została zamordowana?

– Przez ostatnie sześć miesięcy chodzę do homeopatki. Mam pewne problemy zdrowotne, nic poważnego.

Musiałam mu to mówić? Mało brakowało, a dodałabym, że problemy mają związek ze zdrowiem emocjonalnym i że ta homeopatka jest również moją psycholożką. Pragnienie zatajenia prawdy wywołuje we mnie złość – na siebie, Kitta, Sama K., na wszystkich. Nie ma nic wstydliwego w tym, że czasem potrzebuję rozmowy.

Więc dlaczego się wstydzisz?

– Alice, czyli moja homeopatka, poleciła mi Simona Waterhouse'a. Powiedziała...

Nie mów tego. Zniechęcisz go do siebie.

– Śmiało.

Sam robi, co może, by wyglądać na sympatycznego i niegroźnego. Postanawiam wynagrodzić mu ten wysiłek szczerą odpowiedzią.

– Powiedziała, że Simon różni się od innych policjantów, że wierzy w najbardziej nieprawdopodobne zeznania, jeśli tylko są prawdziwe. A moje są. Widziałam w tamtym pokoju martwą kobietę. Nie wiem tylko dlaczego... Dlaczego zniknęła, zanim Kitt spojrział na zdjęcie. Nie

umiem tego wytłumaczyć, ale to nie znaczy, że nie ma wyjaśnienia. Musi być.

Sam K. przytakuje, lecz jego twarz jest nieprzenikniona. Może lubi utwierdzać wariatów w ich szaleństwie. Jeśli uważa mnie za wariatkę, to wolałabym, żeby powiedział mi to wprost: Jest pani stuknięta, pani Bowskill. Prosiłam, by zwracał się do mnie po imieniu, ale zdaje się, że nie chce. Odkąd mu to zaproponowałam, omija wszelkie formy.

– Gdzie jest Simon? – pytam.

Gdy wczoraj wieczorem zadzwoniłam na jego komórkę, nagrany głos poinformował mnie, że Simon jest poza zasięgiem – nie mówiąc, na jak długo i dlaczego – i podał numer alarmowy. Jak się okazało, był to numer do Sama K.

– Wyjechał w podróż poślubną.

– Aha.

Nie powiedział mi, że się żeni. Ale rozumiem, że nie miał powodu.

– Kiedy wróci?

– Za dwa tygodnie.

– Przepraszam, że zadzwoniłam o drugiej w nocy – mówię. – Powinnam była poczekać do rana, jednak. Kitt poszedł spać, a ja nie mogłam siedzieć beczynn timer. Musiałam powiedzieć komuś, co zobaczyłam.

Dwa tygodnie. No tak, tyle na ogół trwa miesiąc miodowy. Mój i Kitta był trochę dłuższy: trzy tygodnie na Sri Lance. Pamiętam, że

matka spytała mnie, czy ten trzeci tydzień „był aby konieczny”. Kitt odparł uprzejmie, acz stanowczo, że tak. To on wszystko zaplanował i nie podobało mu się jej szukanie dziury w całym. Hotele były piękne, aż nie mogłam uwierzyć, że są prawdziwe. W każdym spędziliśmy tydzień. Na ostatni Kitt mówił „hotel Aby Konieczny”.

Simon Waterhouse ma prawo do podróży poślubnej, tak jak Kitt ma prawo do snu, a Sam K. do szybkiego rozwiania moich wątpliwości i cieszenia się resztą soboty. Niemożliwe, by wszyscy, z którymi mam kontakt, mnie zawodzili. To ja muszę robić coś nie tak.

– Simon nie podał w wiadomości pańskiego nazwiska, tylko numer – mówię. – Myślałam, że to jakiś całodobowy telefon alarmowy, jak pogotowie.

– Nie przejmuj się tym. Naprawdę. Dobrze jest raz na jakiś czas odebrać pilny telefon od kogoś innego niż matka Simona.

– Coś jej się stało? – pytam, czując, że powinnam.

– Zależy od punktu widzenia. – Sam K. uśmiecha się. – Od wyjazdu Simona, czyli od wczoraj, dzwoniła do mnie dwukrotnie, płacząc i twierdząc, że musi z nim porozmawiać. Uprzedził ją, że ani on, ani Charlie nie biorą telefonów komórkowych, ale najwyraźniej mu nie uwierzyła. A teraz nie wierzy mi, gdy mówię, że nie wiem, dokąd Simon wyjechał, co jest prawdą.

Zastanawiam się, czy Charlie to kobieta czy mężczyzna, choć nie ma to najmniejszego znaczenia.

Do pokoju wchodzi Kitt z herbatą i talerzem czekoladowych ciastek

na drewnianej tacy.

– Niech się pan częstuje – mówi do Sama K. – To na czym staństwo?

Oczekuje postępu, rozwiązań. Chce usłyszeć, że w ciągu minionych dziesięciu minut ten oto ekspert wyleczył jego żonę z obłądu.

Sam K. prostuje plecy.

– Czekałem, żeby wyjaśnić... – Odwraca się od Kitta i patrzy na mnie. – Chętnie pomogę w miarę możliwości i skontaktuję cię z właściwymi osobami, o ile zdecydujesz się drążyć ten wątek, ale... Nie jest to coś, czym mogę się zająć bezpośrednio. Simon też by nie mógł, nawet gdyby był na posterunku. Nawet gdyby. – Sam K. zagryza wargi, nie wiedząc, co jeszcze powiedzieć.

Nawet gdyby nie była to najbardziej nieprawdopodobna historia, jaką kiedykolwiek słyszałem i gdybym nie był pewien, że jest całkowicie zmyślona. Właśnie to chciał powiedzieć, dlatego ugryzł się w język.

– Jeżeli martwa lub ranna kobieta leży w domu w Cambridge, to musisz powiadomić tamtejszą policję – mówi.

– Nie była ranna – odpowiadam. – Była martwa. Taka ilość krwi nie może ujść z człowieka, pozostawiając go przy życiu. Jestem gotowa rozmawiać z każdym. Niech mi pan poda nazwisko i da jakieś namiary.

Czy Kitt właśnie westchnął, czy tylko mi się zdawało?

– Dobrze. – Po nalaniu sobie herbaty Sam K. wyciąga notes i

długopis. – Ustalmy kilka faktów. Mówimy o domu przy Bentley Grove jedenaście, zgadza się?

– Bentley Grove jedenaście w Cambridge, kod pocztowy CB2 9AW.

Widzisz, Kitt? Znam nawet kod pocztowy na pamięć.

– Powiedz mi, Connie, co dokładnie się wydarzyło. Swoimi słowami.

A czyimi miałabym mówić?

– Oglądałam stronę internetową agencji nieruchomości Wszystkiedomy.

– Która była godzina?

– Późna. Kwadrans po pierwszej.

– Mogę spytać, czemu tak późno?

– Miewam problemy ze snem.

Szyderczy grymas wykrzywia na sekundę twarz Kitta, tylko ja to zauważam. Myśli sobie, że jeśli to prawda, w takim razie sama jestem sobie winna, bo poddaję się swojej paranoi i z własnej woli zadrażam się wyimaginowanymi problemami. On jest zdrowy i normalny, więc śpi jak dziecko.

Jak to możliwe, że znam go tak dobrze, by czytać w jego myślach, a jednocześnie boję się, że jest mi kompletnie obcy? Gdybym prześwieciła jego osobowość, czy zobaczyłabym tylko to, o czym dobrze wiem – jego pewność, że herbata smakuje lepiej w dzbanku i gdy najpierw do filiżanki wlać mleko, jego ambicję i perfekcjonizm,



jego absurdalne poczucie humoru – czy też w samym środku zdjęcia widniałaby nieznana czarna masa, złośliwa i przerażająca?

– Dlaczego strona agencji nieruchomości i dlaczego w Cambridge?  
– pyta Sam K. – Myślicie o przeprowadzce?

– Nie – mówi Kitt z naciskiem. – Dopiero co skończyliśmy się urządzać w tym domu, sześć lat po kupnie. Chcę przynajmniej tyle samo czasu się nim cieszyć. Powiedziałem Connie, że jeśli w tym czasie urodzi nam się dziecko, to będzie musiało spać w szufladzie.

– Uśmiecha się szeroko i sięga po ciastko. – Nie po to tyle tu harowałem, żeby teraz ktoś to ode mnie kupił i skorzystał z remontu. Ponadto mamy tu siedzibę firmy, a Connie trochę zaszalała z papeterią, więc nie przeprowadzimy się, póki nie napiszemy co najmniej czterech tysięcy listów.

Już wiem, co się zaraz wydarzy. Sam K. zapyta o Nulli, a Kitt opowie mu wszystko ze szczegółami. Nie da się opisać naszej pracy w kilku słowach, a mój mąż uwielbia detale. Martwa kobieta będzie musiała poczekać.

Connie trochę zaszalała.

Powiedział to specjalnie, by podprogowo przekonać Sama K., że jestem niezrównowazona? Ktoś, kto zamawia sześć razy więcej niż trzeba firmowej papeterii, może też mieć skłonności do halucynacji.

Słucham Kitta tłumaczącego naszą działalność gospodarczą. Przez ostatnie trzy lata dwudziestokiluosobowa załoga Nulli pracowała dla grupy bankowej London Allied Capital. Rząd Stanów Zjednoczonych

proceeds śledztwo w sprawie LAC, która – jak wiele innych brytyjskich banków – wielokrotnie łamała amerykańskie przepisy dotyczące obchodzenia się ze sponsorami terroryzmu i nieświadomie pozwalała osobom i firmom z czarnej listy prowadzić elektroniczne transakcje w dolarach. Obecnie LAC robi, co może, by naprawić błędy, przypodobać się amerykańskiemu Biuru Kontroli Aktywów Zagranicznych i zminimalizować karę, którą prawie na pewno będzie wielomilionowa grzywna. Nulli zostało wynajęte do zbudowania systemów filtrowania danych, które umożliwią bankowi odnalezienie wszelkich podejrzanych transakcji i oczyszczenie się przed Departamentem Sprawiedliwości.

Jak każdy, komu Kitt o tym opowiada, Sam K. jest jednocześnie pod wrażeniem i skołowany.

– I wynajmujecie lokal w Londynie czy codziennie jeździcie? – pyta.

– Connie pracuje tutaj, ja pół na pół – odpowiada Kitt. – Wynajmuję mieszkanie w Limehouse, a raczej komórkę z łóżkiem. Jeśli o mnie chodzi, to mam tylko jeden dom: Melrose Cottage.

Patrzy na mnie, wypowiadając te słowa. Czyżby czekał na brawa?

– Kawalerka w Londynie raczej nie wytrzymałaby konkurencji z tym domem – mówi Sam K., rozglądając się wokół siebie. – Ma charakter.

Odwraca się, by przyjrzeć się oprawionemu zdjęciu na ścianie za jego plecami, fotografii kaplicy King's College z roześmianą dziewczyną siedzącą na schodach. Czy wie, że patrzy na zdjęcie Cambridge? Jeśli tak, to nie daje tego po sobie poznać.

Odbitka była prezentem od Kitta i nigdy mi się nie podobała. Na dole ktoś napisał „4/100”.

– To nie najlepsza ocena – powiedziałam, gdy dawał mi zdjęcie.

– Cztery procent.

Kitt się zaśmiał.

– To czwarta ze stu odbitek, głuptasie. Jest ich tylko sto na całym świecie. Prawda, że piękne?

– Myślałam, że nie lubisz masowej produkcji – odparłam, trzymając się roli niewdzięcznicy.

Był wyraźnie dotknięty.

– Odręczny napis „czwarta ze stu” sprawia, że to unikat. Po to się numeruje takie odbitki. – Westchnął ciężko. – Nie podoba ci się.

Zdałam sobie sprawę, że zachowałam się samolubnie, i udałam, że jestem zadowolona.

– Moja żona na takie domy mówi, że są „upozowane do zdjęcia” – mówi Sam K. – Jak tylko tu wszedłem, momentalnie poczułem się gorszy.

– Powinien pan obejrzeć wnętrza naszych samochodów – uspokaja go Kitt. – A raczej naszych dwóch śmietników na kołach. Myślałem o tym, żeby postawić je z otwartymi drzwiami przy chodniku, obok koszy. Może służby porządkowe by się nad nami zlitowały.

Wstaję. Krew napływa mi do twarzy i cały pokój przechyla się w bok. Zamazuje mi się obraz. Czuję się, jakby poszczególne części

mojego ciała oddzielały się od całości, odpadając i odpływając ode mnie. W głowie zaczyna mi tętnić tępy ból. Dobrze to znam. Mój lekarz nie ma pojęcia, co jest przyczyną. Badałam już krew, robiłam prześwietlenia, wszystko. Alice, moja homeopatka, uważa, że w ten sposób manifestuje się u mnie stres emocjonalny.

Zawroty głowy mijają po kilku sekundach.

– Nie musi pan tu siedzieć – mówię do Sama K., gdy tylko odzyskuję głos. – Najwyraźniej mi pan nie wierzy, więc po co marnować czas?

Sam patrzy na mnie uważnie.

– Dlaczego uważasz, że ci nie wierzę?

– Może i mam zwiady, ale nie jestem idiotką – warczę na niego. – Siedzi pan tu sobie, zajadając herbatniki i gadając o kosztach na śmieci i wystroju wnętrza...

– Dzięki temu dowiaduję się czegoś o tobie i twoim mężu. – Mój wybuch nie robi na nim wrażenia. – Chcę wiedzieć nie tylko, co widziałas, ale też kim jesteś.

Podejście holistyczne. Alice byłaby po jego stronie.

– Ja niczego nie widziałem. – Kitt wzrusza ramionami.

– Nieprawda – mówię. – Coś widziałeś: salon bez zwłok kobiety. To trochę więcej niż nic.

– Connie, czemu weszłaś na stronę agencji nieruchomości? – pyta znowu Sam K. – I dlaczego Cambridge?

– Kilka lat temu chcieliśmy się tam przeprowadzić – mówię, nie mogąc się zdobyć na spojrzenie mu w twarz. – W końcu zmieniliśmy zdanie, ale... Czasem wracam do tego myślami i... nie wiem, to było spontaniczne. Nie miałam żadnego konkretnego powodu. Wyszukuję w internecie najróżniejsze dziwactwa, gdy jestem niespokojna i nie mogę zasnąć.

– I zeszłej nocy zalogowałam się na stronę Wszystkiedomy i... Co? Opowiedz mi wszystko krok po kroku.

– Szukałam domów na sprzedaż w Cambridge, zobaczyłam ofertę Bentley Grove jedenaście i zaczęłam ją przeglądać.

– Patrzyłaś na inne domy?

– Nie.

– Dlaczego nie? Czemu wybrałaś właśnie Bentley Grove jedenaście?

– Nie wiem. Był trzeci na liście. Spodobał mi się, więc kliknęłam.

– Znowu siadam. – Najpierw oglądałam zdjęcia pokoi, a potem zauważyłam opcję wirtualnego zwiedzania i postanowiłam ją uruchomić.

Kitt ściska moją dłoń.

– Jaka była cena domu? – pyta Sam K.

Po co mu ta informacja?

– Milion dwieście tysięcy.

– Byłoby was stać?

– Nie, w żadnym wypadku – mówię.

– Czyli nie planujecie przeprowadzki do Cambridge, a dom przy Bentley Grove jedenaście był poza waszym zasięgiem, a mimo to zdecydowałaś się uruchomić wirtualne zwiedzanie, choć obejrzałaś już wcześniej zdjęcia?

– Na pewno pan to zna. – Staram się, by nie zabrzmiało to, jakbym się usprawiedliwiała. – Człowiek zaczyna klikać na kolejne linki. Bez żadnego powodu, po prostu.

– Klasyczny Ce-WueS – tłumaczy Samowi Kitt. – Czego ja właściwie szukam? Ja też ciągle to robię, zwłaszcza gdy powinienem pracować.

Postanowił mnie chronić. Czyżby oczekiwał, że będę mu wdzięczna za wsparcie? To jego wina, że musiałam zmyślać. To nie ja kłamię.

– No dobrze – mówi Sam K. – Zatem uruchomiłaś wirtualne zwiedzanie Bentley Grove jedenaście.

– Najpierw pojawiła się kuchnia. Obraz się obracał, co było męczące dla oczu, więc je zamknęłam, a gdy ponownie spojrzałam na ekran, zobaczyłam... czerwień. Zdałam sobie sprawę, że patrzę na salon i że widzę ciało kobiety.

– Skąd wiedziałaś, że to salon? – przerywa mi Sam K.

Nie mam mu tego za złe, bo mogę się uspokoić, otrząsnąć ze strachu, wciąż tak żywego w mojej pamięci, i wrócić do teraźniejszości.

– Widziałam go na jednym ze zdjęć, ten sam pokój.

Przecież przed chwilą mówiłam mu, że widziałam fotografie wszystkich pomieszczeń. Czyżby próbował mnie na czymś przyłapać?

– Ale na fotografiach nie było kobiecych zwłok ani krwi, zgadza się?

Przytakuję.

– Zostawmy na chwilę zwłoki i krew. Pod każdym innym względem obrazy z wirtualnego zwiedzania były identyczne ze zdjęciami, tak?

– Tak, jestem tego prawie pewna.

– Opisz mi, proszę, ten salon.

– Po co? – pytam z rozdrażnieniem. – Może pan go sam obejrzeć na ich stronie. Dlaczego nie prosi mnie pan o opisanie kobiety?

– Wiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz mi wierzyć, że wszystko, o co pytam, ma znaczenie.

– Mam opisać salon?

Czuję się, jakbym brała udział w dziecięcej zabawie.

– Tak, proszę.

– Białe ściany, beżowy dywan. Kominiek pośrodku jednej ze ścian, dookoła niego kafelki. Nie widziałam kafelków z bliska, ale wydaje mi się, że miały kwiecisty wzór. Były zbyt staromodne jak na wystrój pokoju.

Zdaję sobie z tego sprawę, dopiero gdy słyszę swój głos, i momentalnie odczuwam ulgę. Kitt mógłby wybrać takie kafelki do naszego domu, który był zbudowany w 1750 roku, ale nie do

nowoczesnego budynku przy Bentley Grove 11, który ma najwyżej dziesięć lat. Uważa, że nowe budynki powinny mieć współczesne wnętrza.

To znaczy, że Bentley Grove 11 nie ma z nim nic wspólnego.

– Mów dalej – zachęca mnie Sam K.

– Wnęki po obu stronach kominka. Srebrna kanapa w kształcie litery L z czerwonym haftem, krzesło z dziwnymi poręczami z drewna, stół ze szklanym blatem i kwiatami w czymś na kształt horyzontalnej gabloty pod szkłem, niebieskimi i czerwonymi kwiatami. – Pasującymi do kafelków. Było tam coś jeszcze, czego nie mogę sobie przypomnieć. Co takiego? Co jeszcze widziałam, gdy pokój powoli się obracał? – Aha, i mapa nad kominkiem, oprawiona w ramkę.

Nie ją miałam na myśli, ale nie ma powodu, bym o niej nie wspomniała. Czy powinnam powiedzieć Samowi K., że jednego drobiazgu nie potrafię sobie przypomnieć? Czy to ważne?

– Mapa czego? – pyta.

– Nie widziałam, na zdjęciu była zbyt mała. W lewym górnym rogu były jakieś tarcze, około dziesięciu.

– Tarcze?

– Jak odwrócone nagrobki.

– Herby – odzywa się Kitt. – Herby rodzinne.

– Tak. – Właśnie. Zapomniałam, jak to się nazywa. – Większość była kolorowa i wzorzysta, ale jeden był pusty. Widziałam tylko obrys.



Czy to pusty herb jest tym brakującym elementem? Mogłabym udawać, że tak, lecz byłabym wobec siebie nieuczciwa. Mój umysł zapamiętał stamtąd coś jeszcze, czego teraz nie może odnaleźć.

– Co poza tym?

– Martwa kobieta w kałuży krwi – mówię, zła na siebie za agresywność w głosie.

Dlaczego tak się złościę? Bo jesteś bezsilna, powiedziałaaby Alice. Wytwarzamy gniew, by dać sobie złudzenie władzy, gdy czujemy się słabi i bezbronni.

W końcu słyszę słowa, na które czekałam.

– Opisz mi tę kobietę – mówi Sam K.

Słowa wypływają ze mnie niekontrolowanym strumieniem.

– Gdy zobaczyłam ją i tę krew, gdy zrozumiałam, na co patrzę, w pierwszej chwili spojrzałam na siebie. Spanikowałam. Przez sekundę wydawało mi się, że widzę swoje własne zdjęcie, więc sprawdziłam, czy aby nie krwawię. Później tego nie rozumiałam. Dlaczego to zrobiłam? Ona leżała na brzuchu, nie widziałam jej twarzy. Była mała, drobnej budowy, podobnie jak ja. Miała ciemne włosy, tego samego koloru co moje i tak samo proste. Były rozczochrane, rozłożone tak... promieniście, jakby się przewróciła i...

Cała się wzdrygam. Mam nadzieję, że nie będę musiała tego mówić na głos: martwe kobiety nie układają swoich włosów.

– Nie widziałam jej twarzy i przez chwilę, dopóki się nie opanowałam, sądziłam, że patrzę na siebie, że to ja tam leżę. Niech

pan przestanie pisać – protestuję. Zbyt głośno. – Nie może pan po prostu słuchać i później zrobić notatek?

Sam K. odkłada notes i długopis.

– Nie chcę przerysować sytuacji – mówię. – Oczywiście wiedziałam, że to nie ja, lecz. Zmysły splątały mi figła. To pewnie przez wstrząs. Nigdy wcześniej nie widziałam takiej ilości krwi. Wyglądała jak wielki, czerwony dywan. Z początku myślałam, że to nie może być krew – tak dużo jej było. Pokrywała chyba jedną trzecią podłogi, ale potem uznałam, że. Na pewno pan wie. Na pewno widział pan ludzi, którzy wykrwawili się na śmierć.

– Chryste, Connie – mamrocze Kitt.

Nie zwracam na niego uwagi.

– Ile krwi jest zazwyczaj w takich sytuacjach?

Sam K. odchrząkuje.

– To, o czym mówisz, jest prawdopodobne w razie wykrwawienia się na śmierć, choć sam nigdy nie widziałem tego na własne oczy. Jak duży jest ten salon?

– Sześć trzydzieści pięć na trzy czterdzieści trzy – mówię.

Wygląda na zaskoczonego.

– Masz dokładne informacje.

– Widziałam na planie piętra.

– Na stronie internetowej?

– Tak.

– Znasz wymiary wszystkich pokoi?

– Nie, tylko salonu.

– Powiedz, co zrobiłaś wczoraj po tym, jak ja poszedłem z powrotem do łóżka – mówi Kitt.

– Najpierw zadzwoniłam do Simona Waterhouse'a, a potem, gdy nie odbierał, do pana. Po naszej rozmowie wróciłam do komputera i znów zaczęłam przeglądać ofertę Bentley Grove jednaścicie. Przyglądałam się każdej fotografii, oglądałam plan piętra. Jeszcze kilka razy uruchamiałam wirtualne zwiedzanie.

Tak, zgadza się. Niniejszym oświadczam, że jestem wariatką.

– Robiła to przez sześć godzin, dopóki się nie obudziłem i nie odciągnąłem jej od komputera – dodaje cicho Kitt.

– Wciąż wyłączałam i z powrotem włączałam internet. Kilka razy zamykałam laptopa, wyjmowałam wtyczkę z gniazdka, po czym uruchamiałam komputer na nowo. Byłam wyczerpana i nie myślałam racjonalnie. Wmówiłam sobie, że jeśli będę wytrwała, to znów zobaczę te zwłoki.

Może jestem zbyt szczera. Ale co z tego, jeśli wczoraj w nocy straciłam nad sobą panowanie? Czy przez to jestem niewiarygodnym świadkiem? Czy policja słucha tylko ludzi, którzy o dziesiątej idą do łóżka z kubkiem kakao i przez resztę nocy śpią jak susły w swoich flanelowych piżamach?

– Nigdy wcześniej nie widziałam martwego człowieka. Zwłaszcza

zamordowanego człowieka, który potem zniknął. Byłam w szoku. Pewnie wciąż jestem.

– Dlaczego twierdzisz, że kobietę zamordowano? – pyta Sam K.

– Trudno sobie wyobrazić, że mogła skończyć w ten sposób w wyniku wypadku. Może wbiła sobie nóż w brzuch, położyła się na podłodze i czekała na śmierć, choć to wydaje mi się mało prawdopodobne. Niezbyt praktyczny sposób na popełnienie samobójstwa.

– Widziałaś ranę na brzuchu?

– Nie, ale krew zdawała się najgęstsza tuż przy środku tułowia. Była niemal czarna. Widocznie założyłam, że.

Głęboka, smolista czerń przechodząca w czerwień. Niewielkie okno, prostokąty światła na ciemnej powierzchni...

– Connie? – Przed oczyma pływa mi twarz Kitta. – Dobrze się czujesz?

– Nie, niezupełnie. Widziałam okno.

– Nie próbuj mówić, dopóki nie przestanie ci się kręcić w głowie.

– ...w kałuży krwi.

– Co to może znaczyć? – pyta Sam K.

– Nie mam pojęcia. Connie, opuść głowę między kolana i oddychaj.

– Nic mi nie jest. – Odpycham go. – Już dobrze. Jeśli dotychczas was nie przekonałam, to teraz mi się uda – mówię. – Widziałam na powierzchni krwi odbicie okna salonu. Wraz z obracającym się

pokojem, obracała się też krew i okno. To dowód, że zwłoki nie były tworem mojej wyobraźni. Nikt nie wyobrażałby sobie takiego detalu. Musiałam go zobaczyć. Musiał być prawdziwy.

– Na litość boską. – Kitt chowa twarz w dłoniach.

– I jej sukienka. Niby czemu miałabym wyobrazić sobie właśnie taką sukienkę? Była jasnozielona i liliowa, we wzór, który przypominał pionowe rzędy klepsydr, w zakrzywionych liniach.

Próbuję zademonstrować je rękoma. Sam K. potakuje.

– Miała na nogach buty albo rajstopy? Zauważyłaś jakąś biżuterię?

– Nie miała rajstop, nogi były nagie. Butów też nie pamiętam. Miała na palcu obrączkę. Ręce leżały nad jej głową. Pamiętam, że patrzyłam na jej palce i... Tak, na pewno miała obrączkę.

I coś jeszcze. Jeden szczegół, którego mój umysł nie jest w stanie wyciągnąć na powierzchnię. Im bardziej się staram go zidentyfikować, tym mocniej czuję jego ukrytą obecność, jak niewyraźny, ciemny kształt tuż za polem widzenia.

– Co się stało, gdy zobaczyłaś na ekranie ciało martwej kobiety? – pyta Sam K. – Co zrobiłaś po sprawdzeniu, czy sama nie krwawisz?

– Obudziłam Kitta i kazałam mu spojrzeć.

– Gdy usiadłem przed komputerem, zobaczyłem na ekranie obracającą się kuchnię – mówi Kitt. – Potem pojawił się salon, ale bez zwłok i bez krwi. Powiedziałem Connie, żeby weszła i sama zobaczyła.

– Ciało zniknęło – potwierdzam.

– Nie uruchamiałem programu – tłumaczy Kitt. – Gdy wszedłem do pokoju, wirtualne zwiedzanie było już włączone i zapętlone. Nie twierdzę, że nie jest możliwe wprowadzenie zmian do takiego programu. Oczywiście, że można to zrobić. Jednak takie zmiany nie pokazałyby się w programie już uruchomionym. To po prostu niemożliwe.

– Pewnie, że możliwe – przerywam mu. – Chcesz powiedzieć, że nie da się tak ustawić wirtualnego zwiedzania domu, by co kilkaset albo co kilka tysięcy razy pojawiło się inne zdjęcie salonu?

Daj spokój, Kitt. Nie jesteś dumny ze swojej uczennicy? To dzięki tobie w pełni doceniam możliwości nowych technologii. Komputer wypełniający instrukcje odpowiedniej osoby zdolny jest do wszystkiego.

– No jak? – żądam odpowiedzi. – Nie mam racji?

Kitt niechętnie przyznaje mi słuszność.

– Błagam, powiedz, że nie zamierzasz przez resztę dnia uruchamiać kilka tysięcy razy tego programu – mówi. – Błagam.

– Czy mogę rzucić okiem na laptopa? – pyta Sam K.

Podczas gdy Kitt prowadzi go na piętro, ja zaczynam chodzić niespokojnie po pokoju, przypominając sobie wygląd domu przy Bentley Grove 11 i usiłując wydobyć z pamięci brakujący szczegół. Kobieta zniknęła. Krew zniknęła. I jeszcze coś...

Jestem tak pochłonięta myślami, że nie zauważam powrotu Kitta i podskakuję ze strachu, gdy się odzywa:

– Wiem, że wszyscy nienawidzą agentów nieruchomości, ale ty przekroczyłaś w tym wszelką miarę. Jednego nie przemyślałaś: dlaczego. Po co jakiś nikczemny agent nieruchomości, siedzący w swoim biurze w Cambridge, miałby zamieścić zdjęcie zalanej krwią, martwej kobiety w ofercie domu, który chce sprzedać? Czy to jakaś nowa technika marketingowa? Może powinnaś sprawdzić, który agent prowadzi tę konkretną ofertę, i zapytać?

– Nie – mówię. Czuję się spokojniejsza, widząc, że on zaczyna się denerwować. – Tym powinna zająć się policja.

Nie pozwolę mu zamienić sytuacji w żart.

– Twierdzisz, że została zamordowana. Większość morderców dąży do ukrycia swojego czynu, a nie do ogłoszenia go całemu krajowi na najbardziej popularnych stronach internetowych.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Kitt. Choć wiem też, co widziałam. – Muszę go o coś zapytać, ale każde moje pytanie jest dla niego kolejną okazją do kłamstwa. – Dlaczego mu nie powiedziałaś?

– Komu?

– Samowi. Że od dawna mam obsesję na punkcie Bentley Grove jedenaście. Dlaczego nie opowiedziałaś mu całej historii.

Kitt wygląda na przyłapanego.

– A dlaczego ty mu nie opowiedziałaś? Wyszedłem z założenia, że nie chcesz, by o tym wiedział, bo...

Nagle milknie i odwraca wzrok.

– Bo co?

– Dobrze wiesz co! Gdybym mu powiedział, co się dzieje od stycznia, nie poświęciłby twojej martwej kobiecie ani minuty swojego czasu. Uznałby, że znikające ciało jest wytworem twojej wyobraźni, tak jak cała reszta!

– Doprawdy? A może byłoby na odwrót. Może uznałby, że coś jest na rzeczy, coś, co ma związek z tobą i domem przy Bentley Grove jedenaście.

Ja wolałam nie ryzykować. Być może Kitt też.

Do jego oczu napływają łzy.

– Nie mogę już tego znieść, Connie. Wciąż powtarzam to samo, ale ty nie słuchasz.

Opada na krzesło i pociera skronie. Bardzo się postarzał przez ostatnie sześć miesięcy. Na twarzy pojawiły mu się nowe zmarszczki, we włosach ma więcej siwizny, wzrok zdaje się mniej wyostrzony. Czy to ja mu to zrobiłam? Alternatywa jest zbyt straszna, by ją rozważać: albo wciąż jest tym samym, ciepłym, zabawnym, lojalnym, honorowym mężczyzną, w którym się zakochałam i którego powoli, acz nieubłaganie niszczę, albo obcym, który od kilku miesięcy, a może od kilku lat, nosi maskę, obcym, który prędzej czy później mnie zniszczy.

– Kocham cię, Con – mówi beznamiętnym głosem. Zaczynam płakać. Miłość do mnie jest jego najskuteczniejszą bronią. – Zawsze będę cię kochał, nawet jeśli w końcu uda ci się wypędzić mnie z tego



domu i z twojego życia. Dlatego nie wspomniałem... – pokazuje na schody – ...całej tej historii. Jeśli chcesz, by policja wzięła cię na poważnie, by wysłała kogoś na Bentley Grove jedenaście i sprawdziła, czy leży tam na podłodze martwa kobieta, to ja też tego chcę, nawet jeśli wydaje się to szaleństwem. Chcę, żebyś poczuła się lepiej.

– Wiem – odpowiadam, lecz w środku jestem sparaliżowana. Nie wiem już, czego mogę być pewna.

– Czy masz pojęcie, jak ciężko jest żyć w cieniu podejrzeń, gdy jest się przekonany o własnej niewinności? Sądzisz, że nie wiem, co sobie myślisz? „Kitt jest maniakiem komputerowym. Jest w stanie sprawić, by w ciągu kilku sekund pojawiło się i znikło czyjeś ciało. Może to on ją zamordował”.

– Wcale tak nie myślę! – Płaczę. Bo nie pozwoliłam sobie zabrnąć tak daleko. – Nienawidzę swojej podejrzliwości, nie cierpię jej. Gdyby tylko Bentley Grove nie było w Cambridge.

Sam K. wrócił do salonu i stoi w drzwiach. Jak dużo usłyszał z naszej rozmowy?

– Powiem wam, co zrobię – mówi. – Osobiście porozmawiam z kimś z policji w Cambridge. Jeśli to ja się z nimi skontaktuję, będzie większa szansa, że się tym zajmą.

Serce skacze mi do gardła.

– Widział pan...? – Pokazuję palcem na nasze biuro.

– Nie, nie widziałem zwłok ani krwi.

– Ale...

– Prawdopodobnie była pani zmęczona i doznała jakiejś... krótkotrwałej halucynacji. Jak się pani wyraziła? Zmysły splątały pani figla. Jednocześnie nie chcę ignorować tego, co mi pani powiedziała, bo... – Sam K. wzdycha. – Bo zadzwoniła pani do Simona Waterhouse'a, nie do mnie. To z nim chciała pani rozmawiać. Nie mogę się w niego zamienić, ale mogę zrobić to, co on by zrobił: podejść serio do pani zeznań.

– Dziękuję – mówię.

– Proszę mi nie dziękować. Jestem tylko dublerem. – Sam K. uśmiecha się. – Niech pani podziękuje Simonowi, gdy znów się z nim pani spotka.

Dopiero po jego wyjściu trafia do mnie znaczenie tych słów. Sam K. wie, że widziałam się wcześniej z Simonem.

**SZKOŁA PODSTAWOWA CAVENDISH LODGE**

BIULETYN NR 586

Data: poniedziałek, 30 listopada 2009

**Kociaki w naszej szkole!**

W środę mieliśmy wyjątkowe zebranie w klasie I. Kotka Marcusa, Bess, urodziła kocięta i jego rodzice przynieśli je do szkoły! Cudownie się wszyscy bawiliśmy z tymi uroczymi futrzakami, a potem rozmawialiśmy o zwierzętach domowych i o tym, jak się nimi opiekować, więc dziękujemy Marcusowi i jego rodzinie za zorganizowanie tej wspaniałej lekcji! Poniżej znajdziecie dwa urocze śliczne omówienia napisane przez dzieci z klasy I.

wczoraj w szkole były kociaki Marcusa. Wyglądały tak ślicznie były czarne w białe plamki. Jednego wzięłem na ręce były miłe i futrzaste ale miały bardzo ostre rużowe pazurki. Jeden pobjeął za pjanino. Słyszałem jak jeden kociak mruczy. Miały małe niebieskie oczka. To był bardzo fajny dzień.

**Harry Bradshaw**

wczoraj Marcus i jego Mama przynieśli na nasze zebranie kocienta i rozmawialiśmy o tym jak się opiekować zwierzakami były takie śliczne niektóre miały czarne futerko z białymi plamkami.

Mama kotkuf Bess nas nie odwiedziła. Wzięłam na ręce cztery kotki były miękkie jak piurka.

**Tilly Gilpatrick**

# 4

**17/07/10**

Charlie nie wiedziała, co począć ze swoim nazwiskiem. W ogóle nie sądziła, że ma do rozwiązania jakiś problem, dopóki Simon nie wspomniał o tym na lotnisku. Wskazał na jej paszport i powiedział: – Będziesz musiała wyrobić sobie nowy.

Nie wiedziała, o co mu chodzi, i ewidentnie nie udało jej się ukryć wstrząsu, gdy jej wytłumaczył. Widząc jej reakcję, roześmiał się.

– Nie martw się – uspokoił ją. – Sądziłem, że zmienisz nazwisko, ale jeśli nie chcesz, to nie musisz.

– Serio? – zapytała, momentalnie troszcząc się o jego szczęście, które uważała w najlepszym wypadku za kruche i nieustannie zagrożone.

Ona sama sądziła, że zostanie Charlie Zailer. Była zdziwiona, że Simon myślał inaczej. Zła na siebie, że się nie przygotowała na tak ważną rozmowę, na miejscu postanowiła, że postąpi tak, jak zechce Simon. Były gorsze nazwiska niż Waterhouse.

Jednak wyglądało na to, że tym razem uczucia Simona są nieskomplikowane.

– Serio – zapewnił ją. – Jakie to ma znaczenie? Nazwisko to

etykiетка i tyle.

– Właśnie – odparła, rumieniąc się. – Jak się zastanowić, to równie dobrze mogłabym się nazywać Pani Sierżant numer pięćdziesiąt cztery tysiące czterysta trzydzieści siedem.

Od tamtej pory sprawa nazwiska nie dawała jej spokoju. Jak postępowały inne zamężne kobiety? Sąsiadka Charlie, Marion Gregory, a oprócz niej Kate Kombothekra, Stacey Sellers, Debbie Gibbs – wszystkie one zmieniły nazwiska. Olivia, siostra Charlie, która w przyszłym roku wychodziła za mąż, próbowała przekonać przyszłego męża, Dominica, by oboje przyjęli nazwisko Zailer-Lund.

– Albo on może zostać Dominikiem Lundem, a ja sama nazwę się Zailer-Lund – oznajmiła buńczucznie swojej siostrze. – Jeśli Dominic chce się krępować przegniłymi kajdanami niemodnej tradycji, jego sprawa. Nie powstrzyma mnie przed przyjęciem bardziej nowoczesnego rozwiązania.

Znając swoją siostrę, Charlie podejrzewała, że jej determinacja miała mniej wspólnego z zasadami, a więcej z pragnieniem posiadania dwuczłonowego nazwiska.

Charlie Zailer-Waterhouse. Nie, to odpadało. W przeciwieństwie do Olivii nie łaknęła atrybutów artystokracji. Dla niej dwuczłowne nazwisko było czymś wstydlwym, w dodatku stanowiłoby pożywkę dla złośliwych kolegów z pracy.

– A może wymyślimy nowe nazwisko? – zawołała do Simona, który kąpał się w basenie, a raczej leżał w nadmuchiwanej łódce, którą znaleźli tu po przyjeździe.

Dryfował bez celu z dłońmi i stopami zanurzonymi w wodzie. Od czasu do czasu używał dłoni jak wiosła, by się odwrócić. Raz czy dwa spróbował wierzgać nogami, by sprawdzić, czy uda mu się przepłynąć w ten sposób na drugi koniec. Bez skutku, basen był zbyt duży.

Charlie obserwowała go ukradkiem od półtorej godziny, udając, że czyta książkę. Co się działo w jego głowie?

– Simon?

– Hm?

– Odpłynąłeś.

– Mówiłaś coś?

– Zamiast zmieniać nazwisko, może byśmy wymyślili nowe dla nas obojga?

– Nie gadaj głupstw. Nikt tak nie robi.

– Charlie i Simon Herrera.

– Czy to aby nie nazwisko Dominga?

– No właśnie. Moglibyśmy zapoczątkować nową tradycję. Każda para przyjmuje nazwisko pierwszej osoby, którą spotyka w podróży poślubnej.

Domingo był dozorcą willi, młodym, umięśnionym, opalonym facetem, który nie wyjmował papierosa z ust, słabo mówił po angielsku i mieszkał w małym, przypominającym domek letniskowy, drewnianym budynku na drugim końcu ogrodu. Odebrał Charlie i Simona z lotniska i przywiózł do Los Delfines, oprowadził po domu i

otaczającym go terenie, nie pytając – może dlatego, że brakowało mu słów – czy nie woleliby poczekać z tym do rana. Orowadzanie trwało niemal godzinę. Domingo zatrzymywał się przy każdym sprzęcie, by pokazać na niego palcem i bez słowa zademonstrować, jak z niego korzystać.

Charlie było wszystko jedno. Przeszła przez drewnianą furtkę wbudowaną w wysokie, białe ogrodzenie zwieńczone esówką, wciągnęła nosem ciepłe, aromatyczne powietrze w ogrodzie, spojrzała na basen rozświetlony niczym gigantyczny, akwamarynowy klejnot i z miejsca zakochała się w Los Delfines. Jeśli ceną za dwutygodniowy pobyt było patrzenie, jak Domingo pokazuje na migi przekręcanie klucza w zamku oraz demonstruje obsługę alarmu przeciwwłamaniowego, to była gotowa ją zapłacić.

Wszystko zdawało się tu doskonałe. Tak doskonałe, że Charlie zaczął dręczyć kontrast między Los Delfines a jej relacją z Simonem. Wyglądało na to, że tylko oni nie są tu idealni. Wiedziała, że porównywanie się do innych małżeństw jest niedorzeczne, ale trudno jej było się przed tym powstrzymać. Nie znała ani jednej młodej pary, która swój miesiąc miodowy traktowała tak, jak gangsterzy decydujący się na współpracę z policją mogliby traktować przystąpienie do programu ochrony świadków. Matka Simona, Kathleen, śmiertelnie bała się latania i nie zniosłaby myśli o swoim synku na pokładzie samolotu, więc Simon powiedział jej, że jadą do Torquay – pociągiem. Kathleen spytała, gdzie się zatrzymają, na wypadek gdyby musiała skontaktować się z nim w nagłej potrzebie. Mógł podać jej nazwę hotelu w Torquay, zmyśloną lub prawdziwą, ale



wiedział, że najpóźniej drugiego dnia matka będzie próbowała go odnaleźć i dowie się, że ją okłamał. Powiedział więc stanowczo: – Nie będzie żadnej nagłej potrzeby. A nawet jeśli, to będzie musiała poczekać.

Kathleen się dąsała, płakała, błagała, a po jednym z typowych dla niej, rozmiękłych od łez, obiadów niedzielnych padła wręcz na kolana, chwytając Simona za nogi. Musiał ją od siebie oderwać. Charlie była wstrząśnięta całą sytuacją, jak również całkowitym brakiem zaskoczenia u Simona. Michael, jego ojciec, też nie wyglądał na zdziwionego. Jego jedynym wkładem w starania matki Simona było rzucenie od czasu do czasu: „Proszę cię, synu”. Proszę cię, synu, daj jej jakieś namiary na siebie, żeby moje życie było łatwiejsze.

Ku wielkiej uldze Charlie Simon nie dał za wygraną. Ale nie mogła wyjść ze zdziwienia, że przyjął zaproszenie na obiad w następną niedzielę.

– Oszalałeś? – warknęła na niego. – Przecież odstawi dokładnie taką samą scenę.

Simon wzruszył ramionami i odparł:

– To wtedy jeszcze raz się nie dam i wyjdę jak poprzednio.

Lubił myśleć, że matka nie ma nad nim władzy, lecz potrafił też zaproponować coś takiego jak podróż do Torquay w celu wzięcia tam ślubu. „Żeby nadać kłamstwu przynajmniej pozór prawdy”, powiedział, nie chcąc przyznać, że pomysł jest niedorzeczny. Charlie wolałaby wziąć ślub w urzędzie stanu cywilnego w Spilling. Nie mogła się pogodzić z tym, że jej żalosna teściowa ma jakiś wpływ na przebieg

ceremonii. Simon ją zakrzyczał: – Myślałem, że uwielbiasz Torquay. Przecież dlatego właśnie udajemy, że tam spędzamy miodowy miesiąc.

O dziwo, Kathleen nie próbowała narzucić im ślubu kościelnego, czego Charlie się obawiała. Nie zgłosiła sprzeciwu, gdy Simon oznajmił jej, że w uroczystości weźmie udział tylko on i Charlie oraz dwoje świadków.

– Odczuła ulgę – tłumaczył potem Charlie. – Niczego od niej nie oczekiwano. Pomyśl tylko: w większości wypadków matka pana młodego musi zabawiać gości. Mama nigdy by tego nie zniosła. Zapadłaby na nagłą chorobę, a tata musiałby zostać w domu, żeby się nią opiekować.

Rodzice Charlie też ucieszyli się na wieść o tym, że nie muszą się zjawiać. Jej ojciec wolał grać w golfa. Dla swojej córki zrobiłby wyjątek i starałby się dobrze bawić, ale szybko znalazłby powód do popadnięcia w paskudny nastrój. Każdy dzień bez golfa był katastrofą dla Howarda Zailera i wszystkich pechowców, którym dane było obserwować go w fazie odstawienia.

– To może Melville? – zawołał Simon z basenu.

– Co?

– Nasze nowe nazwisko.

– Dlaczego Melville?

– Od Hermana Melville'a.

– To może Dick?

Simon pokazał jej środkowy palec. Moby Dick był jego ulubioną powieścią. Czytał ją raz do roku. Wziął ją nawet ze sobą do Hiszpanii, miała być jego lekturą poślubną. Czemu więc jej nie czytał? Dlaczego zadowalało go dryfowanie po basenie, jakby nic innego go nie interesowało? Nawet liście i płatki kwiatów na powierzchni wody sprawiały wrażenie aktywniejszych od niego.

Dlaczego nie uprawiał seksu ze swoją żoną?

Czy miesiąca miodowego nie spędza się aby w łóżku? Czy dzieje się tak tylko wtedy, gdy młoda para nie spała ze sobą przed ślubem?

Charlie westchnęła. Czyżby miała zbyt wygórowane oczekiwania? Po latach unikania wszelkiego kontaktu fizycznego Simon w zeszłym roku zdecydował wreszcie, że nadszedł czas skonsumowania ich związku. Od tamtej pory wszystko było w porządku. Mniej więcej. Charlie wciąż nie odważała się inicjować seksu, podejrzewając, że Simonowi by się to nie spodobało. Wyraźnie zabronione było też rozmawianie – w trakcie, bezpośrednio po lub na temat. A może Charlie wyobrażała sobie bariery, których w rzeczywistości nie było? Może Simon czekał tylko, aż powie mu: „Lubisz się ze mną kochać czy robisz to tylko ze względu na poczucie obowiązku?”. Fizycznie sprawiał wrażenie zainteresowanego, ale zawsze był jakiś nieobecny. Zamykał oczy, milczał, czasem zachowywał się wręcz jak robot.

Popołudniowe słońce niemiłosiernie piekło. Charlie pomyślała sobie, że mogłaby namówić Simona, by poszedł do domku i nasmarował się kremem do opalania. Wtedy poszłaby za nim i... Nie. Zasada nieinicjowania seksu była dobra. Nie zamierzała od niej

odstępować. Kiedyś, podczas imprezy – lata temu, gdy jeszcze nie byli razem – Simon odrzucił jej zaloty w niebywale brutalny sposób. Charlie postanowiła nigdy więcej do tego nie dopuścić.

Usłyszała za sobą czyjeś kroki. Domingo. Napięła się, po czym odetchnęła z ulgą, widząc, że idzie z grabiami i motyką. Przyszedł pracować, nic poza tym. Ogród otaczający Los Delfines ze wszystkich stron najwyraźniej był czyimś ukochanym dzieckiem. Może Dominga, może właścicieli. Charlie nigdy w życiu nie widziała tylu kolorów w jednym miejscu: ognista czerwień, bordo, fiolet, lila, błękit, pomarańcz, żółć i wszystkie odcienie zieleni. W porównaniu z tym wszystkie angielskie ogrody cierpiały na anemię. Ulubionym elementem Charlie było coś, co nazwała „odwróconym drzewem liliowym”, z którego białe lilie zwisały niczym małe lampiony.

Odłożyła książkę i postanowiła wejść do basenu. Nie po to, by być bliżej Simona, ale ze względu na upał. Zeszła po marmurowych schodkach do wody.

– Idealna temperatura – powiedziała. – Nie zimna, nie za ciepła. Jak gorąca kąpiel, z której ktoś wyszedł dwie godziny temu.

Simon nie odpowiedział.

– Simon?

Na czym tak mocno się skupiał, że nie słyszał jej, choć była tak blisko niego?

– Hm? Powiedziałaś coś?

Nie warto było tego powtarzać. Poza tym szkoda marnować taką

okazję. Postanowiła wykorzystać ją na coś ważniejszego, skoro już zwrócił na nią uwagę.

– Za każdym razem, jak widzę idącego w naszą stronę Dominga, wpadam w panikę.

– Boisz się, że będzie chciał nam pokazać zasady działania sedesu?

– Nie, nie o to chodzi. Na stronie internetowej jest jego numer telefonu. To znaczy, że można się z nami skontaktować przez niego, tak?

Simon usiadł z trudem na swojej łódce.

– Martwisz się moją matką? Przecież nie wie, gdzie jesteśmy. Nikt nie wie.

– Olivia wie.

Czy pogniewa się na nią za zdradzenie siostrze ich tajemnicy? Najwyraźniej nie. Charlie korciło, by spytać Simona, czy w ogóle zauważa jej obecność.

– Gdy powiedziałam Olivii, ile to miejsce kosztuje, kazała mi pokazać zdjęcia. Musiałam podać jej adres strony.

– Chyba nie powie mojej mamie, co?

– Nie o Kathleen się boję – odparła Charlie. – Myślę o pracy.

Simon prychnął lekceważąco.

– Stowarzyszenie Bezpiecznych Osiedli poradzi sobie bez ciebie przez czternaście dni.

– Mówię o twojej pracy. Nikogo nie obchodzi, gdzie ja jestem.

– Co, Mroźny? Po tylu miesiącach wyczekiwania na „urlop od Waterhousea”, jak to nazwał? Wątpię, by próbował mnie odnaleźć. Wiesz, jakie były jego ostatnie słowa pod moim adresem?... Wykorzystajmy obydwaj te dwa tygodnie najlepiej, jak tylko się da, Waterhouse. Wprawdzie nie wybieram się w miejsca bardziej egzotyczne od mojego gabinetu i stołówki, ale bez twojej dokuczliwej obecności na każdym kroku będę się czuł jak na wakacjach”.

– Uwierz mi: Proust nie może się doczekać twojego powrotu. Skreśla dni w kalendarzu.

– Nie mów tak – ostrzegł ją Simon.

Torturą była dla niego myśl, że detektyw inspektor mógłby czuć do niego cokolwiek poza głęboką odrazą.

– Zostawiliśmy Liv sam na sam z Gibbsem – powiedziała Charlie. – A jeśli jeszcze bardziej się schlała i wygadała mu, gdzie jesteśmy? Co jeśli.

Nie chciała ubierać tego w słowa, żeby nie kusić losu.

– Gibbs? – zaśmiał się Simon. – Gibbs nie próbuje się do mnie odezwać nawet wtedy, gdy siedzę obok niego. Nie będzie próbował namierzyć mnie w Hiszpanii. Bo niby po co?

– Wystarczy, że w pracy pojawi się coś mniej pospolitego niż zwykle i wszyscy zaczną sobie myśleć: Jaka szkoda, że nie ma z nami Simona i nie możemy zapytać go, co o tym myśli.

– Nieprawda. Myśleliby: Dzięki Bogu że nie ma Waterhousea, ten

tylko by wszystko skomplikował.

– Dobrze wiesz, że nie masz racji. Sam Kombothekra tak nie myśli. A jeśli Gibbs.

– Kurwa, Charlie! Olivia nie powie Gibbsowi, gdzie jesteśmy, Gibbs nie powie Samowi, a Sam nie natknie się w ciągu najbliższych dwóch tygodni na problem, który będzie musiał omówić ze mną. Okej? Przestań się denerwować.

Simon miał rację. Mało prawdopodobne było, że ktoś im przeszkodzi. Czemu więc Charlie nie mogła pozbyć się niepokoju, który zajmował jej całe miejsce w płucach, uniemożliwiając równy oddech?

– Na czternaście dni jestem cały twój, więc masz pecha – powiedział Simon. – Jak brzmiał ten cytat z Twaina? „Przez całe życie zamartwiałem się tysiącem spraw, lecz tylko parę z nich naprawdę mi się przytrafiło”. Czy coś w tym stylu. Spójrz.

Pokazał na dużą górę w oddali.

– Na co mam patrzeć? – spytała Charlie.

– Na górę. Widzisz twarz?

– Jaką znowu twarz?

– Przyjrzyj się. Wygląda, jakby góra miała twarz.

– Nic nie widzę. W sensie oczy, nos i usta?

– I brwi. I chyba ucho. Nie widzisz?

– Nie. – Charlie starała się nie okazać irytacji. – Nie widzę twarzy

na górze. Ładna przynajmniej?

– Pewnie to jakaś gra promieni słonecznych, ale... Ciekawe, czy zmieni się wraz z ruchem słońca. To chyba kwestia cieni rzuconych przez grzbiety skał.

Charlie wpatrywała się długo we wskazane miejsce, lecz nie dostrzegła żadnej twarzy. Choć to bez sensu, poczuła się poszkodowana. Simon i jego łódka odpłynęli na drugi koniec basenu. W takim razie przepłynę sobie kilka długości, pomyślała. Dobre dla kondycji. Postanowiła odtąd nie panikować na widok Dominga idącego w ich stronę, mimo iż miała w głowie wyraźną wizję, jak zasadza się na nich z komórką i woła: „Telefon, Anglia!”.

– Charlie?

– Tak?

– Co byś zrobiła, gdyby. – Simon pokręcił głową. – Nieważne.

– Co bym zrobiła, gdyby co?

– Nic, nic. Nieważne.

– Teraz już ważne i dobrze o tym wiesz. Wykrztuś to.

– Nie ma czego wykrztuszać.

– Powiedz!

Co byś zrobiła, gdybym poprosił o rozwód? Co byś zrobiła, gdybym powiedział, że chcę spać w oddzielnym pokoju?

– Wyobrażam sobie najgorsze rzeczy. Zakończ moje cierpienia.



– To nic złego – odparł Simon. – Nic związanego z tobą i mną.

To znaczy, że wszystko, co ma związek z nimi dwojgiem, musi być złe?

Przestań stwarzać nieistniejące problemy, Zailer.

Charlie zakłęła pod nosem. Wiedziała, że przez następne dwie godziny będzie próbowała to z niego wyciągnąć i że się jej nie uda.

Musisz już iść – powiedziała Olivia do Gibbsa, naciskając na jego żebra.

Przez ostatnie dwie godziny usiłowała wyrzucić go z łóżka, ale był od niej silniejszy i stawiał opór.

– Wcale nie muszę – odparł, leżąc na plecach z rękami pod głową.

– Właśnie, że tak! Musimy zacząć udawać, że nie jesteśmy okropnymi bezbożnikami i degeneratami. Im szybciej zaczniemy, tym prędzej staniemy się przekonujący. Przy odrobinie szczęścia do wieczora sami może w to uwierzemy.

Gibbs prawie się uśmiechnął, ale nie wykonał najmniejszego ruchu. Według zegarka w telefonie Olivii była druga po południu. W jej pokoju hotelowym panowała taka sama ciemność jak dwanaście godzin temu, gdy się do niego wtoczyli. Szczelne żaluzje i gruba zasłona połączyły siły w walce z promieniami słońca. Olivia nigdy wcześniej nie widziała tak skutecznej instalacji okiennej.

– Czy ty nie musisz wrócić do domu? Nie masz swojego życia, planów, godziny policyjnej? Bo ja mam to wszystko.

Z popychaniem dała już sobie spokój. Nie przynosiło skutku i tylko bolały ją od tego ręce.

Gibbs przekręcił się na bok, by widzieć jej twarz. Zabawne: choć mówiła na niego „Chris”, to mogła o nim myśleć wyłącznie jako o „Gibbsie”, bo tak zwracał się do niego Simon. Czy to się zmieni? W duchu skarciła się za wybieganie myślami w przyszłość. Musiała zebrać się do kupy, lecz jak miała to zrobić, skoro leżał tuż obok niej, promieniując ciepłem?

– Próbujesz się mnie pozbyć? – spytał.

– Tak, ale... w dobrym sensie.

– Można się kogoś pozbyć w dobrym sensie?

– Oczywiście. Pełne poświęcenia: „Zostaw mnie, ratuj się, póki możesz”. Albo... – zamilkła, przypominając sobie, że porównał ją do kolorowego pisma, oraz sposób, w jaki jej to wytłumaczył. – Do trzeciej musimy się stąd wynieść – rzuciła oschle, by ukryć zakłopotanie. – Nie mogę znowu przedłużyć doby.

– Jakie znasz jeszcze inne dobre sposoby pozbycia się kogoś? – spytał Gibbs.

Naprawdę go to interesowało?

Nie mogła powiedzieć mu prawdy. Właśnie uprawiała z nim seks, trzy razy. Jeśli istnieją sytuacje, w których absolutnie nie ma miejsca na prawdę, to teraz była jedna z nich.

– Nigdzie się nie ruszę, dopóki mi nie powiesz – zagroził.

– Na litość boską! No dobrze, skoro wypchnąć cię z łóżka się nie da, to może ta strategia poskutkuje. Inny dobry sposób pozbycia się kogoś: musisz już iść, żebym mogła przez resztę dnia oddać się obsesyjnym myślom o każdym najdrobniejszym aspekcie twojej osoby i przypominać sobie każde twoje słowo i ruch, Bóg jeden wie, na jak długo wykluczając myśli na jakikolwiek inny temat.

Gibbs uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Łatwiej ci będzie myśleć o mnie, jeśli zostanę.

– Nie. Dopóki nie wyjdiesz, będę tak zajęta zastanawianiem się, co myślisz, że nie zdołam skupić się na własnych myślach.

– O niczym nie myślę. Tylko o tym, że przeleciałbym cię jeszcze raz, gdybym nie był wykończony.

– Nic nie słyszę! – Olivia zakryła uszy dłońmi. – Przestań dodawać kolejne słowa do tych, które już i tak muszę przeanalizować. Mam zbyt duże zaległości. Nie śmieję się, mówię poważnie. Proszę cię, idź już. Nic nie mów.

– Żebyś mogła o mnie myśleć?

– Tak.

– I o niczym innym?

– Przynajmniej dopóki nie nadrobię zaległości.

Gibbs przytaknął, jakby uznał jej prośbę za całkiem racjonalną. Usiadł na łóżku i zaczął zbierać ubranie. Olivia znów spojrzała na swój telefon. Pięć po drugiej. Na myśl o tym, że zostanie sama, poczuła

nagły przyptyw podniecenia. Miała pilne sprawy do załatwienia. Po pierwsze, musi odreagować. Najlepiej w jakiś niegodny sposób. Na przykład będzie biegała w kółko po pokoju, wykrzykując: „O, mój Boże! O, mój Boże!”. Po drugie, stanie przed tym dużym lustrem wiszącym obok drzwi i będzie przyglądać się własnej twarzy i ciału, jakby nigdy ich wcześniej nie widziała, żeby spróbować zobaczyć się oczyma Gibbisa. Potem zatelefonuje do Charlie. A raczej do dozorczy z Los Delfines, którego numer jest na stronie internetowej. Poprosi go, by przekazał Charlie wiadomość, że ma się skontaktować z siostrą. Każda porządna siostra – a Charlie na ogół nią była – chciałyby usłyszeć tego rodzaju wiadomość bez zbędnej zwłoki.

Zgadnij, kto jest kompletną zdzirą? Ja!

Pewne plotki mają taki ciężar gatunkowy, że nawet intymność miesiąca miodowego nie może być dla nich przeszkodą. Przez czysty przypadek Olivia miała do przekazania właśnie taką plotkę. Wiedziała, że rozmowa o sobie samej sprawi jej taką przyjemność jak obgadywanie innych. Nawet większą. Jakież to odświeżające – stać się w wieku czterdziestu jeden lat przyczyną skandalu, zrobić coś niewiarygodnie głupiego na przekór wszystkim, którzy nigdy by się tego po niej nie spodziewali.

Czy mogła prosić Charlie, by nie mówiła o niczym Simonowi? Niektórzy małżonkowie nie mają przed sobą żadnych tajemnic. Czy po ślubie jej siostra koniecznie zamierza dzielić się wszystkim z mężem? Simon byłby wobec Olivii krytyczny, jak to bywa w wypadku ludzi bez doświadczeń życiowych. Są oni krytyczni wobec wszystkich, którzy mają przygody, jakie nie były nigdy ich udziałem. Uznałby, że – w

tylko dla niego zrozumiały sposób – fakt, iż dwoje świadków wylądowało ze sobą w łóżku, stanowi rysę na jego ślubie z Charlie.

Olivia westchnęła, zdając sobie sprawę z konsekwencji. Ze względu na Simona Charlie będzie musiała udawać wściekłą i zranioną. Nie uzna przygody siostry z Gibbsem za coś, co przytrafiło się Olivii, lecz za krzywdę wyrządzoną jej najważniejszemu na świecie mężowi. Być może też sama wyrazi oburzenie i oskarży siostrę o wtargnięcie na swój teren. Gibbs był gliną, więc należał do Charlie i Simona, nie do Olivii, która nie miała prawa włączyć z butami do nie swojego świata, gdzie była co najwyżej gościem zapraszany przez Charlie.

Czyżby skradła siostrze najważniejszy dzień w jej życiu? Czy rzeczywiście niewybaczalne jest samowolne obsadzenie się w drugiej głównej roli żeńskiej, gdy scenariusz mówił o drugim planie? Olivia nie mogła zdecydować, czy wyrzuciła Charlie potworną krzywdę, czy też jest całkiem niewinna. Dowiedzieć się mogła tylko w jeden sposób: dzwoniąc do siostry i mówiąc jej, co się stało. Samodzielnie, nie wiedząc, jaka będzie reakcja Charlie, nie miała szans rozwikłać tej zagadki.

Powinam czuć się winna wobec Dominica i Debbie Gibbs, pomyślała. To oni są tu pokrzywdzeni.

Gibbs w końcu się ubrał.

– Idę – oznajmił. – Możesz zacząć myśleć.

– Ty też – odparła Olivia, chcąc jakoś go do siebie przywiązać, skoro już wychodził. – Możesz myśleć o mnie.

– Bóg jeden wie, na jak długo wykluczając myśli na jakikolwiek inny temat.

Zabrzmiało to jak cytat. Bo nim było, zrozumiała nagle. Gibbs ją cytował.

Sam Kombothekra nie był za pan brat z poczuciem winy, jednak właśnie ono mu towarzyszyło, gdy siedział przy stoliku koło okna w barze Chompers, czekając na Alice Bean. Było to – a raczej miało być, bo wcale nie wiedział, czy Alice przyjdzie – całkowicie niepotrzebne spotkanie. A mimo to wolał być tutaj niż w domu ze swoją rodziną. Wiedział, jak Alice odpowie na jego pytania. Mógł je też zadać przez telefon, ale bardzo chciał zobaczyć ją na własne oczy. Bardziej niż gotów był to sam przed sobą przyznać. W małym świecie policjantów w Spilling niewiele kobiet obrosło taką legendą jak Alice. Sam słyszał z co najmniej dziesięciu różnych źródeł, że kilka lat temu Simon Waterhouse był na jej punkcie romantycznie zafiksowany. Wtedy jeszcze nosiła nazwisko Fancourt.

Sam wiedział, że jej znajomość z Simonem (którą Colin Sellers nazwał „bezseksowną stratą czasu”) zakończyła się niezbyt dobrze i że od tamtej pory ze sobą nie rozmawiali. Jak wiele wyjawi mu na ten temat Alice? Dziś rano, w rozmowie telefonicznej, już w pierwszej sekundzie zapytała Sama, czy pracuje z Simonem. Na miejsce spotkania zaproponowała bar Chompers, mówiąc: „Tam zawsze się spotykałam z Simonem”. Dla Sama był to jeszcze jeden powód, by czuć się winnym: nie dość, że spędzał wolny dzień bez rodziny, to za chwilę miał obudzić w obcej kobiecie bolesne wspomnienia, głównie po to, by zaspokoić własną ciekawość.

Spojrzał na zegarek. Alice spóźniała się już dziesięć minut. Czy powinien do niej zadzwonić? Nie, poczeka jeszcze pięć minut. Może poprosi kelnera o ściszenie muzyki. Pewnie miała na celu zagłuszenie zgiełku panującego w rogu sali. Znajdowała się tam ogrodzona część dla dzieci, pełna rozkrzyczanych, zasmarkanych maluchów. Przy stolikach w kształcie muchomorów i wśród całej masy niezidentyfikowanych, plastikowych przedmiotów w podstawowych kolorach siedziało też kilka matek, które sztucznymi uśmiechami maskowały tłumioną złość. Sam nie miał do dzieci pretensji za krzyk. Podejrzewał, że i on wkrótce zacznie wycić, jeśli usłyszy jeszcze jeden przebój Def Leppard.

Gapił się na parking za oknem. W każdej chwili spodziewał się zobaczyć samochód Alice zajmujący któreś z wolnych miejsc. To może być ona, zatraskująca klapę bagażnika w czerwonym renault clio. Okulary przeciwsłoneczne, sandały. Nie. Simon nie zakochałby się w takiej twarzy. Sam zastanawiał się, czy Alice jest jakkolwiek podobna do Charlie. A nawet jeśli tak albo nie, to co z tego? Dlaczego tak interesowały go najdrobniejsze szczegóły z życia Waterhousea? Nie podjąłby takiego wysiłku dla poznania kobiety, w której kochał się kiedyś Chris Gibbs czy Colin Sellers. Gdy się nad tym zastanowił, to chętnie przejechałby nawet setki kilometrów, by zobaczyć kobietę, która nie interesowała Sellersa, o ile ktoś taki w ogóle istniał.

Zawstydzony własną lubieżnością Sam próbował skupić się na osobie Connie Bowskill. Jego myśli szybko jednak zdryfowały z powrotem ku Simonowi. Nic w tym złego, uznał, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Simon był najlepszym detektywem, jakiego Sam znał,

najlepszym, jakiego ktokolwiek znał, choć większość ludzi niechętnie by się do tego przyznała, wolała lekceważyć go jako opryskliwego, nieprzewidywalnego wicherzyciela. Pierwszego stycznia tego roku, pięć minut po północy, Sam powziął postanowienie: zamiast nieustannie mieć poczucie niższości wobec Simona, poczucie, od którego wzbierało w nim zgorzknienie, zamierzał więcej się od niego uczyć, poskromić egoizm i zobaczyć, czy przez imitację – szczegółowe badanie zachowania i postawy Simona, jakby oczekiwał go test na ich temat – uda mu się nabyć choć ułamek jego wybitnych umiejętności.

Simon nie zbyłby pośpiesznie Connie Bowskill, tego Sam był pewien. Ale czy uwierzyłby w jej zeznania? Będąc w położeniu Sama, po poznaniu Connie i usłyszeniu, co ma do powiedzenia, czy uznałby ją za nadmiernie zestresowaną i przez to podatną na halucynacje, czy raczej stwierdziłby, że Connie kłamie? Może sądziłby, że niewiarygodność jej zeznań zwiększała ich prawdopodobieństwo, bo mało kto miałby odwagę mówić tak jaskrawe kłamstwa.

Nie jesteś Simonem, w tym cały kłopot. Nie masz pojęcia, co by sobie pomyślał.

Nie, to akurat nieprawda. Nie można przez kilka lat blisko z kimś współpracować i nie nabrać wyczucia co do jego sposobu myślenia. Simon uznałby, że istnieje przynajmniej prawdopodobieństwo, iż popełniono zbrodnię. Gdyby dziś rano poszedł z Samem do Bowskillów, wyszedłby przekonany, że coś jest nie tak w ich domu – w Melrose Cottage, nie w Bentley Grove 11 w Cambridge. Sam się z nim zgadzał, o ile można się zgadzać ze swoją wyimaginowaną projekcją nieobecnej osoby. Coś było na rzeczy: Connie i Kitt Bowskillowie nie



powiedzieli mu całej prawdy. Podśluchał dostatecznie duży fragment rozmowy, której nie powinien był słyszeć, by nabrać pewności, że obydwójce coś przed nim ukrywają.

Teoria, jakoby ktoś zamieścił zdjęcie martwej kobiety na stronie internetowej agencji nieruchomości, była śmiechu warta. Bardziej niż szalona. Sam słyszał w głowie głos Simona: „Szalony to nie to samo co zmyślony. Szaleństwo jest tak samo realne jak zdrowie psychiczne. Nawet bez naszego zrozumienia potrafi chrzanić i niszczyć ludziom życie. Musi jedynie rozumieć samo siebie. A bywa, że i to nie jest konieczne”. Sam momentalnie pożałował przywołania tej wypowiedzi. Wraz z nią przypomniał mu się kolejny przypadek, kiedy Simon miał rację, a on musiał przekonać się o własnym błędzie, mimo rozsądnej wiary w to, co wydawało mu się bardziej prawdopodobne.

Sam ciężko westchnął. Jako dubler Simona zamierzał zrobić, co w jego mocy, by odnaleźć martwą kobietę, w której istnienie nie wierzył – kobietę w zielono-liliowej sukience. Zadzwoił już na policję w Cambridge i dał jasno do zrozumienia, że oczekuje od tamtejszych funkcjonariuszy poczynienia właściwych kroków. Jak tylko przestaną się śmiać.

– Sam?

Podniósł wzrok i zobaczył kobietę z krótkimi, tlenionymi włosami, w okularach w rdzawoczerwonej oprawce z plastiku i z ustami pomalowanymi błyszczącą, czerwoną szminką. Miała na sobie długą, różową sukienkę bez rękawów i płaskie, złote sandały, a w dłoni trzymała torebkę z otworami, wyglądającą tak, jakby ktoś ją wykonał

z powiązanych ze sobą kawałków sznurka. Otwory były częścią projektu, nie wynikiem zużycia. Dzięki nim Sam widział zawartość torebki: czerwony portfel, kopertę i klucze.

– Alice Bean. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń. – Nie ma pan pojęcia, jakie to dla mnie dziwne. Od prawie siedmiu lat moja noga nie powstała w tym miejscu. Jeśli poczuję się słabo, będzie pan wiedział czemu.

– Napije się pani czegoś? – zapytał Sam, ściskając jej dłoń.

– Tak, lemoniady z syropem z limy. Dużo lodu. Wiem, że to napój dla dzieci, ale w tym upale na nic innego nie mam ochoty. W samochodzie wylałam z siebie chyba z pół litra potu.

Sam obserwował ją kątem oka, stojąc w kolejce. Była niezaprzeczalnie ładna, lecz jej włosy zaskoczyły go długością i kolorem. Do tego jeszcze rdzawoczerwone okulary i ta szminka. Nigdy by nie pomyślał, że Simon mógłby... No, ale to przy założeniu, że siedem lat temu wyglądała tak samo i że gust Simona w kwestii kobiet był łatwy do przewidzenia. Niby czemu miałyby taki być, skoro wszystko inne stanowiło zagadkę? Gdy oświadczał się Charlie, nie była nawet jego dziewczyną.

– To Connie dała panu mój numer? – spytała Alice, gdy Sam stawiał jej drinka na stole.

– Nie. Nie prosiłem jej, znalazłem panią w książce telefonicznej pod hasłem „Medycyna alternatywna – homeopaci”. Nie znalazłem Alice Fancourt, ale zaryzykowałem z Alice Bean i trafiłem.

– Bean to moje panieńskie nazwisko. Od lat nie należę już do Fancourtów.

– Zwykle pracuje pani w soboty?

– Nie, dziś nie pracuję. Przyjechałam do centrum po lekarstwo dla mojej córki, Florence, którą boli brzusek. Ma pan szczęście, że mnie pan złapał. I mam nadzieję, że nie złapie pan wirusa. To niewykluczone, więc proszę nie mówić, że nie ostrzegałam. Przed Florence ja sama chorowałam, a przede mną wszyscy u mnie w pracy. Jakaś plaga. Na szczęście szybko przechodzi. Dwadzieścia cztery godziny wymiotów i biegunki, po czym pada na następnego pechowca.

Świetnie, już się nie mogę doczekać.

– Nie zajmę pani dużo czasu – powiedział Sam. – Skoro pani córka jest chora.

– Nic jej nie będzie. Jest teraz z moją przyjaciółką, Briony, niemalże jej drugą matką. Może zająć mi pan tyle czasu, ile zechce. Obiecuję nie utrudniać panu życia zadawaniem trudnych pytań.

Sam starał się ukryć zaskoczenie. Czy to aby nie on miał zadawać pytania?

– Na przykład jakich? – spytał.

– O Simona. Nie chciałby, żeby mi pan o nim opowiadał. To pewne.

Alice sięgnęła do torebki i wyjęła z niej kopertę, którą Sam widział wcześniej przez otwory. Wyciągnęła ją w jego stronę. Sam zobaczył

na niej imię Simona napisane niebieskim długopisem i podkreślone.

– Przekaze mu pan?

Sam poczuł, że nie chce brać koperty, choć początkowo nie wiedział czemu. W końcu mózg nadążył za trzewiami. Nie, dziękuję. Nie miał ochoty grać w tym dramacie nawet drugoplanowej roli. Jego dłonie zostały tam, gdzie były – zaciśnięte wokół kubka z kawą. W końcu Alice włożyła kopertę z powrotem do torebki, a Sam poczuł się małostkowy i zarozumiały, bo wiedział, że cała uwaga przeniosła się właśnie z Alice i Simona na niego i jego skrupuły. Żałował, że nie wziął tej przeklętej koperty. Zastanawiał się też, czy powinien jej powiedzieć, że wczoraj Simon się ożenił i wyjechał na miesiąc miodowy. Czy fakt, że stało się to zaledwie dzień wcześniej, czynił wiadomość bardziej bolesną? Niby nie powinien, jednak Sam czuł, że ma to pewne znaczenie.

Otworzył usta, by wytłumaczyć, czemu nie powinien służyć jako posłaniec, ale Alice go wyprzedziła, uśmiechając się, by pokazać, że jej nie uraził.

– Co chce pan wiedzieć o Connie? Wszystko u niej dobrze?

– Kiedy po raz ostatni z nią pani rozmawiała?

– Widzimy się raz na dwa tygodnie. Ostatnia wizyta była. Zaraz, mogę panu powiedzieć dokładnie. – Wyjęła z miniaturowej sieci na ryby mały, różowy notes. – W zeszły poniedziałek, o czwartej.

– Miniony poniedziałek? Dwunastego lipca?

Alice przytaknęła.

– Czy później rozmawialiście przez telefon? Wysyłała pani do niej e-maile lub SMS-y?

– Nie.

– Nie dzwoniła do pani dziś wczesnie rano?

Alice się zmartwiła. Nachyliła się lekko do przodu.

– Nie. Czy coś się stało?

– Nic jej nie jest – odparł Sam.

Więcej nie był gotów zdradzać.

– Dlaczego pyta pan o dzisiejszy poranek? – naciskała Alice. – Czemu pan o to zapytał?

Bo właśnie wtedy martwa kobieta pojawiła się na ekranie jej komputera, by po chwili zniknąć. Connie powiedziała, że to ty rekomendowałeś jej Simona Waterhousea jako człowieka, który uwierzy w niewiarygodną historię, o ile będzie prawdziwa. Tyle że nie mogłaś polecić go dzisiaj o drugiej w nocy, bo Alice do ciebie wtedy nie dzwoniła. Odkąd widziała ciało kobiety, nie rozmawiała z tobą. Chyba że mnie okłamała.

– Poradziła jej pani, żeby skontaktowała się z Simonem? – spytał Sam.

– Nie mogę rozmawiać o tym, co mówię pacjentom, ani o tym, co od nich słyszę. Przykro mi.

– Nie proszę o wyjawienie niczego, czego Connie sama mi nie powiedziała. Zeznała, że rekomendowała jej pani Simona jako

wyjątkowego detektywa, gotowego uwierzyć w coś, co większość ludzi odrzuca.

Alice przytaknęła.

– Tak właśnie jej powiedziałam. Niemal słowo w słowo.

– Czy zatem słusznie myślę, że Connie była w jakichś tarapatach, że miała problem i martwiła się, że nikt jej nie uwierzy? Nie pytam o szczegóły.

– Naprawdę nie mogę o tym mówić, ale... Connie zaczęła mnie odwiedzać, bo przeżyła pewien wstrząs. Było coś, w co nie chciała uwierzyć, lecz mimo to podejrzewała, że wydarzyło się naprawdę.

– Kiedy to było? – zapytał Sam.

– W styczniu, czyli sześć miesięcy temu.

– I poradziła jej pani, by zwróciła się do Simona? Zatem był tam wątek kryminalny.

Alice zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Nie było żadnych dowodów, ale Connie podejrzewała, że mogło dojść do przestępstwa, owszem. Jednocześnie uważała, że to podejrzenie jest niedorzeczne.

– A pani co myślała?

– Nie miałam pojęcia, co myśleć. Wiedziałam tylko, że to psychologiczne i emocjonalne rozdarcie jej nie służy. Uznałam, że jeśli porozmawia z Simonem, może jemu uda się ustalić prawdę.

– O tym, czy popełniono zbrodnię?

Alice się uśmiechnęła.

– Wiem, że nie istnieje żaden wielki rejestr pod tytułem Wszystkie zbrodnie w historii, ale to konkretne przestępstwo byłoby odnotowane. Simon mógł znaleźć dowody w sposób, który dla Connie był niedostępny.

– Pamięta pani, kiedy po raz pierwszy wspomniała jej o Simonie?

– Nie od razu. Jakiś miesiąc temu, może półtora. Na początku naturalnie sama próbowałam jej pomóc, lecz żadne moje zabiegi ani słowa nie przynosiły skutku. Jej stan wręcz się pogarszał. Wtedy zrozumiałam, że być może Connie potrzebuje czegoś więcej oprócz Anacardium czy Medorrhinum. Przepraszam, to nazwy leków homeopatycznych. Czasem zapominam, że nie wszyscy je znają.

– Czy Connie posłuchała tej rady? – zapytał Sam. – Opowiedziała Simonowi o swoim kłopotcie?

Czy to dlatego parę tygodni temu wziął dwa dni wolnego? Rzucił wtedy coś o przygotowaniach do ślubu, unikając kontaktu wzrokowego. Sam zinterpretował to jako zakłopotanie. Simon był bez wątplenia przerażony wizją związku i unikał rozmów na ten temat.

Alice przybrała przepaszający wyraz twarzy.

– Proszę zapytać Connie – powiedziała. – Na pewno wszystko panu opowie, jeśli będzie pan chciał szczerze ją wysłuchać.

– Czy jej nieprawdopodobnie brzmiący, ale możliwy problem kryminalny miał coś wspólnego z wirtualnym zwiedzaniem domu na stronie internetowej? – spytał Sam.

Mina Alice wystarczyła za odpowiedź: kobieta nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

A zatem Connie Bowskill miała dwa niewiarygodne problemy jeden od stycznia, a drugi od trzynastu godzin. Ciekawe.

Wprost niewiarygodne.

– Poradziła jej pani rozmowę z Simonem, bo według pani rzeczywiście potrzebowała pomocy policji, czy bardziej w nadziei na to, że Simon odezwie się do pani, żeby zapytać o Connie? – Gdy tylko usłyszał własne słowa, wiedział, że przekroczył granicę. – Przepraszam – powiedział, unosząc w górę dłonie. – Nie powinienem był zadać tego pytania. Proszę je zignorować.

– Ale akurat na to chętnie odpowiem – odparła Alice. – Naprawdę sądziłam, że Simon powinien usłyszeć o jej kłopotach, bo... Bo były rzeczywiście dziwne, nietypowe. Albo stało się jej coś strasznego, albo zupełnie nic. A ja. – Alice zamilkła, wlepiając wzrok w blat stołu. Sam już miał ją zachęcić, by mówiła dalej, gdy nagle znów się odezwała. – Dopiero teraz to zrozumiałam: poradziłam jej, żeby porozmawiała z Simonem, bo ja sama chciałam to zrobić. Chciałam mu o tym powiedzieć. Nie rozmawialiśmy ze sobą od dwa tysiące trzeciego roku, a cała ta sprawa z Connie sprawiła, że zapragnęłam kontaktu z nim mocniej niż kiedykolwiek, że zatęskniłam za nim, choć tak naprawdę nigdy go dobrze nie poznałam. Wiem, że to głupie. Najdziwniejsze jest to, że zawsze byłam absolutnie przekonana, że któregoś dnia Simon pojawi się znowu w moim życiu. I gdy dziś rano odebrałam telefon od pana.



Alice kręciła głową, patrząc przez okno.

Sam domyślał się, co będzie teraz. Po jego porannym telefonie oddała chorą córeczkę pod opiekę przyjaciółki i poświęciła dwie godziny na napisanie listu, o którym myślała przez ostatnie siedem lat. Tego, którego Sam nie chciał dostarczyć Simonowi.

– Proszę mi wybaczyć, że.

– Nie ma czego – wtrąciła Alice. – Nie powinnam była obsadzać pana w roli posłańca prawdopodobnie skazanego na zastrzelenie. Zachowałam się nieetycznie. Poza tym było to niepotrzebne, poradzę sobie sama. Wiem, gdzie Simon pracuje, mogę zaadresować list do niego. Ale tego nie zrobię. – Kiwnęła głową, jakby chciała przypieczętować swoją decyzję. – Głęboko wierzę w przeznaczenie i dzisiaj dało mi ono jasno do zrozumienia, że pora nie jest właściwa. Założę się, że nie codziennie uważa się pan za narzędzie przeznaczenia? – Uśmiechnęła się szeroko.

– Nie.

Colin Sellers miałby gotowy żart, lecz Samowi nic nie przychodziło do głowy.

Alice zamknęła oczy i wzięła łyk lemoniady.

– Właściwy moment jeszcze nadejdzie.

# 5

## **Sobota, 17 lipca 2010**

– Milion i dwieście tysięcy? Jak to... Aua!

Moja matka nie trafiła w pięć kubków ustawionych w rzędzie na blacie kuchennym i wylała wrzątek na swoją dłoń. Celowo, choć nie mogę tego udowodnić. Poparzyła się i to moja wina, że dałam jej powód do zmartwień. Znowu. Chce, żeby wszyscy to zauważyli i obarczyli mnie odpowiedzialnością. Jeśli to zrobią, jeśli Fran, Anton albo ojciec powiedzą: „Connie, zobacz, co narobiłaś”, mama się za mną wstawi, lecz jej obrona będzie zamaskowanym atakiem: „To nie jej wina. Powinnam była bardziej uważać z czajnikiem pełnym wrzątku, ale byłam w takim szoku, że nie dałam rady”.

Czy bycie czymś bliskim oznacza właśnie to – rozumienie ograniczeń, egotycznych urojeń i wyrachowanych sztuczek tej osoby tak samo dobrze jak swoich własnych? Umiejętność przewidywania cudzych reakcji i wyrazów twarzy aż do najdrobniejszego stęknienia i grymasu? Nieustające poczucie rozczarowania i przewidywalności, wzbierające w płucach i zabierające tlen już w chwili pierwszego kontaktu, zanim jeszcze ktokolwiek wypowie choćby jedno słowo? Kitt powiedziałaby, że to zbyt pesymistyczna analiza, ale on nigdy nie był blisko ze swoimi rodzicami, a teraz nie ma z nimi żadnego kontaktu.

Wciąż powtarza, że zazdrości mi bycia częścią „klanu Monków”. Nie mam serca powiedzieć mu prawdy – oskarżyłby mnie o niewdzięczność. I pewnie miałby rację.

Prawda jest taka, że chętnie ograniczyłabym tę bliskość ze swoją rodziną, tak aby mogli mnie od czasu do czasu czymś zaskoczyć. I aby ich dezaprobata nie wnikała we mnie tak głęboko i nie siała ziaren zwątpienia zaprogramowanych na wyrośnięcie do rozmiarów wielkiego dębu. Kitt jest przynajmniej wolny.

– No, Benji – szepcze Fran. – Jeszcze jeden kęs brokuła i dostaniesz czekoladowego paluszka. Przynajmniej ten śmieszny kawałek na górze. Proszę!

– Śmiało, chłopaku. Pokaż mamusi i tatusiowi, jaki jesteś odważny. Prawdziwy superbohater!

Anton nie próbuje zniżyć głosu. Nie przychodzi mu do głowy, że w kuchni jego teściów może się dziać coś ważniejszego od wojny, którą jego dziecko wypowiedziało zieleninie. Nie czuje potrzeby przeniesienia brokułowych negocjacji na drugi plan. Składając dłonie w głośnik, woła:

– Czy jeden mały chłopiec da radę pokonać brokułowego potwora? Czy Benjiemu starczy odwagi, by zjeść... jeszcze... jeden kawałek... brokuła? Jeśli udowodni, że jest odważny jak superbohater, jego nagrodą będą dwa... czekoladowe... paluszki!

Czy to ja odchodzę od zmysłów? Czyżby Anton nie usłyszał ani słowa z tego, co mówiłam o zamordowanej kobiecie leżącej w kałuży krwi i o mojej porannej rozmowie z detektywem? Dlaczego nikt nie

każe mu się przymknąć? A może nikt mnie nie słyszał? To, że żadne z nich nie ma mi teraz nic do powiedzenia, wydaje się równie nieprawdopodobne jak to, co widziałam w nocy na ekranie komputera. Niemożliwe, a jednak prawdziwe. Chyba że straciłam już zdolność odróżniania rzeczywistości od snu.

Kitt uważa, że ją straciłam. Może moja rodzina podziela jego pogląd i dlatego mnie ignorują.

– Nie mów dwa – karci Antona śpiewnym tonem Fran, przyklejając do twarzy przesadzony uśmiech, prawdopodobnie po to, by ich syn nie zaczął się zastanawiać, czy aby nie czeka go w życiu nic prócz emocjonalnych zgliszczy po rozbitym domu. – Jeden paluszek wystarczy, prawda, Benji?

– Chcę dwa czekoladowe paluszki! – zawodzi mój pięcioletni siostrzeniec, czerwieniejąc na twarzy.

Otwieram usta, lecz natychmiast znowu je zamykam. Po co tracić głos? Zrobiłam już to, co zamierzałam: powiedziałam wszystko, co moja rodzina powinna wiedzieć. Aby uniknąć wrażenia, że oczekuję jakichś pytań, wyglądam przez okno i omiatam wzrokiem huśtawkę, zjeżdżalnię, drabinki, domek na drzewie, piaskownicę i dwie trampoliny. Prywatny plac zabaw Benjiego w ogródku moich rodziców. Kitt nazywa go „Nibylandią”.

– Au! – jęczy znów moja mama, odstawiając spektakl polegający na oglądaniu zaczerwienionej skóry dłoni.

Marnuje czas na Fran i Antona. Powinna wiedzieć, że koszmar karmienia Benjiego pochłania ich bez reszty i tłumi zdolność

obserwacji.

– No dobrze, dwa paluszki – mówi Fran zmęczonym głosem. – Przepraszam was wszystkich. Benji, ale najpierw zjedz kolację.

Zabiera mu widelec, nabija na niego kawałek brokuła i przytrzymuje małemu przed ustami, tak że dotyka jego warg.

Benji gwałtownie odwraca głowę i spluwa, niemal spadając z krzeselka. Jednocześnie, jak wystraszone cheerleaderki, Fran i Anton wołają:

– Nie wypadnij!

– Nie cierpię brokułów! Wyglądają jak obrzydliwe krzaki z glutów!

Prywatnie ja i Kitt mówimy na niego Benjamin Rigby. Kitt to zapoczątkował, a ja przystałam po kilku zdawkowych protestach. Jego pełne imię i nazwisko to Benji Duncan Geoffrey Rigby-Monk.

– Żartujesz – powiedział Kitt, gdy pierwszy raz to usłyszał. – Benji? Nawet nie Benjamin?

Duncan i Geoffrey to imiona jego dziadków. Kitt uważa, że obydwa są staroświeckie i nieatrakcyjne i twierdzi, że nie powinno się nimi obarczać młodego pokolenia. Natomiast Rigby-Monk to kombinacja nazwisk Fran i Antona.

– Jeśli o mnie chodzi, to maluch nazywa się Benjamin Rigby – powiedział Kitt po pierwszym spotkaniu z Benjim. – Sprawia wrażenie miłego dzieciaka i zasługuje na porządne imię. Choć jego ojciec takiego nie ma, więc nie powinienem się dziwić.

Według Kitta „chodzenie po świecie z imieniem Anton”, jak to sam określił, uchodzi wyłącznie Hiszpanom, Meksykanom i Kolumbijczykom. Ewentualnie fryzjerom i zawodowym łyżwiarzom.

Powtarza mi, że powinnam być wdzięczna za swoją rodzinę i zadowolona, że mieszkam tak blisko niej, po czym niemiłosiernie się z nich naśmiewa w mojej obecności i jeśli tylko może, unika spotkania się z nimi, wysyłając mnie w pojedynkę. Ja się nie skarżę, i tak mam wyrzuty sumienia, że go wciągam w nasze życie. Sama nigdy nie wyszłabym za kogoś z tak przytłaczającą i wszechobecną rodziną jak moja.

– Zostaw biedactwo w spokoju – mówi do Fran moja matka. – Nie warto się tak męczyć dla jednego głupiego brokuła. Zrobię mu k.

– Nie! – przerywa jej Fran rozpaczliwym ruchem dłoni, zanim padną przeklęte słowa „kurczak z frytkami”. – Niczego nam nie trzeba, prawda, Benji? Zjesz swoje przepyszne, zdrowe warzywa, tak? Przecież chcesz urosnąć na dużego i silnego chłopaka, prawda?

– Jak tatuś – dodaje Anton, napinając mięśnie.

Kiedyś był osobistym trenerem w klubie Waterfront, ale zrezygnował z pracy, gdy urodził się Benji. Teraz tylko ćwiczy z hantlami i doskonalili swoje bicepsy albo ścięgna, czy jak tam wysportowani ludzie nazywają części ciała wymagające doskonalenia. Używa do tego różnych dziwnych maszyn w garażu, który zamienił w domową siłownię.

– Tatuś jadł warzywa, kiedy był mały, i zobacz, jaki dziś jest silny!

W tym momencie mój ojciec zazwyczaj rozpoczyna swój monolog, który brzmi mniej więcej tak: „Jedyny sposób, aby nauczyć dzieci jedzenia, to przedstawienie im prostej alternatywy: albo zjedzą to, co jest na talerzu, albo nic. To przynosi błyskawiczne efekty. Na was dwie podziało, dzisiaj żadna nie wybrzydza. Zjadłybyście własną matkę, gdyby leżała na talerzu”. Opowiedział to, w tej lub innej wersji, co najmniej pięćdziesiąt razy. Nawet gdy Fran nie jest przy tym obecna, i tak zawsze mówi „wy dwie” zamiast „ty i Fran”, bo tak już przywykł do tego, że wszyscy jesteśmy razem jak teraz: on z „Timesem” przy rozklekotanym, sosnowym stole na kozłach, który był w domu rodziców, jeszcze zanim się urodziłam; mama, krzątająca się po kuchni, przygotowująca jedzenie i napoje, podająca do stołu i odrzucająca wszelkie propozycje pomocy, tak aby po załadowaniu naczyń do zmywarki mogła ciężko westchnąć, łapiąc się za krzyż; Anton, opierający się – jak ktoś, kto jest zbyt wyluzowany, by stać prosto – o kuchenkę, która kiedyś była czerwona, ale teraz ozdobiona jest srebrnymi zadrapaniami; wreszcie Fran, męcząca się z Benjimą, wmuszająca w niego brukselki, szpinak i groszek, przekupująca małego hektolitrami musu czekoladowego i torbami chipsów.

I ja, siedząca na fotelu bujanym przy oknie, marząca o owinięciu głowy grubym kocem i uduszeniu się, zagryzająca język, by nie powiedzieć: „Nie lepiej byłoby mu dać rybę i ziemniaki, ale bez cukinii, niż rybę, ziemniaki, odrobinę cukinii, a do tego paczkę benson & hedges, butelkę wódki i trochę kokainy? Tak tylko się zastanawiam”.

W obecności swojej rodziny wspinam się na szczyty złośliwości. To jeden z najlepszych powodów, dla których nie powinnam mieszkać

dwieście metrów od rodziców.

– Myślisz, że powinnam włożyć ją pod zimną wodę? – mama pyta tatę, głaszcząc dłoń. – Tak się chyba robi przy oparzeniach. Czy raczej posmarować masłem? Od lat nie miałam oparzeń.

Porzuciła już nadzieję na zwrócenie na siebie uwagi Fran i Antona, ale jest żałosna, jeśli nie widzi, że ojciec jest na mnie zbyt wściekły, by słuchać jej narzekania. Nasilenie jego wściekłości jest widoczne w postawie ciała – w pochylonej głowie, zmarszczonym czole, napiętych i zwartych ramionach, i dłoniach złożonych w pięści. Ojciec ma na sobie koszulę w niebiesko-żółte paski, lecz gdyby była tu Alice, z pewnością powiedziałaaby, że wysyłana przez niego energia jest kamiennoszara. Od piętnastu minut nie wykonał najmniejszego ruchu. Uśmiechnięty, klepiący po plecach tata, który przywitał mnie, gdy przyjechałam, zniknął bez śladu, a na jego miejsce pojawił się posąg lub rzeźba. Gdybym była twórcą, nazwałabym ją „Rozjuszony mężczyzna”.

– Z byka spadłaś? – wypluwa słowa pod moim adresem. – Nie stać cię na dom za milion dwieście tysięcy!

– Wiem o tym – mówię.

Dręczy go nie tylko wizja mojej finansowej nieodpowiedzialności. Ma mi za złe burzę, którą wywołałam w jego domu, nawet się z nim nie konsultując. Do dziś byliśmy rodziną, w której nikt nigdy nie widział znikających kobiecych zwłok. Teraz, dzięki mnie, nie można już tego o nas powiedzieć.

– Skoro wiesz, że nie stać cię na tak drogi dom, to po co go



ogłądałaś? – pyta mama, jakby przyłapała mnie znieuważając, odwołując się do wyjątkowo sprytnego zabiegu logicznego. Kręci głową na boki, bardzo powoli i rytmicznie, sugerując, że zamierza to robić do końca życia, bo dałam jej powód do wiecznej troski. W jej mniemaniu upadłam już na dno i przyniosłam wstyd rodzinie. Moja matka ma klucz do rzeczywistości dla większości ludzi całkowicie niedostępnej – jest w stanie widzieć odległy o dziesięć lat, najgorszy możliwy obrót spraw. Dla niej jest on równie rzeczywisty jak teraźniejszość. Rysuje się w tak wyraźnych barwach, że aktualność najczęściej nie ma z nim żadnych szans.

– A czy ty nigdy nie oglądasz rzeczy, na które cię nie stać? – pytam.

– Oczywiście, że nie! – I po rozmowie. Jak zamykany metalowy zatrask przy starej torebce. Nie powinnam się dziwić. Moja matka robi tylko absolutnie rozsądne rzeczy – I ty też nie powinnaś. Zresztą nie robiłabyś tego, gdyby cię nie kusilo. Myślę, że całkiem serio rozważałaś zadłużenie się po uszy dla.

– Mamo, nie ma mowy, żeby dostali kredyt na taką kwotę – włącza się Fran. – Nie kupię tego domu, bo nie mogą. W obecnej sytuacji Melrose Cottage sprzedaliby najwyżej za trzysta tysięcy, z czego większość wróciłaby do kasy mieszkaniowej. Nawet gdyby Kitt i Con wyłożyli wszystkie swoje oszczędności, żaden bank nie pożyczyłby im ponad miliona funtów.

Mam ochotę wycić na myśl o tym, że moja siostra wie tyle na temat mojego i Kitta budżetu domowego. Mówiąc „oszczędności”, ma na

myśli konkretną kwotę, w dodatku prawdziwą. Ja też wiem wszystko o ich finansach. Znam szczegóły ich indywidualnych programów oszczędnościowych, wiem o hipotece, znam dokładny miesięczny dochód po tym, jak Anton przestał pracować, wiem, ile płacą czesnego w szkole Benjiego (prawie nic), a ile dokładają rodzice (prawie wszystko). „Nie wiem, dlaczego niektóre rodziny są tak podejrzliwe we wszelkich sprawach związanych z pieniędzmi – powtarza od lat moja mama. – Dlaczego ludzie traktują swoich najbliższych jak obcych?”.

Gdy miałam dwanaście lat, a Fran dziesięć, mama pokazała nam niebieską książeczkę oszczędnościową taty, byśmy zobaczyły, że uzbierali wspólnie czterysta siedemdziesiąt trzy tysiące funtów i pięćdziesiąt pensów. Pamiętam, że patrzyłam na napisaną odręcznie kwotę i byłam pod wrażeniem, zszokowana i przekonana, że moi rodzice muszą być geniuszami i że ja nigdy nie będę tak inteligentna jak oni. „Zawsze będziemy bezpieczni, bo mamy te pieniądze”, powiedziała wtedy mama. Obydwie z Fran dałyśmy się nabrać na jej propagandę i jako nastolatki ciułałyśmy kieszonkowe na kontach oszczędnościowych, podczas gdy nasze rówieśniczki wydawały swoje pieniądze na szminki i colę.

– Jeśli myślisz, że pożyczymy ci z matką pieniądze, żebyś mogła żyć ponad stan, to zapomnij o tym – mówi tata.

Dla moich rodziców życie ponad stan stanowi etyczną równowartość wyrzucania niemowląt przez okno.

– Wcale tak nie myślę – tłumaczę mu. Nie poprosiłabym rodziców

nawet o sto funtów, co dopiero o milion. – Nie chciałabym kupić Bentley Grove jedenaście, nawet gdyby było mnie na to stać, nawet gdyby na całym świecie nie było innego domu.

Nie mówię dlaczego. Powinno to być oczywiste.

– Naprawdę uważacie, że tematem naszej rozmowy powinna być moja hipotetyczna rozrzutność? A co z martwą kobietą leżącą w kałuży krwi? Może byśmy o niej porozmawiali? Dlaczego unikacie tej kwestii? Powiedziałam wam o niej, prawda? Mogłabym przysiąc, że mówiłam wam, co widziałam na stronie Wszystkiedomy i o detektywie, który przyszedł do nas i...

– Nie widziałas martwej kobiety ani w internecie, ani nigdzie indziej – przerywa mi ojciec. – W życiu nie słyszałem podobnych głupot. Sama powiedziałaś, że gdy Kitt poszedł sprawdzić, niczego nie zobaczył. Zgadza się?

– Tak powiedziałaś – dodaje nerwowo matka, jakby bała się, że kompletnie zwariowałam i zaraz zmienię zeznania.

Kiwam potakująco głową.

– Czyli nie było żadnych zwłok, wyobraziłaś je sobie – oznajmia ojciec. – Powinnaś zadzwonić do tego policjanta i przeprosić za marnowanie jego czasu.

– Jestem pewna, że gdybym nie spała Bóg wie ile godzin, też zaczęłabym mieć halucynacje – dokłada się matka. – Wciąż ci to mówię, ale ty nie słuchasz: powinnaś bardziej o siebie dbać. Obydwoje z Kitem zbyt ciężko pracujecie, nie odżywicie się

prawidłowo.

– Daj jej spokój, mamó – mówi Fran. – Nie pomagasz sobie. No, Benji, śmało. Otwórz buzię, na miłość boską. Szeroko: aa-aa!

– Fran, ty też sądzisz, że tylko mi się przywidziało?

– Nie wiem – odpowiada. – Niekoniecznie. Może. Trzy czekoladowe paluszki, jeśli otworzysz buzię i zjesz tego pysznego. O, tak! Tylko szerzej.

– A jak ty myślisz, Anton? – pytam go.

– Sądzę, że nie zobaczyłabyś tych zwłok, gdyby ich tam nie było – mówi. Rozważam rzucenie mu się na szyję, ale on momentalnie wszystko psuje, dodając: – Jak dla mnie wygląda to na czyjś makabryczny żart. Na twoim miejscu nie przejmowałbym się zbytnio.

W rankingu odpowiedzi ta była tylko nieznacznie lepsza od „Nic mnie to nie obchodzi – za dużo myślenia”.

– Nie powinnaś oglądać domów w Cambridge, bez względu na cenę – mówi mama. – Nie pamiętasz już, jak skończyła się twoja ostatnia wyprawa w tamte rejony?

– Mamó, na litość boską! – woła Fran.

– Wtedy przynajmniej miałaś powód, bo Kittowi zaproponowano awans.

Którego nie mógł przyjąć, bo wszystko mu zepsułam. Dzięki za przypomnienie.

– Skąd nagle ta ciekawość? – pyta mnie matka, nadając swojemu

głosowi ulubiony przez siebie ton: kruche, piskliwe zawodzenie złamanej kobiety. – Macie z Kitem prosperującą firmę, piękny dom, nas wszystkich w zasięgu ręki, swoją siostrę i ślicznego siostrzeńca. Dlaczego chcesz właśnie teraz przeprowadzać się do Cambridge? Jeszcze gdyby to był Londyn, mogłabym zrozumieć, skoro Kitt tak często tam pracuje, choć nigdy nie umiałam pojąć, czemu ludzie chcą mieszkać w tej hałaśliwej dziurze. Ale Cambridge?

– Bo powinniśmy byli wyjechać w dwa tysiące trzecim roku, jednak nie wyjechaliliśmy i do dziś tego żałuję.

Wstałam z krzesła. Nie jestem pewna dlaczego. Czyżbym planowała wybiegnięcie z pokoju? Na ulicę? Mama i tata gapią się na mnie, jakby nie rozumieli tego, co właśnie powiedziałam. Tata odwraca się ode mnie i wydaje z siebie chropawy, warczący dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszałam. Trochę mnie przeraża.

Dlaczego zawsze muszę popsuć atmosferę? Co jest ze mną nie tak?

– Hura! Benji zjadł brokuła! – cieszy się Anton, znowu używając niby-głośnika, najwyraźniej kompletnie nie wyczuwając niewidzialnych nitki emocjonalnego napięcia, rozciągających się od jednego krańca kuchni do drugiego.

Może cierpię na chorobę, która wywołuje halucynacje, bo widzę te nitki tak wyraźnie, jakby były prawdziwe. Niewypowiedziane groźby i żywe urazy zwisają z nich niczym zabawki na choince.

– Benji jest mistrzem! – woła Anton, a Fran tryumfalnie wymachuje pustym widelcem.

– Benji ma pięć lat, nie dwa – rzucam niecierpliwie. – Może byście spróbowali rozmawiać z nim normalnie, a nie jak wodzireje na taniej imprezie dla dzieci?

– Ale Benji je brokuły tylko wtedy, gdy tatuś mówi w ten śmieszny sposób – ciągnie Anton przez niby-głośnik.

Benji wcale się nie śmieje. Ze wszystkich sił stara się nie udławić jedzeniem, którego nie cierpi.

Nieprzemakalna wesołkowatość Antona sprawia, że mam ochotę obrzucić go stkiem wyzwisk. Jeden jedyny raz, gdy widziałam na jego twarzy cień niezadowolenia, zdarzył się w dniu, kiedy klientka Monk & Sons określiła go mianem „koguta domowego”. Fran szybko ją poprawiła, lecz zrobiła to na siłę, w sposób, który sprawiał wrażenie wyuczanej reakcji. Ja popełniłam błąd, powtarzając tę anegdotę Kittowi, który natychmiast wykształcił odruch Pawłowa i na każdą wzmiankę o Antonie, mówił: „Anton – nie kogut domowy, ale osobisty trener na bezterminowej przerwie w pracy”.

– Na taniej imprezie! – oburza się moja mama. – No tak, teraz zrobiłaś się ekskluzywna ze swoim domem za milion funtów, tak?

– Za kompletnie nieosiągalny milion funtów – dodaje szybko Fran.

Nie jest pogodzona z faktem, że mnie i Kittowi powodzi się lepiej niż im dwojgu, choć pewnie sama przed sobą by się do tego nie przyznała. Jest jeszcze gorzej, odkąd Kitt odszedł z Deloitte i założyliśmy własną firmę. Gdyby Nulli zbankrutowało, Fran by nam współczuła, ale jednocześnie mocno by jej ulżyło. Jestem pewna, że mam rację, choć nie umiałabym tego udowodnić. W tej chwili wielu

rzeczy nie jestem w stanie udowodnić.

Fran i Anton mieszkają w domu o nazwie Thatchers, który jest mniejszy od mojego i stoi bliżej domu rodziców, niemal naprzeciwko, za skwerem. Podobnie jak Melrose Cottage, Thatchers to jednopiętrowa kamienica z dwiema sypialniami na górze, ale kuchnia jest ledwie wąskim pasem na końcu salonu, a sypialnie mieszczą się pod pochyłym dachem, więc ciężko w nich stać z wyprostowanymi plecami. Mimo to akurat Anton i Fran nie cierpią związanej z tym niewygody, bo od narodzin Benjiego spędzają praktycznie cały czas u rodziców Thatchers, którego nie przestają nazywać domem, niemal zawsze stoi pusty.

Dlaczego nikt nie mówi na głos, jak niedorzeczne jest utrzymywanie pustego domu? Bardziej idiotyczne niż oglądanie domów w Cambridge. Bardziej idiotyczne niż rozważanie przeprowadzki do jednego z najpiękniejszych i najciekawszych angielskich miast, by nie spędzić reszty życia w Little Holling, w którym jest jeden pub i mniej niż tysiąc mieszkańców.

– Nie słuchaj jej, Anton – mówi matka. – Connie ewidentnie postradała zmysły.

– Może mi to wynagrodzić – mruga do mnie Anton. – Dodatkową opieką nad dzieckiem.

Próbuję się uśmiechnąć, choć wizja nadprogramowych godzin z Benjim budzi we mnie niechęć. Już i tak opiekuję się ich małym w każdy wtorek. W mojej rodzinie, jeśli coś zdarzy się raz i okaże sukcesem, prędzej czy później ktoś zaproponuje, by zrobić z tego

tradycję.

– Jeden czeko paluszek, dwa czeko paluszki, trzy czeko paluszki!

Teraz Fran odgrywa scenkę przed Benjim, by okazać wsparcie dla Antona i jego durnowatych głosów. Jest po stronie swojego męża, matka i ojciec trzymają ze sobą, a ja jestem sama. I dobrze mi z tym. Wszystko, co oddała mnie od klanu Monków, musi być dobre.

– Moje zmysły mają się dobrze – mówię do matki. – Wiem, co widziałam: martwą kobietę w salonie, leżącą we własnej krwi. Detektyw, z którym rozmawiałam dziś rano, podszedł do sprawy serio. Jeśli wy nie chcecie zrobić tak samo, wasza sprawa.

– Connie, posłuchaj tylko, co wygadujesz – zwraca się do mnie matka ze smutkiem.

– Szkoda słów, Val – mamrocze ojciec. – Czy ona kiedykolwiek nas słucha? – Unosi w górę dłoń i patrzy uważnie na stół, jakby spodziewał się coś tam znaleźć. – I co z tą herbatą?

– Wybacz, kochanie, ale to nie ma najmniejszego sensu – mówi do mnie mama stłumionym głosem, napełniając czajnik wodą i rzucając w stronę ojca pełne poczucia winy spojrzenia, w nadziei że nie zauważy jej ciągłego angażowania się w rozmowę z córką, chociaż on przed chwilą uznał to za niewarte zachodu. – Wystarczy przez chwilę się nad tym zastanowić, by zrozumieć, że to absolutnie niemożliwe. Po co ktoś miałby zamieszczać zdjęcie martwej kobiety na stronie internetowej agencji nieruchomości? Morderca by tego nie zrobił, bo raczej chciałby ukryć swój czyn. Agent też by tego nie zrobił, bo chciałby sprzedać dom, a nikt nie kupi...



– Chyba że moja starsza córka – ogłasza donośnie ojciec. – Nie tylko córka, ale też księgowa, co mnie jeszcze bardziej martwi. Nie widzi żadnego problemu w zadłużeniu się po uszy, by kupić jakiś makabryczny dom za milion funtów!

Nie rozumiem, czemu wykrzykując te słowa, patrzy na Benjiego, jakby to malec był wszystkiemu winien.

– Tato, ja nie chcę kupować tego domu. Nie stać mnie na niego. W ogóle mnie nie słuchasz.

Jak zwykle. Co miał na myśli, mówiąc o księgowej? Czyżby się bał, że okradnę jego firmę? Że moja rozrzutność doprowadzi rodzinny biznes do bankructwa? Zawsze znakomicie prowadziłam dla niego księgi i w ogóle się to nie liczy. Niepotrzebnie się tak starałam.

A teraz myślę jak męczennica. Wygląda na to, że to prawda: każda kobieta zamienia się w swoją matkę.

Powiedz im wszystkim, że odchodzisz z Monk & Sons. Składasz rezygnację. Praca na pełny etat w Nulli – tego właśnie chcesz, prawda? Co takiego w tych ludziach sprawia, że nie jesteś w stanie powiedzieć im, co myślisz, ani zrobić przy nich tego, czego pragniesz?

– Sam sobie przeczysz – mówię do ojca. – Skoro wszystko było halucynacją, to dom nie jest makabryczny.

– Czyli jednak chcesz go kupić. Wiedziałem!

Ojciec wali dłonią w chybotający się stół.

– Sprzedawca by tego nie zrobił – mamrocze do siebie matka, owijając poparzoną dłoń w papierowy ręcznik i czekając, aż woda w

czajniku się zagotuje. – Tak samo jak agentowi zależy mu na sprzedaniu tego domu.

– Proszę cię, przestań już wymieniać wszystkie osoby, które nie zamieściłyby w internecie zdjęcia martwej kobiety – jęczy Fran. – Rozumiemy, co chcesz powiedzieć: nikt by tego nie zrobił.

– W takim razie Connie nie mogła jej zobaczyć.

Mama kiwa tryumfalnie głową, jakby to ostatecznie rozwiązywało problem.

Dlaczego zawsze tak samo się przy nich czuję? Ilekroć rozmawiam ze swoją rodziną przez dłuższy czas, prędzej czy później zaczynam się dusić i desperacko szukać powietrza.

Dłużej tego nie zniosę. Ale nie wyobrażam też sobie powrotu do domu, do Kitta, który zapyta mnie, jak było u rodziców, i będzie się zanosił śmiechem, gdy mu wszystko zrelacjonuję. Będzie zresztą oczekiwał ode mnie szczegółowej relacji, jakby uważał mnie za komika, a moją rodzinę za postaci niewinnego sitcomu. W tej chwili chcę porozmawiać tylko z jedną osobą i chociaż jest sobota, to sytuacja jest pilna.

Doprawdy? Jesteś tego pewna?

A kiedy ostatni raz byłam czegokolwiek pewna?

Wyjmuję z torebki telefon komórkowy i wychodzę z kuchni. Mama woła za mną:

– Nie musisz iść do innego pokoju. Nie będziemy podsłuchiwać.

– I wyobraź sobie, że prawie tego nie zrobiłam. Myślałam: To nie jest naprawdę pilna sprawa. Nie ty wykrwawiasz się na śmierć, nie zwisasz na palcach nad przepaścią. Zachowaj swój przywilej dzwonienia o dowolnej porze dnia i nocy na sytuację zagrożenia życia, nie marnuj jej na to. Ale czemu nie? W końcu to jest sytuacja zagrożenia życia: kobieta, którą widziałam, została zamordowana, nie ma innej możliwości. Poza tym dlaczego uznałam, że przywilej jest jednorazowy i że jeśli raz zadzwonię w nagłym wypadku, to na zawsze go stracę? Czy będziesz na mnie zła, jeśli w razie jakiegoś kryzysu zadzwonię do ciebie jeszcze raz poza godzinami pracy za kilka miesięcy albo i lat?

– Czy zdajesz sobie sprawę ze słownictwa, którego używasz? – pyta Alice. – „Zachowaj”, „nie marnuj”?

Nie, nie zdawałam sobie sprawy. Przyznanie się do tego byłoby zbyt przygnębiające, więc nic nie mówię. Gdy zaczynałam się spotykać z Alice, długie chwile milczenia bardzo mnie krępowały. Teraz już do nich przywykłam, nawet je polubiłam. Bywa, że liczę w myślach, jak długo trwają. Czasem wchodzę w rodzaj transu, gapiąc się na koraliki z bezbarwnego szkła, wszyte wzdłuż dolnej krawędzi jedwabnej zasłony, albo na żyrandol z różowymi motylami.

– Dlaczego opowiedziałaś rodzinie o martwej kobiecie i o krwi? – pyta w końcu Alice.

– Kitt spytał mnie o to samo. „Po co im mówić? – powiedział. – Tylko cię wymęczą i sprawią, że będziesz miała jeszcze gorszy nastrój”. Wiedziałam, że ma rację, ale i tak poszłam i stanęłam na linii

ognia.

– Często opisujesz atmosferę u swoich rodziców jako „duszną”.

– Alice pamięta każde słowo, jakie przy niej wypowiedziałam od naszego pierwszego spotkania, a nie prowadzi notatek. Może różowe motyle kryją jakieś urządzenie nagrywające. – Dlaczego z własnej woli poszłaś się dusić? W dodatku po nieprzespanej nocy i najsilniejszym wstrząsie w życiu.

– Musiałam im powiedzieć. Był u mnie detektyw. To zdawało się... zbyt ważne, by dało się przed nimi zataić. Nie mogę utrzymywać kontaktów z policją i ukrywać ich przed rodziną.

– Nie możesz?

Między ludźmi, którzy się kochają, nie może być żadnych tajemnic. Przez całe życie mi to wdrukowywano. Wątpię, by dało się wytłumaczyć tego typu programowanie osobie, która nigdy nie była mu poddana.

– A jednak przemilczałaś inny duży temat w swoim życiu – mówi Alice. – Problem, który zajmuje cię od stycznia.

Śmieję się, choć wolałabym płakać.

– To nie to samo. Tamta sprawa może się okazać błahostką. Pewnie nią jest.

– Martwa kobieta też może się okazać błahostką, jeśli ją sobie wyobraziłaś.

– Nie. Wiem, że naprawdę ją widziałam.

Alice zdejmuje okulary i kładzie je sobie na kolanach.

– Tego, co się wydarzyło w styczniu, też sobie nie wyobraziłaś – mówi. – Nie wiesz, co to może znaczyć, ale wydarzyło się naprawdę.

– Przecież nie powiem rodzicom, że według mnie Kitt może prowadzić równoległe życie, o którym nic nie wiem – bronię się, nienawidząc się za te słowa. – Nie ma takiej możliwości. Nie rozumiesz. Mogłam zmienić nazwisko, ale nadal jestem Monkiem, a w rodzinie Monków wszystko jest miłe, normalne i szczęśliwe. To nie przypadek, lecz twarda zasada. Nie istnieją problemy, co najwyżej niechęć Benjiego do brokułów. To najgorsza rzecz, jaka może się nam przytrafić. Absolutnie niedozwolone jest, by działo się coś dziwnego, coś naprawdę złego i dziwnego. Bo rzeczy śmiesznie dziwne mogą się dziać, o ile składają się na śmieszną anegdotę.

Ocieram twarz, próbuję się opanować.

– Od złego i dziwnego gorsze jest tylko to, co niejasne. Moi rodzice nie akceptują żadnych form dwuznaczności. Dosłownie: gdy tylko ośmieli się pokazać, bez wahania wyrzucają ją za drzwi. Wszystko, co robią mama i tata, robione jest bez wahania. Niepewność jest ich największym wrogiem. Jednym z wrogów – poprawiam się. – Zmiana jest drugim. I spontaniczność. I ryzyko. Cała banda śmiertelnych wrogów.

– Nic dziwnego, że twoi rodzice są wiecznie wystraszeni – mówi Alice. – Sama to powiedziałaś: są prześladowani przez bandę.

Czy tym razem da mi ten sam specyfik co ostatnio? Kali Phos, tak się nazywał. Dla ludzi z awersją do krewnych. Gdy powiedziałam o

nim Kittowi, zagroził, że ukradnie jedną fiołkę dla siebie.

– Kitt jest nieszczęśliwy – mówię. – Przeze mnie. Nie może zrozumieć, dlaczego mu nie ufam. Ja zresztą też. Dlaczego nie mogę zaakceptować faktu, że czasem dzieją się dziwne rzeczy? Wiem, że Kitt mnie kocha i że pragnie, by nasze życie wróciło do normy. Jestem całym jego światem i... Kocham go. Dziwnie to brzmi, wiem, ale Kocham go mocniej niż kiedykolwiek. Jestem oburzona w jego imieniu.

– Bo prawdopodobnie jest niewinny, a jego własna żona mu nie wierzy? – zgaduje Alice.

Kiwam głową.

– Jak mogłabym powiedzieć rodzicom i Fran? Oni też zaczęliby w niego wątpić, a przecież nie ma żadnego sposobu na ucięcie tych podejrzeń. Czy już dostatecznie go nie pognębiłam?

– Czyli ukrywasz to przed rodziną dla jego dobra?

– Jego i ich. Mama i tata nie potrafiliby z tym żyć, wiem to na pewno. W dodatku próbowaliby przekonać mnie, że ja też nie powinnam. Wynajęliby prywatnego detektywa. Chociaż nie. To by oznaczało, że są wplątani w jakąś niecną historię. Wiem, co by zrobili.

– Odbieram to jako nagłe olśnienie, choć na pewnym poziomie wiem, że trochę zmyślam. – Wywarliby na mnie presję, żebym od niego odeszła i zamieszkała z nimi. Na wszelki wypadek. Powiedzieliby coś w stylu: „Jeśli nie możesz mu zaufać w stu procentach, nie powinnaś z nim zostać”.

– Czy to takie niedorzeczne?

– Tak. Wolałabym zniszczyć sobie życie wieczną podejrzliwością niż zostawić mężczyznę, którego kocham i który prawdopodobnie nie zrobił nic złego.

Alice zakłada z powrotem okulary i nachyla się w moją stronę. Jej skórzany fotel skrzypi.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz – mówi. – Twierdzisz, że nie ma żadnych szans na to, byś kiedykolwiek przestała go podejrzewać, a w następnym zdaniu mówisz o możliwości wynajęcia prywatnego detektywa. Możesz nie chcieć tego robić, rozumiem twój opór, ale czy aby nie jest to jeden ze sposobów, by dowiedzieć się ponad wszelką wątpliwość, czy Kitt kłamie?

– Czyli twoim zdaniem powinnam wynająć detektywa? – Jeśli powie „tak”, już nigdy tu nie przyjdę. – Czy dla takiej paranoiczki jak ja nie jest niebezpieczna myśl, że wystarczy komuś zapłacić, by nabrać pewności? Czy nie powinnam raczej skupić się na pielęgnowaniu zaufania? A co, jeśli ten detektyw będzie śledził Kitta przez miesiąc i niczego się nie dowie? Myślisz, że wtedy uznam, iż faktycznie nie było się o co martwić, czy zacznę się zamećzać myślą, że detektyw coś przeoczył?

Alice się uśmiecha.

– Mimo to dzisiaj rano powiedziałaś detektywowi, że widziałaś w internecie martwą kobietę. On też może coś przeoczyć.

– To wtedy pojedę to Cambridge i znajdę lepszego detektywa, który będzie musiał mnie uważnie wysłuchać – mówię buńczucznie.

- Bo chcesz poznać prawdę.
- Nie chodzi o mnie, tylko o kobietę, którą widziałam. Kimkolwiek ona jest. Ktoś ją zamordował. Nie mogę tak po prostu.
- Chcesz poznać prawdę – powtarza Alice.
- No dobrze, tak! Zobaczyłam martwą kobietę na podłodze właśnie w tym domu. Czy ty na moim miejscu nie chciałabyś poznać prawdy?
- Connie, czy mogę być absolutnie szczerą? W wypadku martwej kobiety twoje pragnienie znalezienia odpowiedzi jest szczególnie silne. Wyczuwam je, jest niemalże namacalne. Zazwyczaj takie nastawienie pomaga w ustaleniu prawdy. Gdy skupiamy się na czymś w stu procentach, jeśli wierzymy, że to osiągniemy, i z całych sił dążymy do celu, wiedząc, że nigdy się nie poddamy, wówczas cel naszych poszukiwań sam nas znajduje i sukces jest tylko kwestią czasu. Jednak jeśli chodzi o ciebie, występuje dodatkowa komplikacja: w innym obszarze twojego życia perspektywa ustalenia faktów cię przeraża. Wytwarzasz wokół siebie pole magnetyczne, które odpycha prawdę.

Alice zaplata ramiona i czeka na moją reakcję.

- Masz na myśli Kitta? To nie fair. Wiesz, jak bardzo się staram.
  - Nieprawda – mówi Alice. – Okłamujesz się, jeśli sądzisz inaczej.
- W takim razie muszę być niesamowicie przekonująca.
- Czyli twoim zdaniem te przeciwstawne energie się łączą i wysyłają sprzeczny sygnał? Mój strach przed poznaniem prawdy o mężu uniemożliwia mi poznanie jakiegokolwiek prawdy?



Alice milczy.

– To znaczy, że ten, kto kieruje całą tą energią i przyciąganiem w kokpicie wszechświata, Bóg, Przeznaczenie czy jakkolwiek go nazywać, jest krótkowzroczny – mówię poirytowana. – Nie jest w stanie przeczytać listy punkt po punkcie: po pierwsze, prawda o martwej kobiecie, po drugie, prawda o potencjalnie niewiernym mężu. Wszystko mu się miesza i rozmazuje, więc nie wie do końca, czym powinien się zająć. Nie mógłby trochę mocniej się skupić? Może wyczarowałby sobie porządne okulary? Dla wszechmogącego władcy wszechświata nie powinno to być trudne.

– Nic się nie miesza i nie zamazuje – twierdzi Alice. – Te dwie pozycje nigdy nie były oddzielne. Łączy je wspólny adres: Bentley Grove jedenaście, Cambridge.

Czuję, jakbym zaraz miała wymiotować.

Kitt jej nie zabił. Kitt jej nie zabił. Nie jest mordercą. Nie pokochałabym mordercy.

– Chcesz poznać tylko część prawdy czy całą prawdę? – pyta Alice.  
– Gdybyś mogła wybrać wszystko albo nic?

– Wszystko – odpowiadam szeptem. Boli mnie brzuch.

– To dobrze. Dzwoni twój telefon.

Nie słyszałam.

– Nic tak nie przekonuje zatwardziałego sceptyka jak natychmiastowy rezultat – mówi Alice.

– Pozwolisz, że. Halo?

– Czy to Connie Bowskill?

– Tak.

– Mówi sierżant Kombothekra.

Serce skacze mi do gardła. Kombothekra, Kombothekra. Próbuje zapamiętać jego nazwisko.

– Może się pani stawić w komisariacie Spilling w poniedziałek o dziewiątej trzydzieści?

– Czy coś się stało? Rozmawiał pan z policją w Cambridge?

– Wolałbym omówić to z panią w cztery oczy – odpowiada. – Poniedziałek rano, dziewiąta trzydzieści?

– Dobrze. Może chociaż.

– Porozmawiamy w poniedziałek.

Rozłącza się.

Alice unosi szklanekę z wodą w geście przypominającym toast.

– Dobra robota – mówi, szeroko się uśmiechając.

Nie mam pojęcia, czego mi gratuluje.

## **DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/21IG**

D, nie zapomnij skoczyć do supermarketu. Kup:

chlebki pita, koncentrat pomidorowy, sałatę, mieloną jagnięcinę, ser feta, cynamon, karczochy pieczone na węglu (w oleju, słoiczki w części delikatesowej – NIE w puszcze), nowy piórnik dla Riordana i coś dla Tilly, żeby nie było jej przykro, na przykład gazetkę o Barbie czy coś takiego.

Pa!

E xx

# 6

**19/07/2010**

- Wystawiłeś swój dom na sprzedaż.
- Nie wystawiłem – powiedział Gibbs.
- Załóżmy, że tak. Chcesz się przeprowadzić, więc postanowiłeś sprzedać dom – ciągnął Sam. – Jaki miałbyś powód, by zamieszkać w hotelu?

Przez ostatnie piętnaście minut Sam Kombothekra krążył wokół biurka Gibbsa. Co jakiś czas na niego spoglądał, lecz szybko odwracał wzrok, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie był pewien, jak się do tego zabrać.

Gibbs czekał cierpliwie, aż jego sierżant wreszcie się wysłowi.

- Może gdybym chciał wziąć urlop i nie miał ochoty sam sobie gotować.
- Nie, urlop odpada. Wtedy nie wybrałbyś hotelu w sąsiedztwie domu. Przepraszam, nie wysławiam się zbyt jasno.

W ogóle się nie wysławiasz.

- Po co miałbyś wynajmować pokój w hotelu w oczekiwaniu na sprzedaż domu? Nawet jeśli miałyby to trwać jakiś czas.

– Nie zrobiłbym tego – odparł Gibbs, poirytowany faktem, że Robot jest jego przełożonym, w związku z czym nie można mu powiedzieć, żeby spadał i przestał zawracać głowę. – Mieszkałbym do końca w swoim domu, a dopiero po jego sprzedaży przeprowadziłbym się do nowego. Czy nie tak to się na ogół odbywa?

– Właśnie.

– Nawet gdybym miał fart i szybko znalazłbym kupca, to do sfinalizowania sprzedaży i tak miałbym co najmniej sześć tygodni. Sześć tygodni w hotelu to wydatek poza zasięgiem większości ludzi. Mnie w każdym razie nie byłoby na to stać.

– Powiedzmy, że masz pieniądze. Dużo zarabiasz albo odziedziczyłeś fortunę.

– I tak bym tego nie zrobił. Nikt by tego nie zrobił. Niby dlaczego miałbym nie mieszkać do końca w swoim domu?

– Może nie miałbyś ochoty na nieustanne kontakty z potencjalnymi kupcami i rzeczoznawcami, którzy nachodziliby cię w środку sympatycznych wieczorów z przyjaciółmi, dzwonili do drzwi o dziewiątej rano w sobotę, zrywając z łóżka? Nie wygodniej byłoby przenieść się do hotelu?

– Nie – oznajmił kategorycznie Gibbs. Sympatyczne wieczory z przyjaciółmi? Od czasu do czasu zaglądały do nich na herbatę koleżanki Debbie – czy właśnie to miał na myśli Kombothekra? Za kogo on go miał – za Nigellę Lawson?

Obok nich pojawił się Colin Sellers wyglądający gorzej niż przed

tygodniem, co Gibbs uznałby za niemożliwe, gdyby nie patrzył właśnie na jednoznaczny materiał dowodowy.

– Twoje włosy wyglądają jak sierść wypluta przez kota – zawołał Gibbs, lecz nie doczekał się reakcji. Spróbował jeszcze raz: – Niektórzy fryzjerzy oferują poderżnięcie gardła za cenę strzyżenia. Wszystkie problemy rozwiązane za jednym zamachem.

Sellers stęknął pod nosem i skierował się do swojego biurka. Suki, jego wieloletnia dziewczyna, rzuciła go dwa tygodnie temu. Z początku Gibbs próbował go rozweselić, przypominając koledze, że wciąż ma swoją żonę, Stacey, która nigdy nie dowiedziała się o romansie, ale Sellers nie dawał się pocieszyć.

– W mojej duszy zieje bezdenna dziura po dziewczynie – mamrotał smętnie. – Jeśli chcesz pomóc, znajdź mi nową kobietę. Masz jakieś kandydatki?

Gibbs zaprzeczył.

– Każda będzie dobra – nalegał Sellers. – Stara, młoda, gruba, chuda. Może być kaszalot, jeśli nie znajdziesz nic lepszego. Byle była nowa.

Myśl, że gdzieś po świecie chodzą kobiety, których mógłby nigdy nie bzyknąć, była dla Sellersa żalem napędowym.

Gibbsowi podobało się to określenie. Było praktycznym narzędziem do kwalifikowania ludzkich typów. Robot był ciężkim przypadkiem, bo Gibbs nie znał żadnych jego żalów. Mroźny miał ich zbyt wiele. Gibbs zastanawiał się, czy konieczny jest jeden dominujący, czy raczej liczą

się całe ich wiązki.

– Biedny Colin – zasepił się Kombothekra. – Nie najlepiej sobie radzi.

– Jak duży jest mój dom?

– Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.

– Dom, który wystawiłem na sprzedaż – wyjaśnił Gibbs.

– A, przepraszam. Jak dla jednej osoby, to duży Cztery sypialnie, salon, pokój dzienny, oranżeria, jadalnia, spora kuchnia. Gigantyczny ogród.

– Czyli jestem przyzwyczajony do dużych przestrzeni. Nie chciałbym mieszkać w jednym pokoju hotelowym, dopóki nie sprzedałbym swojej chałupy. Dostałbym ataku klaustrofobii.

– Wyobraź sobie, że jesteś kobietą.

– Mów trochę ciszej – powiedział Gibbs, pokazując na Sellersa.

– Nie chcę, żeby Cudzołożnik mnie dopadł.

– Masz sentymentalną naturę. Przeprowadzasz się, bo musisz zamieszkać w innej części kraju ze względu na pracę, ale kochasz swój dom. Nie możesz znieść mieszkania w nim ze świadomością, że wkrótce go opuścisz. Wolisz wyprowadzić się natychmiast i...

Gibbs kręcił głową.

– Mógłbym coś takiego zrobić, gdybym nienawidził swojego domu i nie mógł wytrzymać w nim kolejnej doby – powiedział. – Gdybym mieszkał w nim z facetem, który niemiłosiernie mnie tłukł albo gdyby

stało się w nim coś strasznego, jak śmierć dzieci w pożarze albo włamanie i gwałt.

Detektyw inspektor Giles Proust przeszedł obok nich, nie podnosząc głowy. Gdy dotarł do swojego oszklonego boksu po przeciwnej stronie sali, odwrócił się, zamachał teczką i powiedział:

– Nie przeszkadzaj sobie, Gibbs. Niech wybrzmi do końca twoja pouczająca i budująca opowieść, twoja inspirująca, poniedziałkowa sentencja na nowy tydzień.

Po tych słowach wszedł do gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Chrzań się, Mroźny.

Kombothekra tarł czoło dłonią, wyraźnie czymś przejęty.

– Nie wierzę, że się to dzieje – oznajmił. – Za chwilę przyjdzie tu niejaka Connie Bowskill i prawdopodobnie podzieli się ze mną stekiem kłamstw albo mieszaniną kłamstw i półprawd, a ja nie będę w stanie się zorientować, czy jest wobec mnie szczerą, bo nie mogę złapać Waterhousea. Nie mam jak się z nim skontaktować, to po prostu niewykonalne. Tymczasem wystarczyłaby mi dwuminutowa rozmowa z Simonem, nawet minutowa, a sytuacja stałaby się jaśniejsza.

Gibbs wiedział, gdzie jest Waterhouse. Nie miał jednak pozwolenia na dzielenie się tą wiedzą.

Drzwi gabinetu Mroźnego otworzyły się i inspektor wychylił z nich swoją łysą głowę.

– Spodziewa się pan gościa, sierżancie? W recepcji jest kobieta, która o pana pytała. Młoda, ciemne włosy, atrakcyjna. Connie Bowler,



jeśli się nie mylę. Ominąłem ją dużym łukiem.

– Connie Bowskill – sprostował Kombothekra.

Gibbs słyszał w jego głosie wyraźną niechęć. Proust też z pewnością ją zarejestrował.

– Mam dobrą pamięć do nazwisk, a to nic mi nie mówi. Kto to jest?

– Connie Bowskill? – Sellers podniósł wzrok znad batonika, który właśnie rozpakował. – Pierwsze słyszę.

Ale na pewno już cię korci, żeby ją przelecieć, co?

Kombothekra przestępował z nogi na nogę, unikając wzroku Prousta.

– Co to za kobieta, sierżancie? Jasnowidzka? Nauczycielka gry na flecie? Mogę stać tu cały dzień i zgadywać albo ułatwi nam pan obu życie i odpowie na moje pytanie.

– Ktoś... komu próbuję pomóc. To długa opowieść, panie inspektorze. W dodatku zanosি się na kolejne rozdziały. Niewykluczone, że jednym z wątków jest morderstwo.

– Zupełnie jak u mnie, w związku z pomysłami na szkolenia dla waszego zespołu, które śnią mi się co noc. Jeśli doszło do morderstwa, to czemu nic mi o tym nie wiadomo?

– To nie nasz rewir.

– W takim razie co ta kobieta robi u nas? Dlaczego nie czeka w recepcji komisariatu w Somerset albo Nether Stowey?

– Nie mam czasu tego wyjaśnić, jeśli Connie Bowskill już tu jest –

odparł Kombothekra. – Proszę mi pozwolić z nią porozmawiać, a później wszystko panu wytłumaczę.

Potencjalne morderstwo. Czy to oznacza, że Gibbs będzie zobowiązany powiedzieć Kombothekrze, gdzie jest Simon? Możliwe. Niewykluczone.

– Już mi się to nie podoba – warknął Proust. – W przyszłości, sierzancie, niech pan będzie mniej pomocny dla ludzi, którzy nie są mną. Będzie pan miał krótsze opowieści do streszczania.

Inspektor schował się z powrotem w swoim gabinecie, zamykając drzwi, ale zamiast podejść do biurka, jak to zwykle robił, stał nieruchomo z teczką w dłoni i gapił się przez szybę, z twarzą pozbawioną wyrazu. Jak stary, brzydki eksponat w muzealnej gablocie. Ten facet to świr, jego miejsce jest w domu wariatów. Gibbs postanowił wygrać pojedynek na spojrzenia. Po kilku sekundach znudził się i poddał walkę.

W drzwiach pojawił się konstabl Robbie Meakin.

– Państwo Bowskill czekają w stołówce, sierzancie.

– W stołówce?

Sam Kombothekra był rozczarowany, co w jego wypadku stanowiło odpowiednik gniewu.

– Nic innego nie znalazłem, przykro mi. Wszystkie pokoje są pozajmowane.

– Zawsze możecie wynająć pokój w hotelu Blantyre, niedaleko stąd – zasugerował Gibbs. – Skoro już mowa o hotelach.

Czy raczej powinien był powiedzieć „Blantyre”? Nie, sztyld nad wejściem mówi „Hotel Blantyre”. Gibbs zastanawiał się, na ile nocy w Blue Horizon byłoby ich stać z Olivią, zanim skończyłyby im się pieniądze. Całkiem sporo, jeśli tylko sprzedałaby swoją sukienkę za dwa tysiące funtów.

Powinien do niej zadzwonić, zanim powie cokolwiek Kombothekrze o miejscu pobytu Waterhousea. Winien jej był ostrzeżenie. Miał do niej telefon, a ona musiała dostać jego numer od Charlie, bo w zeszłym tygodniu napisała mu SMS-a, że nie może się doczekać wspólnego „świadkowania”. Z perspektywy czasu, mając już ślub Simona za sobą, Gibbs stwierdził, że też ochoczo czekał na tamten dzień. Bez wydarzeń, których człowiek nie może się doczekać, jaki sens ma życie?

Postanowił nie dzwonić do Olivii od razu. Mogła poczekać jeszcze z godzinę.

Gdzie się teraz podział? Rezerwując miejsca w Los Delfines, Charlie zakładała, że dwutygodniowy pobyt w ogromnej willi będzie cudownie luksusowy i ekscytujący. Tymczasem stopniowo okazywał się wyjątkowo frustrujący. W domu, gdy Simon zniknął i Charlie wyruszała na poszukiwania, zawsze znajdowała go niemal od razu. Tutaj było to trochę trudniejsze. Na bieganie po trzydziestu pokojach w tym upale nie miała najmniejszej ochoty.

– Simon? – zawołała, stojąc u stóp białych marmurowych schodów. Czyżby siedział w toalecie? Nie trwałoby to tak długo, w każdym razie nie bez Moby Dicka, a przed chwilą widziała książkę przy

basenie. W łóżku pewnie też nie leżał – było to ostatnie miejsce, w którym chciałby być przez nią nakryty. Może był w kuchni i przyrządzał lunch? Wczoraj Charlie narzekała, że musi obierać krewetki, które kupili w pobliskim supermarkecie. Może więc postanowił tym razem samemu się tym zająć i oszczędzić jej wysiłku? Zaśmiała się w duchu. Akurat.

Poprawiła top od bikini i skierowała się w stronę kuchni, gdy nagle coś dostrzegła. Kawałek papieru na komodzie zapisany drukowanymi literami. Czyżby wyszedł, zostawiając liścik? Nie, zauważyłaby go, opalając się na leżaku. Musiałby przejść obok niej.

Wzięła do ręki kartkę, która okazała się biletem lotniczym Simona. Na odwrocie widniał jego odręczny napis: „BENTLEY GROVE 11, CAMBRIDGE, CB2 9AW”. Charlie ściągnęła brwi. Czyj to adres? Miała go tu znaleźć, czy Simon zanotował go dla siebie jako przypomnienie? Kogo znał w Cambridge? Nikogo, o ile było jej wiadomo.

Usłyszała kroki na schodach.

– Wołałaś mnie? – zapytał Simon. – Byłem na tarasie, patrzyłem na twarz na górze. Powinnaś spojrzeć stamtąd, od razu ją zauważysz.

A ten znowu o górze.

– Nie obchodzi mnie ta twarz.

– Chcę, żebyś ją zobaczyła – nie poddawał się Simon.

– Co to za adres? Bentley Grove jedenaście w Cambridge?

– Hm?

– CB2 9AW

Simon wyglądał na skołowanego.

– O czym ty mówisz?

– O tym – odparła Charlie, wymachując biletem.

– Pokaż.

Simon podszedł bliżej. Spojrzał na bilet, a potem na Charlie.

– Nie mam pojęcia – powiedział. – To twój bilet lotniczy?

– Twój – odparła Charlie. – Mój leży koło basenu, używam go jako zakładki. Ty swój wcisnąłeś do kieszeni, jak wchodziliśmy do samolotu. Widziałam. W którymś momencie musiałeś go wyjąć, zanotować na nim ten adres i położyć na komodzie.

Jak mógł tego nie pamiętać?

Simon kręcił głową.

– Nic takiego nie zrobiłem. Może to byłaś ty?

– Ja? – Charlie się zaśmiała. – Czy w takim wypadku pytałabym cię, czemu ty to zrobiłeś?

Simon nie wyglądał na przekonanego. Charlie zauważyła, że miał taki wyraz twarzy, jaki przybierał zwykle, gdy przesłuchiwał podejrzanych: nieprzenikniony, niedostępny.

– Czyj to adres? – zapytał.

– Simon, to jest najbardziej idiotyczna rozmowa, jaką kiedykolwiek z tobą prowadziłam, a to spore osiągnięcie, zważywszy na

konkurencję. Nie wiem nic o tym adresie. Ty coś wiesz, bo to ty go zapisałeś, więc teraz powiedz mi, kto tam mieszka.

– Cambridge. Ty kiedyś mieszkałaś w Cambridge.

– Nie ośmielaj się mnie o nic podejrzewać. Powiedz mi, co wyprawiasz, albo...

– Charlie, ja tego nie napisałem. Nie znam nikogo w Cambridge. – Nie wyglądał już na nieprzeniknionego, był rozgniewany – Co to ma znaczyć, do cholery? Usłyszałaś, że idę po schodach, i wiedziałaś, że nie zdążysz schować tej kartki, więc wymyśliłaś sobie ten idiotyczny blef i postanowiłaś oskarżyć mnie, że to ja ją tu położyłem. Sprytne. Ale musisz wiedzieć, że to nie zadziała. Ja wiem, że tego nie napisałem, nie zapominaj o tym. A to oznacza, że tylko ty mogłaś to zrobić. Chyba że chcesz wciągnąć w to Dominga. Może to on zanotował ten adres?

– Hej, hej! – Charlie podniosła obie dłonie w uspokajającym geście. – Simon, to jakiś kabaret. Weź głęboki oddech. Ja tego nie napisałam. Domingo tego nie napisał. Ledwo duka po angielsku. Ty to napisałeś. To jedyne wytłumaczenie.

– Tyle tylko że nieprawdziwe. – Wyraz jego twarzy przyprawił Charlie o dreszcz. – Jeśli dzieje się coś, o czym nie wiem, lepiej powiedz mi teraz, nawet jeśli to coś bardzo złego.

Charlie wybuchnęła płaczem. Czuła narastającą panikę i gęsią skórę na całym ciele. Co miała począć osoba, która powiedziała prawdę, lecz nie przekonała do niej najbliższego sobie człowieka?

– Nie napisałam tego! – wykrzyknęła Simonowi w twarz. – Dobrze, jeśli twierdzisz, że ty też nie, to ja ci wierzę. Ale ty też powinieneś mi zaufać.

– Chcesz, żebym przeczesiał dom w poszukiwaniu intruza z niebieskim długopisem? – zapytał lodowatym tonem Simon. – Czy może szybciej będzie, jak sprawdzę twoją torebkę?

– Moją...?

– Sądzę, że twój długopis będzie pasował.

Boże, niech to się już skończy. Jak położyć kres temu szaleństwu? Owszem, w jej torebce jest niebieski długopis i jeśli Simon go znajdzie. Ale przecież tego nie zrobiła, a długopis z torebki mógł równie dobrze wyjąć Simon. Jeśli wiedział dokładnie, jakim kolorem został zanotowany ten adres. Nie, nie mogła zacząć myśleć w ten sposób, musieli sobie ufać.

– W takim razie zostaje już tylko Domingo – powiedziała. – Może i ledwo duka po angielsku, lecz to musiał być on. Nie wiem, może odebrał czyjąś wiadomość. Może właściciele willi są Anglikami. Może mieszkają w Cambridge albo po prostu spędzają tam czas.

Czy to możliwe? Musiało tak być, jeśli Simon mówił prawdę.

– Znajdź go i zapytaj.

– Ty go znajdź i sam go, kurwa, zapytaj – warknęła Charlie. – I jeśli zaprzeczy, to będzie znaczyło, że kłamie!

– Cała się trzęsiesz – odparł Simon, podchodząc do niej. Charlie przygotowała się na kolejny werbalny atak, ale on tylko poklepał ją po

ramieniu i... Co się stało z jego twarzą? Czy to uśmiech? – No dobrze, koniec gry – powiedział. – Ja to napisałem.

– Słucham? – Charlie poczuła się, jakby ktoś ją zamienił w kamienny posąg.

– Ja to napisałem i położyłem bilet tu, gdzie miałaś go znaleźć.

Słowa, które miały sens, a jednocześnie go nie miały.

– Czy to... miał być eksperyment?

– Wiedziałem, że przez resztę dnia będę musiał błagać o litość, i jestem na to przygotowany – Simon się uśmiechnął, wyraźnie z siebie zadowolony. Wszystko przebiegło zgodnie z planem.

– To coś związanego z pracą, mam rację? Jesteśmy w podróży poślubnej, a ty pracujesz! Wiedziałam, że coś ci chodzi po głowie.

– To nie do końca praca – zaprzeczył Simon. – Później możesz mi powiedzieć, jakie myśli są dozwolone w podróży poślubnej, ale teraz muszę cię zapytać, póki sprawa jest świeża.

– Simon, ta sprawa będzie dla mnie świeża za dwadzieścia lat.

Razem ze wszystkimi innymi razami, kiedy zadawałeś mi ból. Świeża jak pole stokrotek – jeden kwiat na każdą ranę.

– Uwierzyłaś mi, że to nie ja zapisałem ten adres? Zaczęłaś się zastanawiać, czy może jednak ty to zrobiłaś i potem zapomniałaś?

Charlie się wzdrygnęła, adrenalina wciąż kursowała w jej żyłach.

– Nienawidzę cię – szepnęła. – Wystraszyłeś mnie.



– Uwierzyłaś mi, ale tylko dlatego że desperacko chciałaś, żebym ja uwierzył tobie – ciągnął Simon. – Zaproponowałaś mi układ: obustronny immunitet przed wątpliwością. Mogło to się powieść dzięki Domingowi, który jest tu jedyną osobą poza nami i nic dla nas nie znaczy. Gdyby powiedział, że nie zapisywał żadnego adresu, moglibyśmy uznać go za kłamcę i nie miałoby to na nas większego wpływu, bo nie jesteśmy z nim związani relacją. Ale gdybyśmy nie mogli liczyć na Dominga? Jeśli ty wiesz, że tego nie zrobiłaś, a ja utrzymywałbym to samo w odniesieniu do siebie, co byś wtedy myślała? Zaczęłabyś się zastanawiać, czy przypadkiem nie zwariowałaś? Czy takie rozwiązanie byłoby dla ciebie korzystniejsze niż uznanie, że jestem kłamcą i że nie sposób wydobyć ode mnie prawdy?

– Lepiej natychmiast mi powiedz, czego to dotyczy – zażądała Charlie drżącym głosem. – Nie zamierzam spędzić reszty naszego miesiąca miodowego...

– Uspokój się – odparł Simon. – Wszystko zamierzałem ci wytłumaczyć.

– To dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś? Na lotnisku albo w samolocie? Po co te tortury? Wiedziałaś, że coś ci chodzi po głowie, a ty zaprzeczałaś. Naprawdę jesteś kłamcą.

Czy nie robiła z tego zbytnej afery? Może lepiej było obrócić wszystko w żart?

Tego właśnie próbował Simon.

– Postanowiłem, że trochę cię pomęcę – drażnił się z Charlie. – Zbuduję napięcie, rozbudzę twoje zainteresowanie.

– Rozumiem. Czyli tak samo jak z naszym życiem seksualnym?  
Uśmiech błyskawicznie znikł z jego twarzy.

# 7

## **Poniedziałek, 19 lipca 2010**

Kitt trzyma mnie za dłoń pod stołem, a Sam Kombothekra obraca laptop ekranem w naszą stronę. Przebiega mnie dreszcz, nie chcę już patrzeć na ten pokój.

– Nie bój się – mówi Sam, widząc, że odwracam głowę i tulę się do męża. – Nie zobaczysz nic nieprzyjemnego, tylko salon, który już wcześniej widziałas, bez niepotrzebnych elementów. Ale chcę, żebyś spojrzała. Muszę ci coś pokazać.

– Czy musimy to robić tutaj? – pytam.

Nie podoba mi się to. Sam powinien był przyjechać do Melrose Cottage, jeżeli mógł się spotkać z nami jedynie w tej stołówce wielkości szkolnej auli. Zewsząd dobiega tu klekot plastikowych tac, słychać szum zmywarek do naczyń i głośne rozmowy po obu stronach okienka do wydawania posiłków, za którym dwie kobiety przypominające strachy na wróble śmieją się z dowcipu opowiadanego przez umundurowanego policjanta o błyszczących policzkach. Wzdłuż jednej ze ścian stoi rząd maszyn, które wyglądają jak automaty do gry, błyskają lampkami i głośno piszczą.

Czuję się niewidzialna. Gardło boli mnie od ciągłego podnoszenia

głosu. Mieszanka rozgrzanego powietrza oraz zapachu parówek i jajek przyprawia mnie o mdłości.

– Connie? – mówi Sam rozsądnym tonem. Wszyscy są tacy rozsądni, tylko nie ja. – Spójrz na zdjęcie.

Chcesz poznać tylko część prawdy czy całą prawdę? Gdybyś mogła wybrać wszystko albo nic?

Zmuszam się do spojrzenia na ekran laptopa. Znow widzę salon w domu przy Bentley Grove 11, ale bez martwej kobiety na podłodze, bez krwi. Sam się nachyla i pokazuje na róg pokoju, przy wykuszu.

– Widzisz to niewielkie kółko na dywanie?

Przytakuję.

– Ja nie widzę – mówi Kitt.

– Bardzo niewyraźna, brązowa linia, prawie kółko, lecz niepełne – tłumaczy Sam. – Wewnątrz kręgu dywan ma nieco inny kolor. Widzicie?

– Linia, owszem – potwierdza Kitt. – Ale kolor wygląda mi na taki sam.

– Wewnątrz kręgu jest ciemniejszy – stwierdzam.

– Zgadza się – potakuje Sam. – To ślad po świątecznej choince.

– Po choince?

Czy to ma być jakiś żart? Wycieram pot z górnej wargi.

Sam zamyka laptopa i patrzy na mnie.

Po prostu to powiedz. Wytlumacz mi, jak udało ci się udowodnić, że się myliłam, że jestem szalona i głupia.

– Policja w Cambridge była bardzo pomocna – mówi. – Bardziej, niż się spodziewałem. Dzięki ich wysiłkom sądzę, że będę w stanie rozwiązać twoje wątpliwości.

Słyszę pełen ulgi oddech Kitta. Natychmiast wzbiera we mnie złość. Jak może tak wzdychać, zanim jeszcze cokolwiek usłyszał? Jakby było po sprawie. Jeszcze chwila i wyciągnie swoją komórkę i zacznie mamrotać pod nosem, że musi wracać do pracy.

– Właścicielką domu przy Bentley Grove jedenaście jest doktor Selina Gane.

A więc tak się nazywa. Sam zebrał więcej informacji przez czterdzieści osiem godzin niż ja przez sześć miesięcy.

– Jest onkologiem, pracuje w szpitalu Addenbrooke.

– Znam ten szpital – odzywa się Kitt. – Robiłem dyplom licencjata w Cambridge. W Addenbrooke usunęli mi gnijący wyrostek. Godzinę później by mnie zabił.

Licencjat jest jedynym dyplomem Kitta. Mógł powiedzieć „robiłem swój dyplom”, tylko że wtedy Sam Kombothekra nie pomyślałby sobie, że licencjat jest tylko jednym z wielu jego stopni naukowych.

Gdyby na uniwersytecie w Cambridge była Katedra Oczerniania Ludzi w Myślach, zdobyłabym na niej tytuł magistra z wyróżnieniem.

– Doktor Gane kupiła dom w dwa tysiące siódmym roku od rodziny o nazwisku Beater. Z kolei oni kupili Bentley Grove jedenaście od

dewelopera w dwa tysiące drugim roku. Wcześniej ten dom nie istniał. Kupno domu przez doktor Gane prowadzone było przez agentkę nieruchomości, niejaką Lorraine Turner. Tak się składa, że Lorraine również teraz zajmuje się sprzedażą Bentley Grove jedenaście.

– To akurat żaden przypadek – poprawia go Kitt. – Gdy chce pan sprzedać dom, logiczne jest powierzenie transakcji osobie, której raz już się to udało. Ja bym tak zrobił, gdybym sprzedawał Melrose Cottage.

– Nie ty byś sprzedawał Melrose Cottage. – Nie mogę się powstrzymać przed zwróceniem mu uwagi. – My byśmy go sprzedawali.

Mam ochotę przeprosić Sama za to, że Kitt mu przerwał. Nie cierpię, gdy się tak popisuje.

– Policja w Cambridge skontaktowała się wczoraj z Lorraine Turner. Ja rozmawiałem z nią telefonicznie dzisiaj rano. Sądzę, że uspokoję cię, mówiąc, co mi powiedziała. W grudniu dwa tysiące szóstym roku Beaterowie postanowili wystawić dom na sprzedaż i przenieść się na wieś.

Po co, na litość boską?

– W tym samym dniu, w którym podjęli decyzję, pani Beater wysłała pana Beatera, żeby kupił choinkę.

– Może przyniosę nam po kubku gorącej czekolady? – mówi Kitt. – Zaczyna się jak bajka do poduszki.

– Wkrótce zrozumiesz, dlaczego ma to znaczenie – tłumaczy mu

Sam.

Innymi słowy, nie przerywaj więcej.

– Gdy wrócił, nie było jej w domu, a sam nie pamiętał, by podłożyć coś pod spód i ochronić dywan, zanim wstawi drzewko do donicy. Donica miała na dnie otwory, ziemia w środku była mokra.

– Co za debil – śmieje się Kitt. – Założę się, że żona dała mu za to porządny wycisk.

– Też tak sędzę – uśmiecha się Sam.

Dlaczego wszyscy się dobrze bawią, oprócz mnie? Nie potrafię brać tego wszystkiego na serio, całej tej opowiadki o choince i ludziach, którzy nic dla mnie nie znaczą. Ale jednocześnie nie widzę w niej nic śmiesznego. W moim umyśle pojawia się obrzydliwy obraz: wyobrażam sobie, że drapię się po twarzy, aż schodzi z niej skóra i zamiast głowy zostaje mi tylko czerwony, nijaki balon.

– Gdy Lorraine Turner przyszła oszacować wartość domu, pani Beater od razu pokazała jej zniszczony dywan w salonie. Długo rozprawiała przy agentce o nieodpowiedzialności męża. „Typowy, bezużyteczny mężczyzna – akurat w dniu, gdy postanowiliśmy sprzedać dom” i tak dalej. Wiemy, o co chodzi. Pani Beater wynajęła profesjonalnego czyszciciela dywanów, jednak plama nie zeszła całkowicie. Został po niej brązowy krąg, którego nie sposób było zmyć.

Następne słowa Sam wypowiada do mnie.

– W miniony poniedziałek Lorraine pojechała na Bentley Grove

jedenaście, by oszacować dom dla doktor Gane. Trzy i pół roku po jej pierwszej wizycie plama nadal tam była. Lorraine skomentowała to w żartobliwy sposób, natychmiast tego żałując, bo doktor Gane opacznie zrozumiała jej słowa, sądząc, że agentka zarzuca jej niechlujstwo. Lorraine powiedziała mi, że sytuacja była dosyć krępująca.

Czy mam teraz współczuć agentce nieruchomości, której nawet nie znam? Kitt chichocze. Idealny odbiorca.

– Sfilmowała dom na potrzeby wirtualnego zwiedzania, zrobiła zdjęcia do broszury i na stronę internetową agencji – ciągnie Sam. – Na jednym zdjęciu jest salon z wyraźnie widoczną plamą po choince. Tę fotografię przed chwilą wam pokazałem.

– I co z tego? – pytam bardziej oschle, niż zamierzałam. – Niby co to ma udowodnić? Co to ma wspólnego z martwą kobietą, którą widziałam?

– Connie – mówi cicho Kitt.

– Nic nie szkodzi – uspokaja go Sam. Wydaje mi się, że mu współczuje. Pewnie niełatwo jest być mężem wariatki. – W minioną sobotę po południu, czyli niemal dwanaście godzin po tym, jak widziałam martwą kobietę w salonie, Lorraine Turner pokazywała dom przy Bentley Grove jedenaście młodej parze zainteresowanej kupnem. Opowiedziała im o choince, pokazała ślad. To był ten sam ślad, Connie. Lorraine ręczy za to głową. Reszta dywanu była nieskazitelnie czysta. Bez żadnej krwi. – Sam czeka, aż jego słowa do mnie dotrą. – Czy rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

– Chce pan powiedzieć, że na tym dywanie nigdy nie było krwi.



Jest pan tego pewien? Nieraz zdarzało mi się prać zakrwawione ubrania i za każdym razem plamy znikają.

– Connie, czy naprawdę musisz...? – próbuje mnie zagłuszyć Kitt.

Mówię dalej, nie zwracając na niego uwagi:

– Łatwo jest sprać krew. Wystarczy zimna woda, mydło.

– Uwierz mi: gdyby ktoś wykrwawił się na śmierć na beżowym dywanie, zostałby ślad – przekonuje mnie Sam. – Choćbyś użyła nie wiem ile mydła, zimnej wody i vanisha.

Przesuwam dłoń przez nieuczesane włosy. Z trudem walczę z chęcią położenia się na podłodze stołówki, zamknięcia oczu i dania za wygraną.

– Connie, gdy zobaczyłaś zwłoki kobiety, czy na zdjęciu, w rogu pokoju był ślad po choince? – pyta Sam.

– Nie wiem. – Nie wydaje mi się. – Nic takiego nie zauważyłam, ale... – Szukam w myślach wiarygodnego wytłumaczenia. – Może zdjęcie martwej kobiety zostało zrobione dawno temu, zanim pan Beater postawił tam choinkę. Rozważał pan to?

Sam przytakuje.

– Mówiłaś o mapie wiszącej na ścianie. Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. Dlaczego miałabym zapomnieć? Sobota była zaledwie dwa dni temu. Nie cierpię jeszcze na demencję starczą.

Sam wyjmuje notes z kieszeni koszuli, otwiera go i czyta:

– „Comitatus Cantabrigiensis Vernacule Cambridgeshire, tysiąc sześćset czterdzieści sześć. Jansson, Johannes”. Zwany też Janssoniusem. – Sam patrzy na mnie. – Pewnie o nim nie słyszałaś?

– Czy to jakiś znajomy Beaterów? – mówię drwiącym tonem. Nie mogę się powstrzymać.

– Był znanym holenderskim kartografem, twórcą map. Oprawiona mapa nad kominkiem doktor Seliny Gane to oryginał Janssoniusa, wart sporo pieniędzy. Lorraine Turner podziwiała go, gdy przyszła wycenić dom dla doktor Gane. Aha, wspominałaś też o herbach. Są to herby kolegów w Cambridge: Trinity, St. John's.

– Niech pan nie zapomina o najlepszym z nich wszystkich – mówi Kitt. – King's College.

– Nie wystarczają ci przechwałki przed twoimi sługusami w Londynie? – warczę na niego. – Musisz nawet tę rozmowę zamieniać w koncert pychy?

– Puste miejsce było puste nie bez powodu. Chodziło o to, by kolejny właściciel mapy mógł wstawić w nie swój herb rodzinny – ciągnie Sam, jakby nie był przed sekundą świadkiem mojego ataku na męża. – Doktor Gane wyjaśniła wszystko ze szczegółami oglądającej dom Lorraine. Mapa jest jednym z jej najdroższych skarbów. Zdaje się, że dostała ją w prezencie od rodziców, gdy przeprowadziła się do Cambridge z Dorchester.

Szczęściara. Jedni dostają zabytkowe holenderskie mapy, inni obrzydliwe tkaniny dekoracyjne domowej roboty. Najwyraźniej matka Seliny Gane ma lepszy gust od mojej. Boję się myśleć, jak wyglądałby

rodzinny herb Monków. Replika kuchni moich rodziców, całe pokolenia prowincjonalnych przeciętniaków przykutych łańcuchem do wysłużonej kuchenki.

Sam patrzy mi prosto w oczy. Wiem, o co mnie teraz zapyta.

– Connie, gdy widziałaś kobiece zwłoki na zdjęciu salonu, to czy na ścianie wisiała mapa? Czy widziałaś obydwie te rzeczy jednocześnie, na tej samej fotografii?

– Tak. Ale to nie dowodzi, że zwłoki mi się przywidziały – dodaję pośpiesznie, bojąc się, że jest jednak na odwrót.

Potrzebuję czasu, by to wszystko przemyśleć, bez wpatrzonych we mnie oczu Kitta i Sama.

– Tak sądzisz? – pyta Sam. – Załóżmy, że masz rację. Kiedy zrobiono zdjęcie martwej kobiety? Zanim dom kupiła Selina Gane? W takim razie co robi na ścianie jej mapa? Już po tym, jak go kupiła? W takim razie krew zniszczyłaby dywan i Gane albo ktoś inny musiałby go wymienić na nowy. A dzięki Lorraine Turner wiemy, że nic takiego się nie stało, bo nadal jest tam ślad po choince Beaterów.

– Con, nie możesz temu zaprzeczyć – mówi Kitt, któremu zależy na pchnięciu sprawy do przodu.

– Doprawdy? – Nie mogę? Naprawdę? Dlaczego tak bardzo chcę? Dlaczego nie odczuwam ulgi, słysząc, że się myliłam? – Dywan można pociąć – odpowiadam jednostajnym głosem. – Gdyby przez szerokość pokoju biegła linia wyznaczająca koniec jednego fragmentu beżowego dywanu i początek drugiego, to czy Lorraine Turner by to zauważyła?

Spytał ją pan o to?

– To niedorzeczne – mamrocze Kitt. – Za chwilę powiesz, że Selina Gane położyła drugi dywan na tym pierwszym, zamordowała kogoś, po czym zdjęła nasiąkniętą krwią wykładzinę, by stwierdzić, że ta pod spodem jakimś cudem pozostała nietknięta.

– To jedna z możliwych definicji niedorzeczności, owszem – oddaję cios. – Jeszcze inną jest udawanie, że coś się nie stało. Niedowierzenie własnym oczom. – Zwracam się do Sama: – Co zamierza zrobić policja w Cambridge?

Jego twarz mówi mi wszystko. Otwieram usta, by zaprotestować, ale nagle umykają mi słowa, które chciałam wypowiedzieć. Wszystko się rozmazuje. Sam jest niewyraźną, różową plamą.

– Con? – słyszę głos Kitta. Brzmi, jakby dobiegał z drugiego końca świata. – Słabo ci?

Mój umysł unosi się bezwładnie i kurczy. Nie czuję niektórych części ciała. Nie mogę mówić.

– Może przyniosę jej coś do picia? – proponuje ktoś. Chyba Sam.

– Wody – próbuję powiedzieć.

W takich sytuacjach powinno się włożyć głowę między kolana, Kitt zawsze mnie do tego namawia. Ale ja czuję się lepiej, gdy prostuję plecy i tylko głęboko oddycham, aż kryzys minie. Alice twierdzi, że to dobra metoda. „Słuchaj swojego ciała – mawia. – Ono ci mówi, czego mu potrzeba”.

Stopniowo czuję, że wracam do siebie, jakby ktoś mnie zszywał z

powrotem w jedną całość. Dzięki Bogu. Ilekroć mi się to przytrafia, zastanawiam się, czy tym razem uda mi się wrócić.

Gdy w końcu wzrok mi się wyostrza, widzę Sama stojącego w kolejce do okienka.

– Czemu nie próbuje przepchnąć się do przodu? – dziwi się Kitt. – Potrzebujesz wody pilniej niż ten facet z przetłuszczonymi włosami potrzebuje jajeczniczy.

– Nie wiem, czy woda mi pomoże – mówię.

– Gdyby Kombo-jakmutam zaproponował ci na początku coś do picia, nie miałabyś zapaści. Strasznie tu gorąco, pewnie jesteś odwodniona. Po co spotykać się w stołówce, jeśli nie bierze się nic do picia?

– Alice uważa, że moje zawroty głowy są wynikiem stresu – powtarzam mu nie po raz pierwszy.

– Świetnie. Czyli to moja wina. Jak wszystko inne.

– Nie powiedziałam tego.

– Connie, posłuchaj mnie. – Kitt ujmuje obydwie moje dłonie. – To jest punkt zwrotny naszego życia. A w każdym razie może nim być, jeśli pozwolisz.

– To znaczy jeśli zapomnę o zwłokach, które widziałam w internecie, jeśli zacznę udawać, że mi się przywidziały.

– Bo tak było, kochanie. Connie, przecież musisz wiedzieć, że skoro stres może wywołać omdlenia i zawroty głowy, to z pewnością

może też sprawić, że o pierwszej w nocy, będąc skrajnie wyczerpana, zobaczysz coś, co nie istnieje naprawdę.

Kitt ma rację.

– Halucynacje nie znaczą, że jesteś wariatką, Con. Mówi ci to gość, któremu kiedyś się zdawało, że źdźbła trawy zamieniają się w zielonego potwora atakującego ludzkie stopy. Pamiętasz?

– Byłeś kompletnie nawalony. I upalony.

Niechętnie uśmiecham się na wspomnienie tamtej nocy. Kilka tygodni po tym, jak się poznaliśmy, Kitt obudził mnie w środku nocy, płacząc i żądając, bym uważnie zbadała jego sznurowadła, które według niego były postrzępione po ataku trawiastego potwora. Blisko godzinę zajęło mi wtedy wytłumaczenie mu, że trawiaste potwory nie istnieją, a jego sznurówki są w idealnym stanie. Nazajutrz oznajmił, że marihuana jest źródłem wszelkiego zła. Od tamtej pory ani razu jej nie tknął.

– Okłamywałam cię – mówię mu. – W ostatnim czasie jeździłam do Cambridge prawie w każdy piątek.

Spuszczam wzrok i patrzę na biały blat stołu, żałując, że nie mogę się w niego wtopić i zniknąć.

Kitt milczy. Na pewno mnie teraz nienawidzi.

– Jeździłam pociągiem – odzywam się, zdeterminowana, by dokończyć spowiedź, skoro ją zaczęłam. – Na początku kilka razy pojechałam samochodem, ale matka zapytała mnie w końcu, dlaczego w dwa piątki z rzędu mojego auta nie było na podjeździe w czasie,

gdy powinnam była pracować w domu. Nie wiedziałam, co jej powiedzieć, dopóki nie przyszło mi do głowy, by kazać jej pilnować własnego nosa.

– Na pewno świetnie to przyjęła – mówi Kitt. Z ulgą stwierdzam, że nie jest na mnie zły.

– Po tej rozmowie postanowiłam jeździć pociągiem, co trwa dwa razy dłużej. Nie ma bezpośredniego połączenia, trzeba się przesiadać na stacji King's Cross. Raz zdarzyło się, że wróciłam tuż przed tobą. Obydwoje jechaliśmy pociągiem, który odjeżdża z Londynu do Rawndesley o piątej dziesiątej. Nie widziałeś mnie, ale ja ciebie tak. To była najstraszniejsza podróż mojego życia. Wiedziałam, że nie będę potrafiła kłamać i że jeśli mnie zauważysz, momentalnie wszystko wyśpiwam. Gdy wysiadałeś w Rawndesley, rozmawiałeś przez komórkę. Zatrzymałam się, by zobaczyć, czy zostaniesz na peronie, żeby dokończyć rozmowę. Na szczęście dla mnie nie przestałeś iść. Szedłeś w stronę parkingu. Jak tylko odjechałeś, rzuciłam się do postoju taksówek. Dotarłam do domu jakieś dwie minuty przed tobą. Z kolei innym razem.

– Connie. – Kitt ściska moją dłoń. – Nie obchodzą mnie rozkłady jazdy pociągów. Obchodzisz mnie tylko ty, nasz związek i... to, co te podróże oznaczają. Chcę wiedzieć, dlaczego jeździłaś do Cambridge w prawie każdy piątek. Co tam robisz?

Podejmuję ryzyko i rzuca mu szybkie spojrzenie. Nie widzę w jego oczach nic prócz smutku i niezrozumienia.

– Nie domyślasz się? Szukam ciebie.

– Mnie? Przecież w piątki jestem w Londynie. Wiesz o tym.

– Czasem siedzę na ławce na końcu Bentley Grove i godzinami patrzę na dom z numerem jedenaście, czekając, aż otworzysz drzwi wejściowe.

– Chryste. – Kitt chowa twarz w dłoniach. – Wiedziałem, że to coś złego, ale nie miałem pojęcia, że aż tak.

– Czasami stoję na drugim krańcu, za drzewem, czekając, aż przyjedziesz. Nigdy się to nie zdarzyło. Bywa, że przechadzam się po centrum w nadziei na to, że cię z nią zobaczę. W kawiarni albo jak wychodzicie z Muzeum Fitzwilliama.

– Z nią? – pyta Kitt. – Z jaką „nią”?

– Z Seliną Gane. Choć to nazwisko poznałam dopiero dzisiaj, gdy Sam je wymienił. Czasami stoję na parkingu przed szpitalem i... – Nagle milknę. Selina Gane, Selina Gane. Gdy kojarzę, co trzeba, czuję ucisk w gardle. Jak mogłam tak długo nie połączyć tych faktów? Momentalnie zaczynam żałować, że zaufałam Kittowi i o wszystkim mu powiedziałam. – Pokaż mi swój dziennik – mówię.

– Słucham?

– Nie udawaj, że nie masz go przy sobie. Zawsze go nosisz.

– Wcale nie zamierzałam udawać. Connie, o co ci chodzi? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

– Daj mi dziennik – powtarzam, wyciągając dłoń.

Rumieniąc się, Kitt wyjmuje notes z kieszeni i podaje mi go.



Przerzucam szybko kartki. Wiem, że to był maj, ale nie pamiętam dokładnej daty. Jest. Rozkładam dziennik na stole, żebyśmy obydwójce wyraźnie widzieli dowód rzeczowy.

– Trzynasty maja, piętnasta, S.G.

Kitt jęczy.

– I to ma być twoje wielkie olśnienie? Dowód na to, że za twoimi plecami bawię się z Seliną Gane w dom przy Bentley Grove jedenaście? S.G. to Stephen Gilligan, prawnik w London Allied Capital. Spotkałem się z nim trzynastego maja o trzeciej w jego biurze. Zadzwoń do jego asystentki, Joanne Biss, zapytaj ją. – Podaje mi swoją komórkę. – Zrób to teraz, dla pewności, że nie miałem okazji się z nią umówić.

– Dobrze wiesz, że do nikogo nie zadzwonię.

– Bo nie chcesz ryzykować porażki? – Kitt nachyla się przede mną, tak bym musiała na niego spojrzeć. – Wolisz trzymać się kurczowo swoich podejrzeń, nierealnego świata, który sobie stworzyłaś.

– Nie wyobraziłam sobie tego, co się stało w styczniu, ani kobiecych zwłok – mówię drżącym głosem.

– Przeglądałaś mój dziennik. Ze wszystkich twoich najniższych. – Kitt chwyta mnie za ramiona i przyciąga do siebie. Jego palce wbijają się w moją skórę. – Nie znam żadnej Seliny Gane – oświadcza agresywnym szeptem. Nie chce, żeby ktokolwiek poza mną dostrzegł jego gniew. – Nie byłem w Cambridge od czasu naszej ostatniej wizyty w dwa tysiące trzecim. Moja noga nigdy nie postąpiła za progiem

domu przy Bentley Grove jedenaście. Nie prowadzę podwójnego życia, Connie. Prowadzę bardzo samotne, bardzo nieszczęśliwe życie u boku żony, którą ledwo znam.

Puszcza mnie na widok Sama zbliżającego się ze szklanką wody. Tyle czasu w kolejce i przyniósł tylko tę małą szklaneczkę, w dodatku zapełnioną tylko do połowy. Jeśli tak tutaj wygląda szklanka wody, to powinnam była poprosić o siedem. Czuję palącą suchość w gardle. Jakbym od roku nieprzerwanie krzyczała.

– Connie? Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiada mu Kitt. – Bardzo nie w porządku. Jadę do pracy.

Po jego wyjściu, gdy udaje mi się wreszcie dojść do siebie, wyjaśniam:

– Pokłóciliśmy się. Pewnie nie muszę mówić. W końcu jest pan detektywem.

Sam bębni palcami w blat stołu, jakby grał na pianinie.

– O czym mi nie mówisz? – pyta.

– A o czym pan nie mówi? – odbijam piłeczkę. – O plamie na dywanie mógł mi pan powiedzieć przez telefon. Na pewno jest pan zajęтым człowiekiem, a mimo to siedzi pan tu ze mną, marnując czas na mnie i moją idiotyczną opowieść. Dlaczego?

Sam wygląda na przyłapanego.

– Lorraine Turner powiedziała mi coś, co nie daje mi spokoju –

przyznaje.

Pochyliam się do przodu, moje serce bije jak dzwon.

– Selina Gane nie mieszka już przy Bentley Grove jedenaście. Od razu po wystawieniu domu na sprzedaż wyprowadziła się do D. do pobliskiego hotelu.

Notuję w pamięci, by sprawdzić, które hotele w Cambridge mają nazwę na literę D. A może „Du”? Duchess? Duxford? Czy niedaleko Cambridge nie ma aby miejscowości Duxford?

– Dlaczego to zrobiła? – pytam.

Sam odwraca wzrok. Oboje myślimy to samo, a przynajmniej tak mi się wydaje. On nie chce być tym, który to wypowie na głos.

Na szczęście ja nie mam takich oporów.

– Pewnie wie, że ktoś został zamordowany w jej domu. Albo sama zamordowała.

– Tak – przytakuje mi Sam. – To prawda. Ale Connie, musisz zrozumieć, że.

– Wiem. Niczego to nie udowadnia. Czy policja w Cambridge o tym wie?

– Nie jestem pewien. Chyba nie. Lorraine Turner wspomniała mi o tym, gdy rozmawialiśmy o mapie. Martwiła się, że coś tak wartościowego zostało w pustym domu. Pustym, czyli niezamieszkanym. Większość rzeczy należących do doktor Seliny Gane wciąż tam jest. Meble, książki, płyty kompaktowe.

- I nie powiedziała agentce, czemu się wyprowadza?
- Nie. A Lorraine nie pytała. Uznała, że to nie jej sprawa.

Wypijam wodę jednym haustem.

- Musi pan powiedzieć tym z Cambridge – mówię.

- To niczego nie zmieni.

- Jeśli zbadają dywan, to może znajdą ślady krwi albo DNA.

– Niczego nie zrobią. Brakuje dowodów. Selina Gane wyprowadzająca się z domu to coś dziwnego, zgadzam się, ale ludzie często robią dziwne rzeczy. Człowiek, z którym rozmawiałem, detektyw Grint, był usatysfakcjonowany wyjaśnieniami Lorraine.

– W takim razie beznadziejny z niego detektyw! To Lorraine Turner robiła zdjęcia do wirtualnego zwiedzania, tak? Jest zatem ostatnią osobą, której zeznania powinny mieć dla niego znaczenie. Czy kontaktował się z Beaterami? Z Seliną Gane? A jeśli historia z choinką jest zmyślona?

- Posłuchaj swoich słów i zastanów się, co oznaczają – mówi Sam.

– Lorraine Turner musiałaby być psychotyczną zabójczynią, mordującą swoje ofiary w domach, które potem wystawia na sprzedaż i zamieszcza w ofercie zdjęcia zwłok. Czy to według ciebie ma sens?

– Ofiary? Skąd ta liczba mnoga? Może jest tylko jedna ofiara: kobieta, którą widziałam. Poza tym każde przestępstwo mógłby pan opisać tym prześmiewczym tonem i sprawić, że brzmiałoby nieprawdopodobnie. „Aha, czyli co? Rozpuścił wszystkie swoje ofiary w wannie pełnej kwasu?” „Czekaj, niech to dobrze zrozumiem: pociął

ciała młodych mężczyzn na kawałki i schował je do zamrażarki?”.

– Często czytasz opisy prawdziwych zbrodni? – pyta Sam.

Mimowolnie wybucham śmiechem.

– Nigdy. Wszyscy je znają. To wiedza powszechna. Sugeruje pan, że jestem jakąś żądną krwi maniaczką? A może to Lorraine Turner jest maniaczką albo Selina Gane? Albo obydwie? Dlaczego to muszę być ja?

Bo tylko ty krzyczysz jak opętana na całą stołówkę, idiotko.

– Odpowiedziałem na twoje pytanie – mówi Sam. – Czy odpowiesz na moje?

Skąd on wie, że coś przed nim ukrywam? Bo pokłóciłam się z mężem? Nie mógł usłyszeć nic konkretnego. Stał za daleko.

– Rozmawiałem z Alice Bean – oznajmia.

Staram się nie okazać gniewu. Alice należy do mnie. Czasem mam wrażenie, że jest wszystkim, co mam, jedyną osobą, która bez wątplenia kieruje się moim dobrem. Jak Sam śmie węszyć w moim życiu? Dlaczego Alice nie powiedziała mi, że z nim rozmawiała?

– Powiedziałaś mi, że to ona poradziła ci skontaktować się z Simonem Waterhouse'em, ale nie rozmawiałaś z nią w nocy z piątku na sobotę, mam rację? Nie mówiłaś jej o kobiecych zwłokach.

– Widziałam się z nią po południu i wtedy jej powiedziałam.

Sam czeka.

– Ma pan rację – mówię. – Nie powiedziałam jej o tym w nocy z

piątku na sobotę.

– Zatem musiała polecić ci Simona w związku z czymś innym.

Milczę.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, o co chodziło w tej drugiej sprawie.

– Tak naprawdę to nie jest druga sprawa. To znaczy tak, ale... są ze sobą powiązane. I elementem wspólnym jest dom przy Bentley Grove jedenaście. – Biorę głęboki wdech. – Pamięta pan opady śniegu w styczniu?

Sam przytakuje.

– Martwiłem się wtedy, że się nigdy nie skończą – mówi. – Wydawało mi się, że to początek nowej ery lodowcowej, którą przewidują naukowcy.

– Szóstego stycznia pojechałam do Combingham, żeby kupić dziesięć dużych worków węgla. Kitt uwielbia prawdziwy ogień w kominku, a nasz węgiel się kończył. On nie mógł pojechać, bo był w Londynie. Uprzedzając pytanie, dlaczego nie pojechałam do najbliższej stacji benzynowej: Kitt dopuszcza kupno węgla wyłącznie od Gummy'ego w Combingham. To nie jest jego prawdziwe imię, ale wszyscy tak na niego mówią. Trochę się go boję, pełne uzębienie nie jest jego mocną stroną, jednak według Kitta Gummy ma najlepszy węgiel. Nie obchodzi mnie to w takim stopniu, bym się z nim o to spierała.

Sam się uśmiecha, mimo że nie powinien. To nie jest przyjemna historia.

– Wzięłam samochód Kitta, bo lepiej sobie radzi w śniegu niż mój, ma napęd na cztery koła. Nigdy wcześniej nie byłam sama u Gummy'ego, a mój zmysł kierunku jest fatalny, więc uruchomiłam nawigację satelitarną.

– Czyli Kitt do Londynu nie pojechał swoim wozem – mówi Sam.

– Nigdy nie jeździ tam samochodem. Zazwyczaj parkuje na stacji Rawndesley, ale tego ranka drogi były zbyt oblodzone, żeby brać auto. Piaskarki jeszcze nie wyjechały. Kitt poszedł pieszo do Rawndesley Road i stamtąd pojechał na stację autobusem.

Żałuję, że nie wziął samochodu. Żałuję, że jego wóz nie stał tamtego dnia na parkingu przed stacją kolejową, tylko na naszym podjeździe, zachęcając mnie swoim bezpiecznym wyglądem.

– Kupiłam węgiel. Pewnie znalazłabym drogę powrotną, ale nie chciałam ryzykować, więc postanowiłam wybrać bezpieczne rozwiązanie i znowu użyłam nawigacji. Wcisnęłam guzik „dom”. – Biorę głęboki wdech. – Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, był przewidywany czas podróży: dwie godziny i siedemnaście minut. Po chwili zauważyłam adres.

Sam już wie. Widzę po jego twarzy, że wie.

– Jeśli chodzi o nawigację satelitarną w samochodzie Kitta, to dom był przy Bentley Grove jedenaście w Cambridge. Nie w Little Holling w Silsford. – Zaczynam płakać, nic na to nie poradzę.

– Przepraszam. Po prostu nie mogę. Nie mogę uwierzyć, że po sześciu miesiącach wciąż opowiadam tę historię, nie wiedząc, co

znaczy.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym w sobotę rano? – pyta Sam.

– Bałam się, że gdy powiem panu o wszystkim, to stracę wiarygodność w sprawie martwej kobiety. Gdyby wiedział pan, że już wcześniej miałam obsesję na punkcie Bentley Grove jedenaście.

– A miałaś?

Czy jest sens temu zaprzeczać?

– Tak. Totalną.

– Bo Kitt wpisał ten adres jako domowy w swoim systemie nawigacji?

Kiwam głową.

– I chciałaś wiedzieć czemu. Pytałaś go?

– Jak tylko przeszedł przez próg naszego domu. Utrzymawał, że nie ma pojęcia, o czym mówię. Absolutnie wszystkiemu zaprzeczył. Powiedział, że nigdy nie programował adresu domowego, ani naszego, ani jakiegoś domu w Cambridge, o którym nic nie wiedział. Strasznie się pokłóciliśmy, trwało to kilka godzin. Nie uwierzyłam mu.

– To rozumiało – mówi Sam.

– Nawigację kupił nową, w sklepie. Któż inny mógłby ją zaprogramować? Gdy mu to wytknęłam, powiedział: „To oczywiste. Ty musiałaś to zrobić”. Nie wierzyłam własnym uszom. Po co miałabym robić coś takiego? A gdybym to zrobiła, po co bym go później o to oskarżała?



– Spróbuj się uspokoić. – Sam wyciąga rękę i klepie mnie po ramieniu. – Przynieść ci jeszcze coś do picia?

Wolałabym dostać nowe życie. Jakiegokolwiek, byle nie to. Z dowolnymi problemami, o ile nie będą to moje problemy

– Poproszę wodę – mówię, ocierając łzy – Mogłabym tym razem dostać pełną szklankę?

Sam wraca po kilku minutach z wysoką, pełną szklanką wody. Biorę duży łyk, od którego aż kłuje mnie w klatce piersiowej.

– Podejrzewałaś, że Kitt ma w Cambridge drugą rodzinę? – pyta mnie Sam.

– Tak, to była moja pierwsza myśl. Bigamia. – Pierwszy raz wypowiadam to słowo na głos. Nawet w rozmowach z Alice omijam je dużym łukiem. – Trochę to melodramatyczne, ale się zdarza, prawda? Mężczyźni popełniają bigamię.

– Owszem – potwierdza Sam. – Kobiety chyba też. Powiedziałaś Kittowi o swoich podejrzaniach?

– Znów zaprzeczył. Od sześciu miesięcy wszystkiemu zaprzecza. Nie wierzyłam w jego zapewnienia i ta nierówność stała się kolejną przyczyną kłótni. Ja nie ufałam mu tak mocno, jak on ufał mi.

– Czyli uwierzył ci, gdy powiedziałaś, że to nie ty zaprogramowałaś GPS?

– Wtedy zaczął oskarżać moją rodzinę, moją mamę, Fran, Antona. Przypominał mi wszystkie dni, kiedy któreś z nich było w naszym domu, a urządzenie do nawigacji leżało na stole.

– Kim są Fran i Anton? – pyta Sam.

– Moja siostra i jej partner.

– Czy Kitt miał rację? Czy ktoś z twojej rodziny mógł wpisać ten adres do GPS-a?

– Teoretycznie tak, ale to wykluczone. Znam swoją rodzinę jak własną kieszeń. Mój ojciec panicznie boi się wszelkich nowinek technologicznych i gadżetów. Nie chce przyjąć do wiadomości istnienia iPodów i książek elektronicznych. Nawet odtwarzacze DVD go przerastają. Nie ma mowy, żeby choć zbliżył się do GPS-a. Fran i Anton nie są wystarczająco pomysłowi ani przebiegłi. Moja matka owszem, ale... Niech mi pan uwierzy, ona tego adresu nie wpisała.

Prędzej połknęłaby ogień. Wiele razy widziałam, jak sztywnieje i od razu zmienia temat rozmowy na sam dźwięk słowa „Cambridge”. Wystarczy wzmianka o wyścigu wioślarskim albo Stephenie Hawkingu i jego teorii czarnej dziury. Moja matka spina się nawet, gdy słyszę cokolwiek o Oksfordzie lub dowolnym innym uniwersytecie, bo boi się, że zaraz skojarzy mi się to z Cambridge. Początkowo myślałam, że troszczy się o moje samopoczucie, ale później zrozumiałam, iż jej motywacja jest bardziej egoistyczna. Chce, żebym zapomniała o istnieniu Cambridge i o tym, że kiedykolwiek chcieliśmy z Kitem się tam przeprowadzić. Najbardziej ze wszystkiego boi się, że kiedyś wyjadę z Little Holling.

A ja najbardziej boję się tego, że zostanę tu na zawsze.

– To Kitt zaprogramował ten adres – mówię. – Nie ma innego wytłumaczenia. Tak w każdym razie teraz myślę. Myślałam to już

tysiąc razy i wielokrotnie go oskarżałam, a on wciąż próbuje mi wmówić, że nie kłamię, i jest w tym taki... przekonujący. Tak bardzo chcę mu uwierzyć, że czasem się zastanawiam, czy aby faktycznie nie wpisałam tego adresu, po czym o wszystkim zapomniałam. Może i tak było. Skąd mam wiedzieć? Może zaprogramowałam Bentley Grove jedenaście w GPS-ie Kitta i wyobraziłam sobie martwą kobietę w salonie. Może jestem kompletną wariatką.

– Wzruszam ramionami, nagle zdając sobie sprawę z tego, jak żałosna musi się mu wydawać moja historia. – Tak właśnie wygląda moje życie od stycznia – mówię. – W tę i z powrotem. Wierzę, nie wierzę, wątpię w swoje zdrowie psychiczne, idę ślepą uliczką. Niezbyt to przyjemne.

– Dla ciebie czy dla Kitta? – pyta Sam. Czy to znaczy, że wierzy raczej jemu?

– Raz nawet próbował mnie przekonać, że GPS mógł zaprogramować ktoś ze sklepu, w którym go kupił. – Myślałam, że skończyłam opowiadać, ale nie mogę przestać. – zaproponował, żebyśmy obydwój tam pojechali i wypytali pracowników.

– I czemu tego nie zrobiliście?

– Bo to bzdura – mówię gniewnie. – Nie miałam ochoty na jego gierki. Prawie się zgodziłam, lecz później doznałam nagłego olśnienia. Czasem mi się to zdarza. Wtedy uświadamiam sobie, że wcale nie muszę się zamećzać ciągłymi spekulacjami. Znam prawdę: nie zrobił tego nikt ze sklepu, ani ja, ani nikt z moich krewnych. To Kitt zaprogramował ten adres. Wiem o tym.

Gdy tylko stąd wyjdę, zadzwonię do London Allied Capital i poproszę do telefonu sekretarkę Stephena Gilligana. Może rzeczywiście spotkał się z Kitemm trzynastego maja o trzeciej, a może nie. Muszę się dowiedzieć.

– Przez sześć miesięcy Kitt przekonywał cię, że to nie on zaprogramował GPS – przypomina Sam. – Skąd masz pewność, że kłamie?

Pewność? O kim on mówi? Czy ja będę jeszcze kiedykolwiek czegoś pewna?

– Trzy powody – odpowiadam. Jestem kompletnie wyczerpana, trudno mi zebrać siły, by mówić. – Po pierwsze, to jego urządzenie. Nie miał powodu sądzić, że kiedykolwiek będę z niego korzystała i że odkryję prawdę. Najprostsze wytłumaczenie jest na ogół właściwe. Po drugie, gdy pierwszy raz mu o tym powiedziałam, zanim zdążył ułożyć twarz w wyraz zadziwienia, zobaczyłam coś w jego oczach, coś. Nie wiem, jak to opisać. Trwało to ułamek sekundy: poczucie winy, wstyd, zakłopotanie, strach. Wyglądał jak ktoś, kogo przyłapano na gorącym uczynku. Jeśli zamierza mnie pan zapytać, czy to możliwe, że mi się ta reakcja przywidziała, powiem, że owszem: czasem biorę to pod uwagę. Najczęściej jednak jestem pewna, że ją widziałam.

Mam ochotę powiedzieć Samowi, jak wielki strach odczuwam, gdy wydarzenia mojego życia zmieniają się i przetwarzają, zmieniając kontury, ilekroć bliżej się im przyglądam, ale nie jestem pewna, czy da się to wyrazić słowami. Czy Sam jest w stanie sobie wyobrazić życie w tak nietrwałej rzeczywistości? Sprawia na mnie wrażenie człowieka

głęboko zakorzonego w swoim świecie. A ten świat każdego dnia wygląda dokładnie tak samo.

Tymczasem ja czuję się, jakbym miała dwa życia: jedno sterowane nadzieją, a drugie lękiem. A jeśli obydwa są wytworem wyobraźni, to czemu mam wierzyć w jedno z nich? Nie mam pojęcia, jakie byłoby moje życie, gdyby odrzucić je z emocji.

Lepiej nie mówić tego wszystkiego Samowi. Już i tak przysporzyłam mu zmartwień, wciągając w dyskusję o naturze rzeczywistości.

Za dużo myślisz, Con. Fran powtarzała mi to, odkąd byliśmy nastolatkami.

– A trzeci powód? – pyta Sam.

– Słucham?

– Trzeci powód, dla którego jesteś pewna, że to Kitt zaprogramował GPS.

Będę musiała mu powiedzieć, oderwać kolejną warstwę, cofnąć się jeszcze dalej w przeszłość. Muszę to zrobić, jeśli chcę, żeby zrozumiał. To wszystko jest ze sobą powiązane. Wydarzeń z nocy z piątku na sobotę nie sposób oddzielić od tego, co się stało w styczniu, a to, co się stało w styczniu, ma związek z tym, co wydarzyło się w dwa tysiące trzecim roku. Jeśli Sam ma mi pomóc, będę musiała mu to wszystko opowiedzieć, jak Simonowi.

– Cambridge – mówię. – Jestem tego pewna, bo Bentley Grove jedenaście jest w Cambridge.

# 8

**17/07/2010**

Olivia Zailer przeglądała swój dziennik, wzdychając głośno na widok każdej kolejnej strony. Umówiła zbyt wiele spotkań na następnych kilka tygodni i wiedziała już, że większość z nich będzie musiała odwołać. Lunch z Ettą z czasopisma „MUST” i rozmowa o artykule omawiającym znane powieści pod kątem tego, jakimi byłyby potrawami, gdyby jakimś cudem zostały zamienione w jedzenie (Wichrowe wzgórza jako Yorkshire pudding to jedna z propozycji Etty); spacer wydolnościowy na Hampstead Heath z Sabiną, osobistą trenerką; herbata w Bibliotece Brytyjskiej z Kurtem Vogelem, który chciał, by Olivia zasiadła w jury angielsko-niemieckiej nagrody dziennikarskiej przyznawanej osobom między jedenastym a trzynastym rokiem życia.

Olivia chyba jako jedyna na świecie umawiała się z każdym napotkanym człowiekiem, doskonale wiedząc, że w decydującym momencie odwoła spotkanie przez e-mail. Dlaczego tak trudno było jej powiedzieć wprost: „Wybacz, Kurt, ale nie mogę być jurorką”? Dlaczego uważała, że trzeba mówić „O rany! Oczywiście, bardzo chętnie” i dopiero nieco później dodawać „Przepraszam, nie mogę”? Najchętniej omówiłaby to z Charlie, bo wiedziała, że nikt inny nie

będzie zainteresowany, a już z pewnością nie Dominic. Podejrzewała, że może to mieć związek z chęcią przypodobania się innym, a w szczególności z potrzebą przypodobania się sobie.

Zadzwoił jej telefon komórkowy. Odebrała go, obiecując sobie, że kimkolwiek jest rozmówca, nie umówi się z nim na żadne wspólne przedsięwzięcie, choćby i takie, którego nie chciałaby potem odwołać. Zanim będzie mogła umówić się na prawdziwe spotkanie, musi oczyścić kalendarz ze wszystkich naciąganych.

– To ja. Chris Gibbs.

– Cześć, Chris Gibbs. O Boże, czyli to nieprawda, że to, o czym myślisz, się spełnia. Dzwonisz ty, bo spodziewałam się Kurta Vogela z Towarzystwa Brytyjsko-Niemieckiego. Przez cały czas, gdy o tobie myślałam, nie odezwałeś się ani razu, a teraz proszę.

– Masz ciągle zapasowy klucz do domu Charlie?

– Czemu? Coś się stało? – Olivia momentalnie poczuła lęk.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– W takim razie po co ci ten klucz?

– To dobre miejsce na spotkanie – odparł Gibbs.

– Ze mną?

– Nie. Z tobą, Waterhouse'em i Charlie, jak tylko wrócą. Na wieczorek z okazji końca miesiąca miodowego.

I niby co miała na to powiedzieć?

– Nie uważasz, że to byłoby... dziwne?

Usłyszała parsknięcie.

– Żartowałem – powiedział Gibbs. – Oczywiście, że z tobą. Nie widziałem cię od... – przez chwilę liczył w ciszy – ...jakichś czterdziestu czterech godzin. Rozważam uczynienie z tego swojego żalu napędowego.

– Niewidzenie mnie przez niemal dwie doby jest w twoim wypadku normą – przypomniała mu Olivia. – Większość życia spędziłeś na niewidzeniu mnie i jakoś ci szło.

Powiedział żart. Pełny żart. Do tego jeszcze mnie cytuje. Znowu.

– To kwestia opinii – odparł Gibbs.

Nie mogła się z nim spotkać w domu Charlie. Seks w łóżku, które dzieliła z Simonem? Nie do pomyślenia. Wzięła do ręki długopis i w rubryce „Imię i nazwisko” w swoim kalendarzu napisała „Olivia Gibbs”. Wyglądało to dobrze. Krągłość dwóch dużych liter, O i G, wprowadzała równowagę.

Czy powinna to skreślić? Chciała tylko sprawdzić, co będzie czuła, pisząc te dwa słowa. Nic więcej. Powinna je teraz zamazać. Z drugiej strony, Dominic nigdy by tego nie zauważył, nawet gdyby ktoś podsunął mu otwarty kalendarz pod nos. Najlepsze w Dominicu, z punktu widzenia potencjalnej oszustki, było to, że niemal nic go nie interesowało.

– To co powiesz? – spytał Gibbs.

– Nie. Wykluczone.

Gdyby tylko miała tyle samo odwagi w kontaktach z Ettą z



czasopisma „MUST”.

Olivia nie miała za grosz siły woli i uważała, że ludzie, którzy ją mają i robią z niej użytek, są dziwni. Na szczęście nie mogła narzekać na brak lęków. Nie mogłaby przystać na propozycję Gibbsa, nie czując jednocześnie, że przekracza granicę, której się panicznie bała, nawet wiedząc, że w każdej chwili może to spotkanie odwołać.

– No dobrze, w takim razie hotel – powiedział.

– A co z twoją pracą? Co z Debbie? – Olivia otworzyła kalendarz na pustych kartkach przeznaczonych na notatki i jeszcze raz, starannie napisała „Olivia Gibbs”. Pod spodem to samo, ale drukowanymi literami.

– To moje problemy, nie twoje – powiedział Gibbs. – Jeśli nie chcesz przyjeżdżać do Spilling, mogę wpaść do Londynu.

– Jeśli chcesz mieć dziewczynę, to poszukaj sobie bliżej domu – odparła Olivia, modląc się, żeby nie skorzystał z jej rady.

W takim razie po co mu jej udzielasz?

– Dlaczego? – spytał. – Znam tylko dwie osoby, które mnie nie nudzą: Waterhousea i ciebie. Nie chcę bzykać Waterhousea, więc zostajesz ty.

– Myślałam, że jednak cię męczę. – Olivia czuła, że powinna mu przypomnieć, na wypadek gdyby wypadło mu to z głowy. – Powiedziałeś, że jestem jak weekendowy dodatek.

– Wcale tak nie myślę. Po prostu nie wiedziałem, jak cię rozgryźć.

Olivia usłyszała chrzęst. Czyżby jadł jabłko?

– Słuchaj, Los Delfines. – Przez sekundę bała się, że zaproponuje jej, by umówili się na schadzkę w willi Simona i Charlie. – Muszę powiedzieć Robotowi, że tam jest Waterhouse. Coś nam wypadło.

– Co? Nie ma mowy. Jeśli mu powiesz, to. – Nie przychodziła jej do głowy żadna groźba. – Co wam wypadło?

Kolejny kęs jabłka.

– Powiem ci, jeśli pozwolisz powiedzieć Robotowi, gdzie jest Waterhouse.

– Nie! Nie zrujnujesz im miesiąca miodowego, mówiąc swojemu sierżantowi, gdzie jest Simon, żeby mógł go stamtąd ściągnąć. Na samą myśl o tym robi mi się słabo.

– Nie będzie musiał przyjeżdżać. Kombothekra chce tylko chwilę z nim pogadać. Dałbym mu numer dozorca, Dominos Pizza, czy jak mu tam. W pięć minut będzie po wszystkim i Waterhouse wróci na swój leżak.

Olivia wykrzywiła twarz w gniewny grymas.

– Aż takie to ważne? – Po czym dodała, nie mogąc się powstrzymać: – Luksusowe wille mają fotele ogrodowe, nie leżaki.

– Możliwe, że chodzi o morderstwo.

– O kurwa, kurwa, kurwa. Dlaczego się przed tobą wygadałam?

– Naprawdę nie chcesz, żebym mu powiedział?

– Jak możesz mu nie mówić, skoro ktoś został zamordowany?

– Ktokolwiek to był, to za dwa tygodnie wciąż będzie martwy – odparł Gibbs.

Olivia niemal słyszała, jak Gibbs wzrusza ramionami.

– Co to za podejście? – warknęła. – Chcesz zrobić na mnie wrażenie niestereotypowego gliny? Jeśli tak, to musisz się jeszcze sporo nauczyć. Działanie w pojedynkę wbrew regułom jest cool. Niedbanie o bezkarne mordowanie niewinnych cywilów jest nie do przyjęcia.

– Na razie nie wiadomo, czy rzeczywiście kogoś zamordowano. Rozwalasz mi plan.

– Słucham?

– Miałaś błagać mnie, żebym nic nie mówił, a ja miałem ci ustąpić pod warunkiem, że zgodzisz się ze mną spotkać.

– No tak – westchnęła Olivia. – Jeśli nie masz bukietu kwiatów, zawsze zostaje jeszcze szantaż.

Cisza.

Miała nadzieję, że go nie uraziła, choć nie ulegało dla niej wątpliwości, że na to zasłużył. W końcu Gibbs powiedział: – Z tobą rozmawia się inaczej niż z innymi. Na ogół ja mówię, co mam na myśli, a ktoś odpowiada, mówiąc, co on ma na myśli. Ale z tobą. Nigdy nie wiem, czy jestem łajdakiem, udaję, że jestem łajdakiem, czy czytam kwestie ze scenariusza, którego nie rozumiem.

– To się nazywa przedłożkowa gadka-szmatka.

– Aha. – Cisza. – Dobrze, w takim razie postaram się nie mówić o leżakach.

Olivia westchnęła. To już jego drugi żart. Pewnie w całym życiu. Jak mogła mu odmówić?

– Przyjeżdż do Londynu – powiedziała. – Ja zapłacę za pokój. W ten sposób obydwójce się... zrzucimy.

Mając do wyboru zużycie energii lub wydanie pieniędzy, Olivia zawsze decydowała się na to drugie.

– Wyjeżdżam n... – rzucił Gibbs, kończąc połączenie, nim zdążył powiedzieć „natychmiast”.

Olivia gapiła się na swoje przybrane nazwisko zapisane w kalendarzu na różne sposoby. Zaklęła pod nosem, gdy zdała sobie sprawę, co zrobiła: kompletnie pominęła swoje własne nazwisko. I to po całej awanturze, którą wywołała w kwestii przybrania nazwiska Dominica, gdy upierała się przy dwuczłonowym Zailer-Lund, bo samo Lund byłoby. Nie pamiętała już swoich argumentów.

Czyżby jej oddanie dla Dominica zaczynało słabnąć?

Gdyby wychodziła za mąż za kogoś innego – niekoniecznie za Gibbsa, choć. No, ale dobrze, niech już nawet on posłuży za przykład, mimo że byłoby to niedorzeczne, w końcu nie mieli nic wspólnego, Gibbs był ewidentnie typem faceta, który do opalania się używa leżaka – no więc gdyby wychodziła za kogoś innego, to czy czułaby się teraz inaczej?

Powiedziała sobie stanowczo, że nie. Jej kalendarz zdawał się temu

przeczyć.

Temat: Bentley Grove 11, CB2 9AW Od: Ian Grint  
([iangrint@cambs.police.uk](mailto:iangrint@cambs.police.uk)) Data: 19 lipca 2010 10.53

Do: Sam Kombothekra (s.kombothekra@culvervalley...  
police.uk) Sam,

wydzwaniam do ciebie i wciąż słyszę, że jesteś w stołówce. W komórce od razu włącza się poczta głosowa. Mógłbyś wyściubić nos i do mnie zadzwonić? Im szybciej, tym lepiej.

Pozdrawiam.

Ian (Grint)

## **DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/22IG**

**Ważne:** ten dokument będzie potrzebny przy naliczaniu podatku. Trzymaj go w bezpiecznym miejscu.

Wheel Women  
Wayman Court, Newmarket Road  
Cambridge, CB5 9TL

Data wydania: 08/11/2009

Niniejsze zaświadczenie dowodzi, iż wykupiła pani ubezpieczenie wymagane prawem. W razie jakichkolwiek zmian dokument przestaje być ważny. Szczegóły ubezpieczenia znajdzie Pani w Załączniku oraz w książeczce z opisem polisy.

### **Zaświadczenie o ubezpieczeniu motoryzacyjnym**

Numer zaświadczenia i polisy: 26615881

Nr rejestracyjny pojazdu: MM02 OXY

Imię i nazwisko ubezpieczonego: Elise Gilpatrick  
Początek okresu ubezpieczenia: 06/11/2009 godz 0.00

Koniec okresu ubezpieczenia: 06/11/2010 godz 0.00

Osoby upoważnione do kierowania: Elise Gilparick, Donal Gilpatrick (pod warunkiem, że osoba kierująca ma prawo jazdy lub miała je w przeszłości i nie została administracyjnie pozbawiona

możliwości uzyskania prawa jazdy) **Właścicielka polisy, Elise Gilpatrick, ma również prawo kierowania pojazdem nienależącym do niej, za pozwoleniem właściciela, o ile pojazd ten nie został wydany na podstawie umowy wypożyczenia lub leasingu.**

Przeznaczenie pojazdu: cele towarzyskie, domowe i rozrywkowe  
Niniejszym oświadczam, iż polisa, której dotyczy to zaświadczenie, spełnia wymogi właściwych przepisów prawa, obowiązujących na terenie Wielkiej Brytanii, Irlandii Północnej oraz wysp Man, Jersey, Guernsey i Alderney.

**Rosemary Vincent**

# 9

## **Poniedziałek, 19 lipca 2010**

Zaczynam opowiadać Samowi Kombothekrze o mojej pierwszej kłótni z Kittem. Dotyczyła Cambridge. Byliśmy razem od miesiąca.

Kitt nie chciał wywołać burzy, próbował mnie skomplementować. Z technicznego punktu widzenia kłótnię zaczęłam ja, choć wtedy nie miałam takiego wrażenia. Wracaliśmy z lunchu u moich rodziców do wynajętego mieszkania Kitta w Rawndesley. Było to piąte, może szóste spotkanie Kitta z moją rodziną. Dziewięć lat zbierał się na odwagę, by spytać, czy może uczestniczyć w tych rodzinnych wizytach rzadziej niż wymagane ode mnie kilka razy w tygodniu.

Chcąc zaimponować Kittowi, mój ojciec zaproponował otwarcie butelki wina, którą dostał dwa lata wcześniej od wyjątkowo wdzięcznego klienta firmy Monk & Sons. Kompletnie nie znam się na winach, mój ojciec też, ale ów klient przekonał go, iż ta konkretna butelka jest wyjątkowa. Wino miało być bardzo stare albo bardzo wartościowe, albo bardzo stare i bardzo wartościowe. Moi rodzice nie pamiętali już dokładnych słów darczyńcy, zostali jednak skutecznie przekonani, że lekkomyślnie byłoby otworzyć i wypić to wino, więc schowali je w bezpiecznym miejscu. Było tak bezpieczne, że gdy nadarzyła się wreszcie okazja i ojciec uznał, iż pojawienie się w jego



domu elokwentnego, wykształconego w Oxbridge potencjalnego zięcia woła o uwolnienie magicznej mocy antycznego trunku, ani on, ani matka nie potrafili sobie przypomnieć, gdzie schowali butelkę. Kitt próbował przekonać ich, że to nieważne, że woli wodę albo sok jabłkowy, bo i tak będzie prowadził, ale tata nalegał, by odszukać wyjątkową flaszkę. Oznaczało to, że jedzenie mamy stygło, podczas gdy ona przeczesywała najpierw piwnicę, a potem cały dom. W tym samym czasie my wszyscy poszliśmy za przykładem ojca i jedliśmy swoje porcje.

– Jeśli nie zjesz gorącego, Val wypruje ci flaki – powiedział mój ojciec, widząc, że Kitt krępuje się zacząć bez gospodyni.

Fran, Anton i ja już do tego przywykliśmy. Tata często wysyła mamę, by mu coś przyniosła właśnie w chwili, gdy ta siada do stołu. Podejrzewam, że w takich wypadkach patrzy na jej talerz, z przerażeniem stwierdza, ile czasu minie, zanim znów będzie mogła służyć mu pomocą, i postanawia, że w związku z tym zawczasu zgłosi swoje najbardziej palące potrzeby.

Jedząc, słyszeliśmy dobiegające z kuchni głośne oddechy i krótkie stękanie – to mama dawała nam znać, jak wiele kosztuje ją poszukiwanie bezcennego trunku. Widziałam, że Kitt jest spięty i że czuje się za wszystko odpowiedzialny, choć oczywiście nie był.

W końcu mama zakrzyknęła:

– Na litość boską! Kolejny atak wacianego mózgu. Wiem, gdzie je schowałam.

Wszyscy usłyszeliśmy skrzypienie drzwi. Był to dźwięk, który

znaliśmy z Fran bardzo dobrze. Przez całe nasze dzieciństwo stanowił część dźwiękowej oprawy życia w naszym domu. Tata się zaśmiał i powiedział do Kitta:

– Kredens pod schodami. Nie wiem, czemu od razu tam nie szukała. Ja bym zaczął od niego. To oczywista kryjówka.

– Szkoda, że nie podzieliłeś się tą mądrością z mamą – zauważyła słusznie Fran. – Oszczędziłbyś jej pół godziny życia. Jej jedynego życia.

Pamiętam, że zastanawiałam się, czy aby Fran nie jest na ojca zła za nadskakiwanie Kittowi i ignorowanie Antona, który nie jest wykształcony w Oxbridge i którego rodzice mieszkają w przyczepie na obrzeżach Combingham.

Kilka sekund później usłyszeliśmy głuchy łomot i stłumiony krzyk. Wyjątkowe wino nie było jedynym znaleziskiem, na które matka natknęła się w kredensie pod schodami. Wszyscy wybiegliśmy do przedpokoju. Mama klęczała nad tekturowym pudłem.

W środku widać było grudkowatą, ciemną masę, tu i ówdzie stałą, ale głównie płynną. Smród był niemal paraliżujący, przyprawił mnie o odruch wymiotny.

– Co to jest? – zapytał ojciec, schylając się, by podnieść świętą butelkę wina, którą matka upuściła.

– Wydaje mi się, że kapusta – odparła mama. – Pamiętam, że trzy lata temu wkładałam kapustę do pudełka.

– No, dzisiaj to już nie jest kapusta – ocenił ojciec, dźgając Kitta

łokciem w żebro, jakby chciał powiedzieć: „Kolejny komiczny odcinek z życia rodziny Monków”.

– Daj, wyrzucę to – zaoferował się Anton, odsuwając matkę na boczny zawodowy pirotechnik przygotowujący się do zabezpieczenia terenu.

– Anton na ratunek – powiedział ojciec do Kitta, na wypadek gdyby ten nie rozumiał, co się dzieje. Przydałyby się też napisy – Nikt nie radzi sobie lepiej w sytuacjach kryzysowych.

– To fakt – mruknęła Fran pod nosem. – Gdy trzeba się pozbyć zgniłych warzyw, Anton nie ma równych sobie.

Spojrzałam na Kitta, bojąc się, że zauważę na jego twarzy wyraz zniesmaczenia. Tymczasem on szeroko się do mnie uśmiechnął i zrobił duże oczy, jakby chciał powiedzieć: „Porozmawiamy o tym w domu”. Odwzajemniłam jego uśmiech, pełna wdzięczności, bo sprawił, że poczułam się jak outsider, a nie jak nieodłączny element cyrku rodziny Monków.

Patrzyliśmy wszyscy, jak Anton otwiera drzwi wejściowe i wynosi na zewnątrz pudło z czymś, co kiedyś było kapustą.

– No dobra – przyklasnął mój ojciec. – Czas wrócić do tego, co istotne: do jedzenia i wina.

Jedliśmy wystygłą lasagne – ojciec nie przestawał wmawiać nam, że wciąż jest gorąca, a matka cały czas groziła odpaleniem mikrofalówki – piliśmy wino, które było smaczne, ale nie rewelacyjne, a potem, gdy to przereklamowane się skończyło, otworzyliśmy jeszcze

jedną butelkę jakiegoś zwyczajnego. Ojciec czepiał się matki o upuszczenie butelki, która „mogła się rozbić”, choć się nie rozbiła.

Kitt bronił się przed kolejnymi dolewkami wina, ojciec nudził mnie i Fran, a Kitta szokował swoimi poglądami na kwestię kierowania po pijanemu:

– Jeśli o mnie chodzi, to człowiek, który nie umie odpowiedzialnie kierować po kilku głębszych, w ogóle nie powinien mieć prawa jazdy. Dobry kierowca jest dobrym kierowcą, na trzeźwo czy pod gazem.

A potem, bez żadnego powodu, moja matka wybuchła płaczem i wybiegła z pokoju. Bardzo zdziwieni słuchaliśmy wszyscy, jak szlocha, biegnąc po schodach na górę. Ojciec zwrócił się do mojej siostry:

– Co z nią jest? Za dużo wina?

– Nie wiem – odparła Fran. – Może wypuść ją na autostradę na kilka godzin? Jeśli się rozbije, znaczy, że przegięła. Jeśli nie, to jest trzeźwa. Czy na odwrót, bo już nie pamiętam, jak to jest według ciebie?

– Sprawdźcie, co się stało – powiedział ojciec. – Niech któraś z was do niej pójdzie. Connie?

Wlepiłam wzrok w swój talerz, naumyślnie go ignorując. Fran westchnęła i poszła na górę w poszukiwaniu mamy.

Tata powiedział:

– Za chwilę napijemy się pysznej herbaty i zjemy deser. Placek jabłkowo-rabarbarowy, o ile się nie mylę.

Miał oczywiście na myśli to, że dostaniemy obie te rzeczy, gdy mama zejdzie na dół. Ugryzłam się w język, by nie powiedzieć do Kitta: „Tata może zabiegać o twoje uznanie i podawać ci najlepsze wino, ale nigdy, przenigdy nie zaparzy ci herbaty, choćbyś nie wiem ile lat przesiedział przy stole w jego kuchni i choćbyś był nie wiem jak spragniony”.

W tamtej chwili wydało mi się to formą wyrafinowanego okrucieństwa – znać kogoś i rzekomo darzyć miłością, na przykład własną córkę, a mimo to przez trzydzieści cztery lata ani razu nie zaproponować jej filiżanki herbaty czy kawy, chyba że miałoby się pewność, że samą czynność parzenia i podania wykona ktoś inny.

Fran wróciła do nas wyraźnie wkurzona.

– Mama mówi, że zaraz do nas przyjdzie. Przejęła się kapustą.

– Czemu, do licha? – Ojciec był zniecierpliwiony.

Fran wzruszyła ramionami.

– Nie była zbyt rozmowna. Jak chcesz się dowiedzieć więcej, to sam ją zapytaj.

Kilka minut później mama wpadła do kuchni z nową warstwą makijażu na twarzy i zaczęła ze sztuczną wesołością rozprawiać o kremie i kruszonce. Przeklęta kapusta odeszła w zapomnienie.

Dwie godziny później, już po herbacie i deserze, mogliśmy wreszcie uciec. Wznosząc się na wyżyny dyplomacji, Kitt oparł się namowom ojca, by jechać do domu samochodem pomimo wypicia czterech dużych kieliszków wina. Oczywiście zgadzał się z ojcem co do

kierowania pod wpływem, a jakże, tyle że pozostawała jeszcze do rozważenia drobna kwestia policji drogowej. Kitt zostawił więc auto przed domem moich rodziców i do Rawndesley poszliśmy piechotą, co zajęło nam półtorej godziny. Czas zleciał nam niepostrzeżenie, bo zajęci byliśmy omawianiem mojej rodziny.

– Fran bezlitośnie okładała waszego ojca pałką, a on w ogóle nie reagował – powiedział Kitt, który teraz, po wyjściu od moich rodziców, był ożywiony i podekscytowany – Nawet tego nie zauważał. Myślałem, że pęknę ze śmiechu. Twoja siostra jest jak Dorothy Parker z Culver Valley. Gdybym choć raz odezwał się w ten sposób do mojego ojca, toby mnie wydziedziczył.

W tamtym czasie Kitt był jeszcze w dobrych stosunkach ze swoimi rodzicami.

– Kto to jest Dorothy Parker? – spytałam.

Kitt się roześmiał. Był pewien, że żartuję.

– Pytam serio – powiedziałam. – Kto to jest?

– Słynna śmieszna kobieta – odparł. – „Gdy trzeba się pozbyć zgniłych warzyw, Anton nie ma równych sobie”. Dokładnie tak sformułowałyby to Dorothy Parker. Twój ojciec zupełnie się nie połapał, że Fran się z niego nabija za pogwałcenie Antona wymuszonymi komplementami. „Nikt nie radzi sobie lepiej w sytuacjach kryzysowych”. Tak, o ile przez poradzenie sobie z kryzysem można rozumieć wyniesienie z domu pudła ze zgniłą kapustą. To był jedyny raz, kiedy w ogóle zauważył istnienie Antona, bo tak był zajęty wkupianiem się w moje łaski. Nic dziwnego, że Fran się wkurzyła.

– Przepraszam cię za tę śmierdzącą kapustę – powiedziałam śmiertelnie poważnym tonem, po czym oboje wybuchliśmy śmiechem.

Był zimny, lutowy dzień, a właściwie już noc. Zaczął padać deszcz, co jeszcze bardziej nas rozśmieszyło. Dzięki mojemu ojcu i jego wyjątkowemu winu byliśmy skazani na kompletne przemoczenie.

– To oczywiste, czemu twoja mama tak bardzo się przejęła zgniłą kapustą – powiedział Kitt, próbując odzyskać poważny wyraz twarzy.

– Ona nie znosi żadnego marnotrawstwa – wyjaśniłam. – Dziś dowiedziała się, że w zeszłym roku mogła zaoszczędzić dwadzieścia pensów.

– Przeraziło ją to, że wszystko działo się na moich oczach. Gdyby tylko się do tego przyznała, zapewniłbym ją, że nie ma to dla mnie znaczenia. Jakżeż bym mógł nieprzychylnie oceniać drugiego człowieka tylko dlatego, że przechowuje zjełczały, ciekły materiał warzywny w...

Nie mógł dokończyć zdania, tak mocno się śmiał.

Gdy się wreszcie opanowaliśmy, powiedziałam:

– To nie tak, jak mówisz. Owszem, na pewno była zawstydzona, lecz nie dlatego miała tę dziwną zapaść. Pozory są dla mojej matki ważne, ale jej bogiem jest kontrola. Ciężko pracuje, by utrzymać kontrolę nad każdym aspektem swojego życia i otaczającego ją świata i najczęściej świetnie jej to idzie. Dla niej czas stoi w miejscu, a rzeczywistość kurczy się do rozmiarów kuchni w Thorrold House.

Strumienie energii kosmicznej zatrzymują się u jej stóp. Dobrze wiedzą, że nie ma sensu wchodzić w drogę Valerie Monk. I nagle ta sama Valerie Monk znajduje kapustę, która spędziła w kredensie kilka miesięcy, jeśli nie lat, i która za jej plecami po cichu sobie czerniała, miękła i gniła, a ona o niczym nie miała pojęcia. Wszystko wychodzi niespodziewanie na jaw akurat w dniu, gdy moja matka ma gości. Próbuje więc udawać, że incydent nie wywarł na niej wrażenia, ale tak naprawdę nie może się z nim pogodzić. Kapusta stanowi dowód, którego nie sposób zignorować. Dowód, że Val Monk nie cieszy się pełnią władzy. Siły śmierci i rozkładu maszerują naprzód i to one kierują biegiem zdarzeń. Są już wewnątrz budynku i nawet moja rozsądna, dobrze zorganizowana matka nie jest w stanie ich powstrzymać, choć prowadzi notes z przepisami na każdy dzień i zawsze doskonale wie, kto ma niedługo urodziny.

Kitt patrzył na mnie uważnie. Już od dłuższej chwili się nie śmiał.

– Przepraszam – powiedziałam. – Gdy wypiję, to za dużo mówię.

– Mógłbym cię słuchać do końca życia – odparł.

– Naprawdę? W takim razie mylisz się również co do mojej siostry.

– Nie jest odpowiedzią Culver Valley na Dorothy Parker?

– Wcale nie docinała tacie, choć gdyby ją o to spytać, pewnie by udawała, że właśnie taki miała cel. To ona gnębiła Antona wymuszonymi komplementami. Nie zrozum mnie źle, bardzo go kocha, ale wydaje mi się, że czasem chciałaby, żeby... Sama nie wiem. Żeby był bardziej treściwy.



– Dlaczego nie poszłaś na studia? – spytał Kitt.

Nagła zmiana tematu nieco mnie zaskoczyła.

– Mówiłam ci. Nikt z moich znajomych nie studiował, a rodzice zaproponowali mi dobrze płatną pracę w ich firmie.

– Jesteś niesamowicie inteligentna i przenikliwa, Connie. Gdybyś tylko chciała, mogłabyś robić dużo więcej niż tylko wypełniać zeznania podatkowe rodziców. Mogłabyś zejść wysoko, naprawdę wysoko. Poza Little Holling.

Nagle stanął w miejscu i mnie też kazał się zatrzymać. Wydało mi się to cudownie romantyczne, że na jego życzenie znieruchomieliśmy w deszczu tylko po to, by mógł mi powiedzieć, jaka jestem inteligentna i ile we mnie potencjału.

– Moi nauczyciele niemalże na kolanach błagali mnie, żebym studiowała na uniwersytecie, ale jakoś nie byłam do tego przekonana. Do dziś jestem podejrzliwa. Uniwersytet kojarzy mi się z tym, że przez trzy lata jestem przymuszana do czytania pewnych książek przez ludzi, którym się wydaje, że są mądrzejsi ode mnie. A tymczasem mogę przecież sama wybierać, co chcę czytać, i kształcić się bez niczyjej pomocy. I nie płacę za to ani funta.

Kitt wytarł mi z twarzy kroplę wody.

– Dokładnie takiego sposobu myślenia spodziewałbym się po osobie, której edukacja została przedwcześnie przerwana w wieku osiemnastu lat.

– Szesnastu – poprawiłam go. – Matury też nie mam.

– O cholera – powiedział Kitt. – Zaraz mi powiesz, że wychowywały cię wilki.

– Wiesz, ile książek przeczytałam w zeszłym roku? Sto dwie. Wszystkie je sobie zapisuję w notesie.

– Powinnaś pójść na studia. – Kitt mnie nie słuchał. – Teraz, jako dojrzała studentka. Connie, jestem pewien, że byłabyś tym zachwycona. Cambridge to był najlepszy okres w moim życiu. Bez cienia wątpliwości, najlepsze trzy lata i...

Nagle zamilkł.

– Kitt? I co?

Zauważyłam, że przestał patrzeć mi w oczy. Patrzył przede mną, nie zauważając mojej twarzy. Wyglądał tak, jakby widział jakiś inny czas, inne miejsce. Odwrócił głowę, wydawało mi się, że nie chce, by moja obecność przeszkadzała mu we wspomnieniach. Po chwili musiał zdać sobie sprawę z tego, co zrobił, bo podjął wyraźny wysiłek, by wrócić do rozmowy. Zobaczyłam wtedy w jego oczach ten wyraz, który dziesięć lat później widziałam, gdy zapytałam go o Bentley Grove jedenaście zaprogramowane w GPS-ie: poczucie winy, strach, wstyd. Został przyłapany. Próbował obrócić to w żart.

– Drugi najlepszy okres w moim życiu – powiedział pośpiesznie, rumieniąc się. – Teraz, z tobą, jest ten najlepszy.

– Opowiedz mi o niej – odparłam.

– O kim? Nie, to. Nic takiego.

– Nie miałaś dziewczyn na studiach?

– Mnóstwo, ale żadna nie była ważna.

Tydzień wcześniej spytałam go, ile razy był zakochany, nim poznał mnie, lecz unikał odpowiedzi, mówiąc takie rzeczy jak „Co masz na myśli przez zakochanie?” albo „O jakiego rodzaju miłości mówimy?”. Przez cały czas uciekał wzrokiem.

– Kitt, widziałam twoje oczy, gdy mówiłeś, że w Cambridge spędziłeś najlepszy okres swojego życia. Przypominałeś sobie, jak byłeś zakochany.

– Nieprawda.

Wiedziałam, że kłamie, a przynajmniej tak mi się wydawało. Coś się wtedy we mnie ścięło i pociemniało. Postanowiłam, że będę zimną suką, w którą tak łatwo jest mi się zamienić, gdy podle się czuję.

– Czyli co? Myślałeś o wykładach i seminariach, tak? Z tym tęsknym wyrazem twarzy? Zamarzyły ci się notatki do eseju?

– Connie, nie bądź śmieszna.

– Była twoją wykładowczynią? Żoną wykładowcy? Żoną dziekana?

Kitt zaprzeczał i zaprzeczał, a ja ciągnęłam swoje przesłuchanie przez całą drogę do domu. Czy chodziło o mężczyznę? Może o kogoś niepełnoletniego? Niespełna szesnastoletnią córkę dziekana? W nocy nie chciałam spać w jednym łóżku z Kitem, urządziłam mu potworną awanturę i zagroziłam, że z nim zerwę, jeśli nie powie mi prawdy. Następnie, widząc, że nie zamierza się ugiąć, ograniczyłam żądania: nie chciałam już słyszeć całej prawdy, ale musiał przyznać, że coś przede mną ukrywa. Chciałam się upewnić, że nie zwariowałam, i

naprawdę widziałam w jego oczach zapal albo poczucie winy. W końcu przyznał, że rzeczywiście mógł wyglądać na zażenowanego, lecz tylko dlatego, że był zły na siebie samego za spowodowanie we mnie wrażenia – mylnego, jak się zarzekał – iż lata spędzone na uniwersytecie były dla niego ważniejsze od związku ze mną.

Chciałam w to uwierzyć. Postanowiłam, że mu zaufam.

Następnym razem temat Cambridge pojawił się między nami trzy lata później, w 2003 roku. Mieszkałam już wtedy z Kitem w Rawndesley, a matce weszło w zwyczaj nazywanie mnie turystką, ilekroć przychodziłam rano do pracy. Ignorowałam ją, pozostawiając obronę siostrze.

– Mamo, na litość boską! Rawndesley jest dwadzieścia pięć minut drogi od nas. Nie ma dnia, żebyś nie widziała się z Connie! – mawiała Fran.

Przez całe życie byłam przekonana, że moja rodzina cierpi na chorobę, która dotyka tylko nas, a której głównym objawem są wyjątkowo wąskie horyzonty. Któregoś dnia poszliśmy z Kitem coś zjeść i po drodze wpadliśmy na naszych sąsiadów, Guya i Melanie, parę mieszkającą obok nas. W tamtym czasie Guy pracował z Kitem w Deloitte. To on powiedział mu o dwupoziomowym mieszkaniu ze wspaniałym widokiem na rzekę, dostępnym w jego budynku. Podczas gdy mężczyźni rozmawiali o sprawach zawodowych, Melanie badała mnie od stóp do głów i szczegółowo przesłuchiwała, pytając, czym się zajmuję, czy moje włosy są naturalnie ciemne i skąd pochodzę. Gdy odparłam, że z Little Holling w Silsford, przytaknęła, jakbym

potwierdziła jej podejrzenia.

– Słyszałam w twoim głosie, że nie jesteś stąd – powiedziała.

Później, gdy siedzieliśmy już w Isola Bella, lepszej z dwóch włoskich restauracji w Rawndesley, powiedziałam Kittowi, że uwaga Melanie wprowadziła mnie w przygnębienie.

– Jak to możliwe, że urodzenie się w Silsford oznacza „bycie nie stąd” dla kogoś w Rawndesley? Ludzie z Culver Valley są tacy zaściankowi. Myślałam, że to tylko cecha moich rodziców, ale się myliłam. Nawet w Rawndesley, które ma być niby dużym miastem.

– Jest miastem – zauważył Kitt.

– Niezupełnie. Nie jest kosmopolityczne i żywe jak Londyn. Nie ma... energii. Dla większości ludzi mieszkanie w Rawndesley nie było wyborem. Albo się tu urodzili i brak im wyobraźni, żeby wyjechać, albo, jak ja, pochodzą ze Spilling lub z Silsford i wychowali się w takiej izolacji, że perspektywa wyjechania do odległej o pięćdziesiąt kilometrów metropolii w stylu Rawndesley wydaje im się równie ekscytująca, jak przeprowadzka na Manhattan. Dopóki nie dotrą na miejsce, rzecz jasna. Albo przyjeżdżają tu nie z własnej woli, bo dostają pracę, która.

– Jak ja? – uśmiechnął się szeroko Kitt.

O dziwo wcale nie jego miałam na myśli.

– No właśnie, dlaczego tu przyjechałeś? – zapytałam go. – W dodatku z Cambridge. Założę się, że Cambridge jest kosmopolitycznym, żywym miastem.

Od czasu naszej wielkiej kłótni była to pierwsza rozmowa między nami, w której padło słowo „Cambridge”.

– To prawda – powiedział Kitt. – Jest też piękne, w przeciwieństwie do Rawndesley.

– Więc dlaczego wyjechałeś i wybrałeś duszną atmosferę Culver Valley?

– Gdybym tego nie zrobił, nie poznałbym ciebie – odparł. – Connie, muszę cię o coś spytać. Dlatego chciałem, żebyśmy wyszli na kolację.

Wyprostowałam się.

– Czy za ciebie wyjdę? O to chodzi? – Na pewno nie udało mi się ukryć ekscytacji.

– Nie, nie o to. Ale skoro już pytasz. Wyjdiesz za mnie?

– Muszę się zastanowić. Okej, przemyślałam to. Tak.

– Świetnie. – Kitt kiwnął głową, marszcząc brwi.

– Wyglądasz na zmartwionego – powiedziałam. – Nie powinieneś być bezgranicznie szczęśliwy i zakochany?

– Jestem szczęśliwy i zakochany – Uśmiechnął się, lecz w jego oczach czaił się cień. – Choć i zmartwiony. To niesamowity zbieg okoliczności, ale muszę porozmawiać z tobą o mojej pracy i... o Cambridge.

Wstrzymałam oddech, podejrzewając, że Kitt zamierza podzielić się ze mną historią, którą przed trzema laty przemilczał. Jednak on zaczął mówić o Deloitte, opowiadając o możliwości pokierowania własnym

zespołem w ramach filii w Cambridge, o ekscytującym nowym projekcie i o tym, jak zwiększą się jego szanse na awans, jeśli się zgodzi. Serce waliło mi jak młotem. Słowa Kitta płynęły coraz bardziej wartkim strumieniem. Nie byłam w stanie zarejestrować wszystkich detali, a niektóre zdania były dla mnie kompletnie niezrozumiałe – określenia typu „granularność” – ale ogólny sens pojęłam. Firma Kitta chciała, by przeniósł się do Cambridge, co oznaczało, że ja, jako osoba, która właśnie zgodziła się wyjść za niego za mąż, choć raczej ja mu to zaproponowałam, stanęłam przed szansą ucieczki z Culver Valley i od rodziny.

– Musisz się zgodzić – szepnęłam do Kitta w momencie, gdy kelner przyniósł nasze tiramisu. – Musimy się stąd wydostać. Kiedy ci to zaproponowali?

– Dwa dni temu.

– Dwa dni? Trzeba było od razu mi powiedzieć. A jeśli zmienili zdanie?

Kitt przykrył moje dłonie swoimi.

– Nie zmienią zdania.

– Skąd wiesz? – spytałam, panikując.

– To jedna z czołowych brytyjskich firm doradczych, a nie banda rozhisteryzowanych nastolatek. Złożyli mi ofertę, niesamowicie hojną ofertę, a teraz czekają na moją odpowiedź.

– Zadzwoń do nich. Teraz – rozkazałam.

– Teraz? Jest piętnaście po dziewiątej.

– No i co? Myślisz, że śpią? Pewnie, że nie. Gdybym była czołowym brytyjskim doradcą od granularności, czekałabym przynajmniej do dziesiątej trzydzieści, żeby obejrzeć ostatnie wydanie wiadomości.

– Con, zwolnij trochę – powiedział Kitt, zaskoczony moją desperacją. – Nie chcesz tego najpierw przemyśleć? Daj sobie trochę czasu, rozważ wszystkie za i przeciw.

– Nie. Dlaczego? Ty widzisz jakieś „przeciw”?

A może Kitt wcale nie chciał się wyprowadzać? Mieszkał już w kilku różnych miastach. Urodził się w Birmingham, w wieku dziesięciu lat wyjechał do Swindon, a gdy miał piętnaście, przeprowadził się do Bracknell. Potem studia w Cambridge i teraz Rawndesley Nie był tak uziemiony jak ja. Nie czuł równie silnej potrzeby ucieczki.

– Nowa praca byłaby bez wątplenia krokiem naprzód – powiedział.  
– I masz rację: Cambridge jest wspaniałym miastem. A Rawndesley... nie jest. Ale jesteś pewna? Ja nie wiedziałem nawet, czy ci o tym mówić. Wczoraj byłem bliski odrzucenia ich oferty. Nie sądziłem, że będziesz chciała zostawić swoją rodzinę. Jesteście tacy.

– Niezdrowo współzależnieni?

– Co z twoją pracą? – spytał Kitt.

– Znajdę sobie inną. Mogę robić wszystko: kosić trawniki, sprzątać biura. Zapytaj w Deloitte, czy nie potrzebują sprzątaczk.

Gdy wychodziliśmy z restauracji, obydwójce czuliśmy, że Rawndesley jest już naszym dawnym miejscem zamieszkania. Byliśmy duchami nawiedzającymi swój dawny świat, żyjącymi nadzieją na



znalezienie nowego.

Następnego dnia powiedziałam o wszystkim mamie, ojcu, Fran i Antonowi. Bałam się, że znajdą jakiś sposób, by mnie zatrzymać, ale Kitt przekonywał mnie, że to niemożliwe, że ja sama decyduję o swoim życiu.

Po moim oświadczeniu zapadła długa cisza. Patrzyłam na twarze rodziców, którzy próbowali poradzić sobie jakoś ze wstrząsem, i czułam się, jakbym rzuciła na podłogę w kuchni siedem ton niewidzialnego, emocjonalnego gruzu, miażdżąc wszystkich obecnych.

Pierwsza odezwała się Fran.

– Cambridge? Nigdy tam nawet nie byłaś. Może ci się nie spodobać.

– To najdurniejszy plan, o jakim słyszałem – oznajmił ojciec, opędzając się od moich słów lekceważącym machnięciem gazety. – Pomyśl tylko, ile czasu zajmie ci dojazd do pracy. Co najmniej dwie godziny w jedną stronę.

Wyjaśniłam mu, że zamierzam odejść z Monk & Sons, że zamierzamy się pobrać i że Deloitte złożyło Kittowi propozycję, której nikt przy zdrowych zmysłach by nie odrzucił. Matka wyglądała na załamana.

– Przecież Kitt ma pracę tutaj – powiedziała drżącym głosem. Ponieważ zdecydowaliśmy się wyprowadzić do Cambridge, to Rawndesley nagle zaczęło być „tutaj”, już nie „tam”.

– Ty też tu pracujesz – dodała. – Jeśli wyjedziesz do Cambridge,

będziesz bezrobotna.

– Znajdę sobie coś – odparłam.

– Co na przykład?

– Nie wiem, mamo. Nie potrafię przewidywać przyszłości. Może...  
pójdę na studia.

Nie ośmieliłam się użyć słowa „dyplom”.

– Studia są bardzo fajne, ale to nie praca – zauważyła mama. –  
Nie opłacą rachunków.

Fran, Anton i mój ojciec uważnie ją obserwowali, ciekawi, jak  
pójdzie jej ta obrona przed zbliżającą się katastrofą.

– No nic – powiedziała wreszcie, odwracając głowę. – Przynajmniej  
dla Kitta to dobra wiadomość, skoro dostaje awans. Nasza strata jest  
jego korzyścią.

W dramatycznej wersji nakreślonej przez matkę Kitt był zwycięzcą,  
ona, ojciec i Fran byli przegranymi, a ja nie istniałam.

– Gratuluję zaręczyn – odezwał się Anton.

– Myślałam, że uważasz ślub za staroświecką, niepotrzebną  
instytucję – warknęła na niego Fran.

Nie dołączyła się do gratulacji. Moi rodzice też nie.

Rano, od razu po przebudzeniu pobiegłam do łazienki, żeby  
zwymiotować. Kitt zapytał mnie, czy aby nie jestem w ciąży, ale ja  
wiedziałam, że nie.

– To psychologiczne – powiedziałam. – Reakcja organizmu na reakcję mojej rodziny na naszą przeprowadzkę. Nie przejmuj się, zaraz mi przejdzie.

Nie przeszło. Weszliśmy z Kitem w rutynę niedzielnego jeżdżenia do Cambridge i oglądania domów. Woleliśmy kupić niż wynajmować. Kitt uważał, że wynajem to wyrzucanie pieniędzy w błoto, a ja chciałam się prawnie związać z miejscem innym niż Little Holling, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo powrotu. Za każdym razem, gdy jeździliśmy szukać domu, Kitt musiał przynajmniej raz zatrzymać samochód, żebym mogła zwymiotować na pobocze.

– Nie wiem, Connie, czy to dobry pomysł – powtarzał. – Nic ci nie było, dopóki nie postanowiliśmy się przeprowadzić. Nie możemy mieszkać w Cambridge, jeśli masz alergię na dezaprobatę rodziców. – Próbował obrócić wszystko w żart. – Nie chcę, żebyś zamieniła się w obłożnie chorą, wiktoriańską neurotyczkę w szlafroku, całymi dniami wachającą sole trzeźwiące.

– Poradzę sobie – zapewniałam go. – To tylko faza. Przejdzie mi.

Już wtedy wypadały mi włosy, ale jeszcze nie w widoczny sposób, więc próbowałam ukryć to przed Kitem.

Znaleźliśmy piękny dom przy Pardoner Lane 17, dwupiętrową, wiktoriańską kamienicę z oryginalnym kominkiem w każdym salonie i sypialni, czarnym ogrodzeniem na zewnątrz, schodkami do drzwi wejściowych i tarasem na dachu z panoramicznym widokiem na miasto. Wnętrze było pięknie urządzone, lśniące, z nową kuchnią i łazienkami. Kitt zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia.

– To jest to – powiedział szeptem, żeby nie usłyszała go agentka nieruchomości.

Był to zdecydowanie najdroższy i największy dom, jaki oglądaliśmy.

– Jak to możliwe, że nas na niego stać? – spytałam z niedowierzaniem, bojąc się, że to zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Nie ma ogrodu i z jednej strony sąsiaduje ze szkołą – wyjaśnił mi Kitt.

Przypomniałam sobie szyld, który widziałam na budynku obok.

– Beth Dutton Centre to szkoła?

– Niezupełnie – odparł Kitt. – Sprawdziłem, to część prywatnej szkoły, tylko szósta klasa i maksymalnie czternastu uczniów na grupę, czyli nigdy nie będzie w niej więcej niż dwadzieścia ośmiorgo dzieciaków. Mogą chcieć przypinać rowery do naszego ogrodzenia, ale na pewno będą cywilizowane. W Cambridge prawie wszystko jest cywilizowane.

– A co z dzwonkiem? – pytam. – Będzie dzwonił między lekcjami, to może być denerwujące. Będziemy go słyszeć przez ścianę.

Kitt podnosi brwi.

– Myślałem, że pragniesz mieszkać w buzującym życiu mieście. Jak chcesz, możemy zamieszkać w Little Holling, obok twoich rodziców. Wtedy będziemy słyszeć tylko rosnące kwiaty i, co jakiś czas, odgłos szorowania czyjejś kuchenki.

- Masz rację – powiedziałam. – Jestem zachwycona tym domem.
- Pomyśl tylko o przestrzeni. Będziesz mogła sobie urządzić specjalne, wiktoriańskie, zaciemnione pomieszczenie do omdleń.
- Poza tym zawsze możemy poprosić dyrektora szkoły o ściszenie dzwonka, jeśli będzie nam dokuczał.
- Dzwonek nie będzie problemem – westchnął Kitt. – Jedyńm problemem jest twój lęk.

Wiedziałam, że ma rację i że istnieje tylko jeden sposób na rozwiązanie tej kwestii: musiałam zrobić to, czego tak bardzo się bałam, i udowodnić sobie, że świat się nie skończy. Moi rodzice też z czasem by się uspokoiili. Przecież mogłam ich regularnie odwiedzać. Ich wizyty w naszym domu w Cambridge były nieco mniej prawdopodobne. Trzy lata wcześniej mama pojechała odwiedzić znajomą w Guildford. Drugiego dnia dostała ataku paniki i ojciec musiał ją zabrać do domu. Od tamtej pory matka nie podróżuje dalej niż do centrum Silsford.

– To co robimy? – zapytał Kitt, gdy siedzieliśmy w samochodzie przed siedzibą agencji nieruchomości Cambridge Property Shop przy Hills Road. – Kupujemy ten dom czy nie?

– Kupujemy – odparłam.

Odwołaliśmy pozostałe spotkania z agentami, które umówiliśmy na ten dzień. Kitt złożył ofertę na Pardoner Lane 17 i agentka powiedziała mu, że odpowie nam, gdy tylko skontaktuje się ze sprzedającym.

Nazajutrz po przebudzeniu stwierdziłam, że nie jestem w stanie

ruszyć jedną stroną twarzy. Moje prawe oko nie chciało się zamknąć – mogłam najwyżej palcem zaciągnąć górną powiekę niczym zasłonę – a gdy wystawiałam język, automatycznie opadał na lewą stronę. Kitt bał się, że miałam wylew, ale zapewniłam go, że to nie to.

– Miałeś rację wczoraj. Stres, lęk. Muszę je zignorować, to wszystko.

Na szczęście objawy nie były momentalnie widoczne dla wszystkich, którzy na mnie patrzyli. Kitt martwił się bardziej niż ja. Obiecałam mu, że jak tylko dokończymy przeprowadzkę i urządzimy się w nowym domu – który w tym momencie obydwójce nazywaliśmy już „naszym” – wszystkie symptomy znikną.

– Nie rozumiesz mojego organizmu tak jak ja – powtarzałam mu. – To moja chwytająca się brzytwy, zindoktrynowana podświadomość, która chciałaby, żebym do końca życia czciła Boga Lęku. Muszę się jej przeciwstawić. Choćby mi poodpadały nogi, choćbym oślepla i zamieniła się w żuka gnojaka, ten dom będzie nasz.

Agentka przez cztery dni się nie odzywała, nie odbierała telefonów i ignorowała wiadomości, które zostawiał jej Kitt, a gdy wreszcie zadzwoniła, powiedziała, że domem przy Pardoner Lane 17 zainteresowany jest inny kupiec, który zaproponował wyższą cenę od naszej, a nawet od ceny wywoławczej.

– Możemy ich przebić – zapewnił Kitt, chodząc nerwowo po dużym pokoju naszego mieszkania w Rawndesley. – Natomiast nie możemy zaproponować wyższej ceny i nadal jadać w restauracjach i wyjeżdżać na wakacje.

– W takim razie go nie kupujemy – powiedziałam.

Po pierwszym ukłuciu żalu poczułam gigantyczną ulgę.

– Jestem gotowy na wyrzeczenia i zaciśnięcie pasa, jeśli mnie w tym wesprzesz – odparł Kitt. – Teraz często jemy w restauracjach, a jedzenie wcale nie jest w nich takie dobre.

– Bo chodzimy do restauracji w Rawndesley. W Cambridge jedzenie będzie lepsze. Wszystko będzie lepsze.

– No to możemy jeść poza domem raz na dwa miesiące, nie raz w tygodniu. Ten dom wart jest wszelkich poświęceń, w żadnym innym się nie zakochamy, nie aż tak. Zadzwońię do agentki i powiem, że dajemy pięć tysięcy więcej.

Pięć tysięcy więcej niż drugi potencjalny kupiec, co oznaczało, że do naszej pierwotnej oferty musielibyśmy dodać całe dwadzieścia tysięcy.

– Nie – powiedziałam i powstrzymałam go przed wybraniem numeru agentki. – Nie chcę, żeby ta przeprowadzka była bardziej stresująca, niż już jest. Poszukajmy tańszego domu, takiego, na który na pewno będzie nas stać.

– Co ty wygadujesz? – Kitt był zły – Tak łatwo rezygnujesz z Pardon Lane siedemnaście? Myślałem, że ten dom cię zauroczył.

– Bo to prawda, ale... – przerwałam, widząc, że Kitt pokazuje na mnie palcem.

– Twoja twarz – powiedział. – Wszystko ci przeszło.

Miał rację. Nawet tego nie zauważyłam. Ostrożnie dotknęłam brwi, potem policzka. Wystawiłam język.

– Doskonale prosty – ocenił Kitt. – Cokolwiek to było, właśnie minęło. Dwie sekundy myślenia, że ci się upiekło, i znów jesteś zdrowa. – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Niesamowite.

– Niemożliwe, że to dlatego – zaprotestowałam. – Nawet jeśli nie kupimy tego domu, to przecież i tak przeprowadzamy się do Cambridge.

– Teoretycznie – odparł Kitt. – Z teorią radzisz sobie dobrze, ale rzeczywistość, czyli to wszystko, co związane ze złożeniem oferty i licytacją, sprawia, że paraliżuje cię strach. Dosłownie.

Czułam pogardę dla kobiety, którą opisywał. Myśl, że mówił o mnie, wprawiała mnie w taką złość, że miałam ochotę wydłubać sobie oczy.

– Zadzwoń do agentki – powiedziałam. – Przebij ofertę o dziesięć tysięcy, a gwarantuję ci, że nic mi nie będzie. Absolutnie nic. Nie będę wymiotowała, nie zastygnie mi pół twarzy.

– Skąd ta pewność? – spytał Kitt.

– Bo tak postanowiłam. To wszystko skończone. Mam już dość bycia... wybrakowaną. Od tej pory moja wola będzie ze stali, nakierowana na bezlitosne opieprzanie siedzącego we mnie, wystraszonego małego dziecka. Uwierz mi, nic mi nie będzie.

Kitt długo się we mnie wpatrywał.

– Dobra – powiedział w końcu. – Ale nie będę przebijał oferty o



dziesięć tysięcy, jeśli nie ma takiej potrzeby. Możliwe, że wystarczy pięć.

Zadzwoił do agentki, która obiecała się do niego odezwać.

Następnego dnia byłam w biurze Monk & Sons, gdy niespodzianie zjawił się w nim Kitt.

– Dlaczego nie jesteś w pracy? – spytałam, po czym wzięłam gwałtowny wdech. – Wygraliśmy? Kupujemy dom?

Tym razem nie czułam żadnego strachu, nie miałam żadnych wątpliwości. Chciałam mieszkać przy Pardoner Lane 17 i tyle. Nigdy w życiu nie byłam tak podniecona.

– Sprzedający przyjął naszą ofertę – powiedział Kitt. Chciałam rzucić mu się na szyję, lecz mnie powstrzymał. – Ale ja ją wycofałem.

– Co wycofałeś? – Nie rozumiałam.

– Ofertę. Nie przeprowadzamy się, Con. Wybacz, ale... Nie możemy tego zrobić.

– Dlaczego? – Do oczu napłynęły mi łzy. To się nie dzieje, nie może się dzieć. – Czy Deloitte...?

– To nie ma nic wspólnego z Deloitte. Boję się, że jeśli to zrobimy, to... będziesz miała jakąś zapaść.

– Kitt, jestem absolutnie.

– Nie jesteś zdrowa, Con. Wczoraj w nocy krzyczałaś przez sen.

– Nieprawda. Co mówiłam?

Kitt unikał mojego wzroku.

– Zaczęły ci wypadać włosy i ukrywasz to przede mną – powiedział. – Poza tym, znając stanowisko twoich rodziców, nie sądzę, by ta przeprowadzka sprawiła nam przyjemność. Ciężko jest żyć ze świadomością, że sprawiło się komuś tak wielką przykrość, zwłaszcza gdy tym kimś są rodzice.

– Co za bzdury! – syknęłam na niego, zamykając drzwi biura, by nie usłyszał mnie żaden klient. – Nie sprawiłabym im przykrości, sami by ją sobie sprawili, bo są zbyt głupi, by zrozumieć, że córka mieszkająca dwieście kilometrów od nich to żadna tragedia! Oczywiście wołałabym, żeby cieszyli się wraz ze mną, jednak nie zamierzam brać na siebie odpowiedzialności za ich zadowolenie!

– Zgadzam się, że nie powinnaś – odparł Kitt. – Ale wiem też, że byś ją na siebie wzięła. Czułabyś się podle i to by wszystko popsuło. Już zawsze wisiąby nad nami ten cień.

Zaczęłam płakać, przerażona jego słowami i tym, że miał rację. Gdybym się wyprowadziła, czy rzeczywiście wewnętrzny głos mówiłby mi bez ustanku, że porzuciłam własną rodzinę?

– Myślę... że są inne sposoby poza przeprowadzką na osiągnięcie tego, czego pragniemy – powiedział Kitt.

Zastanawiałam się, czy nie postradał zmysłów. Przecież właśnie przeprowadzka była tym, czego pragnęliśmy. Tylko tego naprawdę chcieliśmy: zamieszkać w Cambridge. Niby jak mieliśmy to osiągnąć, mieszkając w Rawndesley?

– Moglibyśmy kupić dom, ale nie w brzydkim Rawndesley, tylko w Spilling albo w Hamblesford.

– Spilling? – Miałam ochotę oderwać mu głowę i kopnąć ją na drugi koniec pokoju. Czy ktoś otworzył mu w nocy czaszkę i zamienił mózgi? – Do Spilling przeprowadzają się starsze panie, które grają w brydża i należą do Klubu Rotariańskiego. Ja jestem młoda, Kitt. Chcę żyć w mieście, które ma coś do zaoferowania. Nie mogę uwierzyć, że to mówisz!

Spojrzał na mnie zimnym wzrokiem.

– Różni ludzie mieszkają w różnych miejscach. Nie możesz tak generalizować. Myślisz, że w Cambridge nie ma starszych pań grających w brydża?

– Może i są. Pośród masy studentów i innych ciekawych ludzi. – Zdawałam sobie sprawę, że mówię jak naiwna chłopka, ale właśnie tę swoją cechę chciałam zmienić, wyprowadzając się do Cambridge.

– W Cambridge sztywni emeryci mogą robić najnudniejsze rzeczy na świecie, a i tak nie zatrują okolicy swoją nudą, bo wciąż napływają nowi, interesujący ludzie. Bo jest tam uniwersytet. Myślałam, że chcesz, bym poszła na studia.

Kitt zamilkł, odwrócił wzrok. Odezwał się po kilku sekundach:

– Bardzo bym chciał, żebyś studiowała, ale... Boże, to wszystko takie trudne.

– Ale co? Boisz się, że nie starczy mi rozumu? Że nie przyjmą mnie na żaden wydział?

Nagle gwałtownie odwrócił głowę w moją stronę.

– Naprawdę myślisz, że o to chodzi? Con, przyjęliby cię z pocałowaniem ręki. Ja przeprowadziłbym się z tobą do Cambridge bez zastanowienia, gdybym tylko wiedział, że sobie poradzisz, ale...

– Co takiego powiedziałam dziś w nocy? – spytałam.

– Co?

– Przez sen. Mówisz, że krzyczałam przez sen. I przez to zmieniłeś zdanie, mam rację? Wczoraj wszystko było w porządku. Zamierzaliśmy kupić Pardon Lane siedemnaście bez względu na cenę, byliśmy gotowi przelicytować drugiego kupca, nawet jeśli oznaczało to jedzenie zimnej owsianki przez następne dwa lata. Pamiętasz to jeszcze? Co takiego wykrzykiwałam przez sen, że o wszystkim zapomniałeś i postanowiłeś dać za wygraną?

Kitt pocierał nasadę nosa palcem wskazującym i kciukiem.

– Powiedziałaś: „Nie każ mi jechać”. – Specjalnie podkreślił słowa „nie każ”. Rozumiałam dlaczego i wiedziałam, że był to jego akcent, nie mój. Według niego w głębi duszy nie chciałam wyjeżdżać i gdybyśmy się przeprowadzili, i byłabym nieszczęśliwa, obwiniłabym Kitta, bo to on wszystko zaczął swoją niemożliwą do odrzucenia propozycją od Deloitte.

– Ciągle to powtarzałaś – powiedział. – Błagałaś mnie. Miałaś otwarte oczy, ale nie odpowiadałaś, gdy cię. Nie pamiętasz tego?

Pokręciłam przecząco głową. Czułam, że przeskoczył we mnie jakiś pstryczek. Kitt i moja podświadomość byli przeciwko mnie. Nic nie

mogłam zrobić wobec takiej opozycji.

– Co z Deloitte? – zapytałam smutnym głosem. – Co z twoim awansem?

– Odchodzę z Deloitte – oświadczył Kitt i uśmiechnął się. – Mówię ci: dużo o tym myślałem. Obydwoje potrzebujemy przerwania rutyny. Musimy znaleźć coś, co nas zainspiruje, i nie musi to być Cambridge. Założymy własną firmę. Jeśli będziesz chciała, możesz zostać na niepełnym etacie u rodziców, ale głównie będziemy pracować razem. Potrzebujesz większej niezależności od rodziny. Praca z nią po osiem godzin dziennie pięć dni w tygodniu zwyczajnie cię wykańcza. Twoi rodzice muszą zrozumieć, że jesteś w stanie robić coś, co nie było ich pomysłem ani pomysłem dziadka twojego dziadka. Dzięki temu wreszcie dostrzegą w tobie osobę, którą jesteś: bystrą, zdolną, niezależną kobietę.

Otworzyłam usta, by powiedzieć mu, że nie może podejmować takich decyzji bez konsultacji ze mną, lecz Kitt był szybszy i już opisywał kolejny punkt swojego planu:

– Znajdziemy dom, który nam się spodoba jeszcze bardziej niż Pardoner Lane siedemnaście. To nie będzie trudne. Takie miejsca jak Silsford czy Spilling mają tę jedną przewagę nad Cambridge, że więcej jest w nich nietypowych domów, panuje w nich większa różnorodność. W Cambridge są prawie same bliźniaki z cegły.

– Ale ja kocham Pardoner Lane siedemnaście – oznajmiłam bez sensu.

W tej chwili, po raz pierwszy i z uderzającą jasnością,

uświadomiłam sobie, że był to idealny dom, jedyny, w którym chciałabym zamieszkać. Teraz, gdy właśnie się okazało, że nie mogę go mieć.

– Pokochasz też dom, który kupimy w Culver Valley. Obiecuję – powiedział Kitt. – Innego nie kupimy. Ale na pewno coś znajdziemy. A potem, gdy nasza firma osiągnie oszałamiający sukces i będziemy mieli mnóstwo pieniędzy, a twoi rodzice zobaczą, że jesteś w stanie poradzić sobie bez ich pomocy, bez tej ledwo widocznej gołym okiem pensji, którą ci płacą.

– Myślałam, że nadal mam pracować dla nich na niepełnym etacie – wtrąciłam.

Moje całkowite odejście z Monk & Sons zmartwiłoby matkę w takim samym stopniu jak przeprowadzka do Cambridge.

– Na początku, jeśli będziesz chciała – przytaknął Kitt. – A gdy nasza firma ruszy z miejsca i zaczniemy zarabiać tyle, że nie będziesz miała powodu prowadzić ich ksiąg za siedemset funtów miesięcznie, wtedy powiesz rodzicom, że masz lepsze rzeczy do roboty. Powiesz:, Wybacz, tato, ale gdybym chciała pracować jako wolontariuszka, zatrudniłabym się w Czerwonym Krzyżu”.

Mimowolnie się zaśmiałam.

– I czym miałyby się zajmować ta nasza rewelacyjna firma? – spytałam.

– Nie mam pojęcia – odparł Kitt pogodnym tonem, wyraźnie ucieszony tym, że dużo lepiej wyglądam, a mój głos brzmi radośniej. –

Ale coś wymyślę i na pewno będzie to strzał w dziesiątkę.

I za pięć lat wrócimy do rozmowy o przeprowadzce do Cambridge albo w inne miejsce: do Londynu, Oksfordu, Brighton. I zobaczysz, że nie przerazi cię to w takim stopniu jak teraz, bo będziesz już w połowie drogi do odzyskania swobody.

– Dlatego Melrose Cottage jest takim pięknym domem – mówię Samowi Kombothekrze, który patrzy na mnie szklistym wzrokiem, zmęczony moją opowieścią. Prawdopodobnie doszedł właśnie do wniosku, że żaden normalny człowiek nie robiłby takiej afery ze zwykłej zmiany miejsca zamieszkania. Z czego wynika, że muszę być chora umysłowo i dlatego widzę na ekranie komputera martwe kobiety w kałużach krwi.

– Melrose Cottage to nazwa naszego domu w Little Holling – mówię mu, na wypadek gdyby nie zauważył szyldu na drzwiach.

– Jest idealny – przyznaje Sam.

– Musiał taki być, by wynagrodzić mi wszystko inne.

Od tamtej rozmowy w biurze Monk & Sons minęło siedem lat. Przez ten cały czas Kitt ani razu nie wspomniał o przeprowadzce do Cambridge, Londynu czy Brighton. Londyn z pewnością wypadł z puli na dobre. Odkąd Kitt pracuje tam kilka dni w tygodniu, regularnie przynosi do domu opowieści o tym, jakie to potworne, zaśmiecone, hałaśliwe, ponure miejsce. Takie właśnie opinie lubi wygłaszać moja matka, która nigdy nie była w Londynie, ale znacznie bardziej mnie przygnębiają, gdy padają z ust Kitta, bo ma on przecież być moim sojusznikiem w walce o niezależność.

W pierwsze Boże Narodzenie od wprowadzenia się do Melrose Cottage Kitt dał mi zdjęcie kaplicy King's College.

– Pomyślałem, że powinniśmy mieć coś, co będzie nam przypominało o Cambridge, skoro nie zamierzamy tam mieszkać – powiedział.

Dla mnie był to ewidentny symbol mojej porażki. Prezent kompletnie zepsuł mi święta. Siedząca na schodach kaplicy roześmiana kobieta zdawała się śmiać ze mnie.

– W styczniu, po znalezieniu tamtego adresu w GPS-ie Kitta, zaczęłam się zastanawiać nad tą... zmianą – mówię Samowi. – Kitt przedstawił mi ją jako wynik troski o mój poziom stresu, ale może wcale nie o to mu chodziło? Może chciał się wyprowadzić do Cambridge, bo miał tam dziewczynę? – Selinę Gane. – A potem się rozstali. Pokłócili się, ona go rzuciła i dlatego zmienił zdanie. Później któreś z nich nawiązało ponowny kontakt i wrócili do siebie, lecz tym razem, zamiast namawiać nas na przeprowadzkę, Kitt wpadł na lepszy pomysł: postanowił urządzić sobie z nią życie przy Bentley Grove jedenaście, mnie trzymając w Little Holling, w bezpiecznej odległości. Kitt uwielbia Melrose Cottage. Osiągnął dokładnie to, co zamierzał w dwa tysiące trzecim roku: znalazł dom, który podobał mu się bardziej niż Pardon Lane siedemnaście. Nigdy by z niego nie zrezygnował, gdyby nie musiał. Kilka tygodni temu zamówił u lokalnego artysty portret, jakby Melrose Cottage był osobą.

A czy ty przypadkiem nie czujesz tak samo?

Nie ośmielam się przyznać, że jestem o krok od zniechęcenia



własnego domu, mimo iż jest uroczy i nie wyrządził mi żadnej krzywdy.

– Kitt chce mieć wszystko, jak większość mężczyzn – mówię gniewnie. – Dwa życia. Mnie w Melrose Cottage i Selinę Gane w Cambridge. Nie obchodzi go, czego ja pragnę. Ja ciągle chcę się wyprowadzić, ale Kitt już mnie nawet o to nie pyta. Zakłada, że jestem szczęśliwa, lecz skąd to przekonanie? – warczę na Sama, który – tak jak Melrose Cottage – nie jest niczemu winny.

– Nie wiesz wcale, że Kitt ma romans z Seliną Gane – mówi Sam.

– A pan nie wie, że go nie ma.

A teraz nie zostaje już nic do powiedzenia. Nic już nie można zrobić, nie sposób poznać prawdy. Witaj w moim świecie.

– Opowiedziałas to wszystko Simonowi Waterhouseowi? – pyta Sam.

Rozmowa z Simonem była łatwiejsza niż z Samem, dużo łatwiejsza. Przy Simonie nie czułam się jak wariatka, nie odstręczała go dziwność mojej historii. Sam jest zniesmaczony, choć robi, co może, by ukryć przede mną swój dyskomfort. Rozmawiając z Simonem, miałam wrażenie, że dziwność jest jego żywiołem. Przytakiwał, słysząc zdania, które u większości ludzi wywołałyby niedowierzanie. Z kolei bardziej zwyczajne szczegóły dezorientowały go. Zadawał mi pytania, których związek ze sprawą nie był dla mnie oczywisty. Pytał wciąż o rodziców Kitta. Chciał wiedzieć, kiedy i dlaczego zerwał z nimi kontakt.

Nie powiedziałam Simonowi wszystkiego. Bojąc się przyznania do czegoś niezgodnego z prawem, przemilczałam swoje śledcze zwyczaje, piątkowe wypadki do Cambridge. Nie powiedziałam mu, że czasami jeździłam za Seliną Gane do jej pracy, że za nią chodziłam, ani o tym, że pewnego dnia, w recepcji szpitala, odwróciła się nagle i zapytała, czy aby już się gdzieś nie widziałyśmy.

– Nie – odparłam wtedy, sparaliżowana strachem. – Nie wydaje mi się.

– Nie mieszkasz przypadkiem przy Bentley Grove? – zdziwiła się. Musiała mnie tam widzieć, może nawet często.

Kolejny raz skłamałam, mówiąc, że mam tam znajomych.

Nie powiedziałam Simonowi również o tym, że dwa tygodnie po epizodzie w szpitalu znów przypadkowo wpadłam na Selinę w centrum. Tego dnia uznałam, że na Bentley Grove 11 nic już się nie wydarzy, więc poszłam do miasta, żeby coś zjeść. Rozglądałam się za jakąś restauracją, gdy nagle zauważyłam Selinę, szła kilkanaście kroków przede mną. Wiedziałam, że to ona. Nad ranem zaparkowałam samochód w ślepym zaułku Bentley Grove i patrzyłam, jak wychodzi z domu. Była wtedy tak samo ubrana: zielona kurtka dżinsowa, czarne spodnie i buty na wysokim obcasie. Nie widziała mnie. Poczułam irracjonalny gniew, że nie jest w szpitalu Addenbrooke, spodziewałam się, że spędzi tam cały dzień.

Śledziłam ją przez całą długość King's Parade, a potem na Trinity Street. Gdy weszła do sklepu z ubraniami, czekałam na zewnątrz. Bardzo długo była w środku, aż zaczęłam się martwić, że wzrok mnie

zawiódł. Pomyślałam, że może dawno ją zgubiłam, a teraz stoję przed niewłaściwym sklepem, podczas gdy ona jest już zupełnie gdzie indziej.

Odczekawszy godzinę, zrobiłam coś tak głupiego, że do dziś trudno mi w to uwierzyć. Weszłam do sklepu. Byłam pewna, że jej nie zastanę, a tymczasem ona tam była. Razem z kobietą stojącą za ladą patrzyły na mnie z jednakowym, gniewnym i tryumfującym wyrazem twarzy. Choć nie padło ani jedno słowo, wiedziałam, że są przyjaciółkami.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała mnie Selina Gane. – Kim jesteś i dlaczego mnie śledzisz? Nawet nie próbuj zaprzeczać, bo od razu zadzwonię na policję.

Nogi się pode mną ugięły, tylko cudem się nie przewróciłam. Gapiłam się na nią dziko, nie wiedząc, co powiedzieć. Zauważyłam, że Selina Gane nie ma obrączki, co wcale nie poprawiło mi nastroju.

– Zamknij drzwi – powiedziała do swojej przyjaciółki. A potem do mnie: – Prędzej czy później powiesz mi prawdę.

Zanim druga kobieta zdążyła wyjść z lady, wybiegłam ze sklepu i popędziłam Trinity Street niczym dzikie zwierzę uciekające przed myśliwymi. Wydawało mi się, że przebiegłam kilka kilometrów. Gdy w końcu ośmieliłam się zatrzymać i odwrócić, nikogo nie zobaczyłam, a w każdym razie nikogo, kto był mną zainteresowany. Poczułam taką ulgę, że wybuchłam płaczem. Uciekłam, Selina Gane nie dowiedziała się, kim jestem. Dopiero na drugi dzień dotarło do mnie, że mogłam powiedzieć spokojnie: „Nazywam się Connie Bowskill. Jestem żoną

Kitta Bowskilla". Jak by na to zareagowała? Kompletnym niezrozumieniem czy wstrząsem? Znała Kitta? Wiedziała, że ma żonę?

Ja też nie poznałam wtedy jej imienia, lecz dopiero dzisiaj, gdy zdradził mi je Sam Kombothekra.

– Connie?

– Hm?

– Powiedziałaś o tym Simonowi?

– Tak – mówię. – Powiedziałam mu to samo co panu.

– I co on na to?

# 10

**19/07/2010**

– Spytałem ją, czy mogła sama wpisać ten adres do GPS-a w samochodzie męża – powiedział Simon.

Siedzieli z Charlie przy dużym, drewnianym stole obok basenu – Simon pod parasolem, Charlie w pełnych promieniach słońca. Wiedziała, że to niezdrowe, ale uwielbiała to robić: czuć, jak żar wtapia się w jej skórę i rozpuszcza mózg, aż nie zostawało jej już nic, tylko rzucić się do wody.

Na froncie przekąskowym działa się rzecz nie do pomyślenia. Simon obierał krewetki i podawał je Charlie, jedną po drugiej – tak silne poczucie winy w nim wzbudziła. Nie była już głodna, lecz chciała, żeby obierał dalej. Jemu zdawało się to nie robić różnicy, co lekko ją irytowało, ale też zaliczył na razie ledwie osiem krewetek, a Charlie zamierzała zjeść co najmniej pięćdziesiąt, nawet jeśli potem miała wymiotować. Była pewna, że nim uzna dług za spłacony, Simon zacznie wściekle przeklinać.

– Niby czemu miałyby programować GPS i oskarżać o to męża? – spytała Charlie.

– Bo szczerze wierzyła, że to on go zaprogramował. Jeżeli

wymazała z pamięci fakt, że sama to zrobiła, po czym znalazła adres w GPS-ie, to naturalne, że oskarżyła męża. I że chce poznać prawdę. Dlaczego w zakładce „dom” w urządzeniu do nawigacji widnieje nieznany adres w Cambridge?

– E tam – odparła Charlie. – Ludzki mózg nie wymazuje wspomnień. Poza tym czemu właśnie ten adres? Twoja teoria pourazowej utraty pamięci miałaby sens, gdyby GPS był zaprogramowany na Pardon Lane siedemnaście.

– Chyba że Bentley Grove ma dla niej podobne znaczenie – powiedział Simon. – Co jest niewykluczone. Jeżeli uraz był na tyle silny, by usunąć pamięć o wpisaniu adresu do GPS-a, to równie dobrze mogłaby stracić wszystkie wspomnienia związane z tym adresem. A wtedy, na jego widok, miałaby wrażenie, że słowa „Bentley Grove jedenaście” nic dla niej nie znaczą.

Charlie jęknęła.

– Oto co się wydarzyło: adres zaprogramował mąż, Kitt. Najprostsze rozwiązanie i te rzeczy.

Simon uniósł w górę obraną krewetkę i bacznie się jej przyglądał.

– Brzytwa Ockhama? To mit – odparł. – Wystarczy przypomnieć sobie kilka ostatnich lat naszego życia zawodowego.

– Connie Bowskill nie jest sprawą zawodową, nie udawaj, że jest inaczej – powiedziała Charlie. – To tylko twoje najnowsze hobby. Poza tym „nasze” życie zawodowe nie istnieje. Odeszłam z wydziału kryminalnego lata temu. Mam swoją własną płatną pracę w policji

oprócz bycia twoim darmowym kontrolerem trzeźwego myślenia.

– No dobrze, w takim razie wystarczy spojrzeć na kilka ostatnich lat mojego życia zawodowego – zgodził się Simon z niecierpliwością. – Żadna z moich spraw nie opierała się na prostej logice. Nic nigdy nie jest takie, jak się wydaje, niczego nie sposób przewidzieć. – Westchnął ciężko. – Może gdy akurat nie ma mnie w pokoju, to wygrywa najprostsze rozwiązanie. Ja tego jakoś nie doświadczam.

– To mąż był studentem w Cambridge – nie poddawała się Charlie.  
– To on zaproponował przeprowadzkę w dwa tysiące trzecim roku. Adres był zaprogramowany w jego GPS-ie, w jego samochodzie. Doszłabym dokładnie do tego samego wniosku, co Connie Bowskill: że musi mieć przy Bentley Grove jedenaście drugą żonę i rodzinę.

– Ale nie ma – przerwał jej Simon. – Byłem w Cambridge, odwiedziłem ten dom. Właścicielką jest niejaka Selina Gane, lekarka. Czterdzieści kilka lat, bezdzietna, mieszka sama. Spytałem ją, czy zna Kitta Bowskilla. Powiedziała, że to nazwisko nic jej nie mówi. Nie miała też obrączki, więc.

– Kiedy to było? – Charlie wyrwała mu z dłoni krewetkę. – Kiedy „odwiedziłeś” dom przy Bentley Grove jedenaście?

– Kilka tygodni temu. Wziąłem parę dni wolnego.

– Powiedziałaś mi, że jedziesz kupić nowy garnitur i buty na ślub.

– To też zrobiłem.

– W Cambridge?

Wiedział, że go przyłapała.

– Mówiłeś mi, że i garnitur, i buty kupiłeś u Remmicka w Spilling.

– Bo nie chciałem ci mówić, że byłem w Cambridge. Zapytałabyś dlaczego i wszystko by się wydało. Nie chciałem mówić ci wtedy, mówię teraz.

– Już nie jestem głodna – powiedziała Charlie, gdy próbował dać jej następną krewetkę. – Przemilczałeś sprawę, żeby opowiedzieć mi o niej podczas podróży poślubnej?

Simon przytaknął.

– Wszystko zaplanowałem: zanotowanie adresu na jakimś świstku, zaprzeczanie, że to moje pismo, wszystko.

Przez jakieś dwie sekundy próbował wyglądać na skruszonego, ale gdy zobaczył, że Charlie powstrzymuje się od śmiechu, sam się uśmiechnął, a ona zrozumiała, że nadal jest zadowolony z udanej inscenizacji.

– Nigdy wcześniej nie spędzaliśmy dwóch tygodni tylko we dwoje – powiedział. – Bałem się, że nie będziemy mieli o czym rozmawiać.

– Uwierz mi, to nam nie grozi. No to powiedz: atrakcyjna jest?

– Kto? Connie Bowskill czy Selina Gane?

– Obydwie.

– Nie wiem. Zawsze mnie o to pytasz.

– Nieprawda – zaprotestowała odruchowo Charlie.

– Pytałaś nawet, czy ta twarz w skale jest atrakcyjna. Zobacz. – Simon pokazał na górę. – Stąd na pewno ją zobaczysz.



Charlie podejrzewała, że to kolejna z jego pokrętnych gier. Może Connie Bowskill nie była jedyną damą w opałach, jaką się obecnie zajmował. Może zgłosiła się do niego jeszcze inna kobieta, której mąż twierdził, że widzi twarz w skale, a ona nijak nie mogła jej dostrzec. Może w końcu utopiła go w hiszpańskim basenie.

– Selinę Gane większość facetów pewnie uznałaby za atrakcyjną. Lśniące blond włosy, miła twarz, falista figura.

– Falista?

– No wiesz. – Simon narysował kształt w powietrzu.

Charlie spojrzała na niego zmrużonymi oczami.

– Częściej znana pod nazwą „klepsydra” – powiedziała. – I ma czterdzieści kilka lat?

– Coś koło tego. I jest bogata.

– A ile lat ma Connie Bowskill?

– Trzydzieści cztery.

– Atrakcyjna? Na litość boską, Simon. Nie ma nic zdrożnego w przyznaniu, że ktoś jest atrakcyjny!

– Chuda, ciemna. Tobie by się spodobała.

– Doprawdy? Skąd wiesz, że Selina Gane jest bogata?

– Po jej wyglądzie – odparł Simon. – I po ubiorze. Powiedziałbym, że ma kupę szmalu.

– W takim razie, jeśli Kitt Bowskill jest związany z obydwiema, to

obstawił wszystkie fronty. Jedna ciemna, druga blondynka. Jedna chuda, druga falista. Jedna starsza, druga młodsza. Jedna bogata, druga nie tak znowu. Może ten Bowskill jest jak Sellers? Każda jest w jego typie, byle była kobietą.

– Nie jest związany z obiema – zaprzeczył Simon. – Rozmawiałem z kilkoma sąsiadami przy Bentley Grove. Wypytywałem ich, czy widzieli, jak ktoś wychodził czasem z domu Gane.

– Zakładam, że robiłeś to jako detektyw, choć twoja obecność w Cambridge nie miała nic wspólnego z pracą? – spytała szyderczo Charlie, doskonale wiedząc, że Simon nie pozwoliłby, by etyczne wątpliwości przeszkodziły mu w dochodzeniu prawdy.

Zawsze obchodziło go wyłącznie jego własne zdanie na temat tego, co dobre, a co złe. Stanowisko ogółu nie miało dla niego większego znaczenia. Była to zresztą ich cecha wspólna. Na jego miejscu

Charlie nadużywałaby swojej władzy w takim samym stopniu jak Simon.

– Sprawdziłem w księdze wieczystej. Bentley Grove jedenaście jest zarejestrowane wyłącznie na Selinę Gane. Nie ma wzmianki o Bowskillu. Pokazałem też sąsiadom jego zdjęcie, które dostałem od Connie. Jedna kobieta powiedziała, że pierwszy raz widzi tę twarz i że dom pod numerem jedenaście odwiedzają różne kobiety i jedna starsza para. Inny sąsiad, zgięty w pół facet o najdłuższym nazwisku, jakie w życiu słyszałem – profesor sir Basil Lambert-Wall – zeznał to samo o gościach Gane: dużo kobiet i para, która według niego jest w

średnim wieku, ale domyślam się, że obydwójce mówili o tych samych osobach, czyli prawdopodobnie o rodzicach Seliny Gane. Lambert-Wall przyjrzał się zdjęciu Kitta Bowskilla i powiedział: „Oczywiście, że go poznaję. Instalował mi nowy alarm przeciwwłamaniowy”.

– Alzheimer? – spytała Charlie.

– Nie sądzę – odparł Simon. – Umysłowo sprawiał wrażenie bystrego jak dwudziestolatek, mimo że chodzi o lasce, która jest grubsza niż jego noga. Nie chciałem z marszu ignorować jego słów, więc oczywiście złożyłem wizytę w firmie Safesound Alarms.

– W której nikt nigdy nie słyszał o Bowskillu – podsumowała Charlie.

– Zgadza się.

– Czyli staruszek się pomylił.

– Sprawiał wrażenie, że jest tego pewny – powiedział Simon zawzięcie, po czym westchnął. – Masz rację. Pomimo wspaniałego nazwiska, najwyraźniej się pomylił. Po co Kitt Bowskill miałby instalować komuś alarm przeciwwłamaniowy?

– Gdybym była równie szalona jak ty, powiedziałabym, że skoro prowadzi równoległe dwa życia, a w każdym ma inną żonę i dom, to może też mieć inne zajęcia. Systemy danych bla bla bla w Silsford, montaż alarmów w Cambridge. Może w firmie Safesound Alarms wyjątkowo nie lubią gliniarzy, więc automatycznie wszystkiemu zaprzeczają, gdy policja puka do ich drzwi. – Widząc zmartwiony wyraz twarzy Simona, Charlie klepnęła go w ramię. – Żartuję. Mam

nadzieję, że uspokoiłeś Connie Bowskill co do jej męża.

– Jeszcze nie. Nie chciałem robić jej nadziei. To, że żaden z sąsiadów nie widział go w domu Seliny Gane, nie oznacza, że nigdy go tam nie było. Może obydwójce są niezwykle ostrożni. Nie. – W swoich obsesyjnych transach Simon miał w zwyczaju zaprzeczać samemu sobie, na głos. – Bowskill nie ma romansu z Gane. Nie może mieć. Ale co w takim razie robi jej adres w jego GPS-ie pod hasłem „dom”?

– Dlaczego nie mogą mieć romansu? – spytała Charlie.

Widziała, że Simon zdał sobie sprawę z tego, że ostatnie twierdzenie wypowiedział ze zbyt dużym przekonaniem. Wyglądał jak w potrzasku.

– Wybacz – powiedziała. – Czyżbyś planował opowiedzenie mi tylko części historii? Puentę trzymasz na tydzień drugi?

– Gdy rozmawiałem z Seliną Gane, stało się coś dziwnego – odparł Simon.

– Chciałeś powiedzieć „coś jeszcze dziwniejszego”? Cała ta sprawa jest dziwna.

– Pokazałem jej zdjęcie i nie uzyskałem reakcji. Gane nie umie kłamać, o czym przekonałem się dziesięć sekund później, więc jestem prawie pewien, że naprawdę nigdy go nie widziała. Twarz Bowskilla nic jej nie mówiła. Schowałem zdjęcie i spytałem, czy słyszała to imię i nazwisko. Powiedziała, że nie, i spytała: „Kim ona jest? Nigdy o niej nie słyszałam”.

– To zrozumiałe. – Charlie ziewnęła. – Kitt może być imieniem

kobiety.

Upał zaczynał wpływać na nią usypiająco. Jak ktokolwiek mógł pracować w takim klimacie? Gdybym mieszkała w Hiszpanii, musiałabym być kotem, pomyślała.

– Gdy powiedziałem Selinie Gane, że Kitt Bowskill jest mężczyzną, coś się stało z jej twarzą – dodał Simon.

Charlie nie mogła zmarnować takiej okazji:

– Zobaczyłeś w niej górę?

– Była zaskoczona, wręcz wstrząśnięta. W jej oczach pojawił się. Nie wiem, jak to opisać. Jakiś nagły wybuch z cyklu „Nie, to niemożliwe”. Widziałem, że koryguje wcześniejsze założenia. Gdy ją o to spytałem, zamknęła się w sobie, ale było oczywiste, że coś przede mną ukrywa.

– To rzeczywiście dziwne – przyznała Charlie. – Czyli. – Przez chwilę nie mogła się skupić. Nikt nie powinien tak intensywnie myśleć na wakacjach. – Nie znała jego twarzy ani nazwiska. W takim razie. – W końcu jej spieczony na słońcu mózg sformułował pytanie, którego szukał. – W takim razie dlaczego była przekonana, że Kitt Bowskill jest kobietą?

Gdy Sam wrócił do sali wydziału kryminalnego, nie było śladu Sellersa ani Gibbsa. Proust też nie siedział w swoim gabinecie.

Sam sprawdził pocztę elektroniczną. Miał siedem nowych e-mai-li, pięć z nich wyglądało na takie, które spokojnie można zignorować. Pozostałe dwa były od detektywa Iana Grinta i Olivii Zailer, siostry

Charlie. Sam otworzył wiadomość od Grinta, który przez cały dzień bezskutecznie próbował się z nim skontaktować. Nie był pewien, czy po wyczerpującej sesji z Connie Bowskill ma siłę do niego oddzwonić. Czuł się jak darmowy terapeuta. Jeszcze jedno takie spotkanie, a sam będzie musiał pójść do psychologa. Grint dzwonił pewnie, żeby przekazać Samowi aktualny numer telefonu do Beaterów, pary, która sprzedała Selinie Gane dom przy Bentley Grove 11. Sam prosił go o namiary na poprzednich właścicieli, bo chciał zapytać ich o plamę po choince. Uśmiechnął się teraz do siebie. Grint miał go pewnie za wariata. Jeśli tak, to Sam wcale mu się nie dziwił.

E-mail od Olivii zawierał całą serię skomplikowanych instrukcji, podwójnych zaprzeczeń i zawoalowanych, bliżej niesprecyzowanych oskarżeń – „Nie twierdzę, że powinieneś albo nie powinieneś”, „proszę cię, nie rób tego, chyba że uważasz to za konieczne”, „po przemyśleniu sprawy stwierdziłam, że nie mogę nie dać ci tego numeru”, „najwyraźniej nikt inny nie chciał ci powiedzieć” i tym podobne – i informował Sama o tym, jak skontaktować się z Simonem, co stawiało go w sytuacji, której za wszelką cenę chciał uniknąć. Przerwanie miesiąca miodowego nawet tylko krótkim telefonem będzie niewybaczalne. Zresztą Sam doskonale wiedział, że rozmowa wcale nie byłaby krótka. O tyle rzeczy chciał wypytać Simona i tyle mu powiedzieć, że nie miał pojęcia, od czego powinien zacząć. Tak czy inaczej miesiąc miodowy dobiegnie końca wraz z ich rozmową, a Charlie wparuje do wydziału kryminalnego, żeby ogłuszyć Sama, waląc go walizką po głowie.

Zadzwonił telefon na jego biurku. Sam pomodlił się szybko o głos

Simona w słuchawce. Simona znudzonego urlopem, wykorzystującego drzemkę Charlie i dzwoniącego w nadziei na długą rozmowę.

Dzwonił Ian Grint. Od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Wygląda na to, że twoja pani mówi prawdę. Dziś rano zjawiała się u mnie kobieta, która widziała dokładnie to samo. Wierysz w synchronię? Ja zawsze byłem sceptyczny, ale zaczynam się łamać.

– To. – No właśnie, co? Sam Kombothekra nie wiedział. Nie był pewien, czego się spodziewał, lecz raczej nie tego.

– Ten sam opis – ciągnął Grint. – Kobiety i pokoju. Oprawiona mapa, mały stolik, wszystko. Kobieta szczupła, drobna. Zielono-liłowa, wzorzysta sukienka, ciemne, zmierzwione włosy szeroko rozłożone wokół głowy, rozległa kałuża krwi, ciemniejszej przy brzuchu. Czas też się zgadza. Musiały uruchomić wirtualne zwiedzanie w odstępie kilku sekund. Był kwadrans po pierwszej w nocy, więc pewnie w całym kraju tylko one dwie to widziały.

– Może nie – powiedział Sam. – Może inni już do ciebie jadą. Albo nie jadą, bo nie wiedzą, jak udowodnić, że to zobaczyli.

– Zdjęcie zniknęło z sieci natychmiast po tym, jak widziały je dwie znane nam kobiety. Nie mam tu wątpliwości – odparł Grint.

– Jackie Napier, tak się nazywa ta moja, twierdzi, że zamknęła program, po czym znowu go uruchomiła i zdjęcia zwłok już nie było. Dokładnie to samo przydarzyło się Connie Bowskill, zgadza się?

– Owszem – powiedział Sam.

– Jak szybko możecie tu obydwójce przyjechać? – spytał Grint.

– Ja i... Connie Bowskill?

Ledwie zdołał uwolnić się od jej nie do końca kontrolowanej hysterii i nie miał najmniejszej ochoty znów się na nią wystawiać. Po rozmowie z Samem zamówiła taksówkę, bo jej mąż zabrał samochód i zostawił ją bez środka transportu. Teraz pewnie była już daleko stąd. Z kolei w kwestii niezwłocznej podróży do Cambridge Sam domyślał się, jaka byłaby reakcja Prousta.

– Raczej mi się nie uda – powiedział.

– Oj, uda się, uda. – Grint zachichotał w sposób, który zdradzał absolutny brak nastroju na żarty. Sam usłyszał w jego śmiechu poważny ton sugerujący zagrożenie. – Jest jeszcze parę innych spraw, które nie nadają się na rozmowę telefoniczną. Musisz to usłyszeć osobiście. Mamy tutaj kłops, jakiego w życiu nie widziałeś. Ja w każdym razie nigdy się z czymś takim nie spotkałem. Musicie tu przyjechać. Obydwoje.

Kilka sekund później Sam biegł sprintem przez korytarz, by sprawdzić, czy Connie Bowskill nie czeka aby na taksówkę, która jeszcze nie przyjechała.



## **DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/23IG**

Kochani, Elise, Donal, Riordan i Tilly,

chcieliśmy wam tylko szybko, i dużo za późno, podziękować za cudowny weekend! Właśnie tego nam było trzeba po kilku morderczych miesiącach – prawdziwy balsam! Cambridge jest tak piękne, jak mówiliście, i już się nie możemy doczekać następnej wizyty. W drodze powrotnej zapytaliśmy dzieciaki, co było dla nich najfajniejsze przez cały weekend, na co odparły: Wszystko! Oddaje to zresztą i nasze odczucia. Rejs łodzią po rzece był rewelacyjny, piękne budynki uniwersyteckie, słońce... A propos, zdaje się, że rozwiązaliśmy tajemnicę tej łodzi, w którą rąbnęliśmy pod mostem, „Krok do Nieba”. Nasz kumpel studiował w Trinity College i twierdzi, że szkoła miała własne łodzie i że każda nazwana jest na cześć czegoś, co występuje w liczbie trzech. Jest chyba piosenka pod tytułem Trzy kroki do Nieba, prawda? Śpiewał ją Gene Vincent albo Eddie Cochran. No, w każdym razie próbowaliśmy domyślić się nazw pozostałych łodzi z Trinity College: Muszkieter? Ślepa Mysz? Melchior? Dajcie nam znać, jeśli zobaczycie taką łódź na Cam albo Grancie.

Wasz dom jest niesamowity, umieramy z zazdrości! Czujecie się już w nim jak u siebie, czy ciągle jeszcze raczej bawicie się w dom? O poprzednim też tak mówiliście, pamiętacie? Że boicie się, czy ktoś wam go nie skradnie, wykorzystując moment nieuwagi. Spokojnie,

dom jest wasz. Tymczasem ktoś naprawdę mógłby ukraść nam naszą ruderę i przy okazji załatać dach. Jeszcze raz wielkie dzięki za to, że nas tak cudownie ugościliście!

Leigh, Jules, Hamish i Ava

PS Jules upiera się, że jedna z łodzi Trinity College musi się nazywać „Lew na Koszulce”<sup>1</sup>, ale moim zdaniem to już przesada.

# 11

## **Poniedziałek, 19 lipca 2010**

Wychodzę na upał i zatrzymuję się przy pierwszych zawrotach głowy. Zamykam oczy i opieram się o ścianę budynku policji, pomagając sobie rękami, by nie upaść na ziemię. Słyszę klakson, ale nie potrafię stwierdzić, jak daleko ode mnie się odezwał. To pewnie moja taksówka. Powinnam spojrzeć, choć wiem, że to niebezpieczne w chwili, gdy mój umysł rozpada się na drobne, mętne kawałki. Nie otworzę oczu, dopóki nie nabiorę pewności, że świat będzie wyglądał normalnie. Najgorsze w tych atakach są zniekształcenia obrazu. Z otwartymi oczami doznaję przerażającego wrażenia, jakbym wpadała głębiej i głębiej do wnętrza własnej głowy, odciągana przez jakiś wewnętrzny prąd z dala od oczu, które pozostają bez ruchu, podczas gdy ja znikam w ciemnościach.

– Connie!

Znów słyszę klakson. Rozpoznaję głos, ale nie wiem, do kogo należy. Wciąż stoję z zamkniętymi oczami, oparta o ścianę, gdy ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Connie, źle się czujesz?

Moja siostra. Fran.

– Tylko trochę mi się kręci w głowie – udaje mi się powiedzieć.

– Za chwilę przejdzie. Co ty tu robisz? Skąd wiedziałaś...?

– Zadzwoiłam do Kitta, gdy w twoim telefonie od razu włączyła się poczta głosowa. Powiedział, że nie masz jak wrócić do domu.

Bo go rozwścieczyłam i zostawił mnie tu samą.

– Ale na razie nie jedziemy do domu. Wsiadaj.

Nie do domu? W takim razie dokąd? Otwieram oczy. Rangerover mojej siostry stoi zaparkowany niedbale na miejscu dla niepełnosprawnych, najbliższym wejścia do komisariatu. Drzwi kierowcy i pasażera są szeroko otwarte. Przywodzą mi na myśl film z dzieciństwa, o magicznym samochodzie, który umiał latać. Drzwi służyły mu za skrzydła.

Fran ma na sobie wyblakłe džinsy i biało-pomarańczową bluzę do rugby, co ja nazywam w duchu jej niedzielnym mundurem. Czasami, gdy będąc w jej domu, widzę ten zestaw na suszarce do ubrań, mam ochotę ukraść go i wyrzucić, choć prawdę mówiąc, moja siostra całkiem nieźle w nim wygląda.

– Zamówiłam taksówkę – mówię. – Powinnam zaczekać.

– Zapomnij o taksówce. Poprosiłam Diane, która miała dziś wolne, żeby mnie zastąpiła, bo muszę z tobą pogadać. Teraz. Czy tego chcesz czy nie, jedziesz ze mną.

– Dokąd?

– Do herbaciarni w Silsford Castle. Porozmawiamy sobie przy

herbacie.

W głosie Fran pobrzmiwa nuta ponurej determinacji. Nie spodziewam się przyjemnej pogawędki.

Pozwalam wepchnąć się do samochodu, który pachnie w środku mieszanką starych chipsów i aloesowych chusteczek pielęgnacyjnych dla niemowląt, których Fran wciąż używa, mimo że Benji ma już pięć lat i w jej rodzinie nie ma żadnego niemowlęcia. Zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa się tym irytować. Fran siada na fotelu kierowcy, rzuca mi swoją torebkę na kolana i rusza, nie zapinając pasów.

– Dlaczego akurat w Silsford Castle? – pytam. – Dlaczego nie w jakimś miejscu, które jest po drodze do mojego domu?

– Twojego domu? A gdzie to jest, jeśli można wiedzieć?

Fran patrzy na mnie, żeby sprawdzić, czy jej słowa wywołały odpowiedni szok.

– O co ci chodzi? – warczę. Nagły strach przekręca mi wnętrzności.  
– Co to ma znaczyć?

Fran kręci głową, jakby chciała powiedzieć: „Nieważne, zapomnij”.

– Masz wyłączony telefon? – pyta.

– Nie. Włączyłam go, jak.

– To wyłącz. Nie pytaj dlaczego. Zrób to. Nie chcę, żeby ktokolwiek nam przeszkadzał.

Wykonuję rozkaz, zdając sobie sprawę, że pewnie powinnam zaprotestować. Tak zareagowałyby większość ludzi. Co mówi o mnie

fakt, że czuję ulgę, gdy ktoś mi rozkazuje, bo dzięki temu sama nie muszę myśleć?

Dlaczego Fran zapytała mnie, gdzie jest mój dom?

– Musisz pójść jeszcze raz do lekarza – mówi, wyjeżdżając z centrum Spilling.

– Po co? Nie znalazł żadnej choroby.

– W takim razie się nie stara.

Resztę drogi pokonujemy w milczeniu. Gdy Fran parkuje na jednym z pięciu miejsc dla niepełnosprawnych przed Silsford Castle, nie mogę się powstrzymać i mówię:

– Nie masz prawa tu stawać.

– Nie obchodzi mnie prawo. I nie mam oporów moralnych, bo jestem z tobą – mówi. – Jeżeli niewyjaśniona zapaść przed budynkiem policji nie liczy się jako niepełnosprawność, to nie wiem, co się liczy.

Jestem na nią zła za te słowa i za to, że przez nie boję się, co się ze mną stanie, gdy wysiądę z jej range-rovera. Czy znowu będę miała zawroty głowy? A jeśli nie znajdę na czas ściany, o którą będę się mogła oprzeć?

Fran nie spytała mnie, jak poszło mi na policji, a na pewno wie, dlaczego tam byłam.

Nic mi nie jest, gdy wysiadam z auta, a to znaczy, że ataków nie wywołuje wychodzenie z zamkniętych pomieszczeń na słońce ani stawanie na nogi po dłuższym siedzeniu. Po kilku miesiącach uważnej

samoobserwacji jestem w stanie powiedzieć tylko tyle, że w każdej chwili i w dowolnych okolicznościach mogę doznać zawrotów głowy i że nie sposób ich przewidzieć ani ich uniknąć.

Herbaciarnia w Silsford Castle pachnie cynamonem, ciastkami imbirowymi i różą, dokładnie jak w dzieciństwie. Fartuchy kelnerek też się nie zmieniły i nadal są błękitne, z falbankami, i upstrzone małutkimi różyczkami. Nie pytając mnie, na co mam ochotę, Fran zamawia dwie filiżanki lawendowego earl greya i kieruje się do okrągłego stolika przy oknie, tego samego, do którego zawsze pędziła nasza matka, ilekroć przyprowadzała nas tu na – jak to nazywała – „weekendowy smakołyk” po sobotniej wyprawie do biblioteki.

No to, dziewczynki, wyjmujemy książki. Poczytamy sobie przy cieście czekoladowym.

– Co ja tu robię? – pytam Fran, a ona mruży powieki i bacznie się we mnie wpatruje.

– Chodzi o Benjiego? – mówi. – Nie widzę innego powodu.

– Innego powodu czego?

– Tego, że jesteś na mnie wkurzona.

– Nie jestem na ciebie wkurzona.

– Jeśli nie chcesz opiekować się nim w każdy wtorek, to nie musisz. Powiedz tylko słowo. Szczerze mówiąc, mnie i Antonowi też nie zawsze odpowiada układ, w którym masz jakby udział w naszym rodzicielstwie. Często mamy ochotę zrobić coś razem, jako rodzina, we wtorkowy wieczór, ale nie możemy, bo jest wyryte w kamieniu, że

musisz się wtedy nim opiekować. – Fran wzdycha.

– Wielokrotnie prawie już do ciebie dzwoniłam, żeby zapytać, czy tym razem możemy z nim zostać, ale zawsze w końcu się wycofywałam ze strachu przed zrobieniem ci przykrości. Co jest niedorzeczne, bo czemu mam się bać otwartej, szczerzej rozmowy z tobą? Dawniej nie miałam takich wątpliwości.

Nie jestem pewna, czy Fran jest zła na mnie, czy na siebie.

Udziały w rodzicielstwie? Nie wymyśliła tego sformułowania na poczekaniu. Musieli z Antonem od dłuższego czasu narzekać na mnie i Kitta. Pewnie robią to tak samo często, jak my z Kittem narzekamy na nich.

To mama powiedziała, po tym jak po raz pierwszy opiekowałam się Benjimą: „Może zrobić by z tego stały układ? Moglibyście z Kittem brać go do siebie w każdy wtorek, Fran i Anton mieliby wieczór dla siebie, a wy poznalibyście Benjimą lepiej, nie mówiąc już o nabieraniu wprawy przed własnym dzieckiem”. Nieważne było, co myślałam ja czy Fran. Tego życzyła sobie mama, więc to się ziściło.

Nie wierzę, że Fran przywiozła mnie tutaj, żeby rozmawiać o opiece nad dzieckiem.

– Nic mnie to nie obchodzi – mówię. – Mogę mieć Benjimą w każdy wtorek, w co drugi wtorek albo w żaden wtorek. Jak wolisz. Decyzja należy do ciebie i Antona.

Fran kręci głową, jakbym zawiodła ją, wybierając niewłaściwą odpowiedź. Czasami odnoszę wrażenie, że w coraz większym stopniu



porozumiewam się innym językiem niż reszta mojej rodziny. Tłumaczenie w obie strony zawsze dodaje kroplę prowokacji, szczyptę obrazy, której nie było w wersji oryginalnej.

– Ten dom przy Bentley Grove jedenaście. Nie kupujesz go, mam rację?

Dlaczego mówi to tryumfalnym tonem, jakby mnie na czymś przyłapała? Otwieram usta, by przypomnieć jej, że nie stać mnie na kupno domu za ponad milion funtów, ale Fran mnie zagłusza:

– Ty go sprzedajesz.

– Słucham?

– Proszę cię, Connie. Nie ściemniaj. To twój dom. Należy do ciebie i Kitta. To wy wystawiliście go na sprzedaż.

To z pewnością jedna z najbardziej idiotycznych rzeczy, jakie w życiu słyszałam. Niemalże poprawia mi humor. Zaczynam się śmiać, lecz milknę, widząc idącą do nas kelnerkę. Patrząc, jak kobieta stawia na stoliku spodki, filiżanki, łyżeczki, sitko do herbaty, dzbanuszek z mlekiem i cukier, czuję promieniującą od Fran niecierpliwość. Moja siostra chce usłyszeć odpowiedź.

– No więc? – odzywa się po odejściu kelnerki.

– Nigdy nie słyszałam większej bzdury. Skąd ten pomysł?

– Nie kłam, Con. Nie wiem, jak w to wszystko wpisuje się martwa kobieta leżąca twarzą do dołu w kałuży krwi. Wcale nie jestem pewna, czy jej nie wymyśliłaś, choć nie przychodzi mi do głowy czemu.

– Przymknij się i słuchaj – rzucam gniewnie. – Niczego nie wymyśliłam. Naprawdę zobaczyłam to, o czym wam mówiłam.

Myślisz, że to mój pomysł na rozrywkę? Że dla zabawy spędziłam cały ranek w komisariacie? Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz czy nie, mówię prawdę. Nie jestem właścicielką Bentley Grove jedenaście. Jest nią lekarka, która nazywa się Selina Gane. Jak chcesz, to zapytaj na policji.

– To czemu oglądałaś ten dom w środku nocy, skoro nie jest twój i nie stać cię na jego kupno? – pyta Fran. – Nie udawaj, że znalazłaś go przypadkiem. Coś łączy ten dom z tobą i Kitem.

– Skąd możesz to wiedzieć?

Cholera. Czyżbym właśnie przyznała jej rację? Ona chyba tak sądzi, bo jak inaczej wytłumaczyć tryumfalny błysk w jej oczach? Czy nie mogłabym nauczyć się lepiej kłamać?

– Nagle zainteresował cię dom przy Bentley Grove jedenaście – mówię z goryczą. Łatwiej jest mi się złościć na Fran niż na siebie. – W sobotę gównem cię obchodził. Zapytałam, czy według ciebie wszystko mi się tylko przywidziało. Pamiętasz swoją odpowiedź? „Nie wiem. Niekoniecznie. Może”. To była jedyna twoja reakcja, po której całą uwagę skupiłaś z powrotem na karmieniu Benjiego.

Fran nalewa nam obu herbatę. Czekam, aż zacznie się bronić, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– A co miałam powiedzieć? Nie wiedziałam, co myśleć. Skąd wiadomo, czy rzeczywiście widziałaś w internecie martwą kobietę?

Mama i tata już dostatecznie wierzgali, uznałam, że skoro masz ich na głowie, to ja się wycofam. – Fran odstawia dzbanek i patrzy mi w oczy – Jak tylko wieczorem ułożyłam Benjiego do snu, weszłam na stronę Wszystkiedomy. Podczas gdy ty wkurzałaś się na moją obojętność i oczerniałaś mnie przed Kittem, ja oglądałam zdjęcia z Bentley Grove jedenaście. Cały wieczór nie robiłam nic innego, mimo że nic się nie zmieniało. Taka właśnie byłam obojętna.

Coś sprawiło, że połączyła Bentley Grove 11 ze mną i Kittem. Z trudem przełykam herbatę.

– Co widziałaś? – pytam niepewnym głosem. – Powiedz.

Dlaczego ja tego nie dostrzegłam, cokolwiek to było? Przecież patrzyłam na te zdjęcia godzinami.

– Jesteś żałosna, Connie – mówi rzeczowo Fran, puszczając moje pytanie mimo uszu. – Masz o wszystkich bardzo złe zdanie, żywisz te swoje skryte urazy i żale, najdrobniejsze sprawy rozdmuchujesz do rozmiarów tragedii, żeby się nimi zadręczać, i nawet swoim bliskim nie mówisz, co cię gryzie, więc nie mają szansy wytłumaczyć ci, że nie są wcale tacy źli, jak ci się wydaje.

– Fran, co zobaczyłaś?

– Wzdrygasz się, gdy tylko słyszysz głos matki, jakby była diabłem wcielonym. Okej, potrafi być denerwująca, ale powinnaś robić to co ja: mówić jej, żeby wzięła się w garść, i iść dalej. To samo z tatą. Jak chcesz, powiedz nam, żebyśmy spadali na bambus, lecz na litość boską, powiedz to jasno i wyraźnie.

Bystra ta Fran. Wszystko wydaje jej się takie oczywiste i łatwe w obsłudze. Słuchając jej, jestem bliska uwierzenia, że rodzina Monków jest nieszkodliwą organizacją, której członkowie mogą w każdej chwili opuścić Little Holling bez obaw, że jeśli skorzystają z tego prawa, to nic ich za to nie spotka.

– Powiedz mi, co widziałaś – powtarzam.

– Ty pierwsza – mówi Fran, pochylając się nad stolikiem. – Wszystko. Bentley Grove jedenaście, o co w tym chodzi? Do cholery, Con, jesteśmy siostrami czy obcymi kobietami? Powiedz mi, bo mogę być i tym, i tym. Wybór należy do ciebie.

– Wiem, oczywiście.

Fran spodziewa się, że odmówię, ale ja ją zadziwię. Prosi o całą prawdę, więc ją dostanie. Dam jej nie tylko suche fakty, lecz również wszystkie najdrobniejsze wahnięcia prawdopodobieństwa, wszystkie moje zwroty o sto osiemdziesiąt stopni, zdarzające się nierzadko po kilkanaście razy dziennie. Opowiadając jej całą historię, zaczynam się dobrze bawić. Wiem z własnego doświadczenia, którego nabrałam w ciągu sześciu potwornych miesięcy, że moja opowieść nie daje żadnej przyjemności, a jedynie serię pytań bez odpowiedzi. Niech Fran będzie równie zagubiona jak ja. Niech i ją wciągnie niekończący się koszmar. Nie wiem, czy słyszy sadystyczny ton w moim głosie, ale staram się nie oszczędzić jej żadnego detalu.

Gdy wreszcie kończę, Fran nie wygląda na tak zdezorientowaną, jak się spodziewałam. Nie jest zaskoczona ani zszokowana.

– I w końcu do niego zadzwoniłaś? – pyta.

– Do kogo?

– Do Stephena Gilligana. Do tajemniczego „S.G.”, z którym Kitt miał rzekomo spotkanie trzynastego maja. Zadzwoiłaś do jego sekretarki, Joanne Jakjejtam?

– Joanne Biss. Nie. Zamierzałam to zrobić z taksówki, w drodze do domu, ale ty się pojawiłaś i...

Fran nie słucha. Wyciągnęła swoją komórkę i już mnie pyta o numer do biura London Allied Capital. Zamykam oczy i czekam, myśląc o słowach Alice, która powiedziała, że tak naprawdę nie chcę poznać prawdy o Kitcie. Czyżby miała rację? Czy sama zadzwoniłabym do Stephena Gilligana? Może to dlatego miałam zawroty głowy po wyjściu z komisariatu, by tego właśnie uniknąć.

– Z Joanne Biss, poproszę – mówi Fran. – Nie szkodzi. Mogę poczekać.

– Zadzwoiłabym – przekonuję ją. – Po powrocie do domu. – Fran rzuca mi sceptyczny uśmiezek. Mogę sobie wyobrazić, co o mnie myśli. – Po co mam wydawać pieniądze na prywatnego detektywa, jeśli sama mogę obserwować londyńskie mieszkanie Kitta? – mówię defensywnie.

– A robiłaś to? – pyta Fran.

– Byłam tam dwa czy trzy razy, wieczorem. Siedziałam w ciemnościach. Kitt nigdy nie zasuwa zasłon w salonie, a mieszkanie jest na parterze. Dzwonię do niego z parkingu, udając, że jestem w domu. Patrzą przez okno, jak pije czerwone wino, rozmawiając ze

mną. To samo wino, które pije w naszym domu. Nigdy nikt go nie odwiedza.

A gdy się uśmiecha, jest to ten sam serdeczny uśmiech, który gości na jego twarzy, gdy wie, że na niego patrzę. Nie umiem podzielić się tym faktem z siostrą. Jest dla mnie zbyt ważny, bym mogła jej zaufać.

– Dwa czy trzy razy to żaden dowód – mówi Fran.

– Wiele godzin spędziłam w aucie przed Bentley Grove jedenaście, czekając, aż Kitt stamtąd wyjdzie, i nigdy go nie zobaczyłam.

Dlaczego przekonuję siostrę, że wszystko jest w porządku, choć sama wiem, że nie jest?

Podnosi w górę dłoń, by mnie uciszyć, i przyciska telefon do ucha. Słucham, jak przedstawia się sekretarce Stephenowi Gilliganowi jako nowa pracownica Nulli i pyta o spotkanie między Kitem a Stephenem w czwartek trzynastego maja: czy się odbyło, czy zostało odwołane. Nie wyjaśnia, dlaczego potrzebuje tej informacji, ale przez jej głos przebija pewność siebie osoby, która wie, że nie musi się nikomu tłumaczyć. Mnie nigdy by się to nie udało. Momentalnie zdradziłabym, że jestem zdenerwowana i że działam podstępnie, i niechybnie musiałabym podać powód zainteresowania spotkaniem, które odbyło się przed dwoma miesiącami. Kilka sekund później Fran dziękuje Joannie i się z nią żegna.

– Kitt nie kłamał – stwierdza, kładąc telefon na stoliku. Sprawia wrażenie rozczarowanej. – Spotkał się ze Stephenem Gilliganem w czwartek trzynastego maja o trzeciej po południu.

Czuję się, jakby odpłynęły ode mnie czarne chumry.

– Mógł zadzwonić do Joanne i poinstruować ją, co ma powiedzieć – zauważa Fran. – Miał dość dużo czasu. Ale nawet jeśli tego nie zrobił, nawet jeśli „S.G.” w jego kalendarzu to Stephen Gilligan, to wciąż nie dowodzi, że nie ma romansu z Seliną Gane.

– Ale możliwe, że go nie ma – mówię z zupełnie nowym ładunkiem optymizmu. – Nie ma niczego, co by ich łączyło. Absolutnie nic, oprócz jej adresu w GPS-ie. A może to nie on go tam wpisał, tylko kto inny – No, śmiało. Powiedz to. – Na przykład ty. Albo Anton.

Ciężko jest pozbyć się podejrzeń, gdy już raz się zakorzenia. Dużo łatwiej zmienić ich kierunek.

– Nie zamierzam na to odpowiadać – mówi Fran drżącym głosem. – Ja albo Anton – mamrocze pod nosem. – I niby po co?

Bo jesteście zazdrośni. Bo mamy więcej pieniędzy od was. Bo Kitt odniósł sukces, a Anton nie.

– Dlaczego automatycznie zakładasz najgorszą ewentualność co do Kitta? – kontynuuję swój atak, nim przyjdzie jej do głowy wytknąć mi hipokryzję. – Może po prostu powiedz mi, co masz mi powiedzieć.

Czy już by tego nie zrobiła, gdyby było to coś prawdziwego? Czy Fran jest na tyle inteligentna i przebiegła, by opracować wyrafinowany plan mający na celu zniszczenie mojego małżeństwa i zapędzenie mnie do wariatkowa? Plan oparty na manipulacji i tak misterny, że nie jestem w stanie odgadnąć choćby jego części?

Kurwa mać, Connie – to twoja siostra! Znasz ją od urodzenia. Weź

się w garść.

Fran nie umiałaby zamieścić zdjęcia martwej kobiety w internecie. Nie ma żadnego związku z Bentley Grove 11. Nigdy nie była w Cambridge, jedyne miejsca, które odwiedza, to firma rodziców i ich dom, szkoła Benjiego i supermarket.

– Na pewno nie oglądałaś zdjęć z tego domu uważniej niż ja – mówię roztrzęsiona. – Nie ma na nich ani śladu Kitta, niczego, co wiązałoby go z Seliną Gane. Niczego. Nawet wystrój nie jest w jego stylu. Kitt nigdy nie nazwałby „domem” nowoczesnego pudła bez charakteru, otoczonego identycznymi kopiami.

– Connie, nie bądź dzieckiem – warczy na mnie Fran. – Jeśli podoba mu się ta kobieta, to gównu będzie go obchodził brak gzymsów czy rozet na sufitach. Nie pamiętasz już, jak to jest się zakochać? – Mówiąc te słowa, moja siostra uśmiecha się do siebie szyderczo. – Ja prawie zapomniałam, ale nie do końca. Mogę ci powiedzieć, że gdybym się teraz po uszy w kimś zabujała, zamieszkałabym z nim w dowolnym miejscu, choćby i w mieszkaniu komunalnym w Brixton albo w jednym z tych ohydnych blokowisk.

Fran marszczy nos z obrzydzeniem, a ja niemalże wybucham śmiechem. Większość ludzi z Brixton uznałaby się za pechowców, gdyby musiała spędzić nawet pół godziny w Little Holling. W pięć minut zasmakowaliby wszystkiego, co miejsce to ma do zaoferowania, po czym zachodziliby w głowę, dlaczego tutejsi mieszkańcy nie uciekają w popłochu przed śmiertelną ciszą ku najbliższemu, hałaśliwemu miastu.



– Każdy mógł zaprogramować ten GPS – mówię. – Na przykład ktoś w sklepie.

Czy ja sama w to wierzę? A może porzuciłam już wszystko z wyjątkiem chęci bycia na zwycięskiej pozycji? Gdyby Fran wstawiała się za Kittem, to czy ja próbowałabym przekonać ją o jego niewierności?

– Jeśli nie możesz udowodnić, że mnie okłamywał.

– Nie mogę – przerywa mi Fran. – Słuchaj, wydawało mi się, że widziałam coś na tej stronie, to wszystko. Może się mylę, nie wiem. Ale trudno mi nie zauważyć, że nie śpieszno ci do poznania prawdy.

– To nie jest wyparcie, Fran, tylko próba odzyskania równowagi psychicznej i uratowania małżeństwa, które przez pół roku rwałam na strzępy, odwołując się do oskarżeń i podejrzeń. – Pociągam nosem, połykając łzy – Poddawałam Kitta torturom. Uwierz mi, to nie przesada. Wiecznie go przesłuchiwałam, odwracałam się od niego w łóżku. A on był taki cierpliwy i wyrozumiały. Każdy inny mężczyzna na jego miejscu już dawno by mnie rzucił. Wiesz, co zrobiłam kilka dni temu? Wróciłam do domu z zakupów, a on był w łazience, zamknięty na zamek. Kitt nigdy nie zamyka się w łazience. Kazałam mu otworzyć drzwi. Na początku odmówił, twierdząc, że się kąpie, ale ja wiedziałam, że to nieprawda. Słyszałam jego kroki. Powiedziałam, że od niego odejdę, jeśli natychmiast mnie nie wpuści. Myślałam, że zamknął się w łazience, żeby zadzwonić do Seliny Gane, choć wtedy jeszcze nie znałam tego nazwiska. Gdy w końcu otworzył drzwi, spodziewałam się, że zobaczę go z telefonem w dłoni i zakłopotaniem

w oczach albo przyłapię na tym, jak próbuje wrzucić komórkę do kibla czy coś takiego. Pomyślałam sobie: to jest ta chwila. Zabiorę mu telefon i dowiem się wreszcie, jak ona się nazywa i jaki jest do niej numer. Zdobędę upragniony dowód zdrady. Już wcześniej zaglądałam do jego komórki i niczego nie znalazłam, ale może tym razem.

Przerywam. Niełatwo jest mi opisać stan umysłu, który teraz wydaje mi się taki obcy. To trochę tak, jakbym relacjonowała zachowanie kogoś innego, kogoś niezrównoważonego psychicznie.

– Myślałam, że serce mi eksploduje, tak szybko biło. I nagle zobaczyłam słowa „Wszystkiego najlepszego” na papierze do pakowania leżącym u stóp Kitta, torbę z firmowym nadrukiem Chongololo, nożyczki i taśmę klejącą. – Chowam twarz w dłoniach.

– Biedak próbował zapakować mój prezent urodzinowy. Nigdzie w pobliżu nie było telefonu komórkowego. Chciał zrobić dla mnie coś miłego, a ja to zepsułam. Moja podejrzliwość wszystko spieprzyła, tak jak teraz wszystko pieprzy. Ja byłabym wściekła, gdyby ktoś zachował się w ten sposób wobec mnie, ale Kitt okazał wyrozumiałość. Starał się nawet poprawić mi nastrój, utrzymywał, że niczego nie zepsułam, że prezent i tak będzie niespodzianką. „Na razie wiesz tylko tyle, że jest ze sklepu Chongololo – powiedział – a i tego nie możesz być pewna. Torba może być zmyłką. Wcale nie wiesz, czy w środku są ubrania”.

– Na litość boską, przestań się biczować – mówi Fran. – Pokażę ci, co widziałam na stronie Wszystkiedomy. Jak to zobaczysz i nadal będziesz chciała mu ufać, to twój wybór. Chodźmy.

Fran wstaje, a ja automatycznie robię to samo.

– Dokąd teraz? – pytam.

– Do biblioteki, tutaj obok. Mają tam internet.

Dobrze, mówię sobie, schodząc po krętych schodach zamku. To sprawdzian, który zdam. Niech Fran zagra swoim atutem, cokolwiek nim jest. Ja wiem, że na zdjęciach domu przy Bentley Grove 11 nie ma niczego, co sugerowałoby niewierność mojego męża, więc nie mam się czego bać.

Nie mogę uwierzyć, że moja siostra ma o nim takie złe zdanie. Jak śmie?

Jak ci się udaje widzieć z tą belką w oku?

– A propos Chongololo, to gdzie jest twój różowy płaszcz? – pyta Fran.

– Płaszcz? Jest lato, nie zauważyłaś?

– Gdzie go masz?

– Nie wiem. Pewnie w szafie.

– Jest jasnoróżowy, Con. Gdyby wisiał w szafie, widziałabyś go codziennie, atakowałby twoje oczy.

– Może wisi na którymś z haczyków przy tylnych drzwiach. A co?

– Chciałabym go pożyczyć – mówi Fran.

– W lipcu?

– Od lat go nie nosisz – nalega, nie patrząc mi w oczy. – Może go

wyrzuciłaś.

– Nie, nie zrobiłabym tego. A, już wiem. Jest w samochodzie Kitta, za tylnymi fotelami, wciśnięty za zagłówki. Leży tam od jakichś dwóch lat. Mogę go wygrzebać, jeśli chcesz. Ale myślałam, że nie cierpisz różu.

Twarz Fran przybiera surowy wyraz, gdy wchodzimy do biblioteki. Chcę zadać jej więcej pytań, lecz ona zajęta jest ściąganiem na siebie uwagi bibliotekarki. Po prawej stronie od głównego wejścia stoją cztery szare, prostokątne stoły ułożone w duży kwadrat. Dookoła niego siedzi dwadzieścia kilka kobiet w średnim i zaawansowanym wieku, a wśród nich jeden młody mężczyzna z najmniejszą bródką, jaką w życiu widziałam. Wszyscy piją jasnopomarańczową herbatę ze styropianowych kubków i nawzajem sobie przerywają. To pewnie spotkanie klubu czytelniczego, bo na stole leżą obłożone plastikiem egzemplarze książki pod tytułem Skoro nikt nie mówi o wspaniałych rzeczach.

Bardzo bym chciała wstąpić do klubu czytelniczego, ale nie w Silsford. Może w Brixton.

Część dziecięca pełna jest matek błagających swoje chichoczące, piszczące pociechy, by się uspokoiły. Gdy nasza mama przyprowadzała tu mnie i Fran, obie byłyśmy grzeczne i ciche od przekroczenia progu aż do wyjścia. Porozumiewałyśmy się za pomocą wskazywania i przytakiwania, przerażone wizją bibliotekarek wyrzucających nas na ulicę za otwarcie ust. To matka musiała nam ją nakreślić. Pamiętam, że inne dzieci szeptały między sobą, opowiadając

sobie nawzajem, którą książkę Enid Blyton już przeczytały, a której jeszcze nie. Zawsze się wtedy zastanawiałam, dlaczego one nie są tak wystraszone jak my.

Fran woła mnie do siebie. Wiedząc, że za chwilę znów zobaczę zdjęcia Bentley Grove 11, muszę się zmusić do podejścia do monitora. Przez jedną szaloną sekundę wyobrażam sobie, że zza jednego z regałów z książkami wyskoczy zaraz Selina Gane i przyłapie mnie na wirtualnym szpiegowaniu. Dlaczego znów oglądasz mój dom? Nie możesz zostawić mnie w spokoju?

Staję za plecami Fran, przygotowując się na wstrząs, czekając, aż kliknie na przycisk uruchamiający wirtualne zwiedzanie. Ale ona wybiera sąsiedni link – „Widok z ulicy” – i powiększa zdjęcie ulicy, które zapełnia cały ekran. Fotografia jest lekko zamazana, jakby ktoś zrobił ją z jadącego samochodu.

– To nie jest numer jedenaście – mówię. – To druga strona ulicy i nieco dalej. Numer dwadzieścia albo jakoś tak.

Na zdjęcie nałożone są białe linie i strzałki do nawigacji. Zastłaniają numer domu, lecz jestem prawie pewna, że to dwadzieścia. Sklonowane domy przy Bentley Grove mogą wyglądać na identyczne dla kogoś, kto nie spędził w ich towarzystwie wszystkich piątków w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, ale ja znam wzór na każdej zasłonie w każdym oknie.

– W takim razie obróćmy się w stronę numeru jedenaście – mówi Fran, manewrując myszką. Patrzą na kręcącą się w kółko ulicę Bentley Grove.

Wirująca ulica, wirujący salon. Wirujące zwłoki kobiety w kałuży krwi.

Chwytam się za oparcie krzesła Fran i rozkazuję sobie nie czuć zawrotów głowy. Ku mojemu zaskoczeniu metoda ta okazuje się skuteczna.

Teraz patrzymy we właściwym kierunku.

– Trochę dalej w lewo – mówię, ale Fran nie potrzebuje instrukcji. Musiała ćwiczyć to u siebie w domu. Klika na białą strzałkę, która momentalnie przenosi nas pod numer dziewięć. Drzwi wejściowe są otwarte, a w progu widać rozmazaną plamę białych włosów i czerwony szlafrok. To drobny, złamany wpół staruszek, który tam mieszka. Trzyma w dłoni laskę, bez której nie zrobiłby nawet kroku. Wielokrotnie go tam widziałam, czy raczej to, co z niego zostało, bo wygląda na sto pięćdziesiąt lat. Wiecznie kursuje między swoim domem a licznymi kosztami do segregacji śmieci, ustawionymi pośrodku ogródka w krąg przypominający Stonehenge. Wszyscy pozostali mieszkańcy Bentley Grove trzymają swoje kosze w garażach.

Czekam, aż Fran naciśnie strzałkę, która poprowadzi nas dalej, lecz ona siedzi bez ruchu. Odwraca się do mnie i patrzy mi w oczy.

– To numer dziewięć – mówię. – Nie jedenaście.

– Zapomnij o domu. Spójrz na odjeżdżający od chodnika samochód. Tablica rejestracyjna jest rozmazana, ale mimo to.

Usta wypełnia mi gorzki smak. Chcę powiedzieć Fran, że to jakaś bzdura, jednak nie mogę wydobyć z siebie głosu. Całą energię

zużywam na odepchnięcie ataku paniki, który zbliża się do mnie nieubłaganie.

Nie. To niemożliwe.

– Jak tylko to zobaczyłam, pomyślałam: Oglądali ten dom. Na pewno złożyli ofertę. Ale przypomniałam sobie, jak przysięgałaś rodzicom, że go nie kupujecie, i uznałam, że w takim razie na pewno jesteście właścicielami. Sprzedawaliście go i dlatego byłaś nim tak zainteresowana. Przyznaję, że trochę mnie poniosło. Pomyślałam, że od lat skrywacie z Kitem swoją wielomilionową fortunę. – Fran wypowiada te zdania nonszalanckim tonem. Czyżby ją to bawiło?

– No, ale gdyby to był wasz dom, zaparkowalibyście na podjeździe, nie na ulicy. Nie wiem, dlaczego od razu nie przyszło mi to do głowy. Domy przy Bentley Grove mają ogromne podjazdy. Kitt zaparkowałby pod samymi drzwiami. Ale przecież nie mógł tego zrobić, prawda?

Powiedz jej. Powiedz, że wygaduje bzdury i że nie masz już ochoty tego wysłuchiwać.

– Bo nie miało go tam być, mam rację? – ciągnie Fran, ostrzeliwując mnie słowami. – Nie chciałby, żeby ktokolwiek powiązał go z Seliną Gane. Ale gdyby zaparkował przy chodniku, przed sąsiednim domem...

– Nie ma żadnego powiązania – wreszcie udaje mi się powiedzieć, lecz już chwilę później mentalna mgła spowija mnie na dobre, zaginając rogi moich myśli do wewnątrz.

Zamykam oczy i z ulgą witam zejście w bezmyślność. Odepchnij to

wszystko. I gdy szara maź wciąga mnie głębiej i głębiej, zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak. Opadając w otchłań, zabrałam ze sobą to, co najbardziej chciałam zostawić: obraz samochodu Kitta przy Bentley Grove i mojego różowego płaszcza z Chongololo, wyraźnie widocznego między zagłówkami za tylną szybą.



# 12

**19/7/2010**

Charlie nie wierzyła własnym oczom. Oto szybkim krokiem szedł w jej stronę Domingo z zaciśniętą dłonią przy uchu, co mogło oznaczać tylko jedno. Dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała, choć w jej czarnej wizji działo się to za dnia, nie w nocy. Nie powinna była mówić Olivii, dokąd jadą, popełniła błąd, powierzając jej ten sekret. Ale jeśli już musiało się to stać, to lepiej teraz, gdy Charlie była sama. Simon wyszedł na spacer, mogła więc jeszcze przed jego powrotem rozwiązać problem i wyjaśnić Samowi czy Proustowi, którykolwiek z nich dzwonił, że ich ulubiony detektyw jest nieosiągalny, bez względu na to, co się wydarzyło, jakkolwiek pilny, niespodziewany i niezwykły był przypadek, który rzekomo wymagał jego pomocy. Nawet jeśli wszyscy mieszkańcy Spilling, co do jednego, zostali zarżnięci w swoich łóżkach. Charlie rozsmakowała się w potworności swojej wizji.

Postanowiła, że nie powie Simonowi o telefonie i namówi Dominga, by on też dotrzymał tajemnicy. To był jej miesiąc miodowy, na litość boską, nawet jeśli świeżo nabyty mąż wyszedł na spacer bez niej, zostawiając ją samą na tarasie, płaczącą i odpalającą papierosa od papierosa, gapiącą się na górę, w której mogła się kryć czyjaś twarz. Na spacer. Kto chodził na spacer o dziesiątej wieczorem bez

konkretnego celu? Kto, będąc w podróży poślubnej, mówił do swojej żony: „Nie bierz tego do siebie, ale wolałbym iść bez ciebie”? Za jakiego człowieka Charlie wyszła za mąż? Podejrzewała, że odpowiedzi na to pytanie będzie szukać do końca życia.

– Simon? To pan? – zawołał Domingo z przeciwległego brzegu basenu.

Charlie wyłączyła wcześniej światło na tarasie, bo nie chciała, żeby oświetlało spływające po jej policzkach łzy, mimo że nie było nikogo, kto mógłby je zobaczyć.

– To ja – odparła cicho, mając nadzieję, że dozorca jej nie usłyszy.

Przez chwilę zastanawiała się, co Domingo by powiedział, gdyby zaproponowała, że zrobi mu laskę, po czym uśmiechnęła się do siebie rozbawiona absurdalnością swojego pomysłu.

– Telefon. Anglia. – Domingo pokazał ręką na drewniany domek. – Pani zadzwoni z domku. Ja mam numer.

Może matka Simona wykorkowała? Wątpliwe. Charlie czuła, że Kathleen będzie wymachiwać swoją nerwicą jeszcze za trzydzieści lat, wciąż wysysając życie z bliskich w swym wyjątkowym, cherlawym stylu. Charlie zawsze wyrażała się z pogardą o instytucji przeczucia – stosowanej przez siebie i innych, zwłaszcza przez Simona – ale w świetle tak trafnie przewidzianego scenariusza z telefonem z Anglii uznała, że być może nadeszła pora, by zaufać nieco własnemu instynktowi.

Zgasiła papierosa, wytarła dłońmi twarz i wstała. Była już na

schodach, gdy nagle zmieniła zdanie.

– Chrzanić to – wymamrotała pod nosem.

Niby czemu musi podejmować ten wysiłek? Ma już dosyć naginania rzeczywistości do swoich potrzeb. Teraz niech ktoś inny dopilnuje, żeby świat nie rozpadł się na kawałki.

– Simona nie ma, wyszedł – zawołała.

Więcej nie musiała mówić. Jeśli Domingo chciał wrócić za godzinę i przekazać Simonowi wiadomość albo numer telefonu, to jego sprawa. Jeśli Simon chciał spędzić resztę miesiąca miodowego na rozmowach z Samem Kombothekrą albo Mroźnym, jeśli chciał złapać najbliższy lot do Anglii i wrócić do pracy, zamiast zostać w pięknej, hiszpańskiej willi z Charlie. Na szczęście istniał genialny wynalazek zwany rozwodem.

– Pani dzwoni, nie Simon – powiedział Domingo. – Siostra Olivia. Pani idzie teraz, pani zadzwoni w mój domek. Ona bardzo smutna, płacze.

Charlie była już w biegu. Wszystkie myśli – o rozwodzie z Simonem, o kochaniu go i nienawidzeniu – odpadły momentalnie, zostawiając w jej głowie tylko jedno słowo: rak. Olivia przeżyła chorobę kilka lat temu, ale Charlie zawsze bała się, że nowotwór się odnowi, choćby nie wiadomo ile razy siostra zapewniała ją, że to niemożliwe. „Jeśli nie wróci przez pięć lat, to już nigdy nie wróci – mawiała. – Gdybym miała szczęście zachorować znowu na nowotwór, to będzie to nowy nowotwór, a nie nawrót starego”.

Olivia nie zadzwoniłaby w błahej sprawie, nie po tym, jak Charlie

opisała jej, co zamierza zrobić z osobą, która zakłóci jej spokój z Simonem. Nie mów nikomu, absolutnie nikomu, dokąd wyjechaliśmy. Chyba że będzie to kwestia życia i śmierci albo gdyby ktoś zechciał podarować nam dużo pieniędzy.

Kwestia życia i śmierci. Czyżby urzeczywistniła najgorszy scenariusz, używając tych słów?

Jakoś udało jej się dotrzeć do drewnianego domku Dominga. Ale to on musiał wstukać numer w klawaturę telefonu i włożyć słuchawkę w jej dłoń. Położył rękę na jej ramieniu, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Nie wątpił, że wiadomość od siostry była zła. Charlie też w to nie wątpiła.

– Liv? To ty? – spytała, słysząc w słuchawce jedynie płacz.

– Charlie?

– Spokojnie. Mów.

– Chyba zrujnowałam swoje życie.

– Jak to? Co się stało?

– Muszę zostawić Dominica. Spałam z kimś innym. Więcej niż jeden raz. Nie gniewaj się, że dzwonię. Musiałam z tobą pogadać. Czuję, że wariuję. Myślisz, że mogę zwariować?

Charlie potarła opuchnięte oczy i opadła na najbliższe krzesło – okrągłe, wiklinowe coś, wyglądające jak pochylony kosz piknikowy na nogach, pokryty wełnianą narzutą w niebiesko-czerwonej kratę. Odczekała chwilę, aż serce dogoni jej mózg, bo wciąż paraliżował ją strach – potwór, którego należało opanować. Potwór, którego sama

stworzyłaś z niczego i bez potrzeby. Czy to samo zrobiła ze spacerem Simona? Starał się, jak mógł, by przekonać ją, że potrzeba samotnego spaceru nie ma nic wspólnego z niechęcią do spędzania czasu wspólnie. „Nie jestem przyzwyczajony do bycia z kimś przez cały czas – wyjaśnił. – Potrzebuję tylko pół godziny, może godzinę, i wracam”. Czy to było aż takie dziwne? „Pewnie nawet za tobą zatęsknię”, dodał niechętnie, spuszczaając wzrok, jakby przyznawał się do tego pod przymusem.

– Oto moja propozycja – powiedziała, odzyskawszy wreszcie równowagę. – Porozmawiam z tobą przez pięć minut tylko dlatego, że czuję ulgę. Myślałam, że dzwonisz z informacją, że rodzice padli trupem na polu golfowym. – Myślałam, że umierasz. Myślałam, że moje małżeństwo dobiegło końca.

– Nigdy nie lubiłaś Dominica, więc pewnie odczuwasz podwójną ulgę.

– Chcesz zmarnować swoje pięć minut na kłótnię?

Cisza.

– Jak miesiąc miodowy? – spytała w końcu Olivia.

– Dobrze, aż do twojego telefonu. To znaczy w miarę dobrze.

– Dlaczego w miarę?

Charlie zniżyła głos:

– Uprawialiśmy seks w sumie, niech policzę... Jeden raz.

– To źle? Jest dopiero poniedziałek.

Charlie wszystko gruntownie przemyślała. Jeśli dzisiaj znów będą się kochać, nieco się uspokoi. W przeciwnym razie spędzą dwie noce z rzędu bez seksu. Jak inaczej to nazwać, jeśli nie katastrofą? Jeśli dzisiaj Simon nie wykaże inicjatywy, obawia się, że nie będzie umiała zachować zimnej krwi jak wczoraj, gdy odwrócił się do niej plecami i po kilku sekundach już spał. Czy dlatego właśnie była dzisiaj tak drażliwa i wciąż przygotowana na najgorsze? Żaden poniedziałek nie powinien być obarczony aż takim ciężarem.

– Odnoszę wrażenie, że według niego w ogóle nie powinniśmy tego robić – powiedziała płaczącym tonem. – Po fakcie zawsze mnie unika, jakbyśmy zrobili coś wstydliwego. Leży obok mnie, ale jest nieobecny. – Charlie westchnęła. – Trudno mi to opisać.

– Simon jest dziwny pod wieloma względami, nie tylko w kwestii seksu – powiedziała Olivia, jakby to miało poprawić humor siostrze. W jej głosie nie słychać już było rozpacz Charlie nie zdziwiłaby się wcale, gdyby się okazało, że Liv zasymulowała kłopoty życiowe, a tak naprawdę pragnęła jedynie poplotkować. – Śpicie ze sobą już od jakiegoś czasu, mieszkacie jeszcze dłużej. To wszystko zmienia związek. Ja już nigdy nie mam ochoty na seks z Dominikiem. Mam taki trik...

– Błagam, nie mów mi o nim – wtrąciła Charlie.

– Co? Nie, to nic seksualnego, czysta psychologia. Gdy Dominic zaczyna się przymilać, a mi się nie chce, ale tylko trochę, to pozwalam mu się zbliżyć. Dzięki temu mam spokój, kiedy nie chce mi się naprawdę, bo na przykład muszę doczytać do końca jakąś książkę.

Wtedy mogę z czystym sumieniem odmówić, bo wiem, że nie oskarży mnie o wieczną oziębłość.

Charlie gapiła się na telefon. Może to miało związek z dystansem i lepiej by rozumiała swoją siostrę, gdyby rozmawiały, będąc w tym samym kraju? Ze wszystkich sił starała się nie wyobrazić sobie przymilającego się Dominica.

– I nie chodzi o to, że nie jest atrakcyjny, bo jest. Ale nie wiem. Robiliśmy to już tyle razy.

A teraz robisz to z kimś innym.

– Czy z Simonem się pogorszyło od ślubu? Częstotliwość bzykania spadła? Pewnie za wcześnie na takie oceny.

Charlie westchnęła. Wysmakowana uwaga.

– Słuchaj, niespecjalnie mam ochotę o tym rozmawiać, a już na pewno nie chcę o tym szeptać w domku nieznanego Hiszpana. Powiedz mi, o co chodzi z Dominikiem?

– Nie mogę go zostawić.

– Kto jest tym nowym facetem?

– Nie mogę zostawić Dominica. To by go zniszczyło. On oczywiście nie ma pojęcia, że tak by się to skończyło, ale ja wiem. Bo jeśli rzucę go dla tego... innego mężczyzny – nie żeby mnie o to prosił, nie mamy ze sobą nic wspólnego – to wkrótce i z nim przestanie mi się chcieć bzykać. Nawet jeśli teraz na to nie wygląda. Więc równie dobrze mogłabym zostać z Dominikiem i zdradzać go aż do momentu, gdy mój romans stanie się tak samo nudny jak mój związek. Chociaż sam

Dominic nie jest nudny, tylko seks z nim. Chociaż nudny to nie znaczy zły.

Charlie nie była w stanie zdobyć się na odpowiedź.

– Co o tym sądzisz? – spytała z niepokojem Olivia.

– Nie chcesz wiedzieć, co myślę.

– Na pewno znudzę się Nowym Kochankiem, gdy wyczerpie się efekt świeżości.

– Może przyda ci się informacja, że mnie nudzi rozmawianie o nim – powiedziała Charlie.

Nowy Kochanek. Pewnie jakiś zarośnięty weganin, dziennikarz albo napuszony pisarz, z którym Olivia przeprowadzała wywiad dla swojej gazety.

– To nieuniknione – jęknęła Liv i wydmuchała nos. – Prawo natury. Każda wielka namiętność z czasem się nuży.

– Dzięki za zastrzyk optymizmu – odparła Charlie. – A propos czasu, twój właśnie dobiegł końca.

– Poczekaj, muszę cię jeszcze o coś zapytać. Simon nie będzie miał nic przeciwko, że rozmawiamy, prawda?

– Nawet się nie dowie – powiedziała Charlie. – Poszedł na spacer.

– Sam? – Oburzenie Olivii musiało być słyszalne w całym Londynie.  
– Dlaczego cię nie zabrał?

– O co chciałaś mnie zapytać?



– Już to zrobiłam: czy Simon nie będzie miał nic przeciwko. Nie uważam, żeby miał. Czy tobie przeszkadzałoby, gdyby odbył krótką rozmowę z... kimś, kimkolwiek? Z Anglii albo z... pracy?

Charlie przełknęła wrzask, który zatkał jej gardło.

– Sam Kombothekra chce rozmawiać z Simonem?

– Nie wściekaj się. Nie powiedziałam mu, gdzie jesteście. Ale czy Simon nie mógłby do niego zadzwonić? Nie znam wszystkich szczegółów, lecz wydaje mi się, że ktoś mógł zostać zamordowany.

– I co z tego? To tak jakby przerywać podróż poślubną listonoszowi, bo ktoś chce wysłać paczkę do babci. Przekaż Samowi ode mnie, że jest tchórzliwym sukinsynem, skoro się tobą wysługuje.

– Nie bądź taka, Sam jest słodki. I wcale mnie o nic nie prosił. Od miesięcy z nim nie rozmawiałam. Posłuchaj, niewykluczone, że Simon zna osobę, którą zamordowano. Albo znał. Sama nie wiem.

Ktoś, kogo Simon znał? Charlie od razu pomyślała o Alice Fancourt. Tylko nie ona. Każdy, tylko nie ona. Nie wiedziała, czy Simon jeszcze myśli o Alice. Ten temat, jak wiele innych, podlegał ścisłej cenzurze. Ale Charlie była absolutnie pewna, że gdyby Alice padła ofiarą morderstwa, Simon wróciłby do dawnej obsesji.

Czuła, że jej mózg toczy walkę z upałem i czerwonym winem. Coś jej nie pasowało. Coś w miarę oczywistego, jeśli tylko o tym pomyśleć.

– Skoro nie rozmawiałaś z Samem, to skąd...?

Przerwała, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, bo w tej samej chwili prawda uderzyła ją niczym ołowiana kula w klatkę piersiową. Ilu

mężczyzn Olivia miała okazję spotkać od piątku?

– Nowy Kochanek – powiedziała beznamiętnie. – Kim on jest, Liv?

– Nie gniewaj się – odparła Olivia przerażonym głosem.

– To Chris Gibbs, mam rację?

– Nie planowałam tego. Nie chciałam.

– Zakończ to.

– Boże, nie mów tak! Nie masz pojęcia, jak nam.

– Zakończ to. To nie sugestia. To jest, kurwa, rozkaz. Ty skończona kretynko!

Charlie rzuciła słuchawką i wybiegła na zewnątrz, gdzie wpadła na Dominga. Kompletnie o nim zapomniała. Pewnego dnia może znów o nim zapomni, ale nigdy nie zniknie z jej pamięci jego drewniana chatka, jego telefon, jego wiklinowe krzesło z niebiesko-czerwoną narzutą. Wiedziała, że od tej pory do końca życia, ilekroć pomyśli o zdradzie, wszystko to do niej wróci. A myślała o zdradzie bardzo często.

– Siostra dobrze? – zapytał Domingo.

– Nie, niedobrze – odparła Charlie. – Siostra durna cipa.

# 13

**Wtorek, 20 lipca 2010**

– Powiedz im – namawiam Kitta. – Zapomnij o moich uczuciach i o tym, że nie chcesz mnie zranić. Powiedz, co naprawdę myślisz. Jak możesz tak siedzieć i słuchać moich kłamstw na twój temat, skoro uważasz właśnie, że kłamię?

Jesteśmy w komisariacie policji w Cambridge, w pokoju z żółtymi ścianami, niebieskim linoleum na podłodze i z jednym dużym, kwadratowym oknem osłoniętym metalową siatką. Żeby nikt nie mógł rzucić się z okna. Sam Kombothekra siedzi po naszej stronie stołu, między mną a Kittem. Zaskoczył mnie tym, bo sądziłam, że usiądzie obok detektywa Grinta. Czy detektyw ze Spilling jest wciąż detektywem, gdy przyjeżdża do Cambridge? Czy Sam ma jakieś uprawnienia w tym pokoju, czy może występuje dzisiaj wyłącznie w roli naszego kierowcy, naszej milczącej przyzwoitki?

Kitt patrzy na Grinta.

– Nigdy nie byłem na Bentley Grove ani piechotą, ani samochodem. Nigdy tam nie parkowałem. – Wzrusza ramionami. – Cóż jeszcze mogę powiedzieć? Nie ja jeden jeżdżę czarnym sedanem.

Na jego szyi widać dwa ślady w miejscach, gdzie rano zaciął się

przy goleniu. Pod oczami ma niebieskawe cienie. Żadne z nas nie spało minionej nocy, bo wiedzieliśmy, że czeka nas dzisiaj ciężka przeprawa. Żadne z nas się nie uczesało przed wyjazdem do Cambridge. Co Grint sobie o nas pomyślał? Robił, co mógł, by nie pokazać po sobie reakcji, gdy wyjaśniałam mu swoje siniaki i guza nad okiem, ale wiem, że czuje do mnie obrzydzenie i że Kitta też nie darzy specjalnym szacunkiem. Jaki mężczyzna ożeniłby się z kobietą, która traci przytomność i wali głową w stół publicznej biblioteki?

Czuję się odpowiedzialna za nas oboje, mam ochotę powiedzieć Grintowi, że nie jesteśmy tacy źli, jak mu się wydaje.

Chciałabym, by tak było.

Nie pamiętasz uderzenia głową w stół. O czym jeszcze mogłaś zapomnieć?

– Różowa plama na zdjęciu samochodu ma inny odcień niż róż płaszczka mojej żony – mówi Kitt. – Jest bardziej intensywna, bliższa czerwieni.

– Connie twierdzi, że to ten sam kolor – odzywa się Grint.

Kitt przytakuje. Słyszał, jak to mówiłam.

– Dlaczego kiwasz głową? – pytam go napastliwym tonem. – Według ciebie to nie ten sam kolor. Czemu się nie spierasz?

– Po co? – Kitt nie odrywa wzroku od Grinta. – Czy nie macie jakiegoś programu, dzięki któremu dałoby się wyostrzyć zdjęcie tablicy rejestracyjnej? To jedyny sposób na udowodnienie, czyj to samochód. Może nawet zobaczylibyśmy, kto siedział za kółkiem.

– Mój mąż sugeruje, że to ja – tłumaczę.

– Czas i pieniądze – mówi Grint. – Gdyby był pan podejrzany o popełnienie poważnej zbrodni i konieczne byłoby udowodnienie, że pański samochód stał na Bentley Grove, pewnie wyostrzylibyśmy to zdjęcie. Czy została popełniona jakaś zbrodnia, panie Bowskill?

O ile panu wiadomo?

– Nie p... Nie. – Kitt spuszcza wzrok.

Dłużej tego nie zniosę.

– Chciał powiedzieć: „Nie przeze mnie”. Mam rację? Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się do tego przyznać. Wiem, co myślisz.

– Panie Bowskill. Zdaje się, że według pańskiej żony ma pan coś do powiedzenia.

Kitt przyciska dłonie do oczu. Nagle zdaję sobie sprawę, że nigdy nie widziałam, by płakał. Czy to dziwne? Czy większość mężczyzn płacze?

– To, że o tym pomyślałem, nie znaczy, że w to wierzę. Bo nie wierzę.

– Podejrzewa, że to ja mogłam zamordować tę kobietę – tłumaczę na język Grinta i Sama. – W salonie domu przy Bentley Grove jedenaście.

– Czy pańska żona ma rację? – pyta Grint. – Tak pan sądzi?

– Coś się zmieniło, to wszystko, co wiem. – Kitt znów spuszcza wzrok i gapi się na swoje dłonie. – Wczoraj rano sierżant

Kombothekra powiedział nam, że nie mamy się czym przejmować. I nagle nas tu wezwał. Nagle jesteście nami zainteresowani: kolorem płaszcza Connie, tym, gdzie parkowałem swój samochód. Nie trzeba geniusza, by się domyślić, że coś się stało.

– I do jakiego wniosku doszedłby taki niegeniusz? – pyta Grint, pocierając palcem wskazującym szpilkę od krawata.

Jest wysoki i tyczkowaty, a na podbródku ma blizny po wieloletnim trądziku. Jego głos do niego nie pasuje. Jest zbyt ciężki i niski, zdecydowanie niewłaściwy dźwięk dla chudego mężczyzny.

– Wierzycie w martwą kobietę, którą widziała Connie – mówi Kitt.  
– Stało się coś, co sprawiło, że w nią uwierzyliście. W przeciwnym razie nie tracilibyście na nas czasu.

– I jak to zmienia pańskie położenie? To, że martwa kobieta jest prawdziwa?

– Skąd moja żona wiedziała, że kobieta nie żyje? – Kitt pyta gniewnie detektywa Grinta, jakby to on był wszystkiemu winien. – Na zdjęciach nie było żadnych zwłok. Mogę to przysiąc. Uruchomiłem wirtualne zwiedzanie kilka sekund po Connie i nie zobaczyłem niczego dziwnego: zwyczajny salon, ni mniej, ni więcej. Nie było w nim żadnej martwej kobiety ani kropli krwi. Wtedy myślałem, że Connie coś się przywidziało. Była zestresowana, zmęczona.

– Była zestresowana, bo w pańskim GPS-ie znalazła adres Bentley Grove jedenaście zaprogramowany jako „dom”. Zgadza się?

– Owszem, tak wtedy sądziłem.

Grint pochyla się nad blatem stołu.

– A teraz jak pan sądzi?

Kitt głośno jęczy.

– Nie wiem, dlaczego mnie pan o to pyta. Ja nic nie myślę.

– Ale ma pan podejrzenia.

– Podejrzewa, że jestem morderczynią – podpowiadam usłużnie.

– Connie sama mogła zaprogramować mój GPS – odzywa się Kitt, nie patrząc na mnie.

Musi być wdzięczny za obecność Sama między nami, choć Sam wcale nie wygląda na zadowolonego z wyboru miejsca. Kto by się dziwił? Nasze małżeństwo jest pewnie najgorszym, jakie kiedykolwiek widział w akcji.

– Ja go nie programowałem – mówi Kitt. – Musiała to zrobić Connie. Wmawiałem sobie, że mogła to być sprawka kogoś innego, kogoś ze sklepu, w którym kupiłem to urządzenie. – Śmieje się gorzko. – Ale każdy wierzy w to, w co chce wierzyć.

Niektórzy z nas owszem. Innym się nie udaje, choćby się bardzo starali.

– Connie jest od miesięcy w fatalnym stanie – mamrocze Kitt.

No, śmiało. Nie przerywaj w takim momencie. W pewnym sensie ulży mi, gdy w końcu usłyszę, jak to mówi. Wtedy przynajmniej będę wiedziała dokładnie, czemu stawiam czoła.

– Na stronie internetowej agencji nieruchomości nie było kobiecych

zwłok. Może Connie widziała je na własne oczy. W tamtym domu, w salonie. To ona mogła zaparkować mój samochód na Bentley Grove. Często jeździ moim autem. Nieustannie podróżuje do Cambridge.

– Nigdy nie pojechałam tam twoim samochodem – mówię mu. – Ani razu.

– Proszę ją zapytać – Kitt namawia Grinta. – Zmuscie ją do powiedzenia prawdy, bo mi nie chce powiedzieć.

A bardzo proszę, detektywie Grint. Może pan zadać tyle pytań, ile pan chce. Opowiem samą prawdę.

– Dlaczego pańskim zdaniem Connie jeździ do Cambridge? – Grint nie spuszcza wzroku z Kitta.

– Powiedziała panu dlaczego. Nie słuchał pan? Może by pan nam powiedział, co się stało, co wiecie na temat tej martwej kobiety? Czy rzeczywiście jest jakaś martwa kobieta?

– Dlaczego Connie podróżuje do Cambridge tak często? Nie mieszka tam ani nie pracuje.

Kitt opada na oparcie krzesła.

– Jak sama przyznała: szuka tam mnie.

– Ona tak powiedziała, owszem. Ale jak pan to tłumaczy? Connie twierdzi, że próbuje przyłapać pana na cudzołóstwie. Twierdzi, że znalazła adres Bentley Grove zaprogramowany w pańskim GPS-ie jako adres domowy, i utrzymuje, że to pan musiał go tam wpisać. Gdyby to ona sama go wpisała, jak pan sugeruje, wówczas wiedziałaby na pewno, że nie pan to zrobił. W takim razie po co miałyby wystawać



pod domem przy Bentley Grove jedenaście, czekając, aż wyjdzie pan z domu pod rękę ze swoją drugą kobietą? Czy to ma według pana jakiś sens, panie Bowskill?

Kitt milczy.

– A może wpisała ten adres w pańskim GPS-ie właśnie dlatego, że odkryła pański romans i w ten sposób chciała dać panu do zrozumienia, że gra się skończyła.

– Kitt? – odzywa się Sam.

– Nie wiem. Nie wiem dlaczego. Nic nie wiem. – Kitt wydaje z siebie dźwięk dławienia i zatyka usta pięścią. – Connie nie jest złym człowiekiem. Jest. Kocham ją.

Mimowolnie podskakuję trochę w swoim krześle, słysząc, że w naszym towarzystwie pojawiła się kwestia „zła”. Jak powiew mroźnego powietrza.

– Może się wtrączę? – mówię z werwą, siląc się na maksymalnie bezstronny ton. Obiektywność jest jedyną drogą wyjścia z sytuacji. Grint musi wiedzieć, co obydwójce myślimy. Dopiero wtedy możliwy będzie postęp w śledztwie. – Kitt uważa, że zamordowałam jakąś kobietę. A może to nie było morderstwo, tylko nieumyślne spowodowanie śmierci albo samoobrona, skoro nie jestem „złym człowiekiem”. Tak czy inaczej jestem do tego stopnia strauumatyzowana i dręczona poczuciem winy, że wszystko wyparłam. Udało mi się usunąć Bentley Grove jedenaście ze świadomości, ale podświadomość jest mniej chętna do współpracy. Poczucie winy wybucha i sprawia mi kłopoty. Jak mówi Kitt, jestem w opłakanym

stanie. To z pewnością prawda, jedyna kwestia, co do której się zgadzamy. Wpisuję adres miejsca, gdzie się to wydarzyło do jego GPS-a. Może w głębi duszy pragnę być schwytana i ukarana.

– Connie, przestań – prosi Sam, wierząc się na swoim krześle.

Naprawdę nie powinien pracować w policji, jeśli nie umie sobie radzić w napiętych, niemiłych sytuacjach.

Ignoruję go i ciągnę swoją relację:

– Gdy dom zostaje wystawiony na sprzedaż, ta część mnie, która zna prawdę, jest przerażona, że nowy właściciel znajdzie dowód mojej zbrodni. Dlatego przez całą noc oglądam w internecie zdjęcia każdego pomieszczenia. Martwej kobiety i krwi już dawno tam nie ma, gdyż starannie zatarłam wszystkie ślady, ale mam paranoję i w ataku paniki wyobrażam sobie, że miejsce zbrodni wygląda wciąż dokładnie tak samo: zwłoki, krew.

– Chwileczkę – przerywa mi Grint. – Jeśli ogląda pani zdjęcia domu w poszukiwaniu śladów morderstwa, to znaczy, że nie wyparła go pani ze świadomości. Dobrze pani wie, czego się dopuściła.

– Nieprawda – mówię, zniecierpliwiona tym, że detektyw nie rozumie najważniejszej rzeczy – Wiem o tym podprogowo. Ze świadomości wszystko usunęłam: morderstwo, programowanie GPS-a, wszystko. Z mojego punktu widzenia to Kitt zaprogramował GPS. Ale skoro temu zaprzecza, to ja nabieram podejrzeń. Zaczynam jeździć do Cambridge w niemal każdy piątek, próbując przyłapać go na gorącym uczynku.

Wzdrygam się, gdy w mojej głowie pojawia się obraz zakrwawionych rąk. Splamionych aż za nadgarstki, niemal do łokci.

– Dobrze się czujesz? – pyta Sam. – Chcesz wody?

– Nie, nic mi nie jest – kłamię. – W nocy z piątku na sobotę widzę, że w ogródku przed domem przy Bentley Grove jedenaście wyrosła tabliczka z napisem „Na sprzedaż”. Postanawiam więc zajrzeć do każdego pokoju, żeby sprawdzić, czy nie znajdę gdzieś przedmiotów należących do Kitta. Niczego takiego nie widzę ani żadnych dowodów zdrady. Jestem bliska pójścia do łóżka z poczuciem ulgi: wszystko jest pod kontrolą. Do tego momentu skutecznie utrzymywałam pod powierzchnią świadomości pamięć o tym, czego się dopuściłam, ale oglądanie tych zdjęć na ekranie komputera to tak silny bodziec, że moja pamięć się ożywia i widzę. – Przerywam, by przełknąć ślinę. – Widzę scenę zbrodni tak wyraźnie, jakby rzeczywiście była tam, na tej stronie. Nie dociera do mnie, że jest to tylko projekcja umysłowa. Jestem przekonana, że zobaczyłam zwłoki na ekranie komputera.

Kitt teraz już otwarcie płacze.

– Mówię tylko, co według mnie myślisz – tłumaczę mu.

– Niech ja to dobrze zrozumieć – precyzuje Grint. – Zabija pani kobietę i wypiera swój czyn ze świadomości, więc przez większość czasu nie ma pani pojęcia, czego się dopuściła. I tylko w dwóch wypadkach dręczona poczuciem winy podświadomość dociera na powierzchnię: podczas programowania GPS-a i w trakcie zwiedzania domu na stronie internetowej.

– Tak podejrzewa Kitt, zgadza się – mówię.

Grint odsuwa się z krzesłem od stołu i odchyła na oparcie. Stuka podeszwą jednego buta w palce drugiego.

– Więc gdy ogląda pani zdjęcia domu przy Bentley Grove jedenaście, to na powierzchni chodzi pani o znalezienie dowodów na niewierność męża, a jednocześnie, nie zdając sobie z tego sprawy, szuka pani tak naprawdę ewentualnych śladów swojej własnej zbrodni.

Wymuszam uśmiech.

– Absurd, prawda?

– Kim zatem jest ta martwa kobieta? Dlaczego ją pani zamordowała?

– Nie zamordowałam jej. To Kitt tak myśli. Mam nadzieję, że wyjaśni mu pan, jak wielkim stekiem bzdur jest opisany przeze mnie scenariusz.

Grint stuka palcami w poręcz krzesła.

– Pourazowa utrata pamięci przydaje się autorom powieści, ale w prawdziwym życiu ani razu się z nią nie spotkałem – mówi po krótkim milczeniu. – Choć znałem kilku drani, którzy udawali, że byli nią dotknięci.

– A pan co sądzi? – pytam Sama.

– Powtarzasz wciąż, że tak uważa Kitt.

– Bo tak jest. Niech pan na niego spojrzy. Czy choć raz zaprzeczył? Choć trafniej byłoby powiedzieć, że chce, byśmy myśleli, że tak

uważa. A przede wszystkim ja mam to myśleć. Mam rację? Chcesz, żebym była przerażona utratą kontroli nad własnym umysłem. Mam się bać, że mogłam zamordować kobietę i zupełnie o wszystkim zapomnieć!

Kitt zakrywa twarz dłońmi.

– Czy ktoś może to przerwać?

– Sądzę, że powinniśmy. – Sam próbuje przyjść mu na ratunek, ale Grint unosi w górę palec, uciszając go. Czyli po jednej stronie Grint i ja, a po drugiej Sam i Kitt. Dwoje z nas gotowe jest usłyszeć najgorsze. Pozostała dwójka nie.

– Oczywiście Kitt będzie próbował was przekonać, że mam bardzo silną podświadomość – mówię z fałszywą lekkością w głosie.

Tak zwięźle jak tylko potrafię, lecz nie pomijając drastycznych szczegółów, opowiadam Grintowi o swoich wypadających włosach, o wymiotach, paraliżu twarzy i o tym, jak wszystkie te symptomy udaremniły naszą ucieczkę do Cambridge w dwa tysiące trzecim roku.

– Od tamtej pory nieustannie żałowałam, że się nie przeprowadziliśmy. Mam obsesję na punkcie Cambridge. W mojej głowie to miasto przybrało kształt pięknego, cywilizowanego raj, nieosiągalnego dla takich jak ja. Nawet bycie w tutejszym komisariacie. Nie powiem, że sprawia mi to przyjemność, ale wolę być podejrzewana o morderstwo tutaj niż gdziekolwiek indziej.

W duchu gratuluję sobie świetnego występu. Osoba, którą udaję, osłania mnie przed bólem, który w przeciwnym razie niechybnie bym

czuła. Jeśli Grint jest dobrym detektywem, to powinien umieć odróżnić szaleństwo od ekscentryczności i poczucia humoru.

– Uznam to za komplement – mówi.

– Cambridge jest dla mnie... czymś, co mi uciekło, o ile to ma jakiś sens. Kitt nazywa je moim „krajem, gdzie szczęście zostawiłam”. To cytat z wiersza.

– A.E. Housman – uśmiecha się Grint. – „Zabójczy wiatr prosto w serce/Z dawnego kraju dmie:/Cóż za niebieskie wzgórza widzę?/Cóż za iglice, skąd farmy te?/Widzę ten kraj wyraźnie dziś/ Tam szczęście zostawiłem/Drogi, co żem nimi dawniej biegł/Nie dla mnie się tamtędy wiją”.

Zaczynam się śmiać i nie mogę przestać.

– Connie. – Sam kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Co panią rozśmieszyło? – pyta Grint.

– Tylko w Cambridge gliniarze cytują poezję. Potwierdza pan moje przeświadczenia.

– Zamknij się wreszcie – warczy na mnie Kitt, patrząc mi w oczy po raz pierwszy, odkąd tu przyszliśmy – Robisz z siebie idiotkę.

Odwracam się do niego.

– Chcesz powiedzieć, że się boisz. Przejrzałam cię na wylot i za to mnie nienawidzisz. Spójrz na siebie, ledwo jesteś w stanie utrzymać pozory. Powiedziałaś tyle kłamstw, że opadasz z sił. Do twojej opowieści zakradają się drobne nieścisłości. Skoro to ja pojechałam

twoim samochodem na Bentley Grove, to za tylnym siedzeniem musi leżeć mój płaszcz, prawda? W takim razie czemu sugerujesz, że kolory się nie zgadzają?

– Pani Bowskill... – próbuje się wtrącić Grint.

Podnoszę głos, by mu to uniemożliwić. Pragnę tylko sprawić ból Kittowi, zadać mu jak najgłębszą ranę.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się mnie przekonać, iż cierpię na rozdwojenie jaźni? Że Podświadoma Ja popełniła morderstwo, o którym nie ma pojęcia Świadoma Ja? Co za kretynizm! Musisz mnie mieć za kompletną idiotkę! To ty powinieneś się spalić ze wstydu. Twoja teoria jest nie do obrony. Gdybym wyparła pamięć o zamordowaniu kobiety, to z pewnością wróciłaby do mnie teraz, gdy omawiamy tę ewentualność w najdrobniejszych szczegółach!

Grint wstaje z miejsca.

– Może powiem wam, po co was wezwaliśmy – mówi.

Słyszę długie westchnięcie. Nie wiem, czy wyszło od Sama czy Kitta.

– W sali przesłuchań numer jeden, piętro niżej, mam niejaką Jackie Napier. Czy to nazwisko coś wam mówi?

– Nie – odpowiadam, a Kitt kręci głową.

Może wzbudzenie w nim nienawiści jest najwłaściwszą drogą wyjścia. Gdy wreszcie przestanie się martwić możliwością zniszczenia mi życia, może wtedy powie mi prawdę.

– Jackie zalogowała się na stronę Wszystkiedomy prawie dokładnie w tym samym czasie, co pani, w nocy z piątku na sobotę.

Grint bacznie mi się przygląda, czekając na reakcję. Staram się przetrwać nową informację. Jeśli o mnie chodzi, w koszmarze występują tylko cztery osoby: ja, Kitt, Selina Gane i martwa kobieta. Nie ma w nim żadnej Jackie Napier.

– Otworzyła stronę z ofertą Bentley Grove jedenaście – ciągnie Grint. – Tak jak pani uruchomiła wirtualne zwiedzanie. Proszę zgadnąć, co zobaczyła.

Do gardła podchodzi mi żółć. Zaciskam usta, żeby nie wymiotować.

– Zobaczyła dokładnie to co ty, Connie – mówi Sam, z wyraźną ulgą w głosie, jakby od dłuższego czasu pragnął mi o tym powiedzieć.

– Jej opis zgadza się z pani opisem – potwierdza Grint. – Duża ilość krwi na dywanie, ciemnowłosa kobieta we wzorzystej sukience, leżąca twarzą do dołu, z rozwichrzonymi włosami dookoła głowy, jakby upadła. Ale wie pani, co mnie najbardziej uderzyło? Jackie Napier zeznała, podobnie jak pani, z tego co mówił mi Sam, że krew była najciemniejsza przy brzuchu kobiety.

Zamykam oczy i znowu to wszystko widzę.

– Powinniście byli od razu nam powiedzieć – mówię z trudem.

– Tak pani sądzi? – pyta Grint. – Mam inne zdanie. Gdybym powiedział o tym na samym początku rozmowy, mówiłbym obcym ludziom.



Co to ma znaczyć?

– Jackie powiedziała nam, że nie mogła znieść tego widoku. Poszła do kuchni, naląła sobie dużą porcję ginu z tonikiem. Rozważała zadzwonienie do swojej najlepszej przyjaciółki, ale nie chciała jej budzić. Dziesięć minut później, gdy się trochę uspokoiła, poszła zobaczyć raz jeszcze. Za drugim razem na zdjęciach nie było kobiecych zwłok.

– To znaczy. – Kitt siedzi z wyprostowanymi plecami. – Jeśli ta Jackie widziała to samo, co Connie.

– To jeszcze nie wszystko. – Grint podchodzi do okna i zaciska palce na siatce ochronnej. – Rozmawiałem z kimś w siedzibie Wszystkiedomy. Nie mają nic wspólnego z programem wirtualnego zwiedzania Bentley Grove jedenaście. To agent sprzedający dom dostarcza wszystkie zdjęcia, wymiary pokoi i tym podobne.

– Lorraine Turner – mówię, pamiętając jej nazwisko z opowieści Sama o poprzednich właścicielach, choince i plamie na dywanie.

– Zgadza się – uśmiecha się Grint. Sprawia wrażenie niepoprawnie zadowolonego. Mam nadzieję, że przyjemność sprawia mu jedynie władza, jaką ma nad nami, a nie wizja kobiety umierającej w wyniku rany brzucha. – Lorraine Turner jest agentką, która sprzedaje ten dom, lecz nie ma nic wspólnego ze stroną informatyczną. Ile wiecie o piractwie komputerowym?

– Kitt wie o komputerach wszystko – mówię.

– Nie jestem hakerem.

– Ale wie pan, na czym polega bycie hakerem. – Jest to nie tyle pytanie, ile stwierdzenie faktu. Grint zwraca się do mnie: – A pani?

– Nic a nic.

– Zatem daruję sobie techniczny żargon i opowiem prostymi słowami. Jeden z informatyków agencji Wszystkiedomy oddzwonił do mnie pół godziny przed waszym przyjściem i powiedział, że ktoś włamał się na ich stronę przed pierwszą w nocy w sobotę. Wygląda na to, że zamienił jedną aplikację wirtualnego zwiedzania na drugą, tę ze zdjęciem martwej kobiety.

– To się nie trzyma kupy – mówi Kitt. Jego twarz jest szara. – Gdy wszedłem na ich stronę, nie było tam żadnych zwłok ani żadnej krwi.

– O pierwszej dwadzieścia trzy haker włamał się ponownie – tłumaczy Grint. – I zainstalował oryginalny program.

– Ja patrzyłem wcześniej niż o pierwszej dwadzieścia trzy – twierdzi Kitt. – Pamiętam, bo spojrzałem na zegarek w komputerze i pomyślałem: Co ja wyprawiam o tej porze? Była dokładnie pierwsza dwadzieścia. W dodatku nie uruchamiałem programu na nowo, tylko oglądałem zapętloną projekcję. Więc dlaczego nie zobaczyłem tego, co ona?

Kitt rzuca spojrzenia na prawo i lewo, na nikim nie zatrzymując wzroku.

– To przecież oczywiste – mówię. – Wersja hakera była zaprogramowana w taki sposób, by zdjęcie martwej kobiety pojawiało się raz na dwadzieścia rund albo raz na pięćdziesiąt.

Czyżbym już wcześniej tego nie mówiła? Czemu Kitt postanowił o tym zapomnieć?

– Czy to możliwe? – pyta go Grint.

Dlatego, że Kitt jest tu ekspertem, czy dlatego, że według Grinta to on jest hakerem?

– Wszystko jest możliwe. – Kitt wzrusza ramionami i przeciągle wzdycha. – Przynajmniej to znaczy, że jestem poza podejrzeniem. Zastanów się nad tym, Connie. Gdzie byłem tuż przed pierwszą w nocy? W łóżku, obok ciebie. Czytałem książkę, ty spałaś. A raczej udawałaś, że śpisz – poprawia się. – Gdzie byłem o pierwszej dwadzieścia trzy? Z powrotem w łóżku. Obudzony, choć wolałbym spać. Zastanawiałem się, czy znieść twoją paranoję przez kolejne sześć miesięcy, czy spakować manatki i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

Kitt ma rację. Widzę, że Grint dostrzega wyraz zrezygnowania na mojej twarzy. Pewnie myśli, że potajemnie pragnę, by mój mąż był winny piractwa komputerowego albo bigamii.

Albo morderstwa.

Ale ja chcę tylko zrozumieć. Wiedzieć. W tym konkretnym momencie nie obchodzi mnie, jakie usłyszę wytłumaczenie, bylebym je usłyszała. Jeśli to nie Kitt włamał się na stronę agencji nieruchomości.

– Co robicie w tej sprawie? – pytam Grinta. – Czy wasi eksperci forensyki badają dywan? Przesłuchaliście Selinę Gane?

Grint puszcza moje pytania mimo uszu i wskazuje palcem na mnie,

a po chwili na Kitta. Z uniesionym kciukiem wygląda to tak, jakby do nas strzelał.

– Nigdzie się nie ruszajcie. Sam i ja porozmawiamy z Jackie Napier i wrócimy do was.

Sam zrywa się na równe nogi, jak na komendę. Zdaje się, że nie sądził, iż będzie potrzebny, ale na pewno nie zamierza się spierać. Pójdzie za swoim przywódcą.

Gdy tylko znikają za drzwiami, wstaję i kieruję się do wyjścia.

– Con, zaczekaj... – Kitt wyciąga dłoń.

– Nie – mówię mu. – Nie zaczekam. Czekałam już zbyt długo.

Wypadam z komisariatu, zaczynam biec. Głowa mi pęka, przepełniona krwią. Skręcam w jedną uliczkę, potem w następną i w następną. Chodnik przechyla się na bok. Mrugam energicznie i wdycham tyle powietrza, ile tylko się da. Nogi mi miękną, wydają się oderwane od reszty ciała. Opadam bezwładnie na chodnik, opieram plecami o ścianę budynku. Obok mnie przechodzi kobieta z dwoma małymi chłopcami na popychanych skuterach, które wyglądają jak dziwne, kanciaste psy. Jeden z chłopców mówi:

– Mamusiu, czemu ta pani siedzi na chodniku?

Pewnie sprawiam wrażenie obłąkanej, przyciskając torebkę do piersi, jakbym bała się, że ktoś mnie okradnie.

Gdy człowiek wie, że jest zagrożony, ale źródło zagrożenia pozostaje niejasne, strach przed wszystkimi jest zrozumiały. Najwyraźniej dobrze ułożona matka tych chłopców nie miała czasu, by

im to wytłumaczyć.

Odzyskawszy oddech, wyjmuję z torebki telefon i dzwonię do biura numerów, pytając o nazwy hoteli w Cambridge, które zaczynają się od litery D Sam powiedział mi wczoraj, że Selina Gane mieszka w hotelu. Pewnie jeszcze się nie wyprowadziła. Kiedyś chciała ze mną porozmawiać, lecz uciekłam. Może gdybym tego nie zrobiła, poznałabym prawdę już wtedy.

– Jest hotel Doubletree w Granta Place. O ten pani chodzi?

Możliwe.

– To jedyny hotel na literę D w centrum Cambridge.

– Proszę mnie połączyć – mówię.

Nie zastaniesz jej. Będzie w pracy Zostaję na linii. Nawet jeśli jej nie ma, to chcę wiedzieć, czy to właściwy hotel.

Dlaczego? Zamierzasz złożyć jej wizytę?

Słucham automatycznych instrukcji: 1 – spotkania i imprezy, 2 – rezerwacje grupowe, 3 – cennik i rezerwacje indywidualne, 4 – wskazówki dla kierowców i inne pytania. Wciskam 4 i łączę się z żywym człowiekiem, kobietą. Mówi z francuskim akcentem. Pytam ją, czy w hotelu zameldowała się doktor Selina Gane. Spodziewam się prostej odpowiedzi: tak lub nie.

– Już łączę – mówi recepcjonistka.

Serce zaczyna mi szybciej bić. Rozkazuję sobie: nie wolno ci zemdleć. Przed zerwaniem połączenia powstrzymuje mnie tylko

pewność, że Seliny Gane nie będzie w pokoju o wpół do czwartej we wtorek. Możliwe, że nagrała własne przywitanie w poczcie głosowej. Niektóre hotele mają taką ofertę. Czekam, zastanawiając się, czy usłyszę jej nagrany głos. Zastanawiam się, jak będzie brzmiało jej powitanie.

Proszę o zostawienie wiadomości po sygnale. Aha, i owszem: mam romans z pani mężem.

– Halo?

O kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa. Co teraz?

Przecież chciałaś z nią rozmawiać.

– Czy to Selina Gane?

– Tak.

Nie mogę. Nie mogę. Musisz.

– To ja. Connie Bowskill. Jestem tą osobą, która. – Przerywam. Co ja właściwie robię? – To ja jestem kobietą, która.

– Wiem, kim jesteś. Jak się dowiedziałaś, gdzie mieszkam? Skąd wzięłaś klucze do mojego domu?

– Nie mam.

– Zostaw mnie w spokoju! Jesteś chora! Nie wiem, co ci dolega ani jaką grę prowadzisz, ale nie chcę wiedzieć. Dzwonię na policję.

Słyszę kliknięcie i połączenie zostaje zerwane.

Zaczynam się trząść, czuję nagle przejmujący chłód na dnie

żołądka. Gdy próbuję opanować drgawki, trzęsę się jeszcze mocniej. W pierwszej chwili myślę o zatelefonowaniu do Sama, by skontaktować się z policją, zanim zrobi to Selina Gane, i powiedzieć, że to nieprawda, że wcale nie mam kluczy do jej domu, że nie mam pojęcia, o czym ona mówi. Nie jestem w stanie trzeźwo myśleć. Jeśli martwa kobieta była prawdziwa, to czy zostanę oskarżona o jej zamordowanie? Jak to możliwe, skoro niczego nie zrobiłam, i o niczym nie wiem? Może Selina Gane nie kłamie celowo, może po prostu się myli. Muszę wytłumaczyć.

Nie. Zastanów się, Connie. Jeśli zadzwonisz do Sama, on przekona cię, byś wróciła do komisariatu, do Grinta. A Grint nie zabierze cię tam, dokąd chcesz jechać.

Muszę dostać się do tego domu. To jedyny sposób. Oglądałam w kółko te zdjęcia i wciąż nie jestem w stanie przypomnieć sobie brakującego detalu, cienia usuwającego się poza pole widzenia, ilekroć próbuję się na nim skupić. Muszę znaleźć się tam osobiście i stanąć w salonie, bez względu na to, jak bardzo tego nie chcę i jak niedobrze mi się robi na samą myśl. Może wtedy znajdę brakujący kawałek układanki.

Żałuję, że nie mam kluczy do Bentley Grove 11. Wtedy nie musiałabym dzwonić do osoby, do której zaraz zadzwonię. Przez chwilę grzebię w torebce i wyciągam z niej stary paragon, na którym zanotowałam numer: 0843 315 6792. Widziałam go na ekranie komputera detektywa Grinta jakieś półtorej godziny temu. Zastanawiałam się wtedy, dlaczego wcześniej nie zauważyłam go na stronie Wszystkiedomy. Jest to numer kontaktowy dla oferty na

Bentley Grove 11. Gdy Grint, Sam i Kitt zajęci byli oglądaniem zamazanego zdjęcia czarnego samochodu, wyszłam do łazienki i zapisałam go sobie.

Wstukuję go w klawiaturę.

– Connie!

Kitt biegnie w moją stronę. Nie mam czasu, by przed nim uciec. Zwijam się w kłębek, owijam ręce wokół kolan i mocniej ściskam telefon. Nie powstrzyma mnie przed tym.

– Dzięki Bogu. Myślałem, że.

– Cicho.

– Do kogo dzwonisz?

– Powiedziałam „cicho”. – Odbierz, odbierz.

– Connie, do kogo dzwonisz?

– Do Lorraine Turner – mówię surowym tonem. – Ma dom na sprzedaż. Zamierzam umówić się na oglądanie.

Kitt przeklina pod nosem, kręcąc głową. Postanawiam słuchać tylko sygnału w telefonie. Jest przyjemniejszy dla ucha niż oburzenie mojego męża. Odbierz, proszę.

– Myślisz, że będą go pokazywać klientom? W salonie zamordowano kobietę, a policja nie kazała agencji wstrzymać oferty? Co się z tobą dzieje? Spójrz na siebie. Siedzisz skulona na chodniku jak. Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

Kitt ma rację. Nie przemyślałam tego. Grint musiał zabronić agencji



pokazywać kupcom domu przy Bentley Grove 11. W środku na pewno jest pełno policji.

– Nic nie wiesz – mówię do Kitta, wciąż przyciskając telefon do ucha. Nie poddam się, nie na jego oczach.

Sygnał milknie i słyszę kobiecy głos.

– Lasting damage?

Nie mogę wykrztusić słowa. Powietrze w mojej krtani zastygło jak bryła cementu.

– Lasting damage – powtarza kobieta, tym razem głośniej. Śpiewnie. Jakby mnie drażniła.

Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

Lasting damage. Lasting damage. Lasting damage.

Wydaję z siebie głuchy jęk i odrzucam telefon na jezdnię. Nie chcę go mieć przy sobie.

– Con? – Kitt kuca koło mnie. – Co się stało?

– Powiedziała. – Kręcę głową. To niemożliwe. A jednak. Usłyszałam to dwukrotnie. – Powiedziała: „Lasting damage”. Kobieta, która odebrała telefon. Dlaczego?

Widzę swoje zagubienie odbite w oczach Kitta, który patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc. Nagle bierze gwałtowny wdech i jego twarz momentalnie zmienia wyraz.

– Nie powiedziała „Lasting damage”, tylko „Lancing Damisz”. Tak się nazywa ta agencja.

Obejmuję się wokół zgiętych nóg i kołyszę w przód i w tył, w nadziei że to minie.

– Powiedziała „Lasting damage”. Wiem, co słyszałam.

– Connie. Connie! Lancing Damisz to nazwa agencji nieruchomości, która sprzedaje Bentley Grove jedenaście. W tej firmie pracuje Lorraine Turner. Lancing Damisz.

Lasting damage. Lancing Damisz. Nie jestem pewna, ile razy Kitt wypowiedział te słowa, zanim je usłyszałam.

– Skąd wiesz? Skąd wiesz, jak się nazywa ta agencja?

Kitt zamyka oczy i czeka kilka sekund.

– Nie mogę uwierzyć, że ty tego nie wiesz. Ich logo jest na stronie Wszystkiedomy, tuż nad adresem domu. Nie zauważyłaś? Gapiliśmy się na tę stronę przez pół godziny, z Samem i Grintem. Wszystkie litery drukowane, D wiszące na L. Nietypowa nazwa, dlatego zwróciła moją uwagę. Pomyślałem sobie, że muszą być nowi na rynku, bo w dwa tysiące trzecim nie było żadnego Lancing Damisz, gdy szukaliśmy domu.

D zwisające z L. Tak: granatowe litery. Nie zauważyłam nazwy, bo nie obchodziło mnie, która agencja sprzedaje Bentley Grove 11. Byłam zbyt zajęta szukaniem na zdjęciach swojego męża.

– Jesteś pewien? – pytam go.

Jak mogłam sama nie znać tej nazwy? Dzwoniłam już do ich agentki. W zeszły piątek, gdy zauważyłam przed domem tabliczkę z napisem „Na sprzedaż”. Spytałam wtedy, czy ktoś może mnie

natychmiast oprowadzić. Nikt nie był wolny.

– Zadzwoń jeszcze raz. – Kitt patrzy na mój roztrzaskany telefon i próbuje podać mi swój. – Nie wierz na słowo komuś, komu nie ufasz.

– Nie.

– Zadzwoń! – Wymachuje mi aparatem przed twarzą. – Udowodnij to sobie. Może wtedy zrozumiesz, że potrzebujesz pomocy. Prawdziwej pomocy lekarza, nie jakiejś tam homeopatki od siedmiu boleści, która wykorzystuje ludzką naiwność.

A co z tobą, Kitt? Rozumiem, że ty nie karmisz się ludzką naiwnością?

Wyszukuję znowu paragon z numerem telefonu i wstukuję go w klawiaturę. Na ekran telefonu skapują krople wody. Łzy. Wycieram je palcem.

Tym razem kobieta odbiera po pierwszym dzwonku.

– Lancing Damisz.

Ten sam głos, ta sama kobieta. Te same słowa. Jak mogłam je przekreślić? Oddaję aparat Kittowi, który czeka, aż przyznam się do błędu i przeproszę.

Jaki to ma sens? Jaki sens w tym, byśmy z Kitem cokolwiek sobie mówili, skoro żadnemu z nas nie można ufać?

# 14

**20/7/2010**

– To były tylko dwa dni – Jackie Napier odpowiedziała Samowi, patrząc na Iana Grinta. – Dwa dni to nie tak znowu długo. Zobaczyłam zwłoki w sobotę, a na policję zadzwoniłam w poniedziałek rano. Wyjaśniłam już dlaczego.

– Czy mógłbym usłyszeć to wyjaśnienie? – spytał Sam.

Jackie oderwała wzrok od Grinta, by rzucić Kombothekrze gniewne spojrzenie. Zdjęła jeden ze złotych kolczyków i grzebała nim teraz pod pomalowanymi na różowo paznokciami. Dziwne zachowanie jak na tak ułożoną kobietę, pomyślał Sam. Nieskazitelny wygląd zewnętrzny i to niesmaczne grzebanie pod paznokciami zdawały się wzajemnie sobie przeczyć. Makijaż Jackie wyglądał profesjonalnie, a jej krótkie, ciemne włosy ułożone były z podziwu godną precyzją. Sam nie mógł uwierzyć, że możliwe jest uzyskanie tak sztywnej, trójkątnej konstrukcji bez użycia rusztowania i dwuteownika.

Nie umiał też ocenić wieku Jackie, choć na ogół miał pod tym względem wprawne oko. Z powodzeniem mogła uchodzić za dwudziesto – lub czterdziestopięciolatkę. Miała krągłą, dziecięcą twarz, lecz odkryte nogi pokryte były wyraźną siatką niebieskich żył, jak u starszej kobiety. A może nie miało to nic wspólnego z wiekiem. Gdyby

była tu żona Sama, Kate, powiedziałyby: „Nie może odpowiadać za swoje nogi, ale za spódnicę owszem. Spodnie wymyślono nie bez powodu”. Albo coś w tym stylu. Kate działały na nerwy różne rzeczy, które Sama nie obchodziły w najmniejszym stopniu. Denerwowały ją źle dopasowane ubrania, publiczne zegary pokazujące niewłaściwą godzinę, domy z brązowymi ramami okiennymi i suszarki do rąk dmuchające gorącym powietrzem.

Sam odnosił wrażenie, że Jackie Napier czeka, aż Grint przejmie inicjatywę, niezadowolona z dominacji detektywa, który pojawił się niedawno i nie wiadomo skąd. Grint jednak postanowił oddać pałeczkę Kombothekrze i jak na razie nie brał udziału w przesłuchaniu. Siedział w rogu pokoju z nogami opartymi na kaloryferze. Sam uznał jego lekceważącą pozę uczniaka za niewłaściwą. Zdecydowanie wolałby, żeby Grint zdjął nogi z grzejnika, ale nie miał wątpliwości co do tego, kto tu rządzi. Gdziekolwiek się pojawię, okazuje się, że ktoś już stoi za sterami, pomyślał. Przejmował się tym jednak tylko pośrednio. Często się zastanawiał, czy nie powinien zachowywać się bardziej stanowczo, lecz zawsze dochodził w końcu do wniosku, że woli nie mieć władzy nad ludźmi. Za to bardzo by się cieszył, gdyby ci, którzy mają władzę, zachowywali się tak, jak on by się zachowywał na ich miejscu.

– Nie krytykuję pani – powiedział. – Przekazała nam pani dużo cennych informacji i zgadzam się, że dwa dni to nie tak dużo czasu.

– No właśnie. Bo niby co miałam zrobić? Zadzwoić na policję i powiedzieć: „Przepraszam, widziałam zwłoki na stronie internetowej, ale teraz już ich tam nie ma”? Kto może być pewien, że kiedykolwiek tam były? Nikt by mi nie uwierzył. Wyszłabym na kretynkę.

– A mimo to zadzwoniła pani na policję – zauważył Sam.

– Nie mogłam przecież tego tak zostawić. Może mi się to przywidziało, może nie było żadnych zwłok, jednak komuś trzeba powiedzieć. A jeśli wcale sobie tego nie wyobraziłam? Wciąż łamałam sobie nad tym głowę, aż mało nie zwariowałam. Pytałam wszystkich znajomych, co też było bez sensu, bo każdy udzielał mi innej rady. Jedni mówili: „Nie bądź głupia, nie mogłaś tego widzieć”, inni przekonywali, że muszę komuś powiedzieć. Większość tylko się śmiała. Ale mnie wcale nie było do śmiechu – powiedziała oburzonym tonem, jakby. Sam też należał do tej ostatniej grupy jej znajomych. – W poniedziałek rano obudziłam się i pomyślałam, że oszaleję, jeśli nie zrzucę z siebie tego ciężaru. To nie należy do moich obowiązków. Nikt mi nie płaci za przejmowanie się ofiarami morderstw. Więc zadzwoniłam na policję.

– Postąpiła pani słusznie – powiedział Sam.

Jackie przytaknęła.

– Mogę panu przysiąc: nie przywidziały mi się te zwłoki. To nie w moim stylu, ja nie mam bujnej wyobraźni. Wie pan, o czym mówię?

Sam wiedział. Jackie Napier i Connie Bowskill były jak noc i dzień, okupowały przeciwległe krańce skali. A między nimi, na samym środku, leżała martwa kobieta w kałuży krwi.

– Dwie rzeczy à propos mojej osoby – Jackie wyliczała je na palcach. – Po pierwsze, jestem skrajnie lojalna. Jeśli gramy w jednej drużynie, to już do końca. Po drugie, żyję w prawdziwym świecie, nie w krainie fantazji. Nie zawracam sobie głowy pomysłami na życie, nie

oszukuję samej siebie, nie udaję, że jest lepiej, niż jest. Wolę rzeczy takimi, jakie są.

Czy chciała powiedzieć, że nie stawia sobie wygórowanych ambicji? Sam nie był pewien, jak rozumieć jej słowa. Chodziło jej o szalone, niekonwencjonalne pomysły czy o pomysły w ogóle? On właśnie na jeden taki pomysł wpadł: może powinien ozdobić swoje wady odrobiną samochwalstwa na opak? Wyobraził sobie, jak staje przed Proustem i mówi: „Dwie rzeczy à propos mojej osoby, panie inspektorze: po pierwsze, kiedy to tylko możliwe, unikam konfrontacji, a moi podwładni grają mi na nosie”. Dobrze pomyślane. Mniej więcej tak samo dobrze, jak poświęcenie całego dzisiejszego dnia na pomoc detektywowi Grintowi w jego może rzeczywistym, a może nierzeczywistym morderstwie. Jakby nie miał własnych spraw do rozwikłania.

– O której godzinie zobaczyła pani martwą kobietę na stronie Wszystkiedomy? – zapytał Jackie.

– Mówiłam już detektywowi Grintowi: około pierwszej piętnaście, pierwszej dwadzieścia.

A Grint mógł powiedzieć Samowi, ale Sam uznał, że dobrze się stało, skoro zabrął już tak daleko w swoim przesłuchaniu, skoro Jackie wreszcie patrzyła mu w oczy zamiast wykrzywiać twarz po każdym jego słowie. Wcześniej, gdy poprosił Grinta o sprawozdanie z rozmowy z Jackie Napier, Grint tylko zachichotał i odparł: „Za dużo by gadać. Szkoda czasu”. Sam wszedł do pokoju przesłuchań, wiedząc tylko, jak Jackie się nazywa i że widziała to samo co Connie Bowskill.

Dzięki temu oceniał ją bezpośrednio, nie kierując się wnioskami, które Grint mógł sformułować na podstawie swoich wcześniejszych rozmów.

Grint miał rację: taki sposób działania był lepszy. Sam nie dawał się nabrać na jego nonszalancję. Grinta obchodziły znikające zwłoki kobiety na Bentley Grove 11. Będąc w obecności kogoś, kto jest głęboko czymś pochłonięty, nie tylko na poziomie zawodowym, wyczuwa się to zaangażowanie w każdym jego słowie i geście. Sam miał to wrażenie, gdy był blisko Grinta – jakby w powietrzu, w ścianach i w meblach pulsowała adrenalina – i doskonale wiedział, kto jest źródłem tej energii. Grint przypominał mu Simona Waterhousea. Sam gotów był się założyć, że ci dwaj nie przypadliby sobie do gustu.

– Często używa pani internetu o tej porze? – spytał.

– Nie, skąd. Ja chodzę spać o dziewiątej. Ale byłam rozregulowana po podróży samolotem. W zeszły czwartek wróciłam z wakacji. Po długich lotach dochodzę do siebie przez kilka dni.

– Gdzie była pani na wakacjach?

– Matakana w Nowej Zelandii. Założę się, że nigdy pan nie słyszał o tym miejscu.

Przegrałaby zakład, lecz Sam udawał, że nie wie, o czym mowa. Domyślał się, że oświecenie go sprawi Jackie Napier niemałą przyjemność.

– Moja siostra tam mieszka. Bardzo ładne miasteczko. Ona prowadzi w nim kawiarnię. A tak naprawdę galerię sztuki, ale z kawą i ciastkami. To taki lokal, który sam nie wie, czym jest. Trochę szkoda,



bo gdyby wiedział, zarabiałby więcej pieniędzy. Zawsze mówię: świetne miejsce na urlop ta Matakana, jednak mieszkać bym tam nie chciała.

Sam był ciekaw, ile razy Jackie mówiła to w obecności siostry, korzystając jednocześnie z jej gościnności.

– Czy mogę wiedzieć, czym się pani zajmuje na co dzień?

Jackie machnęła ręką w kierunku Grinta.

– Czy on cokolwiek panu przekazał?

– Ważne jest, bym usłyszał to wszystko z pani ust – powiedział Sam.

– Jestem agentką nieruchomości. Pracuję w Lancing Damisz. To my sprzedajemy ten dom, w którym były zwłoki: Bentley Grove jedenaście. Niby po co miałabym zwiedzać stronę internetową Wszystkiedomy? – Jackie zmarszczyła brwi. – Czy jest pan jedną z tych osób, które nienawidzą agentów nieruchomości?

– Nie. – Sam usłyszał szuranie i odwrócił głowę.

Grint wybrał właśnie ten moment, by przestawić nieco swoje krzesło. Agentka nieruchomości. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał, i Grint doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Tłumaczyło to jego ledwie widoczny uśmiezek.

– Gdy w zeszły piątek nie mogłam zasnąć, postanowiłam sprawdzić, czy pod moją nieobecność pojawiły się na rynku jakieś nowe oferty – powiedziała Jackie. – O Bentley Grove jedenaście już wiedziałam. Wiedziałam, że ta lekarka go sprzedaje, doktor Gane.

Sama bym się zajęła tym domem, lecz niedługo miałam wylecieć na urlop, więc przekazałam sprawę Lorraine, swojej koleżance. Lorraine Turner.

– Przepraszam. – Sam miał wrażenie, że nie nadąża. – Proszę wybaczyć, ale muszę panią prosić o sprecyzowanie jednej rzeczy. Twierdzi pani, że weszła na stronę Wszystkiedomy, żeby zobaczyć, jakie oferty pojawiły się na rynku, podczas gdy pani była za granicą.

– Zgadza się. I żeby sprawdzić, co się sprzedawało, a co jest w trakcie licytacji. Podejrzeć, co u konkurencji, zobaczyć, czy aby nie sprzedali więcej od nas. Rynek nieruchomości w Cambridge jest silny. Kryzys nie dotknął nas tak mocno jak innych, a teraz jest już prawdziwe ożywienie. Każdy dom albo mieszkanie w centrum miasta, które kosztuje mniej niż sześćset tysięcy, znika z rynku w kilka dni, chyba że wymaga ogromnych nakładów albo stoi przy ruchliwej ulicy. Podaż i po.

– Przepraszam, zatrzymam panią w tym miejscu. – Sam uśmiechnął się, by wynagrodzić Jackie przerwanie jej wywodu. – Krótko mówiąc, chciała pani nadrobić zaległości przed powrotem do pracy.

– Tak. Bo widzi pan, ja uwielbiam swoją pracę. Dla mnie to bardziej powołanie niż kariera. Gdy wyjeżdżam, tęsknię za agencją. Nie chciałabym pracować nigdzie indziej. Z ręką na sercu.

– Przy okazji odpowiedziała pani chyba na pytanie, które zamierzałem zadać. – Pytanie, które zadałbym już jakiś czas temu, gdybyś tylko trochę mniej uwielbiała słuchać samej siebie. – Po co

uruchomiła pani wirtualne zwiedzanie domu przy Bentley Grove jedenaście? Domyślam się, że chciała pani zobaczyć, jak jest urządzone, żeby móc stwierdzić, czy prawidłowo go wyceniono? – Sam odpowiedział na własne pytanie, próbując sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby sprzedawanie domów było też jego największą pasją życiową.

– Zgadza się – przyznała entuzjastycznie Jackie. – Dokładnie tak. Ale widziałam wewnątrz domu doktor Gane już wcześniej, dwukrotnie. Uruchomiłam aplikację, żeby sprawdzić, czy się wyprowadziła, jak zapowiadała. Zwykła ciekawość, nic więcej. Powiedziała mi, że po tym, co się stało, nie będzie mogła dłużej mieszkać w tym domu. Że będzie musiała przeprowadzić się do hotelu. Mówiłam jej, że ją to zrujnuje, bo nie wiadomo, kiedy sprzeda swój dom i kupi nowy. Nie posłuchała mnie. Widziałam to po zdjęciach domu. Większość sprzętów została na swoim miejscu, ale w łazience nie było szczoteczki i pasty do zębów ani papieru toaletowego, a w sypialni żadnej książki. – Jackie dotknęła swojego nosa. – Mam niezły instynkt, jeśli chodzi o domy i mieszkających w nich ludzi.

A jeśli chodzi o ludzi, którzy w nich giną?

– Pamiętam, że pomyślałam sobie: Dopiero co się wyprowadziła. Bóg wie, ile wyda na ten hotel. Niemądra kobieta! I wtedy wyświetliło się zdjęcie salonu i zobaczyłam leżącą w nim kobietę, tyle krwi. – Jackie się wzdrygnęła. – Nie był to przyjemny widok.

– Powiedziała pani: „Po tym, co się stało”. Niech pani zacznie od początku. – Sam czuł na sobie wzrok Grinta.

Jackie zaśmiała się pogardliwie.

– Z tym będzie problem. Jak już mówiłam detektywowi Grintowi, nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, więc niby skąd mam wiedzieć, gdzie jest początek?

Najwyraźniej znudzona grzebaniem pod paznokciami, wcisnęła kolczyk z powrotem do ucha.

– Może pani zacząć od telefonu z trzydziestego czerwca – odpowiedział jej Grint.

Gdyby Sam był innym człowiekiem, na przykład Gilesem Proustem, spojrzalby w tym momencie na Grinta i powiedział: Detektywie! Jak miło, że mógł pan do nas dołączyć.

Jackie ciężko westchnęła.

– Byłam w pracy. Odebrałam telefon – recytowała znudzonym głosem. – Dzwoniła kobieta. Powiedziała, że nazywa się Selina Gane, doktor Selina Gane. Specjalnie to podkreśliła. Zazwyczaj ludzie nie podają nam na samym wstępie swoich tytułów naukowych, to my na ogół pytamy. Gdyby to pan zadzwonił i powiedział, że nazywa się Sam. – Jackie zmarszczyła nos. – Jak nazwisko? Bo zapomniałam.

– Kombothekra.

– No więc gdyby powiedział pan, że nazywa się Sam Kombothekra, to my zapytalibyśmy: „Pan, doktor czy profesor Kombothekra?”. Albo gdyby był pan kobietą, pytanie brzmiałoby: „Pani, panna, doktor czy profesor?”. Wolałabym nie pytać o takie rzeczy, lecz szefostwo nam każe. Tradycyjny wizerunek i te rzeczy. Wkurza mnie to i uważam to

za przeżytek, jak większość moich koleżanek w agencji. Ale Cambridge to Cambridge. Wielu ludzi tutaj nie zdaje sobie jeszcze sprawy, że świat się zmienia, czy tego chcą czy nie.

– Telefon – zaintonował Grint z drugiego końca pokoju. – Trzydziesty czerwca.

– Tak, zadzwoniła do mnie doktor Selina Gane. Chciała wystawić na sprzedaż dom przy Bentley Grove jedenaście, więc umówiłam się z nią na spotkanie jeszcze tego samego dnia. Wydała mi się sympatyczna, nic nie wywołało mojej podejrzliwości.

Rozejrzałam się, zrobiłam pomiary, omówiliśmy kwestię prowizji, marketingu i ustaliłyśmy cenę wywoławczą. Zrobiłam kilka zdjęć do broszury.

– Pani je zrobiła? – zapytał Sam. – Gdy rozmawiałem z Lorraine Turner, twierdziła, że to ona przygotowała dokumentację.

– Tak. Bo ja swoje fotki usunęłam – odparła Jackie takim tonem, jakby to było oczywiste.

– Lorraine zrobiła zdjęcia, które trafiły do broszury i na stronę internetową – rzucił Grint. – Ale to wszystko później. Śmiało, Jackie.

– Kobieta, która przedstawiła się jako Selina Gane, obiecała wpaść do biura następnego dnia, żeby sprawdzić szkic opisu do broszury. Tak też zrobiła. Wprowadziła kilka zmian, a ja jej podziękowałam i powiedziałam, że prześlę jej kopię pocztą. Ona na to, żebym nie zawracała sobie głowy, że tego nie potrzebuje. Dała mi zapasowy klucz i poleciła, bym zapraszała chętnych na oglądanie domu, kiedy

tylko będę chciała. Powiedziała, że wyjeżdża. Obiecałam, że przez grzeczność będę ją uprzedzała o wizytach, ale zapewniła mnie, że to niepotrzebne.

Sam miał trudności ze skupieniem. Przeczuwał, że nadchodzi coś, czego za wszystkie skarby świata nie umiałby się domyślić. Czy Simon wiedziałby, dokąd zmierza historia Jackie, gdyby tu był? Czy miałby już swoją teorię? Sam zmuszał się do koncentracji na każdym słowie i świadomość tego wysiłku przeszkadzała mu w słuchaniu. Nachalna obecność Grinta na drugim planie też mu nie pomagała.

– Zanim skończyliśmy drukowanie broszur, zdążyłam się skontaktować z kilkoma potencjalnymi kupcami – ciągnęła Jackie. – Dzwoniłam do wszystkich, którzy mogli być zainteresowani. Nie do wykładowców uniwersyteckich, bo ci zawsze chcą zabytkowe budynki z oryginalnym wyposażeniem, a przy Bentley Grove takich domów nie ma. Na szczęście naukowcy i lekarze myślą inaczej. Ich interesuje tylko metraż i duże ogrody. Jedna rodzina, Frenchowie, prawie mnie błagała, żebym ich oprowadziła. Szczerze mówiąc, do nich zadzwoniłam w pierwszej kolejności. Wiedziałam, że są idealni do tego domu.

Dziwne podejście, pomyślał Sam. Czy to nie dom powinien być odpowiedni dla ludzi?

– Gdy zjawiłam się na Bentley Grove jedenaście z Frenchami, otworzyłam drzwi i natknęłam się na kobietę, której nigdy wcześniej nie widziałam. To znaczy widziałam ją na zdjęciu. W paszporcie. Była przerażona, jakby myślała, że chcę ją zaatakować albo co. Spytała,

kim jestem, co robię w jej domu i skąd mam klucze. Zbielała na twarzy. Przysięgam, myślałam, że zemdleje. Spytałam ją, kim ona jest, a ona na to, że nazywa się Selina Gane. Teraz już wiem, że to rzeczywiście była Selina Gane, ale nie była tą kobietą, którą wówczas znałam pod tym nazwiskiem. – Jackie poklepała się po karku, jakby chciała podkreślić własną tożsamość. – Nie miała pojęcia, o co mi chodzi. Jakaś kobieta najzwyczajniej w świecie wystawiła jej dom na sprzedaż, nic jej o tym nie mówiąc.

Charlie robiła zdjęcia. Ile tylko mogła i bez ograniczeń co do obiektów. Fotografowała basen ze wszystkich stron, swoje ulubione drzewa i krzewy w ogrodzie, sypialnię. Zwaną również komnatą jednego bzyknięcia. Zeszłego wieczoru objął ją ramieniem – w typowy dla siebie, sztywny i niezręcznie zapraszający sposób – ale Charlie była zbyt przejęta romansem Olivii z Gibbem, a potem dodatkowo wściekła na Simona za to, że jej odmowa kompletnie go nie ruszyła.

Zrobiła po jednym zdjęciu każdej z pustych sypialni, z których nie korzystali, kilka fotek salonu, kuchni, jadalni i wszystkich tarasów. Ależ jej się tu podobało. Jak można uwielbiać miejsce, w którym jest się wciąż nieszczęśliwym? Tak samo jak możliwe jest kochanie człowieka, który nie daje nam szczęścia, pomyślała.

Co prawda niechętnie, ale na jednym ze zdjęć uwieczniła tę przeklętą górę, która swoją twarz pokazywała tylko Simonowi. Dziś rano Charlie zagadnęła o nią Dominga. On też nie dostrzegł na jej zboczu żadnej twarzy. Z jego wyraźnego zdziwienia wywnioskowała, że żaden inny gość o to nie pytał. Po raz kolejny Simon okazał się wyjątkowy. Charlie wciąż jednak nie wykluczała możliwości, iż tylko

udawał, że widzi tę twarz, a w istocie przeprowadzał jedynie kolejny ze swoich pokrętnych eksperymentów myślowych.

Czy powinna zrobić zdjęcie drewnianego domku Dominga? Oczywiście, czemu nie? Dla pełnej kolekcji powinna mieć jedną fotkę jego kwatery. Jeśli jeszcze kiedykolwiek odezwie się do swojej siostry, pokaże jej to zdjęcie i powie: „Tutaj byłam, gdy mi powiedziałaś, że pieprzysz się z Gibbem”.

Zbliżając się do celu, usłyszała głos Simona. Rozmawiał z Samem od godziny. Wiedziała już, że będą musieli dołożyć się do rachunku za telefon. Charlie nasłuchiwała, stojąc przy otwartych drzwiach: coś o stronie internetowej z ofertami rynku nieruchomości. I morderstwo albo zgon. Wszystko to w związku z Connie Bowskill. Charlie słyszała jej nazwisko kilka razy na początku rozmowy, zanim jeszcze porzuciła nadzieję na zrozumienie jej treści i poszła poszukać swojego aparatu.

Sfotografowała chatę Dominga z każdej strony. Zaglądając do ciemnego, dusznego pokoju pachnącego wodą kolońską, Charlie odepchnęła Simona na bok, żeby przez otwarte drzwi zrobić zdjęcie fotela wiklinowego i kraciastej narzuty.

To tutaj siedziałam, gdy zrujnowałaś mi miesiąc miodowy, samolubna suko.

– Postaram się później skontaktować z Samem – powiedział Simon. – Będę musiał pojechać do Puerto Banus i znaleźć tam inny telefon. Tutaj jestem pod presją, bo dzwonię z domku dozorczy i nie mogę się skupić. Co? Nie, nie ma innego pokoju. Tylko ten i kibel. Dopóki rozmawiam przez telefon, facet musi stać na zewnątrz.



Skontaktować się później z Samem? Simon powiedział Charlie, że idzie porozmawiać właśnie z nim. Czyżby później zadzwonił jeszcze do kogoś innego? Do Prousta? Nie, w jego głosie nie było śladu stężonej nienawiści, więc to nie mógł być Mroźny. W takim razie Colin Sellers, nikt inny.

Simon wycedził coś na pożegnanie, ale nie odłożył słuchawki od razu. Charlie zrobiła mu zdjęcie, jak stuka nią o podbródek, mamrocząc coś bezgłośnie pod nosem – niechybny znak, że wszedł na wysoki poziom obsesji i za chwilę przebije się przez kraniec skali.

– Uśmiechnij się, świrze – powiedziała.

– Myślałem, że będziesz robić zdjęcia dopiero przed samym wyjazdem.

Charlie się zaśmiała.

– A myślisz, że to nie jest nasz ostatni dzień? Nie oszukuj się.

Simon zabrał jej aparat.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że chcesz wracać do domu.

– Nieprawda.

– Za kilka godzin przyznasz to przed samym sobą, a po kilku kolejnych zbierzesz się na odwagę, by powiedzieć mi, że jedziemy.

– Gówno prawda. Nigdzie nie jedziemy.

– Sellers powiedział ci coś o martwej kobiecie. Chcesz być tam, gdzie jest akcja. A raczej stężenie pośmiertne.

– Chcę być tutaj. Z tobą.

Charlie nie mogła pozwolić, by jego zapewnienia przebiły się przez ścianę głębokiej urazy. Za bardzo by ją to bolało, gdyby teraz mu uwierzyła, a później się zawiodła.

– Dlaczego nie chcesz wracać do domu? – spytała gniewnie. – Twoja przyjaciółka, Connie, była świadkiem morderstwa i chce ci o tym opowiedzieć. Cóż za zbieg okoliczności, że znalazła zwłoki. Czy martwa kobieta nie była aby kochanką jej męża?

– Nikt nic nie wie – westchnął Simon. – A już ty najmniej ze wszystkich. Connie Bowskill widziała na stronie internetowej Wszystkiedomy martwą kobietę leżącą na zakrwawionym dywanie. Na jednym ze zdjęć z wnętrza domu przy Bentley Grove jedenaście. Tego samego, który jej mąż miał zaprogramowany w GPS-ie jako „dom”.

Charlie gapiła się na niego z niedowierzaniem.

– Mówisz serio, prawda? Ty naprawdę mówisz serio.

– Piątek w nocy, wtedy to się stało.

– Simon, Wszystkiedomy to strona z ofertami rynku nieruchomości – sylabizowała Charlie, jakby rozmawiała z dzieckiem albo debilem. – Nie ma tam żadnych zwłok, tylko domy na sprzedaż.

I na wynajem, nie zapominajmy o tym. Mieszkania, jedno – i dwupoziomowe. Bez martwych kobiet. Czy Sellers. – Charlie przerwała, kręcąc głową. – Wkręcacie mnie, tak? Pewnie przygotowywaliście to od miesiący.

– Nie rozmawiałem z Sellersem, tylko z Gibbsem.

Z Gibbsem. Charlie poczuła się, jakby niewidzialna dłoń zaciskała się na jej szyi, by powstrzymać ją przed mówieniem. Ale może to i dobrze. Dobrze, że jej mądre ciało uruchomiło system zapobiegający dzikiemu krzykowi przez cały czas trwania miesiąca miodowego.

To Chris Gibbs cztery lata temu wypowiedział słowa, które zatrzymały życie Charlie w miejscu. On i tylko on widział wyraz jej twarzy, gdy zrozumiała, co zrobiła, a jej życie zaczęło się pruć na oczach świata, w biały dzień i to w budynku policji. Może Gibbsa wcale to nie obeszło, może nie wiedział, że jest świadkiem ostatecznej destrukcji tego, co dla Charlie było absolutnie najcenniejsze: jej poczucia, że jest osobą mającą jakąkolwiek wartość. Gibbs w niczym nie zawinił. Przekazał jej tylko informację, o którą go poprosiła, a którą dla niej zdobył. Na racjonalnym poziomie zdawała sobie sprawę, że nie zrobił nic złego, ale i tak miała mu to za złe. Zajmował miejsce w pierwszym rzędzie, gdy rozgrywała się scena jej całkowitego upokorzenia.

– Mówiłeś, że idziesz zadzwonić do Sama.

– Miał wyłączony telefon. – Simon nachylił się, żeby zobaczyć twarz Charlie. – Co? Nie rób takiej miny. Nie powiedziałem ani słowa o Olivii. Słyszałaś naszą rozmowę. Dotyczyła wyłącznie Connie Bowskill. Gibbs i ja nie prowadzimy osobistych rozmów.

Żaden człowiek na świecie nie prowadzi z tobą osobistych rozmów.

– Przez godzinę gawędzisz sobie z Gibbsem o zmyślonych zwłokach na stronie internetowej, ale ani słowem nie zająkniesz się o tym, że on i ta zdrajczyni, moja siostra, zniszczyli nam miesiąc

miodowy?

Simon odłożył wreszcie telefon Dominga.

– Niczego nie są w stanie zniszczyć – powiedział. – Co najwyżej własne związki, a to już ich sprawa.

– Zmieniłeś śpiewkę! Jeszcze wczoraj mówiłeś, że zawsze już będziesz wspominał nasz ślub jako dzień, w którym.

– Nie, to ty to powiedziałaś. I wmówiłaś mi, że ja czuję się tak samo: zawiedziony i wplątany.

– A nie czujesz tego? To był nasz ślub! Nie mieli prawa zamieniać tego dnia w cokolwiek innego.

Simon odepchnął Charlie i wyszedł na słońce.

– Wszystko, co nasze, zniszczyć możemy tylko my. Jeżeli chcesz ocalić nasz miesiąc miodowy, to przestań mówić o wsześniejszym powrocie do domu.

– To. Mieszasz dwie rzeczy, które nie mają ze sobą nic wspólnego!

– Tak sądzisz?

Simon odepchnął zwisającą gałąź drzewa, obsypując Charlie płatkami pomarańczy. Odgarnęła je z twarzy.

– Wczoraj powiedziałeś, że straciłeś dla obojga cały szacunek.

– Biegła, by dotrzymać mu kroku. – Kłamałeś? Już im wybaczyłeś?

– Nie do mnie należy wybaczenie albo niewybaczenie. Owszem, myślę o nich trochę gorzej. Gibbs ma żonę, Liv jest zaręczona. Nie

powinni byli tego robić.

– Słyszałam, jak z nim rozmawiałeś. Nie sprawiałeś wrażenia kogoś, kto gorzej o nim myśli. Byłeś taki jak zawsze.

– A czy on musi wiedzieć, co ja myślę? – Simon usiadł na schodkach basenu i włożył nagie stopy do wody. – Nie znaczy, że tego nie myślę.

Charlie zacisnęła mocno powieki. Nie miała żadnego wpływu na sytuację. Relacja Simona i Gibbsa nie ulegnie zmianie. Będą rozmawiać o pracy, obgadując Prousta, pijąc razem w Brązowej Krowie. A czego ona się spodziewała? Że Simon stanie w obronie zasad? Że nie będzie się odzywał do Gibbsa, dopóki ten nie przeprosi Charlie i nie obieca, że niezwłocznie zerwie z Olivią?

Jak wszyscy gliniarze w Spilling Gibbs wiedział, co się wydarzyło na czterdziestych urodzinach Sellersa. Wiedział, że ona i Simon byli razem w sypialni, że Simon zmienił zdanie i uciekł, zostawiając szeroko otwarte drzwi i Charlie leżącą nago na podłodze. Stacey, żona Sellersa, stała nieopodal z trójką znajomych i wszystko widziała. W pracy Charlie zbywała śmiechem wszelkie uwagi na temat tego incydentu i nie wspomniała o nim nikomu poza komisariatem. Olivia nic o nim nie wiedziała. Na razie.

– Nie uznaję odpowiedzialności zbiorowej – powiedział Simon.

– To Gibbs zdradza Debbie. Znał Olivię od dawna. Ile razy byli z nami w Brązowej Krowie bez Debbie i tego palanta Lunda? Mogli to zrobić znacznie wcześniej, wcale nie potrzebowali naszego ślubu.

– A jeśli Debbie dowie się, że o wszystkim wiedzieliśmy i jej nie powiedzieliśmy?

Simon podniósł wzrok, dłonią osłaniając oczy przed słońcem.

– A niby czemu mielibyśmy jej mówić? To nie nasza sprawa.

Przypominało to próbę wyjaśnienia ziemskich realiów przybyszowi z kosmosu. Charlie wzięła głęboki wdech.

– Liv jest moją siostrą. Jeśli ich romans się wyda, wszyscy będą myśleć, że jestem po jej stronie.

– To wtedy powiesz im to, co powiedziałaś mnie: że nie chcesz więcej widzieć tej tłustej, zdradliwej suki.

– Ja tak powiedziałam?

– Mnie przekonałaś – odparł Simon. – Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek ci nie uwierzył.

Charlie wcale nie chciała, by przypominał jej, co mówiła o siostrze. Ale czyja to była wina? Czy ktoś ją do tego zmuszał?

– Debbie jest powszechnie lubiana – martwiła się na głos. – Wszystkie jej przyjaciółki są żonami policjantów: żona Meakina, Zlosnika, Eda Butlera. Debbie jest centralnym punktem tej... siatki. Razem z Lizzie Proust chodzą na wodny fitness w Waterfront. Gdyby to była Stacey Sellers, nie przejmowałabym się tak bardzo. Ją wszyscy mają za sukę. Poza tym nie poddaje się zapłodnieniu in vitro i nie poroniła tragicznie tysiąc razy. Widziałeś tę kartkę z życzeniami, która krążyła, gdy Debbie pierwszy raz... wstrzykiwali hormony?

Simon przytaknął.

– Ledwo zmieściłem swój podpis, tyle ich było – powiedział.

Charlie objęła się rękoma, czując dreszcz.

– Wszyscy w pracy mnie znienawidzą. Już raz przez to przeszłam.

– Jediną osobą, która nienawidziła cię przed czterema laty, byłaś ty sama.

– Dobrze pamiętam, jakie wsparcie otrzymałam od brukowców – odparła gorzko Charlie. – Drugi raz tego nie zniosę. Nie zniosę bycia czarnym charakterem, który wszyscy pokazują sobie palcami.

– Charlie, tablety mają gdzieś Debbie i jej zabiegi in vitro.

– A co, jeśli Debbie się dowie, rzuci Gibbsa i Olivia zostanie nową panią Gibbs? Pani Zailer-Gibbs, jej wymarzone, dwuczłonowe, pretensjonalne.

– Tylko się nakręcasz bez powodu.

– Wychodząc z pracy, będę się natykała na parking na Olivie czekającą, aż Gibbs skończy swoją zmianę. Nie będzie przed nią ucieczki. Może się nawet przeprowadzić do Spilling. – Charlie aż się wzdrygnęła. – Myślisz, że nie myślała już o tym wszystkim? Uwierz mi, numer z Gibbsem był przemyślany.

– Mam nadzieję – odparł Simon. – Nieumyślne bzyknięcie Gibbsa mogłoby się okazać zbytnią traumą.

– Ona zawsze wolała mój świat od swojego. Kręciła się przy linii bocznej, czekając, aż ją zaproszę do gry. Zobaczyła szansę i z niej

skorzystała. Wreszcie jest w drużynie. Teraz musi tylko wyeliminować Debbie. Mnie już nie potrzebuje.

Cisza.

– Powiedz coś! – warknęła.

Simon gapił się w wodę.

Charlie zastanawiała się nad jego ostatnim zdaniem. Nigdy wcześniej nie mówił o „bzykaniu”. Nigdy.

– Simon?

– Przepraszam. Co?

– Nie słuchasz mnie.

– Wiem, co mnie ominęło: monolog osoby uzależnionej od cierpienia. Osoby, która nie spocznie, póki nie znajdzie sobie powodu, by mieć parszywy nastrój i by zepsuć humor innym.

Charlie spróbowała wepchnąć go do basenu, ale Simon chwycił ją za nadgarstek. Poddała się, był od niej dużo silniejszy. Kilka sekund później, jak gdyby nigdy nic, usiadła obok niego na schodkach.

– Nie słuchasz, bo myślisz o trzepniętej Connie Bowskill, o jej głupim GPS-ie i zwłokach w salonie – powiedziała. – Równie dobrze mógłbyś teraz być w Spilling.

– Mam teorię.

Charlie zawyła.

– Nie o Connie Bowskill, o tobie. To ty chcesz wrócić do domu, nie



ja. Chcesz, żeby Liv dowiedziała się od twoich rodziców, że po czterech dniach spakowaliśmy manatki. Symbolika takiej sytuacji będzie oczywista: jednego dnia Liv do ciebie dzwoni, a następnego podróż poślubna się kończy. Nie ma miejsca na dwuznaczność. Romantyczny sen rozbity w drobny mak, dramat dla mas.

– Oj, już przymknij się!

– A dla siostry poczucie winy do grobowej deski.

– Mogę cię o coś spytać? – Głos Charlie nabrał szorstkości. – Czemu się ze mną ożeniłeś, skoro uważasz mnie za taką sukę?

Simon wyglądał na zaskoczonego.

– Wcale nie – powiedział. – Jesteś człowiekiem. Wszyscy mamy czarne myśli i wszyscy robimy głupie rzeczy.

Charlie czekała, aż Simon powie, że jest istotna różnica między jej głupotą a głupotą Liv, że głupota jej siostry jest tysiąc razy gorsza. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało jej jednak, że to, co ludzie spodziewają się usłyszeć z ust Simona, pada z nich najrzadziej.

Simon zmrużył oczy i patrzył tak na Charlie, jakby chciał zapamiętać jej twarz.

– Kategorie ludzi, od tego zawsze zaczynamy. Jeśli zamieściłeś w internecie zdjęcie martwej kobiety, to jesteś albo mordercą.

– Nie wierzę – jęknęła Charlie.

Zeszła po schodkach do basenu i zaczęła pływać. Sukienka przylepiła się do jej ciała, a sandały ciążyły u stóp jak cegły.

Simon wstał i przechadzał się obok niej wzdłuż brzegu.

– Jeśli nie jesteś zabójcą ani jego współnikiem, to kim jesteś? Właścicielem domu? Oczywiście ten może też być zabójcą. Agentem nieruchomości? To mi nie pasuje. A tobie? Może ktoś zainteresowany kupnem? Nic skuteczniej nie obniży ceny domu niż krew i flaki na podłodze w salonie.

– Pierdol się, Simon. Pierdol się, pierdol i jeszcze raz pierdol.

– Jeśli jesteś zabójcą i zamieszczasz krwawe zdjęcie w internecie, to reklamujesz swoje dzieło. Jeśli nie jesteś zabójcą.

– Ciało martwej kobiety istnieje tylko w umyśle Connie Bowskill – przekrzyzczała go Charlie.

– A, nie powiedziałem ci? – odparł Simon. – Ktoś inny też je widział i skontaktował się z policją w Cambridge.

– Co? – Charlie przestała pływać. – Kto? Najlepsza przyjaciółka Connie Bowskill? Jej mama?

To musiało być kłamstwo.

– Jeśli nie jesteś zabójcą, to może świadkiem? Może obserwowałeś zabójstwo? Ukrywałeś się? Wiedziałeś, że do niego dojdzie? Czekałeś z aparatem fotograficznym? Czy znalazłeś się na miejscu już po fakcie?

Charlie wygramoliła się na brzeg. Teraz ciążyła jej woda zatrzymana w ubraniu. Jeszcze trudniejsze były szybkie ruchy w upale.

– Dokąd idziesz? – zapytał Simon.

– Dokąd idę? – powtórzyła. – A dokąd może iść Charlie?

Niech sobie spekulator spekuluje, pomyślała, kierując się ku drewnianej chacie Dominga. Zamierzała zadzwonić do biura linii lotniczych i dowiedzieć się, jak szybko mogą wrócić do domu.

\*

Do Sama dotarło wreszcie coś, o czym Grint wspomniał wcześniej, niemalże mimochodem, mianowicie że poprosił Lorraine Turner o nazwiska, adresy i numery telefonów wszystkich osób, którym dotychczas pokazała dom przy Bentley Grove 11, jak również tych, którzy wyrażali zainteresowanie ofertą, nawet jeśli w końcu nie umówili się na oglądanie. Początkowo Sam przypisał to skrupulatności Grinta, ale teraz wiedział, że chodziło o coś więcej. Kobieta, która przywłaszczyła sobie tożsamość Seliny Gane i nie pytając jej o zgodę, wystawiła jej dom na sprzedaż, mogła podać się za potencjalnego kupca. Pasowało to do jej profilu psychologicznego. Mieli bowiem do czynienia z osobą ze skłonnością do podstępu, która używała fałszywej tożsamości. Sam zgadzał się z Grintem, że oszukanie kolejnego pracownika Lancing Damisz mogło być dla niej atrakcyjnym wyzwaniem.

Ale co potem? Co kobieta, która nie była Seliną Gane, zamierzała zrobić w następnej kolejności? Złożyć ofertę? Kupić dom? Czy taki przyświecał jej cel od samego początku? Sam uznał, że nie ma sensu spekulować, znając tak niewiele faktów.

– Nie dałoby się tego wymyślić, co? – Jackie rozmawiała już z nim, jakby byli starymi znajomymi. – Może pan to sobie wyobrazić. Stałam tam jak idiotka z małżeństwem Frenchów, którzy na pewno kupiliby

ten dom, tylko że teraz musiałam im wytłumaczyć, że wcale nie jest na sprzedaż, że to pomyłka. Słowo „wstyd” nie jest w stanie opisać tego, co czułam. Frenchowie byli zdruzgotani. Najtrudniejszą częścią mojej pracy jest radzenie sobie z emocjonalnymi konsekwencjami nieudanych przedsięwzięć. W waszej pracy pewnie jest tak samo.

Sam żałował, że Jackie Napier nie jest bardziej inteligentna. Bystra osoba potrafi ocenić, które fragmenty historii są warte opowiedzenia, a które nie. Miał silne przeczucie, że jeśli nie poczyni kroków zapobiegawczych, to za chwilę usłyszy szczegółową relację z tego, jak zażegnała kryzys, znajdując Frenchom jeszcze lepszy dom, z bardziej nasłonecznionym ogrodem i większą przestrzenią garażową.

– Muszę to doprecyzować – powiedział. – Twierdzi pani, że kobieta, którą pani poznała przy Bentley Grove jedenaście za pierwszym razem nie była Seliną Gane? Ta, która powiedziała, że chce sprzedać dom, która zatwierdzała tekst do broszury i przekazała pani klucze?

– Daleko jej było do doktor Seliny Gane – odparła gniewnie Jackie.

– Prawdziwa Selina Gane to kobieta, którą poznała pani, przychodząc kilka dni później z małżeństwem Frenchów, tak?

– Dokładnie tydzień później – powiedział Grint. – W środę, siódmego lipca.

– Powinam była się domyślić, jak tylko zobaczyłam to cholerne zdjęcie w paszporcie – ciągnęła Jackie, sznurując wargi. – Selina Gane jest ładną blondynką. Ta druga miała ciemne włosy i wyglądała... surowo. Ale człowiek nie myśli w takich chwilach. Ktoś ci pokazuje

zdjęcie w paszporcie i mówi: „Kiedyś farbowałam włosy na blond”, to przecież nikt tego nie zakwestionuje, nikt nie pomyśli sobie: Ciekawe, czy ta osoba udaje kogoś, kim nie jest. Nic nie wzbudziło mojej podejrzliwości. Przecież miała te cholerne klucze. Przyjęła mnie wewnątrz domu, gdy spotkałam się z nią po raz pierwszy. Naturalnie uwierzyłam, że to jej paszport i jej dom, bo kto by nie uwierzył? Jaki człowiek wystawiłby na sprzedaż cudzy dom? Po co?

Po co ktokolwiek zamieszczałby na stronie internetowej agencji nieruchomości zdjęcie ofiary morderstwa?

– W jakich okolicznościach widziała pani jej paszport? – Sam postanowił zadać pytanie o niższym poziomie trudności.

– Musimy sprawdzić dokument ze zdjęciem każdego klienta, który sprzedaje u nas dom, tak byśmy wiedzieli, że każdy jest tym, za kogo się podaje.

Jeśli Jackie wyczuła ironię zawartą w tym ostatnim zdaniu, to skrzętnie to ukryła.

– Powiedziała pani, że ta druga kobieta, nie Selina Gane, miała ciemne włosy. A co z budową ciała? Była drobna, wysoka, gruba, chuda?

– Niska i chuda. Drobna.

Sam zdał sobie sprawę, że fragment układanki wskoczył w jego umyśle na właściwe miejsce i dopiero po chwili zrozumiał dlaczego: drobna. Connie Bowskill użyła tego samego określenia. Ciemnowłosa, drobna kobieta.

– Jackie, ta kobieta, którą widziałas na zdjęciu, leżącą w kałuży krwi. Czy możliwe, że była to kobieta podająca się za Seline Gane?

Jackie się zamyśliła.

– Nie. Nie wydaje mi się. U tej martwej widać było tył jej nóg. Miała ciemniejszą skórę. Oszustka z Bentley Grove była blada.

I miała obrączkę, ale bardzo cienką, niewiele grubszą od zawleczek na puszkach z napojami. Na palcu martwej kobiety była gruba obrączka.

– Jesteś pewna? – spytał Sam.

Jackie dotknęła jednego z kolczyków, tego samego, którym grzebała pod paznokciami.

– Zawsze zwracam uwagę na biżuterię – powiedziała dumnie.

Nawet jeśli na zdjęciu o twoją uwagę konkuruje zarżnięta kobieta? Sam zauważył, że Jackie nie ma obrączki, i natychmiast zrobiło mu się żal pechowca, który pewnego dnia ozdobi jej dłoń.

– Prawdziwa Selina Gane nie nosi obrączki – powiedziała Jackie.

– Nie ma męża. Możliwe, że woli kobiety od mężczyzn. Takie odniosłam wrażenie.

Blada skóra. Cienka obrączka. Sam spojrzał na Grinta i zobaczył, że ten siedzi skulony i zasępiony. Connie Bowskill była drobna, a do tego miała jasną cerę i bardzo cienką obrączkę. Sama przebiegł dreszcz. Po co Connie Bowskill miałaby udawać Seline Gane i wystawiać Bentley Grove 11 na sprzedaż? Bo sądziła, że Gane mieszkała tam z Kitem?

Samowi nie podobało się to wytłumaczenie, jego logika była wątpliwa. W takiej sytuacji nikomu nie przyszłoby raczej do głowy podobne rozwiązanie. Jeśli ciemnowłosą kobietą, którą Jackie Napier poznała na Bentley Grove 11, jest Connie, to skąd miała klucze do domu?

Grint wstał z krzesła i pokuśtykał w poprzek pokoju.

– Stopa mi zdrętwiała – powiedział. – Jackie, myślisz, że rozpoznałabyś jej twarz, gdyby ci ją pokazano? Twarz oszustki?

– Na pewno. Mam świetną pamięć do twarzy.

Sam nie był przekonany, pamiętając, że Jackie dała się nabrać na zdjęcie paszportowe. Gdy spojrzał na nią, zobaczył, że gapi się na niego z twarzą zastygłą w wyrazie dezaprobaty. Doznał wstrząsu. Cóż takiego jej zrobił?

– Według pana powinnam była poznać, że to nie ona jest na zdjęciu w paszporcie, tak? Ależ ze mnie idiotka, skoro nie zauważyłam, że to nie jej paszport. Ale ona to przemyślała. „Kiedyś farbowałam włosy na blond – powiedziała. – I dobrze w nich wyglądałam. Niech pani przyzna, że wtedy wyglądałam lepiej niż teraz. Większość ludzi na zdjęciach paszportowych wygląda na seryjnych morderców. Ja na swoim przypominam gwiazdę filmową. Rzeczywistość niestety jest mniej łaskawa”.

– Tak powiedziała?

– Mniej więcej – odparła Jackie. – Nie pamiętam jej dokładnych słów. To było ponad miesiąc temu. Ale coś tam gadała o tym, że nie wygląda jak na zdjęciu. Na pewno mówiła o seryjnych mordercach i o

wyglądaniu jak gwiazda filmowa. Nie była głupia. Wiedziała, że wystarczy wspomnieć o tym, że ludzie na ogół nie wyglądają jak na swoich zdjęciach. Zmuszając mnie, bym myślała o innych, zwalniała się z konieczności przekonania mnie co do siebie – sama wykonałam za nią całą robotę. Każdy człowiek choć raz w życiu powiedział o kimś: „Wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciu w paszporcie. Nie zdziwię się, jak nie wpuszczą go z powrotem do kraju”.

Sam musiał przyznać jej rację.

– Co by było, gdybyśmy tutaj i teraz przedstawili cię kobiecie, która podawała się za Seline Gane? – spytał Grint.

– Kazałabym jej wytłumaczyć, co do cholery próbowała ugrać.

Grint przytaknął.

– Ja zapytam ją o to samo. Może wspólnie uda nam się wydobyć z niej spowiedź.

Samowi nie podobał się ten plan. Jackie nie zidentyfikowała jeszcze Connie jako oszustki udającej Seline Gane. Dlaczego Grint zachowywał się tak, jakby już to zrobiła, oferując jej wsparcie? Czy to taktyczne zagranie? Jeśli Grint rzeczywiście zamierza umieścić Jackie i Connie w jednym pokoju, to on nie chce być przy tym obecny. Poza tym martwiło go coś jeszcze, coś innego niż wszystkie niejasności, których był w pełni świadom. Nagle zdał sobie sprawę, że dręczy go jakiś lęk kryjący się pod powierzchnią myśli. Co to było? Jeszcze przed minutą nie miał tego wrażenia.

– Chciałbym usłyszeć od Jackie resztę historii – powiedział. –



Stałaś wewnątrz domu przy Bentley Grove jedenaście z Frenchami i wystraszoną Seliną Gane. Jak to się skończyło?

– Frenchowie uciekli do domu, żeby poskarżyć się mojemu szefowi.  
– Jackie przewróciła oczami. – Niewdzięczne sukinsyny. Nie dali mi żadnej szansy obrony. Uznali, że zawaliłam sprawę. Nie rozmawiałam z nimi od tamtej pory. I wcale bym nie chciała.

A zatem państwo Frenchowie nie załapią się na większe garaże ani nasłonecznione ogrody, pomyślał Sam. Czy Jackie aby nie określiła się na początku przesłuchania mianem lojalnej? Doświadczenie mówiło mu, że ludzie wychwalający własne cnoty kierują się często chęcią wymuszenia na kimś wzajemności. Niemal zawsze w takich wypadkach dało się wyczuć niewypowiedziane zastrzeżenie: ale jeśli wejdiesz mi na odcisk albo sprawisz mi zawód...

– Zostawili mnie tam samą, jak niepotrzebną, zapasową część. Z Seliną Gane, która groziła, że zadzwoni na policję. Udało mi się ją uspokoić i wyjaśnić, co się stało. Była roztrzęsiona, co akurat zrozumiałe. Szczerze mówiąc, ja sama nie byłam w lepszym stanie. Niby nic złego mi się nie stało, ale i tak dziwne to uczucie zostać oszukaną przez jakąś wariatkę i nie wiedzieć czemu. Nie rozumiem, co było celem tej ciemnowłosej kobiety. Musiała wiedzieć, jak się sprawa potoczy: że będę zapraszała ludzi na oglądanie domu i prędkiej czy później wpadnę na prawdziwą Seliną Gane. W końcu musiało się to stać, prawda?

Samowi przyszła do głowy myśl, że może oszustce chodziło o nastraszenie Seliny Gane. Sprawienie, by pomyślała: Skoro żona

mojego kochanka jest zdolna do czegoś takiego, to co jeszcze wymyśli?

– Selina Gane zapewne nie podejrzewała, kim mogła być ciemnowłosa kobieta?

– Gadała bez sensu. Na początku, jak ją zapytałam, kto mógłby coś takiego zrobić, odparła, że wie kto. Czekałam, aż powie więcej, ale wtedy zaczęła paplać coś o wymianie zamków. Chwyciła za książkę telefoniczną, otworzyła na stronach ze ślusarzami, jednak po chwili rzuciła nią o podłogę, rozplakała się i jęknęła, że nie może tam dłużej mieszkać. „Skoro raz zdobyła klucz do moich drzwi, to drugi raz też go zdobędzie”, powiedziała. Poradziłam jej, żeby zadzwoniła na policję.

– I tak zrobiła – dodał Grint. Następną uwagę skierował do Sama. – Złożyła oświadczenie w czwartek ósmego lipca. Stwierdziła w nim, że śledzi ją jakaś ciemnowłosa kobieta. Nie ma pojęcia, kim ona jest, ale od dłuższego czasu kręci się wokół niej i zachowuje w dziwny sposób. Z jej opisu nie byliśmy w stanie ustalić, o kim mowa, lecz wtedy. – Grint zwrócił się do Jackie. – Ostatnio pojawiły się nowe fakty.

Wczoraj rano Grint nie mógł wiedzieć o oświadczeniu Seliny Gane, pomyślał Sam, bo wówczas byłby dużo bardziej zainteresowany pierwszą relacją Sama o Bentley Grove 11 i znikających zwłokach, które widziała Connie Bowskill.

– Musiałam ją zapytać – powiedziała Jackie. – Chciałam wiedzieć, kto według niej mógł to zrobić. Odparła, że nie wie, co to za kobieta, ale kilka minut wcześniej mówiła co innego. Wyraźnie nie chciała o

tym rozmawiać.

Grint i Sam spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Grint powiedział:

– Chyba chodziło jej o to, że podejrzewała kobietę, która ją śledziła, lecz nie znała jej tożsamości.

– No tak – przyznała Jackie. – Pewnie tak było. Nie pomyślałam o tym.

– Więc wyrzuciłaś broszury do kosza i usunęłaś ofertę Bentley Grove jedenaście z internetu – powiedział Sam.

– Usunęłam zdjęcia, które zrobiłam, i wyjaśniłam wszystko szefowi. – W głosie Jackie brzmiał gorzki ton. – Dostało mi się za niedokładne sprawdzenie paszportu. – Przy tych słowach rzuciła Samowi spojrzenie, które mówiło: wiem, po czyjej jesteś stronie. – Ale potem, tuż przed wyjazdem do Nowej Zelandii, odebrałam telefon od doktor Gane. Prawdziwej doktor Gane. Tym razem sprawdziłam.

Sam zastanawiał się, jak dalece skrupulatnie mogła to sprawdzić przez telefon. Jest pani prawdziwą Seliną Gane? Aha, to okej. Świetnie.

– Poznałam ją po głosie – warknęła na niego Jackie.

– Rozumiem – odparł beznamiętnie Sam.

– Zadzwoiła do mnie, bo, jak powiedziała, byłam dla niej uprzejma i wyrozumiała tamtego dnia z Frenchami. – Jej mina mówiła: „i co ty na to?”, jakby Sam podawał w wątpliwość jej elementarną dobroć. – Postanowiła sprzedać swój dom i chciała, żebym to ja się tym zajęła. Stwierdziła, że nie czuje się już w nim jak

u siebie. Dobrze ją rozumiałam, pewnie na jej miejscu miałabym tak samo. Powiedziała mi: „Jeśli tamta kobieta dostała się raz do środka, to kto wie, ile razy tak naprawdę tu była? Nie mogę tu dłużej mieszkać ze świadomością, że naruszyła moją prywatną przestrzeń. Przecież mogła spać w moim łóżku, gdy mnie nie było”. Powiedziałam, że nie mogę wziąć jej sprawy, bo wyjeżdżam, ale że poproszę Lorraine, żeby do niej zadzwoniła. Nie miała nic przeciwko temu. Znała Lorraine, bo przez nią ten dom kupowała. Lorraine do niej pojechała, zrobiła nowe zdjęcia.

– Zaczekaj – przerwał jej Sam. – Gdy rozmawiałem z Lorraine Turner, nie wspomniała ani słowem o kobiecie, która podawała się za Selinę Gane i która wystawiła jej dom na sprzedaż.

– Bo nic jej o tym nie powiedziałam – odparła Jackie. – Doktor Gane prosiła mnie o dyskrecję.

– Nie chciała, żeby wiedziały o tym osoby, które nie musiały wiedzieć – dodał Grint. – Bardzo ją to bolało i zawstydzalo. Wolała uniknąć niepotrzebnych pytań.

Sam wciąż myślał o Lorraine Turner, której związek z domem przy Bentley Grove 11 trwał dłużej niż Seliny, Jackie czy Connie. To Lorraine sprzedała go Selinie w imieniu pary od choinki, państwa Beaterów. Czy również oni kupili go od Lorraine, gdy został zbudowany, czy tę sprzedaż przeprowadzał deweloper?

– Powiedziałam Lorraine, że będzie musiała się spotkać z doktor Gane w szpitalu albo w jej hotelu i tam odebrać od niej klucz – ciągnęła Jackie. – W ogóle nie brałam pod uwagę spotkania na

Bentley Grove, bo Gane nie chciała się do tego domu nawet zbliżyć. Sama przyznała, że jej noga już nigdy tam nie postanie.

Grint szedł już w stronę drzwi.

– Chodźmy porozmawiać z prześladowczynią Seliny Gane – powiedział.

Jackie wstała z krzesła. Ktoś o większej wrażliwości mógłby być zdenerwowany, pomyślał Sam. On w każdym razie był. Próbował sobie wyobrazić Connie Bowskill przyznającą się do winy, ale nie udawało mu się to, choć Connie Bowskill wszystkiemu zaprzeczającej też jakoś nie widział. Niespecjalnie będzie mogła się wypierać, jeśli Jackie wskaże ją palcem. Sama przecież mówiła, że ciężko jest zaprzeczać czemuś, co ma się przed nosem i z czym trzeba się zmierzyć.

O ile to w ogóle było zaprzeczanie. Samowi przyszło do głowy, że Connie może być sprytniejsza, niż się zdawało. Jak dobrą była aktorką? Jej atak na męża, tak przykry dla widzów, był bardzo niespójny, przeskakiwała z jednego oskarżenia w inne. Sam przypisał to wówczas dezorientacji i panice, ale teraz nie był już tak pewny swego. Początkowo Connie zdawała się przekonana, że Kitt ma ją za morderczynię, i bała się, że jej mąż może mieć rację. Chciała, by Grint powiedział, iż zamordowanie kobiety i wyparcie takiego faktu ze świadomości jest niemożliwe. Praktycznie włożyła mu w usta te słowa. Lecz potem zmieniła taktykę: Kitt już nie uważał jej za morderczynię, ale chciał, by ona sądziła, że tak o niej myśli. Chciał zasiać w jej głowie strach, iż popełniła zbrodnię, której nie pamiętała.

Słuchając jej, Sam zastanawiał się, jak mogła żywić obydwie obawy jednocześnie. Doszedł do wniosku, że Connie najbardziej boi się utraty kontroli nad własnym zachowaniem. Zdecydowanie woląa myśleć, że to jej mąż jest potworem.

Po rozmowie z Jackie Napier miał już inną teorię. Nie przypadkiem stał przed wyborem między dwiema możliwościami: Kitt kłamca i zabójca, który miesza w głowie swojej żonie, w nadziei że sama pomoże mu we wrobieniu jej w przestępstwo, którego nie popełniła, albo Connie nieszczęśliwa ofiara umyślowego załamania, której psychologiczna dezintegracja zaszła tak daleko, iż przestała odpowiadać za własne czyny. Nie przypadkiem musiał decydować między tymi dwiema opcjami i żadną inną. Uwaga Sama i Grinta została umiejętnie odwrócona od trzeciej ewentualności: że mianowicie Connie świadomie i celowo zamordowała kobietę, a balansująca na krawędzi szaleństwa osobowość, którą pokazywała światu, była li tylko misternie skonstruowanym kłamstwem.

Sam był rozdarty. Jakaś jego część pragnęła wziąć Grinta na stronę i wypytać go, co się dzieje na froncie forensyki i co powiedziała Selina Gane, którą niewątpliwie już przesłuchał. Chciałby wiedzieć, czy poprzedni właściciele, państwo Beater, zidentyfikowali plamę na dywanie jako zostawioną przez ich choinkę, czy też Grint poległ na słowie Lorraine Turner. Samowi by ono nie wystarczało. Kilka razy otwierał usta, by to wszystko powiedzieć, ale w końcu zmieniał zdanie. Nie jego sprawa, nie jego problem.

Nadszedł czas, by się oddalił i wrócił do swoich, znacznie nudniejszych, śledztw. Im więcej by rozmawiał z Grintem o

znikających zwłokach na Bentley Grove 11, tym głębiej by się angażował. Już przesłuchanie Jackie Napier było pójściem o jeden krok za daleko. Powinien był odmówić. To czemu tego nie zrobiłeś?, spytałaby jego żona, Kate. Najbardziej niedorzeczne pytanie, jakie można zadać, było tym, które Kate zadawała często.

Nie odmówiłem, bo nie odmówiłem.

Idąc za Grintem i Jackie po wąskich, szarych schodach, Sam przyznał przed sobą, że nie ma innego wyboru, jak skontaktować

Grinta z Simonem, który mógł przynajmniej potwierdzić, że Connie mówiła prawdę, opowiadając o rozmowie, którą z nim przeprowadziła. Simon z pewnością wyrobił już sobie opinię na temat jej charakteru, przychylną lub negatywną. Na pewno nie bał się sformułować własnego zdania albo kilku zdań: wiarygodna albo nieszczerza, trzepnięta albo normalna, ofiara albo kat ofiary Dobra lub zła. Simon operował szerszymi pojęciami niż Sam, poza tym ufał swojemu instynktowi. Z pewnością pomógłby Grintowi. Na pewno nie wykręcałby się od odpowiedzi. Sam często odnosił wrażenie, że podczas gdy umysły większości ludzi były niczym manifesty jasno wyrażające pewne poglądy i przekonania, jego własny umysł przypominał bardziej koszyk z zapisanymi na kartkach sugestiami, w którym każda strona sporu walczyła o uwagę słuchaczy, domagając się równego traktowania. Rola Sama ograniczała się do sortowania sprzecznych twierdzeń w możliwie najbardziej bezstronny sposób. Może dlatego prawie zawsze był zmęczony.

Powinien zadzwonić do Simona w Hiszpanii i uprzedzić go, że Grint

będzie się z nim kontaktował. Tego wymagała przyzwoitość. Świetnie. Na liście rzeczy, których nie chciał robić, pierwsze miejsce z pewnością zajmowało zakłócanie miesiąca miodowego, a tym bardziej miesiąca miodowego Charlie Zailer, która nie słynęła ze skłonności do przebaczenia.

Gdy Grint otworzył drzwi, Sam przeżył szok, widząc Bowskillów w pokoju przesłuchań. Obydwoje byli zadyszani. Connie wyglądała, jakby cały czas spędzony sam na sam z mężem przepłakała. Na jej spodniach zobaczył szare smugi, których wcześniej nie było. Co tu się u licha stało? W powietrzu wisiał nieprzyjemny, kwaśny zapach, którego Sam nie potrafił nazwać ani zidentyfikować.

– Sam? – odezwała się Connie zachrypłym głosem. Patrzyła na Jackie Napier, ale nic w wyrazie jej twarzy nie sugerowało, że ją rozpoznaje. – Co się dzieje? Czy to jest ta kobieta, która widziała to, co ja?

Jeśli teraz kłamie, pomyślał Sam, to znaczy, że kłamstwo stało się warunkiem koniecznym do przeżycia, nie mniej ważnym od serca i płuc. Będzie się go trzymała za wszelką cenę, bo nie jest w stanie wyobrazić sobie życia bez niego. Większość kłamców, z którymi Sam miał kontakt w swojej pracy, zdecydowanie wolała kłamstwa jednorazowego użytku. Konstruowali je w nadziei, że zapewnią sobie lżejszy wyrok, ale wiedzieli, że wygadują bzdury. Tak to sobie sami tłumaczyli. Nie byli emocjonalnie przywiązani do wymyślonych przez siebie historyjek. Gdy Sam dawał im do zrozumienia, że może udowodnić fałszywość prezentowanego przez ich alibi, najczęściej wzruszali ramionami, mówiąc: „Nigdy nie zaszkodzi spróbować”.



Sam przygotował się na gorącą konfrontację. Wyczuwał w Jackie Napier potężną, stłumioną agresję, wiecznie czekającą na upust. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że zaatakuje Connie Bowskill, jeśli nie fizycznie, to werbalnie. Więc skąd to opóźnienie? Dlaczego gapiła się na Bowskillów i nic nie mówiła?

Jackie spojrzała na Grinta z wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

– Kto to jest? – pokazała na Connie.

Grint nie odpowiedział od razu.

– Czy to kobieta, która pokazała ci paszport Seliny Gane?

– Co takiego? – zdziwiła się Connie.

– Co pan wygaduje, do cholery? – odezwał się Kitt, po czym zwrócił się do Sama: – O co mu chodzi?

– Nie – orzekła Jackie z irytacją w głosie. – Nie wiem, skąd ją wytrzasnęliście, ale możecie z powrotem ją tam zabrać. Nigdy w życiu jej nie widziałam.

## **DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/24IG**

### **SZKOŁA PODSTAWOWA CAVENDISH LODGE**

**Data:** 13.07.06 **Uczeń:** Riordan Gilpatrick **Klasa:** Młodszy przedszkolak **Średni wiek:** 3 lata i 4 miesiące **Wiek:** 3 lata i 8 miesięcy KOMUNIKACJA, JĘZYK, CZYTANIE I PISANIE

Riordan poczynił w tym roku spore postępy językowe. Wyraża się zawsze płynnie i wyraźnie, ma dobrą pamięć i lubi opowiadania. Rozpoznaje wszystkie litery i buduje z nich słowa.

### **ROZWÓJ MATEMATYCZNY**

Riordan rozpoznaje cyfry do 9 i umie liczyć do 18. Potrafi ułożyć układankę z 6 elementów, odróżnia kolory i kształty geometryczne i umie według nich porządkować przedmioty. Riordan lubi zabawy liczbowe i śpiewanie piosenek.

### **WIEDZA I ZROZUMIENIE ŚWIATA**

Riordan wykazuje zainteresowanie otaczającym go światem i chętnie bierze udział w naszych dyskusjach. Lubi siać nasiona i cebulki, piec ciasta, zapisywać prognozę na tablicy pogodowej. Ciekawią go takie tematy jak „Gospodarstwa rolne”, „Cykle naturalne” i „Ludzie, którzy nam pomagają”.

### **ROZWÓJ FIZYCZNY**

Precyzyjne zdolności ruchowe u Riordana są świetne. Rysuje

śliczne obrazki, umiejętnie posługując się ołówkiem i pędzelkiem. Potrafi nawlekać koraliki i używać nożyczek. Bardzo uważnie pisze litery. Pozostałe zdolności ruchowe też są dobrze rozwinięte. Riordan biega, skacze, lubi popychać wózki i bierze udział w zabawach na podwórku.

### ROZWÓJ TWÓRCZY

Riordan uwielbia się przebierać i bawić w dom z rówieśnikami. Lubi używać wyobraźni, bawiąc się zabawkami. Zawsze chętnie siada przy stoliku edukacyjnym, gdzie maluje, rysuje śliczne obrazki i robi kolaże.

### ROZWÓJ OSOBISTY, SPOŁECZNY I EMOCJONALNY

W swoim pierwszym roku w szkole Riordan dobrze się zaaklimatyzował i ma mnóstwo przyjaciół. Z łatwością nawiązuje kontakty i jest opiekuńczy wobec rówieśników. Wielką przyjemnością jest mieć go wśród uczniów i będzie nam go brakowało, gdy pójdzie do starszej grupy. Na pewno będzie mu tam dobrze! Gratulacje, Riordan!

Nauczyciel: Teresa Allsopp

# 15

## **Piątek, 23 lipca 2010**

Nic? – Mama rzuca mojemu ojcu błagalne spojrzenie, jakby oczekiwała, że włączy się do akcji i zaprowadzi sprawiedliwość. – Jak to nic nie robią?

Kitt i ja jesteśmy przygotowani. Wiedzieliśmy, z jaką reakcją się spotkamy. Przewidzieliśmy pełen przerażenia, stłumiony krzyk i drżący z oburzenia głos. Zachowanie taty też nas nie zaskoczy. Choć jeszcze nie odpowiedział, to jesteśmy przygotowani, bo wiedzieliśmy, że jego reakcja nastąpi z opóźnieniem. Z nich dwojga to mama jest tą, która działa bez zbędnej zwłoki, wyrzucając z siebie panikę w podmuchach niemalże biblijnego oburzenia. Dopiero po dziesięciu, może piętnastu minutach do dyskusji włączy się ojciec. Do tego czasu będzie siedział z założonymi rękami i pochyloną głową, próbując pogodzić się z kolejnym nieproszonym dowodem na to, iż życie nie zawsze toczy się tak, jak chcieliby tego Val i Geoff Monkowie.

Anton będzie dalej leżał na moim dywanie, podparty na łokciu, rozmawiając z Benjim na ich ulubiony ostatnio temat, czyli o fikcyjnych kosmitach, którzy mają takie nazwy jak Humungozaur czy Echo-Echo. Fran jest królową wielozadaniowości. Pilnując, by Benji nie zrównał naszego domu z ziemią, będzie kłuła rodziców szpilkami na

wpół marudnej, na wpół żartobliwej krytyki, co jest jej sposobem na chronienie ich przed znacznie bardziej miazdzącą krytyką, na którą obydwójce zasługują.

W towarzystwie mojej rodziny Kitt i ja zamieniamy się w nieomylnych jasnowidzów. Przewidywalność Monków powinna przynieść nam ulgę po wszystkim, przez co ostatnio przeszliśmy. Jak jednak mogliśmy przewidzieć, nie przyniosła.

– Z tego, czego zdołaliśmy się dowiedzieć, wynika, że jest tam jakaś wewnętrzna niezgoda – mówi Kitt mojej matce.

Z jego słów nikt nie domyśliłby się, jak bardzo jest nieszczęśliwy i zagubiony. Przy moich rodzicach zawsze odgrywa rolę ich genialnego, silnego i zdolnego zięcia. Powiedział mi kiedyś, że sprawia mu to przyjemność, bo może być człowiekiem, jakim chciałby być naprawdę.

– Ian Grint nie chce tego zostawić, ale działa pod presją. I to dużą, a w każdym razie tak zdaje się sugerować Sam Kombothekra.

– A jednak Connie widziała tę... straszną rzecz! I inna kobieta też. Jak policja może tak po prostu machnąć na to ręką? Na pewno jest coś, co mogliby zrobić.

Każdy, kto nie jest ekspertem w dziedzinie umysłu mojej matki, mógłby pomyśleć, iż zapomniała już, że na początku nie dawała mi wiary. Tak uczyniłby zresztą prawie każdy człowiek: powiedziałby jedno, a potem, wobec dowodów przeczących jego pierwotnym twierdzeniom, powiedziałby co innego, zapominając, że wcześniej nie miał racji. Ale nie Val Monk. Jej nie wystarcza zwyczajne, umożliwiające zachowanie twarzy oszustwo. We wtorek wieczorem,

gdy byliśmy z Kitem zbyt zmęczeni dniem spędzonym z detektywem Grintem, by się z nią spierać, wyjaśniła nam, że nie ma się za co ganić. Miała rację, nie wierząc mi na początku, bo wtedy nikt jeszcze nie wiedział o istnieniu Jackie Napier, a bez jej potwierdzających zeznań to, co opowiadałam, brzmiało absolutnie niewiarygodnie. Później, gdy byliśmy wreszcie sami, Kitt powiedział do mnie:

– Reasumując stanowisko twojej mamy: nie wierząc ci na początku, miała taką samą słuszność, jak dając ci wiarę później. Chociaż jeśli twoja wersja okazała się prawdziwa dzisiaj, to musiała taka być i wcześniej.

Śmialiśmy się z tego i pomyślałam sobie, jakie to dziwne, że w samym środku całego tego nieszczęścia, niepewności i lęku, po całym dniu przesłuchań prowadzonych przez detektywów, którzy nas nie lubili i nie ufali żadnemu z nas, Kitt i ja nadal czerpaliśmy pociechę z naszego ulubionego hobby – rozrywania mojej matki na strzępy.

– Chodzi o brak dowodów – tłumaczy teraz mojej matce. – Eksperci od forensyki przeczesali każdy centymetr kwadratowy tego domu, zerwali dywany i parkiet, po prostu rozmontowali dom na kawałki i wszystkie je poddali analizie, ale nie znaleźli nic podejrzanego. A właściwie nie, znaleźli więcej niż nic – poprawia się Kitt. – Znaleźli nic, które oznacza coś.

– Dwadzieścia miliardów jest większe niż nic, prawda, tatusiu? – Benji pyta Antona, uderzając go w nogę plastikową figurką kosmity.

– Wszystko jest większe niż nic, mistrzu.

W normalnych okolicznościach spojrzełabym teraz

porozumiewawczo na Kitta, wysyłając mu milczący komunikat: Czy mi się zdaje, czy to najgłębsze zdanie, jakie Anton kiedykolwiek wypowiedział?

– Sam powiedział nam, że w forensyce istnieją dwa rodzaje braku wyników – ciągnie Kitt. – Rozstrzygający i nierozstrzygający.

Wszystko na razie jasne, Anton?

– Co to ma znaczyć? – pyta mama z irytacją w głosie.

– Można nie znaleźć niczego w miejscu możliwej zbrodni i mimo to wciąż nie mieć pewności, czy ją popełniono czy nie. Albo, jak w tym wypadku, nie znaleźć żadnych dowodów, a mimo to móc stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że zbrodnia w danym miejscu nie została popełniona. Sam twierdzi, że nie ma mowy, by w tym domu była kiedykolwiek taka ilość krwi, jaką widziały Connie i Jackie Napier, i żeby nie został po niej najmniejszy ślad. A ponieważ nie został. – Kitt wzrusza ramionami. – Policja nie ma czym operować. Z punktu widzenia forensyki, muszą stwierdzić, że nikogo tam nie zamordowano. Jedna agentka nieruchomości i dwoje byłych właścicieli zarzekają się, że dywan w salonie jest tym samym dywanem, który leżał tam, jeszcze zanim do domu wprowadziła się pierwsza rodzina. Detektywi rozmawiali też z sąsiadami, którzy nie mieli im zbyt wiele do powiedzenia, oprócz tego, że Bentley Grove to cudowna, cicha uliczka. Żadna z oficjalnie zaginionych osób nie pasuje do opisu podanego przez Connie i Jackie. W dodatku nie ma zwłok. Cóż mają zrobić?

– Są policją – cedzi mama przez zaciśnięte wargi. – Musi być coś, o czym nie pomyśleli, wątek, który mogliby zbadać.

– Kitt próbuje ci wytłumaczyć, że nic takiego nie ma – mówi Fran.

Zastanawiam się, czy nie przeszkadza jej fakt, iż wstawia się za mężczyzną, którego podejrzewa o kłamstwa i prowadzenie drugiego życia w tajemnicy przed wszystkimi. Nie wspomniała ani słowem o naszej poniedziałkowej rozmowie – ani mamie, ani tacie, ani Antonowi. Żadne z nich nie wie o adresie zaprogramowanym w GPS-ie Kitta, ani o jego samochodzie na zdjęciu z Bentley Grove. Nie prosiłam jej, żeby nikomu nie mówiła. To jej autonomiczna decyzja, że powinniśmy dalej grać swoje role w spektaklu o szczęśliwej rodzinie. Ona przykłada się do swoich kwestii z równym oddaniem jak Kitt.

A ty, Connie? Dlaczego nic nie mówisz? Może byś powiedziała wszystkim, że niewykluczone, iż twój mąż jest mordercą?

– Ian Grint jest niegłupi – próbuje udobruchać matkę Kitt. – Wie, że Connie i Jackie mówią prawdę. Sam twierdzi, że jego przełożeni też to wiedzą, ale spójrz na to z ich punktu widzenia. Nawet jeśli doszło do morderstwa, to nie ma zwłok, podejrzanych ani dowodów, jeśli nie liczyć zeznań dwóch świadków. W związku z tym nie ma jak prowadzić śledztwa. Są kompletnie sparaliżowani. Dla Grinta sytuacja nie jest taka zła, on jest tylko detektywem, odpowiedzialność nie spada na niego. To jego detektyw inspektor ma najwięcej do zyskania, jeśli uzna, że to nie było żadne przestępstwo, tylko głupi żart, więc najlepiej tak to sklasyfikować i o wszystkim zapomnieć.

– Żart? – Mama znowu patrzy błagalnie na ojca. – Słyszałeś to, Geoff? Okazuje się, że zabicie człowieka jest dzisiaj żartem. Zostawienie ofiary we krwi na podłodze...



– Mamo, na litość boską. – Fran wykrzywia twarz, udając niedorozwój. – Przecież Kitt tłumaczy ci, że według policji nikt nie został zabity. Żart polegał na tym, że ktoś położył się w kałuży czerwonej farby albo keczupu.

– Potrafię odróżnić farbę od krwi – mówię.

– Co to za żart? – pyta matka. – Mnie to nie śmieszy. Jaka kobieta zrujnowałaby dobrą sukienkę, kładąc się w farbie?

– Sam i Grint, tak samo jak my, obydwaj uważają teorię z żartem za niedorzeczną – dodaje Kitt. – Ktoś z wyższego szczebla policji w Cambridge wysunął ją na wieść o tym, że haker, który zamieścił na stronie internetowej krwawe zdjęcie, pół godziny później je usunął. Nie bardzo rozumiem, jaka w tym logika, i odnoszę wrażenie, że Sam i Grint też nie wiedzą, ale nikt z nas nie jest w stanie nic zrobić. Decyzja została podjęta.

– I zamierzacie teraz siedzieć z założonymi rękami? – pyta matka, gapiąc się na mnie z przerażeniem w oczach. – Udawać, że nic się nie stało? A co z twoją odpowiedzialnością wobec tej biednej kobiety? Kimkolwiek była.

– A co Connie może zrobić? – pyta ją Kitt.

– Mogłabym ubiegać się o stanowisko szefa policji w Cambridge – mówię.

– Tato, gdzie jest ciasto? – pyta Benji. – Kiedy damy Connie prezenty?

Nie mam pojęcia, o czym mówi. Ale po chwili przypominam sobie,

że to ma być moje przyjęcie urodzinowe. Dziś są moje urodziny. Jak wszystkie uroczystości w rodzinie Monków, zaczęły się za piętnaście szósta i skończą kwadrans po siódmej, żeby Benji zdążył pójść do łóżka przed ósmą.

– W poniedziałek rano, Kitt, zadzwonisz na policję – wtrąca się ojciec. Witamy w rozmowie, panie Monk. – I powiesz im, że to skandal, że żądasz odpowiedzi i to natychmiast. Chcesz wiedzieć, co zamierzają zrobić, i lepiej, żeby naprawdę coś zamierzali.

– No właśnie – mama solidarnie przytakuje ojcu.

– Jeśli będą cię wodzić za nos, zagroziś im przekazaniem sprawy gazetom, a jeżeli wciąż będą się czaić, spełnisz swoją groźbę. Jak tylko sprawę opíše prasa lokalna i mieszkańcy Cambridge o wszystkim się dowiedzą i wpadną w panikę, detektyw. Ian Grint i jego szefowie nie będą mieli się gdzie schować.

– Tato, co ty wygadujesz? – Fran się śmieje. – Mieszkańcy Cambridge nie wpadną w panikę. Mówisz tak, jakby po ulicach szalał seryjny morderca z karabinem w dłoni. Czy ty byś panikował, gdybyś się dowiedział, że kogoś zamordowano w Little Holling? Wiedząc, że ty osobiście nie jesteś zagrożony?

– To by się nigdy nie zdarzyło – mówi mama. – Właśnie dlatego mieszkamy w Little Holling. Jest tu bezpiecznie i nikt tu nas nie morduje w naszych domach.

– Cambridge to nie Ruanda, a mimo to kogoś jednak zamordowano – odpowiada ogniem Fran.

– Cambridge jest miastem pełnym... ludzi ze wszystkich stron świata. W mieście nikt nikogo nie zna, nie ma poczucia wspólnoty. Nic takiego nie wydarzyłoby się tutaj, a nawet gdyby, to policja z pewnością podeszłaby do tego poważnie.

– Co masz na myśli, mówiąc „tutaj”?

Fran patrzy na mnie w poszukiwaniu wsparcia, ale ja odwracam wzrok. Nie mogę ryzykować kłótni z matką, bo mogłoby mnie ponieść i jeszcze powiedziałabym przypadkiem, że jeśli kiedykolwiek dojdzie w Little Holling do morderstwa, to najprawdopodobniej ja zamorduję ją.

– Cambridge nie jest aż tak daleko stąd. – Fran ciągnie bez mojej pomocy – Na pewno mają niski odsetek morderstw, bo ludzie, którzy tam mieszkają, są, ogólnie rzecz biorąc, dosyć inteligentni i mają lepsze rzeczy do roboty niż zabijanie się nawzajem. Podczas gdy w Culver Valley.

– Culver Valley to jedno z najbezpieczniejszych miejsc w Anglii – wtrąca ojciec.

– Chyba żartujesz. Anton, powiedz tacie! Czy wy w ogóle nie czytacie prasy lokalnej? W ciągu ostatnich paru lat w Spilling i w Silsford było. – Fran przerywa, bo Benji szarpie ją za rękaw – Tak, kochanie? Czego chcesz?

– Co to jest morderstwo? Jak ktoś umiera, bo ma sto lat?

– No i zobacz, co źeś narobiła! – jęczy matka. – Biedny Benji. Nie przejmuj się, mój aniołku. Wszyscy, jak umieramy, idziemy do nieba, a w niebie jest cudownie. Prawda, dziadku?

– Aniołku? – Fran jest gotowa do skoku. Chyba nigdy nie widziałam jej tak rozwścieczonej. – Na razie jeszcze jesteśmy na ziemi, mamó, nie w niebie, a on ma na imię Benji.

– Poniedziałek rano, Kitt. – Ojciec wygraża palcem. – Musisz dać temu Grintowi mocno po głowie.

Muszę się od nich uwolnić. Mamroczę pod nosem coś o herbacie i torcie i wychodzę z pokoju normalnym krokiem, co wymaga wysiłku, bo mam ochotę wybiec. W kuchni zamykam za sobą drzwi i opieram się o nie plecami. Jak długo mogę się tu kryć? W nieskończoność?

Z marzeń wyrywa mnie pukanie do drzwi. Kitt. To musi być on, bo mama, ojciec i Fran ciągle się kłócą w salonie. Nie chcę go wpuszczać, ale jako jego partnerka w spisku nie mam wyboru. Możliwe, że ma mi coś ważnego do powiedzenia na temat kłamstwa, które dzisiaj konstruujemy na użytek rodzinnego spędu: kłamstwa o naszym szczęśliwym małżeństwie.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Nie. A u ciebie?

– Jakoś daję radę. Podajmy herbatę i tort, to może uda nam się szybciej ich pozbyć.

– Wyjdą dokładnie kwadrans po siódmej, bez względu na to, co im podamy i kiedy – mówię. Kitt powinien wiedzieć, że nie mamy co liczyć na jakąkolwiek odmianę. – Ojciec i Anton pójdą prosto do pubu na swój piątkowy kufel piwa, a mama przynajmniej przez pół godziny będzie zajęta pomaganiem Fran w ułożeniu Benjiego do łóżka.

Zawiozę cię na stację za piętnaście ósma. W ten sposób zdążę wrócić, zanim oni wszyscy znów wypłyną na powierzchnię. Jeśli którekolwiek spojrzy na nasz podjazd, zobaczy dwa samochody i uzna, że obydwójce jesteśmy w domu.

Kitt przytakuje. Nalewam wody do czajnika, włączam go i wyjmuję kupny tort z pojemnika na chleb. Wybrałam najdroższy tort w sklepie, jakby to mogło nam cokolwiek wynagrodzić. Stawiam filiżanki, spodki i łyżeczki na tacy, napełniam dzbanuszek mlekiem i zeszkrobuję poźółkłe granulki z powierzchni cukru, żeby matka nie wzdygnęła się, zaglądając do cukiernicy. I ostatni punkt programu: nalewam sok jabłkowy do plastikowego kubeczka z przykrywką i dziobkiem dla Benjiego, jedyne pięciolatka na ziemi, który wciąż pije z kubka dla bobasów.

Kitt wyjmuje ze zmywarki czyste talerzyki na tort.

– Jutro spędzę dzień u rodziców – mówię mu, a on podaje mi duży ząbkowany nóż. – Jeśli będę u nich, żadne z nich nie przyjedzie tutaj. Powiem im, że zostałeś w domu i pracujesz.

– To jakieś szaleństwo, Con. Dlaczego nie możemy powiedzieć im prawdy? Nasz obecny projekt jest bliski ukończenia, jestem potrzebny w Londynie, więc postanowiłem w najbliższym czasie mieszkać tam.

Biorę od niego nóż.

– To nie jest prawda, Kitt.

– Wiesz, o co mi chodzi – mówi niecierpliwym tonem, jakby uważał, że dzielę włos na czworo. – Nie stuprocentowa prawda, ale

możemy im powiedzieć coś, co jest bliższe prawdy. Wtedy nie będziemy musieli udawać, że tu mieszkam. – Patrzę na niego, jak na bieżąco podejmuje decyzję, i wiem, co zaraz usłyszę. – Albo możemy uprawdopodobnić nasze kłamstwo. Możesz pozwolić mi na wprowadzenie się z powrotem do domu.

– Przestań.

Odpycham go, unikając kontaktu wzrokowego, na wypadek gdyby wyczytał z moich oczu, jak bardzo za nim tęsknię. Wyprowadził się w środę. Ostatnie dwie noce leżałam w łóżku, płacząc, nie mogąc zasnąć i wszystkimi siłami powstrzymując się przed zadzwonieniem do niego i błaganiem, by do mnie wrócił. Dotychczas uważałam się za dobrego człowieka, ale po wszystkim, co zaszło, już tak nie myślę. Wiem, że z łatwością mogłabym stracić resztę honoru i powiedzieć Kittowi: „Wiesz co? Nie obchodzi mnie, że spotykasz się z kimś za moimi plecami. Nie obchodzi mnie, że jesteś kłamcą, a może nawet zabójcą. Zamierzam cię kochać i zostać przy tobie, bo inne rozwiązanie jest zbyt trudne i zbyt wyniszczające duchowo”.

– Będziemy musieli przez to wszystko przejść, tak? – Kitt zamyka oczy – Przez cały rytuał ze śpiewaniem Sto lat, otwieraniem prezentów, zdmuchiowaniem świeczek, uściskami i pocałunkami.

Widzę, jak dreszcz przebiega przez jego ciało.

– Oczywiście, że tak. Dokładnie tak samo jak każdego roku, odkąd się znamy. Moja rodzina nie wie, że ten rok jest inny.

– Connie, mamy wybór. – Kitt przybliżyła się do mnie. Powinnam go powstrzymać. – Możemy o tym wszystkim zapomnieć i wrócić do

naszego dawnego życia. Wyobraź sobie, że żadne z nas nie ma przeszłości. Wyobraź sobie, że dzisiaj jest nasz pierwszy wspólny dzień.

– Wtedy nie bylibyśmy małżeństwem, tylko parą nieznanym.

– Jeśli natychmiast się od niego nie odwrócę, może się to stać niewykonalne. – Zgadza się, że tak byłoby łatwiej – mówię. – Teraz jesteśmy nieznanymi, którzy mają ślub.

– Co wy tu knujecie? – Moja matka otwiera drzwi kuchenne bez pukania. – O czym rozmawiacie? Mam nadzieję, że nie o policji. To ma być święto. Geoff ma rację, Kitt. W poniedziałek rano zadzwonisz do tego Grinta i tak czy siak sprawa będzie załatwiona.

– Nie wątpię – stwierdza Kitt beznamiętnym głosem.

Tak czy siak. Ciekawe, jakie dwie możliwości miała na myśli, mówiąc te słowa. Naukowcy mogliby porwać moją matkę, zastąpić ją identycznie wyglądającym robotem i nikt nie zauważyłby różnicy, o ile zaprogramowałiby dostatecznie dużo gotowców do używanego przez maszynę słownika: tak czy siak; no i zobacz, co żeś narobiła; niby co to ma znaczyć?

Robię jedyną rzecz, która ma szansę sprawić, że wytrzymam resztę tego tak zwanego święta: idę do dużego pokoju i zaczynam rozmawiać z Antonem o ćwiczeniach sprawnościowych. Mówię mu, że mam dosyć bycia chudą tyczką, i pytam, co mogę zrobić, by nabrać masy mięśniowej, lecz nie wyglądać po tym jak kulturystka z napęczniałymi bicepsami. Nie słucham jego odpowiedzi, ale na szczęście jest długa i szczegółowa, więc nie muszę rozmawiać z

innymi. Po drugiej stronie pokoju tata i Fran prowadzą ożywioną dyskusję o tym, czy każdy, kto przeprowadza się do miasta, automatycznie wysyła sygnał, iż chce zostać brutalnie napadnięty przynajmniej raz w tygodniu, a Benji podrzuca do góry swoje plastikowe figurki superbohaterów, próbując trafić w sufit, co mu się zresztą często udaje.

Tymczasem mama i Kitt układają prezenty w stertę na dywanie. Jest to kolejny rytuał rodziny Monków, obowiązujący przy wszystkich tego typu okazjach. Każdy z obecnych ma swoją kolej, gdy wyjmuje ze sterty prezent i podaje go właściwemu odbiorcy, przy czym obowiązuje kolejność według wieku: Benji, Fran, ja, Anton, Kitt, matka, ojciec i znowu Benji, jeżeli zostają jeszcze jakieś prezenty do rozdania. System ten ma swoje wady. Gdy są moje urodziny i przychodzi na mnie kolej wyjęcia prezentu ze sterty, to wiem, że będzie on dla mnie. Od lat ojciec lobbuje na rzecz wprowadzenia zmiany, tak by podczas imprez urodzinowych jubilaci byli zwolnieni z obowiązku rozdawania prezentów. Mama jest temu stanowczo przeciwna i jak dotąd skutecznie blokowała wszelkie próby reform.

Cała ta pantomima sprawia, że mam ochotę palnąć sobie w łeb.

W tym roku Benji kupił mi woreczek z lawendą w kształcie serca. Dziękuję i przytulam go do siebie, a on próbuje się uwolnić.

– Jak ludzie umierają, bo mają sto lat, to ich serca przestają bić. Prawda, tato?

Rodzice dali mi to samo co zawsze i co dają też na urodziny, Gwiazdkę i Wielkanoc mojej siostrze, Kittowi i Antonowi, odkąd



wszyscy założyliśmy własne rodziny: kupon Monk & Sons wart sto funtów. Przyklejam do twarzy szeroki uśmiech i całuję ich oboje, udając wdzięczność.

Rodzice Kitta mieli zawsze świetne pomysły na prezenty. Zakładam, że nadal je mają, nawet jeśli już nie my je od nich dostajemy. Zawsze dawali mi fantastyczne rzeczy: kupony do ośrodków spa, bilety do opery, karty członkostwa w klubach miłośników win i czekolad. Kitt był zawsze niezadowolony „Każdy może kupić coś takiego – mawiał. – Takie prezenty dają swoim klientom szefowie korporacji. Ludzie, którzy mają kupę forsy, i nie chce im się szukać”. Jeszcze zanim zerwał kontakty z rodzicami, zdawał się ich nie lubić. Nie mogłam tego zrozumieć. „Dałabym wszystko, żeby mieć rodziców, którzy są normalnymi, ciekawymi ludźmi”, mówiłam mu, będąc pod wrażeniem Nigela i Barbary Bowskillów, którzy, choć mieszkali w Bracknell, regularnie jeździli do Londynu na przedstawienia teatralne albo wystawy.

Gdy Simon Waterhouse spytał mnie, dlaczego Kitt wyrzekł się swoich rodziców, powiedziałam mu to, co usłyszałam od Kitta: w dwa tysiące trzecim roku, gdy przechodziłam załamanie nerwowe spowodowane wizją przeprowadzki do Cambridge, gdy wypadały mi włosy, miałam paraliż twarzy i ciągle wymiotowałam, jego rodzice powiedzieli mu, że sam musi sobie poradzić ze swoimi problemami, że nie powinien oczekiwać od nich wsparcia, bo sami byli zajęci zakładaniem własnej firmy.

Nie mogłam sobie wyobrazić Nigela i Barbary w tak nieczułym wydaniu, ale gdy podzieliłam się swoją wątpliwością z Kitem,

naskoczył na mnie, mówiąc, że mnie przy tym nie było, więc muszę mu uwierzyć na słowo: jego rodzice mieli nas gdzieś i w takim razie on odwzajemni się im tym samym.

Sądziłam, że zaspokołam ciekawość Simona, lecz on sprawiał wrażenie niezadowolonego z mojej odpowiedzi. Zapytał, czy był inny powód, o którym mogłabym mu powiedzieć. Cokolwiek na temat Kitta i jego rodziców. Odparłam, że nie. Ściśle mówiąc, była to prawda. Jaki sens miałoby mówienie mu o tym, że moim zdaniem Kitt zawsze świadomie i celowo wyolbrzymiał ich różne słowa, szukając wymówki, by usunąć ich ze swojego życia? Uznałam, że podejrzewanie męża o tego typu wrabianie własnych rodziców byłoby wobec niego nie fair, więc nie wspomniałam o tym Simonowi.

– Śmiało, Connie. Wszyscy czekamy – Głos mojej matki wciąga mnie z powrotem w rzeczywistość przyjęcia urodzinowego, w którym wolałabym nie uczestniczyć.

Na moich kolanach leży paczka owinięta w papier z napisem „Wszystkiego najlepszego”. Prezent od Kitta. Tylko on, Fran i ja wiemy, że widziałam wcześniej zawartość opakowania, że kryje się w nim firmowa torba ze sklepu Chongololo. Wszyscy troje myślimy teraz o tym, jak bliska byłam zepsucia urodzinowej niespodzianki Kitta. W każdym razie ja o tym myślę. O tym, jak stałam w drzwiach łazienki, a on nad nożyczkami i taśmą klejącą, próbując nie dać po sobie poznać, że go zraniłam swoim brakiem zaufania. Widzę to jak nieruchomy kadr z filmu, którego akcja jest mi obojętna. Nie czuję wyrzutów sumienia ani żalu. Poczucie winy z czasem staje się nudne i prędzej czy później człowiek dochodzi do przekonania, że lepiej zrzucić odpowiedzialność

na kogoś innego.

Nie chcę tego prezentu, bez względu na to, co nim jest, ale muszę udawać, że jest inaczej. Mama klaszcze radośnie i mówi:

– Ojej, już się nie mogę doczekać! Kitt ma taki dobry gust.

Ja też wydaję z siebie sztuczne dźwięki podekscytowania, rozdzierając papier, myśląc jednocześnie, że w końcu będę musiała powiedzieć rodzicom o wyprawdzie Kitta i że mogłabym oszczędzić sobie kilku tygodni kłamstw, mówiąc im to teraz. Czemu tego nie robię? Czy jestem aż tak naiwna, by sądzić, że pomimo wszystko nasze kłopoty w końcu zostaną zażegnane?

Jak to Kitt powiedział? Możemy uprawdopodobnić nasze kłamstwo.

Rzucam papier na podłogę, otwieram torbę Chongololo i wyjmuję z niej niebieską sukienkę.

– Podnieś ją do góry – prosi matka. – Wszyscy chcemy zobaczyć, prawda, Geoff?

– Tata nie odróżniłby sukienki Chongololo od worka na ziemniaki – mówi Fran.

Poza tym nigdy nie odpowiada na bezpośrednio zadane pytania. Nie zauważyłaś tego przez te wszystkie lata, które z nim spędziłaś? Odzywa się do ciebie tylko wtedy, gdy mu to pasuje, nigdy w odpowiedzi na jakąkolwiek twoją potrzebę.

Wstaję i rozprostowuję sukienkę, żeby mama mogła ją zobaczyć. Nie jest tylko niebieska. Jest też trochę różu. Wzór. Falujące linie.

Falujące linie, krótkie, rozszerzane rękawy...

Nie. Nie, nie, nie.

Ciemne plamy przesuwają się z boków mojego pola widzenia ku środkowi.

– Dobrze się czujesz, Con? – Słyszę siostrę.

– Co się dzieje? – pyta mama, a jej głos dociera do mnie już mocno zniekształcony, słowa są rozciągnięte i powykręcane, podobnie jak wzór na sukience.

Muszę coś zrobić, by powstrzymać zawroty głowy. Jak dotąd nie miałam ani jednego ataku w obecności matki i nie zamierzam teraz debiutować. W dwa tysiące trzecim roku, w chwili słabości, powiedziałam jej o wypadaniu włosów, wymiotach i paraliżu twarzy. Nikomu nie mówiłam, nawet Kittowi, ale przeraziło mnie wtedy to, jak ochoczo uczepiła się mojego inwalidztwa. Umożliwiło jej rozpowszechnianie wygodnej teorii. Według niej sama ściągnęłam na siebie chorobę, bo udawałam, że chcę się przeprowadzić do Cambridge, choć w głębi duszy wcale nie chciałam. Mówiłam tak tylko, żeby sprawić przyjemność mężowi. A teraz cierpię przez swoją głupotę, ale ona się mną zaopiekuje i wyleczy. Morał tej historii? Żaden członek rodziny Monków nie powinien rozważać opuszczenia Little Holling.

– Connie? – Przez mgłę słyszę głos Kitta, lecz mój mózg stracił łączność z językiem, więc nie mogę odpowiedzieć.

Nie poddawaj się szarości. Nie przestawaj myśleć. Chwyć jedną

myśl i skup na niej całą swoją energię, nim zdąży się rozpląnąć, zostawiając cię bezwładnie dryfującą w ciemnościach. Nie powiedziałaś nic Kittowi, bo wtedy musiałabyś przyznać to przed samą sobą. Narzekać na matkę, że jest paranoiczną despotką, to jedno, ale... No, śmiało, powiedz to. Przecież to prawda. Wiesz, że to prawda. Twoja matka cieszyła się, że chorujesz. Według niej zasłużyłaś na cierpienie.

Woli, żebyś była chora niż wolna.

Chmury w mojej głowie zaczynają rzednąć. Wraca mi wzrok i widzę, że Fran i Kitt obydwójce szykują się, by wyskoczyć z foteli i rzucić mi się na pomoc, ale niepotrzebnie się martwią. Zawroty głowy minęły i nie wrócą, tak jak i wszystkie moje kłamstwa. Te, które mówię sobie, i te opowiadane innym. Mam już dość zatruwania się nieszczerością.

Rzucam prezent od Kitta w jego twarz.

– To sukienka, którą miała na sobie martwa kobieta – mówię.

Rodzice i Fran zaczynają głośno protestować. Słyszę pojedyncze słowa: „niebieska i różowa... niedorzeczne... zmęczona przesłuchaniem... niemożliwe...”.

– Tę sukienkę miała na sobie – powtarzam, patrząc na Kitta. – Dobrze wiesz, że mam rację. Dlatego mi ją kupiłeś. To część twojego planu zniszczenia mnie. – Mama wydaje z siebie dźwięk, jaki mógłby pochodzić od zranionego konia. Nie zwracam na nią uwagi. – Mam teraz zupełnie zwariować, tak? – Wypluwam kolejne słowa. – Rozpaść się na kawałki? Skoro nie mogłeś kupić mi tej samej sukienki, w którą

ubrana była martwa kobieta na zdjęciu w internecie, to znaczy, że musiałam zwariować, ewidentnie brakuje mi piątej klepki. Tak?

– Dlaczego ciocia Connie jest zła? – pyta Benji.

– Connie, zastanów się nad tym, co mówisz – odzywa się Kitt.

Jest blady jak kreda. Spogląda na moją matkę, jakby chciał mi powiedzieć: Na pewno chcesz to robić przy niej?

Nic mnie to już nie obchodzi. Powiem to, co mam do powiedzenia, bez względu na to, kto mnie usłyszy: matka, ojciec, papież czy królowa Anglii.

– Mówiłaś, że sukienka na zdjęciu była zielona i fioletoworóżowa – przypomina Kitt, bacznie mi się przyglądając, ale kierując swoje słowa nie do mnie. Chce udowodnić wszystkim dookoła, że dysponuje dowodem mojego szaleństwa. – Ta sukienka jest niebiesko-różowa.

– Kitt ma rację. Rzeczywiście mówiłaś „zielono-fioletowa” – popiera go Fran.

Biorę do ręki swoją torebkę. Gdy wychodzę z pokoju, matka woła:

– Nie wiem, co chcesz osiągnąć, uciekając!

Już to osiągnęłam. Jestem w innym miejscu niż oni.

– Deseń był identyczny – mówię Alice. – Widocznie mieli dwie wersje: zielono-fioletową i niebiesko-różową.

To już moje drugie nagłe spotkanie w ciągu niecałego tygodnia. Poprzednio martwiłam się tym, że zbyt się jej narzucam, ale dzisiaj, zjawiając się u niej, gdy właśnie wychodziła z pracy, nie przeprosiłam i

nie dałam jej wyboru. Powiedziałam, że musi mnie przyjąć.

– Kobieta, którą zamordowano przy Bentley Grove jedenaście, miała na sobie sukienkę z małego, niezależnego butik, który sam produkuje swoje ubrania i ma tylko jeden lokal, w Silsford.

Robię pauzę, by waga mojego stwierdzenia zdążyła zrobić wrażenie na Alice.

– Zróbmy odjazd. – Alice układa dłonie w kształt kamery i przybliża je do siebie. – Zostawmy na chwilę sukienkę.

– Nawet Fran wierzy Kittowi, a przecież uważa go za kłamcę – wyrzucam z siebie. – Niedawno powiedziała mi, że lekarz, który stwierdził, że nic mi nie jest, nie mógł być dobrym diagnostykiem.

– Zapomnij o Fran – mówi Alice. – Chcę, żebyśmy porozmawiały o tobie i Kitcie. Nikt inny nie jest ważny. Twierdzisz, że Kitt chce sprawić, byś zwątpiła w swoje zdrowie psychiczne. Po co miałyby to robić?

Otwieram usta, ale nagle okazuje się, że nie znam odpowiedzi. Odtwarzam sobie wszystko w pamięci. Adres w GPS-ie i Kitt zapewniający mnie o swojej niewinności; wirtualne zwiedzanie Bentley Grove 11 i kobiece zwłoki, policja, Jackie Napier potwierdzająca moje zeznania; Fran oglądająca zdjęcia ulicy i dostrzegająca samochód Kitta; ja otwierająca prezent od Kitta i znajdującą tę sukienkę.

Poznaję niemal wszystkie postaci tej historii: ostrożnego, inteligentnego Simona Waterhousea, sympatycznego i skromnego Sama

Kombothekrę, pragmatyczną, niewrażliwą Fran, wystraszoną i złą Seline Gane. Potrafię opisać nawet Jackie Napier, choć widziałam ją przez pięć minut: świętoszkowata, wyniosła, pozbawiona wdzięku. I martwą kobietę na dywanie: nieżywa, wykrwawiona na śmierć, nieruchoma. To były jej cechy charakterystyczne. Jest tylko jedna osoba, której nie potrafię zobaczyć w pełnej ostrości, choćbym nie wiem jak się starała.

– Connie? – odzywa się Alice.

– Nie mam pojęcia, kim lub czym jest Kitt – mówię w końcu. – Zupełnie jakby nie był już dla mnie osobą, tylko... obrazem, hologramem. Zbiorem zachowań.

– Chcesz powiedzieć, że mu nie ufasz.

– Niezupełnie. – Ciężko jest opisać coś, czego nie ma. Nieobecność ma wyraźny kształt tylko wówczas, gdy dawniej była obecnością, kiedy wiemy, czego nam brakuje. – Nie ufam mu, ale nie to chciałam powiedzieć. Gdy jestem z nim, nie mam wrażenia, że... że jestem z człowiekiem, że pod jego skórą jest żywa osoba. – Wzruszam ramionami. – Nie umiem tego lepiej wytłumaczyć. Jednak to nic nowego. To uczucie nie zaczęło się od znalezienia adresu Bentley Grove jedenaście w jego GPS-ie. Doskwierało mi od lat, lecz nie chciałam się do niego przyznać.

Alice czeka, aż powiem więcej.

– Gdy Kitt był studentem w Cambridge, zakochał się w kimś. Raz mu się to wymknęło, a gdy próbowałam drążyć temat, tylko się w sobie zamknął i wszystkiemu zaprzeczył. Zawsze nienawidził swoich



rodziców, ale nie chciał mi powiedzieć dlaczego. Udawał, że to wcale nie nienawiść, mimo że ja ją widziałam. Słyszałam ją w jego głosie, ilekroć z nimi rozmawiał. W końcu całkowicie zerwał z nimi kontakt i jestem prawie pewna, że okłamał mnie, podając mi powód tej decyzji.

– A potem był GPS, jego auto na zdjęciu Bentley Grove, kobiece zwłoki i sukienka – przypomina Alice. Przekręca się w swoim obrotowym krześle w stronę okna. – Connie, zazwyczaj nie mówię takich rzeczy pacjentom, ale tobie to powiem: sądzę, że masz rację, nie ufając mężowi. Nie mam pojęcia, co on zrobił, lecz uważam, że powinnaś trzymać się od niego z daleka.

– Nie mogę. Selina Gane nie chce ze mną rozmawiać, a policja nie wszczęła śledztwa. Moją jedyną drogą do poznania prawdy jest przekonanie Kitta, żeby się przede mną otworzył. Co?

Czy to litość w jej oczach?

– Twoim zdaniem nigdy nie poznam prawdy, tak? Uważasz, że powinnam o tym zapomnieć?

– Wiem, że tego nie zrobisz – uśmiecha się Alice. – I na twoim miejscu też bym nie zapomniała.

– Zanim to wszystko zaczęło się dziać, byłam taka sama jak Kitt – mówię. – Też nie byłam prawdziwa. Ale teraz mam swoją wyróżniającą cechę: jestem kobietą, która się nie poddaje.

– Nie byłaś prawdziwa?

Nie jestem pewna, czy będę umiała to wyjaśnić, jednak muszę spróbować, choćby nie wiem jak głupio to zabrzmiało.

– W dwa tysiące trzecim roku, gdy szukaliśmy z Kitem domu w Cambridge, czułam się... jakbym nie istniała.

Alice czeka, aż rozwinę myśl.

– Większość ludzi ma swój wymarzony rodzaj domu: kamienica w centrum miasta, chata na pustkowiu. Niektórzy zawsze kupują nowe domy, inni nawet nie spojrzą na budynek, który ma mniej niż sto lat. Wybierając dom, człowiek mówi coś o sobie. Gdy Kitt zabrał mnie na oglądanie chaty we wsi o nazwie Lode, niedaleko Cambridge, pomyślałam: Tak, mogłabym mieszkać w wiejskiej chacie. A potem, jak pokazywał mi apartament przy głównej ulicy w centrum miasta, myślałam: To w moim stylu. W głębi duszy jestem kobietą miasta. Kompletnie nie znałam samej siebie, nie wiedziałam, czego pragnę. Po obejrzeniu trzech czy czterech domów wpadłam w panikę, że brakuje mi tożsamości. Byłam przezroczyta. Patrzyłam w głąb samej siebie i widziałam pustkę. Myślałam wtedy: Mogłabym mieszkać w każdym z tych miejsc. Żadne z nich nie jest ani w moim stylu, ani się ze mną nie gryzie. Może nie mam własnej osobowości.

Alice pochyła się w krześle, które skrzypi.

– Byłaś po prostu otwarta. Kitt pokazywał ci dużo pięknych domów i każdy podobał ci się w inny sposób. To całkowicie zrozumiałe, żaden powód do zmartwień. Może każdy z tych domów przemawiał do innego aspektu twojej osobowości.

– Nie. – Machnięciem ręki odrzucam jej dodające otuchy słowa.

– Owszem, głupie było z mojej strony panikowanie, że nie wiem, jaki dom mi się podoba. To jest jasne, ale jednak panikowałam i to

jest niepokojące. Za każdym razem, widząc jakiś dom i nie czując momentalnie, że jest stworzony dla mnie, miałam wrażenie, że staję się bardziej nierzeczywista. Jakby wszelka jaźń, którą dawniej mogłam mieć, opuszczała mnie kropla po kropli. – Gryzę paznokieć kciuka, bojąc się, że zbyt dużo odkrywam i że przyjdzie mi za to zapłacić. – W końcu znaleźliśmy wspaniały dom przy Pardoner Lane siedemnaście. Najpiękniejszy ze wszystkich, bez wątpienia, teraz to wiem. Ale ja byłam załamana. Nie miałam pojęcia, czy mi się podoba, czy nie. Kitt był nim zachwycony. Ja udawałam tylko, że czuję to samo. Nie wiem, jak bardzo byłam przekonująca. Wydawało mi się, że rozpadam się na kawałki. Pragnęłam tylko móc powiedzieć: „Tak, ten dom jest w moim stylu”, i... powiedzieć to z przekonaniem.

Alice schyla się i sięga do otwartej, brązowej walizki, która stoi pod jej biurkiem. Trzyma w niej wszystkie swoje lekarstwa. Jej wnętrze podzielone jest na malutkie, kwadratowe przegródki i w każdej z nich jest mała, brązowa fiolka.

– Dręczył cię lęk i miałaś depresję. Byłaś zmęczona irracjonalnymi oczekiwaniami twojej rodziny – mówi Alice, wyjmując to jedną fiolkę, to drugą, czytając etykiety. – Poczucie znikającego „ja” brało się z tłumienia własnych potrzeb przez wzgląd na rodziców, którym one nie odpowiadały. Nie miało to nic wspólnego z elastycznością dotyczącą upragnionego domu. Mogę cię o tym zapewnić.

Wreszcie znalazła butelkę, której szukała. Dla wyjątkowych, wyjątkowych świrów.

Chcę powiedzieć więcej o domu, w którym powinnam była się

zakochać, ale byłam zbyt znerwicowana, by trzeźwo myśleć. Muszę to wyznać w całości: jak postanowiłam wszystko zrujnować, jak swoją paranoją niszczyłam w Kitcie jego pewność siebie.

– Dom przy Pardoner Lane siedemnaście sąsiadował ze szkołą, Beth Dutton Centre – mówię. – Całymi nocami nie mogłam zasnąć, przejmując się dzwonkiem. Czy to nie żałosne?

– Dzwonkiem?

– Dzwonkiem lekcyjnym. Martwiłam się, że będzie dzwonił między lekcjami i że będzie za głośny. Hałas doprowadziłby nas do szaleństwa i nigdy nie udałooby się nam sprzedać domu i wyprowadzić, bo musielibyśmy być szczerzy wobec ewentualnego kupca. Nie można ukrywać tak ważnego faktu. Kitt powiedział: „Jeśli dzwonek będzie zbyt głośny, poprosimy dyrekcję, żeby go ściszyli”. Śmiał się ze mnie, że martwię się takim drobiazgiem. I śmiał się też kilka dni później, gdy wyraziłam obawę z innego, równie idiotycznego powodu: dom nie miał nazwy.

– Tym razem dam ci inne lekarstwo – wyjaśnia Alice. – Anhalonium. Przez to, co mówiłaś o uczuciu bycia przezroczystą, bez osobowości.

– Nie umiałabym mieszkać w domu bez nazwy – mówię, nie słuchając jej. – Nigdy mi się to nie zdarzyło. Najpierw mieszkałam w Thorrold House z rodzicami, a potem wprowadziłam się do Kitta. Jego mieszkanie w Rawndesley było pod numerem dziesięć, ale budynek miał swoją nazwę: Martland Tower. Zresztą tam to było co innego, bo żadne z nas nie uważało tego miejsca za dom. To był tylko

tymczasowy lokal, przystanek. Teraz mieszkam w Melrose Cottage. Dom Fran i Antona nazywa się Thatchers. W Little Holling każdy dom ma nazwę i do tego przywykłam. Gdy Kitt tak bardzo ekscytował się Pardoner Lane siedemnaście, a ja próbowałam sobie wyobrazić mieszkanie w domu, który ma jedynie numer, wydawało mi się to jakieś... nie na miejscu. Zbyt bezosobowe. Przestraszyłam się.

Alice kiwa głową.

– Wszelka zmiana wywołuje strach – stwierdza.

Zawsze bierze moją stronę, ale nie jestem pewna, czy to dla mnie dobre, czy wciąż tego potrzebuję. Może korzystniej byłoby usłyszeć: „Owszem, Connie. To absolutnie niedorzeczne. Musisz przestać myśleć jak wariatka”.

– Którejś nocy obudziłam Kitta o czwartej rano – mówię. – Spał głęboko, więc musiałam nim potrząsać. Zdaje się, że byłam w hysterii. Całą noc nie spałam i nie panowałam nad sobą. Kitt spojrzał na mnie jak na wariatkę. Do dziś pamiętam ten wyraz wstrząsu na jego twarzy. Powiedziałam mu, że nie możemy kupić domu przy Pardoner Lane siedemnaście, jeśli nie nadamy mu nazwy. Chciałam, żebyśmy sprawdzili w internecie, czy można oficjalnie nadawać nazwy domom.

Alice się uśmiecha, jakby w moim szaleństwie było coś ujmującego, co każdy by zrozumiał.

– Kitt zrozumiał, że nie zamierzam się uspokoić ani pozwolić mu spać, dopóki nie znajdzie rozwiązania dla problemu, który wymyśliłam, więc powiedział: „No dobrze, sprawdźmy to”. Dość szybko znalazł w sieci niezbędne informacje i przekonał mnie, że nie mam się czym

przejmować i że będziemy mogli dowolnie nazwać nasz dom. Wystarczy napisać do urzędu pocztowego. I powiedział: „Może Wariatkowo”?

– Musiało cię to zabolec – mówi Alice.

– Wcale nie. Zaczęłam się śmiać, to był najlepszy dowcip, jaki słyszałam od dawna. Poczułam ulgę, gdy się okazało, że wszystko się ułoży: Kitt kupi swój upragniony dom, a ja będę mogła go oswoić swoją nazwą. Oczywiście na jakimś poziomie na pewno wiedziałam, że teraz będę musiała wymyślić inną przeszkodę. – Kręcę ze wstrętem głową. – Ciekawe, na co bym wpadła. Brzydkie kłamki? Niewłaściwa skrzynka na listy? Moja histeria tylko czekała, żeby znów się czegoś uczepić, ale wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy Kitt też czuł ulgę. Byliśmy wręcz... Sama nie wiem, to było trochę jak jakieś święto. Nie poszliśmy prosto do łóżka, tylko przeglądaliśmy w internecie strony z nazwami domów, śmiejąc się z idiotycznych sugestii: Costa Fortuna, Ślepych Zaułek. Okazuje się, że takie nazwy są bardzo popularne. Tak pisali na jednej ze stron. Mnie trudno było w to uwierzyć, lecz Kitt powiedział, że bez trudu wyobraża sobie różnych znajomych wymyślających podobne nazwy dla swoich domów. „To bardzo powszechna choroba – zauważył. – Przekonanie, że ma się poczucie humoru, gdy jest się go pozbawionym. Ślepych Zaułek? Równie dobrze można by nazwać swój dom Chatą Cymbała”. Zapytałam go, jak chciałby nazwać nasz.

– I co powiedział?

– Wygadywał różne głupoty, wiedząc, że nie będą mi się podobały.

Nakręcał mnie. Zresztą nie starał się za bardzo, bo zdawał sobie sprawę, że to nie jego działka. Nazwa musiała być doskonała i musiała pochodzić ode mnie. Musiała komunikować światu, że to jest nasz dom, i sprawić, by opuścił mnie cały lęk. Kitt zaczął się wygłupiać. Powiedział: „Mam pomysł. Nazwijmy go Death Button Centre<sup>3</sup>. Myślisz, że ludzie ze szkoły Beth Dutton będą wkurzeni? Albo że listonosz nas znienawidzi?”. Prosiłam, żeby przestał, ale powinnam była wiedzieć, że to go tylko jeszcze bardziej zachęci.

Powraca do mnie wspomnienie, które od lat nie gościło w mojej głowie, a teraz jest wyraźniejsze niż rzeczywistość. Widzę siebie przy biurku w mieszkaniu w Martland Tower i Kitta klęczącego obok mnie. Obydwoje jesteśmy w piżamach. W tamtym czasie mieliśmy tylko jedno krzesło przy komputerze. Wyłam ze śmiechu tak głośno, że ledwo słyszałam głos Kitta.

– Udawał, że mówi ze śmiertelną powagą i powiedział: „Im dłużej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się nazwa Death Button Centre. Moglibyśmy wygrawerować ją na tabliczce na drzwi. Chociaż nie, czekaj, mam jeszcze lepszy pomysł. Nazwijmy nasz dom Pardon Lane siedemnaście...”.

Słowa nagle rozplywają mi się w ustach, a przez moje ciało przebiega nowa fala lęku. Co? Co się dzieje?

Death Button Centre. Death Button Centre...

Wstaję i natychmiast tracę równowagę. Opieram się o ścianę.

– Connie? Co się stało?

Już wiem, co widziałam: brakujący szczegół, którego nie mogłam sobie przypomnieć. Aż do teraz. Tak, na pewno tam był. Na zdjęciu z martwą kobietą na podłodze. Ale już nie na fotografii salonu bez zwłok, tej, którą zobaczyłabym, gdybym teraz uruchomiła wirtualne zwiedzanie Bentley Grove 11. Na tym zdjęciu tego nie ma.

– Muszę iść – mówię.

Chwytam torebkę i wybiegam, ignorując prośby Alice, bym została, i zostawiając za sobą fiolkę z lekarstwem, które dla mnie przygotowała.



## DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/25IG

### **WULKAN**

Tilly Gilpatrick, 20 kwietnia 2010

Wielka góra

Ulewająca się

Lawa jest bardzo gorąca

Kryje cały świat

Alarm w telewizji

Nie pozwala ludziom wrócić z wakacji Świetnie, Tilly! Wspaniałe skojarzenia!

Nie, to żałosny wiersz, nawet jak na pięciolatkę. To jest dobra poezja:

Gdy pierwszy raz na targu byłem

W kieszeni miałem ze dwa pensy

Długo więc stałem i patrzyłem

Czegom nie kupił bez pieniędzy.

Dziś lepiej: gdy ochotę mam

Kupuję to, co mi na zdrowie

Tutaj są pensy, targ jest tam

Lecz gdzie się podział młody człowiek?

Już wie, że dwa i dwa to cztery

Wie, że nie pięć ani nie trzy.

Ból w sercu za to ma teraz szczery

I czuć go będzie wiele dni.

# 16

**23/7/2010**

Ian Grint przyszedł wcześniej, ale Simon to przewidział. W ciągu kilku sekund od przywitania wyczuł też jego gniew – zniecierpliwienie człowieka, który chce w jak najkrótszym czasie udowodnić innym, że ma rację. Grint skierował się do baru, wykonując pytający gest szklanki podnoszonej do ust. Simon przytaknął, choć nie sądził, że zostanie tu tak długo, jak wcześniej mu się wydawało. Pół godziny temu skończył czytać akta sprawy i poszedł na spacer Pub, który wybrał Grint, Żyj i Pozwól Żyć, znajdował się w okolicy mieszkalnej, więc nie było w jego pobliżu żadnych historycznych budynków uniwersyteckich, które Charlie mu polecała ze względu na ich piękno. Tylko domy i jeszcze jeden pub, Sześć Dzwonów.

Przechadzając się, Simon doszedł do wniosku, że Cambridge ma więcej polotu niż Spilling. I że jest bardziej tolerancyjne. Zaskoczyły go kolory drzwi: żółte, pomarańczowe, fioletowe, różowe, jasnoturkusowe. Najwyraźniej tutejsi mieszkańcy uważali każdy odcień za wart rozważenia. W Spilling większość ludzi decydowała się na bardziej posępne i szacowne barwy, jak czerń, ciemna czerwień i głęboka zieleń. Simon wątpił, by w całej Culver Valley dało się znaleźć choć jedną parę pomarańczowych drzwi.

Nazwy pubów w Spilling były do bólu tradycyjne: Brązowa Krowa, Gwiazda, Korona. Żaden właściciel w Culver Valley nigdy w życiu nie nazwałby swojego lokalu Żyj i Pozwól Żyć. Od biedy mógłby zaryzykować z Żyj i Narzekaj na Tych, Co Żyją Inaczej.

Gdy Grint zbliżał się z piwami, Simon zdjął papiery ze stołu i położył je na krześle obok.

– Mam nadzieję, że moi szanowni koledzy nie czytali ci tego przez ramię – powiedział Grint. – Bardzo chciałbym, żeby mnie teraz wylali, lecz chyba nie powinienem o to zabiegać. Mojej żonie by się to nie spodobało.

Słowo „szanowni” było nasiąknięte sarkazmem.

– Muszę cię zmartwić – odparł Simon. – Nie znalazłem tu niczego, co pozwoliłoby ci stanąć przed szefem i powiedzieć, że masz nowy trop.

– Ale coś tam znalazłeś?

– Coś i nic. Oświadczenia, które składali Kitt i Connie Bowskill. Odbieraliście je od nich oddzielnie czy...?

– Oddzielnie. – Grint wziął łyk piwa i wytarł usta zewnętrzną stroną dłoni. – Siedziałem z każdym osobno, gdy je składali. Potem usadowiłem obydwójce w jednym pokoju i kazałem jeszcze raz wszystko powtórzyć. Wtedy był też z nami Sam Kombo. Chciałem zobaczyć, czy będą się inaczej zachowywać.

– I?

– Nie działa się nic, czego bym nie przewidział. Facet był przy niej

bardziej spięty, ale na jego miejscu czułbym się tak samo. Bombardowała go oskarżeniami. W jego obecności była bardziej ożywiona niż w pojedynkę, lecz tylko trochę.

Simon przeglądał stertę papierów, szukając oficjalnych oświadczeń Kitta i Connie.

– Zauważyłeś coś dziwnego, przesłuchując ich sam na sam?

Grint się zaśmiał.

– A czy ty zauważyłeś w nich coś normalnego?

– Chodzi mi o nieścisłości co do faktów.

– Od czego mam zacząć? On jest przekonany, że to ona zaprogramowała adres w GPS-ie. Ona sądzi, że to on. On uważa ją za psychotyczną zabójczynię, ona twierdzi, że to on jest niezrównoważony. Obydwoje podejrzewają się wzajemnie o popełnienie morderstwa na podstawie jednego zdjęcia i niczego więcej. Zdjęcia, którego on nawet nie widział. – Grint kręci głową. – „Coś dziwnego” to mało powiedziane.

– Istnieje między ich zeznaniami drobniejsza różnica, która może mieć znaczenie. – Simon podał Grintowi obydwa oświadczenia.

– Dom w Cambridge, który prawie kupili w dwa tysiące trzecim roku. Connie podała adres Pardoner Lane siedemnaście, a Kitt mówił o Pardoner Lane osiemnaście.

Grint zmarszczył czoło, gapiąc się na akapity, które pokazywał mu Simon.

– Nie wierzę, że tego nie zauważyłem – powiedział w końcu. – Z drugiej strony, po siedmiu latach ktoś z nich miało prawo się pomylić. Wątpię, żeby to coś znaczyło.

Simon był innego zdania.

– Obydwoje mówią, że dom sąsiedował ze szkołą o nazwie Beth Dutton Centre. Obydwoje ze szczegółami opisują, dlaczego tak im się spodobał: oryginalne wiktoriańskie kominki, oryginalne żelazne ogrodzenie. – Simon wzruszył ramionami. – Jakoś nie sądzę, żeby mogli pamiętać to wszystko, a zapomnieć numeru.

– Ja ciągle zapominam o takich drobiazgach – powiedział Grint.

– A ty nie?

Simon nigdy niczego nie zapominał, ale uchylił się od odpowiedzi.

– W telefonie Connie od razu uruchamia się poczta głosowa. Dzwoniłem chyba z pięćdziesiąt razy od powrotu z Hiszpanii. Nigdy nie rozmawiałem z jej mężem, więc nie miałem jego numeru. Był w twoich aktach, więc skorzystałem. – Odczekał, na wypadek gdyby Grint chciał zaprotestować. Ponieważ protest nie nastąpił, Simon dokończył myśl: – Zgodził się ze mną spotkać dzisiaj o ósmej.

– Gdzie? – zapytał Grint.

Nie twoja sprawa. Simon skarcił się za bycie dupkiem. Grint miał prawo wiedzieć.

– W pubie Gaik. Właśnie miałem cię spytać, jak się tam dostać.

Grint chrząknął lekceważąco.

– Gaik? – wymamrotał, jakby już sama nazwa była dla niego obraźliwa. – W takim razie nie pojedę z tobą.

Nikt cię nie prosił. Simon lepiej sobie radził w rozmowach w cztery oczy niż w grupie. Nawet małej.

– Możesz do mnie później zadzwonić i powiedzieć, czy dowiedziałeś się czegoś ciekawego. W przeciwnym razie będę musiał przestać zgrywać superbohatera. Uszczęśliwię swojego szefa i posłucham jego rozkazu. Będę udawał, że nic się nie stało. Nic więcej nie pozostaje do zrobienia.

Simon zauważył rozczarowanie Grinta. Sam naopowiadał mu pewnie o talencie Simona i Grint spodziewał się nowego planu działań. Sądził, że Waterhouse dostrzeże coś ciekawego w aktach sprawy. Tymczasem to Simon nie sprawdził się w roli superbohatera.

– Według Kitta telefon Connie jest zepsuty – powiedział Simon.

– Podobno rzuciła nim o ziemię.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparł Grint i spojrzał na zegarek.

– Masz do zabicia prawie godzinę. Może coś zjemy? Podzielisz się ze mną swoimi nierealnymi teoriami, a ja opowiem ci swoje. Zawsze uważałem, że z gównianych pomysłów rodzą się te najlepsze.

Simon nie lubił jeść w towarzystwie osób, których dobrze nie znał. Grint nie był jego kumplem. Dlaczego musieli razem jeść? Po co?

– Nie myślałem o jedzeniu – powiedział.

Myślał o ulicy Pardoner Lane, że prawdopodobnie jest całkiem

niedaleko. Miał czas, żeby ją znaleźć i zobaczyć, z którym numerem sąsiaduje szkoła Beth Dutton Centre – 17 czy 18. Niewielka różnica, to fakt, ale nie miał powodu sądzić, że nieistotna.

Tak jak nie miał powodu ujawniać swoich planów przed Grintem.

– Pamiętasz ten wieczór w Brązowej Krowie parę lat temu, gdy prawie wdałeś się w bójkę? – spytała Olivia Gibbsa.

Leżeli w łóżku w hotelu Malmaison w Londynie. W tym tygodniu wypróbowali już kilka hoteli, ale ten był jej ulubionym. Ściany i podłogi były ciemne – czerwienie, brązy, purpury i czernie. Miało się wrażenie chodzenia wewnątrz ludzkiego serca. Liv zdążyła już kilka razy podzielić się z Gibbsem swoją teorią, iż projektant ewidentnie miał na myśli sekretną namiętność.

– Nieraz prawie wdałem się w bójkę.

– Chodzi o kolesia, który oskarżył cię o zabranie krzesła jego kumplowi, po tym jak je zaklepał. Ty na to odparłeś: „Mnie powiedział, że nie zaklepał”.

Gibbs pokręcił głową.

– Nie pamiętam.

– Ale pamiętasz, że bywałam w Brązowej Krowie, tak? Widziałeś mnie?

Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

– Zawsze.

– I co sobie myślałeś?



- Co sobie myślałem?
- Jak na mnie patrzyłeś.
- Nie wiem. „O, siostra Charlie z elegancką wymową i wielkimi cyckami”. Co ty myślałaś na mój widok?
- Na pewno nie przewidziałam tego. A ty?
- Nie.
- Nie uważasz, że to dziwne?
- Co takiego?
- Że żadne z nas nie domyśliło się, że skończymy... tak, jak skończyliśmy.
- Niespecjalnie – odparł Gibbs. – Jak mogliśmy wiedzieć, co się stanie, zanim się stało?
- Sęk w tym, że nie myśleliśmy nawet o tym, czy tego chcemy.
- I co z tego? I tak miało się stać.
- Jak to? – Olivia zepchnęła go z siebie. – Naprawdę tak uważasz? Że to się miało stać? Nawet wtedy, gdy żadne z nas o tym nie myślało?

Gibbs zastanowił się nad odpowiedzią.

- Stało się – powiedział. – A zanim się stało, miało się stać.
- Myślisz, że nasz romans był nieunikniony?
- Teraz już jest.
- No tak, ale... – Olivia zastanawiała się, jak to ująć. – Czy przed

ślubem Charlie i Simona istniało w ogóle prawdopodobieństwo, że nie pójdziemy do łóżka?

– Nie – odparł Gibbs.

– Naprawdę? – Olivia robiła, co mogła, by ukryć ekscytację. – Nigdy nie było takiej możliwości, żebyśmy nie mieli romansu? Tak uważasz? Czyli wierzysz w przeznaczenie. Według ciebie wolna wola jest iluzją?

– Znowu to robisz.

– Co?

– Wszystko, co mówię, zamieniasz w coś, czego nie rozumiem, po czym oznajmiasz mi, że to powiedziałem. Nie ma sensu, żebym się w ogóle odzywał. Ty pisz moje kwestie, wedle uznania.

– To ja nie rozumiem – jęknęła Olivia. – Wyjaśnij mi to!

Gibbs gapił się w sufit.

– Jeśli coś się wydarzyło, to można spojrzeć wstecz i powiedzieć, że musiało się wydarzyć. Bo się wydarzyło. Potem już nie ma żadnej innej opcji do wyboru.

– Nie jestem pewna, czy mówisz teraz coś romantycznego, czy nie.

Gibbs wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, to nieumyślnie. Po prostu stwierdzam fakt.

– No dobrze, w takim razie co myślisz o przyszłości?

– Widzę mnóstwo seksu.

- Ze mną? – spytała Olivia.
- Nie, kurwa, ze Spice Girls. Oczywiście, że z tobą.
- Nie sądzę, żeby dla Debbie było to oczywiste.
- Nie mów o Debbie.
- Dla Dominica również.
- O nim też nie mów.
- Co jest w ich przyszłości?
- Nie my – odparł Gibbs.
- Jako student ciągle tu przychodziłem – wspominał Kitt Bowskill.
- Uwielbiałem to miejsce. Od tamtej pory mam słabość do głęboko schowanych pubów w bocznych uliczkach. Pub przy głównej ulicy to kompletna pomyłka. – Uśmiechnął się i wziął łyk guinnessa. – Przepraszam, gładzę.
- Mogłem przyjechać do Silsford – powiedział Simon, widząc jego nerwowość. – Albo do Londynu. Miał pan jakiś powód, żeby spotkać się właśnie tutaj?
- Jak mówię: uwielbiam ten pub.
- Simon nie odrywał od niego wzroku. W końcu Bowskill oblał się rumieńcem i odwrócił głowę, luzując krawat.
- Jak pan widzi, kiepski ze mnie kłamca. I tak miałem dzisiaj być w Cambridge. Spotykam się z Connie.
- Pańska żona jest w Cambridge?

– Nie wiem, czy jest tu teraz, kazała mi przyjechać na dziewięćdziesiąt trzydzieści.

– Gdzie jesteście umówieni?

Bowski przybrał przeproszający wyraz twarzy.

– Powiedziałem jej, że spotykam się z panem i że próbowałem się z nią skontaktować. Ale ona nie chce z panem rozmawiać.

– Dlaczego?

– Jest na pana zła za to, że pan wyjechał bez zapowiedzi. Zwróciła się do pana o pomoc i jej nie otrzymała.

Simonowi najwyraźniej nie udało się ukryć irytacji, bo Bowski natychmiast dodał: – Nie brałbym tego do siebie. Con jest teraz zła na cały świat. Ma wrażenie, że wszyscy ją zawiedli.

Przy sąsiednim stoliku trzech mężczyzn w średnim wieku rozmawiali głośno o stypendium. Ktoś dostał dofinansowanie, na które nie zasłużył, a ten, kto na nie zasłużył, nie dostał nic. Jeden z mężczyzn był tym bardzo rozżalony Simon starał się nie słyszeć jego słów, by móc się skupić na tym, co mówił Bowski.

– Dom, który prawie kupiliście w dwa tysiące trzecim roku – powiedział.

– Pardon Lane osiemnaście?

– Taki był adres?

Bowski przytaknął.

– Nie według Connie.

– Jak to?

– Powiedziała Samowi i Ianowi Grintowi, że dom stał przy Pardoner Lane siedemnaście.

– W takim razie pamięć ją zawodzi – odparł Bowskill. – To był numer osiemnaście.

– Jak pan sądzi, dlaczego się pomyliła?

– A czemu ludzie się mylą? Gdybym miał powiedzieć o wszystkich rzeczach, co do których Connie myliła się w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, siedzielibyśmy tu do wtorku.

Simon przytaknął.

– Musi pan być na nią bardzo zły.

– A co, nie wolno mi? Chciałbym wierzyć, że celowo postanowiła zrujnować nam życie, bo wtedy przynajmniej mógłbym ją znienawidzić. A tak – mieszkam w anonimowym boksie w Londynie, otoczony obcymi ludźmi w ich anonimowych boksach, wyrzucony z domu, który przez lata budowałem, niemal od fundamentów Melrose Cottage było ruiną, gdy je kupiliśmy. To nie Connie cyklinowała podłogi, nie ona wykladała kominki kafelkami i nie ona projektowała ogród. To wszystko moje zasługi. A teraz pokazała mi drzwi. Tak, chciałbym być na nią zły, ale to nie jej wina, tylko. Sam nie wiem. Coś w nią wstąpiło, jakiś obłąd. Działa w kompletnym amoku. To już nie Connie i to chyba w tym wszystkim najgorsze.

Bowskill zaczął szybko mrugać, w nadziei że Simon nie zauważy napływających mu do oczu łez.

– Przed chwilą byłem na Pardoner Lane. Dom, o który pytałem, ma numer osiemnaście.

– Więc mi pan wierzy?

Simon chętnie uniknąłby odpowiedzi na to pytanie. Zwłaszcza teraz, gdy Bowskill poczuł się pewniej. Wiara nie miała tu nic do rzeczy. Simon sam sprawdził wszystkie fakty. Ufał więc własnym ustaleniom, nie Bowskillowi. Ale miał inne, osobiste pytania, które chciał mu zadać, więc podtrzymanie jego nastroju jeszcze przez chwilę w wyższym rejestrze mogło mu się opłacić.

– Z Beth Dutton Centre sąsiaduje Pardoner Lane osiemnaście, więc tutaj nie ma wątpliwości – powiedział. – Pan ma rację, a Connie się myli. W każdym razie co do numeru domu. Bo wszystkie inne szczegóły pamiętała dobrze: żelazne ogrodzenie, wiktoriański styl, okna otwierane pionowo. Numer siedemnaście jest po drugiej stronie ulicy.

Właściciele tego domu, małżeństwo w średnim wieku, zaprosili Simona do środka na kawę i sprawiali wrażenie zawiedzionych, gdy powiedział, że nie trzeba i że chce im zadać tylko jedno, proste pytanie. Kupili swój dom bezpośrednio od dewelopera i od tamtej pory nigdy nie był wystawiany na sprzedaż. Owszem, pamiętali ofertę pod numerem osiemnaście w dwa tysiące trzecim roku. Dom został kupiony już po kilku dniach, powiedzieli, i dokładnie tak samo było następnym razem, czyli w zeszłym roku. „Zresztą w obydwu wypadkach sami rozważaliśmy kupno – wyznali Simonowi. – Ładniej wygląda z ulicy i ma większe pokoje od naszego. Niestety było to

odzwierciedlone w cenie. I gdy się nad tym głębiej zastanawialiśmy, stwierdzaliśmy w końcu, że nie ma sensu przeprowadzać się na drugą stronę ulicy. Choć tak naprawdę wcale nie jest to takie głupie. To trochę jak gdy idzie pan do restauracji i osoba, z którą pan jest, zamawia dokładnie to, co pan chciał zamówić. Wtedy myśli pan sobie: No to teraz już nie mogę tego wziąć, i zamawia pan danie, którego wcale pan nie lubi!”.

Simon potakiwał bez zrozumienia. Na ogół unikał jedzenia w restauracjach, ale i tak miał wrażenie, że powinien był wiedzieć, o czym mówi właściciel Pardon Lane 17. A nie wiedział. Zbyt często gwoli uprzejmości przytakiwał, słuchając rzeczy, których nie rozumiał.

- Muszę zadać panu osobiste pytanie – odezwał się do Bowskilla.
- Śmiało.
- Pańscy rodzice.

Reakcja była jednoznaczna: głęboka uraza. Do Simona za zadanie pytania czy do państwa Bowskillów? Simon nie był pewien. Trochę o nich wiedział dzięki Connie. Nazywali się Nigel i Barbara i mieszkali w Bracknell, w Berkshire. Prowadzili własną firmę.

Coś związanego z laserami używanymi do odczytywania odcisków palców.

Bowskill odzyskał równowagę.

- Niech zgadnę – powiedział. – Connie zdradziła panu, że nie utrzymuję z nimi kontaktu. I domyślam się, że podała powód.
- Stwierdziła tylko, że nigdy nie mogła tego zrozumieć.

– Gów. – Bowskill zapanował nad gniewem. Nachmurzoną minę zastąpił wymuszony uśmiech. – To zwyczajnie nieprawda. Connie doskonale wie, co się stało.

– Może mi pan powiedzieć? – spytał Simon.

– Nie bardzo rozumiem, po co panu ta wiedza. Jaki to ma związek z czymkolwiek?

– Zwykła ciekawość. – Simon silił się na niezobowiązujący ton. Nie było powodu mówić Bowskillowi, że głównie po to chciał się z nim spotkać. – Ze strony człowieka, którego rodzice też nie są najłatwiejsi we współżyciu.

– Ale gdyby sięgnął pan dna, toby panu pomogli, prawda? – powiedział Bowskill. – W nagłym wypadku robiliby, co mogli, by się panem zaopiekować.

Simon nigdy się nad tym nie zastanawiał. Dawniej, przez całe jego dzieciństwo, matka dusiła go swoją nadopiekuńczością i traktowała, jakby był ze szkła i mógł się stłuc, robiąc coś szalonego, na przykład odwiedzając kolegę. Teraz trudno było sobie wyobrazić Kathleen opiekującą się kimkolwiek. Już dawno utraciła aurę władzy. Choć w wieku zaledwie sześćdziesięciu jeden lat nie miała żadnych problemów zdrowotnych, poruszała się i mówiła jak krucha starowinka stojąca na skraju unicestwienia. Simon nieraz zastanawiał się, co by o niej pomyślał, gdyby spotkał ją, będąc obcym człowiekiem. Zapytany o jej wiek, dałby jej osiemdziesiąt lat, a gdyby miał odgadnąć historię jej życia, powiedziałby, że po wielokrotnym ograbieniu przez nastoletnich nożowników straciła wolę przetrwania.



Otworzył usta, by wyznać, że w sytuacji nagłej potrzeby zwróciłby się o pomoc do wielu ludzi, w tym kompletnie mu obcych, zanim zadzwoniłby do matki, ale Bowskill zdążył już się nieźle nakręcić.

– Jacy rodzice nie chcieliby pomóc własnemu dziecku? Nie mam rodzeństwa, więc nikt nie konkurował o ich względy. Nie prosiłem ich o przeszczep nerki.

– Co się stało? – spytał Simon.

– Connie rozpadała się na kawałki. Fizycznie i psychicznie. Krzyczała przez sen, miała koszmary, wypadały jej włosy. Rzeczywiście się o nią martwiłem. Bałem się, że. W końcu nic się nie stało, więc chyba mogę to powiedzieć bez kuszenia losu: bałem się, że zrobi coś głupiego.

Simon przytakiwał. Rzeczywiście się o nią martwiłem. W przeciwieństwie do ludzi, którzy udają, że się martwią? Czyżby tym razem Bowskill udawał?

– Moi rodzice dali mi jasno do zrozumienia, że nie mam co liczyć na ich wsparcie.

– Prosił ich pan o pomoc?

– Tak. W jednoznaczny sposób. Prosiłem, a oni odmówili.

– Czego konkretnie pan od nich oczekiwał?

– Czy Connie opowiadała panu o swoich rodzicach? – zapytał Bowskill. – Że robili jej pranie mózgu, zastraszali ją i kaleczyli umysłowo, by nie umiała samodzielnie myśleć?

Simon pokręcił przecząco głową.

– Wspomniała, że nie są łatwi. I że sprawiali problemy podczas waszej przeprowadzki do Cambridge.

Bowski się zaśmiał.

– Connie zazwyczaj nie ucieka się do niedopowiedzeń – powiedział.

– Miło wiedzieć, że rozszerza swój repertuar.

– No więc co się wydarzyło? – zapytał Simon. – Z pańskimi rodzicami.

– Connie potrzebowała oddalenia od swojej rodziny, zwłaszcza od matki. Nie wiem, czemu używam czasu przeszłego, bo nadal tego potrzebuje. Miałem nadzieję, że moja mama weźmie ją pod skrzydło. Tylko tymczasowo, żeby podbudować jej samoocenę, przekonać, że może mieć takie życie, jakiego pragnie, i osiągnąć dowolny cel. Sam zdzieralem sobie gardło, próbując jej to wszystko tłumaczyć, ale bez skutku. Byłem osamotniony, w dodatku nie rodzic, tylko partner. Bez względu na to, co bym mówił, nie mógłbym zastąpić jej rodziny, nawet tak szkodliwej jak państwo Monk. A dodam, że Connie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jaką wyrządzają jej krzywdę. A jednak bała się sprzeciwić matce, która sobie nie życzyła tej przeprowadzki. Sytuacja była beznadziejna. Wiedziałem, że nie odciągnę jej od tej rodziny, jeśli nie. Jeśli nie będę miał jej do zaoferowania czegoś więcej niż samego siebie. Zawsze świetnie się rozumiała z moją mamą. Obydwoje z ojcem twierdzili, że kochają ją jak własne dziecko, lecz gdy przyszło co do czego, gdy trzeba było zewrzeć szyki i stworzyć rodzinę dla Connie, powiedzieli: „Dziękujemy,

ale wolimy się w to nie mieszać”.

– Może nie chcieli zachęcać jej, by obróciła się przeciwko swoim rodzicom? – powiedział Simon. – Woleli nie ingerować w ich relacje.

– Nie – odparł kategorycznie Bowskill. – Zupełnie nie o to chodziło. Gównu ich obchodzili Val i Geoff Monkowie. Po prostu nie chcieli robić sobie kłopotu. Zaczęli chrzanić coś o tym, że człowiek musi umieć stanąć na własnych nogach, unikać zależności od innych. To było naprawdę obrzydliwe. Kompletnie zrzeczenie się odpowiedzialności. Nigdy nie zachowałbym się w ten sposób wobec własnego dziecka, gdybym je miał. Spojrzałem na nich i pomyślałem: Kim wy jesteście? Dlaczego w ogóle marnuję na was czas? Od tamtej pory się do nich nie odzywam.

– Brzmi niefajnie – powiedział Simon.

Usiłował nadać swojej twarzy beznamiętny wyraz, by dorównać Bowskillowi. Musiał ukryć zadowolenie. Miał wreszcie teorię i choć nie mógł jej jeszcze udowodnić, to wszystko, co usłyszał od męża Connie, pozwalało mu wierzyć, że wkrótce to się zmieni.

# 17

## **Piątek, 23 lipca 2010**

– Connie.

Nie ciesz się na mój widok. Przystaniesz się uśmiechać, jak tylko usłyszysz, co ci mam do powiedzenia.

– Dziękuję, że przyszedłeś.

To nie twój mąż. To obcy człowiek. Umówiłaś się z nim na spotkanie biznesowe.

Próbuję podać Kittowi menu, ale on je odpycha. Pachnie piwem. Jesteśmy w restauracji hotelu Doubletree, w którym mieszka Selina Gane, a teraz też i ja. Wprowadziłam się godzinę temu.

– Nie jesteś głodny? – pytam. – Ja też nie.

Trochę szkoda, bo jedzenie jest tu pewnie bardzo dobre. Zielono-fioletowe, aksamitne obicia wyglądają na drogie. Przywodzą mi na myśl sukienkę martwej kobiety. Kolory są te same.

Odkładam obydwie karty dań i nalewam nam wodę do szklanek.

– Nie baw się ze mną – mówi Kitt. – Po co tu jesteśmy?

Wciąż jest naszykowany do skoku, gotowy do walki, niechętny do rozmowy na nieznany temat.

– Mieszkam tutaj.

Nie mówię mu o Selinie Gane. Oczywiście on może to już wiedzieć.

– Jesteś... – Jego oddech przyśpiesza, jakby był w biegu. Ciekawe, czy rozważa ucieczkę. Jak ciężko jest mu tu usiedzieć? – Wychodzisz z własnego przyjęcia urodzinowego bez słowa wyjaśnienia.

– Samo przyjęcie było wyjaśnieniem. Przyjęcie i twój prezent.

– Connie, przysięgam, że.

– Nieważne – mówię. – Nie obchodzi mnie to. Muszę porozmawiać z tobą o czymś innym. Usiądź.

Niechętnie opuszcza się na krzesło po drugiej stronie stolika. Jest wcieleniem napięcia: ma skulone ramiona, sztywną szczękę i zaczerwienioną twarz.

– Musimy pogadać o pracy – mówi.

– Słucham.

To w końcu spotkanie biznesowe. Nie można zapraszać męża na spotkanie biznesowe i zabronić mu mówienia o pracy.

– Jesteś w Nulli dyrektorką finansową. Każda strategia zaczyna się od ciebie, każdy plan. To ty pilnujesz, żeby wszyscy dostali pensje. Oczywiście mogę harować jak wół, moi ludzie też, ale marnujemy tylko czas, jeżeli ty nie wykonujesz swojej działki.

– Zgoda – mówię.

– Jeśli nie będziesz wiedziała na bieżąco, co się dzieje, Nulli się rozpadnie.

– Uważasz, że nie wiem?

– A wiesz?

– Nie – przyznaję. – Odkąd zobaczyłam zwłoki tamtej kobiety w internecie. Ale to niecały tydzień. Nasza firma nie obróci się w proch z powodu tygodniowych zaległości w papierach. Zresztą to nieistotne, bo za rok Nulli nie będzie już istnieć.

Kitt momentalnie blednie.

– O czym ty mówisz?

– Jesteś inteligentny, masz ambicję – odpowiadam rzeczowo, starając się wynagrodzić mu jakoś jednoczesną utratę żony i firmy. – Otworzysz nowy biznes beze mnie. Na pewno ci się powiedzie.

Usta i oczy Kitta zaczynają się poruszać w niekontrolowany sposób. Nie wierzy, że to się dzieje naprawdę. Wiem, co czuje.

– Jak możesz...?

Wybacz mi. Nie kocham cię mniej, niż zanim się to wszystko zaczęło. Mniej ci ufam i mniej lubię, jestem bardziej skłonna do zadania ci bólu, ale miłość jest ta sama. Nie sądziłam, że to możliwe. A ty?

Opieram się chęci wyjaśniania, bo wiem, że niczego to nie ułatwi.

– Jak możesz z takim spokojem oznajmiać swój zamiar zniszczenia wszystkiego, co mamy? – Głos Kitta jest głuchy, zachrypnięty. – Naszego małżeństwa, naszej firmy.

– Chcę, żebyś coś przeczytał. – Wyjmuję list z torebki i podaję mu

go. – Powinieneś to zobaczyć, zanim trafi do Seliny Gane. Po twojej akceptacji wsunę go pod jej drzwi. Ona też ma tu pokój. Wiedziałaś o tym?

Kitt kręci powoli głową, patrząc szeroko otwartymi oczyma na słowa, które zapisałam na kartce.

Spodziewałam się, że będzie mi ciężko, ale był to najłatwiejszy list, jaki w życiu pisałam. Na potrzeby eksperymentu założyłam, że Selina Gane jest niewinna, i wszystko jej wyjaśniłam. A w każdym razie tyle, ile mogłam: znalezienie jej adresu w GPS-ie Kitta, moje podejrzenia i lęki, które przywiodły mnie pod jej dom i kazały mi ją śledzić, mój żal, że nie byłam od razu bardziej bezpośrednia. Uznałam, że jeśli ona jest równie wystraszona i zagubiona jak ja, to tego będzie chciała: bezpośredniego listu z wyjaśnieniem i przeprosinami, od jednej niewinnej osoby do drugiej.

Nie traciłam czasu na zastanawianie się, o czym wspomnieć, a co przemilczeć. Hojnie obdarowałam ją informacjami, pisząc o rzeczach, których nie musiała wiedzieć. Nawet o tym, że zatrzymałam się w tym samym hotelu, choć w pokoju znacznie oddalonym od niej. „Przepraszam, jeśli przez to znów będziesz miała wrażenie, że cię prześladowuję – napisałam. – Naprawdę nie to jest moim celem. Wybrałam ten hotel, bo jego nazwa krążyła w mojej głowie, bo tutaj do ciebie dzwoniłam. W idealnym świecie zdobyłabym się na większy takt i znalazła inny hotel, ale jestem wyczerpana i nie mam już sił, więc tego nie zrobiłam”.

Czytając fragmenty listu jednocześnie z Kittem, dochodzę do

wniosku, że z powodzeniem nadałam mu rozsądny ton. Na miejscu Seliny Gane po przeczytaniu go zgodziłabym się na rozmowę ze mną.

Kitt upuszcza kartki na blat stołu. Powoli podnosi głowę, jakby za wszelką cenę chciał uniknąć patrzenia mi w twarz.

– I co? – pytam.

– Proponujesz, że kupisz jej dom.

– Tak.

– Oszalałaś? Jeszcze bardziej niż dotychczas? Oferujesz cenę wywoławczą. Milion dwieście tysięcy funtów. Nie stać cię na.

– Masz nieaktualne informacje – mówię mu. – Dom kosztuje teraz milion. Musi być bardzo zdesperowana, skoro obniżyła cenę zaledwie po tygodniu. Nie uważasz?

Kitt chowa twarz w dłoniach.

– Czyli oferujesz więcej, niż ona żąda. W sytuacji, w której nie dysponujesz takimi pieniędzmi i nie jesteś w stanie ich pożyczyć. Nie rozumiem, Connie. Pomóż mi.

– Albo ty możesz mi pomóc – odparowuję beznamiętnie. – Ja chcę teraz tylko poznać prawdę. Nie obchodzi mnie, jaka ona jest. Naprawdę. Nawet jeśli jest gorsza, niż sobie potrafię wyobrazić. Nie obchodzi mnie nasze małżeństwo.

– Miło to słyszeć.

– Nie obchodzi mnie, czy kogoś zabiłeś, ani czy zrobiłeś to sam, czy z pomocą Seliny Gane. Nie zamierzam nawet iść na policję, oto jak



bardzo mnie to wszystko nie obchodzi. Dbam jedynie o siebie, chcę zaspokoić swoją potrzebę prawdy o tym, co się stało z moim życiem.

– Przestań.

– Przykro mi, jeśli cię to boli – mówię. – Chcę ci tylko uzmysłwić, że istnieje proste wyjście: możesz mi po prostu powiedzieć. Powiedz mi, co się dzieje, Kitt. Wtedy nie będę musiała wsuwać tego listu pod drzwi Seliny Gane.

– Connie. – Kitt chwyta mnie za rękę.

– Powiedz mi!

Widzę w jego oczach jakiś proces: lęk, świadomość, kalkulację. Chyba głównie lęk.

– Boże, Connie. Nie wiem, od czego.

Boję się choćby mrugnąć, żeby go nie spłoszyć. Czyżbym miała wreszcie usłyszeć prawdę?

– Jak mam cię przekonać? – mówi nieco zmienionym, twardszym tonem. – O niczym nie wiem. Niczego nie zrobiłem.

Nie, nie zdawało ci się. Była szansa, ale już jej nie ma. Postanowił nie ryzykować.

– Nie wierzysz mi, prawda? – pyta.

– Nie.

Na moje serce spada tak ciężki kamień, że przez chwilę nie jestem w stanie się odezwać. A czego się spodziewałaś? Pełnej spowiedzi?

– No dobrze – mówię w końcu. – Skoro nie chcesz wyjawić mi prawdy, będę musiała sama ją poznać. Stąd ten list.

– Stąd? – Śmiech Kitta mnie zaskakuje. Jak można w jednym, krótkim słowie zawrzeć aż tyle gniewu? – Przepraszam, czyżbyś sugerowała jakiś porządek logiczny? Niby jakim cudem przybliży cię do poznania prawdy podzielenie się szczegółami naszego nieszczęścia z obcą osobą i zaoferowanie kupna jej domu, na który cię nie stać?

– Może nie przybliży.

– Co chcesz przez to osiągnąć? – pyta, uderzając dłonią w list.

– Pewnie nic. Nie robię tego dlatego, że uważam to za genialny pomysł, który na pewno przyniesie skutek. – Gdybym nie była tak wycieńczona, spróbowałabym mu wyjaśnić, jak bardzo oddaliłam się w ciągu minionych sześciu dni od świata udanych wyborów i pozytywnych rozwiązań. – Robię to, bo nie mam innego pomysłu, bo jest to jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy na doprowadzenie spraw do końca, zwłaszcza że policja postanowiła nic nie robić.

Zbliża się do nas kelner, ale Kitt wyciąga otwartą dłoń, by go powstrzymać. Jak policjant z lizakiem zatrzymujący samochody.

– Niczego nie chcemy oprócz świętego spokoju – mówi agresywnym tonem.

Kilku biznesmenów siedzących przy sąsiednim stoliku spogląda w naszą stronę. Jeden unosi wysoko brwi.

– Dwie rzeczy wiem na pewno – zauważam spokojnie, trzymając się ustalonego scenariusza. – Adres Bentley Grove jedenaście był

zaprogramowany w twoim GPS-ie jako „dom”. W salonie tego domu zamordowano kobietę. Nie umiem wytłumaczyć tych dwóch faktów. Twierdzisz, że ty też nie. W takim razie, jeśli mam poznać prawdę, muszę dowiedzieć się dużo więcej na temat tego domu. – Wzruszam ramionami. – Kupno to jedyny plan, jaki wymyśliłam. Nie mów mi, jak mało prawdopodobne jest, że się uda. Wiem o tym. Ale wiem też, że kupując dom, człowiek poznaje go tak jak nikt inny. Nagle okazuje się, że w szafce na bieliznę cuchnie stęchlizną, a pod podłogą sypialni ukryty jest sejf.

– Connie, nie stać cię na Bentley Grove jedenaście.

– Owszem, stać. Nie mnie, ale nas. Potrzebuję twojej pomocy, a ty mi jej udzielisz. W przeciwnym razie jutro wszczynam procedurę rozwodową. Albo w poniedziałek. Kiedy tylko się da. Odejdę też z Nulli z dnia na dzień i nie sprzedam ci swoich udziałów. Stanę się twoim najgorszym koszmarem: współniczką, która niczego nie wnosi. Wiem dokładnie, co zrobić, żeby zamienić twoje życie w piekło i ściągnąć Nulli na dno. Popełnisz błąd, jeśli uznasz, że się do tego nie posunę.

Nigdy w życiu nie słyszałam tak głośnej ciszy. Inni ludzie w restauracji rozmawiają, widzę ich poruszające się usta, ale ich dźwięk tłumiony jest przez głęboką czerń spowijającą mój umysł i przez przerażone spojrzenie milczącego Kitta.

Mijają dwie, trzy minuty, podczas których oboje siedzimy jak zastygli. W końcu Kitt pyta:

– W co żeś się zmieniła?

– W kogoś, kto walczy o swoje – mówię. – To jak? Pomożesz mi?

– W jaki sposób?

– Wystarczy, że będziesz podpisywał wszystko, co podetknę ci pod nos.

– Nie poznam tego genialnego planu?

Chyba nic się nie stanie, jeśli mu powiem.

Biorę duży łyk wody, nagle zdenerwowana, jakby nauczycielka od matematyki przystępowała do oceniania mojej pracy domowej.

– W obecnej sytuacji masz rację: nie stać nas na Bentley Grove jedenaście. Nie sprzedaliśmy naszego domu, nawet nie wystawiliśmy oferty. Nawet gdybyśmy jutro to zrobili, wątpliwe, by udało się znaleźć na czas solidnego kupca. Ponieważ cena za Bentley Grove jedenaście spadła do miliona, dom zostanie sprzedany w ciągu kilku dni. Jest reklamowany jako okazja, szybka oferta za zniżoną cenę. W dodatku stoi w jednej z najlepszych okolic Cambridge. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że w poniedziałek będzie już po wszystkim.

– Czy mogę zabarwić twoją fantazję odrobiną realizmu? – pyta Kitt. – Nawet gdybyśmy wyczarowali kupca na nasz dom, dostalibyśmy góra trzysta tysięcy. Nadal nie byłoby nas stać na Bentley Grove jedenaście.

– Z naszymi dochodami i zyskami z Nulli dostaniemy kredyt na osiemset, dziewięćset tysięcy. Chociaż pewnie nie od Halifaxu ani NatWest...

– W takim razie od kogo?

– Jest całe mnóstwo prywatnych banków, które z pocałowaniem ręki pożyczą nam kupę forsy w zamian za przeniesienie do nich naszych firmowych i prywatnych rachunków. Jesteśmy dla nich wymarzoną kąską. Pomyśl tylko o naszych zyskach z ostatnich dwóch lat – poszybowały w górę. Będę musiała podrasować trochę prognozy na ten rok i następny. Bank przejrzy nasze księgi i stwierdzi: „Świetnie, zero ryzyka”. Zabezpieczeniem będzie Nulli i Bentley Grove jedenaście. Nie widzę powodu, żeby nie dali nam tego kredytu.

Kitt milczy. Przynajmniej mnie słucha, co nie było dla mnie oczywiste. Bałam się, że będę musiała rozmawiać z zielono-fioletowym krzesłem.

– Przeczytałeś list – mówię spokojnie, powoli realizując plan spotkania. – Widziałeś, że oferuję Selinie Gane milion dwieście tysięcy, czyli wcześniejszą cenę wywoławczą. Zrobiłam to z dwóch powodów. Po pierwsze, ona nie chce ze mną rozmawiać. Dodatkowe dwieście tysięcy, na które nie liczyła, może okazać się dostateczną zachętą. Po drugie, gdy rozejdzie się wieść, że Bentley Grove jedenaście idzie za milion, będzie tylu zainteresowanych, że wkrótce zacznie się licytacja i cena znowu podskoczy. O ile Selina Gane nie jest idiotką, to zdaje sobie z tego sprawę. Jeśli ma mi się udać to wyprzedzające uderzenie, moja oferta musi wziąć pod uwagę potencjalny wzrost popytu. Realistycznie w takiej sytuacji najwyższa oferta może sięgnąć miliona stu tysięcy.

– Więc dlaczego nie chcesz zaoferować tyle? – pyta Kitt surowym tonem.

Wmawiam sobie, że to jakiś postęp. Angażuje się w dyskusję, zadaje sensowne pytania.

– Myślałam o tym – mówię. – Ale niechęć Seliny Gane do mnie, połączona z faktem, że i tak pewnie osiągnie taką cenę za swój dom, może ją skłonić do zignorowania mojej oferty. Jednak żeby odrzucić milion dwieście tysięcy, musiałaby być naprawdę niespełna rozumu. Nie wyobrażam sobie, żeby to zrobiła.

No i będzie wiedziała o tym domu rzeczy, których nie wie nikt inny. O tym, co jest ukryte i co zniknęło. Co kiedyś tam było, lecz zostało zabrane. Zwłoki kobiety, przycisk śmierci...

Mogłabym zadzwonić do Lorraine Turner, podać fałszywe nazwisko i umówić się na oglądanie domu, ale jaki w tym sens? Nawet dobrze poinformowana agentka nieruchomości nie wie o sprzedawanym przez siebie domu tyle co jego właściciel.

Zaproponowanie miliona i dwustu tysięcy funtów wydaje się dobrym sposobem na przekonanie Seliny Gane, by ze mną porozmawiała.

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – syczy na mnie Kitt, pochylając się nad blatem stołu, jakby sądził, że większa bliskość z jego agresją nakłoni mnie do zmiany zdania. – Musiałaby być niespełna rozumu, żeby odrzucić tę ofertę? To ty jesteś niespełna rozumu, jeśli chcesz ją złożyć. Nawet gdyby udało się pożyczyć dziewięćset tysięcy od jakiegoś prywatnego banku.

– Skąd wzięlibyśmy pieniądze na spłatę rat? – Przewidziałam wszystkie jego wątpliwości. – Dokonałam wstępnych obliczeń. Biorąc

pożyczkę z odroczoną spłatą kapitału i wykorzystując dziewięćdziesiąt procent naszych pensji i wszystkie oszczędności, będziemy mogli spłacać raty przez dwa, trzy lata, zależnie od różnych zmiennych. Potem nie wiem. Może do tego czasu wzbogacimy się na innym biznesie albo...

Nie, stop.

Obiecałam sobie, że nie będę kłamać, by ułatwić nam obojgu podjęcie decyzji.

Nie będzie żadnego nowego biznesu. Nie ma też „nas”.

– Gdy przestaniemy spłacać raty, Bentley Grove jedenaście zostanie przejęte przez bank – mówię. – To nieuniknione i wcale mnie to nie martwi. Jeżeli przez dwa lata nie znajdę niczego, co pomoże mi poznać prawdę, to pewnie już nigdy mi się nie uda. Wtedy powinnam już zacząć myśleć o daniu za wygraną.

– Proponujesz mi ten plan, wiedząc, że doprowadzi do bankructwa?

– Zarabianie pieniędzy nie ma sensu, jeśli nie wydajesz ich na coś istotnego. Zakładam, że jeśli zostanę już kompletnie bez środków do życia, to rząd zapewni mi niezbędne minimum: pokój w motelu, mieszkanie komunalne, świadczenia. Nie umrę z głodu.

– Twoje wyliczenia nie trzymają się kupy – mówi Kitt z cynicznym uśmiechem, ale powinien się zastanowić, nim coś powie. Kiedy to moje wyliczenia się nie zgadzały? Wzbiera we mnie histeria. Moje życie może rozpadać się w drobny mak, lecz talent do księgowości nie

uległ zmianie. Hura. – Mówisz o pożyczce dziewięćset tysięcy, ale w liście oferujesz milion dwieście. – Znów uderza dłonią w kartki. – Skąd weźmiesz brakujące trzysta tysięcy?

– Ze sprzedaży Melrose Cottage – mówię. – Wspomniałeś o wyczarowaniu chętnego na nasz dom? Zrobiłam dokładnie to. Znalazłam solidnego kupca, który nas nie zawiedzie, i będziemy mogli od razu podpisać umowę z Seliną Gane, bez obaw, że będzie trzeba wszystko odwołać.

– Kto jest tym kupcem? Wygadujesz bzdury! Nie miałaś czasu na znalezienie kogokolwiek. Dom nie jest nawet wystawiony na sprzedaż. Twoi rodzice na pewno nie pomogą ci w żadnym przemyślanym bankructwie. Gdyby tylko usłyszeli to, co ja teraz słyszę, obydwójce padliby na zawał. Fran i Anton nie mają pieniędzy. Kto jest twoim kupcem, Connie? Zejdź na ziemię!

– Sprzedamy Melrose Cottage samym sobie. Kupcem będzie Nulli.

Cisza.

Prę dalej.

– Na koncie Nulli jest teraz jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy. Z prawnego punktu widzenia firma jest oddzielnym bytem od ciebie i mnie. Może sama pożyczać pieniądze. Będzie tak: Nulli kupi Melrose Cottage za trzysta tysięcy. Nie wiem, może nawet odrobinę więcej, trzysta dwadzieścia albo trzysta pięćdziesiąt. No tak, myślę, że Nulli mogłoby być pod takim wrażeniem naszych wyszukanych wnętrz, że zapłaciłoby trzysta pięćdziesiąt tysięcy, żeby zniechęcić konkurencję. Rzeczoznawcy powie się, że jest to cena uzgodniona przez



sprzedającego i kupującego, więc raczej nie będzie jej kwestionował. Trzysta pięćdziesiąt tysięcy to nie taka niewyobrażalna kwota, jeśli wziąć pod uwagę pracę, którą włożyliśmy w ten dom.

– Którą ja włożyłem – mamrocze Kitt.

Nie zamierzam się z nim spierać. W końcu ma rację.

– Nulli wyłoży sto tysięcy na kupno Melrose Cottage, a dwieście pięćdziesiąt tysięcy pożyczę – mówię. – Pięćdziesiąt tysięcy, które zostanie na koncie firmowym, pokryje koszty opłaty stemplowej, notariusza, wszystko. Może nawet zostaną jakieś pieniądze na wypłatę pensji. – Musisz się śmiać, prawda? Inaczej mógłbyś tylko płakać. – Jak tylko firma Nulli stanie się właścicielką Melrose Cottage, wystawi go na sprzedaż i szybko znajdzie chętnego. Dom kupi ktoś, z kim chodziłam do szkoły, albo jacyś znajomi moich rodziców, którzy szukają mniejszego miejsca po wyprowadzce dzieci. Tymczasem my będziemy mieli gotówkę ze sprzedaży naszego domu: trzysta pięćdziesiąt tysięcy. Przeznaczmy trzysta na Bentley Grove jedenaście, pożyczając dziewięćset. Nie, przepraszam – poprawiam się. – Wyłożymy dwieście dziewięćdziesiąt i pożyczymy dziewięćset dziesięć. Sześćdziesiąt, które nam zostanie z puli Melrose Cottage, pokryje opłatę stemplową, która będzie gigantyczna, i koszty notarialne. Jak tylko Melrose znajdzie realnego nabywcę, Nulli dostanie z powrotem dwieście dziewięćdziesiąt tysięcy i będzie tylko sześćdziesiąt tysięcy do tyłu. Ale tak naprawdę wcale nie, bo Nulli to my i te sześćdziesiąt tysięcy będzie już przez nas wykorzystane. Poza wszystkim jest to świetny sposób na wyciągnięcie z firmy dużej sumy bez płacenia podatku.

Kitt milczy, nie rusza nawet powieką. Może umarł. Zszokowałam go na śmierć.

– Na początku myślałam, że Nulli kupi Bentley Grove jedenaście, ale to by się nie udało – mówię. – Muszę się tam wprowadzić na stałe, inaczej niczego się nie dowiem. Gdybym mieszkała w domu będącym własnością Nulli, stałby się wtedy świadczeniem w naturze, podlegającym opodatkowaniu. Poza tym prywatny bank nie pożyczyłby naszej firmie tyle co nam i na pewno naliczyłby dwa razy wyższe odsetki. Warunki kredytów hipotecznych dla firm są znacznie surowsze niż dla osób prywatnych. Ale ten sposób jest doskonały. Nulli kupuje Melrose, w którym już i tak nie mieszkamy, więc nie jest to świadczenie, tylko inwestycja. Sprzedajemy bankowi jakąś bajeczkę o wynajmowaniu domu w przyszłości.

– Zamknij się! – grzmi Kitt. – Nie chcę już dłużej tego słuchać. Po prostu... przestań mówić.

Posłusznie czekam w milczeniu, aż zbierze siły, by rozerwać mnie na strzępy. Kitt nie jest impulsywny. Będzie chciał najpierw przeciwżyć swój atak.

Wszyscy w restauracji na nas patrzą, udając, że tego nie robią. Zastanawiam się przez chwilę nad wygłoszeniem publicznego komunikatu: Możecie dać sobie spokój z subtelnościami. Od dawna nie obchodzi nas, co inni o nas myślą.

Nagle ogarnia mnie przemożna ochota na kir royale. W tym lokalu na pewno można dostać kir royale. Czy w tej zielono-fioletowej sali w aksamitach, z ciepłym światłem i widokiem na rzekę można mieć

ochotę na jakiegokolwiek innego drinka?

Ale nie mogę poprosić o kir royale. Nie byłoby to w porządku. Nie na miejscu. Stuknięta Connie.

– Czy masz pojęcie, jak bardzo twój plan jest popieprzony? – odzywa się Kitt po kilku minutach. Zniżył głos do szeptu, więc może jednak zależy mu na zrobieniu dobrego wrażenia, nawet teraz. Mówię sobie po raz kolejny, że nic o nim nie wiem. Nic istotnego. – Mówisz, że wykorzystamy te sześćdziesiąt tysięcy, jakby był w tym dla nas jakiś zysk. Tak, wykorzystamy te pieniądze. Hura. Użyjemy ich do kupienia domu, który stracimy po dwóch latach, bo nie będzie nas na niego stać. A Nulli, które tak długo budowaliśmy i w które włożyliśmy tyle potu i krwi, pójdzie na dno. Zanim Melrose Cottage znajdzie prawdziwego kupca, będziemy mieli ile? Dwa, trzy miesiące, kiedy nie będziemy w stanie zapłacić nikomu?

– Masz rację – mówię. – Nulli jest w tym planie ofiarą, prawie na pewno. I stracimy obydwa domy, Melrose Cottage i Bentley Grove jedenaście. Z drugiej strony korzyść jest taka, że gdy bank odbierze nam Bentley Grove, dostaniemy jakieś udziały, zależnie od tego, jaką uzyska cenę. A jeśli Nulli sprzeda Melrose Cottage, to nawet jeśli będzie już wtedy szło na dno, te trzysta tysięcy do nas wróci, pomniejszone o koszty bankructwa.

– Zostaniemy z niczym – stwierdza Kitt głosem ciężkim od rozpaczki – Tę jedną cechę wspólną mają wszyscy ludzie, którzy bankrutują. Zaczynaj używać swojej głowy, do cholery!

– Myślę, że jesteś zbytnim pesymistą. Coś na tym skorzystamy.

Pamiętaj, że do sprzedania będą dwa domy – Czas na odrobinę szczodrości. Zachęć go trochę. – Wszystkie środki, jakie w ten sposób wygenerujemy, możesz zatrzymać dla siebie. Nie żartowałam, mówiąc, że nie obchodzi mnie, czy będę biedna.

Wewnętrzny głos, najprawdopodobniej należący do mojej matki, mówi mi: może cię to nie obchodzi, ale powinno.

Trudno.

– Muszę poznać prawdę – mówię. – Może mi się to nigdy nie udać, lecz wiem, że to jest jedyny sposób. Ten plan jest początkiem znajdowania odpowiedzi na moje pytania.

Milion dwieście tysięcy funtów. Najdroższa odpowiedź w historii.

– Jeśli się nie zgodzę, to się ze mną rozwiedziesz, tak? – pyta Kitt.

Kiwam głową.

– A co stanie się z naszym małżeństwem, jeśli powiem tak?

– To zależy. Jeśli poznam prawdę i okaże się, że nie jesteś kłamcą i mordercą. – Wzruszam ramionami. – Może uda nam się wszystko posklejać, chociaż. – Przerywam. Nie powinnam dawać mu fałszywej nadziei, nawet jeśli pomogłoby mi to osiągnąć cel. – Myślę, że nasze małżeństwo i tak już jest skończone – mówię.

– Czyli nie ma się nad czym zastanawiać. – Kitt uśmiecha się niepewnie. – Jeśli mam do wyboru gwarantowaną albo prawdopodobną utratę osoby, którą kocham, to wybieram to drugie. – Wstaje.

– Podpiszę wszystko, co mi dasz. Powiedz tylko słowo. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

# 18

**23/07/2010**

– Musisz coś dla mnie zrobić.

– Ja też się cieszę, że cię słyszę – powiedziała Charlie, wykrzywiając wulgarnie twarz. – Czuję się dobrze. Dziękuję, że pytasz. A co u ciebie?

– Skontaktuj się z Alice Fancourt i jak najszybciej się z nią spotkaj. Przepraszam, Alice Bean. Dowiedz się, kiedy ostatni raz widziała Connie Bowskill i o czym.

– Chwila, chwila!

To był ten rodzaj rozmowy, która wymagała akompaniamentu wina: zimnego, białego i bardzo wytrawnego. Charlie nacisnęła pauzę na pilocie, zwlokła się z kanapy i zasunęła zasłony w salonie. Prawie do końca, bo nie spotykały się w środku. Kompletnie spartaczyła ich zawieszenie. Olivia namawiała ją, by je zdjęła i spróbowała jeszcze raz, ale w mniemaniu Charlie zasłony należały do kategorii rzeczy, które zasługują tylko na jedną szansę. Zasłony i siostry.

Nikommu by się do tego nie przyznała, lecz cieszyła się z powrotu do domu. Znów była królową małego, kiepsko urządzonego segmentu w szeregowcu, a nie intruzem w raj.

– Connie Bowskill zna Alice? – spytała, powstrzymując się przed ziewnięciem.

– Alice jest jej homeopatką – powiedział Simon. – Muszę wiedzieć, kiedy ostatni raz ją widziała, i co Connie wtedy mówiła.

I spytać, czy wie, gdzie Connie może teraz być.

– Nazwij mnie egoistką, ale co powyższa lista twoich priorytetów ma wspólnego ze mną? Oglądałam film, przerwałeś mi.

Film miał tytuł Sierota i jak na razie był świetny. Opowiadał o zaadoptowanej dziewczynce o imieniu Esther, opętanej chęcią zamordowania rodzeństwa. Charlie całkowicie się z nią utożsamiała, zdając sobie sprawę, że pewnie nie o to chodziło reżyserowi.

– Przecież ja nie zadzwonię do Alice – powiedział niecierpliwie Simon.

– Z tego, co wiem, obydwójce macie usta i uszy. Chodzi raczej o to, że nie chcesz z nią rozmawiać?

Charlie nalała sobie wina do kieliszka, zadowolona, że Simona nie ma przy niej i nie widzi jej uśmiešku. Jednak mina jej zrzędła na myśl o tym, że jego niechęć do spotkania z Alice można było tłumaczyć różnymi przyczynami: awersją, wstydem, oporem przed rozgrzebywaniem dawnych ran. Każdy z tych powodów jest okej, pomyślała Charlie, wstawiając butelkę do lodówki. Ale już paląca, nieodwzajemniona miłość, która tylko by się nasiliła w obecności obiektu? Nie. To niedorzeczne. Ton jego głosu sugerował wyraźnie, że Alice była tylko środkiem do celu. Teraz Simon interesował się Connie

Bowskill. Jednak nie w taki sposób, stanowczo powiedziała sobie w duchu Charlie.

– Owszem, nie chcę z nią rozmawiać – przyznał Simon.

Charlie też nie chciała, ale wiedziała, co się stanie, jeśli odmówi. Stłumiłby swoją niechęć i zrobił wszystko, byle zdobyć niezbędne informacje. Charlie miała szansę udaremnić im spotkanie po latach.

– Dobrze, zrobię to. Gdzie jesteś?

– Ciągle w Cambridge.

– Wracasz do domu?

– Nie. Jadę do Bracknell porozmawiać z rodzicami Bowskilla.

– Teraz? Zanim dojedziesz, będzie północ.

– Umówiliśmy się na rano. Prześpię się w samochodzie przed ich domem. – Spodziewając się jej sprzeciwu, dodał: – Nie ma sensu, żebym kładł się do łóżka na kilka godzin. I tak bym nie spał.

Jakby w łóżku można było tylko spać.

– Czyli. – Nie nadążała za nim. – Kitt Bowskill dał ci numer telefonu swoich rodziców?

Po co miałyby to robić? Po co Simon miałyby o niego prosić?

– Biuro numerów. W Bracknell jest tylko jeden Bowskill. N jak Nigel.

– Ale... spotkałeś się z Kitem Bowskillem?

– Tak. Trzy razy pytałem go, co spowodowało zerwanie kontaktu z



rodzicami. Dwukrotnie zrobił unik, a trzecia odpowiedź przekonała mnie, że facet ukrywa coś istotnego. Udzielił mi pozornie pełnej odpowiedzi, ale był to tak naprawdę czysty psychobelkot. Dużo słów, które miały mnie zbić z tropu, żebym nie zauważył, że nic mi nie mówi. Powiedział, że jego rodzice nie chcieli „wyciągnąć pomocnej dłoni”, nie chcieli być dla Connie rodziną, gdy jej potrzebowała. To może oznaczać wszystko i nic.

– A może uznał, że to nie twoja sprawa? – powiedziała Charlie.

Mogła zrozumieć niechęć do omawiania traumatycznego rozstania w wypadku, gdy słuchaczem miał być opryskliwy detektyw, którego Bowskill widział pierwszy raz na oczy.

– Nie. Wyraźnie się bał. – Po krótkiej pauzie Simon dodał: – Bowskill jest tu czarnym charakterem. Nie każ mi tego udowadniać, bo nie mogę tego zrobić. Na razie.

– Nie wiesz nawet, czy jest w tej sprawie jakiś czarny charakter.

– Powiedział mi, że Connie nie chce ze mną rozmawiać. Podobno jest na mnie zła, że wyjechałem, nic jej nie mówiąc. Wydaje ci się to prawdopodobne?

– Tak – odparła Charlie. – Ja byłam na ciebie zła, gdy pojechałeś bez słowa do Cambridge. Mogłam się z tobą zabrać.

– A co, jeśli ją też zabił i dlatego Connie nie odbiera telefonu?

– Czyste domysły.

– Ilu znasz ludzi, którzy zerwali wszelkie kontakty z rodzicami?

– Masz obsesję na punkcie rodziców Kitta Bowskilla – mruknęła Charlie.

– Od dzisiaj jest to moja święta zasada: ilekroć dwie osoby przekażą mi dwie sprzeczne relacje, a jedna z tych osób będzie miała na koncie wyrzeczenie się ludzi, którzy wydali ją na świat, zawsze będę wierzył tej drugiej.

– To... kompletny absurd. – Charlie zaśmiała się i wzięła łyk wina.

– Nieprawda.

– O kurczę, to mnie przekonałeś.

– Nie ma dnia, żebym nie pomyślał o śmierci swojej mamy, o tym, jaką wolność poczuję tego dnia. Potem zdaję sobie sprawę, że pewnie będzie żyła jeszcze trzydzieści lat.

Charlie czekała, odliczając sekundy: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć.

– Chodzi mi o to, że i tak nie powiedziałbym jej nigdy: „Przykro mi, ale usuwam cię ze swojego życia”. Każdy człowiek z sercem wiedziałby, co musi czuć rodzic, słysząc takie słowa. Każdy z choćby elementarną skłonnością do empatii. – Oddechy między słowami były głośniejsze od słów. Simon nie chciałby przeprowadzać tej rozmowy w cztery oczy, domyślała się Charlie. Tylko dzielący ich dystans mu ją umożliwiał. – Żadne dziecko nie powinno odcinać się od rodziców, jeśli nie ma ku temu bardzo poważnych przesłanek, jeśli nie jest to kwestia życia lub śmierci.

Charlie nie była wcale pewna, czy się zgadza, ale wydała z siebie

dźwięk, który Simon mógł odebrać jako aprobatę.

– Jeśli Kitt Bowskill nie chciał ci powiedzieć, co go poróżniło z rodzicami, to prawdopodobnie oni też nie będą rozmowni.

– Muszę podjąć to ryzyko.

Pogódź się z tym, Zailer. Nie zobaczysz go dzisiaj.

Charlie przeszła z winem do salonu i usiadła na kanapie. Unieruchomiona na ekranie telewizora, opętana sierota Esther gapiła się na nią wściekłymi oczyma.

– Nawet jeśli jego rodzice powiedzą ci, co spowodowało konflikt, to co? – spytała. – Co to może mieć wspólnego z tym, że Connie widziała w internecie zdjęcie martwej kobiety? Zakładając, że w ogóle coś widziała. Bo ja wciąż nie jestem przekonana. Nie obchodzi mnie, ilu jeszcze niezależnych świadków powie to samo.

Na poręczu sofy leżał aparat fotograficzny. Charlie odstawiła kieliszek i wzięła go do rąk. Od powrotu z Hiszpanii ani na chwilę się z nim nie rozstawała, w nocy trzymając go przy łóżku, a podczas kąpieli stawiając na parapecie łazienkowego okna. Była uzależniona od przeglądania zdjęć z Los Delfines.

– Niezależnych – odparł Simon. – Ciekawy dobór słownictwa.

– Słucham?

Charlie gapiła się na miniaturowego, spoconego Dominga, opartego o wywrócone drzewo liliowe.

– Dwie osoby widziały kobiece zwłoki na stronie Wszystkiedomy:

Connie Bowskill i Jackie Napier. Nikt inny. Wydaje ci się prawdopodobne, że jedynymi dwiema osobami, które zdołały zobaczyć to zdjęcie w ciągu zaledwie trzydziestu minut, bo potem je usunięto, były właśnie te dwie osoby? Pomyśl o tych milionach, które mogły zobaczyć tę fotografię.

– Prawdopodobne? – Charlie wykrzywiła twarz w cichym krzyku. – Simon, kwestia prawdopodobieństwa jest już lata świetlne za nami. W tej sprawie nic nie jest prawdopodobne. Ja nadal uważam, że był to jakiś rodzaj głupiego żartu. Nie ma absolutnie żadnych dowodów – mam na myśli twarde dowody – na to, że ktokolwiek został zabity lub zraniony. O Boże!

– Co? Co się stało?

– Ohydna. Totalnie ohydna!

– Co?

– Twarz! Na zboczach góry. Teraz jest tak oczywista, że wreszcie ją widzę: oczy, nos, usta. – Charlie nacisnęła przycisk zbliżenia. – Pytałam cię, czy jest atrakcyjna. Dlaczego nie powiedziałeś, że to taka paskuda? Wygląda jak Jabba z Gwiezdnych wojen.

– Jak możesz ją widzieć?

– W aparacie.

– Niemożliwe, że aparat.

– To panoramiczne zdjęcie, które zrobiłam z tarasu. Basen, grill, ogrody i góra z brzydką gębą.

– Twarz, którą ja widziałem, nie byłaby widoczna na zdjęciu – powiedział Simon.

– To ciekawe, bo właśnie na nią patrzę. Ile twarzy może mieć jedna góra?

– Na zdjęciu nic nie widać – odparł szorstko.

– Czy twarz, którą widziałeś, przypominała Jabbę z Gwiezdných wojen?

Po krótkiej pauzie Simon powiedział:

– Jeśli nie widziałaś jej wtedy, nie możesz teraz twierdzić, że ją widzisz. Nie na podstawie mikroskopijnego zdjęcia.

– Kto mi zabroni tak twierdzić? Krajowa Rada Klasyfikacji Górskich Twarzy? Co ci to przeszkadza, że ją widzę? Jesteś przez to mniej wyjątkowy?

– Nie – powiedział Simon. Sprawiał wrażenie zagubionego. – Chciałem, żebyś ją zobaczyła, ale ty jej nie widziałaś. Dostrzeżenie twarzy na zdjęciu to nie to samo.

– Zgadzam się, nie to samo. Ale nie zmienia to faktu, że ją widzę.

– Nie na zboczu góry.

Charlie oddaliła słuchawkę od twarzy i posłała Simonowi przeciągłe, głośne cmoknięcie. Gdy z powrotem przyłożyła ją do ucha, Simon nadawał w takim tempie, że nie mogła go zrozumieć. Coś o człowieku o imieniu Basil.

– Zwolnij trochę – powiedziała. – Nie usłyszałam początku. Zacznij

od nowa.

– Basil Lambert-Wall – odparł Simon na końcówce wydechu. – Profesor, który mieszka przy Bentley Grove, sąsiad Seliny Gane. Powiedział, że rozpoznaje Kitta Bowskilla. Pamiętasz? Pokazywałem mu jego zdjęcie. Powiedział, że Bowskill montował u niego alarm przeciwwłamaniowy.

Charlie pamiętała.

– Tak. Pojechałeś wtedy do siedziby firmy produkującej te alarmy, gdzie powiedzieli ci, że nikt taki u nich nie pracuje.

– Twierdzisz, że widzisz twarz na zboczu góry, choć wcale jej nie widziałaś. Zobaczyłaś ją na fotografii. – Słowa Simona zderzały się ze sobą. Zawsze tak to brzmiało, gdy był podekscytowany – Dlaczego popełniasz ten błąd? Bo w twoim umyśle fotografia jest połączona z górą. To skojarzenie jest tak silne, że mylisz jedno z drugim.

Charlie otworzyła usta, by zaprotestować, ale jasne było dla niej, że Simon nie ma zamiaru przerywać.

– Basil Lambert-Wall mylił się, mówiąc, że Bowskill montował mu alarm. To wiemy. Choć może miał rację, mówiąc, że go rozpoznaje? Może twarz Bowskilla jest w jego umyśle powiązana z dniem, w którym montowano u niego nowy alarm. Może tego samego dnia zdarzyło się coś jeszcze i profesor myli dwa fakty. Pomyśl o tym, to musi być to! Bo czym wytłumaczyć jego pewność, że to Bowskill instalował w jego domu alarm?

Tym, że jest stary, zramolały i po prostu się myli? Charlie nie

próbowała nawet powiedzieć tego na głos. Gdy Simon był w takim stanie, nie było sensu z nim rozmawiać.

Usłyszała kliknięcie – koniec połączenia. Możesz odejść. Teraz przyszła kolej na profesora Basila. Simon zaraz zakłóci wieczór temu biedakowi. Wydało jej się dziwne, że ona już wie, co mu się zaraz przytrafi, podczas gdy on jeszcze nie. Miała nadzieję, że staruszek jeszcze nie śpi.

Wzdychając, wcisnęła „play” w pilocie i rozciągnęła się na kanapie, by obejrzeć resztę filmu. Alice Fancourt mogła poczekać do jutra. Jeśli Simon miał swoją żelazną zasadę, to jej przysługiwał ten sam przywilej. Żelazna zasada Charlie brzmiała: ludzie, którzy kończą rozmowy telefoniczne bez pożegnania, nie zasługują na to, by ich polecenia wypełniać bez zwłoki.

– Sam. – Kate Kombothekra zabrała telefon z dłoni męża i położyła go na stoliku. Miała na sobie żółtą piżamę i w jednej ręce trzymała rolkę folii samoprzylegającej. – Poświęć mi pięć sekund swojej uwagi. Myślisz, że dasz radę?

– Przepraszam.

– Pamiętałeś o kupieniu papieru do drukarki?

– Nie, przepraszam. Jutro kupię.

– Zadzwoń do gminy?

– A miałem?

– Tak. Żeby zapytać o kontener na gruz.

– A, racja. Nie, przepraszam.

Kate westchnęła.

– No dobrze, jeszcze jedno pytanie i zadaję je tylko dlatego, że bardzo chcę, byś chociaż raz powiedział „tak”. Czy mogę założyć, że zapomniałeś o wszystkich czterech rzeczach, które obiecałeś dzisiaj zrobić?

– Rozmawiałem właśnie z Connie Bowskill – powiedział Sam. – Chce, żebym poprosił Grinta o numer do Jackie Napier.

Całkiem zrozumiała prośba, biorąc pod uwagę okoliczności.

– O nie, tylko nie to! – Kate tłukła rolką folii o lewą dłoń, co pewnie mogłoby być groźnym gestem, gdyby nie niewinna łagodność tego konkretnego narzędzia zbrodni. – Zapomnij o Connie Bowskill. Pomóż mi przygotować rzeczy chłopców na jutro. Już prawie skończyłam pakować drugie śniadania. Wyjmij, proszę, ich duże plecaki z piwnicy. Te w panterkę – sprecyzowała Kate, wystawiając naprędce krótką pantomimę: człowiek wyskakujący z krzesła i rzucający się w szaleńczy bieg.

Sam siedział nieruchomo.

– Zatrzymała się w Doubletree – powiedział. – W tym samym hotelu co Selina Gane.

Nie bardzo wiedział czemu, lecz niepokoiła go myśl o tym, że te dwie kobiety mieszkają tak blisko siebie. Czyżby się bał, że Connie zrobi coś pochopnego? Nie. Nie miała skłonności do przemocy. Choć była zdesperowana. Wiele przypadków przemocy, z jakimi Sam



spotkał się przez lata pracy w policji, brało się z desperacji.

Musiał zwalczyć w sobie impuls każący mu zadzwonić do Grinta i wysłać go do tego hotelu. Bo co by zrobił, gdyby już się tam pojawił? Nie miałoby to sensu. Ale to samo można było powiedzieć o chęci udaremnienia spotkania Connie z Jackie. Sam nie uważał się za autorytarnego typu, który podejmuje decyzje za innych, tłumacząc, że robi to dla ich dobra. Bez trudu mógł powiedzieć Connie, że Jackie pracuje w Lancing Damisz, więc nie muszą zawracać głowy Grintowi. Z punktu widzenia Connie naturalna była chęć skontaktowania się z jedyną osobą, która wierzyła jej na sto procent, bo sama widziała dokładnie to samo co ona. Na jej miejscu Sam też chciałby porównać spostrzeżenia, omówić szczegóły. Czemu więc instynkt podpowiadał mu, że powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, by nie dopuścić do tego spotkania?

Nie mógł przestać myśleć o czymś, co Jackie Napier powiedziała na przesłuchaniu o kobiecie podającej się za Selinę Gane. „Wiedziała, że wystarczy wspomnieć o tym, że ludzie na ogół nie wyglądają jak na swoich zdjęciach. Zmuszając mnie, bym myślała o innych, zwalniała się z konieczności przekonania mnie co do siebie – sama wykonałam za nią całą robotę. Każdy człowiek choć raz w życiu powiedział o kimś: «Wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciu w paszporcie. Nie zdziwię się, jak nie wpuszczą go z powrotem do kraju»”.

Czy możliwe, że źle zapamiętał jej słowa? Nie, był raczej pewien, że właśnie tak powiedziała.

Otworzył usta, żeby zapytać Kate, czy aby nie wyobraża sobie

problemów, które w rzeczywistości nie istnieją, ale jego żony nie było już w pokoju.

- Proszę wybrać liczbę od jednego do trzydziestu dziewięciu.
- Szesnaście – powiedział Simon.

Rocznica ślubu jego i Charlie.

Profesor Basil Lambert-Wall przesunął palec wskazujący po grzbietach książek na najbliższej półce, odliczając po kolei. Gdy doliczył do szesnastej, wyciągnął ją, zawiesił laskę na oparciu krzesła i otworzył okazały tom obiema rękami. Simon zrobił krok do przodu, by pomóc, żalując, że jego sentymentalizm doprowadził do wybrania prawdopodobnie najcięższej książki z kolekcji. Nosiła tytuł Szepty i podtytuł Życie w stalinowskiej Rosji.

– Niech pan siedzi! – warknął profesor głosem zaskakująco tubalnym jak na tak drobnego człowieka. – Doskonale sobie radzę.

Posapał trochę, okrążając krzesło, po czym usiadł na nim i stęknął cicho, kładąc książkę na kolanach.

Simon przyglądał mu się, starając się nie krzywić. Miał nadzieję, że chudziutkie nadgarstki Lamberta-Walla nie pękną. Skarcił się w myślach za to, że nie przewidział, co staruszek zamierza. Gdyby wiedział, zdecydowałby się na cienki tom numer piętnaście: Maksymy La Rochefoucaulda. Wybór miał zresztą bogatszy, gdyż wszystkie ściany pokryte były książkami. Półki wisiały nad drzwiami, nad i pod oknami i każda była pełna. Pomiedzy dwoma fotelami i kanapą stały trzy sterty czasopism. Na wierzchu jednej z nich leżał egzemplarz „The

Economist”, a na innej coś pod tytułem „PN Review”. Trzecia służyła za podstawkę dla trzech pustych kubków. Simon nie widział tytułu periodyku, który był pod nimi, ale w rogu okładki dostrzegł rysunek Statui Wolności.

– Dobrze pan wybrał – powiedział profesor, odzyskawszy powietrze w płucach. – Szepty to wyjątkowo dobra książka. Teraz niech pan wybierze liczbę od jednego do sześciuset pięćdziesięciu sześciu – polecił, przewracając kartki.

– Na pewno panu nie przeszkadzam? – zapytał Simon.

Czerwony frotowy szlafrok budził w nim poczucie winy, a oprócz niego szara piżama w paski i ziemiste łydki wystające z brązowych kapci. Chociaż strój ten niekoniecznie oznaczał porę snu. Lambert-Wall miał na sobie to samo, gdy Simon odwiedził go po raz pierwszy, w środku dnia.

– Nie ma nawet dziesiątej – odparł staruszek, sprawiając, że Simon poczuł się jak nadopiekuńczy rodzic. – Śpię między czwartą a dziewiątą. A piszę między jedenastą a wpół do czwartej, więc o ile skończymy przed jedenastą. – Spojrzał w stronę cyfrowego zegarka na parapecie, po czym uniósł wysoko brwi, patrząc na Simona, który przytaknął. – No dobrze. Proszę o liczbę.

– Jedenaście.

Profesor się roześmiał.

– Zatem strona jedenasta. A teraz liczba od jednego do trzydziestu czterech.

– Dwadzieścia dwa.

Urodziny Charlie.

– Doskonale. I na koniec liczba od jednego do... trzydziestu czterech.

– Dwanaście.

Urodziny Simona. Był pewien, że swoimi decyzjami nie zdradzał o sobie niczego, czym nie chciałby się dzielić z obcym człowiekiem.

– Ach, przykro mi. – Profesor się zasepił. – Obawiam się, że nie może pan mieć dwunastego słowa z dwudziestego drugiego wiersza, bo tym słowem jest „Trocki”. Nazwy własne się nie nadają.

– W takim razie jeszcze raz jedenaście – odparł Simon, zbyt zaniepokojony, by odczuwać zniecierpliwienie.

Jaki był sens tej zabawy?

– Wybrał pan słowo „życie” – uśmiechnął się Lambert-Wall. – Imponujący rezultat. Najlepszy od dawna.

Zamknął książkę i odłożył ją na beżowy dywan przy nodze. Simon pomyślał o beżowym dywanie w domu Seliny Gane, zaplamionym w rogu przez choinkę. Czyżby deweloper wyposażył wszystkie domy w tę samą wykładzinę? Z zewnątrz wyglądały tak samo: wspólny wzór powtórzony trzydzieści kilka razy. Simon zdał sobie sprawę, że gapi się na trzy wieże z czasopism. Wyobraził sobie, że je przesuwają i znajduje pod spodem trzy szkarłatne plamy w kształcie ludzkich głów. Nakazał sobie spokój.

Basil Lambert-Wall podniósł się z krzesła i pokuśtykał bez laski w stronę wolno stojącego biurka przy oknie, na którym leżały liczne przyciski do papieru, ale nie było ani jednej kartki. Dotarłszy do celu, profesor wziął do ręki długopis bez skuwki i zapisał coś w otwartym notesie. Stojąc plecami do Simona, powiedział: – Jest pan wnikliwym człowiekiem, który działa na rzecz dobra.

I miał pan do mnie pytanie. Proszę, śmiało.

Simon był zdziwiony. Czyżby Lambert-Wall począł do biurka tylko po to, by zapisać rezultat swojego osobliwego testu? Simon chętnie zapoznałby się z zawartością notesu. Jak zwykle, gdy ktoś mówił mu coś miłego, miał ochotę się spierać. „Życie” było jego drugim słowem. Najpierw wybrał „Trockiego”, masowego mordercę. Co to mogło znaczyć? Z jakiej racji nazwy własne były zdyskwalifikowane?

– Dzień, w którym instalowano u pana nowy alarm przeciwwłamaniowy, czyli wtorek, dwudziesty dziewiąty czerwca.

– Skąd pan wie, który to był dzień? – spytał profesor.

– Sam mi pan powiedział, gdy pierwszy raz rozmawialiśmy. W firmie Safesound Alarms uzyskałem potwierdzenie.

– Sprawdzał mnie pan?

– Zawsze wszystko sprawdzam – odparł Simon.

– Skoro podałem panu dokładną datę, znaczy, że musiałem sprawdzić w kalendarzu.

– Zgadza się.

– Zatem nie było potrzeby sprawdzać.

Lambert-Wall osunął się na krzesło, po czym na chwilę znów się uniósł, by poprawić szlafrok.

Simon odczekał, aż staruszek się usadowi.

– Mniejsza o datę. Chcę pana prosić, by przypomnieli pan sobie tamten dzień. Zakładali panu nowy alarm. Czy w tym samym czasie działo się coś jeszcze? Pamięta pan?

– Tak. – Profesor mrugnął szybko kilka razy. Był to przykry widok, jakby ktoś przejął kontrolę nad ruchem jego powiek. – Czytałem wyjątkową książkę: People of the lie. Napisał ją M. Scott Peck i zawiera najlepszą definicję zła, z jaką się kiedykolwiek spotkałem.

Simon wyobraził sobie tekst złożony z dwóch słów: „Giles” i „Proust”.

– Coś jeszcze? – spytał.

– Owszem. Zjadłem na lunch coś, co się nazywa „tian”. Do dziś nie mam pojęcia, co to jest tian, ale smakowało wyśmienicie. Miało cylindryczny kształt. Spodobało mi się z wyglądu, więc kupiłem. Aha, no i oczywiście byłem w sklepie, w supermarkecie.

– W dniu, kiedy montowano u pana alarm?

Lambert-Wall kiwnął głową.

– Córka mnie zabrała, rano. Zabiera mnie na zakupy w każdy wtorek rano. Namawia mnie na kupowanie przez internet, ale ja się opieram.

Simon przytakiwał. Te informacje były bez znaczenia.

– Czyli czytał pan książkę, zjadł lunch i pojechał na zakupy.

– Tak, choć nie w tej kolejności. Po południu się zdrzemnąłem, jak zawsze: od pierwszej do czwartej. Aha, jeden z moich sąsiadów był wobec mnie nieuprzejmy, co zepsuło mi ten całkiem przyjemny dzień.

– Który sąsiad?

Profesor wskazał na okno.

– Jeden z mężczyzn, którzy mieszkają w domu naprzeciwko – powiedział. – Zazwyczaj jest niezmiernie miły, dlatego byłem zaskoczony. Wraz z żoną kupili nowe zasłony i wnosili je do domu. Musiała złożyć tylne fotele, żeby zmieściły się w samochodzie. Podeszedłem do nich, żeby porozmawiać, zamierzając poczynić pewną uwagę na temat przypadku. Nowe zasłony, nowy alarm. Wiem, nic pasjonującego, ale z pewnością poprowadziłoby nas to ku ciekawszym kwestiom. Jego reakcja była całkowicie nie na miejscu.

– Co zrobił?

– Nakrzyczał na mnie. „Nie teraz! Nie widzi pan, że jesteśmy zajęci?”. Po czym powiedział do żony: „Pozbądź się go, bardzo cię proszę”, i wszedł do środka z dużym ładunkiem zasłon. Raczej brzydkich – z tego, co zdołałem dostrzec przez plastikowe opakowanie.

Simon poczuł mrowienie na skórze. To musiał być właściwy trop: zazwyczaj uprzejmy mężczyzna, który nagle staje się opryskliwy. Kitt Bowskill? Tylko że nie miało to sensu. Zakładając, że Bowskill

rzeczywiście miał związek z Bentley Grove, to dotyczył on domu pod numerem 11. To ten adres jego żona znalazła w GPS-ie i ten dom oglądała w internecie, gdy pojawiło się w nim zdjęcie martwej kobiety. Numer 11 był obok domu Basila Lamberta-Walla, nie naprzeciwko.

– Jego żona bardzo mnie przepraszała – ciągnął staruszek. – Powiedziała „przepraszam” chyba ze dwadzieścia razy. „Proszę nie zwracać na niego uwagi – mówiła. – To nie pana wina, tylko dwóch godzin, które spędziliśmy w sklepie z zasłonami. Nigdy więcej!”. Wydawałoby się, że jeśli tyle czasu zajęło im kupno zasłon, to powinni je powiesić, a tymczasem jeszcze tego nie zrobili.

Simon wyjął z kieszeni zdjęcie. To samo, które pokazał Lambertowi-Wallowi poprzednio. Przedstawiało Kitta Bowskilla.

– Czy rozpoznaje pan tę twarz? – zapytał.

– Tak, to właśnie on – odparł profesor.

– Sąsiad, który był wobec pana niemiły?

– Tak.

– Z naprzeciwka?

Simon podszedł do okna i wskazał na dom, by uniknąć dwuznaczności.

– Zgadza się. Wydaje się pan zaskoczony.

Kitt Bowskill mieszkał w Little Holling, w Silsford. Kitt Bowskill był sąsiadem profesora Basila Lamberta-Walla. Jak obydwa te zdania mogły być prawdziwe?



– Zatem... mężczyzna na zdjęciu nie instalował alarmu w pańskim domu?

Lambert-Wall powtórzył swój trik z szybkim mruganiem.

– Po co sąsiad miałby instalować u mnie alarm?

Simon nie miał serca przypomnieć mu, co mówił podczas ostatniej rozmowy.

– Powiedział pan: „Jeden z mężczyzn, którzy mieszkają w domu naprzeciwko”. Czy to znaczy, że jest drugi?

– Tak. Pan Nocny.

Simon usiłował ukryć zaskoczenie, ale najwyraźniej mu się nie udało, bo profesor wybuchnął śmiechem.

– Powinienem to wyjaśnić. Ten, który był dla mnie niemiły, to Pan Dzienny. Oczywiście nie są to ich prawdziwe nazwiska. Te prawdziwe już dawno zapomniałem, o ile w ogóle kiedykolwiek je znałem.

– Proszę mi opowiedzieć o Panu Dziennym i Panu Nocnym – powiedział Simon tak neutralnym tonem, na jaki tylko było go stać.

– Pan Nocny jest mężem Pani Nocnej i ma z nią dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Nigdy nie widuję ich za dnia, tylko wieczorami. Natomiast Pan Dzienny jest mężem Pani Diennej. Mówię „mężem”, lecz kto to dzisiaj wie? Może nie mają ślubu, ale na pewno są parą.

– I cała szóstka mieszka w tym domu? Pan Nocny, Pani Nocna, ich dwoje dzieci i Pan Dzienny z Panią Dzienną?

– Nie wiem, jak im się to udaje – powiedział profesor. – Te domy

nie są takie duże, jak się może wydawać z zewnątrz. Ja się w swoim ledwo mieszczę ze swoją rodziną.

Kolejne zaskoczenie.

– Mieszka tu pan z rodziną?

Lambert-Wall uśmiechnął się, pokazując na ściany.

– Mam na myśli moje książki – wyjaśnił.

Simon zadał kolejne pytanie, nie wiedząc do końca, do czego zmierza.

– Czy kiedykolwiek widział pan Państwa Nocnych i Dziennych razem?

Nie był w stanie myśleć, prowadząc jednocześnie rozmowę ze staruszką. W każdym razie nie na pełnych obrotach. Musiał wierzyć, że instynkt prowadzi go we właściwym kierunku.

– Teraz, gdy pan o to pyta, to sobie uświadamiam, że nie. Nie widziałem. Pan Nocny i Pani Nocna są tam tylko wieczorami, jak powiedziałem.

– A co w weekendy? – spytał Simon.

– Weekendy spędzam w domu mojej córki w Horseheath. Przywozi mnie z powrotem w niedzielę o dziesiątej wieczorem, co daje mi dość czasu na rozpakowanie bagażu przed rozpoczęciem pracy o jedenastej.

Znowu byli przy liczbie jedenaście.

– Coś jeszcze przychodzi panu do głowy? – zapytał Simon.

– Owszem. We wszystkich domach o liczbie mieszkańców większej niż jeden obowiązuje hierarchia i dom naprzeciwko nie jest pod tym względem wyjątkowy. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że należy on do Państwa Nocnych. Oni i ich dzieci są najważniejsi.

– Skąd to przekonanie?

Simon nie słyszał nigdy, by ktoś kupował zasłony do cudzego domu.

– Z ustaleń parkingowych – uśmiechnął się profesor. – Państwo Nocni parkują swoje auta w garażu, a Pan Dzienny i Pani Dzienna na ulicy. Nie mogą stawać na podjeździe, bo blokowałiby wyjazd z garażu. Gdyby Państwo Nocni wrócili do domu w ciągu dnia, nie mieliby dostępu do garażu. Ich prawa parkingowe są więc chronione przez cały czas, w dzień i w nocy. Nie uważa pan, iż stawia ich to na wyższej pozycji i że prawdopodobnie są w związku z tym właścicielami domu?

– Albo to, albo... – Simon przerwał. Czy powiedzenie więcej byłoby nieprofesjonalne? Nie widział żadnego powodu, by dzisiaj nie robić tego, na co miał ochotę. Oficjalnie nie był w pracy, wciąż trwał jego miesiąc miodowy. – Albo Państwa Dziennych w ogóle nie powinno tam być.

– Co pan sugeruje?

Profesor nachylił się do przodu. Przez chwilę Simonowi wydawało się, że staruszek przesadził i zaraz spadnie z krzesła.

– Może Pan Nocny i Pani Nocna nie mają pojęcia, że dzielą swój

dom z Panem Dziennym i Panią Dzienną?

Pan Dzienny i Pani Dzienna. Kitt Bowskill i... kto?

– Intruzi? – Lambert-Wall zastanawiał się przez chwilę nad tą ewentualnością. – Nie, obawiam się, że jest pan w błędzie.

– Dlaczego?

– Pan Dzienny ma klucz do domu. Pani Dzienna również. Widziałem, jak wchodzi do środka. Razem i osobno.

Simon przytaknął. Myślał o tym, kto mógłby dysponować kluczami do cudzego domu, i o Lorraine Turner, agentce nieruchomości, której nigdy nie poznał. Sam też jej nie znał, choć rozmawiał z nią telefonicznie.

– A! – Profesor uniósł palec wskazujący prawej dłoni. – Przypomniałem sobie imię. Czy to nie dziwne, że w jednej chwili człowiek jest kompletnie czegoś nieświadom, a zaraz potem jakby się jakiś ekran odsunął i proszę: pokazuje się informacja, która musiała od początku tam tkwić.

– Imię? – spytał Simon.

– Tak. Dzienna kobieta ma na imię Catriona, choć twierdzi, że nikt się tak do niej nie zwraca. To wielka szkoda. Skracanie imion jest formą wandalizmu, nie uważa pan?

Simon czuł w żołądku, co nadchodzi. Znał też kogoś o imieniu Catriona.

– Wszyscy jej znajomi mówią na nią Connie – powiedział

staruszek.

# 19

## Sobota, 24 lipca 2010

Selina Gane stoi w drzwiach, gdy parkuję pod jej domem. W prawej dłoni trzyma pęk kluczy. W czarnych spodniach i niebieskiej lnianej koszuli wygląda zupełnie jak agentka nieruchomości przygotowana do pokazania domu potencjalnemu klientowi.

Czyli właśnie mnie?

Jej blond włosy upięte są z tyłu, nadając twarzy poważny wyraz. Zastanawiam się, czy tak samo wygląda, gdy musi przekazać złą wiadomość pacjentowi. A może nie jest tego rodzaju lekarzem, może spędza cały czas w laboratorium, badając próbki tkanek i nigdy nie kontaktując się z ich dawcami.

Z jej postawy wnioskuję, że jest spięta. Nie cieszy się na tę rozmowę.

Oczywiście, że nie. Czemu miałyby się cieszyć?

Wycieram pot z górnej wargi i wysiadam z samochodu, przypominając sobie, że nie ma powodu do nerwów. Wszystko już jej wyjawiałam w liście. Dzisiaj niech ona podzieli się ze mną wszystkim, co wie. Nie wierzę, że z niczego nie zdaje sobie sprawy Bentley Grove 11 to jej dom.

Choć odnoszę inne wrażenie, idąc ścieżką pośród lawendy w jej stronę. Mowa jej ciała sugeruje, że Selina Gane niechętnie stoi przed budynkiem, z którym nie ma już nic wspólnego.

– Nie chciałam wchodzić sama – mówi i dopiero teraz widzę, jak bardzo pragnie, by Bentley Grove 11 znalazło wreszcie innego właściciela.

– Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać – mówię.

Selina otwiera drzwi. Stojąc ze spuszczoną głową, daje mi do zrozumienia, że powinnam wejść pierwsza. Najwyraźniej woli stać na słońcu i świeżym powietrzu, opóźniając w nieskończoność moment przekroczenia progu. Teraz już wiem na pewno, że przyjmie moją ofertę.

Widzę, że nie chce mieć nic wspólnego z Bentley Grove 11 i nie jest to tylko łagodna preferencja, lecz niemal gwałtowne pragnienie. Wchodząc do środka, czuje się tak, jakby wkraczała w przeszłość otoczoną policyjną taśmą.

Ja wkraczam w swoją przyszłość, nie mając pojęcia, co w niej zastanę.

Spodziewałam się złej atmosfery, a jestem pozytywnie zaskoczona. Wnętrze domu jest przestronne i widne. Nieszkodliwe. No, ale to w końcu nie domy wyrządzają krzywdę, tylko mieszkający w nich ludzie. Rozglądam się, świadoma obecności Seliny Gane za plecami. Czuję zapach lawendy. Drzwi wejściowe zostały otwarte. Spodziewam się, że Selina nie zamknie ich, dopóki będziemy w środku, by nie odcinać się od świata.

Nie czekając na zaproszenie, kieruję się w stronę salonu. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek oglądała plan domu na stronie Wszystkiedomy, lecz musiałam to zrobić, bo widzę go w głowie i wiem, gdzie co jest. Wiem, że pokój, w którym leżała martwa kobieta, znajduje się za drzwiami po mojej prawej.

Nie muszę tam wchodzić. Jedno spojrzenie mówi mi, że nie ma tam krwi ani zwłok.

A naprawdę spodziewałaś się je tam znaleźć? Że na ciebie czekały?

Widzę rozległy, nieskazitelny dywan w kolorze beżu i krawędź stolika, tego z kwiatami pod szklanym blatem. Kominek, a nad nim mapa. Wiedziałam, że te wszystkie rzeczy są prawdziwe, ale i tak dziwnie jest widzieć je na własne oczy. Jakbym opadała w senne marzenie.

– Nie znam twojego męża – mówi Selina Gane. – Nigdy go nie znałam i nie mam z nim romansu.

Widzę, że nie zrozumiała mojego listu.

Schody. To na nie powinnam była spojrzeć w pierwszej kolejności i martwi mnie to przeoczenie. Mój umysł nie działa prawidłowo, jestem zbyt przygnieciona obecnością w tym domu. Przez minione sześć miesięcy myślałam o nim nieustannie. Całymi dniami wystawałam na ulicy. A teraz, gdy odwrócili się od niego zarówno jego właścicielka, jak i policja, postawiłam sobie za zadanie odkrycie jego ukrytej historii.

Nikt nie jest zainteresowany tym domem w takim stopniu jak ja.



Czy to dlatego już teraz odnoszę wrażenie, jakby należał do mnie?

Selina Gane zagłusza panującą ciszę, mówiąc:

– Jestem lekarzem. Większość czasu poświęcam na ratowanie życia. Nigdy nikogo nie zabiłam, a gdybym chciała, nie zrobiłabym tego we własnym domu.

Kiwam głową.

– Czy twój mąż naprawdę zaprogramował mój adres w swoim GPS-ie? – pyta Selina.

– Tak.

Przebiegam dłonią po poręczy. Szczyt słupka wykonany jest z ciemnego drewna. Sześćcian z zaokrąglonymi krawędziami, lakierowany brąz.

– Muszę cię o coś spytać – mówię. Muszę cię spytać o przycisk śmierci. – Na zdjęciu z.

Przewiń. Od początku.

– Te schody wyglądają trochę inaczej. – Tak lepiej. Mów ogólnikami. Szczegóły niech podaje ona. – Nie zawsze tak wyglądały, prawda?

Klepię dłonią płaski wierzch słupka.

Selina nie wie, o czym mówię.

– Zawsze były takie same. Co masz na myśli?

– Kiedyś był tu biały element dekoracyjny. Okrągły, jak... jak gruby

dysk. Tu na wierzchu, ale nie na całej powierzchni.

Znów klepię szczyt słupka.

– Nie. – Selina kręci głową.

Tak. Przecież widziałam.

Próbuję jeszcze raz.

– Jak duży przycisk. Tutaj, na środku. Biały, może kremowy.

– Przycisk?

Widzę, jak zaczyna kojarzyć. Wie, o czym mówię. Przez ułamek sekundy, gdy otwiera usta, wyobrażam sobie, że się uśmiechnie i powie: „Witaj w Death Button Centre”. Moje serce się potyka, z każdym uderzeniem zmieniając rytm – to zwalnia, to znowu przyśpiesza. Coś, co kiedyś powiedziałam Alice, by wzbudzić u niej współczucie, teraz się spełnia, choć wtedy było nieszczerze: zazdrość wszystkim, którzy wiedzą, co im zagraża, więc mogą to nazwać, nawet jeśli nie potrafią uciec. Lęk, którego nie sposób do niczego odnieść, jest sto razy gorszy od strachu z wyraźną przyczyną.

– Dlaczego pytasz o moje schody?

Nagła niechęć w jej głosie jest oczywista. Przypomina mi, że Selina nie jest wcale zobowiązana do udzielania mi jakichkolwiek informacji i że ma wszelkie powody, by mi nie ufać.

– Przepraszam. Powinna była wytłumaczyć. Kolejne wątpliwości to ostatnia rzecz, jakiej nam trzeba.

– Zgadza się – mówi.

– Widziałam to coś na zdjęciu, na którym były też kobiece zwłoki. Po uruchomieniu wirtualnego zwiedzania, gdy salon zaczął się obracać.

– Obracać?

– Zdjęcia w aplikacji wirtualnego zwiedzania są ruchome – tłumaczę jej. – W każdym pokoju ktoś stanął z kamerą i wykonał pełen obrót, filmując.

Osoba, która filmowała salon, musiała stać na krawędzi krwawej plamy. Pewnie kroczyła ostrożnie wokół niej, żeby nie włożyć stopy w mokrą czerwień.

Odpycham od siebie tę myśl.

– Gdy zdjęcie się obróciło, przez otwarte drzwi widać było hol i dolną część schodów. To też. – Chwytam oburącz sześcienną głowę słupka. – A na górze leżał biały element. Okrągły i płaski, nie kulisty. Jestem pewna, że go widziałam. Na początku o nim zapomniałam, ale czułam, że czegoś mi brakuje, czegoś, co widziałam na tym zdjęciu, oprócz martwej kobiety i krwi. No i wczoraj, rozmawiając z kimś, wypowiedziałam słowo „przycisk” i nagle obraz stanął mi wyraźnie przed oczyma.

– Te schody zawsze wyglądały tak samo – mówi Selina Gane.

Kłamie.

– Gdy obudziłam Kitta i kazałam mu obejrzeć zdjęcia, ciało kobiety zniknęło i biały element też – tłumaczę, trzymając się słupka schodów, jakby w nadziei że w ten sposób zdobędę jego przychylność i

wsparcie. – Potem aż do rana otwierałam ten program, zamykałam, znowu uruchamiałam. Powtórzyłam to chyba dwieście razy: uruchomienie, obejrzenie zdjęć, zamknięcie. Ale drugi raz ani zwłok, ani krwi nie widziałam.

Czując lekki zawrót głowy, nakazuję sobie zwolnienie tempa i spokojne oddychanie. W pierwszej chwili powietrze się opiera i nie chce wejść do moich płuc. Przestaję walczyć i zamiast wdechu robię wydech, wypuszczając cały zapas. Jestem pusta. Dopiero teraz wciągam powoli powietrze i czuję napływ tlenu. Pogotowie na ratunek.

– Białego dysku też nie zobaczyłam – mówię. – Był na zdjęciu z martwą kobietą, ale na następnych już nie.

Przychodzi do mnie kolejne wspomnienie. Mama, Fran, Benji i ja w restauracji Bella Italia w Silsford. Poszliśmy tam w zeszłym roku na lunch, by uczcić pojawienie się u Benjiego pierwszego stałego zęba. Kelnerka dała małemu zestaw dla dzieci: kredki, arkusze do zabawy w „połącz kropki”, wykreślanki i inne gry. Jedna z nich polegała na patrzeniu na dwa prawie identyczne rysunki przedstawiające psa siedzącego pod drzewem i wynajdywaniu różnic między nimi. Pierwsze trzy, cztery były oczywiste, nawet dla Benjiego. Z mamą i Fran znalazłyśmy piątą i szóstą, ale nikt nie mógł wypatrzeć siódmej. Po blisko trzydziestu minutach męki i nieprzerwanego gapienia się na oba rysunki przyznałyśmy się do porażki i zajrzałyśmy do odpowiedzi na dole strony. Siódma różnica była tak drobna, że nigdy byśmy na nią nie wpadły, choćbyśmy poświęciły na to nie wiem ile godzin: jedna dodatkowa kreska na najniższym listku drzewa z rysunku numer dwa.

– To, co opisujesz, ma nazwę – mówi Selina Gane. – Przycisk hipoteczny.

– Co takiego?

Selina wzdycha.

– Muszę się napić. Chodź.

Idę za nią do kuchni, którą widziałam tyle razy na ekranie laptopa. Odsuwa taboret od stojącej na środku wyspy – Kitt nazwałby ją „obowiązkową wyspą” – i pokazuje, żeby na nim usiadła.

– Herbaty czy whisky? – pyta.

– Poproszę herbatę.

– Ja chyba napiję się i tego, i tego.

Czekam w milczeniu, aż Selina przygotuje napoje. Słowa „przycisk hipoteczny” wirują powoli w mojej głowie. Badam je uważnie z każdej strony, ale wciąż nie mogę zrozumieć. Jak może istnieć coś o takiej nazwie? Brzmi to zbyt nieprawdopodobnie.

Selina przygotowuje mi herbatę z mlekiem i bez cukru, czyli taką, o jaką bym poprosiła, gdyby mnie spytała.

Nie siada na krześle, tylko staje oparta o zlew, plecami do okna, trzymając oburącz szklankę z whisky.

– To amerykańska tradycja – mówi w końcu. – Gdy ktoś spłaca kredyt hipoteczny i staje się właścicielem domu, kupuje przycisk hipoteczny i mocuje go na szczycie słupka schodów. W samym środku, dokładnie w tym miejscu, w którym ty go widziałaś. Można

kupić plastikowe, drewniane, grawerowane, a nawet z kości słoniowej. To dla tych, którzy chcą zademonstrować gościom swój dostatek. – Z jej tonu wnioskuję, że nie darzy takich ludzi szacunkiem. – Wyglądają trochę jak pionki do warcabów.

Moi rodzice grywali w warcaby, gdy byłam mała, zanim ulegli wreszcie moim protestom i kupili telewizor, czyli coś, co każda normalna rodzina miała wtedy już od dawna.

– Dokładnie tak to wyglądało – potwierdzam. – Jak ogromny pionek do warcabów.

– W takim razie mam rację. Widziałaś przycisk hipoteczny. Ale w moim domu nigdy czegoś takiego nie było.

Nie słyszę w jej głosie ani cienia amerykańskiego akcentu.

– Jednak wiesz o ich istnieniu – mówię, mając nadzieję, że nie zabrzmiałoby to jak oskarżenie.

– Moja przyjaciółka ma u siebie coś takiego. – Selina ucieka ode mnie wzrokiem. – Pochodzi z Nowej Anglii.

Odnoszę nagle wrażenie, jakby reflektor, który był dotychczas nakierowany na mnie, został wyłączony. Przestałam być głównym obiektem jej zainteresowania. Selina zagryza wargę, gapiąc się na półkę wiszącą obok niej, a konkretnie na biały kubek z wzorem przedstawiającym czerwone pióra, który wygląda, jakby był wykonany z porcelany kostnej. Sięga po niego, zagląda do środka, po czym odstawia na miejsce. Słyszę ciche kliknięcie. Najwyraźniej chciała sprawdzić, czy wciąż jest w środku to, co wydało ten dźwięk.

Biały guzik? Skoro wcześniej zaprzeczyła jego istnieniu, to czy popełniłaby teraz tak oczywisty błąd?

– Czego mi nie mówisz? – pytam.

To samo pytanie zadałam kilka dni temu Samowi Kombothekrze. To samo pytanie postawiłam Kittowi ponad tysiąc razy od stycznia. Powinnam nadrukować sobie to zdanie na koszulce.

– Niczego. Przepraszam – mówi Selina, wciąż jednak sprawiając wrażenie zmartwionej. – Myślałam tylko, że ostatnio zaniedbywałam swoją przyjaciółkę. Wszystkich moich przyjaciół tak naprawdę. Mam za dużo pracy.

Kiwam głową, udając, że jej odpowiedź mnie zadowala.

– A skoro mowa o hipotekach, to czy będziesz potrzebowała kredytu, żeby kupić mój dom? Zakładając, że będę chciała ci go sprzedać.

Zapewniam, że tak i że bez trudu to załatwię. Mam nadzieję, że to prawda.

– Lepszej oferty niż moja nie dostaniesz.

– Poważnie o tym myślisz?

– Bardzo.

– Nie spytam cię, dlaczego chcesz kupić ten dom – mówi Selina.

– Jeśli naprawdę widziałaś, co twierdzisz, że widziałaś. – Przerywa i kręci głową. – Powiedziałam, że nie zapytam, więc nie zapytam. Jeśli chcesz mieć ten dom, jeśli nie jest to jakiś potworny żart, to możesz

go kupić. Im szybciej się go pozbędę, tym lepiej.

Mimowolnie się uśmiecham.

– Nietypowa strategia negocjacyjna – mówię.

– Za milion dwieście – dodaje szybko Selina. – Tak jak pisałaś.

– Sprawdzam tylko, czy aby nie oferujesz mi go za darmo.

– Skontaktuję się ze swoim notariuszem. A ty poproś swojego, żeby jak najszybciej złożył oficjalną ofertę. – Selina opróżnia szklanekę z whisky i stawia ją na blacie kuchennym. – Pokazać ci resztę domu? Czy to tylko strata czasu? Domyślam się, że nie obchodzi cię wygląd pokoi. Chcesz kupić ten dom, bo podejrzewasz, że ktoś został w nim zamordowany. Z tego samego powodu ja chcę go sprzedać.

Nie mam ochoty się bronić. Jeśli Selina Gane myśli, że kupuję jej dom ze względu na jakieś makabryczne upodobania, to niech tak myśli.

– Chcę zobaczyć resztę domu – mówię.

– No to załatwmy to szybko – odpowiada oschłym tonem. – Muszę stąd wyjść.

Chodząc od pokoju do pokoju, Selina nie odzywa się ani słowem. Przy każdych drzwiach przez chwilę się waha, jakby się bała wejść. Jest tu oranżeria, której nie było na zdjęciach w internecie. Plastikowa, nie drewniana – Kitt powiedziałaby, że jest ohydna.

Stojąc przy schodach na parterze, Selina mówi:

– Jeśli masz jakieś pytania, to słucham.



- Już je zadałam.
- Mam na myśli dom: centralne ogrzewanie, system alarmowy.
- Nie obchodzą mnie te rzeczy.

Idę za nią na górę. W każdym kolejnym pokoju rozglądam się, udając, że zwracam uwagę na to, co widzę. Tak naprawdę wciąż myślę o porcelanowym kubku w kuchni i o twardym przedmiocie w środku.

Gdsensdeelina wchodzi do łazienki, wołam:

- Poczekaj, słyszę mój telefon w torebce. Pójdę tylko po niego.

Nie czekając na jej reakcję, odwracam się i biegnę na dół.

W progu kuchni nagle zastygam. Czy pisałam coś w liście o tym, że mój telefon jest zepsuty? Nie, chyba nie. Powiedziałam, żeby zadzwoniła pod mój numer w hotelu, ale nie wspomniałam o zniszczonej komórce.

Podchodzę do kubka w czerwone pióra. Ręka mi się trzęsie, gdy zdejmuję go z półki i zaglądam do środka. Nie ma tam białego dysku, tylko komplet kluczy na żółtym breloczku z plastiku. Łomot serca dudni mi w uszach. Na breloczku jest karteczka z zapisanymi drobno słowami. Wyciągam klucze bardzo powoli, by nie uderzyły o ścianki kubka, i patrzę z bliska na napis.

Czytam go kilkakrotnie, wodząc szybko oczami po malutkich literach. To nie może być to, co myślę. A jednak. Dlaczego Selina spojrzała na kubek akurat w tym momencie, w którym to zrobiła? Czemu upewniła się, że w środku nadal są klucze? Potworny ryk

wypełnia moją głowę, a oddech przyspiesza. Tracę nad nim kontrolę.

O Boże.

Jak mogłam się tego nie domyślić?

Przypomina mi się coś, co mówiłam Alice o pomysłach Kitta na nazwę dla naszego domu w Cambridge: „Im dłużej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się nazwa Death Button Centre. Moglibyśmy wygrawerować ją na tabliczce na drzwi. Chociaż nie, czekaj, mam jeszcze lepszy pomysł. Nazwijmy nasz dom Pardoner Lane siedemnaście”.

Jak mogłam opowiedzieć o tym Alice, a mimo to nie zdawać sobie sprawy...?

– Connie?

Słyszę nad głową kroki Seliny.

– Już idę – wołam. Wkładam klucze do kieszeni, odstawiam pusty kubek na półkę i wbiegam z powrotem na górę. – Muszę już iść – mówię. – Muszę. – Nie przychodzi mi do głowy żadne łatwe kłamstwo. – Coś mi wypadło.

Nic lepszego nie wymyślę. Muszę się stąd wydostać, zanim Selina zorientuje się, że zabrałam klucze.

Po co je zabrałaś? Co zamierzasz zrobić?

Selina marszczy czoło.

– Ale nadal chcesz kupić ten dom, tak?

Przez chwilę boję się, że zaśmieję się jej w twarz. Co by

powiedziała, gdybym oznajmiła, że nie muszę już przepłacać za jej dom?

Przykro mi, ale muszę zrezygnować. Udało mi się zorientować, co się dzieje, bez wpędzania się w finansowe bagno. Nie jest pani ze mnie dumna, pani doktor?

Wszystko się zmieniło. Nie muszę już kupować domu przy Bentley Grove 11.

Ale nadal chcę. Dlaczego? – pyta moja wewnętrzna Alice. Bo jest w Cambridge, odpowiadam jej, a ja chcę mieszkać w Cambridge. Od dwa tysiące trzeciego roku pragnę tu mieszkać. A ten dom jest do kupienia, złożyłam już swoją ofertę i nikogo tu nie zamordowano. Myliłam się co do tego. Poza tym, gdy nacisnęłam przycisk „dom” w GPS-ie, wyskoczył mi ten adres: Bentley Grove 11.

Nie wiem, czy moje powody są zrozumiałe lub niedorzeczne, lecz nic mnie to nie obchodzi.

– Oczywiście, że tak – mówię do Seliny – Nie przejmuj się, nie zawiodę cię.

Po tych słowach wybiegam.

# 20

**24/07/2010**

– Dziękuję. – Alice Bean uśmiechnęła się, gdy Charlie brała od niej list. – Sam Kobotheakra był przerażony, gdy próbowałam mu go przekazać.

– Mężczyźni to tchórze. – Charlie otworzyła torebkę i wyraźnie pokazała Alice, że chowa jej list w bezpieczne miejsce. – Można by dać Samowi liścik do mleczarza, a i tak martwiłby się, że wdeptuje w jakiś skandal.

– Moim celem nie jest sprawianie kłopotu. Wręcz przeciwnie. Dobro Simona leży mi na sercu.

– W takim razie skorzystaj z tej okazji, by mu pomóc.

Charlie przypomniała sobie, że przyszła tu po informację. Zbyt łatwo byłoby powiedzieć: „No cóż, on nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Jak myślisz, dlaczego wysłał tu mnie?”.

Gdy się umawiały, Charlie zaproponowała kawiarnię, lecz Alice wolała park. Wtedy Charlie to zdenerwowało. Nie cierpiała ludzi, którzy gadali o „siedzeniu w zamknięciu” i zachowywali się tak, jakby w każdy słoneczny dzień człowiek miał obowiązek się opalać. Ale teraz cieszyła się, że jest na powietrzu i że przechadza się wąską ścieżką

wokół jeziora, słuchając ptaków prowadzących nad jej głową ożywioną dyskusję w języku, którego nie rozumiała. Spacerując z kimś, nie trzeba było patrzeć mu w oczy ani pokazywać swojej twarzy. Siedzenie naprzeciw. Alice przy stoliku byłoby dużo trudniejsze.

Trudniej byłoby stłumić w sobie chęć powiedzenia: „A właśnie – zgadnij, kto się ożenił w minioną sobotę”. Jeszcze przed wykręceniem numeru do Alice Charlie postanowiła, że nie wspomni o ślubie, bo wiedziała, że doprowadziłoby to do otwartego konfliktu, nawet jeśli nie mogła być pewna, jak dokładnie by on przebiegł. Prawdopodobnie ona sama by go sprowokowała. Pełniąc oficjalnie funkcję żony Simona, mogła poczuć się zobowiązana do powiedzenia: „Weź ten swój list i wetknij sobie tam, gdzie słońce nie dochodzi”.

Miała nadzieję, że później będzie zadowolona, wręcz dumna z wybrania dojrzałej, bezkonfliktowej drogi, bo teraz nie dawała jej ona żadnej satysfakcji. Wymiana nieuprzejmości, nawet jeśli potem się jej żałowało, była na krótką metę dużo bardziej satysfakcjonująca.

– Pomogę, jeśli będę umiała – powiedziała Alice. – Ale czy mogę najpierw cię o coś zapytać?

– Śmiało.

– Myślisz, że Simon mi kiedyś wybaczy?

Akurat na to pytanie mogła odpowiedzieć szczerze.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Możliwe, że już ci wybaczył. Ale może też chować urazę do końca życia. Jedyne, jakiej jestem pewna, to że z nikim o tym nie będzie rozmawiał.

A już na pewno nie ze mną.

Alice zatrzymała się przy drewnianej ławce nad brzegiem jeziora, pod płaczącą wierzbą. Odgarnęła liście i pochyliła się, by przeczytać napis na złotej tabliczce.

– Nie umiem przejść obok bez czytania – powiedziała. – Czułabym się, jakbym skazywała kogoś na samotną śmierć. Spójrz, dwóch braci, obydwaj umarli dwudziestego dziewiątego kwietnia dwa tysiące piątego roku. Jeden miał dwadzieścia jeden lat, drugi dwadzieścia cztery. Smutne.

– Pewnie wypadek samochodowy – odparła rzeczowo Charlie.

Nie miała ochoty rozmawiać na smutne tematy z Alice. Z nikim.

Wyobraziła sobie wspólną śmierć z Olivią i sięgnęła do torebki po papierosa, który nagle stał się artykułem nagłej potrzeby. Wzięła głębokiego sztacha.

– Gdy umrę, na mojej tabliczce będzie napis: „Zawsze chciała rzucić”.

Alice się zaśmiała.

– Dobrze.

– Simon martwi się o Connie Bowskill.

Czas przestać udawać, że jesteście przyjaciółkami na miłym spacerze. Zresztą z kimś takim jak Alice Bean nie było szans na niezobowiązującą gadkę. Jak dotąd udało się jej poruszyć kwestie przebaczenia, samotnej śmierci i rodzinnej tragedii. Jaki temat czekał

w kolejce? Torturowanie małych zwierząt?

– Ja też się o nią martwię.

– Wiesz, gdzie Connie teraz jest? – spytała Charlie.

– Nie. Nie odbiera komórki ani stacjonarnego.

– Kiedy rozmawialiście ostatni raz?

– Chciałabym ci powiedzieć, ale nie mogę – powiedziała Alice. –  
Tajemnica lekarska.

Charlie przytaknęła.

– Rozumiem, że musisz chronić prywatność swoich pacjentów. Wiem też, że potrafisz przyjąć nowy zestaw zasad etycznych, gdy ktoś jest w niebezpieczeństwie. Zrobiłaś to dla własnego dobra siedem lat temu. Czy nie warto poluzować nieco zawodowy kodeks, by zapewnić Connie bezpieczeństwo?

– Siedem lat temu zrobiłam to dla dobra swojej córki – poprawiła ją Alice, choć bez urazy w głosie. – I wcale nie mam pewności, że Connie jest zagrożona ani że Simon jest w stanie zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Ale uważasz, że to możliwe, iż coś jej grozi.

Próbowałaś wmówić sobie co innego, ale ci się nie udało.

– Podczas jej ostatniej wizyty byłam wstrząśnięta – przyznała Alice. – Dzięki własnym doświadczeniom potrafię rozpoznać stworzenie zagrożone wyginięciem. Wokół Connie krąży bardzo szkodliwa energia próbująca wycisnąć z niej życie. Jest niemal

namacalna. Przebywanie z nią w jednym pomieszczeniu nigdy nie było łatwe, ale ostatnio stanowiło prawdziwe wyzwanie. Musiałam walczyć, by nie uciec i przypominać sobie stale, że Connie jest osobą, która potrzebuje mojej pomocy. Nie jestem w stanie stwierdzić, czy zagrożenie ma źródło zewnętrzne, a ona je uwewnętrzniała, czy też ta zabójcza energia pochodzi od niej samej. Czasem trudno jest odróżnić jedno od drugiego. Gdy jakiś człowiek chce nas zniszczyć, nierzadko sami stajemy się jego współnikami i karzemy się w jego imieniu.

– Myślisz, że mogłabyś powiedzieć to wszystko potocznym językiem? – zapytała Charlie.

Alice stanęła w miejscu.

– Instynkt podpowiada mi, że Connie może nie przeżyć. Albo ktoś próbuje ją unicestwić, albo ona sama to robi.

– A ty kogo obstawiasz?

Charlie nie spodziewała się odpowiedzi, tym bardziej zaskoczyło ją, gdy. Alice odparła:

– Męża.

– Kitta?

– Wczoraj Connie miała urodziny. Prezentem od Kitta była taka sama sukienka jak ta, w którą ubrana była martwa kobieta na zdjęciu. W innych kolorach, ale wzór był ten sam. Nie powinnam ci tego wszystkiego mówić.

– Czyli rozmawiałyście wczoraj – powiedziała Charlie.



Dlaczego wszystko, co mówiła Connie Bowskill – Simonowi, Samowi i Alice – wymagało tak potężnego zawieszenia niewiary?

Bo jest patologiczną kłamczuchą.

– Oprócz sukienki, o czym jeszcze rozmawiałyście?

– O lękach Connie, o jej smutku i podejrzaniach, jak zwykle. Nasze sesje są zawsze ciężkie, ale... Nigdy wcześniej nie obawiałam się o jej życie. Tym razem powiedziała dwie rzeczy, które. Sama nie wiem. Ta historia z sukienką głęboko mną wstrząsnęła. Zeszłej nocy miałam koszmar senny. Wiedziałam, że to koszmar, choć wszystko, co się w nim działo, wydarzyło się naprawdę. Śniła mi się moja sesja z Connie, dokładnie taka, jak w rzeczywistości: Connie siedziała w moim gabinecie i mówiła mi, że jedna sukienka była niebiesko-różowa, a druga zielono-fioletowa. – Alice się wzdrygnęła. – Czasami całe zło wciśnięte jest w najmniejszy szczegół.

Charlie wiedziała, co Alice ma na myśli, choć wolałaby nie wiedzieć.

– Nie mogę przestać myśleć o jej mężu, mężczyźnie, którego nigdy nie widziałam. Wyobrażam sobie, jak podchodzi z obiema sukienkami do kasy Po jednej dla każdej z jego kobiet. Jedna z nich skończyła martwa na dywanie gdzieś w Cambridge. Co się stanie z drugą? – Alice odwróciła się w stronę Charlie i położyła dłoń na jej ramieniu. W porównaniu z jaskrawoczerwoną szminką jej twarz zdawała się wyjątkowo blada. – Gdzie ona jest? Dlaczego nie odbiera telefonu?

– Przed chwilą mówiłaś, że Connie powiedziała dwie rzeczy.

Charlie zdała sobie sprawę, że ma przewagę jako osoba, która przejmuję się najmniej. Ale jednocześnie poczuła się osamotniona. Simon martwił się o Connie Bowskill, Alice martwiła się jeszcze bardziej. Mogliby się spotkać i urządzić sobie lękową imprezkę. Charlie była przekonana, że Stuknięta Connie opowiadała brednie, więc pewnie nie dostałaby zaproszenia.

– Co jeszcze powiedziała Connie, co cię wystraszyło?

– Wyjęte z kontekstu nie będzie miało sensu. „Death Button Centre”.

Charlie wybuchła śmiechem.

– Co, przepraszam?

– I nie tylko ja się przestraszyłam. Wypowiadając te słowa, Connie zdała sobie sprawę z czegoś, co wcześniej nie przyszło jej na myśl. Widziałam, jak to do niej dociera. Wyglądała, jakby zobaczyła w swoich myślach ducha. Dosłownie wybiegła z mojego gabinetu.

– Death Button Centre?

– Connie i Kitt prawie przeprowadzili się do Cambridge w dwa tysiące trzecim roku. Dom, który chcieli kupić, sąsiadował ze szkołą o nazwie Beth Dutton Centre. Connie nie mogła się pogodzić z myślą o zostawieniu rodziny. Wmówiła sobie, że nie może zamieszkać w domu bez nazwy.

– Bez nazwy?

– No wiesz, dużo ludzi nadaje swoim domom nazwy.

– Aha, rozumiem – odparła Charlie. Rzeczywiście rozumiała? Nie do końca. – Dlaczego nie mogła mieszkać w domu bez nazwy?

Jak całkiem sporo ludzi. Większość tak naprawdę.

– To była wymówka. Connie przez całe życie mieszkała w Little Holling, a tam każdy dom jakoś się nazywa. Przywykła do tego. Bała się oddalić od jedyne go miejsca, które znała, i wstydziła się do tego przyznać. Znaleźli z Kitem dom, według niej doskonały, ale powiedziała, że go nie kupi, jeżeli nie nadadzą mu nazwy. Ponieważ sąsiedował z Beth Dutton Centre, Kitt żartował, że mogą nazwać swój dom Death Button Centre. Spytał ją, czy jej zdaniem wkurzą tym ludzi z Beth Dutton Centre albo listonosza.

Charlie odwróciła się, by ukryć swój uśmiech. Alice i Connie mogły uważać to za przerażające, jeśli chciały. Ona uważała, że ma prawo uznać pomysł Bowskilla za zabawny.

– I podejrzewasz, że przyszło Connie do głowy coś, gdy ci o tym opowiadała? Coś, co ją wystraszyło i spowodowało, że wybiegła z twojego gabinetu?

– Jestem tego pewna. Wciąż powtarzam w głowie całą rozmowę, nic innego nie mogło wpędzić jej w taką panikę. Była to ostatnia rzecz, którą powiedziała przed wyjściem.

– Jakie były dokładnie jej słowa? Pamiętasz?

– Pamiętam tylko to, co już ci powiedziałam: Kitt chciał nazwać dom Death Button Centre albo tylko udawał, to nie było jasne. Ja zakładam, że żartował. Nikt przecież na serio nie nazwałby tak

swojego domu.

Charlie nie wierzyła w istnienie rzeczy, których nikt by nie zrobił. Zawsze znalazłby się wariat, który udowodniłby, że jest inaczej. Po tym, przez co Alice przeszła w swoim życiu – po tym, co sama zrobiła – Charlie dziwiła się, że wciąż może być równie naiwna.

– Connie powiedziała, że im dłużej Kitt myślał o tej nazwie, tym bardziej mu się podobała. Ponoć zaproponował zrobienie specjalnej tabliczki na drzwi. – Alice mruży oczy – To była chyba ostatnia rzecz, którą powiedziała przed. Nie, przepraszam. Kitt miał jeszcze jeden pomysł na nazwę: Pardoner Lane siedemnaście. Ale nie to wywołało w Connie taki lęk.

– Skąd wiesz?

– Trudno to wytłumaczyć. Domyślam się, że nie wierzysz w energetyczne wibracje.

– Raczej nie – przyznała Charlie.

Alice zmieniła taktykę.

– Musisz mi uwierzyć na słowo: wystraszyła ją wzmianka o Death Button Centre i ta okropna nazwa. Kto by wymyślił tak niepokojącą nazwę dla domu, w którym chciałby mieszkać? Nawet jako żart.

Jakimś cudem Charlie poczuła dreszcz, który przebiegł przez ciało Alice. Jak to możliwe?

Death Button Centre. Wciskasz guzik i ktoś umiera.

– Pardoner Lane siedemnaście to był adres tego doskonałego

domu, który chcieli kupić – powiedziała Alice.

– Czyli Kitt nie chciał wymyślać specjalnej nazwy?

– Nie. – Alice spojrzała w niebo. – Chociaż może masz rację. Może o to mu chodziło: „Nie nadawajmy naszemu domowi żadnej durnej nazwy, zostańmy przy adresie – Pardoner Lane siedemnaście”. Choć szczerze mówiąc, z jej słów odniosłam inne wrażenie.

– Nic już nie rozumiem – powiedziała Charlie.

– Moim zdaniem, mówiła, że Kitt przeszedł od absurdu do jeszcze większego absurdu, proponując „Pardoner Lane siedemnaście” jako nazwę dla domu. Nazwę, która była jednocześnie adresem. To powtórzenie miało być chyba dowcipem. – Widząc wyraz twarzy Charlie, Alice lekko się zawstydzila. – Wiem, obłądny pomysł. Ale Death Button Centre jest nie lepsze. Connie często określała Kitta mianem dowcipnego, bystrego. Może po prostu ma absurdalne poczucie humoru.

– W takiej sytuacji listy przychodziłyby na adres „Pardoner Lane siedemnaście, Pardoner Lane siedemnaście, Cambridge”. – Charlie zdała sobie sprawę, że znów się uśmiecha. – Jak dla mnie, to trochę się z niej nabijał.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej się jej to podobało. Nazwanie domu adresem było trochę jak pokazanie środkowego palca wszystkim tym, którzy zbyt serio traktują nazywanie domów. Postanowiła podsunąć ten pomysł Simonowi: Chamberlain Street 21 przy Chamberlain Street 21, Spilling. Mogliby wydrukować nalepki. Matka Simona, która nie ma poczucia humoru, byłaby przerażona.

I choć nie zostałyby to powiedziane wprost, dałaby im obydwójgu do zrozumienia, że Pan Bóg podziela jej oburzenie. Istnym cudem była niezmienna jednomyślność Boga i Kathleen Waterhouse.

Olivia uznałaby to za doskonały żart.

– Na mnie już czas – powiedziała Alice, patrząc na zegarek. – Muszę zabrać córkę na przyjęcie urodzinowe.

– Zadzwoń do mnie, jeśli przypomnisz sobie coś jeszcze? – spytała Charlie.

Simon nie będzie zadowolony. Żart z nazwaniem domu Death Button Centre nie był kluczem do rozwiązania zagadki. Skoro Connie Bowskill była w kiepskim stanie emocjonalnym i na prostej drodze do autodestrukcji, to zrozumiałe, że wzmianka o śmierci wywołała w niej atak paniki. Prawdopodobnie połączyła dwa zdarzenia, które nie miały ze sobą żadnego związku: głupi żart męża sprzed kilku lat i martwą kobietę, którą widziała – albo wydawało się jej, że widziała – na ekranie komputera.

Patrząc na odchodzącą Alice, Charlie poczuła wibracje przy brzuchu. Energetyczne wibracje. Co za bzdury. Wyjęła komórkę z torebki, dzwonił Sam Kombothekra.

– Co teraz robisz? – zapytał bez wstępu.

– Niewiele – odparła Charlie. – A ty?

W normalnych okolicznościach pewnie by mu powiedziała, ale nie chciała na głos mówić „Alice”, na wypadek gdyby Sam usłyszał w jej głosie poczucie winy. Nie żeby czuła się winna, po prostu na chłodno

stwierdzała fakt, że jest. Albo wkrótce będzie. Akurat przy tej okazji nie przejmowała się specjalnie swoją winą. Przytrzymując telefon między policzkiem a barkiem, wyjęła z torebki list Alice do Simona.

– Gdzie jesteś? – zapytał Sam.

Charlie się zaśmiała.

– Czy następne pytanie będzie dotyczyło koloru mojej bielizny?

– Nie, Simona. Nie mogę go złapać.

– Jest w Bracknell, u rodziców Bowskilla – powiedziała Charlie.

Wiedziała, że to idiotyczne, ale poczuła dumę, że wie, gdzie jest Simon, a Sam nie.

– Możesz się ze mną spotkać w Brązowej Krowie za piętnaście minut?

– Powinam zdążyć. Masz jakiś problem?

– Powiem ci, jak się spotkamy.

– Szybciej dojadę, wiedząc, na co się śpieszę – odparła Charlie.

Przebiegła palcami wzdłuż zaklejonego skrzydełka koperty. Nic dobrego nie przyjdzie z otwarcia listu. Simon nie wiedział o jego istnieniu, a ona nie chciała nosić w głowie jego treści. Podarła kopertę na drobne strzępy, a potem na jeszcze mniejsze, po czym upuściła je na ziemię.

– Jackie Napier – powiedział Sam. – Problemem jest Jackie Napier.

– Trzeba do tego podejść tak jak do żałoby – powiedziała

Simonowi Barbara Bowskill. – Miałam kiedyś syna, ale już go nie mam. Jestem w takiej samej sytuacji jak matka, której dziecko umarło na raka, zostało zamordowane przez pedofila albo pojechało walczyć do Iraku i zginęło w eksplozji bomby. Tłumaczę sobie, że nic na to nie poradzę, i dzięki temu przestaję karmić się nadzieją.

Matka Kitta Bowskilla doskonale spełniała wyobrażenie Simona o tym, jak powinien wyglądać psycholog specjalizujący się w pomocy żałobnikom, choć ci w rzeczywistości rzadko kiedy byli do niej podobni: kręcone włosy, farbowane na kasztanowo, z siwymi odrostami, haftowana tunika i dżinsy dzwony, duża, drewniana biżuteria, sandały z materiałowymi paskami i obcasami ze sznurka i korka. No i chyba żaden psycholog nie doradzałby matce, by udawała, że jej dziecko zostało zamordowane przez pedofila, podczas gdy to dziecko żyło w Silsford, całe i zdrowe.

Nie po raz pierwszy od pojawienia się w domu Bowskillów Simon poczuł się skrępowany towarzystwem gospodyni. I nie chodziło tylko o zdanie z pedofilem. Niepokoił go jej uśmiech i cieszył się, że jak dotąd widział go tylko dwa razy: gdy otworzyła drzwi i zaprosiła go do środka i gdy podała mu kubek herbaty, a Simon podziękował. Był to natrętny, nieszczerzy uśmiech, który niósł ze sobą skrajną empatię, wspólne przeżywanie bólu, tęsknotę oraz silne pragnienie pożarcia duszy odbiorcy. Zbyt dużo było w nim zmarszczonej skóry wokół oczu, zbyt mocno zasznurowanych ust. Wyglądało to trochę tak, jakby Barbara Bowskill chciała jednocześnie posłać buziaka i głośno się rozpłakać.

Nigel Bowskill, w swoim szarych spodniach od garnituru, zielonym



T-shircie i białych adidasach, zdawał się pochodzić z innego świata niż jego żona.

– Inaczej byłoby to zbyt bolesne – powiedział. – Nie możemy spędzić reszty życia, czekając, aż Kitt zmieni zdanie. Nie stało się to przez siedem lat i pewnie już się nie stanie.

– Dlaczego mielibyśmy przyznawać mu tę kontrolę nad nami? – dodała Barbara defensywnym tonem, choć nikt jej nie atakował.

Jest coś dziwnego w sposobie, w jaki ta para się wypowiada, pomyślał Simon. Każde z nich zdawało się gwałtownie zaprzeczać temu, co to drugie przed chwilą powiedziało, choć gdyby przysłuchać się samym słowom, bez zwracania uwagi na ton, można by pomyśleć, że mówią jednym głosem.

Na razie Simon nie czuł się dobrze w ich domu – wolno stojącej, współczesnej willi z beżowej cegły, tworzącej literę L wraz z dobudowanym, podwójnym garażem. Musiał sobie przypominać, że nie ma to znaczenia. Wykonywał tylko darmową pracę, nie musiał się przy tym dobrze bawić. Dzień ósmy jego miesiąca miodowego. Żałował, że nie zabrał Charlie ze sobą, ale wiedział też, że gdyby czas się cofnął do wczoraj, jeszcze raz podjąłby decyzję o wyjeździe w pojedynkę.

– Musi być wam ciężko – stwierdził. – Czy mogę zapytać, co spowodowało wasze rozstanie?

– Kitt panu nie powiedział? – Barbara przewróciła oczami, kwitując w ten sposób własną naiwność. – Oczywiście, że nie. Nie mógł powiedzieć, nie ujawniając o sobie czegoś, co woli trzymać w ukryciu:

że kiedyś czegoś spróbował i mu się nie powiodło. Co za koszmar. Musi pan zrozumieć, że mój syn jest najbardziej skrytą osobą, jaką kiedykolwiek pan pozna, a jednocześnie najbardziej dumną. Ponieważ nie chce uznać, że czasem się myli, bardzo łatwo go urazić. I stąd ta skrytość. Pomaga mu ona zachować godność. Kitt jest przekonany, że cały świat bacznie go obserwuje, czekając, aż powinie mu się noga. Na zewnątrz może się wydawać odprężony i rozmowny, ale to tylko strategia zarządzania własnym wizerunkiem.

– Przez całe dzieciństwo chował się przed nami – dorzucił Nigel.

Mimowolnie Simon rozejrzał się po pokoju w poszukiwaniu dogodnych kryjówek, lecz nie znalazł ani jednej. Nie było się tu za czym ukryć, jedynymi meblami były dwie skórzane kanapy ustawione pod ścianą pod kątem prostym względem siebie. Przedpokój i kuchnia były takie same. Simon nigdy nie widział mniej zagraconego domu. Nie było półek, ozdób, kurtek na kołkach przy drzwiach, żadnych roślin, misek z owocami ani zegarów. Wnętrze wyglądało jak niedokończony plan filmowy. Gdzie rodzice Kitta trzymali wszystkie swoje sprzęty? Na początku wizyty Simon zapytał ich, czy właśnie się wprowadzili, na co odpowiedzieli, że mieszkają w tym domu od dwudziestu sześciu lat.

– Nie chodzi mi o chowanie się fizyczne – powiedziała Barbara. – Zawsze wiedzieliśmy, gdzie jest. Nigdy nie wychodził z domu, więc nie martwiliśmy się o niego tak jak rodzice jego rówieśników.

– Wydawało nam się też, że wiemy, kim jest – dodał Nigel, którego twarz była twarzą jego syna dwadzieścia pięć lat później. –

Zadowolonym, uprzejmym, posłusznym chłopcem. Nauka nie sprawiała mu żadnych problemów, miał mnóstwo kolegów.

– Ale pokazywał nam tylko to, co według niego chcieliśmy widzieć – odezwała się nagle Barbara, jakby bała się, że jej mąż może ją uprzedzić i wypowiedzieć puentę szybciej niż ona. – Przez całe dzieciństwo nasz syn był swoim własnym doradcą wizerunkowym.

– Co próbował przed wami ukryć? – zapytał Simon. Na razie przesłuchanie przebiegało jednostronnie. Jeżeli Barbara lub Nigel Bowskill zastanawiali się, czemu w ich domu zjawił się detektyw i wypytuje o ich syna, to dobrze maskowali swoją ciekawość. Gdyby tylko wszyscy przesłuchiwanymi byli jak oni. Simon nie cierpiał się tłumaczyć, nawet gdy dysponował dobrymi powodami.

– Nie chodziło o żadne tajemne występki – odparł Nigel. – Bardziej o samego siebie.

– I o niską samoocenę – dodała Barbara. – Czyli coś, co uważał za swoją słabość. Oczywiście wszystkiego tego domyśliliśmy się już po czasie. Musieliśmy działać trochę jak detektywi. Rozmawialiśmy z jego znajomymi ze szkoły, dowiadując się od nich rzeczy, o których nie mieliśmy pojęcia, bo Kitt starannie je przed nami ukrył. Podobno torturował chłopców, którzy zdobywali nagrody w jego mniemaniu przysługujące jemu, a potem, gdy dochodził do siebie, tych samych chłopców przekupywał, by nie mówili rodzicom ani nauczycielom, kto ich skrzywdził.

– Przerazał wszystkich, którzy mieli z nim kontakt – powiedział Nigel.

Barbara się uśmiechnęła.

– Pod jego nieobecność sporządziliśmy profil psychologiczny, tak jak wy robicie z przestępcami. Ale wcześniej całkowicie się co do niego myliliśmy. Świadomie lub nie, grał na naszej próżności. Byliśmy z Nigelem szczęśliwi, zamożni, prowadziliśmy udany biznes i naturalnie wierzyliśmy, że nasz syn jest złotym dzieckiem, które nie zna smaku porażki ani gniewu i które nie ma problemów.

– Grał bezbłędnie swoją rolę. – W głosie Nigela żal mieszał się z podziwem. – Nie chciał, by ktokolwiek zobaczył, że jest normalnym człowiekiem, który czasem robi nie najmądrzejsze rzeczy przeżywa wzloty i upadki, jak każdy z nas. Kitt musiał być zawsze najlepszy, mieć pełną kontrolę, być wiecznie szczęśliwy.

– A to oznaczało, że nikt nie mógł wiedzieć, co naprawdę się dla niego liczy, ani że czasem czuł się źle, bo nie był w czymś najlepszy.

– Rozemocjonowany sposób mówienia Barbary sprawiał, że ciężko było jej słuchać. Desperacja w jej głosie dawała efekt niezrównoważenia. Ilekroć mówił jej mąż, ona jakby nie mogła się doczekać, aż skończy – Przez całe życie Kitt budował wizerunek doskonałości.

I to jest prawdziwy powód, dla którego nie może nam wybaczyć: w dwa tysiące trzecim roku na kilka sekund jego maska opadła i zobaczyliśmy podenerwowanego, nieszczęśliwego człowieka, który zepsuł coś, co było dla niego ważne. Tak naprawdę to sobie samemu nie potrafił wybaczyć, że doprowadził do sytuacji, w której musiał poprosić nas o pomoc. Nie ma to nic wspólnego z tym, że nie daliśmy

mu tych pięćdziesięciu tysięcy.

– Pięćdziesięciu tysięcy funtów? – spytał Simon.

Czy to właśnie miał na myśli Bowskill, mówiąc, że jego rodzice nie chcieli wyciągnąć pomocnej dłoni?

Nigel przytaknął.

– Potrzebował tych pieniędzy na kupno domu.

– Mam chyba gdzieś jeszcze tę broszurę – powiedziała Barbara. – Kitt przyniósł ją, żeby nam pokazać, a gdy odmówiliśmy mu pomocy, oświadczył, że nie chce jej brać z powrotem, jeśli nie może mieć tego domu. „Spalcie ją albo podrzyjcie – powiedział. – Na pewno sprawi wam to przyjemność”. Chyba wydawało mu się, że gdy tylko zobaczymy, jak piękny jest dom, który chciał kupić, od razu wyłożymy gotówkę. I rzeczywiście: był wspaniały, ale niewart przebitki, której żądał od Kitta właściciel. Poza tym uważaliśmy, że to nie fair wobec ludzi, którzy sądzą, że wygrali już licytację. Co to za szemrana metoda sprzedaży domu?

– Nie byłoby to fair wobec nich ani wobec nas – dodał Nigel tonem wyzwania, jakby oczekiwał sprzeciwu. Znów szykował się do walki, mimo że naprzeciwko niego nie siedział już jego syn, tylko Simon. – Connie i Kitta stać było na dom w Cambridge, który bardziej odpowiadałby ich potrzebom. W co najmniej kilku miejscach bez trudu znaleźliby lepszą ofertę. Nie rozumiem, czemu musieli kupować akurat ten dom, skoro teoretycznie był już sprzedany.

Bo Kitt był zbyt dumny, by dać za wygraną i za wszelką cenę chciał

pozostać w grze?

– Kitt nie widział potrzeby wyjaśniania nam swoich powodów – powiedziała Barbara. – Zachowywał się tak, jakby kupienie tego domu za wszelką cenę było jego boskim prawem.

– Wykazał niezły tupet, mówiąc nam, że potrzebuje pięćdziesięciu tysięcy funtów na zrobienie czegoś niemoralnego, i oczekując, że to my pokryjemy koszty. Nie prosił nas nawet o pożyczkę, to mnie najbardziej wkurzyło. Nic nie mówił o oddaniu nam tej kwoty. Po prostu oczekiwał, że mu ją damy. Gdy odmówiliśmy, wściekł się.

Simon chciał zapytać, co Nigel miał na myśli, mówiąc, że dom był już teoretycznie sprzedany, ale wolał nie przerywać. Szczegóły mógł zdobyć później.

– Wściekł się? To znaczy?

– Wszystko z siebie wyrzucił. Stwierdził, że nie mamy z Barbarą wyrobionych standardów, że nie odróżniamy dobrej rzeczy od złej, nie potrafimy poznać się na pięknym domu, że nie doceniamy wagi piękna i nie dostrzegamy go, nawet gdy jest tuż pod naszym nosem. Aha, i nie umiemy też dostrzec szpetoty, bo zawsze kupowaliśmy brzydkie domy.

Nigel starał się wyliczać zarzuty swojego syna lekkim tonem, ale Simon słyszał, że ojciec Kitta jest głęboko dotknięty.

– I oczywiście skazywaliśmy go na cierpienie, zmuszając, by mieszkał z nami w tych brzydkich domach – dorzuciła Barbara. – Porównał nas do zwierząt, które nie rozumieją sięgania po wyższe cele

i konieczności zadowalania się tylko tym, co najlepsze. Co my tam wiemy? Wybieraliśmy na dom trzy ohydne miejsca, jedno za drugim: najpierw Birmingham, potem Manchester, a na koniec Bracknell, czyli miejscowości, które należałoby zmieść z powierzchni ziemi. Jak mogliśmy kazać mu w nich mieszkać? Jak mogliśmy sami w nich mieszkać?

– Kitt uważał, że żadne inne miasto nie dorównuje Cambridge – powiedział Nigel. – I my też przestaliśmy spełniać jego standardy.

– Ale ponieważ tak dobrze mu szło ukrywanie prawdy o sobie, nie wiedzieliśmy, że miał o nas tak niskie mniemanie. Dopóki nie odmówiliśmy mu pomocy. Wtedy był tak wściekły, że wszystko, co do tej pory zrobiliśmy, określił jako złe.

– Lista naszych przestępstw była nieskończenie długa. – Nigel zaczął wyliczać je na palcach. – Powinniśmy byli przeprowadzić się do Cambridge, przenieść się z domem i firmą, gdy tylko zaczął tam studia, tak by nie musiał wyjeżdżać, by odwiedzać nas w święta.

– Według niego Bracknell to „śmierć wszelkiej nadziei”. Proszę sobie wyobrazić nazwanie tak własnego domu!

– Powinniśmy byli pomóc mu, gdy uzyskał dyplom, i jedyna praca, jaką znalazł, była w Rawndesley. Powinniśmy byli go utrzymywać, żeby nie musiał wyjeżdżać z Cambridge.

– Ale wcześniej zapewniał nas, że bardzo się cieszy z pracy w Rawndesley i nie może się doczekać zmiany otoczenia.

– To jego typowa taktyka: udawanie, że to, co się stało, było

częścią planu. W ten sposób zawsze mógł wyjść na zwycięzcę.

– Był bardzo przekonujący. Kitt jest zawsze przekonujący – Barbara wstała. – Chce pan zobaczyć jego pokój? – zapytała Simona.

– Wygląda dokładnie tak, jak go zostawił. Jak w pokoju zmarłego dziecka: wszystko jest nietknięte, a ja, matka w żałobie, odgrywam rolę kustosza muzeum – zaśmiała się krótko.

– Po co miałyby chcieć oglądać jego pokój? – warknął Nigel. – Nie wiemy nawet, w jakim celu nas odwiedził. Przecież Kitt nie zaginał. Nie chodzi o znalezienie tropu.

Stojąc już, Simon czekał, aż padnie pytanie o powód jego wizyty.

– Przecież mógł zaginać – odparła mężowi Barbara. – W końcu nie wiemy nawet, czy żyje. A jeśli nie umarł, to ewidentnie jest w polu zainteresowania policji z jakiegoś innego powodu. Każdy, kto chce zrozumieć Kitta, powinien zobaczyć jego pokój.

– Gdyby nie żył, powiadomiono by nas – odparł Nigel. – Musieliby nam powiedzieć, prawda?

Simon przytaknął.

– Chętnie obejrzę ten pokój, jeśli to nie problem – oświadczył.

– Im nas więcej, tym weselej – powiedziała kokieteryjnie Barbara i rozłożyła ręce w geście zapraszającym niewidzialny tłum ludzi do zwiedzania. – Ale muszę pana uprzedzić: od dawna nikogo nie oprowadzałam, więc mogłam wyjść z wprawy.

Kolejny żarłoczny, ckliwy uśmieszek. Simon starał się nie



wzdrygnąć.

Nigel westchnął.

– Ja nie idę – powiedział.

– Nikt cię nie prosił – odparła Barbara, jakby rzucała na stół najwyższą kartę.

Simon wyszedł za nią z salonu. W połowie schodów zatrzymała się i odwróciła twarzą do niego.

– Pewnie zastanawia się pan, czemu o nic pana nie pytamy – powiedziała. – Dla higieny emocjonalnej nie możemy poddawać się ciekawości. Dużo łatwiej nam żyć, jeśli nie dochodzą do nas żadne wieści.

– To pewnie wymaga nie lada dyscypliny – zauważył Simon.

– Niespecjalnie. Nikt nie lubi cierpieć bez powodu, a przynajmniej my z Nigelem nie lubimy. Każda informacja o synu wyszałaby trzy dni z naszego życia. Nawet najdrobniejszy szczegół: że dziś rano poszedł do sklepu i kupił gazetę albo że był ubrany w jakąś tam koszulę. Nawet gdyby powiedział mi pan tylko tyle, cały jutrzejszy dzień spędziłabym beczynn timer w łóżku. Nie chcę myśleć o moim synu w czasie terażniejszym. Potrafi pan to zrozumieć?

Simon miał nadzieję, że nie rozumie, że nie oznaczało to tego, co podejrzewał.

– Musimy wierzyć, że czas się zatrzymał – ciągnęła Barbara, przekonana do swoich racji jak przemawiający na wiecu polityk. – Dlatego wchodzę do tego pokoju każdego dnia. Nigela to denerwuje.

Mnie, prawdę mówiąc, też, ale gdybym przestała, nie miałabym pewności, że nic się w nim nie zmieniło. Poza tym ktoś musi wycierać kurze.

Pokonała resztę schodów prowadzących na piętro, a Simon poszedł za nią. Było czworo drzwi, wszystkie zamknięte. Na jednych wisiała duża kartka papieru, na której ktoś narysował czarny prostokąt o doskonale prostych bokach, a w środku napisał małymi literami jakiś tekst. Simon był za daleko, żeby go przeczytać.

– To pokój Kitta, ten z wiadomością na drzwiach – powiedziała Barbara.

Simon sam się domyślił. Podchodząc bliżej, zobaczył, że znak jest wykonany z czegoś grubszego niż papier – wyglądało to na rodzaj płóciennej tabliczki. A tekst był namalowany, nie napisany. W dodatku bardzo starannie, niemal jak kaligrafia. Dla Kitta Bowskilla ewidentnie było to coś więcej niż sposób przekazania informacji.

Stojąc za plecami Simona, Barbara recytowała tekst, który on sam czytał po cichu. Dało to niepokojący efekt, jakby jego myśli miały brzmienie jej głosu.

– „Cywilizacja oznacza rozwój ku społeczeństwu opartemu na zasadzie prywatności. Egzystencja dzikich była całkowicie publiczna, rządzona prawami plemienia. Cywilizacja jest procesem uwalniania się człowieka od ludzi”.

Pod cytatem widniało imię i nazwisko: „Ayn Rand”. Autorka Źródła, jednej z wielu powieści, które Simon chciałby znać, ale jakoś nigdy ich nie przeczytał.

– Czy to intelektualny sposób powiedzenia: „To mój pokój, precz stąd”? – zapytał Barbarę, która przytaknęła.

– I posłusznie przestrzegaliśmy tego zakazu. Wręcz religijnie. Aż do dnia, gdy Kitt oznajmił, że widzimy go po raz ostatni. Wtedy pomyślałam sobie: „Chrzanić to. Jeśli mam stracić syna, to odzyskam przynajmniej jeden pokój w swoim domu”. Byłam tak wściekła, że miałam ochotę rozwalać ściany – Drżenie w jej głosie zdawało się mówić, że do dzisiaj ta złość jej nie przeszła. – Weszłam do środka z zamiarem całkowitego opróżnienia pokoju z jego rzeczy, ale nie mogłam tego zrobić, gdy zobaczyłam, co po sobie zostawił. Jak mogłabym zniszczyć jego sekretne dzieło sztuki, skoro było moją jedyną pamiątką. Nigel twierdzi, że to żadna sztuka, a Kitt nie jest artystą, lecz ja nie wiem, jak inaczej to nazwać.

Simon stał bliżej drzwi, ledwie dwa kroki. Mógł wejść do środka i zobaczyć to na własne oczy zamiast słuchać niejasnego opisu Barbary, ale byłoby to nie na miejscu. Wiedział, że powinien poczekać na jej pozwolenie.

– Czy kiedykolwiek miał pan wrażenie, że pańskie serce rozjechał pociąg towarowy? – zapytała matka Kitta, przyciskając obie dłonie do klatki piersiowej. – Tak właśnie się poczułam, gdy otworzyłam te drzwi po raz pierwszy od jedenastu lat. Nie mogłam zrozumieć, na co patrzę, ale dzisiaj już lepiej rozumiem, bo też lepiej poznałam swojego syna pod jego nieobecność.

Jedenaście lat. Znowu ta jedenastka. Pomimo upału po plecach Simona przebiegł zimny dreszcz. Barbara musiała dostrzec pytający

wyraz w jego oczach, bo wyjaśniła:

– Gdy Kitt skończył osiemnaście lat, zakazał nam wstępu do swojego pokoju. Była to pierwsza rzecz, jaką powiedział po powrocie z pierwszego semestru na studiach. Zakaz dotyczył wszystkich, nie tylko nas jako rodziców. Od tamtej pory nikt nie wszedł do jego pokoju, sam tego dopilnował. Rzadko kiedy zapraszał znajomych, a gdy już się to zdarzało, siedział z nimi w salonie. Nawet Connie nie zabierał na górę, gdy nas odwiedzali. Spędzali cały czas w jednym z salonów. W tamtym czasie Kitt miał już własne mieszkanie, więc Connie pewnie nie podejrzewała, że wciąż ma tu swój pokój, ważniejszy od wszystkich, w których mieszkał na co dzień. Nie mogła się domyślić. W końcu większość ludzi, gdy się wyprowadza, to całkowicie.

Chyba że chcą coś ukryć, pomyślał Simon. Większości ludzi nie uszłoby płazem powiedzenie do dziewczyny, z którą się mieszka: „To mój pokój, nie wolno ci się do niego zbliżyć”. Zresztą powiedzenie czegoś takiego rodzicom też byłoby nie do przyjęcia w normalnej rodzinie.

– Przez te jedenaście lat nie czuła pani pokusy, żeby tam zajrzeć?

– Pewnie w końcu bym się złamała, ale Kitt zamontował zamek.

– Barbara wskazała na drzwi. – Te drzwi są nowe, już bez zamka. Na znak nowej polityki dostępu: pokój mojego byłego syna jest otwarty dla wszystkich, przez całą dobę. Oprowadzę po nim każdego, kto będzie chciał – obwieściła buńczucznie, po czym zachichotała. – Jeśli Kittowi to się nie podoba, może przyjechać i złożyć skargę.

– Usunęła pani stare drzwi? Te z zamkiem?

– Nigel je wykopał – odparła z dumą Barbara. – Po „wielkiej kłótni”. – Zrobiła palcami w powietrzu znak cudzysłowu. – Tylko tak mogliśmy dostać się do środka. Nigel powiedział: „Przynajmniej jest posprzątane”, co było sporym niedopowiedzeniem. Sama nie umiałabym zaprowadzić większego porządku w żadnym pomieszczeniu. Kitt miał swój własny odkurzacz, ścierki do kurzu, środki czyszczące, wszystko. Przyjeżdżał raz na dwa tygodnie i zamykał się tam na kilka godzin, by sprzątać. Słychać było odkurzacz. Wątpię, czy Connie o tym wiedziała. Spędzała tyle czasu u swoich rodziców, że Kitt mógł przyjeżdżać do nas w weekendy i biedulka o niczym nie miała pojęcia. Oboje z Nigelem współczuliśmy jej, że Kitt trzyma w tajemnicy przed nią coś tak ważnego. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy uprzywilejowani, bo znamy jego sekret i wiemy o pokoju, choć nie mamy pojęcia, co w nim jest.

Barbara kręciła głową. Jej duma wyraźnie ustąpiła miejsca frustracji.

– Byliśmy głupi, pozwalając osiemnastoletniemu chłopcu zamknąć się przed nami w naszym własnym domu. Gdybym mogła cofnąć czas, nie pozwoliłabym mu nawet zamykać przede mną drzwi, co dopiero instalować w nich zamek. Obserwowałabym go jak sokół przez calusieńki dzień. – Pokazała palcem na Simona, jakby chciała go przyszpilić w miejscu. – Siedziałabym całą noc przy jego łóżku, patrząc, jak śpi. Stałabym obok kabiny, czekając, aż skończy brać prysznic. Nie zostawiałabym go samego nawet w toalecie. Nie dałabym mu ani odrobiny prywatności. Byłby przerażony, gdyby mnie teraz usłyszał, lecz nic mnie to nie obchodzi. Według mnie prywatność

jest glebą, z której wyrasta najgorsze zło.

– Możemy zajrzeć do środka? – zapytał Simon, czując odrazę do Barbary.

Gdyby spotkał ją przed tym, co nazwała „wielką kłótnią”, prawdopodobnie miałby do niej inny stosunek. Na pewno była wtedy innym człowiekiem. Simon nigdy by się do tego nikomu nie przyznał, ale często czuł obrzydzenie do ludzi, których spotkało wyjątkowe nieszczęście. Ale to jego wina, nie ich. Podejrzywał, że brało się to z jego chęci zdystansowania się od tragedii. Z drugiej strony, na zasadzie kompensacji, zwiększało w nim chęć udzielenia pomocy.

– Proszę, śmiało – powiedziała Barbara. – Dołączę do pana za chwilkę. Nie chcę zakłócić panu pierwszego wrażenia.

Simon nacisnął klamkę. Otworzywszy drzwi, poczuł charakterystyczny zapach środka do polerowania mebli. Kitt Bowskill mógł nie odwiedzać swojego sanktuarium od dwa tysiące trzeciego roku, lecz ktoś od tamtej pory pieczołowicie o niego dbał. Barbara. Tylko matka mogła podejmować taki wysiłek.

– Niech się pan nie potknie o odkurzacz – ostrzegła Simona. – W przeciwieństwie do pozostałych pomieszczeń pokój Kitta nie jest pusty. – Zaśmiała się. – Pozbyliśmy się większości rzeczy pół roku po rozstaniu z synem. Jeśli mieliśmy być bezdziejni, nie było sensu gromadzić sprzętów.

Drzwi zostały na wpół otwarte. Simon popchnął je do końca i wszedł do środka. Pokój był pełen, ale nie sprawiał wrażenia zagraconego. Łóżko, dwa krzesła, biurko, szafa, komoda i regał z

książkami, a obok niego odkurzacz. Między regałem a zbyt małym oknem stał rząd środków czystości – do mycia okien, drewna i dywanów – a tuż obok szare, plastikowe wiadro, z którego wystawało sześć miotełek z piór, parodiując wazon z kwiatami.

W pierwszej chwili Simon pomyślał, że ściany są wytapetowane, bo każdy centymetr kwadratowy, od podłogi po sufit, był pokryty. Szybko jednak zdał sobie sprawę, że nie mogła to być tapeta, bo wzór się nie powtarzał. Żaden projektant, choćby i najbardziej radykalny, nie stworzyłby czegoś tak skomplikowanego i dziwaczного. Fotografie. Simon zrozumiał, że patrzy na setki zdjęć, ułożonych razem w taki sposób, że nie widać połączeń. A może ich nie było? Simon nie widział linii, które kończyły jedno zdjęcie i zaczynały drugie. Jak mu się udało? Czyżby Kitt zrobił te zdjęcia, a potem zamówił przerobienie ich w tapetę?

Wszystkie przedstawiały ulice i budynki, z wyjątkiem tych na suficie, bo na nich było niebo – jasnoniebieskie i czyste, upstrzone białą chmur, szare z plamami różu i czerwieni od zachodzącego słońca i ciemnogrnatowe z białym fragmentem rozświetlonego księżyca w rogu.

Simon zbliżył się do jednej ze ścian i rozpoznał sfotografowaną ulicę. Tak, to na niej stał pub Sześć Dzwonów, niedaleko Żyj i Pozwól Żyć, gdzie spotkał się z Ianem Grintem.

– Czy to...?

Odwrócił się, by znaleźć Barbarę, ale jego wzrok zatrzymał się na półkach z książkami. Stały w równych rzędach, ich grzbiety tworzyły

idealną linię. Po tytułach Simon domyślił się, że mają jeden wspólny temat.

– Witamy w Cambridge w Bracknell – powiedziała Barbara.

Opowieści z Cambridge, książki o początkach uniwersytetu, o zawodach wioślarskich, o rywalizacji z Oksfordem. Znani ludzie związani z miastem, Cambridge i jego artyści, Cambridge i pisarze, których zainspirowało, puby w Cambridge, ogrody w Cambridge, architektura, mosty, rzygacze na budynkach uczelni, Dzieciństwo w Cambridge, uczelniane kaplice, Cambridge a odkrycia naukowe, szpiegzy powiązani z Cambridge.

Simon dostrzegł słowa „Pink Floyd”. Czyżby znalazł jedną książkę, która nie pasowała do schematu? Nie. Był to Ilustrowany przewodnik fana Pink Floydów po Cambridge.

Na krańcu jednej z półek stał egzemplarz miejskiego A-Z – stary, jeżeli Kitta nie było w tym pokoju od dwa tysiące trzeciego roku, mimo to wyglądający na nowy. Wyżej Simon zobaczył rząd książek telefonicznych.

Nagle zdał sobie sprawę ze stojącej za jego plecami Barbary.

– Wiedzieliśmy, że lubi to miasto – powiedziała. – Ale nie mieliśmy pojęcia, że była to obsesja.

Simon czytał tabliczki z nazwami ulic na zdjęciach: De Freville Avenue, Hills Road, Newton Road, Gough Way, Glisson Road, Grantchester Meadows, Alpha Road, St Edward’s Passage. Nigdzie nie widział tabliczki z nazwą Pardoner Lane. Spojrzał w górę, na zdjęcia



nieba nad Cambridge, i pomyślał o osiemnastoletnim Kitcie Bowskillu, który nie chciał spać pod niebem nad Bracknell.

Connie się myliła. Powiedziała Simonowi, że Kitt zakochał się w kimś, będąc na studiach, w kimś, o kim nie chciał jej mówić, twierdząc, że nikt taki nie istnieje. Z oczywistych powodów podejrzewała, że tą osobą jest Selina Gane.

Ale w rzeczywistości nikt nią nie był. Miłość, którą Kitt Bowskill postanowił ukryć przed żoną – miłość tak silna, że albo nie umiał, albo nie chciał ujmować jej w słowa – nie była uczuciem do konkretnego mieszkańca Cambridge, lecz do miasta jako takiego.

Barbara dalej odgrywała swoją rolę przewodniczki, zgodnie z zapowiedzią.

– Tu mamy Fen Causeway. Jeździliśmy nią z Nigelem, ilekroć odwiedzaliśmy Kitta w Cambridge. Pewnie zauważył pan już kaplicę King's College. Biblioteka Wrena w Trinity. Dworzec autobusowy przy Drummer Street.

Simon słyszał już tylko własny oddech. Podobnie jak Kitt Bowskill siedem lat temu, skupiał się tylko na jednym.

– Nic panu nie jest? – spytała Barbara. – Wygląda pan na zmartwionego.

Pardoner Lane 18.

Kitt Bowskill, który nie cierpiał przegrywać, znalazł dla siebie doskonały dom w idealnym mieście. Rodzice nie chcieli dać mu pieniędzy, więc nie mógł go kupić, ale ktoś inny w nim zamieszkał.

Ktoś, komu udało się to, co przeszło Kittowi koło nosa.

Ktoś, kto wtedy musiał myśleć, że mocno mu się poszczęściło.

# 21

## Sobota, 24 lipca 2010

Pracuje gdzieś pani? – pyta mnie detektyw sierżant Alison Laskey, której udaje się zachować spokój wobec mojego wzburzenia.

Jest szczupłą kobietą w średnim wieku z krótkimi, starannie ułożonymi, kasztanowymi włosami. Przypomina mi żonę polityka sprzed dwudziestu lat, posłuszną i milczącą.

– Mam dwie prace – mówię jej. – Razem z mężem prowadzę firmę i jednocześnie jestem zatrudniona u rodziców. – Siedzimy w tej samej sali przesłuchań, w której we wtorek byłam z Kitem. Tej z siatką za oknem. – Ale co to ma wspólnego z Ianem Grintem? Chciałam tylko.

– Wyobraź sobie, że jesteś na wakacjach, opalasz się na plaży, a w tym czasie ktoś zjawia się w twoim miejscu pracy i prosi o numer komórkowy. Chciałabyś, żeby matka albo ojciec, albo pracownik firmy, dali twój numer, by ten ktoś przerwał ci wypoczynek?

– Ja nie proszę o numer do Iana Grinta.

– Taka była twoja pierwsza prośba – odpowiada Laskey.

– Rozumiem, dlaczego nie może mi pani dać jego numeru. Dlatego proszę, żeby to pani do niego zadzwoniła i poprosiła, by się do mnie odezwał. Albo żeby się ze mną spotkał. Muszę z nim porozmawiać.

Może zadzwonić do mojego hotelu. Będę tam za...

– Connie, przestań. To nieistotne, która z nas przerwie mu urlop. – Sierżant Laskey się uśmiecha. – A on ma dzisiaj wolne. Nie ma powodu mu przeszkadzać. Pracujemy zespołowo, o wszystkim, co cię niepokoi, możesz porozmawiać ze mną. Znam twoją... sytuację, więc wiem, o co chodzi. Przeczytałam twoje oświadczenia.

– Czy to pani uznała, że przy Bentley Grove jedenaście nikogo nie zamordowano? To pani postanowiła zostawić wszystko i zapomnieć o całej sprawie?

Usta Laskey lekko drżą.

– O czym chciałaś porozmawiać z Ianem? – pyta.

– Było morderstwo – mówię. – Proszę ze mną pójść, pokażę pani.

– Ty mi pokażesz? – pyta, unosząc wysoko brwi. – Co takiego mi pokażesz, Connie? Martwą kobietę leżącą w kałuży krwi?

– Tak.

Nie mam wyboru, muszę trochę przesadzać. Nawet jeśli zwłok już tam nie ma, to krew na pewno została. Przynajmniej ślady.

– Pojedzie pani ze mną? – pytam.

– Chętnie – odpowiada Laskey – Ale najpierw powiedz mi, dokąd pojedziemy i dlaczego.

– Dlaczego? Uważa mnie pani za nieźrównoważoną, więc nie uwierzy w ani jedno moje słowo. Proszę ze mną pojechać i zobaczyć na własne oczy. Wtedy pani wszystko wytłumaczę, wtedy będzie pani

musiała potraktować mnie serio.

Odsuwam krzesło i wstaję. Czuję w kieszeni ciężar kluczy, które wyjęłam z kubka w kuchni Seliny Gane.

– Usiądź – mówi Laskey zmęczonym głosem. – Wolne ma dzisiaj Ian Grint, nie ja. Mam sporo pracy w tym budynku. – Wykonuje ręką szeroki gest, na wypadek gdybym nie zrozumiała znaczenia słów „w tym budynku”. – Nie mogę stąd wyjść, jeśli nie mam ku temu wyraźnego powodu. Czy ci się to podoba czy nie, jeśli chcesz, żebym ci towarzyszyła, musisz wszystko mi teraz wytłumaczyć.

A wtedy uznasz, że jestem jeszcze bardziej stuknięta.

Opadam na krzesło. Skoro nie mam wyboru, to nie zaszkodzi o wszystkim jej powiedzieć. Odwracam głowę, żeby jej nie widzieć, i zaczynam mówić, wyobrażając sobie, że słucha mnie ktoś bardziej wyrozumiały, na przykład Sam albo Simon Waterhouse. Myślałam, żeby skontaktować się z nimi, ale co mogliby zrobić? Są wiele kilometrów stąd, w Spilling.

Mówię Laskey o wszystkim. Pewnie zastanawia się, czemu wypowiadam się w tak przeciągły i przerywany sposób. Nic na to nie poradzę. W tym momencie najważniejszą rzeczą jest sprawdzenie każdego zdania, zanim wyjdzie z moich ust, upewnienie się, że nie zawiera żadnych błędów. Moje rozumowanie musi wydać się jej racjonalne, inaczej nie będzie chciała mi pomóc. Wewnętrzny głos, który staram się zignorować, mówi mi, że to nic nie da, choćbym się starała, i że po wszystkim będę czuła do siebie pogardę za tę poniżającą próbę zrobienia na niej wrażenia.

Gdy wreszcie kończę, sierżant Laskey patrzy na mnie, długo nic nie mówiąc.

– Pojedzie pani ze mną? – pytam.

Wygląda, jakby podejmowała jakąś decyzję.

– Powiem ci, co zrobię. Poproszę kogoś, żeby przyniósł ci kubek herbaty i kanapkę. Chwilę sobie odpoczniesz, a potem wrócę i...

– Nie potrzebuję odpoczynku – rzucam.

– A potem wrócę i opowiesz mi tę całą historię jeszcze raz.

– Przecież to strata czasu! Dlaczego znowu mam to opowiadać? Nie słuchała pani?

– Słuchałam bardzo uważnie. Chyba nigdy nie słyszałam równie... nietypowej historii. My tu w policji nie spotykamy się często z takimi interesującymi historiami. Zdarza się to znacznie rzadziej, niż myślisz. Zazwyczaj opowieści o okolicznościach przestępstw, które ścigamy, są niezmiernie nudne.

Wiem, do czego zmierza.

– Uważa pani, że wszystko zmyśliłam, prawda? Chce pani usłyszeć to jeszcze raz, żeby zobaczyć, czy pomylę się w jakimś detalu.

– Masz coś przeciwko temu, by powiedzieć to drugi raz? – pyta Laskey.

Owszem, to strata czasu. Zmuszam się do opanowania gniewu.

– Nie – odpowiadam, ale nie mogę sobie odmówić dodania: – O ile tylko przyzna się pani do błędu w rozumowaniu.

– Jaki to błąd?

– Jeśli opowiem pani wszystko po raz drugi i moje zeznania się nie zmieniają, nie posunie to pani naprzód. Może to oznaczać, że mówię prawdę albo że jestem kłamcą o doskonałej pamięci.

Laskey się uśmiecha.

– Kimkolwiek jesteś, powinnaś coś zjeść. Od piętnastu minut burczy ci w brzuchu. Poczekaj tu.

W drzwiach zatrzymuje się i odwraca w moją stronę.

– A propos: zabranie kluczy z czyjegoś domu jest przestępstwem. Jeśli zamierzasz zmienić jakąś część swojej opowieści, zaczęłabym od tego.

Wciąż się uśmiechając, wychodzi za drzwi.

Co miała na myśli? Czyżby sugerowała, że powinnam kłamać, by uniknąć kłopotów? A może uprzedziła, że gdy już zjem kanapkę, którą we mnie wmusi, to zamierza mnie aresztować. Nie przyszło mi do głowy przemilczenie historii z kluczami. Jak ona może zwracać uwagę właśnie na to po tym, co jej powiedziałam?

Bo nie wierzy w martwą kobietę i już tego nie zmienisz. W wykradzenie kluczy pewnie też nie wierzy. Inaczej już by cię aresztowała.

Musiałam wziąć te klucze. Ale co, jeśli się mylę, i nie należą one wcale do amerykańskiej przyjaciółki Seliny Gane? Co, jeśli numer na breloczku nie oznacza tego, co podejrzewam? Może to inna ulica? Na breloczku nie jest napisane „Bentley Grove”. Jest tylko numer.

Nie. Mylisz się.

Mówiąc o swojej przyjaciółce, Selina Gane spojrzała prosto na kubek. Klucze muszą być do jej domu. A numer bez nazwy ulicy? To musi oznaczać Bentley Grove. W ten sposób opisać klucze mogła tylko, jeśli były do domu na jej ulicy.

A domy przy Bentley Grove są mniej więcej takie same. Salony wyglądają prawie identycznie.

Nagle robi mi się niedobrze na samą myśl, że miałabym tu dłużej siedzieć, znosząc kolejne subtelne groźby i protekcjonalne uwagi. Nie potrzebuję takiej pomocy. Mam lepszy pomysł, który nie będzie ode mnie wymagał wkupiania się w łaski Alison Laskey.

Chwytam torebkę i wychodzę z budynku policji tak szybko, jak tylko mogę. Nie przestaję iść, aż znajduję budkę telefoniczną. Naciskając guziki, zastanawiam się, czy już do końca życia będę pamiętała numer jego komórki.

Odbiera po drugim dzwonku.

– Już czas – mówię.

– Connie. – Kitt jest wyraźnie ucieszony, że mnie słyszy. Mówi zachrypniętym głosem. Czyżby płakał? Wcześniej nigdy mu się to nie zdarzało. Ale może teraz robi to stale, skoro już się rozsmakował. – Gdzie jesteś?

– To bez znaczenia. Ważne jest to, gdzie będę za dwadzieścia minut. A będę przy Bentley Grove jedenaście.

– Gdzie jesteś...?



– Wiesz, co mam przez to na myśli, prawda? – zagłuszam go. – Bentley Grove jedenaście, nie w domu Seliny Gane. Tam właśnie będę. W twoim Bentley Grove jedenaście.

Cisza.

– Mam w dłoni zestaw kluczy – mówię mu. – Właśnie na nie patrzę.

Odkładam słuchawkę i wychodzę z budki. Wpadam w panikę, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie zaparkowałam samochód. A, no tak: wielopoziomowy parking nieopodal oszklonego basenu ze zjeżdżalniami.

Idę najszybciej, jak tylko się da, wiedząc, że Kitt, gdziekolwiek był, gdy z nim rozmawiałam, teraz jedzie już do wskazanego domu.

Nie umiałabym wyjaśnić komuś takiemu jak Alison Laskey, skąd to wiem, ale wiem. Gdy było się z kimś tak długo, jak ja z Kitem, łatwo jest przewidzieć ruchy drugiej osoby.

Muszę tam dotrzeć przed nim. Muszę wejść do środka i zobaczyć to na własne oczy, cokolwiek to jest.

Co zrobisz, gdy zjawi się Kitt? Zabijesz go? Powiesz: „A nie mówiłam”?...

Chyba nieważne jest, co się stanie potem. Liczy się tylko to, co robię teraz, a teraz próbuję dostać się do domu, żeby włożyć klucz w zamek i go przekręcić, zobaczyć, że pasuje i działa. Tylko to jest mi teraz potrzebne: ulga płynąca z udowodnienia sobie, że nie jestem wariatką. Nic innego mnie teraz nie interesuje.

Na każdym skrzyżowaniu trafiam na czerwone światło. Niektóre z nich ignoruję i przejeżdżam, ale przy innych się zatrzymuję. Moje działanie nie jest oparte na żadnym systemie, kieruję gorzej niż kiedykolwiek, wszystkie moje decyzje są całkowicie przypadkowe. W głowie kotłują mi się niepowiązane ze sobą myśli: niebiesko-różowa sukienka, którą kupił mi Kitt, tkanina z wizerunkiem Melrose Cottage na ścianie w sypialni, uśmiezek Alison Laskey, plan architektoniczny Bentley Grove 11, akt ustanowienia spółki Nulli w rozbitej ramce, żelazne ogrodzenie, Pardoner Lane, Beth Dutton Centre, zgniła kapusta, którą moja mama znalazła w kredensie pod schodami, żółty breloczek w mojej kieszeni, kubek w kuchni Seliny Gane, jej mapa hrabstwa Cambridge z pustym herbem. Syndrom Pustego Herbu, myślę sobie i wybucham śmiechem.

Parkuję przed domem i patrzę na zegarek na desce rozdzielczej. Dojechanie tu zajęło mi dziesięć minut, choć wydawało mi się, że jadę dziesięć godzin.

Klucz pasuje, bo nie marnuję czasu na zastanawianie się, czy będzie pasował. Oczywiście, że pasuje. Tę jedną rzecz zapomniałam powiedzieć Alison Laskey: jak absolutnie jestem pewna, że mam rację.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. Smród wywołuje we mnie odruch wymiotny: ludzkie odchody. I coś jeszcze gorszego, jakiś dodatkowy ton. Śmierć. Nigdy w życiu nie czułam tego zapachu, ale momentalnie go rozpoznaję.

To się dzieje naprawdę.

Jakiś wewnętrzny krzyk każe mi uciekać, biec jak najdalej stąd.

Widzę kilka rzeczy naraz: biały guzik przyklejony od góry do słupka schodów, telefon na stoliku w holu, mnóstwo poplamionych krwią kartek papieru na podłodze pod stolikiem, różową kurtkę dżinsową tuż przy drzwiach wejściowych. Podnoszę ją i sprawdzam kieszenie. Jedna jest pusta, w drugiej są dwa klucze. Na jednym wisi breloczek z nazwą Lancing Damisz, a do drugiego przymocowana jest papierowa etykieta, jak do prezentów. Ktoś napisał na niej: „Selina, nr 11”.

Umysł odmawia mi posłuszeństwa, gdy próbuję to zrozumieć.

I nagle widzę, że nie ma tu żadnej tajemnicy. To wszystko boleśnie proste: ty dajesz sąsiadce zapasowy klucz, a sąsiadka daje tobie swój. Jeśli zgubisz klucze do domu, masz plan awaryjny.

Zadwoń na policję. Podnieś słuchawkę i wybierz numer policji.

Skupiając się na każdym najdrobniejszym ruchu, zaczynam iść przez przedpokój, utrzymując wzrok na punkcie docelowym. Od tego telefonu dzieli mnie dwanaście kroków, nie więcej. Gdy dochodzę na wysokość otwartych drzwi, przystaję, nagle zdając sobie sprawę z czegoś, co mam z boku pola widzenia, czegoś dużego i czerwonego. Moja głowa jest zbyt ciężka, a szyja zbyt sztywna, bym mogła się odwrócić. Powoli obracam się całym ciałem, by spojrzeć w stronę salonu.

Patrzę na moją kałużę krwi. Moją i Jackie, powinnam powiedzieć, skoro obydwie ją widziałyśmy. Jest teraz ciemniejsza, wyschnięta jak farba. Na środku pokoju leży kobieta, na brzuchu i z przekreśloną na bok głową. Pozycja jej głowy to nie jedyna różnica w stosunku do zdjęcia. Jej włosy są bardziej uporządkowane, aż za bardzo, jakby

ktoś przed chwilą je wyszczotkował. Poza tym nie ma na sobie zielono-fioletowej sukienki. Jest ubrana w różową bluzkę na ramiączkach, spódnicę z białożółtym nadrukiem i różowe, sznurowane tenisówki. Różowa kurtka w holu pewnie też należy do niej. Przy jej boku leży płócienna torebka w kolorowe kwiaty. Wygląda, jakby zsunęła się jej z ramienia tuż przed upadkiem.

Na lewej dłoni nie ma obrączki.

Przeszywa mnie strach. Nie wiem, co robić. Zadzwoić na policję? Sprawdzić, czy kobieta jeszcze żyje?

Uciekaj stąd.

Ale nie mogę. Nie mogę tak jej tutaj zostawić.

Nie wiem, jak długo już tu stoję – pół sekundy, dziesięć sekund czy dziesięć minut. W końcu zmuszam się do wejścia do salonu.

Podchodzę do okna, omijając kałużę krwi. Chcę zobaczyć jej twarz. Jeśli pójdę naokoło kałuży krwi. Jeśli pójdę naokoło krwi. Pójdę. Naokoło. Tylko dzięki powtarzaniu tych słów jestem w stanie się ruszyć.

Gdy wreszcie widzę, kto tu leży, muszę przycisnąć obie dłonie do ust tak mocno, że aż zadaję sobie ból. Ręce mi się trzęsą, cała się trzęsę. To Jackie, Jackie Napier. Nie żyje. W jej martwo gapiących się oczach pełno jest strachu. Ślady na szyi. Uduszona. O Boże, błagam, niech to będzie tylko zły sen.

Jej twarz jest wykrzywiona, zwłaszcza usta. Między wargami widać czubek języka. Słyszę swój własny głos, powtarzam wciąż: nie, nie.

Jackie Napier. Jedyna osoba, która widziała to, co ty.

Podchodzę bliżej, tak blisko, jak tylko mogę wytrzymać. Schylając się, dotykam jej nogi. Ciepła.

Wychodzę rakiem z pokoju, cała się trzęsąc. Telefon. Zadzwoń na policję. Otóż to. Teraz zrobię właśnie to: zadzwonię na policję. Skupiam się na punkcie docelowym i zaczynam iść przez przedpokój. Zbliżając się do stolika z telefonem, zauważam nagle coś, co każe mi się zatrzymać. Pismo mojego męża na jednej z zakrwawionych kartek leżących na podłodze.

Padam na kolana, nie mogąc dłużej stać. Nie rozumiem tego, na co patrzę. Jest to wiersz napisany przez kogoś, kto nazywa się Tilly Gilpatrick. Wiersz o wulkanie. Pod spodem znajduje się uwaga chwalaćca wiersz, a jeszcze niżej komentarz Kitta, który napisał, że utwór jest żenujący, nawet jak na pięciolatka. Sam zanotował wiersz, który jego zdaniem jest lepszy – trzy rymowane zwrotki. Próbuję je przeczytać, ale nie mogę się skoncentrować.

Jedna po drugiej, zbieram z podłogi pozostałe kartki. Wszystkie są upstrzone na czerwono. Znajduję listę zakupową. Ktoś, kto nazywa siebie „E”, prosi „D” o kupienie między innymi pieczonych na węglu karczochów, nie w puszcze. Słowo „nie” zapisane jest drukowanymi literami. Co jeszcze tu leży? Zaświadczenie o ubezpieczeniu samochodowym. Znów widzę nazwisko Gilpatrick. Jako kierowcy wymienieni są Elise i Donal Gilpatrick.

List dziękujący Elise, Donalowi, Riordanowi i Tilly za miły weekend. Wyglądający przedpotopowo, pełen złości list od Elise do kogoś o

imieniu Caroline z 1993 roku. Wiersz o kasztanach, autorstwa Riordana Gilpatricka. Świadek szkolny tego samego Riordana. Opis kociąt sporządzony przez Tilly. Przesuwam wszystkie papiery na bok i moim oczom ukazuje się mały, niebieski liścik od Seliny Gane do Elise z 24 lipca. To dzisiaj. Czyżby napisała go zaraz po moim wyjściu? Na tej kartce nie ma krwi. Czytając, zaczynam zdawać sobie sprawę z uczucia zdrętwienia z tyłu oczu. Muszę przestać patrzeć.

Kim są ci ludzie, ci Gilpatrickowie? Co mają wspólnego z Kitem?

Jakimś cudem udaje mi się znowu stanąć na nogi. Podnoszę słuchawkę telefonu i wtedy zauważam kolejną kartkę, na stoliku, tuż obok aparatu. Znowu pismo Kitta, ale tym razem tylko jeden wers, za to wielokrotnie powtórzony. Atrament jest rozmyty w miejscach, gdzie musiały na kartkę spaść krople wody, jakby papier leżał na deszczu.

Jakby autor tych słów płakał, gdy je zapisywał.

Słowa wydają mi się znajome. Czy to aby nie wers z wiersza, który Kitt napisał pod wierszem pięcioletniej Tilly? Schylam się, by znaleźć tamtą kartkę. Mam. Tak. Ale dlaczego Kitt wybrał właśnie ten wers i powtórzył go trzynaście razy? Co to oznacza? I kto jest autorem? Nie Kitt, on nigdy nie pisał wierszy, choć często je cytuje. Zawsze takie, które się rymują, i zawsze napisane przez dawno nieżyjących ludzi, o których nigdy nie słyszałam.

Znowu podnoszę słuchawkę i próbuję przyłożyć ją do ucha, ale nie mogę ruszyć ręką. Czyjaś dłoń zaciska się wokół mojego nadgarstka i odciąga mi ramię. Upuszczam słuchawkę, a przed oczami błyska mi metal odbijający promienie słońca wpadające przez okno w holu. Nóż.

– Nie zabijaj mnie – mówię odruchowo.

– Mówisz to tak, jakbym chciał cię zabić. A nie chcę.

Głos, który kiedyś kochałam. Głos mojego męża. Przyciska ostrze noża płasko do mojego gardła, zgniatając tchawicę.

– Dlaczego? – udaje mi się powiedzieć. – Dlaczego zamierzasz mnie zabić?

– Bo mnie znasz – mówi Kitt.

## **DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/26IG**

24 lipca 2010

Cześć Elise,

Właśnie sobie zdałam sprawę, że od tygodni cię nie widziałam, nawet przelotnie. Donała i dzieciaków zresztą też. Wybacz ton wścibskiej sąsiadki, ale twoje zasłony są ostatnio wiecznie zasunięte, na piętrze i na parterze. Czy wszystko w porządku? Wyjechaliście na lato do Stanów? Zakładam, że nie, skoro nie poprosiłaś mnie o podlewanie kwiatów itp. (chyba że masz kogoś innego).

Mam wyrzuty sumienia, że tak cię ostatnio zaniedbywałam. Żadna to wymówka, ale miałam strasznie dużo pracy, a do tego trochę problemów. Opowiem ci wszystko, jak się spotkamy.

Zadzwoń czasem (na komórkę albo domowy) albo napisz SMS-a. Spotkajmy się niedługo, ok?

Ściskam mocno,

Selina xxx



DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/27IG

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

Gdzie się podział młody człowiek?

# 22

**24/07/2010**

Potrzebuję waszej pomocy we włamaniu – powiedział Simon, jakby była to najnormalniejsza prośba.

Charlie prawie upuściła trzy szklanki piwa, które właśnie niosła. Udało jej się jakoś postawić je na stole, nie wylewając ani kropli. Ona, Simon i Sam Kombothekra siedzieli przed pubem Granta w Cambridge, nad rzeką.

Charlie czekała na Sama w Brązowej Krowie, gdy doszły do niej SMS-y od Simona, wzywającego ją do siebie. Musiała osierocić swojego drinka i powiedzieć Samowi, że on też napije się dopiero za dwie godziny.

– Do domu przy Bentley Grove – Simon dodał niezbędny szczegół.  
– Nie pod numerem jedenaście, ale do domu stojącego naprzeciwko domu profesora Lamberta-Walla.

– Dlaczego? – zapytał Sam. – Co tam jest?

Simon wziął łyk piwa i zmarszczył czoło.

– Nie wiem – wymamrotał. – Możliwe, że nic.

– To dopiero zachęta do działania – powiedziała z sarkazmem

Charlie.

– Powiem wam, co wiem – odparł Simon. – Tak będzie łatwiej. Po wyjściu od rodziców Bowskilla złamałem wszystkie ograniczenia prędkości, jadąc na Pardoner Lane osiemnaście. Nikogo nie zastałem, więc zapukałem pod numer siedemnaście. Właściciele ucieszyli się na mój widok tak samo jak za pierwszym razem, gdy pojawiłem się u nich bez zapowiedzi, i dzisiaj przyjąłem ich zaproszenie na kawę. Uznałem, że będą sporo wiedzieć o domu pod numerem osiemnaście, bo mieszkają przy Pardoner Lane od dwa tysiące pierwszego roku i są bardzo rozmowni. Zwłaszcza ona.

Widząc niezrozumienie na twarzy Sama, Charlie pośpieszyła z wyjaśnieniem:

– Chodzi mu o to, że są ludźmi o podstawowych umiejętnościach społecznych, którzy rozmawiają z ludźmi i są dla nich uprzejmi.

W przeciwieństwie do Simona, który wchodząc do domu lub z niego wychodząc, szedł zawsze ze spuszczoną głową i nie wyobrażał sobie nic gorszego od bliskich relacji ze wszystkimi sąsiadami i wynikającej z nich konieczności rozmawiania z nimi, ilekroć ich widział. Charlie wielokrotnie wierciła mu o to dziurę w brzuchu. „Rozmawiasz z ludźmi z pracy, z rodzicami, ze mną”, zwracała mu uwagę, zdając sobie sprawę z nieścistości swojego opisu: trudno było nazwać rozmawianiem to, co robił Simon. „Jeśli porozmawiam raz z którymś sąsiadem, stworzę precedens – odpowiadał. – Za każdym razem, wychodząc z domu, będę musiał zatrzymać się na ulicy i wymieniać uprzejmości. Nie chcę mieć tego obowiązku. Jeśli wychodzę z domu,

to znaczy, że muszę dokądś jechać. A gdy wracam do domu, to chcę się w nim jak najszybciej znaleźć”.

– I co ci powiedziała Pani Rozmowna? – zapytała Charlie.

– Gdy wprowadzili się z mężem na Pardoner Lane, dom pod numerem osiemnaście należał do Beth Dutton Centre, szkoły obok.

Charlie znowu pomyślała o Connie podającej zły adres. Jak mogła pamiętać dobrze wszystkie szczegóły z wyjątkiem numeru domu? Zwłaszcza po tym, jak Kitt zaproponował dla żartu użycie adresu jako nazwy domu.

Pardoner Lane 17 przy Pardoner Lane 17, Cambridge.

Nie, to nie mogło być to. Bowskill musiał powiedzieć Pardoner Lane 18 przy Pardoner Lane 18, Cambridge.

– Pod numerem osiemnaście mieszkała dyrektorka szkoły – ciągnął Simon. – Nie musiała wcześniej wstawać do pracy. Ale w dwa tysiące trzecim roku szkoła wpadła w tarapaty finansowe i sprzedała dom pod numerem osiemnaście, by pozyskać kapitał. Dyrektorka mieszka teraz w wynajętym mieszkaniu na sąsiedniej ulicy.

– Wszystko to powiedziała ci Pani Rozmowna? – spytała Charlie.

– Należała z dyrektorką szkoły do tego samego klubu czytelniczego. Spytałem ją, czy wie, kto kupił ten dom. Wiedziała: kupcami byli niejacy Gilpatrickowie. Wiedziała też, która agencja nieruchomości obsługiwała obydwie transakcje, tę w dwa tysiące trzecim roku i tę w zeszłym, bo wraz z mężem złożyli ofertę kupna. Za każdym razem dom sprzedawała agencja Cambridge Property Shop.

Biura nieruchomości są otwarte w soboty, więc tam zrobiłem swój następny przystanek. – W oczach Simona pojawił się szklisty, nawiedzony wyraz, który Charlie i Sam tak dobrze znali. – Zgadnijcie, kto pracował u nich w dwa tysiące trzecim roku. I w dwa tysiące dziewiątym, bo odeszła do nowej firmy dopiero w lutym tego roku.

– Lorraine Turner? – powiedziała Charlie.

– Nie – odezwał się Sam. Zazwyczaj, gdy wychodził z jakimś swoim pomysłem, mówił bardzo ostrożnym tonem. Nie tym razem.

– Jackie Napier, tak?

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał Simon.

Charlie westchnęła. Oczywiście było, że się pomyliła, skoro to Sama prosił o wytłumaczenie jego toku rozumowania, a nie ją.

– Mam co do niej złe przeczucie – powiedział Sam i zwrócił się do Charlie. – Dlatego chciałem z tobą dzisiaj porozmawiać. – Przynajmniej starał się wyglądać na skruszonego. – Przepraszam, powinienem był ci to wyjaśnić w samochodzie.

Przez całą drogę ze Spilling do Cambridge Charlie próbowała go przekonać, żeby powiedział jej, co takiego ważnego się zdarzyło i nie mogło poczekać. Sam nie dał się namówić. Powtarzał, że mylnie zinterpretował jakiś fakt, nic więcej.

– Uznałem, że Simon dowiedział się wszystkiego i że powie nam, jak dojedziemy. Gdyby nie miało to nic wspólnego z Jackie Napier, to moje przeczucie co do niej okazałoby się nieuzasadnione. Wolałem poczekać, zanim zacznę ją oczerniać. Niczego nie jestem w stanie

udowodnić.

– Co to za przeczucie? – spytał Simon.

Sam wyglądał na przypartego do muru. Westchnął ciężko.

– Od początku mi się nie podobała. Wydała mi się. Pomyślicie, że jestem skończonym snobem.

– Wybaczam ci – powiedziała Charlie. – Zaakceptuj swojego wewnętrznego snoba. Ja to zrobiłam już dawno temu.

– Wydała mi się głupia. Ignorantka, która myśli, że wszystko wie najlepiej. Takie sprawiała wrażenie przez większą część przesłuchania. To ten typ kobiety, której się wydaje, że robi świetne wrażenie, a tymczasem wszyscy, którzy jej słuchają, myślą sobie: „Boże, co za tępy babsztyl”. Wygadywała różne nadęte farmazony, w stylu: „Żyję w prawdziwym świecie, nie w bajeczce” albo „Nikt nie płaci mi za przejmowanie się morderstwami”. I często cytowała samą siebie. „Zawsze powtarzam”, a po tym jakaś perła pseudomądrości.

Charlie się zaśmiała.

– Chryste, Sam! Ale z ciebie suka!

Sam się zarumienił.

– Nie sprawia mi to przyjemności – powiedział.

– Mów dalej – zachęcił go Simon.

– Miała bardzo ugruntowane przekonania co do samej siebie. Wciąż powtarzała, jakim jest typem człowieka. „Dwa fakty na mój temat”, powiedziała, po czym je wymieniła. Pierwszym była lojalność:

jeśli jest po twojej stronie, to na dobre i na złe.

– Straszne – odezwała się Charlie. – Ludzie, którzy gadają o tym, jacy to są lojalni, prawie zawsze skaczą ci do gardła, jeśli spóźnisz się z wysłaniem kartki urodzinowej.

– Zapewniła mnie, że nie ma bujnej wyobraźni – powiedział Sam. – I zdawała się z tego powodu dumna. Właśnie wróciła z Nowej Zelandii, gdzie mieszkała u siostry. Z tego, co mówiła, jasno wynikało, że przez cały pobyt tam nieustannie ją krytykowała, dając siebie samą za przykład cnót. Totalny brak wyczucia. Ale z drugiej strony były takie momenty, kiedy wiedziała dokładnie, co myślę. Wrażliwość granicząca z telepatią. Więc była niekonsekwentna.

– Niektórzy ludzie tacy są – zauważyła Charlie.

– Wiem – odparł Sam. – Tak też sobie to tłumaczyłem. Jednak potem powiedziała coś jeszcze, coś o zdjęciu paszportowym Seliny.

Gane, coś, co wydało mi się. Niepasujące. Poczułem to w trzewiach, zanim jeszcze zdążyłem się zastanowić. Kiedy tylko to powiedziała, odniosłem wrażenie, że coś mi nie pasuje, ale bardzo długo nie byłem w stanie wykombinować dlaczego. I wczoraj wieczorem wreszcie to zrozumiałem. Na przesłuchaniu Napier opowiadała mi o kobiecie, która podawała się za Selinę Gane i wystawiła jej dom na sprzedaż. „Nie była głupia – powiedziała. – Wiedziała, że wystarczy wspomnieć o tym, że ludzie nie wyglądają jak na swoich zdjęciach. Zmuszając mnie, bym myślała o innych, zwalniała się z konieczności przekonania mnie co do siebie – sama wykonałam za nią całą robotę”.

– I co z tego? – zapytała Charlie. – Gdzie tu problem?

Simon potakiwał, cholerny wszystkowiedzący. Przecież nie mógł wiedzieć, do czego zmierza Sam. Mógł?

– Może nie ma problemu – westchnął Sam. – Dlatego nic nie mówiłem.

– Ale co może było, a może nie było problemem? – ujęła inaczej swoje pytanie Charlie, przewracając oczami w odpowiedzi na jego wkurzającą skromność. – Nie proszę cię o wyjaśnienie, na czym polega problematyczność twojego podejrzenia. Po prostu powiedz mi, o co ci chodzi.

– Co twoim zdaniem Jackie miała na myśli, mówiąc, że tamta kobieta wiedziała, iż ona wykona za nią całą robotę? – zapytał Sam.

– Wiedziała, że Jackie momentalnie pomyśli o wszystkich swoich znajomych, którzy nie są do siebie podobni na zdjęciach paszportowych – powiedział Simon. – Że przypomni sobie wszystkie te chwile, gdy sama mówiła do kogoś: „To naprawdę ty?”.

Sam energicznie potakiwał.

– Ciężar życiowego doświadczenia zawsze wydaje się równoznaczny z obiektywnym dowodem. – Simon skierował tę uwagę do Charlie. Czyżby uważał, że nie nadąża za nimi dwoma? – Podświadomość Jackie mówi jej, że we wszystkich wypadkach, z jakimi osobiście się spotkała, nieprawdopodobnie wyglądające zdjęcia jednak zawsze przedstawiały właścicieli paszportów.

– Właśnie – powiedział Sam z wyraźną ulgą w głosie. – Kimkolwiek



była kobieta podająca się za Selinę Gane, nie tyle okłamała Jackie Napier, ile zaprosiła ją, by ta sama się okłamała, by przeszła od konkretnej sytuacji i zdjęcia w paszporcie Seliny Gane do ogólnej normy obowiązującej w podobnych wypadkach, czyli tego, że absolutnie nikt nie wygląda na zdjęciu paszportowym tak jak w rzeczywistości, a jednak nigdy nie oznacza to, iż fotografia przedstawia kogoś innego, tylko tyle, że podobieństwo jest niewyraźne.

Charlie wydawało się, że zaczyna rozumieć.

– Więc twierdzicie, że tamta kobieta celowo wywołała jedno z głęboko zakorzenionych w Jackie założeń.

– Jedno z głęboko zakorzenionych i opartych na własnym doświadczeniu założeń – uzupełnił jej zdanie Simon. – Te zawsze działają najsilniej. Kiedyś poznałem homoseksualistę, który miał piskliwy głos, więc wszyscy mężczyźni o wysokich głosach to geje. Grupa azjatyckich nastolatków ukradła mi torebkę, więc wszystkie azjatyckie nastolatki, które odtąd spotykam, są kryminalistami. Nasze umysły działają dzięki powtarzającym się wzorcom: ilekroć następuje X, dzieje się też Y To miała na myśli Jackie Napier. Kobieta udająca Selinę Gane polegała na umyśle Jackie, który miał samodzielnie znaleźć znany sobie katalog i do niego wrzucić przychodzącą informację: niczyje zdjęcie paszportowe nie wygląda wiarygodnie, a jednak wszystkie zdjęcia paszportowe przedstawiają właścicieli rzeczonych paszportów.

– Czyli Jackie miała rację – powiedziała Charlie. – Kłamczucha nie

była głupia.

– Głupia albo nie, nie to jest tutaj problemem. – Sam znów wyglądał na zmartwionego. – Nie daje mi spokoju inteligencja Jackie. Mówiąc mimochodem, że tamta kobieta liczyła, iż ona sama wykona za nią całą robotę, podzieliła się głębokim, subtelnym spostrzeżeniem, nad którym siedzimy od kilku minut, a jesteśmy trójką całkiem bystrych osób. Przepraszam. – Sam oblał się rumieńcem, wyrażając skruchę za komplement, na który być może nie zasłużył.

– Pokazała, że potrafi zanalizować i podsumować, znacznie zwięźlej niż my, na czym polegało to oszustwo. Taki poziom instynktownego zrozumienia czegoś do tego stopnia złożonego jest niedostępny dla większości ludzi. A już kompletnie poza orbitą kogoś – przepraszam, to zabrzmia strasznie – o tak stereotypowym, prostym sposobie myślenia, jaki prezentowała Jackie w trakcie przesłuchania.

Simon dopił resztkę swojego piwa i z hukiem postawił szklanekę na stole.

– Nie ma wątpliwości, że Jackie Napier jest bystra – powiedział.

– Potrafi też świetnie kłamać. Gdy jest się inteligentnym, prawie niemożliwe jest udawanie czegoś odwrotnego. Dużo łatwiej złemu człowiekowi udawać dobrego. Ukrywając inteligencję, trzeba zmienić nie tylko postawę, ale sposób mówienia, strukturę zdań, słownictwo, wszystko. Prawie jej się to udało. Gdyby tylko nie powiedziała tej jednej rzeczy, dałbyś się nabrać.

Sam przytaknął.

– Najwyraźniej spotkał cię przywilej – powiedział mu Simon.

– Musiała mieć o tobie wysokie mniemanie. Specjalnie dla ciebie wypruła sobie żyły i stworzyła największe kłamstwo swojego życia. Powiedziała ci, że nie ma bujnej wyobraźni, a tymczasem jest dokładnie na odwrót. Ma bujną wyobraźnię, ale brakuje jej sumienia, empatii i strachu. I prawie kompletnie nie zdaje sobie sprawy z własnych ograniczeń.

Charlie poczuła zimny dreszcz. Ten opis wydał jej się aż nadto znajomy. Inne nazwiska przychodziły na myśl. Nazwiska potworów.

– Jackie Napier to taki człowiek, który wszystkim wyświadczyłby przysługę, pozbywając się swojej wyobraźni – stwierdził Simon.

# 23

## Sobota, 24 lipca 2010

– Nie mogę oddychać – mówię z trudem. Kitt zbyt mocno przyciska mi nóż do gardła. – Dusisz mnie.

– Wybacz – szepcze.

Kitt schował twarz w moich włosach, czuję na karku jego łyzy. Zdejmuje nóż z gardła i trzyma mi go przed oczami. Ostrze trzęsie się w jego dłoni. Drugą ręką obejmuje mnie w pasie, przyciskając moje ręce do boków. Nie mam szans się wyswobodzić, nie jestem na tyle silna.

Ząbkowane ostrze noża błyska srebrzyście.

Przez mój umysł przebiegają obrazy: dzbanek do herbaty, tort czekoladowy, plastikowy kubek z przykrywką, niebiesko-różowa sukienka.

To nasz nóż, z Melrose Cottage. Ostatni raz widziałam go na drewnianej tacy przy swoim torcie urodzinowym.

Dlaczego nie przewidziałam, że Kitt może tu już być? Jak mogłam być taka głupia? Nowa fala łez szczypie mnie w powieki. Mrugam, by je powstrzymać. Próbuję myśleć. Nie mogę teraz umrzeć, nie mogę pozwolić się zabić. Nie pozwolę, by moja lekkomyślność zamieniła

mnie w temat wieczornych wiadomości. Ludzie usłyszą moją historię i powiedzą: „Sama sobie winna, głupia”.

– Nie bój się – mówi Kitt. – Idę z tobą. Naprawdę myślisz, że wysłałbym cię samą?

Idę? Mówi o umieraniu.

– Pójdziemy razem, gdy już będziemy gotowi – mówi. – Jesteśmy przynajmniej we właściwym miejscu.

Gdy już będziemy gotowi. To znaczy, że jeszcze nie teraz. Nie jest gotowy na zabicie siebie i mnie. Rozpaczliwie chwytam się tego skrawka nadziei.

– Kim była martwa kobieta, którą widziałam na zdjęciu w internecie?

Składam sobie obietnicę: mogę tego nie przeżyć, lecz nie umrę, dopóki nie poznam prawdy. Nie umrę w niewiedzy.

– Jackie Napier – mówi Kitt.

Nie, to niemożliwe. We wtorek Jackie jeszcze żyła. Weszła do pokoju, w którym siedziałam z Kitem i powiedziała do Grinta: Nie wiem, skąd ją wytrzasnęliście, ale możecie z powrotem ją tam zabrać. Nigdy w życiu jej nie widziałam.

– To nie była ona... – zaczynam mówić.

– Ona – przerywa mi Kitt. – To była Jackie, chociaż nie martwa.

Jackie, chociaż nie martwa. Jackie, chociaż nie martwa. Strach szczypie mnie w skórę, jakby po moim ciele chodziło tysiąc malutkich

pająków. Nie mogę wydobyć z siebie głosu, by spytać, czy krew była prawdziwa. Ale nie muszę pytać. Znam odpowiedź.

Przypomina mi się moja matka, niemogąca uwierzyć, że jakakolwiek kobieta dobrowolnie zniszczyłaby sukienkę, kładąc się w czerwonej farbie. A tymczasem Jackie Napier była właśnie taką kobietą.

– Leżała w cudzej krwi – mówi Kitt.

I nadal w niej leży. Śmierci przez uduszenie na ogół nie towarzyszy rozległy krwotok.

– W czyjej krwi? – pytam przerażona, czując żółć podchodzącą do gardła.

Czuję zapach Kitta, który z desperacji obficie się poci. Jest to ostra, gnilna woń, jakby jego ciało zaakceptowało już nieuchronną śmierć i zaczęło czynić niezbędne przygotowania.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jej nienawidzę – mówi. – I siebie za tę nienawiść.

Ale nie za zabicie jej.

– Jackie? – pytam.

– Zrobiłaby dla mnie wszystko.

Reszta tego zdania ginie w głośnym szlochu, który wprawia jego ciało w drżenie.

W końcu Kitt się uspokaja i wtedy pytam:

– Dlaczego ją zabiłeś?

– Musiałem. – Jego oddech jest nierówny – Nie było już dla mnie i dla niej szczęśliwego zakończenia. Dla mnie i ciebie też go nie ma. Nie po tym wszystkim, co się stało. Nie mamy innego wyjścia. Musimy być odważni, Con. Powiedziałaś, że chcesz jedynie poznać prawdę. Chcę ci wszystko powiedzieć. Mam już dosyć samotności, bycia jedyną osobą, która wie, ale nie może się tym z tobą podzielić.

Strach łapie mnie za serce. Nie chcę, żeby mi wszystko powiedział, Jeszcze nie teraz, jeżeli zaraz potem ma mnie zabić.

Gapię się na trzęsący się nóż. Nawet gdyby udało mi się telepatycznie wyrwać mu go z dłoni, i tak nie uwolniłabym się z jego uścisku. Staram się uwierzyć, że sierżant Laskey przybędzie na czas. Podałam jej adres i powiedziałam, że jest tu martwa kobieta. Może wątpić w moją opowieść, ale i tak przyjedzie. Będzie się chciała upewnić.

Jedna martwa kobieta. Błagam, tylko nie dwie. Tylko nie dwie.

– Zaopiekuję się tobą, Con – mówi Kitt. – Jackie powiedziała, że się tobą zajmie, lecz nie miała na myśli wzięcia cię pod opiekę. Chodziło jej o ten drugi sens „zajęcia się kimś”. To nie w porządku, nie uważasz? Żeby te same słowa oznaczały dwie różne rzeczy?

Słowa. Słyszę je, ale jakoś nie działają. Nie przenoszą sensu. Co on mówi?

Czuję zapach śmierci. Rozkładu, gnicia. Jak to możliwe? Jak dawno temu Kitt zabił Jackie Napier? Ile czasu upływa, nim zwłoki zaczynają śmierdzieć? Przecież ona jest jeszcze ciepła.

– Co o mnie mówiła? – pytam.

– Zamierzała cię zabić. – Kitt szłocha w moje włosy – Nie mogłem jej powstrzymać, nie bez... zrobienia tego, co zrobiłem.

Całuje mnie w kark. Zaciskam wargi, by nie wypuścić krzyku, który we mnie wzbiera.

– Zabiłem ją, żeby cię ocalić – mówi Kitt.



# 24

**24/07/2010**

Charlie dopiła swoje piwo i miała ochotę na następne, ale wiedziała, że jeśli pójdzie do baru, zbyt dużo ją ominie i znów będzie musiała nadrabiać zaległości. Było to jej – jak to Simon określił? – oparte na osobistym doświadczeniu, głęboko zakorzenione założenie. On i Sam najwyraźniej zapomnieli, że są spragnionymi ciałami doczepionymi do mózgów, i Charlie postanowiła zrobić to samo.

– Pamiętasz, co mówiłaś w Hiszpanii o prostych rozwiązaniach? – spytał Simon. – W wypadku jakiegokolwiek niewiadomej, zagadki, najprostsza odpowiedź jest zazwyczaj prawidłowa.

– Wtedy się ze mną nie zgodziłeś – powiedziała Charlie. – Udało nam się odbyć kilka interesujących dyskusji w ciągu naszego półgodzinnego miesiąca miodowego – wyjaśniła Samowi.

– Jackie Napier obstawiała, że Ian Grint przyjmie twój punkt widzenia, nie mój – ciągnął Simon. – Jak wiele osób obdarzonych bujną wyobraźnią, wychodzi z założenia, że większość ludzi, z którymi ma do czynienia, myśli bardziej prozaicznie niż ona. I ma rację. Grint dowiaduje się, że ktoś włamał się na stronę internetową agencji Lancing Damisz – kto jest naturalnie poza podejrzeniem? Jackie Napier. Po co miałyby włamywać się na stronę, do której ma legalny

dostęp? Jakaś kobieta mogła zostać zamordowana w domu przy Bentley Grove jedenaście – kto jest naturalnie poza podejrzeniem? Znowu Jackie Napier. W końcu sama zwróciła na siebie uwagę policji, mówiąc, że widziała zwłoki, i potwierdzając zeznania Connie Bowskill, które w przeciwnym razie zostałyby odrzucone jako halucynacje niezrównoważonej neurotyczki. To dzięki Jackie Grint poczynił kroki w celu wyjaśnienia ewentualnego morderstwa, przeprowadził badania na miejscu zbrodni, dowiedział się o włamaniu na stronę. Najprostsze założenie było takie, że Jackie nie mogła być za to wszystko odpowiedzialna. Odwrotna wersja nikomu nie przyszłaby do głowy. Przecież nikt nie zwraca uwagi policji na przestępstwo, które w przeciwnym razie pozostałoby niewykryte.

– Ale według ciebie Jackie właśnie to zrobiła? – spytał Sam.

– Tak mi się wydaje – odparł Simon. – Nie wiem tylko dlaczego – dodał ze złością. – Nie brakuje mi wyobraźni, lecz do Jackie Napier bardzo mi daleko.

– Mówisz tak, jakbyś miał absolutną pewność, że Napier kłamała – zauważyła Charlie.

– Bo mam. Gdybyś była ze mną w Lancing Damisz albo w Cambridge Property Shop, też byłabyś pewna.

Charlie nie zwróciła mu uwagi, że ani nie powiedział jej, dokąd się wybiera, ani jej nie zaprosił.

– Po pierwsze, Jackie nie była ostatnio w Nowej Zelandii i nie ma siostry. Rzeczywiście była na urlopie, ale polegał on na tym, że zabrała niepełnosprawną matkę do pensjonatu w Weston-super-Mare.

Podobno robi to co roku.

Weston-super-Mare. Nowa Zelandia. Różnica między kłamstwem a prawdą była tak ogromna, że przyprawiała niemal o zawroty głowy.

– Jackie sprzedała Pardoner Lane osiemnaście Gilpatrickom w dwa tysiące trzecim roku – powiedział Simon. – W dwa tysiące dziewiątym znów postanowili się przeprowadzić. Jackie, wtedy nadal zatrudniona w Cambridge Property Shop, sprzedała im dom naprzeciwko profesora Lamberta-Walla. A sama kupiła ich stary dom.

– Co? – Charlie nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Jackie Napier kupiła dom przy Pardoner Lane osiemnaście w marcu zeszłego roku – uzupełnił Simon. – Prowadziła sprzedaż jako agentka, zamieściła ogłoszenie na rynku, po czym sama złożyła ofertę i kupiła dom dla siebie.

– W takim razie po co w ogóle wystawiała go na sprzedaż? – spytał Sam.

– Musiała zapłacić sobie prowizję? – dodała Charlie.

– Nie mam pojęcia. – Simon uciekł wzrokiem. Nie cierpiał nie wiedzieć. – Ale tam właśnie teraz mieszka. W domu, na punkcie którego Kitt Bowskill miał obsesję, który tak bardzo pragnął mieć, że pozwolił sobie na spuszczenie swojej dumnej maski i poprosił rodziców o pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Charlie spojrzała błagalnie na Sama, w jego oczach zobaczyła odbicie własnego zagubienia.

– W lutym tego roku Jackie przeniosła się do agencji Lancing

Damisz – powiedział Simon. – Rozmawiałem z Hugh Jeppsem, jednym ze starszych wspólników w Cambridge Property Shop. Od lutego dręczą go wyrzuty sumienia za pozytywne referencje, które jej wtedy wystawił, i był bardzo chętny do zwierzeń. Napisał jej ten list polecający tylko dlatego, że za wszelką cenę chciał się jej pozbyć. Wyrzuciłby ją z pracy, tyle że wtedy wyszłoby na jaw, co Jackie robiła. Jepps bał się, że jego firma nie wytrzyma krytyki medialnej. W dodatku niczego nie był w stanie udowodnić, choć doskonale wiedział, co się działo.

– Czego nie można powiedzieć o mnie i Samie – wymamrotała Charlie.

– Przy każdej transakcji prowadzonej przez Jackie, gdy tylko ktoś złożył ofertę kupna, natychmiast pojawiała się kolejna oferta, nieco wyższa od pierwszej – kontynuował Simon. – Zazwyczaj taka sytuacja prowadzi do licytacji, w której każda ze stron proponuje o dwa tysiące więcej niż druga. Czasem pięć lub dziesięć tysięcy, zależnie od wartości domu. W końcu jedna ze stron się wycofuje. Na razie wszystko w normie, jak powiedział Jepps. Prawie z każdą sprzedają tak to wygląda. Tyle że w wypadku domów sprzedawanych przez Jackie Napier był jeden stały element: Kitt Bowskill. To on zawsze przebijał pierwszą ofertę, rozpoczynając licytację. O dziwo nigdy nie interesowały go inne domy. Tylko te na liście Jackie skłaniały go do podbijania ceny do maksimum. I za każdym razem jego zapał był krótkotrwały. Bowskill zawsze wycofywał się pierwszy, zostawiając innych licytujących z dziurą w portfelu, sięgającą czasem kilku tysięcy funtów, ale zadowolonych z wygranej.

– Czyli Kitt Bowskill nigdy nie zamierzał kupić żadnego z tych domów? – upewnił się Sam. – Chciał tylko sztucznie podwyższyć ich cenę. Ale po co?

– Żeby Jackie Napier dostała wyższą prowizję – powiedziała Charlie z pewnością w głosie i pomyślała sobie, że ktoś powinien określić jakoś olśnienie następujące w chwili, gdy człowiek zdaje sobie sprawę, że dwoje ludzi, których wcześniej nie łączył, ma ze sobą romans. Jackie Napier i Kitt Bowskill. Olivia Zailer i Chris Gibbs.

– To samo działo się w Lancing Damisz, odkąd Jackie do nich dołączyła – ciągnął Simon. – Nie pracuje u nich dostatecznie długo, by ktokolwiek zdążył się połapać, ale gdy powiedziałem Lorraine Turner wszystko to, co usłyszałem od Hugh Jeppsa, tak się przejęła, że przetrząsnęła biurko Napier. Znalazła dwa listy od Jackie do Bowskilla, potwierdzające jego oferty na dwa domy, które sprzedawała. Wyjaśniała w nich, że w obydwu wypadkach pojawiły się wyższe oferty i pytała, czy w tej sytuacji chce podbić swoją cenę.

– Łamali prawo – odezwał się Sam. – To zwykłe oszustwo.

– Zgadza się – przytaknął Simon. – Oszustwo, którego prawie nie sposób udowodnić, o ile Bowskill trzymałby się swojej wersji zdarzeń: od dwa tysiące trzeciego roku szuka domu w Cambridge. Złożył oferty na wiele domów, angażował się w licytacje, zaczynając od Pardoner Lane osiemnaście, co akurat było z jego strony autentyczne, jednak jak dotąd ze wszystkich ofert rezygnował. Dlaczego? Bo jest perfekcjonistą. Bo rzeczywiście nim jest, co tylko czyni to kłamstwo wiarygodnym. Nikt nie jest w stanie włamać się do jego umysłu i

udowodnić, że jego prawdziwą motywacją było oszustwo. A gdy znajomi Jackie z pracy zadawali pytania, jak to kilkakrotnie zrobił Hugh Jepps, robiła maślane oczy i mówiła: „Biedny pan Bowskill, nie umie się zobowiązać”.

– Mimo to Hugh Jepps jej nie wierzył – powiedziała Charlie.

– Oczywiście, że nie. Zbieg okoliczności, iż Bowskill licytował wyłącznie domy sprzedawane przez Jackie Napier, był mało wiarygodny. Ale Jackie się tym nie przejmowała i szła w zaparte. To nie jej wina, mówiła. Pan Bowskill nie jest jej znajomym, a przypadki się zdarzają. Jepps rozważał zatrudnienie prywatnego detektywa, by ten udowodnił związek między Napier a Bowskillem, lecz ostatecznie uznał, że lepiej po prostu się jej pozbyć i zrzucić problem na inną firmę. Powiedział mi, że odgrywając przed nim scenę niesłusznie oskarżonej, naiwnej biedulki, była tak przekonująca, że aż przebiegł go dreszcz.

– Nie taką ją pamiętam – odezwał się Sam. – Przy mnie nie była naiwna. Grała bardziej znużoną, umęczoną, światową kobietę, której się wydaje, że wie to i owo.

– Myślę, że ma w zanadru niejedną osobowość – powiedział Simon. – Kobieta mieszkająca pod numerem siedemnaście opisała ją jako „ciepłą, serdeczną dziewczynę”.

– Jeśli Jackie mieszka przy Pardoner Lane osiemnaście, to Pani Rozmowna spod numeru siedemnaście jest jej sąsiadką – próbowała uporządkować informacje Charlie.

– Sąsiadką i dobrą znajomą – odparł Simon. – Poznały się z Jackie

wiele lat temu, jeszcze zanim Napier wprowadziła się na Pardoner Lane. Ta sąsiadka przyjaźni się też z Elise Gilpatrick, choć nie widziała Elise już od jakiegoś czasu. – Podkreślił to ostatnie zdanie, jakby uważał je za szczególnie istotne. Charlie miała już zapytać go, co sugeruje, gdy Simon dodał: – Jackie też jest bliską znajomą Elise. Bardzo często chodziła do Gilpatricków na kolację. To u nich poznała ją kobieta spod siedemnastki. I dlatego nie była podejrzliwa, widząc Jackie i jej chłopaka, jak w dni powszednie wchodzą popołudniami do domu pod numerem osiemnaście.

Jackie Napier i Elise Gilpatrick bliskimi znajomymi. Charlie zmarszczyła brwi. Jackie sprzedała dom przy Pardoner Lane Gilpatrickom w dwa tysiące trzecim roku. Czy już wtedy się przyjaźniły? Raczej tak. Ludzie rzadko kiedy zaprzyjaźniają się z agentem nieruchomości, od którego kupili dom.

– „Kobieta spod Siedemnastki” popełniła ten sam błąd co Basil Lambert-Wall – ciągnął Simon. – Widzisz, że ktoś otwiera drzwi kluczem, i zakładasz, że ma prawo wejść. Intruzi nie mają kluczy, tylko pończochy na twarzach i worki z symbolem dolara. Kobieta spod Siedemnastki nawet nie drgnęła, gdy Elise Gilpatrick zwierzała się jej ze swojego irracjonalnego przeczucia, że jej dom nie należy wyłącznie do niej. Mówiła jej, że czuje się u siebie jak intruz albo dzika lokatorka, mimo iż kupiła dom legalnie. Miała koszmary nocne, w których inna rodzina zjawiała się na jej progu i kazała się zbierać. Któregoś dnia rozplakała się w jej obecności i przyznała do lęku, że dom jest nawiedzony, choć wiedziała, że to niemożliwe, i nie wierzyła w duchy. Ale Kobieta spod Siedemnastki nadal nie łączyła faktów – W

głosie Simona pobrzmiwała mieszanka niedowierzania i pogardy.

– Nawet gdy mi o tym wszystkim mówiła, te dwa fakty przedstawiała jako niepowiązane ze sobą: przecucie Elise Gilpatrick, że Pardoner Lane osiemnaście nie należy do niej, i wizyty Jackie Napier z chłopakiem w ciągu dnia, gdy Gilpatricków nie było w domu. Pokazałem jej zdjęcie Kitta Bowskilla, które dostałem od Connie. Potwierdziła, że to jego miała na myśli, mówiąc o chłopaku Jackie.

Sam wyglądał tak, jakby oczy miały mu wyjść z orbit.

– Dom przy Pardoner Lane nie był nawiedzony – powiedział Simon.  
– Był nachodzony Gilpatrickowie nie mają szczęścia. W domu, do którego wprowadzili się w marcu tego roku, stojącym naprzeciwko domu profesora Lamberta-Walla, spotkał ich ten sam los.

– Pan Dzienny i Pani Dzienna – powiedziała Charlie, przypominając sobie krótką rozmowę telefoniczną Simona z Samem, podczas gdy ona kierowała samochodem. – To też oni: Kitt Bowskill i Jackie Napier.

Simon przytaknął.

– Chociaż profesorowi Jackie przedstawiła się jako Connie. Początkowo zastanawiałem się, czy Panią Dzienną nie jest Connie Bowskill, ale to niemożliwe. We wtorek dwudziestego dziewiątego lipca, gdy Pani Dzienna przeproszała Basila Lamberta-Walla za nieuprzejmość Pana Dziennego, Connie była w firmie swoich rodziców w Silsford. Spędziła tam cały dzień, sprawdziłem to.

– Jackie udawała jego żonę – potwierdził Sam. – To rozumiem, ale wątku z Gilpatrickami już nie. Dlaczego Jackie i Bowskill chcą uprawiać



seks w ich domu? W obydwu ich domach. Czy to jakiś rodzaj fetyszu?

– Simon. – Głos Charlie utknął w jej gardle, które potwornie wyschło. – Cholera. Chyba właśnie.

– Co? Co?

Simon zawsze domagał się wyjaśnień, zanim Charlie sama miała okazję uporządkować własne myśli.

– Jaki numer ma dom naprzeciwko profesora?

Simon wykrzywił twarz, próbując sobie przypomnieć.

– Dwanaście, prawda?

– Dziwne. Zanim to powiedziałaś, pomyślałem „dwanaście”. Chyba tak. Wydaje mi się, że pamiętam tabliczkę na drzwiach.

– Alice musiała źle zrozumieć słowa Connie – powiedziała Charlie, potykając się w pośpiechu o własne słowa. – O dowcipie Kitta z nazwaniem domu przy Pardoner Lane osiemnaście. Myślę, że żart polegał na nadaniu nazwy „Pardoner Lane siedemnaście”, mimo że adres to Pardoner Lane osiemnaście. Nie chodziło o powtórzenie, tylko o zmylenie listonosza przez nazwanie domu innym adresem na tej samej ulicy. Wkurzenie nie tylko listonosza, ale też ludzi, którzy mieszkali pod numerem siedemnaście: Pana i Pani Rozmownych. – Nagle bardzo wyraźnie przypomniały się jej słowa Alice. – Wkurzenie sąsiadów: to było motywacją Kitta Bowskilla, gdy dzielił się z Connie swoimi durnymi pomysłami – powiedziała Charlie, teraz już pewna, że jest na właściwym tropie. – Pytał Connie, czy według niej ludzie z Beth Dutton Centre wkurzą się, jeśli oni nazwą swój dom „Death

Button Centre”.

– „Pardoner Lane siedemnaście” przy Pardoner Lane osiemnaście, Cambridge – wyrecytował powoli Sam.

– Masz rację – powiedział Simon. – To działa jako żart, nawet nieco lepiej. – Humor nie był jego mocną stroną i dobrze o tym wiedział. – To też tłumaczy, dlaczego Connie myliła adres po tylu latach. Jeśli żart się przyjął i „Pardoner Lane siedemnaście” stało się ich prywatną nazwą dla tego domu. – Simon wyjął z kieszeni telefon komórkowy, nacisnął kilka guzików i rzucił aparat na stolik, żeby Charlie i Sam zobaczyli, co jest na ekranie. – Proust nie jest w moich kontaktach Proustem, tylko Mroźnym. Ksywki, przezwiska są czymś trwałym. Mam rację, Robot?

Sam skrzywił się, słysząc przezwisko, które ukuli dla niego Colin Sellers i Chris Gibbs, gdy jeszcze był nowy i denerwowały ich jego nieskazitelne maniery.

– Zapomnij na razie o drażnieniu Sama – odezwała się Charlie. – Nie rozumiecie, co chcę wam powiedzieć? Kitt Bowskill zrobił to jeszcze jeden raz. Powtórzył swoją sztuczkę z nazwami, taki był z niej dumny. Nie miał nigdy żadnego związku z Seliną Gane ani z jej domem. Nie ją miał na myśli, wpisując „Bentley Grove jedenaście” do swojego GPS-a.

Simon miał szeroko otwarte oczy, ale na nic nie patrzył. Charlie wiedziała, że zrozumiał.

– Bentley Grove jedenaście to jego nazwa dla domu przy Bentley Grove dwanaście – powiedział w końcu. – Jego osobista ksywka dla

ich...

– Miłosnego gniazdka. Tak to się nazywa – pomogła mu Charlie.

Simon przygryzł dolną wargę.

– Skoro zależy mu na tym domu tak bardzo, że nadaje mu nazwę. Nie, to nie ma sensu. Jeśli ma obsesję na punkcie Bentley Grove dwanaście, to tylko dlatego, że kupili go Gilpatrickowie. Ten dom jest dużo mniej atrakcyjny od Pardoner Lane osiemnaście, a Kitt Bowskill nie zawiera kompromisów w kwestiach estetyki. A to oznacza, że nie chodzi mu już o sam dom.

Simon zmrużył powieki i zaczął bębnić palcami w blat stołu.

– Gubimy trop – powiedziała Charlie do Sama, który wyglądał na zmartwionego.

– Nie możesz odrzucać domu Seliny Gane jako nieistotnego – zwrócił się do niej Sam. – To w nim Connie Bowskill zobaczyła kobiece zwłoki.

– Po co kupili nowe zasłony? – zapytał Simon, zaskakując Charlie i Sama natężeniem głosu. – Nikt nie kupuje zasłon do cudzego domu. Basil Lambert-Wall powiedział, że jeszcze ich nie zawiesili, ale dzisiaj, gdy tam poszedłem i zadzwoniłem do drzwi, zasłony wisiały w oknach, zasłaniając wnętrze domu. Kto by chciał siedzieć w ciemnościach w tak słoneczny dzień?

– Byłeś dzisiaj na Bentley Grove dwanaście? – spytała Charlie.

– Miałem nadzieję zastać któregoś z Gilpatricków – odparł Simon. – Siedem lat temu kupili coś, co pragnął mieć Kitt Bowskill. Chciałem

sprawdzić, czy przeżyli to zwycięstwo. Nikt nie otworzył drzwi.

– Więc postanowiłeś namówić nas na włamanie – powiedział Sam, bezskutecznie próbując ukryć przechodzący go dreszcz.

– Kobieta mieszkająca przy Pardoner Lane siedemnaście powiedziała mi, gdzie pracuje Elise Gilpatrick – ciągnął Simon. – Szkoła Biznesu Judge. Nie udało mi się tam dodzwonić, pewnie szkoła jest zamknięta w soboty. Gdyby odebrano, zapytałbym, kiedy Elise ostatni raz pojawiła się w pracy.

– Nie wyciągasz przypadkiem zbyt radykalnych wniosków? – spytała Charlie.

– Kim była martwa kobieta, którą widziała Connie Bowskill? – zapytał ją Sam, co Charlie zrozumiała jako dowód, iż podziela obawę Simona o Elise Gilpatrick.

– Można zawinąć zwłoki w zasłonę – powiedział jednostajnym tonem Simon. Wydawał się mówić do ściany za plecami Charlie.

– Profesor powiedział, że samochód Jackie Napier był wypełniony zasłonami owiniętymi w plastik. Było ich tyle, że Napier musiała rozłożyć tylne fotele. Owiń zwłoki w zasłonę, pokryj wszystko plastikiem, uszczelnij taśmą klejącą i sąsiedzi nic nie poczują. – Simon naciskał guziki w telefonie. – Więcej nam nie trzeba – dodał. – Nie musimy się włamywać.

Kilka sekund później Charlie i Sam usłyszeli, jak wzywa policję.

# 25

## Sobota, 24 lipca 2010

Wciąż możesz mnie ocalić – mówię do Kitta tak spokojnie, jak tylko się da. – Nie musisz mnie w tym celu zabijać. Na pewno to rozumiesz.

Kitt stoi za mną, przyciskając twarz do mojej głowy. Gdy kręci swoją, czuję to.

– Nic nie rozumiesz – odpowiada, a jego słowa nikną tłumione moimi włosami. – Nic.

Nóż przesuwa się do góry, w okolice podbródka. Podnoszę głowę, próbując się odsunąć.

– Kitt, posłuchaj mnie. Zawsze powtarzałeś, że jestem inteligentna. Pamiętasz?

Właśnie to muszę robić: mówić. Cisza pozwoli mu myśleć, działać.

– Nie tak inteligentna jak Jackie – oznajmia kategorycznie.

Mam ochotę wrzasnąć, że owszem – jestem od niej inteligentniejsza, że ona leży bez ruchu w cudzej krwi, a ja wciąż żyję.

Wystarczyło mi inteligencji, by znaleźć w kubku kluczyk z napisem „Nr 12” i przypomnieć sobie twój żart z Pardoner Lane 17 przy Pardoner Lane 18. Bentley Grove 11 przy Bentley Grove 12.

Szkoda tylko, że nie miałam dość rozumu, by trzymać się z dala od tego wszystkiego, by zadowolić się niewiedzą, zamiast chcieć poznać prawdę.

Dlaczego Jackie Napier chciała mnie zabić? Przecież się nie znałyśmy.

– Proszę cię, posłuchaj mnie – mówię jednostajnym tonem. – Nie mamy już wyjścia, to prawda. Ale możemy przez to przejść. Jeśli zaakceptujemy to, co się stało, i przyjmujemy odpowiedzialność.

Kitt wybucha śmiechem.

– Wiesz, że w Cambridge nie ma ani jednego więzienia? Wczoraj sprawdziłem to w Google’u. Jest jedno w March, jedno w Stradishall, niedaleko Newmarket. Kod pocztowy CB osiem. Brzmi jak Cambridge, ale to gdzie indziej.

Otwieram usta, lecz nie wychodzą z nich żadne słowa. Nie to spodziewałam się od niego usłyszeć. Szukał więzień w Cambridge. Dlaczego?

– Byliśmy głupi. Nie powinniśmy byli marnować czasu na zabite wsie. Trzeba było zostać w mieście. Te wszystkie małe dziury, jak Horningsea czy Harston, to nie to co Cambridge. Nie należą do cywilizacji. Równie dobrze można by zostać w Little Holling. Reach, Burwell, Chippenham, Newmarket to wszystko ta sama wieś.

Szczękam zębami. Czy na zewnątrz nadal jest gorąco? Niemożliwe, bo ja zamrzam. Ciało Kitta też jest zimne. Wzajemnie się zamrażamy.

– Zmarnowaliśmy tyle czasu – mówi smutnym głosem.

Mówi o dwa tysiące trzecim roku, o szukaniu domu.

Tamten rok zniknął, przestał istnieć. Nie ma już przeszłości ani przyszłości, więc nie ma sensu o nich rozmawiać. Jest tylko teraz i lęk przed śmiercią, i piętrząca się wokół mnie cisza, duszna i rozlewająca się niczym krew.

Krew, która zniknęła, gdy Kitt usiadł do komputera.

Biorę gwałtowny wdech. Świadomość atakuje mnie, nie dając mi chwili na zwątpienie. Nie tylko krew wtedy zniknęła.

Usiłuję odepchnąć strach i myśleć w uporządkowany sposób, ale nie jestem w stanie tego zrobić, bo widzę tylko to, czego nie mam już przed oczami: Kitta siedzącego przy moim biurku, gapiącego się na laptop. Mnie stojącą za nim i przerażoną tym, że zaraz zobaczę znowu to potworne zdjęcie, mimo że on zapewnia mnie, iż żadnego zdjęcia nie ma. Akt ustanowienia Nulli w rozbitej ramce na podłodze.

– Wiem, jak to zrobiłeś – mówię. – Wszyscy pytali mnie, jak to możliwe, że nie zobaczyłeś zwłok, skoro patrzyłeś na te same zdjęcia co ja. I wszystkim musiałam tłumaczyć, co moim zdaniem się stało.

Kitt wydaje z siebie dźwięk, krótki wydech. Wiem, że się uśmiecha.

Czuję wyraz jego twarzy, nie widząc go. Czy to znaczy, że dobrze go znam?

– To była dobra teoria – mówi. – Program wirtualnego zwiedzania z fotografią, która pojawia się raz na kilkaset pętli.

– Ale się myliłam, prawda? Ty patrzyłeś na inne zdjęcia. Gdy wszedłeś do pokoju, ja zostałam za drzwiami.

Trzęsłam się, stojąc przy schodach. Kitt po drugiej stronie zamkniętych drzwi, narzekający Świetnie. Zawsze chciałem oglądać cudze zmywarki do naczyń w środku nocy.

– Zamknąłeś wszystkie okienka – mówię. – Zwiedzanie, internet, wszystko. Jedno kliknięcie i po sprawie. Na pulpicie miałeś naszykowaną inną aplikację, tę oryginalną. – Dostałeś ją od niej, od Jackie. – Drugie kliknięcie i uruchomiłeś nowy program, w którym pojawił się salon bez kobiecych zwłok.

Kitt milczy. Chyba już się nie uśmiecha.

– Gdy weszłam z powrotem do pokoju, za okienkiem wirtualnego zwiedzania nie było już strony agencji, tylko zdjęcie pulpitu. Zanim cię obudziłam, gdy oglądałam to mieszkanie sama, na tle aplikacji była strona Wszystkiedomy, z adresem Bentley Grove jedenaście i logo agencji.

Dlaczego moja pamięć tak długo odzyskiwała ten jeden element?

Bo nie jesteś w stanie widzieć wszystkiego naraz. Nie widzisz twarzy swojego męża, patrząc na nóż, który masz przed oczyma.

– Gdy się na mnie wściekłeś i wróciłeś do łóżka, siedziałam tam przez kilka minut, gapiąc się przed siebie. Patrzyłam na zmieniające się w zwolnionym tempie pokoje. Ilekroć pojawiał się salon, wyglądał tak samo: nie było w nim kobiecych zwłok. W końcu zamknęłam aplikację, twoją aplikację. Postanowiłam zacząć od początku, sądząc, że to może dać inny rezultat. Myślałam tylko o tym, jak to możliwe, że martwa kobieta nagle zniknęła. Nie wzbudził moich podejrzeń fakt, że musiałam na nowo połączyć się z internetem. Ledwo rejestrowałam



własne ruchy.

– Nie obudziłaś mnie tamtej nocy – mówi Kitt.

Oczywiście, że nie.

– Wiem. Wcale nie spałeś, tylko w przekonujący sposób udawałeś śpiącego.

Ten długi, powolny oddech, ten bezruch... Obydwoje z Jackie leżeliście nieruchomo, udając. Oboje kłamaliście.

– Wiedziałeś, że w piątki jeżdżę do Cambridge, szukając ciebie i dowodów na twoje równoległe życie przy Bentley Grove jedenaście. Wiedziałeś na długo, zanim ci powiedziałam.

Czuję się zagubiona, po kawałku wyciągając naszą historię z ciemności. Wciąż nie potrafię zrozumieć jej sensu, nie widzę pełnego obrazu. Mam wrażenie, jakbym w każdej chwili oświetlała tylko jego fragment, próbując połączyć w całość wszystkie części, które dotychczas udało mi się zebrać.

– Nie jeździłaś tam w każdy piątek – prostuje Kitt. – Dobrze wiedziałem, kiedy zamierzasz jechać, bo dzień wcześniej zawsze byłaś bardzo spięta. Pytałaś mnie, o której zamierzam wyruszyć rano do Londynu i o której spodziewam się wrócić. Chciałaś wiedzieć, ile masz czasu.

Zamykam oczy, przypominając sobie, jak wyczerpujące było ukrywanie prawdziwej motywacji. Niepotrzebnie się trudziłam.

Już nigdy nie będę się musiała z niczym tak męczyć.

Nie. Mów dalej. Opowiadaj waszą historię, zanim stracisz swoją szansę. Kitt poświęcił wiele czasu i sił na oddzielenie swojego życia od mojego. Muszę zburzyć ten mur. Umrzemy tu oboje, ale najpierw chcę, byśmy przynajmniej przez chwilę żyli w tym samym świecie.

– Jackie doskonale wiedziała, kiedy Bentley Grove pojawi się na rynku. Pracuje w Lancing Damisz. Pracowała – poprawiam się. – Znała wszystkie szczegóły oferty. Oboje wiedzieliście, że gdy w ten piątek pojedę do Cambridge, to zobaczę tabliczkę „Na sprzedaż” i będę chciała za wszelką cenę zajrzeć do środka. Zadzwoiłam do nich, wiesz?

– Do kogo? – Kitt przyciska ostrze noża mocniej do mojego gardła.

– Do Lasting Damage. – Słyszę maniackalny śmiech i zdaję sobie sprawę, że wychodzi z moich ust. – Chciałam, żeby ktoś od razu pokazał mi dom. Kobieta, z którą rozmawiałam, powiedziała mi, że dzwonię ze zbyt krótkim wyprzedzeniem i nie może nikogo ze mną umówić. Czy to była Jackie?

Kitt nic nie mówi, ale wiem, że mam rację. Po plecach przebiega mi dreszcz.

– Wiedziałeś, że wrócę do domu i od razu wejdę do internetu, żeby obejrzeć zdjęcia. To dlatego. – Przerywam, wyczuwając obecność jakiejś przeszkody, lecz nie wiedząc jakiej. Nagle rozumiem. – Skąd wiedziałeś, że nie pójdę do kafejki internetowej? Bo myślałam o tym. Gdybym tylko wiedziała, gdzie ją znaleźć.

– Uznaliśmy, że na pewno to zrobisz – mówi Kitt. My. On i Jackie. – Ale nie przejmowaliśmy się tym. Wiedzieliśmy, że będziesz chciała

obejrzeć te zdjęcia jeszcze raz. Byłaś tak podejrzliwa i opętana, że jedna wizyta by ci nie wystarczyła. Sprawdziłabyś na wszelki wypadek jeszcze raz, żeby niczego nie przeoczyć.

– Gdy wróciłam do domu, przykleiłeś się do mnie jak rzep. Nie opuszczałeś mnie na krok aż do wieczora, dopóki nie poszliśmy do łóżka. Pamiętam, bo myślałam sobie, jakie to dziwne, że nie robisz tych wszystkich rzeczy co zwykle. Nie obejrzałeś wieczornych wiadomości, nie wyszedłeś na szybkie piwo przed kolacją. Interesowała cię wyłącznie rozmowa ze mną. Nie wzbudziło to moich podejrzeń, tylko mi schlebiało. – Po sześciu miesiącach nieufania ci nadal cię kochałam. – Gdy poszliśmy do łóżka, czytałeś książkę znacznie dłużej niż zwykle. Wcześniej ustaliliście z Jackie konkretną godzinę?

Przez włosy z tyłu głowy czuję, że Kitt przytakuje. Czekam, aż coś powie, ale słyszę tylko urywany oddech.

– Musiało to być późno w nocy – mówię, myśląc na głos. – Ciało i krew musiały pojawić się na krótką chwilę i równie szybko zniknąć. Tylko ja miałam je zobaczyć. – Mój umysł zatrzymuje się na czymś, lecz odpycham to od siebie. – Jackie włamała się na stronę i zamieściła nową aplikację tuż przed pierwszą. Dałeś jej szczegółowe wskazówki, jak ma to zrobić. Nie musiała się włamywać, ale chcieliście, żeby wyglądało to na zewnętrzny atak. O pierwszej udałeś, że zasypiasz. Wiedziałeś, co zrobię. – Wzbiera we mnie złość, wypierając na chwilę paralizujący strach. – Jak się czułeś, wiedząc wszystko, podczas gdy ja nie wiedziałam nic?

Kitt gwałtownie przyciska mi nóż do szyi. Z draśnięcia na skórze spływa mi teraz cienka strużka, jak łza.

Czyżby tylko na tyle było cię stać?

Jeśli nie chce, bym dalej mówiła, będzie musiał mnie zabić.

– Leżałeś w łóżku, czekając na mój krzyk? – Nie pamiętam już, czy krzyknęłam. Mam nadzieję, że nie, jeśli on na to czekał. Mam nadzieję, że go zawiodłam. – Wiedziałeś, że obudzę cię, jak tylko to zobaczę, że nie będę chciała być z tym sama w środku nocy. Oczywiście, że musiałam cię obudzić. Pewnie byłeś spokojny o to, że nie będę potem chciała zbliżyć się do komputera, że wyślę cię tam samego, żebyś sprawdził za mnie, żebym ja już nigdy nie musiała tego widzieć.

– Wiedziałem, że wejdiesz, dopiero gdy ci powiem, że niczego tam nie ma – mówi szeptem Kitt.

Słowa przychodzą mu z trudem. Ewidentnie siłuje się z językiem, który musi mu się teraz wydawać obcy: językiem racjonalnego myślenia.

– Wszedłeś do pokoju, zamknąłeś przeglądarkę internetową i uruchomiłeś aplikację z pulpitu – mówię, czując wewnętrzne odrętwienie. – Po czym zawołałeś, że patrzysz na zdjęcie salonu, ale nie widzisz na nim żadnych zwłok.

– Przestań – prosi mnie Kitt ciężko zmęczonym głosem. – To wszystko nie moja wina – dodaje. – Ani twoja, ani Jackie.

Gdybym spróbowała się teraz wyswobodzić, to czy miałabym

szansę powodzenia? Nie. Jeszcze nie teraz. Kitt nadal mocno mnie do siebie przyciska. Może później, gdy mięśnie zaczną go boleć. Jeśli spróbuję teraz i mi się nie uda, drugiej szansy mogę już nie dostać. Kitt może przyspieszyć wykonanie wyroku.

Jak długo był tu z Jackie, zanim ją zabił?

– Po co instalować na pulpicie właściwą aplikację? Czy nie lepiej było napisać SMS-a do Jackie i kazać jej zmienić zdjęcie na stronie internetowej? – Pytam samą siebie, nie Kitta.

Pytam osobę, której ufam. Gdy odpowiedź się zjawia, czuję się, jakbym oszukiwała, a prawda była inna. Jak mogę to teraz wiedzieć, skoro wcześniej nie wiedziałam?

Słyszę w głowie głos Alice: To, czego szukamy, zazwyczaj samo nas znajduje. To tylko kwestia czasu.

– Napisałeś SMS-a do Jackie! – mówię. – Usłyszałeś mój krzyk albo dźwięk rozbijanej ramki. Tak czy siak wiedziałeś, że zobaczyłam to, co miałam zobaczyć, i wtedy ją powiadomiłeś. Ale nie mogłeś polegać na jej umiejętnościach, nie byłeś pewien, czy zdąży na czas zamienić aplikacje. Nie mogłeś pozwolić, bym zobaczyła zwłoki po raz drugi.

– Przestań, Con.

Wiem, kiedy ktoś mnie błaga. Jednak Kitt nie musi mnie o nic błagać. To on ma nade mną przewagę, to on trzyma nóż. Ignoruję jego prośbę.

– Gdybym zobaczyła zwłoki więcej niż raz, trudniej byłoby ci przekonać wszystkich, że je sobie wyobraziłam, że były tylko

halucynacją, która trwała ułamek sekundy, po czym zniknęła. Chciałeś, żeby wszyscy tak myśleli: policja, moja rodzina, Alice. Chciałeś, bym czuła się, jakby cały świat był przeciwko mnie i nikt mi nie wierzył, ale... – Przerywam, zdając sobie sprawę z jednej nieścisłości. – Jackie. Zeznała, że widziała to samo, co ja. Tylko dzięki niej Ian Grint potraktował mnie serio.

To nie ma sensu. Jeśli Kitt i Jackie chcieli, bym była niewiarygodna.

– Przestań! – krzyczy Kitt.

Najwyraźniej odzyskał wreszcie siłę. Ruszył z miejsca i ciągnie mnie za sobą. Chcę wrzeszczeć, chcę narobić takiego hałasu, żeby zrezygnował z zaciągnięcia mnie do schodów. Strach jednak tłumi mój krzyk, z którego zostaje jedynie przeciągły, niski jęk. Czyżbym myślała, że jestem w stanie odsunąć od siebie niebezpieczeństwo? Że jeśli tylko będę do niego mówiła, to czas stanie w miejscu? Wyciągam rękę i zaciskam palce wokół słupka schodów, na białym przycisku śmierci, ale Kitt jest zbyt silny i wciąga mnie brutalnie na górę. Moje ręce i nogi poruszają się bezwolnie, są wiotkie, jak u szmacianej lalki.

Czy Kitt ma plan na to, co teraz? Czy raczej już od dawna improwizuje? Chce to zrobić w jednej z sypialni? Gardło wypełnia mi gorzka ciecz. Nie mam siły jej przełknąć. Ledwo oddycham.

Na piętrze smród się nasila. Kitt zaczyna panikować. Czuję to niczym ładunki elektryczne biegnące od jego ciała do mojego. On nie chce tutaj być. Nie może ustać w miejscu. Ostrze noża co chwila dotyka mojej twarzy, a ja za każdym razem odwracam gwałtownie

głowę. Kitt przeprosza mnie pod nosem. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Jestem zbyt przerażona, by się odezwać, więc nie mogę mu powiedzieć, że nawet milion „przepraszam” nie wystarczy.

– To wszystko nie twoja wina – mówi. – Pokażę ci czyja.

Posuwamy się w stronę jedynych zamkniętych drzwi. Wszystkie pozostałe są lekko uchylone.

– Nie – udaje mi się powiedzieć. – Proszę. Nie.

To jest ten pokój. To tutaj mnie zabije.

Czubkiem noża Kitt popycha mocno drzwi, które otwierają się z cichym kliknięciem. Ścisza mnie mocniej w pasie. Staram się skupić na swobodnym oddychaniu. Kitt wydaje z siebie zwierzęcy skowyt, przeciągając mnie przez próg. Nie chce tego robić. Nie chce być w tej sytuacji. Smród rozkładu przyprawia mnie o odruch wymiotny. Zauważam tylko czarną bzyzącą chmurę, podwójne łóżko, a na łóżku.

Nie, nie. Tylkonietotylkonietotylkonieto.

Cztery duże, długie, plastikowe paczki oklejone brązową taśmą. Cztery cuchnące kokony, a nad nimi chmara czarnych much. Trzy leżące obok siebie i czwarty, najmniejszy, włożony we wgłębienie utworzone przez boki dwóch największych. Przez przezroczysty plastik widać materiał z tureckim wzorem w kwiaty i liście.

– Musieliśmy owinać je jak mumie – mówi Kitt. – Żeby przestały śmierdzieć i przyciągać muchy. Tak powiedziała Jackie. Widzisz, jak świetnie się udało? Oto jej pomysł na uniknięcie roju much.

Teraz. Teraz powinnam spróbować ucieczki, ale moje ciało jest

bezwładne i miękkie. Kitt się schyla, a ja razem z nim. Na podłodze obok nogi łóżka leży rolka brązowej taśmy klejącej.

– Podnieś to – mówi, uwalniając moją jedną rękę. – Zaklej sobie usta i owiń taśmę dwa razy wokół głowy, żebyś nie mogła ich otworzyć.

Ostrze noża przelatuje w powietrzu tuż przed moją twarzą. Milimetr dalej, a przecięłoby mi oczy.

Czuję ciecz spływającą po moich nogach. Próbuję odepchnąć od siebie tę świadomość, ale bez skutku. Zmoczyłam się. Odwracam głowę, by nie widzieć swojego wstydu wsiąkającego w dywan. Ten, kto znajdzie moje zwłoki, będzie wiedział, że umarłam przerażona i poniżona.

– Podnieś taśmę – powtarza swój rozkaz Kitt, jakby nie mógł zrozumieć, dlaczego to, co zaplanował, jeszcze się nie dzieje. – Zaklej sobie usta i owiń taśmę dwa razy wokół głowy.

Nie jestem w stanie się ruszyć. Nie mogę go posłuchać ani się sprzeciwić.

– Zabij mnie już – mówię przez łyżę – Chcę to mieć za sobą.



# 26

**24/07/2010**

– Wielu studentów zostaje w Cambridge po zdobyciu dyplomu – powiedziała Charlie. – Dlaczego Kitt Bowskill nie został, skoro tak uwielbiał to miasto?

Siedziała na tylnym fotelu w samochodzie Simona, zostawiwszy swoje auto przed pubem Granta. Ulice były zakorkowane i Sam zasugerował już raz, by wysiedli i poszli dalej piechotą. Charlie zaczynała myśleć, że to nie najgorszy pomysł. Przez cały czas, gdy siedzieli w pubie, samochód stał na pełnym słońcu i na razie klimatyzacja nie przynosiła efektów. Bluzka Charlie była na plecach kompletnie przepocona.

– Źle na to patrzysz – odparł Simon. – Nie myśl o Bowskillu jako o zwyczajnym kolesiu, który stawia sobie cele, osiąga je i klepie się po ramieniu za dobrze wykonaną robotę. On jest raczej maszyną do pragnienia, zaprogramowaną wyłącznie do tego, by potęgować swoje umiejętności pożądania. Bowskill przez całe życie ćwiczył te umiejętności. Dzisiaj potrafi chcieć dłużej, mocniej i głębiej niż pięć lat temu. Jest tak dobry w pragnieniu, że żaden stopień spełnienia nigdy mu nie wystarczy.

– Więc unika tego, czego pragnie, by móc dalej pragnąć? – zapytał

Sam.

– W zasadzie tak – odparł Simon. – Choć gdybym miał drążyć temat, powiedziałbym, że nie istnieje nic, czego Bowskill rzeczywiście chce. Charlie ma rację: jeśli mieszkanie w Cambridge było tym, czego pragnął, mógł tam zostać po studiach. Tyle że oznaczałoby to konieczność znalezienia dowolnej pracy i tymczasowego zakwaterowania się w jakiejś dziurze, a to byłoby dla niego nie do przyjęcia. Stanowiłoby zbyt stromy spadek po trzech latach spędzonych wśród elity, w historycznych budynkach, na nauce w jednej z najlepszych uczelni świata. Chociaż podejrzewam, że w trakcie studiów też nie był szczęśliwy. Prawdopodobnie nie potrafił się cieszyć swoim życiem, wiedząc, że jest tymczasowe.

Charlie kręciła głową.

– Wciąż nie rozumiem, jak zatrudnienie się w Rawndesley przybliżało go do upragnionego.

– A ja wiem – przerwał jej Simon. – Domyślam się, jaką obrał strategię: znajdujesz pracę w renomowanej firmie z szerokimi możliwościami awansu i oddziałami w całym kraju – zwłaszcza takiej, która ma placówkę w Cambridge – i czekasz na okazję do przeniesienia. Tymczasowo mieszkasz w Rawndesley, ale masz plan powrotu do upragnionego miasta. I zaczynasz wspinaczkę po korporacyjnej drabinie, tak aby w momencie przeniesienia do Cambridge było cię stać na porządny dom. Dopóki mieszkasz w Rawndesley, łatwo jest ci zaakceptować fakt, iż twoje obecne życie jest kompromisem. Rawndesley to miasto-kompromis. Ale w

Cambridge Bowski nie poszedłby na żadne ustępstwa. W jego oczach Cambridge jest ideałem, w którym mógłby mieszkać tylko w idealnych warunkach. Gdyby do tego doszło, na co były raczej marne szanse, Bowski czułby się jeszcze gorzej niż dotychczas. Przeżyłby prawdziwy szok. Dzień, w którym Kitt Bowski zrozumiałby, że żaden element jego życia nie wymaga poprawy, byłby dla niego niebezpieczny. Musiałby się pogodzić z wewnętrznym źródłem problemu, a mianowicie, że to on jest detalem, który należy naprawić. W takim momencie prawdopodobnie miałby zapaść nerwową.

– Czyli... zanim szukał pracy w Deloitte Rawndesley, pewnie próbował się zatrudnić w Deloitte Cambridge – powiedziała Charlie.

– Tak. I we wszystkich innych firmach, które uważał za godne siebie – odparł Simon. – Pewnie wytrzymałby niską pensję i małe mieszkanie, gdyby tylko miał pracę, z której byłby dumny i w której widziałby możliwość awansu. Może w Cambridge nie było ofert, a może był na rozmowach, ale przegrał z innymi kandydatami. Tak czy inaczej Deloitte Rawndesley było wówczas najlepszym możliwym rozwiązaniem. Niewykluczone, że narzucił sobie jakiś termin: przeniesienie do oddziału w Cambridge w ciągu dwóch lat albo pięciu.

– Najwyraźniej mu się to nie udało – powiedziała Charlie.

– Nadal nie rozumiesz, jak działa jego umysł. Ktoś taki jak Bowski nigdy nie przegrywa. Zawsze jest na drodze do zrealizowania genialnego planu. Sukces i zwycięstwo są zawsze tuż za rogiem.

Charlie wykrzywiła twarz, patrząc na zagłówek fotela Simona. Jeśli nie była doskonale zaznajomiona z każdym najdrobniejszym

szczegółem dysfunkcyjnej psychiki Kitta Bowskilla, to pewnie dlatego, że nigdy go nie poznała. Simon widział go raz w życiu, a mimo to zdawał się ekspertem w dziedzinie jego osobliwej odmiany niezaspokajalnego głodu. Charlie zastanawiała się, czy nie powinno ją to aby trochę martwić.

– Jakkolwiek brzmiał jego plan przeniesienia do Cambridge, to uległ zmianie w dniu, gdy Bowskill poznał Connie – powiedział Simon.

– Od tego momentu przeprowadzka bez niej byłaby dla niego niewybaczalną porażką.

– Chcesz powiedzieć, że się w niej zakochał? – Charlie lubiła zmuszać go do użycia słowa „kochać”.

Starannie się z tego wywinął.

– Wątpię, by był zdolny do przeżywania normalnych uczuć – odparł. – Wszystko, co czuje, sformułowane jest w terminologii pragnienia. Pewnie uznał, że pragnie Connie tak samo mocno, jak pragnął Cambridge, ale ona miała mocne korzenie w Silsford. Zanim wyszła za Bowskilla, nazywała się Monk, tak jak Monk & Sons, Wyposażenia Mieszkań. Jej rodzina mieszkała w Little Holling od pokoleń. Z pewnością dość szybko Bowskill zrozumiał, że wydarcie Connie z Culver Valley będzie trudne. Connie sama mi powiedziała: etos pozostawania na miejscu jest głęboko zakodowany w tradycji jej rodziny. Jednak Bowskill dostrzegł płomyk nadziei w fakcie, iż rodzice doprowadzali Connie do białej gorączki. Mocno pragnęła się od nich uwolnić. Bardzo mądrze nie wywierał na niej presji ani nie próbował do niczego przekonywać. Zachęcał ją, by spędzała więcej czasu z

rodzicami, mówiąc, jak wspianą rzeźbą jest udane życie z bliskimi. Connie powiedziała mi, że wciąż to powtarzała. Miał nadzieję, że w końcu będzie ich miała tak serdecznie dosyć, iż sama zaproponuje przeprowadzkę. Czekał pewnie dłużej, niż zakładał, ale w końcu się doczekał. Pewnego wieczoru wyszli do restauracji i Connie powiedziała mu, że Culver Valley ją nuży. Bowskill natychmiast powiedział jej, że zaproponowano mu pracę w Cambridge, że awansował.

– Zbyt duży zbieg okoliczności – wtrąciła Charlie.

– Nie zbieg okoliczności, tylko kłamstwo – sprostował Simon. – Wiem, co usłyszę, jeśli w poniedziałek zadzwonię do oddziału Deloitte w Cambridge: niczego nigdy Bowskillowi nie proponowali. Prawdopodobnie zgłosił się do nich, gdy tylko usłyszał, że Connie marzy o przeprowadzce, i powiedział, że muszą go przenieść. Nie zależało mu koniecznie na awansie, zadowoliliby się każdym stanowiskiem, choć oczywiście mógł to być awans. Jestem pewien, że wcześniej Bowskill całymi latami pracował ciężko nad zrobieniem dobrego wrażenia na właściwych osobach. Deloitte najwyraźniej zgodziło się na przeniesienie, bo Bowskill i Connie zaczęli szukać domu w Cambridge. I znaleźli. Doskonały dom.

– Pardoner Lane osiemnaście – odezwał się Sam.

– Wszystkie doskonałości zdawały się piętrzyć – ciągnął Simon. – Doskonałe miasto, doskonała kobieta, doskonały dom i praca. Ktoś taki jak Bowskill pełnię szczęścia odczuwa, gdy znajduje się na wyciągnięcie ręki od spełnienia marzeń, nim staną się one rzeczywistością, a on obudzi się nazajutrz, by zrozumieć, że nadal jest

tym samym nieszczęśliwym dupkiem. Cholera, ten pieprzony korek nigdy się nie rozluźni. – Simon uderzył pięścią w szybę. – Nie mogę nawet pojechać chodnikiem, bo zabiłbym pięćdziesięciu turystów. Char, znasz Cambridge lepiej niż ja: powinniśmy wysiąść i biec? Jak daleko stąd do Bentley Grove na piechotę?

– To najgorszy fragment – powiedziała. – Poczekajmy. Za rondem powinno być lepiej.

– Musiał ciężko przeżyć przegraną licytację na Pardoner Lane osiemnaście – odezwał się Sam.

– Mógł kupić ten dom, gdyby tylko był mniej arogancki – powiedział Simon. – Ktoś inny był zainteresowany tym domem, ale gdy Hugh Jepps podzielił się tą informacją z Bowskillem, ten oskarżył go o kłamstwo. Stwierdził, że nie wierzy w istnienie drugiego kupca, że to tylko sztuczka mająca podnieść cenę. Wycofał się i kazał Jeppsowi dać mu znać, gdyby drugi kupiec stracił zainteresowanie. Więc widzicie już, skąd wziął się pomysł na przekręt z wojną cenową.

Samochód skręcił gwałtownie w lewo, a koła zawadziły o krawężnik.

– Simon, nie! – jęknęła Charlie. – Po chodniku nie ma sensu. Uspokój się.

– Gdy Bowskill zorientował się, że drugi kupiec naprawdę istnieje, było już za późno: umowa została podpisana – powiedział Simon. – Ludzie z Beth Dutton Centre sprzedali dom Gilpatrickom. Bowskill z pewnością ciężko to przeżył. I wtedy zjawiała się Jackie Napier. Hugh Jepps wyjaśnił Bowskillowi, że dom jest sprzedany i że nic nie da się

zrobić, ale Bowskill dostrzegł w Jackie nieco bardziej oddaną sojuszniczkę.

– Którą z pewnością zgodziła się być, jeśli miała ochotę poważnie go przelecieć – dorzuciła radośnie Charlie.

– Owszem, była nią. – Solenny ton Simona przeżarł się przez jej niepewagę. – Zadzwoiła do sprzedawców i poprosiła, by rozważyli jeszcze swoją decyzję. Pewnie opowiedziała im o tym, jak bardzo Bowskillowi podoba się ich dom, i przekonała, że gotów jest zapłacić więcej, niż proponowali Gilpatrickowie. Ludzie z Beth Dutton byli rozdarci. Z jednej strony sprzeciwiali się podbijaniu cen, ale też dostrzegali szansę zarobienia większych pieniędzy. Powiedzieli Jackie, że jeśli Bowskill zapłaci o pięćdziesiąt tysięcy więcej niż Gilpatrickowie, dom będzie jego.

– Mieli tak twarde kręgosłup moralny, że cena za jego złamanie musiała być odpowiednio wysoka – wymamrotała pogardliwie Charlie.

– Resztę już znamy – powiedział Simon. – Rodzice Bowskilla nie chcą dać mu forsy, więc zrywa z nimi kontakty. Tymczasem Connie po cichu rozpada się na kawałki. Co prawda chce się przeprowadzić, ale też panicznie się tego boi. Bowskill nie może powiedzieć jej prawdy o Pardoner Lane osiemnaście i przyznać się do porażki, więc pisze historię na nowo. W fikcyjnej wersji zdarzeń odzyskuje władzę i zamiast być ofiarą splotu okoliczności, przejmuje pełną kontrolę. Udaje, że zmienił zdanie dla dobra Connie, i próbuje wzbudzić w niej entuzjizm dla swojego nowego planu: założenie własnej firmy i kupienie pięknego domu w Culver Valley. Nowy sen, tylko że fałszywy.

– Ale się spełnił – zauważył Sam. – Widziałem ich dom w Little Holling. Jest niesamowity. Wzorcową rajska willa na wsi. I rzeczywiście założyli firmę, coś z danymi i bazami danych. Nazywa się Nulli Secundus. Zdaje się, że odniosła sukces.

– No tak, Bowskill urzeczywistnił nowy plan – powiedział Simon. – Tyle że nigdy nie dotyczył on jego prawdziwego marzenia, był jedynie etapem na drodze do celu.

– Nie możesz tego wiedzieć – odezwała się Charlie z irytacją w głosie. Upał zaczynał dawać się jej we znaki. Chciała otworzyć okno, ale gdyby to zrobiła, Simon kazałby je zamknąć ze względu na ledwo działającą klimatyzację. – Może nowy sen był prawdziwy.

– Nie mówiłabyś tak, gdybyś widziała ten jego pokój w domu rodziców – odparł Simon. – Dopóki Kitt Bowskill będzie żył, dopóty nie pogodzi się z mieszkaniem w innym miejscu niż Cambridge.

– Ale przecież mieszka w innym miejscu – nie poddawała się Charlie. – Może zmienił zdanie. Miał obsesję na punkcie Cambridge, lecz to przemyślał i...

– Nie widziałas tego, co ja – przerwał jej Simon. – To nie była sypialnia człowieka, który zamierza cokolwiek przemyśleć. Uwierz mi na słowo. Willa w Little Holling była przystankiem. Założenie firmy okazało się dobrym krokiem. Pracując na własne konto, można w dowolnym momencie zdecydować o przeniesieniu siedziby. Nie trzeba pytać o zgodę szefów z Deloitte ani czekać, aż jakaś inna firma będzie potrzebowała pracowników.

– Ale Connie twierdzi, że Bowskill ma bzika na punkcie domu w



Little Holling – powiedział Sam. – Podobno wynajął nawet artystę, żeby namalował Melrose Cottage.

– Fuj! – orzekła Charlie.

Jedno słowo wystarczyło, by trafnie opisać tę decyzję.

– Maniacy pozostają maniakami, mogą tylko zmienić obiekt swojej obsesji, prawda? – spytał Sam.

– Nie Bowskill – odparł Simon z irytacją. Nie cierpiał, gdy niewygodne pytania zakłócały jego absolutną pewność. – Zmiana zdania co do upragnionego miejsca zamieszkania byłaby porażką dla osoby o jego sposobie myślenia. Musiałby przyznać, że przez całe lata się mylił. Upokorzenie jest emocją, która przychodzi mu łatwo i zawsze w ostrej formie. Wyobraź go sobie, jak zdiera te wszystkie zdjęcia ze ścian, myśląc o durniu, który je tam zawiesił.

Sam i Charlie spojrzeli na siebie porozumiewawczo, ale żadne nie chciało powiedzieć na głos, że wszystko to czyste domysły.

– Podczas gdy obydwoje szukali domu w Little Holling i zakładali firmę, Bowskill zastanawiał się, gdzie popełnił błąd – ciągnął Simon. – Pierwsza pomyłka: zrezygnowanie z Pardoner Lane osiemnaście w nadziei, że sprzedawca sam do niego przyjdzie. Niewiara w istnienie Gilpatricków. Drugi błąd: pokazanie Connie, jak bardzo jemu też zależy na przeprowadzce. Jego pewność i determinacja mocno ją wystraszyły, Connie mimowolnie wzięła na siebie rolę tej spanikowanej i hamującej. On stał się dodającym otuchy dorosłym, a ona przerażonym dzieckiem. Zaczęły jej wypadać włosy z nerwów ciągle wymiotowała. Wszystko się rozpadło. Bowskill nie chciał

mieszkać w Cambridge z łysą kaleką, która czuła, że została wmanewrowana w przeprowadzkę i miała do męża utajony żal. Wiadomość, że nie ma szans na kupienie Pardoner Lane osiemnaście, była tym, co ostatecznie go przekonało: jedna po drugiej, jego „doskonałości” zaczęły go opuszczać, więc lepiej było się wycofać i poczekać.

Sam i Charlie też czekali. Samochody powoli zaczynały się ruszać.

Simon stał w miejscu tak długo, aż kierowca z tyłu użył klaksonu. Zbyt pochłaniały go myśli. Świat zewnętrzny, pałacy upał i zakorkowana ulica zeszły na dalszy plan.

– Za drugim razem Bowskill inaczej to zaplanował – kontynuował Simon. – Powiedział Connie, że zmienił zdanie i już nie chce przeprowadzać się do Cambridge. Kazał jej o wszystkim zapomnieć, przekonywał, że w Silsford będą tak samo szczęśliwi. Klasyczny przykład odwróconej perswazji, w dodatku skuteczny. Connie zaczęła mieć do niego żal o rezygnację z marzenia o Cambridge. Sądząc, że je porzucił, uznała je za swoje własne. Tymczasem Bowskill czekał, aż Pardoner Lane ponownie wejdzie na rynek. Gotów był czekać tak długo, jak trzeba. Im dłużej, tym lepiej. Wiedział, że Connie będzie z czasem coraz bardziej nieszczęśliwa w rodzinnej pułapce Monków. Postanowił czekać z gotową ofertą, aż Pardoner Lane osiemnaście ponownie pojawi się na rynku. Chciał zaproponować Gilpatrickom dostatecznie wysoką cenę, by ci bez wahania ją przyjęli. Jako właściciel dobrze prosperującej firmy nie musiał polegać już na pomocy rodziców. Gdy jego oferta zostałaby zaakceptowana, zamierzał powiedzieć Connie: „A wiesz co? Znajomy z Cambridge

mówił dziś, że nasz dom w Cambridge znów jest na sprzedaż. Szkoda, że tak nam tutaj dobrze”. Całą resztę wykonałaby Connie, nadal przywiązana do ich wcześniejszego marzenia, zdecydowana porzucić Culver Valley i nigdy nie wrócić.

Ostatnie słowa Simon wypowiedział z naciskiem, jakby podzielał uczucia Connie. Charlie była zdziwiona. Zawsze wydawało jej się, że Simon jest ze Spilling w stałym związku aż do śmierci. Przypuszczała jego śmierci, bo Spilling bardziej martwe być już nie mogło, chyba że po eksplozji słońca, czy co tam innego ma spowodować koniec świata. Nauka nigdy nie była mocnym punktem Charlie.

– Czyli za drugim razem to Connie jest siłą napędową? – spytał Sam.

– Tak – odparł Simon. – A Bowskill wyraża wątpliwości, to jego trzeba przekonywać, bo tak pokochał domek w Little Holling, że nawet zamówił jego portret.

– Faj – powtórzyła Charlie.

– Od momentu przegranej walki o Pardoner Lane osiemnaście Bowskill wkłada całą energię w udawanie miłości do Silsford – powiedział Simon. – Musiał to zrobić, żeby stawić opór Connie. W tym samym czasie pracuje nad drugą częścią planu, tą w Cambridge.

– Jackie Napier – odezwał się Sam.

– Jackie Napier – powtórzył za nim Simon. – Sprytna, pozbawiona skrupułów i pragnąca przywłaszczyć sobie Bowskilla. Pytanie za sto punktów: jeśli Bowskill nie lubił pokazywać swojej kruchej, słabej

strony, to czemu związał się z kobietą, która musiała dokładnie wiedzieć, jak głęboko odczuł porażkę z Pardoner Lane osiemnaście? Na pewno powiedział Jackie, że nie udało mu się zdobyć tych dodatkowych pięćdziesięciu tysięcy. Ktoś tak dumny jak on... romansujący z kobietą, która była świadkiem jego przegranej – jak to możliwe?

– To ty znasz go na wylot – odparła oschle Charlie. – Powiedz nam, Simon.

– Okej. – Nie ma sprawy. Oczywiście, że wszystko już wiedział.

– Jackie jest dostatecznie inteligentna, by wcześniej się zorientować, że Bowskill musi czuć się zwycięzcą. Mówi mu: „Nie straciłeś tego domu – po prostu jeszcze go nie masz. W końcu go kupisz, ale musimy rozegrać dłuższą partię”. Wymyśla plan. Pierwszy krok? Dorabia komplet kluczy do Pardoner Lane osiemnaście przed oddaniem ich Gilpatrickom. Wykorzystując swój fałszywy urok, któremu trudno się oprzeć, zaprzyjaźnia się z Elise Gilpatrick, dzięki czemu może zdobywać dla Bowskilla cenne informacje. Gilpatrickowie mają małe dziecko i nie zamierzają poprzestać na jednym. Dom przy Pardoner Lane osiemnaście nie ma ogródka. Sam, kupilibyście z Kate dom bez ogródka?

– Nie – powiedział Sam. – Z dziećmi ogródek jest niezbędny.

– Jackie na pewno powiedziała Bowskillowi, że Gilpatrickowie prędzej czy później to zrozumieją. Dowiedziała się też, że w dni powszednie ich dom stoi pusty. Elise i jej mąż pracują na pełny etat, a dziecko jest w żłobku. Byłby niezły ubaw, mówi Jackie do Bowskilla,

gdybyśmy korzystali z ich domu tak, jakby już należał do nas. Bylibyśmy prawie jak prawdziwi właściciele, którzy wiedzą, co się dzieje, w przeciwieństwie do Gilpatricków, żyjących w iluzji, iż mają kontrolę nad swoim domem. Teraz już wiecie, po co Jackie zaprzyjaźniła się z Elise Gilpatrick? Chciała być często widywana w jej domu, tak by nikt nie nabrał podejrzeń, widząc ją tam za dnia. Znajomi wymieniają się czasem kluczami, prawda?

– No i zależało jej na tym, by to jej Gilpatrickowie powierzyli sprzedaż Pardoner Lane osiemnaście, gdyby w końcu zdecydowali się na przeprowadzkę – zauważył Sam.

– Zgadza się – przyznał Simon. – Co zresztą zrobili, w zeszłym roku. I wtedy plan Jackie zaczyna się sypać. Gdy mówi Bowskillowi, że Gilpatrickowie nareszcie się wyprowadzają, on nie reaguje tak, jak się spodziewała. Napier jest z siebie dumna, chwali się tym, że znalazła swojej przyjaciółce, Elise Gilpatrick, doskonały dom. Ale Bowskill, zamiast jej pogratulować i kupić Pardoner Lane osiemnaście, zaczyna wypytywać Jackie o dom, do którego Gilpatrickowie zamierzają się przeprowadzić. W tym momencie zazdrość jest już w nim głęboko zakorzeniona, w końcu żyje z nią od sześciu lat. Przez cały ten czas czytał ich listy, przeglądał ich rzeczy osobiste. Dobrze wie, co mają w szafce z lekami, a pewnie też i w głowach. Gdy są szczęśliwi, to wyczuwa ich szczęście. Dręczy go ono, wprawia we wściekłość. Ale nie może przestać pogrążyć się w ich świecie i im go zazdrościć. Mają prawdziwe życie, a on nie – przyciąga go coś, czego sam nie jest w stanie osiągnąć i czym nie potrafi być. Gilpatrickowie są uzurpatorami, zwycięzcami, którzy zdobyli główną nagrodę. Skoro nagle znaleźli

dom, który uważają za lepszy od dotychczasowego, to w jakim świetle stawia to Pardoner Lane osiemnaście? Może wcale nie jest to doskonały dom, jeżeli zwycięzcy nie chcą już w nim mieszkać. Sam, wspomniałeś o przeniesieniu obsesji na inny obiekt: to właśnie ten moment. Bowskill dochodzi do wniosku, że nie zależy mu już dalej na domu, ale na pokonaniu Gilpatricków poprzez przywłaszczenie sobie tego, czego oni pragną.

– Czyli Kitt Bowskill to świr – podsumowała Charlie. – Pełnoprawny członek klubu kompletnych czubków.

– To jedna z możliwych interpretacji – przyznał Simon. – Można też patrzeć na niego jako na człowieka praktycznego, umiejącego się przystosować. Pomyśl: jeśli w tym momencie nie przerzuci swojej obsesji na Bentley Grove dwanaście, to co mu pozostaje? Kupienie Pardoner Lane osiemnaście? Bowskill chce być z Connie, nie z Jackie. Jackie pompuje jego poczucie własnej wartości i przydaje się jako środek do celu, ale Bowskill zna różnicę między produktem z górnej półki a plastikowym bblem, doskonale wie, że Connie jest numerem jeden. Jeśli kupi Pardoner Lane osiemnaście i wprowadzi się tam z Connie, to co powie kobiecie, która mu to ułatwiła? „Przepraszam. Dzięki za pomoc, resztą zajmie się moja żona”? Jackie raczej nie zaakceptowałaby takiego rozwiązania. Powiedziałyby Connie o swoim romansie z Bowskilem. Zrobiłaby wszystko, by zniszczyć ich małżeństwo.

Charlie starała się nie przejmować faktem, iż Simon nazwał Connie Bowskill „produktem z górnej półki”.

– No więc Bowskill przenosi swoją obsesję na Bentley Grove dwanaście... – odezwał się niepewnie Sam.

– Przekonuje Jackie, żeby kupiła Pardoner Lane osiemnaście dla siebie – powiedział Simon. – Mówi jej, że w ten sposób będą mieli obydwie domy. Każe jej dorobić klucze od Bentley Grove dwanaście, dzięki czemu mogą zacząć całą przygodę od początku. Przywłaszczają sobie nowy dom Gilpatricków w ten sam sposób co poprzedni. Jackie wykonuje jego polecenia i obydwójce rozpoczynają nowy rytuał: spotkania przy Bentley Grove dwanaście w dni powszednie, od czasu do czasu jakaś schadzka w Pardoner Lane osiemnaście, by Bowskill mógł uwierzyć w swoje imperium w Cambridge. Pojawia się też nowy, niemożliwy do osiągnięcia cel, bo Bowskill musi przez cały czas utrzymywać fantazję, jakoby pracował na ostateczne zwycięstwo. Pyta Jackie, czy teoretycznie byłaby w stanie przekonać Gilpatricków do kolejnej przeprowadzki. I jeśli Napier oprócz inteligencji ma odrobinę zdrowego rozsądku, to w tym momencie prawdopodobnie zaczyna w niego wątpić. Przez tyle lat wmawiał jej, że zamieszka z nią przy Pardoner Lane osiemnaście, a gdy wreszcie ma szansę to zrobić, nie korzysta z niej. Ani też nie odchodzi od Connie, co bez wątpienia jej obiecywał. Jackie zostaje z nim, ale nie jest szczęśliwa. W przeciwieństwie do Bowskilla nie jest uzależniona od dążenia do nieosiągalnej doskonałości, chciałaby widzieć rezultat swoich działań i to jak najszybciej: siebie i Bowskilla mieszkających razem w Cambridge. Zaczyna obmyślać sposoby na osiągnięcie tego celu.

– Czy Bowskill nie widział, że jego dylemat jest nie do rozwiązania?  
– spytała Charlie. – Nawet gdyby Gilpatrickowie znów się

przeprowadzili, to Bowskill równie szybko mógł uznać dom przy Bentley Grove dwanaście za niedostatecznie dobry i zafiksować się na następnym.

– Właśnie tak by zrobił – odparł Simon. – Ale też nie pozwoliłby sobie specjalnie się nad tym rozwodzić. Ani nad wyborem, przed którym stanąłby w momencie przeprowadzki do dowolnego domu w Cambridge: wyborem między Jackie a Connie. Jeśli wybierze Connie, Jackie zniszczy jego świat. Jeśli postawi na Jackie, będzie z niewłaściwą kobietą, zabraknie mu jednej z upragnionych „doskonałości”. W głębi duszy Bowskill wie, że stoi przed niewykonalnym zadaniem, lecz nie jest w stanie przyjąć bardziej racjonalnego podejścia. Jego całe życie było ucieczką od rzeczywistości. Gdyby pozwolił sobie na widzenie rzeczy takimi, jakie są, doznałby momentalnego unicestwienia, a przynajmniej tego się boi.

– Więc jak sobie z tym radzi? – spytał Sam.

– Obsadza Jackie w roli kozła ofiarnego – odparł Simon. – Wścieka się na nią, ilekroć ona zwróci mu uwagę, że Gilpatrickowie raczej nie będą się znowu przeprowadzać, skoro znaleźli doskonały dom z ogrodem. Bowskill obstaje przy swoim, twierdzi, że mogą zmienić zdanie i że zamierza czekać, aż się to stanie. Jackie jest zaniepokojona, ale co może zrobić? Jeśli zakończy związek, nie dostanie tego, na czym jej zależy: Bowskilla.

– Czyli znosi jego obłąd, bo go kocha? – powiedziała Charlie.

Nareszcie znalazła w całej historii motywację, którą mogła



zrozumieć.

– Podczas gdy to znosi, wydarza się coś nieoczekiwanego – ciągnął Simon. – Connie Bowskill znajduje nieznaną sobie adres zapisany jako „dom”. Próbując w dość żałosny sposób urzeczywistnić swoje marzenie, Bowskill nadał domowi przy Bentley Grove dwanaście ksywkę, która przypomina mu o lepszych czasach, gdy upragniony cel był na wyciągnięcie ręki. Wrócił do żartu sprzed kilku lat, kiedy wierzył jeszcze, że doskonałość jest osiągalna. Teraz nie jest już tego tak pewien, ale jeśli powtórzy ten sam dowcip, dawny entuzjizm powróci. Wpisuje Bentley Grove jedenaście do GPS-a tylko po to, by zasmakować tego uczucia, bo wie, że zrobiłby to, gdyby dom należał do niego.

– Connie to znajduje – powiedziała Charlie.

– Tak. Connie to znajduje i nie wierzy, gdy Bowskill zarzeka się, iż nie miał z tym nic wspólnego. A on nagle ma nowy problem na głowie. Musi już nie tylko zarządzać oczekiwaniami Jackie i pielęgnować własne marzenia, lecz też radzić sobie z żoną, która straciła do niego zaufanie i nie wierzy w ani jedno jego słowo.

Skręcili w Trumpington Road, byli już kilka minut od Bentley Grove.

– Nie pytajcie mnie, co się stało potem, bo nie wiem – oświadczył Simon tonem zdradzającym niezadowolenie. – Jeśli chcecie, mogę spekulować. – Nie czekając na zachęty, mówił dalej: – Wobec podejrzeń Connie obydwój, Bowskill i Jackie, prawdopodobnie trzymali się z dala od Bentley Grove dwanaście. Albo spotykali się tam tylko wtedy, gdy wiedzieli, że Connie jest zajęta, ale skąd Bowskill

mógł mieć pewność, że jego żona się nie zjawi w najmniej oczekiwanym momencie, by przyłapać go na gorącym uczynku? Nie miał jej. A Jackie prawdopodobnie zwiększyła presję, żądając: „Zapomnij o Connie, zapomnij o Bentley Grove dwanaście – to wszystko robi się zbyt skomplikowane. Zamieszkać ze mną przy Pardoner Lane osiemnaście i żyjmy tam długi i szczęśliwie”. – Simon westchnął. – W którymś momencie Bowskill doszedł do granicy wytrzymałości.

– I co zrobił? – spytał Sam.

– Pojechał na Bentley Grove dwanaście i zabił Gilpatricków – odparł Simon. – Kogo innego mógłby obwinić za chaos, który go otaczał? Myślę, że za chwilę znajdziemy ich ciała ownięte w materiał i plastik.

Gdy skręcali w Bentley Grove, Sam wydał z siebie osobliwy dźwięk.

– Co jest? – spytała go Charlie.

– To audi Connie Bowskill – powiedział, pokazując ręką. – Cholera. Ona też tu jest.

W ciągu kilku sekund Simon był już poza autem i w pełnym biegu.

## DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/28IG

BG11 warte 12/13 miliona

Minimalna zaliczka £400 000? (Nulli? C na chorobowym – stres)

Pożyczyć 800 000/900 000

Polisa na życie na pełną kwotę pożyczki

Wyp./sam... – pełna kwota odszkodowania

(Sprawdzić polisę – być może konieczny wyp.)

Dom wart 1,2 mln za 400 tys.

ALBO

1 mln/900 tys., jeśli obniży

Jak wyżej, ale min... zal. 250 tys.

Dom wart 1,2 mln za 250 tys. – nieźle!

Taki sam dom, ale dużo większy ogród, południowy – atrakcyjniejszy –

**OCZYWISTE I NIEZAPRZECZALNE – DAR OD PRZEZNACZENIA!!**

(Oficjalnie wyp., możliwe sam., nie do udowodnienia. Skrupuły po 4 morderstwach – obsesja na punkcie Gilpatricków od Pardoner 2003. Chciała 11 dla widoku na 12, żeby podglądać? PARANOJA I UROJENIA OD STYCZ., KIEDY ADRES W GPS!!! BG11, BG12 –

mówić, że to od zawsze jej żart).

Oglądanie (Frenchowie, Talbotowie?) Zastać SG w domu – dziwna kobieta poszła krok dalej, wystawiła dom na sprzedaż. Kobieta, która dała mi klucze – opisać C.

Anonimy, przedmioty w skrzynce na listy?

Oblać auto kwasem?

LANCING DAMISZ, SKRZYDŁO 3, WELLINGTON COURT,  
CAMBRIDGE CB5 6EX, 01223-313300

Wirtualne zwiedzanie – zwłoki Gil? Coś innego?

Radzić 1 mln/900 tys. w celu szybkiej sprz.

Potrzebny paszport C do kupna/sprz.

DNA C przy 12

Policja – C otwierała 12 kluczem znalezionym pod 11 – łatwe

SKĄD KLUCZ DO 11? Istotne?

Samobójstwo zrozumiałe – uniknięcie kary?

Wynająć 11, mieszkać przy Pardoner – 11 wynająć za 2  
500/miesiąc

## Sobota, 24 lipca 2010

Nie mogę się ruszać ani mówić. Usta zakleja mi taśma owinięta wokół głowy. Kitt skrępował też moje dłonie za plecami i położył mnie na podłodze. Możliwe, że była chwila, kiedy miałam szansę uciec, ale nie skorzystałam z niej i teraz umrę. Gdy tylko Kitt będzie gotowy. A jeśli oczekiwanie na śmierć stanie się jeszcze gorsze, niż już jest, to znam dobry sposób na przyspieszenie procesu: wystarczy, że zacznę płakać. W ciągu kilku minut nie będę w stanie oddychać i uduszę się.

– Nie chciałem ich zabić, Con. – Kitt musi podnieść głos, bym słyszała go na tle brzęku much. – Czwooro ludzi, w tym dwoje dzieci. Trudno było mi podjąć tę decyzję, dopóki nie pomyślałem o nas. O naszych dzieciach. One zasługują na ten dom.

Nie chcę go słuchać, ale się do tego zmuszam. Chciałam spotkać się z Kitem w jego rzeczywistości. To jest właśnie jego rzeczywistość. Ten człowiek, ten potwór jest moim mężem. Kochałam go. Wyszłam za niego.

– Jackie też nie chciałem zabić – mówi. – Nie oceniała mnie, gdy powiedziałem jej, co zrobiłem. Nie wpadła w panikę jak ja. Zawinięcie w zasłony i plastik było jej pomysłem na zminimalizowanie smrodu. Hermetyczne, powiedziała. – Kitt milknie i patrzy na łóżko. – Nie

wiem, czemu jednak przyleciały – mówi z roztargnieniem.

– Myślisz, że nie są zawinięte hermetycznie?

Patrząc na mnie, przypomina sobie o taśmie, która uniemożliwia mi mówienie, i o tym, że był w trakcie opowiadania o niepanikującej Jackie.

– Otworzyła ich skrzynki e-mailowe – opowiada. – Napisała do pracodawców, że z powodu nagłych problemów rodzinnych nie będą mogli przyjść do pracy w najbliższym czasie. I do szkoły. Pilnowała, żeby ich telefony komórkowe były naładowane i sprawdzała przychodzące wiadomości. Gdy pisali znajomi i krewni, odpisywała im, podając się za... – Przez jego ciało przebiega dreszcz, jakby ładunek elektryczny. – Podając się za Elise Gilpatrick – mówi wreszcie.

Imię i nazwisko kobiety, którą zamordował bez powodu.

– Byłem roztrzęsiony, Con. To Jackie trzymała mnie w jednym kawałku, to ona miała plan. Zgodziłem się na niego, bo byłem tchórzem, bo... jak mógłbym jej nie pomóc po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła?

Wzdrygam się, widząc, że rzuca się w moją stronę i zaczyna drapać taśmę zaklejającą mi usta.

– Powiedz coś – syczy mi prosto w twarz, wbijając paznokcie w moją skórę.

Nie daje to żadnego efektu, tylko ból. Kitt bierze do ręki nóż, ogląda go, po czym odkłada i wychodzi z pokoju. Liczę. Siedem sekund, później wraca z nożyczkami do paznokci. Staram się nie

ruszać, podczas gdy on próbuje przeciąć nimi taśmę, ale jego dłonie za bardzo się trzęsą, więc w końcu kaleczy mi usta.

– Przepraszam – mówi.

Po jego policzkach i szyi spływają krople potu.

Po kilku sekundach w końcu przebija się przez taśmę i znów mogę mówić, jeśli będę chciała. Krew skapuje mi z podbródka. Zaczynam czuć coraz większy ból w miejscach nowych skaleczeń.

Kitt staje na równe nogi i gapi się na mnie.

– Powiedz coś – rozkazuje mi.

Nie powinnam karmić się nadzieją, chociaż ją dostrzegam. Zakneblował mi usta, ale w końcu przeciął taśmę. To wyraźny zwrot, który pozwala mi sądzić, że decyzja o zabiciu mnie też może się okazać odwracalna.

– Co Jackie chciała mi zrobić? – pytam. – Namawiała cię, żebyś mnie też zabił?

– Nie. Sama zamierzała to zrobić. Wiedziała, że ja nigdy bym się na to nie zdobył.

Nigdy bym się na to nie zdobył. Nigdy bym się na to nie zdobył. Chwytam się tych słów.

– Ale zanim mogłaby cię zabić, musiała zrobić dużo innych rzeczy – mówi Kitt. – Musiała to właściwie zorganizować, żeby na ciebie spadła odpowiedzialność za... – Znów spogląda na łóżko. – Za innych. Nie wiem, jak mogła trzeźwo myśleć, ale myślała. Chcesz zobaczyć?

– Zobaczyc? – powtarzam, nie rozumiejąc.

Kitt się uśmiecha i przez chwilę mam wrażenie, że obydwójce wróciliśmy do naszego dawnego, normalnego życia. Widziałam ten uśmiech wiele razy, gdy Kitt był zadowolony z własnego żartu, gdy był pod wrażeniem czegoś, co powiedziałam.

– Chcę ci pokazać dowód – mówi.

Po uśmiechu nie został ślad. Jego głos jest surowy.

– Pokaż – proszę go.

Kitt kiwa głową i odwraca się ode mnie. Słyszę, jak zbiega na dół. Gdy wraca, trzyma w dłoni pogniecioną kartkę papieru zapełnioną czyjąś bazgraniną. Pismo Jackie. Kitt podtyka mi je pod nos. Czytam tekst trzy, cztery razy. Nie powinnam go rozumieć. Próbuję udawać, że nie dostrzegam w nim sensu, ale mi się nie udaje. Od razu wiem, co Jackie miała na myśli, pisząc te słowa.

Czuję się skalana, zduszona, jakby ktoś uwięził mnie w jej spaczonym umyśle, uniemożliwiając ucieczkę przed skażoną chmurą myśli Jackie Napier. Nie mam wyboru, muszę przyznać, że to wszystko prawda, skoro mam ją przed oczami. A jednocześnie nie mogę uwierzyć. Jeszcze cztery dni temu nie miałam pojęcia, że ta kobieta istnieje.

Cieszę się, że nie żyje.

– Żadna z tych rzeczy nie była moim pomysłem – mówi Kitt.

– Ale to ty zabiłeś Gilpatricków.



Odchyła głowę w tył, jakbym próbowała go uderzyć.

– To nie był pomysł. Nie planowałem tego. To. Jackie była od planowania, nie ja. – Upuszcza kartkę na podłogę. – Umiała wszystko przewidzieć. Ja nigdy nie wiedziałem, co stanie się później.

A czy domyśliła się, że ją udusisz?

– Przewidziała to, że nie będziesz w stanie zapomnieć o Cambridge po znalezieniu Bentley Grove w moim GPS-ie – ciągnie Kitt.

– Nie wierzyłem jej. Nie sądziłem, że będziesz jeździła tak daleko w nadziei na przyłapanie mnie na gorącym uczynku. Jackie mnie wyśmiała i nazwała naiwniakiem. Powiedziała, że mi to udowodni. Wzięła dwa tygodnie wolnego i przyczała się na Bentley Grove. Gdy tylko Gilpatrickowie jechali rano do pracy, wchodziła do ich domu i czekała na ciebie. Wiedziała, jak wyglądasz. Spędziła wiele godzin, oglądając twoje zdjęcie na stronie Nulli. Zazdrościła ci.

Zazdrościła mi. No tak, któż nie chciałby być żoną oszalałego mordercy?

– Widziała cię w dwa piątki z rzędu. I wtedy już wiedzieliśmy, nawet ja to rozpracowałem. Ze wszystkich dni właśnie w piątki mogłaś tam jeździć. W poniedziałki i środy było możliwe, że zjawię się w domu, a we wtorki i czwartki pracowałeś u rodziców. Piątki były twoimi jedynymi wolnymi dniami, które ja zawsze spędzałem w Londynie.

Przytakuję, starając się nie zwracać uwagi na obezwładniające mnie uczucie obrzydzenia. Jakiej reakcji ode mnie oczekuje?

– Bywało, że Jackie cię śledziła – mówi. – Do szpitala albo do miasta. Mówiłem jej, że nie powinna ryzykować. Nie mogłem znieść myśli o tym, że ją zauważysz i zmusisz do konfrontacji, bo w jakiś sposób się przed tobą zdekonspiruje. Ale ona mnie wyśmiała. „Inni zauważają mnie tylko wtedy, gdy ja tego chcę”, powiedziała.

– Myliła się – mówię, wstrząśnięta tym, jak zachrypnięty mam głos. – Wiedziałam, że ktoś mnie śledzi.

Wspomniałam o tym Alice podczas pierwszej wizyty. Powiedziałam jej, że raz czy dwa słyszałam za sobą czyjeś kroki. Przepisała mi wtedy lekarstwo na to konkretne urojenie: *Crotalus Cascavella*.

Błąd.

Wcale nie potrzebowałam brązowej buteleczki wypełnionej czymś rozpuszczonym w wodzie. Potrzebowałam tego, by ktoś zabił Jackie Napier.

Obsesja na punkcie Gilpatricków od Pardoner 2003. To może znaczyć tylko jedno.

– To Gilpatrickowie kupili Pardoner Lane osiemnaście, tak? – mówię. – Wtedy, gdy ty... gdy my też licytowaliśmy.

Nie musi mi odpowiadać. Widzę wszystko w jego oczach.

– Udawałeś, że już go nie chcesz, i zrzuciłeś to na moje... problemy. Musiałeś nienawidzić Gilpatricków. A potem. Co? Przeprowadzili się? Kupili Bentley Grove dwanaście i...

Wynając 11, mieszkać przy Pardoner

– Jackie. Jackie kupiła Pardon Lane osiemnaście. – Domyślam się wszystkiego na bieżąco. – Pewnie dałaś jej pieniądze.

– Jak mógłbym to zrobić? – pyta gniewnie Kitt. – Przecież nie mam żadnych pieniędzy, o których nie wiesz.

– Byłam zbyt rozklejona, żeby oddalić się od swojej rodziny, ale dla ciebie to nie był problem – mówię, myśląc na głos. – Ty mogłeś zamieszkać w Cambridge z Jackie. Czekaliście, aż Pardon Lane osiemnaście znów będzie na sprzedaż, choć gdy to się stało, ty już tego domu nie chciałeś. Jackie owszem, dlatego go kupiła, ale ty.

– Tak, to musi być to. – Ty chciałeś mieć ten dom, który kupowali Gilpatrickowie, czyli już nie Pardon Lane osiemnaście, tylko Bentley Grove dwanaście.

W mojej głowie zderzają się ze sobą chaotyczne myśli. Co Kitt powiedział o Jackie czekającej na mnie pod numerem 12? Gdy tylko Gilpatrickowie jechali rano do pracy... Czyli wtedy nie byli jeszcze martwi. A skoro Kitt ich jeszcze nie zabił.

– Skąd Jackie wzięła klucze do tego domu? – pytam. – Czy.

Jej różowa kurtka z džinsu, a w kieszeni breloczek z logo Lancing Damisz. Jej pismo z zawijasami na firmowym papierze z Lancing Damisz.

– Była agentką nieruchomości. Poznałeś ją w dwa tysiące trzecim roku? To ona sprzedała ten dom Gilpatrickom?

Kitt nie odpowiada i ucieka wzrokiem.

– Tak było, mam rację? I zachowała sobie jeden klucz do drzwi

wejściowych.

– Spotykaliśmy się tutaj pod ich nieobecność – mamrocze ze spuszczonej oczami. – Taka głupia zabawa, ale lepsza niż prawdziwe życie, którego dla nas chciała. Nie potrafiłem zmusić się do wejścia do domu przy Pardon Lane osiemnaście, odkąd go kupiła. Prosiła, żebym się tam wprowadził, lecz nie mogłem tego zrobić. Przecież mieszkaliśmy z tobą w Little Holling, w Melrose Cottage – mówi, jakbym nie wiedziała, jakbym była obcą osobą, której się przedstawia. I której opowiada o swoim życiu. – Nigdy jej nie kochałem. Jedyne, czego byłem pewien, to że chcę żyć z tobą, gdziekolwiek by to miało być. Ale nasza gra zabrnęła za daleko. I przestała być już tylko grą. Chciałem. – Kitt odchrząkuje. – Nie widziałem powodu, dla którego Gilpatrickowie powinni mieć to, czego ja pragnąłem. Właśnie wtedy wszystko zaczęło się walić. Gdy kupili nasz dom.

Nic nie mówię, czekam.

– Strasznie się z Jackie kłóciliśmy – ciągnie Kitt tak cicho, że ledwo go słyszę. – Wcale nie chciałem tu mieszkać – pokazuje wokół siebie. – Ale łatwiej było mi udawać, że chcę, niż przyznać prawdę. Jackie wiedziała, że się oszukuję. Powtarzała wciąż, że Gilpatrickowie nie sprzedadzą go w najbliższej przyszłości, że to ich dom na zawsze. Próbowwała zmusić mnie do przyznania się, że jak tylko mógłbym go kupić, natychmiast przestałbym go chcieć. Była na mnie wściekła, że pozwoliłem jej kupić Pardon Lane osiemnaście, nie zamierzając tam z nią zamieszkać. Kłótnie stawały się coraz gorsze, aż... – przerywa i kręci głową.

Tym razem się nie domyślam, muszę zapytać.

– Aż co?

– Aż zdarzył się ten epizod z GPS-em. Jackie uznała, że to przeznaczenie. Rozwiązanie wszystkich naszych problemów.

– Jak to?

– Numer jedenaście – odpowiada szeptem Kitt, składając dłonie w małą kulkę. – Wszystko na niego wskazywało. Numerem jedenaście nazywaliśmy ten dom, pamiętasz nasz stary żart?

Zagryzam wargę, by nie krzyknąć.

– W misce w kuchni leżały klucze z napisem „Selina, numer jedenaście”, a po wypadku z GPS-sem myślałaś, że mam romans pod tym adresem. Nie dałaś się przekonać, że to nieprawda. Któregoś dnia Jackie zapytała mnie, czy wiem, o ile większy jest ogród przy Bentley Grove jedenaście niż ten tutaj. – Kitt kiwa głową w kierunku okna. – Nie wiedziałem, o co jej chodzi. Miała jakiś dziwny wyraz twarzy, aż się przestraszyłem. Wtedy zdałem sobie sprawę, że Jackie zaczyna wariować.

– Użyła kluczy z miski w kuchni, żeby wchodzić do domu Seliny Gane – mówię.

Kitt przytakuje.

– Chciała zobaczyć dom, w którym rzekomo prowadziłem drugie życie. Bardzo ją to bawiło.

Spoglądam na leżącą na podłodze kartkę, przypominając sobie

słowa Jackie: Taki sam dom, ale dużo większy ogród, południowy – atrakcyjniejszy – OCZYWISTE I NIEZAPRZECZALNE – DAR OD PRZEZNACZENIA!!

– Uznała, że znalazła doskonałe rozwiązanie. – Kitt wzrusza ramionami. – Mogliśmy kupić dom prawie identyczny z tym, na tej samej ulicy, ale lepszy. „Będziesz mógł się przed nimi chełpić – mówiła. – Musimy tylko przekonać tę Selinę Gane, żeby sprzedała”. Zaczęła opowiadać o wrzucaniu odchodów przed szczelinę na listy, o oblaniu jej samochodu kwasem. Powiedziałem jej, żeby się nie wygłupiała. Nawet gdyby udało nam się wygonić właścicielkę, to i tak nigdy nie byłoby nas stać na dom przy Bentley Grove. Już miałem jej wytłumaczyć, że nie dam rady tak dłużej żyć, gdy.

Znów przerywa.

Przepływa przeze mnie wielka fala spokoju, niczym narkotyku. Zwalczam chęć zamknięcia oczu.

– Gdy wyjaśniła ci, że to wcale nie takie trudne – kończę zdanie Kitta. – Gdybym umarła w odpowiedniej chwili i z odpowiednią polisą ubezpieczeniową na moje nazwisko, byłoby cię stać na ten dom. Taki miała plan? Najpierw pozbyć się mnie z firmy. Z powodu stresu, w jakim żyłam od momentu znalezienia adresu w GPS-sie, miałeś zaproponować, bym na jakiś czas przestała pracować i zostawiła wszystko tobie. A potem co? Chcieliście sprzedać Nulli z Jackie podającą się za mnie, by podpisać wymagane dokumenty? Była do mnie trochę podobna – szczupła, ciemne włosy do ramion. Z moim paszportem i notariuszem, który nigdy mnie nie widział.

– Ale jednak tego nie zrobiłem, prawda? – warczy na mnie Kitt.

– Nie prosiłem cię, żebyś zrezygnowała z pracy. Od tamtej chwili wszystko, co robiłem, miało na celu ochronienie cię przed tą wariatką, którą wplątałem w nasze życie. Nie musisz mi wierzyć, lecz taka jest prawda. – Kitt wybuchła gorzkim śmiechem. – Jackie oskarżyła mnie, że to ja jestem wariatem. Dla niej było to takie oczywiste, takie proste: sprzedać Nulli, kupić Bentley Grove jedenaście za gigantyczny kredyt z ogromną polisą na życie, z nią w roli ciebie, a potem.

Kitt zakrywa twarz dłońmi i głośno jęczy.

– A potem mnie zabić, zgarnąć odszkodowanie i kupić dom wart milion dwieście tysięcy za dwieście pięćdziesiąt albo czterysta tysięcy, zależnie od tego, jak bardzo Selina Gane chciałaby się go pozbyć – mówię, zdając sobie sprawę z tego, jak nieistotne są moje słowa. Żałując, że nie są nabojami. – Dom, w którym była prześladowana przez nieznaną sobie osobę i z niewiadomego powodu, niemającego z nią nic wspólnego. I co jej na to odparłeś? Powiedziałeś „Nie, nie chcę zabijać Connie”? Zagroziłeś, że pójdziesz na policję?

– Nie mogłem iść na policję. Ale... Robiłem, co mogłem, żeby ją spowolnić przez.

Czekam.

Kitt zmienia taktykę.

– Zresztą jej plan i tak by się nie powiódł – mówi defensywnym tonem. – Bo kto by nam dał taki kredyt, zwłaszcza gdybyśmy sprzedali Nulli i zostali z niczym?

Czyżby to było wyzwanie? Mam go nazwać kłamcą? A może naprawdę zapomniał o Melrose Cottage, bo tak mu wygodniej? Z łatwością dostaliby ten kredyt. Ktoś by im go przyznał. Zwłaszcza gdyby firma przejmująca Nulli utrzymała Kitta na stanowisku prezesa z jakąś niebotyczną pensją.

– Musiałem udawać, że się z nią zgadzam, że w końcu to zrobimy, jak tylko ustalimy wszystkie szczegóły. Jackie dobrze się bawiła, planując. Przestaliśmy się kłócić. Całkowicie. Czasami myślałem, miałem nadzieję, że praca nad detalami już zawsze będzie jej sprawiała przyjemność i że nie będziemy musieli... iść o krok dalej.

– Czyli twoim celem było zapewnienie wiecznego szczęścia Jackie?

– Nie! Nic nie rozumiesz – łka Kitt.

– Owszem – mówię mu. – Chciałabym nie rozumieć, jednak rozumiem.

Widzę, jak stara się zapanować nad emocjami.

– Gdybym jej odmówił, Jackie zniszczyłaby mi życie. Musiałem coś jej dać. Nigdy jej nie kochałem, Con. Była bardziej jak, nie wiem. Jak znajomy, wobec którego chciałem być lojalny. Ale ona mnie kochała, nie miałem co do tego wątpliwości. Wiesz, że płakała prawie dwie godziny po tym, jak... nakręciliśmy film?

Czyżby mówił o wirtualnym zwiedzaniu?

– Nalegała, bym dał jej swoją obrączkę do zdjęcia. Nie chciała powiedzieć po co. Powtarzała tylko, że będzie śmiesznie, lecz musiała mieć inny powód. Jeśli ją to bawiło, to czemu tak się rozkleiła, gdy



poprosiłem, żeby mi ją oddała? Gorzej się czułem, odbierając od niej tę obrączkę, niż...

Jego usta zaciskają się w cienką linię, jakby chciały powstrzymać słowa przed ucieczką: gorzej, niż dusząc ją na śmierć.

– A co czułeś, zarzynając niewinną rodzinę? Gdzie to się mieści na twojej skali poczucia winy?

– Jeśli to ci poprawi nastrój, powiem ci coś, o czym nie powiedziałem Jackie, nawet pod koniec – mówi Kitt, puszcżając moje pytanie mimo uszu. – Zamierzałem jej powiedzieć, ale uznałem, że byłoby to zbyt mściwe.

Cokolwiek to jest, żałuję, że jej nie powiedział, skoro mógł ją tym zranić. Wolałabym, żeby mi tego nie mówił, lecz nie powstrzymuję go.

– Ten adres w moim GPS-ie – podnosi głos, jakby się bał, że go nie usłyszę. – To ja go zaprogramowałem.

– Wiem – mówię, płacząc na myśl o bezsensie sytuacji, w której Kitt oznajmia mi coś, co przez sześć miesięcy mu powtarzałam i czego on się wypierał. – Wiedziałam od samego początku.

– Zrobiłem to celowo – dodaje. – Wiedziałem, że weźmiesz mój samochód z powodu śnieżycy. Chciałem, żebyś znalazła ten adres, Con. Chciałem, żebyś mnie powstrzymała. Dlaczego mnie nie powstrzymałaś?

To nie ja zabiłam Gilpatricków. Nie ja ich zabiłam. To nie moja wina, że Gilpatrickowie nie żyją.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, odkąd przestaliśmy się z Kitem

odzywać. W moim umyśle jest wielka dziura i nie wiem, gdzie się kończy. Muchy nadal brzęczą, smród jest jeszcze gorszy.

To produkt mojej wyobraźni, czy Kitt rzeczywiście opowiedział mi resztę historii? Chciał to wszystko przerwać, ale ponieważ ja mu nie pomogłam, zabił Gilpatricków. Z ich winy znalazł się w takim stanie, więc zasłużyli na śmierć. Kitt to powiedział czy tylko mi się zdaje?

Później Jackie miała już z góry, Kitt był zdany na jej łaskę. Mogła pomóc mu uniknąć kary za poczwórne morderstwo, lecz musiał zgodzić się na piątę. Musiał zgodzić się na moją śmierć.

Jackie dorobiła klucz od Bentley Grove 11, wchodziła tam z potencjalnymi kupcami i naopowiadała Selinie Gane kłamstw o kobiecie, która rzekomo bez jej wiedzy wystawiła dom na sprzedaż, podając się za Selinę. Kobieta przypominała z opisu tę, która ją śledziła. Możliwe, że robiła też inne rzeczy, by zastraszyć prawdziwą Selinę Gane. Być może oblała kwasem jej samochód. Tak czy inaczej, osiągnęła swój cel: dom przy Bentley Grove 11 w końcu trafił na rynek.

Tylko po co ten następny krok? Nie mam dość siły, by zapytać o to Kitta. Musieli wynieść wszystko z salonu Gilpatricków, gdzie była krew, i zastąpić sprzętem spod numeru 11. Ryzykowne – ktoś mógł ich zobaczyć, jak niosą meble i zdjęcia. Ale sąsiedzi ich nie widzieli, w przeciwnym razie zawiadomiliby policję. Nic dziwnego, że pozostali niezauważeni. Bentley Grove to taka ulica, na której ludzie wręcz ostentacyjnie niczego nie dostrzegają, ulica, na której można swobodnie miesiącami kogoś śledzić. W ciągu dnia nie ma na niej

nikogo, prócz jednego staruszka, który najczęściej śpi.

Jackie miała dostęp do odpowiedniej kamery i do strony internetowej Lancing Damisz. Położyła się we krwi Gilpatricków i razem sporządzili alternatywną wersję dokumentacji wideo – specjalnie dla mnie, żebym poszła na policję, mówiąc o krwawym morderstwie. Miałam zachowywać się histerycznie i być dokładnie taką osobą, jaką później spotkałby wypadek, który mógłby być samobójstwem. Kitt musiał stanąć za kamerą. Czy Selina Gane miała się dowiedzieć, że ktoś twierdzi, iż w jej domu, którego już i tak chciała się pozbyć, zamordowano człowieka? Czy miało ją to skłonić do obniżenia ceny?

Kiedy miał mnie spotkać wypadek? Najpierw Kitt i podająca się za mnie Jackie musieli kupić Bentley Grove 11. Policja bez trudu odtworzyłaby kolejność zdarzeń: miałam obsesję na punkcie Gilpatricków od dwa tysiące trzeciego roku, kiedy kupili mój wymarzony dom. Byłam nimi opętana do tego stopnia, że przekonałam męża do kupna domu naprzeciwko, żebym mogła ich stamtąd szpiegować. Okazało się jednak, że szpiegowanie mi nie wystarcza i pewnego dnia wszystkich ich zabiłam. Szaleństwo popchnęło mnie do zamordowania dwojga małych dzieci.

Zamęczała policję jakąś zmyśloną opowieścią o martwym ciele na stronie internetowej. Wszyscy wiedzieli, że to kłamstwo. Na dywanie nie było śladu krwi, policja to sprawdziła.

Poczucie winy odebrało jej rozum.

Znaleźli jej DNA w domu pod numerem 12. Na zwłokach, wszędzie.

– Co? – odzywa się Kitt, a ja się wzdrygam.

Czy coś powiedziałam?

– Ułatwiłam jej to – mówię. – Jackie. Nie musiała podawać się za mnie, żeby kupić Bentley Grove 11, bo sama postanowiłam kupić ten dom. – Chłód przenika moje kości, gdy nagle zdaję sobie sprawę, co to oznacza. – Dlatego ją zabiłeś, mam rację? Po tym, jak kupiłabym... kupilibyśmy dom Seliny Gane, Jackie przeszłaby do następnego etapu.

Przypomina mi się coś, co Kitt powiedział trochę wcześniej: Zabiłem ją, żeby cię ocalić. Nalegając na kupno Bentley Grove 11, przyspieszałam datę własnej egzekucji. I podpisywałam wyrok śmierci na Jackie.

– Gdy powiedziałaś, że chcesz kupić ten dom, wiesz, co się działo w mojej głowie? – mówi Kitt. – To niemożliwe, pomyślałem. Jackie tego nie przewidziała. Żaloszne, co?

– Nikt nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego. Nawet Jackie.

– To fakt – przyznaje mi rację Kitt.

Słuchając naszej rozmowy, nie mogę uwierzyć, że za chwilę obydwójce umrzemy. A może nie? Kitt od dłuższego czasu nie dotknął nawet noża. W każdym razie wydaje mi się, że był to dłuższy czas. Niewykluczone, że minęło zaledwie kilka minut.

– Nie mogła wiedzieć o Beaterach i ich choince – dorzuca. – Świetnie się bawiła, traktując policjantów jak idiotów, mówiąc im, że widziała to, co ty. Ale nie było to częścią pierwotnego planu.

Nie rozumiem, o co mu chodzi.

Kitt najwyraźniej widzi, że jestem zagubiona, bo dodaje:

– Policja nie sprawdziła należycie twoich zeznań. Nie uznali za słuszne, by mówić Selinie Gane, że ktoś widział zdjęcie ze zwłokami w jej salonie.

W związku z czym Selina Gane nie miała powodu obniżyć ceny z miliona dwustu tysięcy do dziewięciuset tysięcy, na co liczyła Jackie.

– Koleżanka Jackie, Lorraine, wyjaśniła policji, że dywan w domu numer dwanaście był ten sam, co dawniej, gdy sprzedawała go Selinie Gane, i że jest na nim plama, która stanowi dowód. To był koniec historii, Grint nie zamierzał dalej się tym zajmować wyłącznie na podstawie twoich słów. Ale gdy pojawiła się Jackie ze swoimi zeznaniami, zmienił zdanie. Jeśli dwie kompletnie ze sobą niepowiązane osoby widzą te same zwłoki na tej samej stronie internetowej w tym samym czasie.

Ostry, brzęczący dźwięk przecina głos Kitta na pół. Obydwoje podskakujemy. Zaczynam się cała trząść. Dzwonek. Policja.

– Jest tam kto? Kitt? Connie? Jesteś tam? Otwórzcie.

To nie sierżant Laskey. Simon Waterhouse.

Kitt bierze do ręki nóż i przystawia mi go do gardła. Jego czubek wbija mi się w skórę.

– Ani słowa – rozkazuje mi szeptem.

– Panie Bowskill, proszę otworzyć drzwi. – To Sam Kombothekra.

– I tak wejdziemy do środka – woła Simon Waterhouse. – Lepiej,

żebyś sam nas wpuścił.

Dźwięk ich głosów wyostrza mój umysł. Jest kilka rzeczy, których wciąż nie rozumiem, a których sens chciałabym poznać, dopóki jestem z Kitem sam na sam. Nie jestem pewna, co się z nami stanie, ale nie mam wątpliwości, że już nigdy nie będziemy sami w jednym pokoju.

– Grint zapytał Jackie, czy to ja podawałam się za Selinę Gane i próbowałam sprzedać jej dom. – Mówię zbyt szybko. – Powiedziała, że nie.

– Gdyby cię wtedy obciążyla, wiedziałabyś, że kłamie. Grint nie miał powodu wątpić w jej zeznania, gdy mówiła, że widziała te same zwłoki, ale gdybyś oskarżyła ją o kłamstwo, mógłby spojrzeć na nią inaczej.

– I połączyć ją z tobą. – No tak, to ma sens.

– Bowskill! Otwieraj! Nie zrób czegoś głupiego. Connie, nic ci nie jest?

Nóż przecina skórę na mojej szyi. Przypominam sobie, że nadal krwawię z ust. Nie wiem, ile krwi już straciłam, lecz na samą myśl o tym robi mi się słabo...

– A co z sukienką? – pytam.

– Sukienką?

Kitt wymawia to słowo jakoś dziwnie, jakby jego zdaniem nie pasowało do naszej rozmowy. Ale skończył już z kłamstwami. Naprawdę nie wie, o czym mówię.

– Mój prezent urodzinowy.

– Przecież powiedziałem ci, że to nic nie znaczy – tłumaczy niecierpliwym tonem. – Musiałem dać ci coś na urodziny, a w tym samym czasie kupowałem prezent dla Jackie. Po prostu spodobała mi się ta sukienka, więc kupiłem jedną dla niej i jedną dla ciebie.

– Pociąga nosem i wyciera go dłonią. – Chciałem tylko, żeby to całe gówno dobrze się skończyło, dla nas trojga. Wszystko to, co nie stało się z mojej winy ani twojej czy Jackie. Żadne z nas sobie na to nie zasłużyło. To wszystko ich wina. – Pokazuje głową na łóżko. – Chcesz zobaczyć ich zarozumiałe twarze?

Chwyta mnie i stawia na nogi.

– Nie! – krzyczę, myśląc, że chce pokazać mi zwłoki.

Zamiast tego ciągnie mnie po schodach na dół, do salonu. Na drzwiach wisi kłódka. Kitt ją zdejmuje i wchodzi do środka. Odkłada nóż, podchodzi do kredensu i otwiera go. Wyciąga fotografię i rzuca nią we mnie. Zdjęcie ląduje na ciele Jackie. Na Jackie, która nie żyje. Mężczyzna, kobieta, chłopiec i dziewczynka. Na moście, jedzący lody. Roześmiani.

Twarcz kobiety wydaje mi się znajoma. Twarcz Elise Gilpatrick. Jak mogę ją znać? To nie ma sensu.

A co go ma? Ciało Jackie leżące tu jak śmieć? Czy to ma sens?

Kitt podchodzi do mnie powoli, trzymając w dłoni nóż. Gdzie jest Simon Waterhouse? Gdzie jest Sam? Dlaczego już ich nie słyszę? Próbuję wysłać do nich wiadomość, wiedząc, że to nic nie da. Proszę,

przybądźcie. Nie mam dokąd biec, nie ucieknę przed Kittem. On jest pożarem, olbrzymią falą, chmurą toksyn – wszystkim, co szkodliwe i niszczące. I idzie wprost na mnie. Nie patrzy już w moją stronę, jego oczy zafiksowały się na fotografii, na twarzach jego ofiar. Niczemu nie zawinili, wiem o tym doskonale, ale to oni są przyczyną.

Zostanę zabita, a wszystko przez rodzinę Gilpatricków.

Jest ich czworo: matka, ojciec, syn i córka.

– Elise, Donal, Riordan i Tilly. – Kit wymienia te imiona, jakby sądził, że pragnę mieć już z głowy formalności i lepiej ich poznać, tymczasem ja myślę tylko o tym, by wybiec z krzykiem z pokoju. – Riordan ma siedem lat – mówi. – A Tilly pięć.

Zamknij się, mam ochotę wrzasnąć mu w twarz, ale jestem zbyt przerażona, by otworzyć usta. Jakby ktoś mi je zacisnął i zamknął na klucz. Już nigdy nie wypowiem ani słowa.

To jest to. Właśnie tutaj, dzisiaj, w ten sposób i z tego powodu umrę. Przynajmniej znam już wreszcie ten powód.

Kitt jest równie wystraszony jak ja. Nawet bardziej. Nie przestaje mówić, bo wie, jak wszyscy, którzy czekają na coś w przerażeniu, że gdy cisza i strach łączą siły, tworzą całość tysiąc razy gorszą niż suma wszystkich części.

– Gilpatrickowie – mówi, a po twarzy spływają mu łzy.

Patrzę na drzwi odbite w lustrze nad kominkiem. Wydają się mniejsze i odleglejsze, niż byłyby, gdybym odwróciła głowę i spojrzała na nie bezpośrednio. Lustro ma kształt grubego nagrobka: trzy proste



boki, a u góry łuk.

– Nie chciałem uwierzyć, że istnieją. To nazwisko brzmiało jak zmyślane. – Kitt wybuchła śmiechem i dławi się łzami. Wszystko się w nim trzęsie, nawet głos. – Gilpatrick to nazwisko, które bym wymyślił, gdybym tworzył fikcyjną postać. Pan Gilpatrick. Gdybym tylko w niego uwierzył, to wszystko by się nie stało. Bylibyśmy bezpieczni. Gdybym tylko...

Kitt milknie i odchodzi od zamkniętych drzwi. Słyszy te same kroki co ja. Pośpieszne, liczne. Już tu są. Policja w końcu dotarła. Trzymając uchwyt noża oburącz, Kitt wbija go sobie w pierś. Jego ostatnie słowo to „przepraszam”.

## DOWÓD RZECZOWY NR CB13345/432/29IG

Caroline Capps 24/12/93

Stover Street 43

Birmingham

Droga Caroline,

wybacz, Jeśli ten list zabrzmiał dosadnie, ale niektórzy wolą szczerość od dwulicowości, choć najwyraźniej ty nie. Powiedziałaś, że mi wierzysz, ale teraz słyszę od Vicky i Laury, że wcale nie. Wygląda na to, że zapewniłaś mnie o tym tylko przez grzeczność i dlatego, że mi współczujesz.

Na szczęście nie potrzebuję twojego współczucia. W moich oczach to ty na nie zasługujesz, oczywiście oprócz intensywnej terapii. Kilka razy w życiu byłam rzucana przez chłopaków i nigdy nie miałam problemu, żeby to przed sobą przyznać. Nigdy też nie wysyłałam do byłego chłopaka dziesiątek zdjęć samej siebie, bo po co? Czy wydaję ci się aż taką wariatką?

To twój chłopak jest świrem – wariatem i kłamcą. To on robił zdjęcia, które znalazłaś, ma obsesję na moim punkcie, choć rozmawialiśmy ze sobą wszystkiego może dziesięć minut. Proponuję, żebyś to sobie sama udowodniła. Śledź go przez jeden dzień – bardzo szybko przyłapiesz go na chodzeniu za mną po Cambridge z aparatem fotograficznym. Tak przy okazji: gdybyś

mogła go poprosić, żeby przestał to robić, byłabym zobowiązana.

I jeszcze jedna kwestia, którą muszę wyjaśnić. Owszem, twierdzę, że mnie nie rzucił, ale nie mówię wcale, że ja rzuciłam jego, jak zdajesz się sądzić. Nikt nikogo nie rzucił – NIE BYŁO NIGDY ŻADNEGO ZWIĄZKU!!! To bardzo źle, że muszę ci to mówić. Jeśli twój radar do dziś nie pokazał ci, że ja jestem twoją przyjaciółką, a on psycholem, to nie ma dla ciebie nadziei.

Elise

## **Piątek, 17 września 2010**

Powinnam usiąść, odprężyć się, ale nie mogę. Stoję przy oknie w salonie, obok plamy po choince. Czekam. Do jej przyjazdu pozostało jeszcze dwadzieścia minut. Gdy widzę samochód parkujący przed domem, zakładam, że to nie może być ona. Gdy z auta wysiada wysoka, ruda kobieta o długiej szyi, tłumaczę sobie, że to nie może być Lorraine Turner, że to z pewnością kto inny.

Mylę się.

– Przepraszam, że przyjechałam tak wcześnie – mówi, podając mi dłoń.

– Nie ma za co – zapewniam ją. – Cieszę się, że już pani jest. Proszę wejść.

Lorraine Turner ostrożnie przekracza próg, jakby bała się, że tego pożałuje.

– Nie będę udawała, że rozumiem – mówi, dając mi okazję do wyjaśnienia swoich powodów, gdybym chciała.

Ale nie chcę. Uśmiecham się tylko i milczę.

– Jest pani absolutnie pewna, że chce sprzedać ten dom? – pyta Lorraine.

– Tak.

Raczej powstrzyma się przed zbyt długim wywiadem, gdyż byłby z jej strony nietaktem. Wiedząc mniej więcej, przez co przeszłam, nie

będzie chciała mnie denerwować.

Podejmuje ostatnią próbę skłonienia mnie do mówienia:

- Kiedy domknęła pani transakcję kupna? – pyta.
- Wczoraj. Po czym od razu do pani zadzwoniłam.

Wreszcie się poddaje i idzie na górę, by zrobić zdjęcia. Momentalnie po jej wyjściu zaczynam żałować swojej powściągliwości. Lorraine Turner wydaje się sympatyczna, powinnam ograniczyć swoją instynktowną nieufność. Większość ludzi nie jest taka jak Kitt Bowskill i Jackie Napier. Nikt nie jest Kitem Bowskilem ani Jackie Napier. Już nie.

Gdy Lorraine zejdzie na parter, może wszystko jej wyjaśnię. Niczego się nie wstydzę. Kupiłam Bentley Grove 11, bo obiecałam to Selinie Gane. Jak mogłabym ją zawieść, po tym jak dałam jej słowo? Gdy składałam swoją obietnicę, myślałam, że będę mogła tu mieszkać, bo nie zdarzyło się tu nic złego, bo nie był to dom pod numerem 12. Może i dałabym radę, gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej – gdybym nie wylądowała w pokoju z muchami i martwymi ciałami, bezbronna i sparaliżowana strachem. Ale po tym wszystkim, co mnie tu spotkało, nie mogłabym mieszkać przy Bentley Grove.

Więc wystawiam swój dom na sprzedaż, choć kupiłam go zaledwie wczoraj. A gdy ktoś go ode mnie kupi, znajdę coś dla siebie na innej ulicy w Cambridge. Widziałam na stronie internetowej Wszystkiedomy kilka obiecujących ofert, lecz najpierw zobaczę, na którą uczelnię się dostanę. Spróbuję kupić coś w pobliżu. Fran zadzwoniła wczoraj, by powiedzieć mi, że słyszała o szkole dla dorosłych kobiet. Jej pomoc

częściowo wynagradza mi absolutne milczenie rodziców na temat mojej spóźnionej edukacji.

Sprzedaję nie tylko Bentley Grove 11. London Allied Capital jest w trakcie kupowania ode mnie Nulli, za mniej więcej połowę wartości. Ale pieniądze nie są dla mnie ważne, liczy się tylko wolność. Nowy początek.

Słyszę kroki Lorraine na piętrze. Niedługo zejdzie na dół. Otwieram torbę, którą ze sobą przyniosłam. Już ostatnia niezłałatwiona sprawa. Wyciągam zdjęcie, które dostałam od Kitta kilka lat temu, przedstawiające roześmianą dziewczynę na schodach kaplicy King's College, i stawiam je między ścianą a kanapą zostawioną przez Selinę Gane. To ładna fotografia i nie potrafię jej wyrzucić, choć nie mam ochoty jej trzymać. Może spodoba się nowemu właścicielowi domu. On lub ona zobaczy napis „4/100” i uwierzy, jak ja, że jest to jeden z unikatowych egzemplarzy.

Nie jest. Kitt sam zrobił to zdjęcie. Przedstawia osiemnastoletnią Elise Gilpatrick. A raczej Elise O'Farrell z okresu, gdy oboje razem studiowali i Elise popełniła tragiczny w skutkach błąd, odrzucając jego zaloty.

Nie mogę zostawić jej za kanapą, źle się z tym czuję. Podnoszę ramkę z podłogi i stawiam na kominku, opierając o ścianę, na której dawniej wisiała należąca do Seliny Gane mapa hrabstwa Cambridge. Teraz lepiej.

– Żegnaj, Elise – mówię. – Tak mi przykro.

Kroki na schodach. Wraca Lorraine. Przywołuję na twarz uśmiech,

zamierzając zaproponować jej kawę lub herbatę.

# Podziękowania

Jak zwykle, jestem ogromnie wdzięczna Peterowi Strausowi i Jenny Hewson z agencji Rogers Coleridge & White, a także Carolyn Mays, Francesce Best, Karen Geary, Lucy Zilberkweit, Lucy Hale i wszystkim w nieustannie wspaniałym wydawnictwie Hodder & Stoughton. Codziennie dziękuję swojej szczęśliwej gwiazdzie, że właśnie z wami przyszło mi pracować. A potem stwierdzam, że to przeznaczenie, a nie żaden łut szczęścia.

Dziękuję Liz i Andrew Travisom za wspomaganie słusznej sprawy, jaką jest beletrystyka, Beth Hocking za pomoc w nawiązywaniu użytecznych kontaktów i Guyowi Martlandowi za przekazanie niezbędnych i makabrycznych informacji na temat cuchnących zwłok i procesu mumifikacji. Dziękuję Anne Grey za nauczanie mnie o homeopatii, Lewisowi Jonesowi za nadanie pewnej osobie ksywki „Gummy” w mojej obecności i Heidi Westman za wzmiankę o błahym zajściu z użyciem GPS-a, które to zajście według moich informacji nigdy nie zostało w zadowalający sposób wyjaśnione, zatem pozostaje dosyć podejrzane (choć daleko mi do rzucania kalumnii.). Dziękuję Markowi Wordenowi za książkę o Pink Floydach, Paulowi Bridgesowi za antologię nazwisk (którą momentalnie otworzyłam na nazwisku „Gilpatrick”), Tomowi Palmerowi, Jamesowi Nashowi i Rachel Connor za porady redakcyjne we wczesnym stadium oraz Stuartowi Kellyemu,



który przedstawił mi koncepcję „żalu napędowego”. Moim ŻN jest fakt, że sama na to nie wpadłam.

Dzięki dla Dana za plamę po choince i niekonwencjonalne nazwy domów. Dzięki dla Phoebe i Guya za urocze kartki i prezenty, gdy skończyłam pisać, a także za ich niezwykle istotne uwagi na temat kosmitów w grze Ben 10.

Wielkie dzięki dla Johna Jeppsa i Petera Beana za to samo, co zawsze, ale teraz z jeszcze jednego powodu, który stanie się jasny, gdy przeczytają tę książkę.

Dziękuję Geoffowi Jonesowi oraz tajemniczemu (i – jestem tego pewna – prawdziwemu) „Panu Pixleyowi”, który oferował trochę więcej pieniędzy niż ja. Hmm. Podziękowania dla Jill Sturdy Centre za danie ciekawego pomysłu na fabułę.

Mogę się tylko domyślać, jak bardzo zalażłam za skórę agentom nieruchomości w Cambridge. Pewnie ucieszy ich wiadomość, że znalazłam w końcu właściwy dom, aczkolwiek niektórzy z nich na samą myśl o mnie do dziś się wzdrygają i warczą. Tak czy inaczej osoby, którym pragnę wyrazić wdzięczność, to: Nick Redmayne, Chris Arnold, Oliver Hughes, George Moore, Stewart Chipchase, James Barnett, Richard Freshwater, Robert Couch, Michael Higginson, Zoe i Belinda z Carter Jonas i cała reszta. Obiecuję, że w najbliższym czasie nie będę się przeprowadzać.

Dziękuję mojemu wirtualnemu domowi duchowemu, stronie internetowej Rightmove (na której nie ma zdjęć martwych kobiet, co mogę zagwarantować, obejrzawszy szczegółowo każdy dom i każdy

plan każdego piętra). Nie jestem uzależniona, mogłam przestać w dowolnej chwili. Poza tym nic nie jest szkodliwe w umiarkowanych dawkach, a ja ograniczyłam się do godziny dziennie. Dziękuję szkołom Trinity College i Lucy Cavendish College w Cambridge – moim niewirtualnym domom duchowym.

Dziękuję Willowi Petersonowi za bycie wspaniałym i cudownym, Morganowi Whiteowi za mądrość dotyczącą plakietek na parkowych ławkach oraz Jenny i Benowi Almeidom za pomysł z łączonymi nazwiskami małżonków.

Na koniec pragnę podziękować Alexis Washam, Carolyn Mays, Francesce Best i Jasonowi Bartholomew za pomoc w trakcie pełnego napięcia (nie – koszmarnego) postępowania sądowego. Bez waszego wsparcia by mi się nie udało.

Wiersz pt. When First My Way to Fair I Took jest autorstwa A. E. Housmana.

- 
- 1 Nawiązanie do emblematu angielskiej reprezentacji w piłce nożnej.
  - 2 Lasting damage (ang.) – trwała krzywda
  - 3 Death Button (ang.) – przycisk śmierci, w oryginale gra pólówek z nazwą szkoły Beth Dutton Centre.